Za to, że byli Polakami

Druga wojna światowa w pamięci mieszkańców gminy Nekla

pod redakcją Jerzego Osypiuka

Nekla 2015

Redakcja: Jerzy Osypiuk
Adiustacja i korekta: Krystyna Jagodzińska, Violetta Nowak
Redakcja techniczna, skład: Artur Kaczmarski
Projekt okładki, wyklejek i logo serii: Jacek Papla
Retusz fotografii: Waldemar Odrobny

© Copyright by Nekielskie Stowarzyszenie Kulturalne, Nekla 2015

Wydanie I

Gmina Nekla
ul. Dworcowa 10
62-330 Nekla
Tel. +48 61 4386011
Fax +48 61 4386490
www.nekla.eu

Wielkopolskie Towarzystwo Genealogiczne „Gniazdo”
Mnichowo 64 b
62-200 Gniezno
www.wtg-gniazdo.org

Nekielskie Stowarzyszenie Kulturalne
ul. Poznańska 25, 62-330 Nekla
www.nsk.nekla.eu
www.oledry.nekla.pl
www.oledry.nekla.eu

ISBN: 978-83-939660-2-8

Druk i oprawa: Drukarnia Sprint s.c.
06-400 Ciechanów, ul. Pułtuska 70, tel. 23 673 34 30

Szanowni Państwo !

Przedstawiamy Państwu kolejną publikację, która jest owocem współpracy pomiędzy Urzędem Gminy i Nekielskim Stowarzyszeniem Kulturalnym. To zbiór wspomnień z okresu II wojny światowej, które pochodzą od mieszkańców naszej gminy lub osób z nią związanych. Przedstawiają one jakże trudne, często tragiczne dzieje rodzin, sąsiadów, znajomych... Opisane postawy bohaterów dają świadectwo, a tym samym uczą patriotyzmu i miłości do Ojczyzny.

Niniejsza publikacja jest formą spełnienia obowiązku pamięci o przeszłych pokoleniach oraz troski o losy przyszłych pokoleń. Dziękuję wszystkim osobom zaangażowanym w powstanie tej książki za nieocenioną lekcję życia.

Karol Balicki
Burmistrz Miasta i Gminy Nekla

Kolejnym pokoleniom,
aby pamiętały…

Spis treści

Witold Przewoźny
Wojna - okrutny „test człowieczeństwa". Kilka impresji tytułem wstępu.....5

Genowefa Knasiak
Z Nekli na roboty przymusowe do Rzeszy.....7

Starszy ułan Franciszek Nowakowski.....13

Wanda Sobczyńska
Okupacyjne losy naszej rodziny.....15

Za to, że byli Polakami.....24

Izabela Dudek
To też można nazwać szczęściem
Wspomnienia z lat 1939-1945.....28

Wiktor Szalaty
Poniewierka na nieludzkiej ziemi.....99

Bronisława Szalaty
Świadectwo mojego życia.....117

Maria Jankowiak
Na dalekich stepach Kazachstanu.....131

Walerian Nowaczyk
Nalot na Peenemünde.....161

Stefan Pluciński
Tragizm mojego dzieciństwa.....164

Bronisław Pluciński
Wyrwani z gniazda.....184

Klemens Matuszewski
W Obozie Jeńców Wojennych w Murnau /Oflag 7A/.....217

Mieczysław Chęciński
Nadrobić stracony czas.....232

Karol Niedziela
Okupacyjne losy Izydora Niedzieli - nauczyciela w Targowej Górce.....238

Zofia Spławska
Siła rodziny.....245

Franciszek Kordus
Wspomnienia z przeszłości, z lat wojny i okupacji.....254

Halina Sikorska - Grala
Sowiecka zbrodnia w Barczyźnie.....264

Refleksje.....273
Podziękowania.....274

Witold Przewoźny

Wojna - okrutny „test człowieczeństwa". Kilka impresji tytułem wstępu

Minęło ponad 70 lat od wydarzeń, które historia nazywa drugą wojną światową. Z tej perspektywy popularna wiedza o tamtych, strasznych czasach ukształtowana jest wokół podręcznikowych dat, układów linii frontów, wojennych kampanii i bitew, strategicznych decyzji mocarstw i układów, czy też podziałów politycznych, bohaterskich żołnierzy i nazistowskich, czy sowieckich oprawców. To historia pełna heroizmu, poświęcania, niewiarygodnego wręcz bohaterstwa a także trudnego do zrozumienia barbarzyństwa. Jednak jest to wizja jakby z lotu ptaka, z pewnego oddalenia i dystansu. Obraz, który znamy z polskich filmów i seriali, hollywoodzkich produkcji historycznych, literatury, jest jedynie skrótem – bardziej lub mniej wiarygodną impresją. Wojna – ta dziejowa tragedia, nabiera swojego właściwego kształtu, gdy wsłuchamy się w osobiste, jednostkowe opowieści tych, którzy przeżyli ten nieludzki czas. Przez wiele powojennych lat niezbyt chętnie chcieli o tym opowiadać. To zupełnie naturalna reakcja zamazania drastycznych doświadczeń, by ułożyć na nowo swoje życie, by za wszelką cenę nie „zarazić złym czasem" swoich dzieci czy wnuków. Jednak, gdy mijają lata, okazuje się, że te dawne wydarzenia, które zapamiętały osoby będące w czasie wojny dziećmi, jakby z otchłani wspomnień, wracają ze zdumiewającą szczegółowością. Stan ten znakomicie opisuje Izabella Dudek, jedna z autorek wspomnień z tej książki: *„… Nie skarżę się ani użalam, bo takich dzieci jak ja były dziesiątki tysięcy. Ale coś tam po każdym człowieku powinno pozostać […] Dzieci takie musiały stać się osobami dorosłymi, wydarto im dzieciństwo i kazano pracować na równi z osobami dojrzałymi. Musiały się nauczyć milczeć, zachowywać tajemnicę za wszelką cenę, a w razie potrzeby kłamać[…] Napisałam więc, jak potoczyło się moje życie w czasie okupacji, jednej z tysięcy sierot. Nikt do tej pory nie policzył, ilu ojców i ile matek oraz ich dzieci podzieliło los sześciu milionów Polaków, którzy stracili życie podczas ostatniej wojny. Cieszę się, że żyję…„*

Wojna to straszny czas, gdy po kilkudziesięciu sekundach spadająca bomba zamienia dom rodzinny, tę ostoję spokoju i bezpieczeństwa, w ruinę. Niszczy i zabija, a tych, którzy przeżyli, zamienia w tułaczy z workami uratowanych, przypadkowych przedmiotów. Od tego momentu zaczyna się czas niewiadomego jutra, codziennej walki o przeżycie, upokorzenia i gehenny wojennych tułaczek. To także pamięć o zaznanej pomocy dobrych ludzi – często przypadkowych i wcześniej nieznanych – niezależnie od miejsca, czy to w wagonie w trakcie deportacji, u Niemca, czy Rosjanina na dalekiej Syberii. Czasem to był jedynie uśmiech, podany kawałek chleba, słowa otuchy, a w innych przypadkach ratowanie życia i heroiczna walka, by zachować godność. Czas wojny to straszny egzamin z człowieczeństwa, którego tak wielu nie zdało. To czas bezmiaru okrucieństwa i zbrodni – najgorszych cech, które wojna bez usprawiedliwienia wyzwala. W tym gigantycznym chaosie dehumanizują się ludzkie odruchy i wszystko wydaje się dozwolone – by przeżyć, walczyć i mścić się. Wszelkie wypracowane normy ulegają dewastacji, a delikatne struny ludzkiej wrażliwości pękają w obliczu grozy codzienności. Jednostka, ze swoją indywidualnością i kreatywnością, imieniem

i nazwiskiem, staje się elementem masy stłoczonej w wagonach, obozach, czy miejscach przymusowego zesłania, bez nadziei i wiedzy co przyniesie kolejny dzień. To gigantyczny, straszny test, który przygotowują sobie nawzajem ludzie w dalszym ciągu w wielu miejscach świata, mając za nic doświadczenia milionów.

Większość autorów wspomnień ukazanych w książce było w 1939 roku dziećmi, które, ku swojemu zdumieniu, nie poszły 1 września do szkoły, nie spotkały się z przyjaciółmi i nie zdały relacji z letnich wakacji. Jednego dnia przestały mieć jakiekolwiek znaczenie ich marzenia, wiedza i talenty. Wymarzona przyszłość zamieniona została w tragedię teraźniejszości. Straciły bliskich, często domy, zabawki i ulubione maskotki – straciły dzieciństwo i młodość. W prawie każdej przedstawionej opowieści tracą ojca, kogoś bliskiego z rodziny, przyjaciół, których już nigdy nie zobaczą, a w trakcie kolejnych lat będą żegnać tak wielu! Świat staje się niezrozumiały, a na zadawane pytania **dlaczego???** nikt nie daje odpowiedzi. Każdy kolejny dzień, tydzień i miesiąc staje się szkołą przetrwania i poznawania bezmiaru okrucieństwa – absurdalności wojny.

Zebrane w książce wspomnienia mieszkańców okolic Nekli mają wiele wspólnych cech. Powtarzają się miejsca i wydarzenia opisywane z różnych punktów widzenia, wywołane z różnych zakamarków pamięci. Powtarzają się nazwiska zapamiętanych postaci – bohaterów tamtych lat – ludzi heroicznych i prawych – po prostu ludzi ze swymi normalnymi odruchami, za które tak często zapłacili straszną cenę. Są także nazwiska tych, którzy nie sprostali, nie udźwignęli ciężaru czasu, byli tymi, którzy denuncjowali, zabijali, okradali – byli wojennymi kanaliami. Co zdumiewa, wspominani są tak „na zimno", bez zbytniej nienawiści i żądzy zemsty. To naturalna cecha mądrości wspomnień wywołanych z tak dużym kontekstem przeżyć i doświadczeń oraz dystansu, który w wartościowy sposób filtruje prawdę tych okrutnych lat. Łagodzi drastyczność doznań, wytrąca broń zemsty i odwetu, by nie utonąć w rujnującej otchłani nienawiści i żalu.

I jeszcze jeden cytat z niezwykłych wspomnień innej autorki, Genowefy Knasiak: *„… często w rozmowach wracam do tamtych przeżyć. Jednak cały czas tkwią gdzieś one w nas, w naszych sercach, w naszej świadomości, jak zadra, która nie pozwala zapomnieć o zabranym nam dzieciństwie. Takie było moje życie. Wprawdzie to tylko stosunkowo krótki jego rozdział, jakże dla mnie ważny, bolesny i pozostawiający cierń na zawsze. Pamiętam wszystko."*

Genowefa Knasiak

Z Nekli na roboty przymusowe do Rzeszy
Wspomnienie mojego wojennego dzieciństwa

Genowefa Knasiak z domu Piotrowska. 17.08.1950 r.

Wrzesień 1939 roku. Pamiętam do dziś dni, w których skończyło się moje beztroskie dzieciństwo. Miałam wtedy osiem lat, czekała mnie druga klasa Szkoły Podstawowej w Nekli. Niestety, wybuch wojny przekreślił wszystko, nie tylko naukę. Ojca, jak i wielu innych mężczyzn, powołano do wojska. Ja, z mamą i o dwa lata młodszą siostrą, Ulą, zostałyśmy same. Kobiety w Nekli z niepokojem nasłuchiwały wiadomości z frontu, opowiadań uciekinierów znad granicy, których konne wozy w pierwszych dniach września pojawiły się w naszej miejscowości. Początkowo, chyba minęło już 10 dni wojny, nie widziałyśmy Niemców. Oglądałyśmy za to na niebie ławice samolotów lecących na wschód – niestety, z czarnymi krzyżami na skrzydłach.

Pamiętam też dzień, w którym w Nekli pojawili się Niemcy, z takim strachem wciąż oczekiwani. Samochody i motocykle z przyczepami, a w nich dziwne i straszne postacie, jakich nigdy dotąd nie widziałam. Byłam tylko dzieckiem, nie mogłam wiedzieć ani widzieć wszystkiego. Mama z pewnością próbowała oszczędzać nam okropności, ale jednak czegoś się dowiadywałam – przeważnie od nieco starszych kolegów i koleżanek. To na przykład, że już w pierwszym dniu Niemcy rozstrzelali pod moją szkołą kilku młodych ludzi, w tym harcerzy w mundurach. A na początku października kolejnych kilku wywieźli do pobliskiego Kostrzyna i tutaj, na rynku, także dokonali egzekucji. Tym razem była to grupa inteligencji, zebrana z całego powiatu Środa Wielkopolska, wśród nich nauczyciele z Nekli. Pamiętam moją rozpacz, gdy dowiedziałam się, że rozstrzelany tu został także pan Gerard Linke – kierownik naszej szkoły i mąż mojej nauczycielki.

W tym też czasie wreszcie chwila szczęścia. Z wojennej tułaczki powrócił ojciec, o którym nic od początku wojny nie wiedziałyśmy. Brudny, wychudzony, ale szczęśliwy, że znowu jesteśmy razem. To szczęście trwało jednak krótko, a nasza gehenna miała się dopiero zacząć. Wspomnieć muszę w tym miejscu, że w samej Nekli i w pobliskich wioskach – przede wszystkim w Nekielce i Małej Górce – mieszkało już przed wojną sporo Niemców. Byli przez te lata naszymi dobrymi sąsiadami, ale zmieniło się to z chwilą wybuchu wojny. Niektórzy z nich, jak mówiono, donosili gestapowcom na nekielskich nauczycieli i byłych

powstańców wielkopolskich (a mała Nekla wystawiła wówczas do powstania całą kompanię; był wśród nich i mój ojciec wraz z braćmi; jeden z nich poległ pod Szubinem). Wielu niemieckich bauerów, a także nowych, niemieckich zarządców, zaczęło też patrzeć zachłannie na co lepsze polskie gospodarstwa.

Naszą rodzinę również dotknęła niemiecka zawiść. Trzy lata przed wybuchem wojny przeprowadziliśmy się do nowego domu. Mój ojciec, Józef Piotrowski – z zawodu murarz – wybudował go własnoręcznie. Duży, murowany, piętrowy i otoczony sadem, był, jak na owe czasy, bardzo nowoczesny. Nic dziwnego więc, że właśnie nasz dom upatrzył sobie na swoją siedzibę jeden z Niemców. I tak wiosną 1940 roku wypędzono nas zarówno z tego domu, jak i rodzinnej miejscowości. Wraz z rodziną Silskich, podobnych do nas wygnańców z Nekli, wywieziono nas na dworzec kolejowy i załadowano do wagonu.

Pamiętam kilkudniowy pobyt w bydlęcym wagonie, a przede wszystkim kres tej podróży. Oglądałam przez małą szparę w ścianie wagonu inny świat. Po raz pierwszy byłam w dużym mieście. Okazało się, że jesteśmy w Berlinie. Zwożono tu Polaków – przyszłych niewolników, którym, tak jak nam, zabrano wszystko – z różnych stron Polski. W Berlinie przeszliśmy tzw. kwarantannę. Rozebrano do naga całe rodziny – kobiety, małe dzieci, wspólnie z mężczyznami. Ogolono nam głowy, spryskano jakimiś cuchnącymi płynami. Nie obyło się oczywiście bez krzyków, wyzwisk i szturchańców. A w tym piekle ja – przestraszone dziecko. Po kilku dniach przewieziono nas do miejscowości Rechdorf nad Odrą. Był to duży majątek ziemski – do dziś nie wiem, kto był jego właścicielem, nigdy go nie spotkałam.

Pamiętam moje zdziwienie i obrzydzenie, gdy pokazano nam nasze nowe „mieszkanie" na najbliższe lata (a może i do końca życia – któż to wtedy wiedział?). Był to długi, drewniany barak. Na dole znajdowała się chlewnia, a nas ulokowano na poddaszu. W podobnych „pokojach" mieszkało tam już kilka polskich rodzin. Podłoga była tak dziurawa, że pod nami ciągle widziałam, słyszałam i czułam świnie – naszych cuchnących współlokatorów. Pierwsze miesiące były nie do wytrzymania. Potworny odór nie dawał nam żyć, nie szło nic przełknąć, zbierało się na wymioty, bolały głowa i brzuch. Gdy wychodziłyśmy z siostrą na ulice wioski, niemieccy rówieśnicy odwracali się od nas z pogardą, mówiąc, że śmierdzimy jak polskie świnie. Nawiasem mówiąc, były to pierwsze niemieckie słowa, których się nauczyłam i które później towarzyszyły mi przez wszystkie te lata.

Rodzice pracowali w majątku, przede wszystkim w polu, od rana do wieczora, bez względu na pogodę. Ja na razie opiekowałam się młodszymi dziećmi, ale trwało to niedługo. W 1941 roku też musiałam pójść do pracy. Byłam chuda i niedożywiona, nie mogłam jednak za darmo jeść, jak mówili Niemcy. A przecież wyżywienie nasze niewiele różniło się od tego, które jedli nasi sąsiedzi z dołu chlewni. Cały jadłospis oparty był w zasadzie na burakach cukrowych. Jedliśmy z nich zupę, gotowaliśmy napój do picia i syrop do smarowania chleba. Syrop ten rodzice robili nocami, w obawie przed Niemcami. Zabraniali oni bowiem nam podobnego „luksusu" twierdząc, że zbyt dużo wychodzi na to buraków. Czasami nasze posiłki urozmaicone były liściem rabarbaru wyrzuconym przez Niemców na śmietnik lub tym, co udało się odebrać psom i kotom. Zapomniałam, jak smakuje cukier, chleb, mleko czy masło. Gdy w końcu przydzielono mnie do pracy w kuchni, moje życie trochę się zmieniło. Obierałam ziemniaki, paliłam w piecach, szorowałam przypalone gary, ale czasem udawało mi się uszczknąć coś do jedzenia – dla mnie i mojej rodziny. Robiłam to pod wielki strachem, bo nieraz mój chudy grzbiet zapoznał się z kijem niemieckich panów.

Bałam się, tak jak wszyscy, niezależnie od wieku i od tego, co robili. Szczególny strach budził zarządca majątku – Scherma (jak już wspomniałam, właściciela nikt nie widział). Był to jedyny młody mężczyzna w tej wiosce. Zawsze w czarnym mundurze, z pistoletem przy boku i pejczem w ręku. Przystojny blondyn, bardzo męski typ urody. Do tego, niestety, równie wielki okrutnik. Gdy oglądałam – w czasach już współczesnych – filmy wojenne i postacie hitlerowców, zawsze stawał mi przed oczami widok naszego zarządcy.

Pamiętam do dziś przeraźliwe krzyki pana Silskiego, naszego sąsiada z Nekli, bitego pejczem za niby niedoczyszczone konie. Albo strach mojego ojca – murarza. I nasz lęk o jego życie, gdy zarządca szukał go cały dzień, chcąc ukarać za rzekomo źle wykonaną pracę budowlaną. Ojciec ukrył się wtedy w stolarni majątku, pod ogromną stertą trocin. Przeleżał tam cały dzień i noc, czekając, aż zarządcy minie pierwsza złość. Po latach cały ten incydent mógł już nas nawet śmieszyć, ale jednocześnie do dziś uzmysławia, jak niewiele, jakie drobiazgi dzieliły człowieka od śmierci.

Nie wszyscy Niemcy byli oczywiście tak straszni, jak nasz zarządca. O ile pamiętam jednak, niewiele lepsi. Tyle, że nie bili, mniej krzyczeli czy poniewierali. A w najlepszym razie, zachowywali wobec nas całkowitą obojętność. Były też wyjątki od tej reguły – jak w późniejszej literaturze o tych czasach – tzw. dobrzy Niemcy. Poznałam dwoje takich. Byli to Frau Gertruda oraz Onkel Franz (wujkiem nazywały go nie tylko dzieci niemieckie lecz również i polskie). Niestety, oboje skończyli tragicznie.

Gertruda mieszkała w naszej wsi, w swoim domku z ogrodem. Była wyjątkowo piękną, stale uśmiechniętą kobietą. Wychowywała sześcioro dzieci, którymi czasem pomagałam jej się opiekować. Traktowała mnie dobrze, pozwalała się bawić, a nawet najeść i nie dawała odczuć, że jestem dzieckiem drugiej kategorii. Jej mąż służył w okupowanej Francji. I tak się złożyło, że w naszym majątku pracowało też kilku Francuzów – robotników przymusowych czy też jeńców wojennych. Mówiono po cichu, że Gertruda spotyka się z jednym z nich. Zresztą w takiej małej miejscowości nic nie dało się ukryć. Któregoś dnia przyjechało więc gestapo i zabrało gdzieś Frau Gertrudę oraz tego Francuza; prawdopodobnie do obozu koncentracyjnego. Nigdy już nie wrócili. Dwa dni później ściągnięto z Francji męża Gertrudy. Pamiętam, jak ładował dzieci na wóz i wywoził do swojej matki. Szlochał przy tym tak rozpaczliwie, że po raz pierwszy zrobiło mi się żal – Niemca w mundurze!

Natomiast Franz był właścicielem miejscowej oberży. Starszy, dobrotliwy, jowialny pan. W niczym nie przypominał typowego Niemca tamtych, wojennych czasów. Mówiło się, że lubi Polaków, a w każdy razie współczuje nam. W trudnych chwilach można było na niego liczyć. Często podrzucał do naszego baraku jakieś jedzenie, pomagał na różne sposoby. Po latach, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że po prostu lubił wszystkich ludzi i był zwyczajnie porządnym człowiekiem. Co sprawdziło się też w dniu jego śmierci. Ale o tym za chwilę.

Miesiące i lata katorżniczej pracy, głodu, strachu oraz mordęgi ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie przyszła wiosna 1945 roku. Zbliżał się front. Nocami słychać było dalekie dudnienie armat, a niebo na wschodzie coraz wyraźniej było rozświetlone łunami. Z pewną satysfakcją, pamiętając o polskich uciekinierach we wrześniu 1939 roku, obserwowałam, jak przez wieś przeciągają tabory uciekinierów niemieckich. W naszym majątku i wiosce też zrobił się popłoch. Większość Niemców opuszczała swoje domostwa i uciekała z dobytkiem na zachód. Pozostali tylko nieliczni. Wśród nich Franz.

Pamiętam dzień wyzwolenia. I ostatnich Niemców w mundurach. Było to dwunastu starszych, potwornie zmęczonych ludzi – tzw. dziadków z Volkssturmu. W panice, już bez broni, szukali na gwałt jakiegoś schronienia. Pomógł im, bo któżby inny, Onkel Franz. Ukrył w swojej stodole i nakarmił. Chwilę po nich do wsi wkroczyli pierwsi Rosjanie. Powitaliśmy ich z radością, jak wyzwolicieli. Był to konny zwiad – kilkunastu postawnych mężczyzn na potężnych koniach. Prawdopodobnie Kozacy, bo przecież na pewno nie tzw. Kałmucy czy inni Azjaci, których Niemcy bali się najbardziej. I wtedy zaszło coś, z czym do dziś trudno mi się pogodzić. Jeden z naszych, Polak, wskazał żołnierzom ową stodołę. Kozacy podpalili ją, a potem – było to przerażające – zaczęli strzelać do ratujących się z płomieni „dziadków". Wszyscy zginęli. Jeszcze bardziej przerażające było, gdy znaleźli właściciela stodoły, Franza, i rozstrzelali go pod murem jego własnej oberży. Na nic zdały się nasze prośby i tłumaczenia, że to dobry Niemiec.

Po tej egzekucji pomknęli na swych koniach dalej, na zachód. Natomiast nam, niedawnym niewolnikom, kazali szybko się stąd wynosić w przeciwnym kierunku. Cały czas toczyły się przecież w pobliżu ciężkie walki. Ruszyliśmy więc pieszo, z workami na plecach, w długą i niebezpieczną podróż do Polski, do rodzinnej Nekli. Zajęła nam ona jeszcze całe trzy miesiące. Wokół trwała przecież nadal wojna. Niektóre miejscowości kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. Często przez wiele dni siedzieliśmy w piwnicach zrujnowanych i opuszczonych domów, czekając, aż ogień walk trochę przycichnie. Czasem ktoś odważył się wyskoczyć na chwilę i przynieść jakiś ochłap końskiego mięsa. Albo brudnej, cuchnącej wody, w której pływały małe, czerwone robaczki. Pamiętam je do dziś, jak kręciły się na strzępie matczynej halki, przez którą próbowaliśmy tę wodę filtrować.

Najgorsze chwile, podczas których wielokrotnie żegnaliśmy się już z życiem, przeżyliśmy w ruinach dzisiejszego Gorzowa Wielkopolskiego. Dwa tygodnie przesiedzieliśmy w piwnicy jakiegoś zrujnowanego domu, gdy nad nami szalało piekło wojny. Nawet nie wiedzieliśmy, jakie to samoloty bombardują, jakie czołgi rozwalają domy. Gdy na chwilę ucichały strzały, wychylaliśmy się jak duchy z ukrycia i patrzeliśmy na zgliszcza domów i sterty trupów okropnie okaleczonych żołnierzy oraz mieszkańców miasta.

Nie zapomnę nigdy dnia, w którym do naszej piwnicy wpadło kilku pijanych żołnierzy radzieckich. Udało nam się jakoś im wytłumaczyć, że jesteśmy Polakami i wracamy z niewoli. Wreszcie postrzelali na oślep w strop i poszli. Niestety, zabrali ze sobą kilka młodszych kobiet. Co z nimi robili, teraz już wiem, a i wtedy też się chyba domyślałam. Później jedną z nich znaleźliśmy powieszoną w sąsiedniej piwnicy. Podejrzewaliśmy, że sama odebrała sobie życie. Natomiast piękne bliźniaczki z Warszawy już nigdy nie wróciły do nas. Ich matka oszalała z rozpaczy i została w Gorzowie, przeszukując całymi dniami i nocami jego gruzy.

Pamiętam też dzień, kiedy Marysi – mojej koleżance z niewoli – jakiś zbłąkany pocisk obciął obie nogi powyżej kolan. Umierała na rękach swojej matki i moich. Po tym wydarzeniu wydawało mi się, że to już koniec, że ja też nie przeżyję. Płakałam, modliłam się, byłam ledwo żywa ze strachu. Ale ręce rodziców ciągnęły mnie dalej – w stronę Nekli, w stronę rodzinnego domu.

Innym znów razem zatrzymał nas oddział żołnierzy radzieckich i zmusił do przerwania naszej wędrówki. Musieliśmy zaopiekować się stadem zarekwirowanego bydła. Doiłam więc krowy, karmiłam je i poiłam, ale za to poczułam wreszcie smak mleka, który przez te pięć lat już zapomniałam.

Wreszcie, po wielu podobnych perypetiach, udręczeni, ale i szczęśliwi, dotarliśmy do Nekli i weszliśmy do naszego wytęsknionego domu. Jakież było nasze zdziwienie, gdy ujrzeliśmy, że jest on zasiedlony przez obcych ludzi. Okazało się, że po ucieczce Niemców nowe władze oddały dom rodzinom, których wojna pozbawiła dachu nad głową. Bo też nikt w Ne-kli wówczas nie przypuszczał, że po tylu latach wojny uda nam się powrócić z wygnania. Ktoś nawet doniósł, że widział nasze trupy w zbombardowanym Gorzowie.

Serce pękało więc z żalu, że po latach ciężkich przeżyć znowu nie mamy gdzie mieszkać. Wreszcie, po kilku dniach starań, próśb i gróźb, zwolniono dla naszej rodziny choć jeden pokój.

Ocaleliśmy, byliśmy razem, znowu w swoim domu – i tylko to się liczyło. W ciągu następnych miesięcy i lat wyprowadzały się od nas kolejne osoby i w końcu zaczęliśmy żyć normalnie. Ojciec wrócił do swego murarskiego zawodu, pracował od rana do nocy. Matka opiekowała się domem. Ja z siostrą nadrabiałyśmy w szkole stracone lata dzieciństwa. Jakaż była moja radość, gdy siadłam znowu w szkolnej ławce i ujrzałam moją dawną nauczycielkę, panią Linke – Kordus.

Mijały lata. Wyszłam szczęśliwie za mąż, urodziłam troje dzieci, doczekałam się wnuków. Pogodziłam się ze swoją przeszłością. Nie winię już dziś nikogo za swoje wojenne dzieciństwo, nie czuję też nienawiści do Niemców. W końcu wyrosły w tym czasie dwa lub trzy nowe pokolenia, świat się zmienił nie do poznania. Dla moich wnuków, którym czasami opowiadam o swoich wojennych przeżyciach, jest to tylko odległa historia. Może nawet myślą sobie po cichu, że babcia znowu „przynudza".

Rodzice moi już dawno zmarli, pozostała tylko siostra, Ula, z którą często w rozmowach wracam do tamtych przeżyć. Jednak cały czas tkwią gdzieś one w nas, w naszych sercach, w naszej świadomości, jak zadra, która nie pozwala zapomnieć o zabranym nam dzieciństwie.

Przed laty, chyba pół wieku po wojnie, odważyłam się wybrać wraz z siostrą w swoistą podróż do przeszłości, by wreszcie stawić czoła naszym okropnym wspomnieniom. Pojechałyśmy do Rechdorf; teraz jest to już polska miejscowość – Chojna. W jej pobliżu odnalazłyśmy nasz dawny folwark. Ruiny, zdewastowane budynki, chwasty. Pozostałości zlikwidowanego PGR-u. Naszego baraku – chlewni, nie odnalazłyśmy. Stał natomiast jeszcze stary budynek oberży „dobrego Niemca" Franza. Objęłyśmy się z siostrą i długo stałyśmy w milczeniu, wspominając nasze wojenne dzieciństwo i naszych rodziców, dzięki którym udało się nam to wszystko przeżyć.

Takie było moje życie. Wprawdzie to tylko stosunkowo krótki jego rozdział, jakże dla mnie ważny, bolesny i pozostawiający cierń na zawsze. Pamiętam wszystko.

Nekla, w styczniu 2008 r.

***Genowefa Knasiak, z domu Piotrowska**, ur. 29 .09. 1931 w Nekli, córka Marii i Józefa. Wiosną 1940 r. wywieziona z rodzicami i siostrą na roboty przymusowe do III Rzeszy. Po powrocie z niewoli uzupełniła wykształcenie podstawowe, a później zawodowe. Od 1950 w związku małżeńskim ze Stanisławem Knasiakiem (1922-2011), z którym prowadziła warsztat krawiecki. Aktywnie udzielała się w miejscowym kole Ligi Obrony Kraju i nadal jest członkiem tej organizacji. Mąż Stanisław był wieloletnim prezesem nekielskiego koła Związku*

Kombatantów i Byłych Więźniów Politycznych. Matka trojga dzieci: Ewy, nauczycielki, Haliny, pielęgniarki i Grzegorza, oficera WP.

Rechdorf 1941. Autorka wspomnień z siostrą Urszulą.

Nekla 1939. kl.1. p. Linke . Autorka wspomnień 3 rzad od góry, pierwsza z prawej

Autorka wspomnień z siostrą i rodzicami, 1942 r.

Starszy ułan Franciszek Nowakowski

Starszy ułan Franciszek Nowakowski, syn Marcina i Katarzyny Marciniak, urodził się 7 marca 1898 r. w Rostworowie, pow. Poznań Wschód. Służbę wojskową odbył w armii pruskiej w 2 Pułku Dragonów w Schwedt n/Odrą . W latach 1918-19 rodzice i rodzeństwo mieszkali w Barczyźnie k/Nekli. Nieznane są okoliczności wstąpienia Franciszka Nowakowskiego do Wojska Polskiego. Mogło to nastąpić wskutek przejścia z oddziałów powstańczych lub z poboru do 2 Pułku Ułanów Wielkopolskich, formowanego w Biedrusku, przemianowanego następnie na 16/2 PUW.

Franciszek Nowakowski z Barczyzny ur.1898 w okresie służby w 2 Pułku Dragonów w Schwedt nad Odrą. 1916 lub 1917 r.

Wraz z pułkiem uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. Dowodem służby w tym pułku jest ocalona fotografia, przedstawiająca żołnierzy w barwach 16 Pułku Ułanów Wielkopolskich. Jego imię i nazwisko figuruje także na liście rannych żołnierzy pułku, opublikowanej w monografii 16 PUW. 14 lipca 1921 r. w stopniu starszego ułana został zwolniony ze służby i przeniesiony do rezerwy. Przybył do rodziców mieszkających w tym czasie w miejscowości Przyborówko k/Wierzyc, dokąd przeprowadzili się z Barczyzny 30 września 1919 r.

W 1928 roku Franciszek Nowakowski ożenił się z Rozalią Błaszak, córką włodarza majątku w Opatówku. Pod aktem zawarcia ślubu cywilnego w Nekli w dniu 17 lutego 1928 roku widnieją podpisy Andrzeja Hadady z Nekli, jednego z bardziej znanych powstańców kompanii nekielskiej w powstaniu wielkopolskim oraz Józefa Szumigały z Brzeźna. Ślub kościelny odbył się w Opatówku 19 lutego 1928 r. Świadkami byli Kacper Rogaliński ze Stroszek i Joanna Grempka z Opatówka. W małżeństwie Franciszka i Rozalii urodziło się siedmioro dzieci, 6 córek i syn. Zmienne koleje losu sprawiły, że rodzina zamieszkiwała w różnych miejscowościach powiatów gnieźnieńskiego i chodzieskiego, by w czerwcu 1939 r. osiąść na własnym, zakupionym gospodarstwie w Janowie, dzisiaj część Padniewa, w powiecie mogileńskim.

Nie było dane rodzinie zaznać szczęścia „na swoim". Poczucie obywatelskiego obowiązku sprawiło, że po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. ochotniczo wstąpił do tworzonej przez starostę mogileńskiego Straży Obywatelsko-Porządkowej. Z niskich pobudek wydany przez Polaka w ręce gestapo. Za posiadanie broni został aresztowany, krótko więziony w klasztorze mogileńskim i rozstrzelany w zbiorowej egzekucji w Świerkówcu k/Mogilna. Żona z szóstką małych dzieci wyrzucona z gospodarstwa, musiała szukać pomocy i schronienia u rodziców i krewnych w okolicach Wrześni.

Tragiczne losy rodziny we wrześniu 1939 r., podczas okupacji i po jej zakończeniu oraz niełatwe warunki życia w okresie PRL-u nie sprzyjały przekazywaniu historii rodzinnej. Zabrakło też osób, które mogły przekazać szczegółową wiedzę.

Badania genealogii rodzinnej podjęte ponad 70 lat po śmierci Franciszka Nowakowskiego oraz wspomnienia jego córki, Wandy Sobczyńskiej, pozwoliły na odsłonięcie historii rodzinnej, skrywanej w mrokach przeszłości.

Krystyna Osypiuk, wnuczka Franciszka Nowakowskiego

Żołnierze 16 Pułku Ułanów Wielkopolskich.
Franciszek Nowakowski klęczy obok kancelisty z dokumentami.

Wanda Sobczyńska

Okupacyjne losy naszej rodziny

Urodziłam się w roku 1937. Miałam skończone dwa lata gdy wybuchła wojna. Mógłby ktoś pomyśleć, co taki brzdąc może pamiętać, a jednak…

Wybuchu wojny i mojego Taty nie pamiętam. Dopiero wydarzenia z późniejszych lat mam zakodowane w mojej głowie do dziś.

Tatę poznałam z opowiadań mamy i starszego rodzeństwa. Było nas siedmioro dzieci. Najstarsza siostra Irena, Bronisława, Marian, Janina (zmarła w wieku 8 miesięcy), Anna, Bożena i ja, Wanda.

Wanda z Nowakowskich Sobczyńska, autorka wspomnień

Z opowiadań mamy i rodzeństwa

Rodzice Franciszek i Rozalia z Błaszaków Nowakowscy byli wspaniałymi ludźmi. Sami nie mieli lekkiego życia. Ciągłe przeprowadzki. Od Górnego Śląska (Radziejów k/ Rybnika) przez Kowalewo w gm. Mieleszyn, Dębnicę k/ Kłecka, Prosnę w gm. Bytyń w pow. Chodzież, po Padniewo k/Mogilna, gdzie w 1939 r. kupują własne gospodarstwo. Niedługo dane im było spokojnie żyć. Można powiedzieć, że spokoju tam nie mieli, ponieważ w kupionym gospodarstwie jeszcze mieszkał dotychczasowy dzierżawca nazwiskiem Kurzeja. Ponieważ nie miał dokąd się przeprowadzić, rodzice pozwolili mu mieszkać do czasu poszukania nowego lokum. W takiej sytuacji p. Kurzeja nie spieszył się z przeprowadzką, ale za to się „pięknie" odwdzięczył. Opiszę dalej, co wiem w tej sprawie.

Wojna zastała p. Kurzeję i moich rodziców nadal w tym samym gospodarstwie. W obliczu niebezpieczeństwa i zagrożenia ze strony miejscowych Niemców i zbliżających się wojsk hitlerowskich, chłopi z okolicznych wsi wstępowali ochotniczo do organizowanego oddziału samoobrony. Tato zgłosił się jako jeden z pierwszych, a że był dzielnym człowiekiem, dowiecie się w dalszej części moich wspomnień. Gdzie był ich punkt zborny, tego nikt nie wiedział. Pewnego dnia znaleźli się w pobliżu naszego gospodarstwa. Chcąc wykorzystać trzy dni, które były przeznaczone na postój w tej okolicy, Tato, po uzgodnieniu z przełożonym i kolegami, nocą wrócił do domu. Chciał w tym czasie wymłócić zboże, aby mama miała czym karmić zwierzęta i aby mieć mąkę na chleb dla nas. Praca zajęła mu dwa dni. Trzeciego miał powrócić do swoich współtowarzyszy. Stało się inaczej. Nasz sąsiad nie spał. Od początku wojny zdążył dużo „zdziałać". Wpisał się na tzw. Volkslistę, skupiającą sprzedawczyków Polski i Polaków. W ciągu tych dwóch dni zdążył zawiadomić hitlerowców o powrocie Taty do domu. Nazmyślał niewiarygodnych bzdur, które nie miały pokrycia w rzeczywistości. Rezultat był taki, że gestapo zdążyło przybyć na czas i aresztować Tatę.

Mama z niecierpliwością wyczekiwała powrotu Ojca. Wychodziła razem z nami na drogę prowadzącą do Mogilna i tam całymi godzinami wypatrywaliśmy powrotu Taty. Na próżno. Nigdy nie wrócił. Natomiast Kurzeja z ironicznym śmiechem zwracał się do mamy „Nowakowska, nie wypatruj. Jemu już pod mostem leje się woda uszami". Po trzydniowym areszcie w mogileńskim klasztorze wszyscy aresztanci, wśród nich Tata, zostali rozstrzelani w Świerkówcu k/Mogilna.

Wkrótce naszą posiadłość zajęli gospodarze niemieccy. Musieliśmy opuścić dom w krótkim czasie, zabierając ze sobą tylko niezbędne rzeczy. Wszystko, co posiadali rodzice, pozostało na miejscu. Wyprowadziliśmy się do rodziców mamy, mieszkających w tym czasie w Królewcu, pomiędzy Witkowem a Wrześnią. Tam, w jednym, niewielkim pokoju z kuchenką, w której podłogę stanowiło gliniane klepisko, mieszkali babcia z dziadkiem, siostra i brat mamy, bratanek i nas siedmioro. Łącznie dwanaście osób. Nie było luksusów. Spanie po trzy osoby w jednym łóżku.

W swojej opowieści nie wymieniam dat, bo po prostu ich nie pamiętam.

Kolejnymi wydarzeniami była przeprowadzka sióstr: dziesięcioletniej Ireny do brata mamy, Józefa Błaszaka w Nadarzycach k/Wrześni i siostry Bronisławy do siostry mamy, Heleny Dzierżyńskiej, w Nowej Wsi k/Wrześni. Już trochę się rozluźniło. Cała rodzina pracowała u niemieckich właścicieli majątku. Jaki był jego obszar, nie wiem. Pałac był okazały, z wygodami. Własna elektrownia, mnóstwo krów i koni. Ziemia urodzajna. Właścicieli lub administratorów było dwóch. Pierwszy był znacznie lepiej usposobiony do Polaków niż drugi. Dziadek nasz, Antoni Błaszak, pracował na stanowisku włodarza. W Królewcu było dwóch włodarzy: Serdyński i Błaszak. Nie wiem, ilu mieli ludzi pod swoim nadzorem. Oprócz zameldowanych w tej miejscowości była grupa dziewcząt skierowanych do prac przymusowych. Wszystkie mieszkały w jednym pokoju i spały na piętrowych pryczach.

Zdarzały się chwile, w których zapominało się o okupacji. Mieliśmy w domu własną orkiestrę. Wujek Kazimierz Błaszak i kuzyn Bolesław Błaszak grali na instrumentach, będących własnością dziadka; akordeonie, klarnecie i perkusji. Wujek potrafił grać na wszystkich instrumentach, natomiast kuzyn na klarnecie i perkusji. W wolnych chwilach grali w domu, tupiąc przy tym dybami o podłogę. Strasznie działało to dziadkowi na nerwy. Miał ochotę wyrzucić te instrumenty. Jeśli była odpowiednia pogoda, w niedzielę po południu dziewczyny sprzątały na placu przy chlewiku i odbywały się potańcówki. Wyglądało to nieźle. Dziewczęta tańczyły przeważnie bez partnerów. Starsi mężczyźni nie brali w tym udziału. Kawalerów nie było, a młodzi chłopcy, jak mój brat i jego koledzy „podpierali mury". Bawiły się za to małe dziewczynki.

Lato. Siedziałyśmy na kępach trawy ze starszą o dwa lata siostrą Bożeną. W pewnym momencie nadjechał tabor cygański. Oczywiście chcieli wróżyć, ale nie było chętnych. Rozproszyło się to cygańskie bractwo. Interesowali się kurami i warzywami w ogródkach. Jedna z cyganek zainteresowała się siostrą Bożeną. Co do urody, byłyśmy zupełnymi przeciwnościami. Ona czarna, ja biała. Obydwie miałyśmy kręcone włosy. Cyganka narobiła szumu, że to ich dziecko. Pozostali jej pomogli i moja siostra znalazła się na cygańskim wozie. Natychmiast odjechali. Narobiłam krzyku. Szczęście, że była przerwa obiadowa. Mężczyźni i mama byli w domu. Cyganie nie jechali szybko, gdyż ich konie były słabe. Ujechali może kilometr, gdy zostali zaatakowani przez mężczyzn, którzy rzucili się na odsiecz. Z wielkim trudem udało się odebrać dziecko. Mama przez dłuższy czas nie mogła wrócić do równowagi.

W odległości około półtora kilometra od Królewca znajduje się Stanisławowo. Nie mogliśmy tam chodzić, gdyż znajdował się tam niemiecki sztab wojskowy. Potrzebne było specjalne pozwolenie. Natomiast w oddalonym o 2 kilometry Mierzewie była jeszcze większa tajemnica. Co tam było – nie wiem. Duży pałac za wysokim metalowym płotem. Wokół stała niemiecka straż wojskowa. Byłam tam, ale po przeciwnej stronie drogi. Jeszcze miejscowość Borzykowo. Bywaliśmy tam, gdyż w tej miejscowości mieszkał brat mamy, Ignacy Błaszak. W Czajkach widoczny był tylko dach jakiejś stodoły, krytej słomą. To był cały świat, w którym przebywaliśmy przez całą okupację.

Każdej rodzinie wolno było trzymać jedną krowę i jednego świniaka na rok. Odbywały się kontrole, w zainteresowaniu których znajdowały się właśnie świnie. Ile razy przyszli do mamy, to zawsze świniak był mały. „Co to, Nowakowska, te świnie wam nie rosną"? Odpowiedź mamy była zawsze jednakowa: Nie mam czym karmić! Duży świniak był już zjedzony, a na jego miejsce rósł mały. Kontrolerzy z pewnością wiedzieli, co się dzieje. Króliki też były hodowane, pod warunkiem, że ktoś miał miejsce na postawienie klatek. Drzew i krzewów owocowych Polacy nie mieli. Dzieci nie wiedziały, jak smakują jabłka. Przez całą okupację zjadłam tylko jedno jabłko – papierówkę, która rosła u pań Staniszewskich, przyjaciółek naszej mamy. Nieraz tam chodziliśmy. One nie mieszkały w barakach. Nie myślcie, że dzieci tylko bawiły się. Pracowaliśmy, gdzie tylko się dało: przy zbiorze truskawek, za które dostałam straszne cięgi od pilnującego nas mężczyzny. Wolno nam było zjeść po jednej truskawce. Zjadłam dwie, co zauważył. Tak mnie sprał, że miałam kłopoty z powrotem do domu. Zawożono nas na plantacje mleczu, znajdujące się daleko od domu. Zbierałyśmy pyłki kwitnącego mleczu. Powiadano, że zbieramy kauczuk. Do dziś nie wiem, czy to jest składnik kauczuku. Była to praca w skwarze słonecznym, bez kropli picia. W żniwa dzieci musiały wyzbierać wszystkie kłosy leżące na ziemi. Wykopki. Tu było już nieco inaczej. Szłyśmy z siostrą Bożeną i mamą w pole. Odmierzano nam odpowiedni odcinek. Zbierałyśmy. Mama odnosiła kosze. Za naszą pracę miała dopisywane pół dniówki.

Ania z Marianem chodzili do szkoły. Po południu do pracy. Dostałyśmy przydział na oddzielne mieszkanie. Mama bardzo się ucieszyła, że nie będzie ciężarem dla dziadków i rodzeństwa. Mogła wreszcie sprowadzić Irenę i Bronię do domu. Było to jedno pomieszczenie z małą sienią. Powróciły Irena z Bronią. Irena miała dobrze u wujka Józefa.

Siostrzyczki wróciły. Byliśmy w komplecie. Zaraz musiały iść do pracy. Mama została zatrudniona do gotowania zupy dla robotników, którzy sezonowo pracowali przy melioracjach wodnych. Oczywiście musiała gotować grochówkę w pomieszczeniu, w którym mieszkaliśmy. Nad piecem był duży okap, więc pary ani zapachów nie było. Nie wiem, ilu było tych pracowników. W każdym razie dużo. Razem z Bożeną codziennie obierałyśmy duże wiadro ziemniaków do tej zupy. Miało to złe i dobre strony. Nie dosyć, że oni się najadali to i nam kawałek mięsa lądował w żołądku. Bywały dni, że pod osłoną nocy mama zanosiła grochówkę dziadkom i dziewczynom z nakazem pracy.

Brat, Marian, zimą był zatrudniony przy pilnowaniu kolb kukurydzy, złożonych w specjalnych konstrukcjach metalowych, przypominających kształtem stogi. Miał chronić kukurydzę przed wronami. Największą wroną był mój brat. Nosił długi płaszcz, który pod podszewką miał naszyte wielkie kieszenie. Niewiele było takich dni, aby nie przyniósł do domu kukurydzy, z której na młynku robiono kaszę, a z niej wypiekano placki na płycie

kuchennej. Cała rodzina, łącznie z dziadkami, nie cierpiała głodu. Jaka odwaga małolata? Przecież wracał z łupem, przechodząc koło pałacu.

Irena i Bronia wprowadziły w Królewcu jeszcze jedną atrakcję kulturalną. W wolnych chwilach, zwłaszcza wieczorami, w towarzystwie jeszcze kilku dziewcząt chodziły po drodze (była to mała wieś ze zwartą zabudową) i śpiewały piosenki jakie znały. Prowodyrem tej grupy była Irena. Silny, ładny głos dominował nad pozostałymi. Na początku nie chciały zbliżać się do pałacu. Po pewnym czasie właściciel przysłał gońca z poleceniem, ażeby przychodziły pod pałac ze śpiewem. Bywały dni, że nie miały ochoty na śpiew, a tu znowu goniec z pytaniem, dlaczego nie śpiewają? Widać, że i Niemcom brakowało kultury…

Zdarzyło się to za czasów drugiego zarządcy majątku, tzw. Treuhendera.

Docierały już pogłoski o rychłym końcu wojny. Zakończyły się już prace polowe. Większość ludzi przebywała w domu. Siąpił drobny deszcz. Dziadek Antoni, pełniący funkcję włodarza w królewieckim majątku, zawsze lubił ład i porządek. Po południu, w tym dżdżystym dniu, zarządził sprzątanie przed oborą, w której znajdowały się krowy polskich robotników. Stałam w oknie pokoju babci , które znajdowało się naprzeciw tej obory. Robotnicy żartowali, śmiali się, można powiedzieć, że byli zadowoleni. Dziadek zauważył, że od strony Stanisławowa zbliża się bryczka z niemieckim oficerem. Dał ludziom znak, aby się uciszyli. Nawet krzyknął na nich. Wśród robotników znajdowali się dwaj uciekinierzy, którzy ukrywali się w oborze, przykryci snopami słomy. Wszyscy Polacy o nich wiedzieli, zanosili im jedzenie. Uciekinierzy, widząc mundur niemiecki, zaczęli uciekać. Tym niemieckim oficerem okazał się syn zarządcy. Zorientował się, że wśród robotników znajdują się obcy. Zdradziły ich mundury i zachowanie. Zrobiło się straszne zamieszanie i trudno było się zorientować czy zdążyli uciec. Ofiarą tego zajścia stał się dziadek, Antoni Błaszak, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Został postrzelony przez oficera, a następnie zmasakrowany. Żył jeszcze, gdy przyniesiono go do domu. Na całym ubraniu widać było krew zmieszaną z błotem. Następnego dnia dziadek zmarł. Nie pamiętam, czy jeszcze ktoś z rodzeństwa był w tym czasie u dziadków. Na pogrzebie nie byłam. Nie wiedziałam, na którym cmentarzu został pochowany. Później się dowiedziałam, że w Jarząbkowie. Następnego dnia chłopi zorganizowali się i poszli z wizytą do dziedzica. Nastawieni byli, aby w jakiś sposób zemścić się na synalku, ale niestety, tchórz pod osłoną nocy zdążył zwiać. I na tym skończyła się zemsta.

Nie pamiętam, ile upłynęło dni czy może tygodni. Pamiętam, jak do Królewca wkroczyło wojsko wyzwoleńczej armii, czyli radzieckie.

Niektórzy na koniach, chyba oficerowie. Jakaś furmanka z prowiantem, reszta piechotą. Miało się ku porze wieczorowej, gdy przybyli z wielkim hałasem. Wszędzie było ich pełno. Lokowali się sami, gdzie im się podobało. Rozpalili wielkie ognisko w pobliżu naszego mieszkania, znajdującego się w budynku przy drodze do Stanisławowa, skąd przybyli. Przywieźli ze sobą bardzo dużą ilość bimbru, do którego potrzebowali młodych prosiaków. Nie było z tym problemu, gdyż znaleźli je w oborach majątku. Piekli je na ognisku i po domach. Po wypiciu bimberku i spożyciu prosiaczków rozpoczęła się obława na panny i młode mężatki, Było to już dość późnym wieczorem. Biedne, jak one w tym dużym śniegu uciekały po polach przy blasku księżyca. Najgorzej ucierpiały dziewczyny z przymusowych robót. Mówiono na drugi dzień, ile zostało zgwałconych. Nie wiedziałam wówczas, co znaczy słowo gwałt. Z tymi, którzy upodobali sobie nasze mieszkanie, mieliśmy okropny kłopot. Żołnierze najedzeni i napici spali spokojnie na słomie rozścielonej na podłodze. Natomiast oficer, który

był z nimi, okazał się natrętnym gadem. Przez niego cała rodzina nie spała. Szczęście, że mnie i siostry Ani nie zastrzelił. Pilnowałyśmy naszą siostrę, Irenę. On gasił światło, Ania zapalała, nad jej głową był kontakt. Chciał na czwartego wejść do łóżka. Nogami zapierałam się o ścianę i natręt lądował na podłodze. Był moment krytyczny. W końcu osiągnęłyśmy cel. Zmorzył go sen i poszedł spać na podłogę.

Na skutek tego ohydnego najazdu wojsk wyzwoleńczych mogliśmy mieć śmierć w rodzinie. Nasz kuzynek, Bolek Błaszak, miał wówczas może 16-17 lat. Jak to młodzik, razem z koleżkami dołączył do braci ze wschodu, którzy raczyli się bimbrem. Tak głuptasa spili, że alkohol zapalił się w jego organizmie. Starszyzna z wioski i medyk, którego mieli ze sobą, zdecydowali, że jedynym lekarstwem będzie mocz ludzki. Przed śmiercią uratowała Bolka moja siostra Bronia, która tej feralnej nocy grała rolę żony wujka Kazimierza. Miała dużo szczęścia, chroniąc się u babci i wpadając na taki pomysł. Dla ruskich byli małżeństwem. Na drugi dzień rano wojsko sowieckie opuściło Królewiec, zostawiając za sobą spustoszenie.

Nasz wujek, Kazimierz Błaszak, był dla nas i naszej mamy jednym z najlepszych opiekunów. Zorientował się, że już ludzie wracają do swoich pozostawionych gospodarstw. Nie było już Niemców ani Rosjan. Po uzgodnieniu z mamą postanowił najpierw sam pojechać do Janowa k/Padniewa, by zbadać sytuację, czy będzie jeszcze do czego wracać. Nie wiem, czym pojechał, ale odległość między Królewcem a Padniewem wynosi ok. 40 km. Nie było go dwa dni. Mama już się bała, że wujkowi przydarzyła się jakaś przykra sprawa. Wrócił i to z dobrą wiadomością. Okazało się, że gospodarstwo jest w dobrym stanie. Była tam jeszcze służąca, Polka z Duszna, która pilnowała i karmiła zwierzęta. Tak jak w pośpiechu opuszczaliśmy dom, tak w pośpiechu wracaliśmy do naszej posiadłości. Wyjazd z Królewca nastąpił następnego dnia, bardzo wcześnie. Zabraliśmy tylko niezbędne rzeczy. Wujek podjechał wozem, zaprzężonym w dwa piękne kasztany, wypożyczone z majątku. Nikomu nie mówił, jak to załatwił. Były to konie, którymi zwykle pracował w polu. Koniec stycznia 1945 roku, dzień nieco dłuższy. Nie mam pojęcia, przez jakie miejscowości jechaliśmy. Na niektórych odcinkach było dużo śniegu, na innych nie było wcale. Mróz niezbyt silny. Dojechaliśmy szczęśliwie do Wydartowa, skąd do naszego domu pozostawały trzy kilometry. Musieliśmy tylko przejechać przez miejscowość Izby. Między Wydartowem a Izbami droga biegnie dość głębokim wąwozem, zawsze trudnym do przejechania. Minęliśmy już wąwóz, nagle dopędził nas niewielki oddział sowiecki. Wysiadka, kto żyw, z wozu. Splądrowali wóz. Interesowały ich kożuchy i zegarki. Kożucha żadnego nie było, a złoty zegarek, jedyna pamiątka po naszym Ojcu, ukryty był pod podszewką w świątecznej czapce mamy. Przebywał tam przez całą okupację. Nie znaleźli go. Łupem naszych „sojuszników" stały się konie. Trzeba było zobaczyć jak im do nich się gęby śmiały. Za dwa piękne kasztany zostawili nam jedną karą kobyłę. Ledwo trzymała się na nogach. Cała w obrzydliwych końskich parchach. Nie miała siły ciągnąć pustego wozu, nie mówiąc o nas. Śnieg był tu duży, droga polna, rzadko uczęszczana. Nic nam nie pozostało, jak zamienić się w konie. Było nas osiem osób. Gdzie kto mógł, pchał, ciągnął. Tak dotarliśmy do domu, do którego pozostało półtora kilometra. Był już bardzo późny wieczór, a my szczęśliwi, że wreszcie jesteśmy w domu.

Nazajutrz wyjechała służąca, dostając od mamy drób, owce i jedną krowę. Przyjechał po nią brat. Później dowiedzieliśmy się, że przez cały poprzedni dzień wywoziła, co chciała. Wujek jeszcze przez kilka dni był z nami. Musiał wracać, bo w Królewcu pozostała babcia, siostra mamy i kuzyn Bolek.

Można by powiedzieć, że koniec wojny. Tak, wojna się skończyła. Dla nas rozpoczęła się walka o przetrwanie.

Jedyną datą, którą zapamiętałam to 14 lutego 1945 roku, mniej więcej dwa tygodnie po naszym powrocie do Padniewa. Noc, godzina 4 nad ranem. Budzi nas rozpaczliwy krzyk mamy „Dzieci, uciekajcie! Palimy się!" Spałam z mamą od strony podwórka. Potężna łuna. Palą się budynki gospodarcze. Wszyscy, jak na komendę, znaleźli się w tym pokoju, ale co począć dalej? Nie wiemy. Duża stodoła, obora, szopa kryte słomą. Wszystko się pali. Jedna wysoka pochodnia. Po jakimś czasie zaczęli przybywać okoliczni gospodarze. Oni wiedzieli, co trzeba robić. Przede wszystkim ratować zwierzęta. Dzięki dobrej, żelbetonowej konstrukcji sufitu w oborze i stajni, ogień jeszcze nie przedostał się. Dymu było bardzo dużo ale mężczyźni zaczęli wyprowadzać krowy, które dość chętnie wychodziły. Gorsza sprawa była z naszą kobyłką, która ze stajni za nic nie chciała wyjść. Została siłą wypchnięta. Kury zostały powyrzucane na podwórko ale część się udusiła. Część świń ocalała, ale te, które były po drugiej stronie, pod szopą, wraz z królikami spaliły się doszczętnie. Żal było patrzeć na te zwierzęta, skaczące w ogniu. Straż pożarna nie dotarła, bo niby skąd ?

Pożar oglądali ludzie z połowy powiatu mogileńskiego, a to dlatego, że nasze gospodarstwo położone jest w najwyższym punkcie w całej okolicy.

Narzędzia, maszyny rolnicze, pojazdy - spłonęły. Nie zostało nic. Krowy zostały wypędzone z podwórka. Siedem sztuk. Zaczęły sobie radzić same. Poszły drogą w stronę wioski. Ludzie wpędzali je do własnych obór. Karmili i doili. Doiliśmy tylko jedną krowę, która znajdowała się najbliżej, ok. 200 metrów od naszego gospodarstwa. Nie mieliśmy dla nich paszy.

Wszystko wskazuje na to, że sprawcą pożaru był wspomniany na początku Kurzeja. Na kilka dni przed pożarem pojawił się w Padniewie i przebywał u p. Kowalskiego, który przed wojną nie był znany. Po pożarze niektórzy opowiadali, że widzieli nocą kogoś kręcącego się z latarką naftową wokół budynków gospodarczych. Myśleli, że to ktoś z nas. Następnego dnia nikt Kurzei już nie zobaczył. Dom mieszkalny nie spalił się dzięki temu, że wiał wtedy dość silny wiatr w przeciwną stronę. Szczęście w nieszczęściu.

Taka sytuacja trwała do wiosny. Gdy nastały cieplejsze dni, mama postanowiła sprowadzić krowy do gospodarstwa. Żadnych ubytków w suficie stajni i obory nie było. Woda w czasie deszczu się nie lała, więc nic nie stało na przeszkodzie, aby krowy znalazły się u nas. Nie na długo. Wiosna w pełni. Ciepło. Do orki zaprzęgano naszego konia, który odzyskał już siły i jedną krowę. Tak na razie miało być. Stało się inaczej. Dostaliśmy wiadomość, że od strony Dębna (1,5 km.) wojsko sowieckie pędzi całe stado krów i po drodze zabierają wszystkie krowy i konie, jakie znajdują się w gospodarstwach. Brat zaprzągł konia do wozu, uwiązał jedną z krów i wyjechał. Zaprowadził te zwierzęta na niewidoczną z domu część pola. Niedługo to trwało i już się pojawili. Kilku na koniach, a za nimi ogromne stado krów, popędzanych przez jeźdźców. Bez dyskusji weszli do obory i wyprowadzili krowy. Pozostawili jedną. Mieli taki rozkaz, jeśli w rodzinie są dzieci. Dzięki akcji Mariana pozostały nam dwie krowy. Mieszkanie splądrowali tak samo, jak wóz podczas naszego powrotu. Zegarka nie znaleźli, ale za to zostawili swój długi kożuch, w dobrym stanie. Służył nam długo, zwłaszcza w czasie zimowych wyjazdów, jako okrycie kolan.

Mama była bardzo przedsiębiorcza. Bardzo szybko postanowiła odbudować budynki gospodarcze. Ściany były w dobrym stanie, murowane, z kamienia. Potrzebne było drewno

budowlane na dach. Chodziła pieszo do Mogilna, osiem kilometrów w jedną stronę. Niejednokrotnie dwa razy dziennie. Prosiła, błagała. Dostała przydział i prace ruszyły. Co do opłat za to wszystko, to do tej pory nic nie wiem. Może jakaś pożyczka? Na pokrycie dachu kupiła trzcinę, a pracą zajął się dekarz, pan Strzeliński ze swoimi synami. Mieszkał w naszej wsi. Dużo prac wykonaliśmy sami. Po skończeniu wyglądało bardzo ładnie. Zapanował porządek.

Bardzo przykrym dla nas wydarzeniem była ekshumacja pomordowanych w Świerkówcu. Dostaliśmy listę rozstrzelanych. Jeśli się nie mylę, było ich 192. Tato był pod koniec wykazu. W terminie późniejszym przysłano zawiadomienie, w jakich dniach będzie odbywać się ekshumacja. Mama chodziła do Świerkówca pieszo. Przez cały czas usiłowała rozpoznać zwłoki swojego męża i naszego Taty. W drugi dzień pobytu nad mogiłami bardzo się rozchorowała. Z wielkim trudem, bardzo późnym wieczorem wróciła do domu. Na trzeci dzień nie była w stanie wstać z łóżka. Chorowała przez kilka dni. To, co zobaczyła, przekraczało ludzką wytrzymałość. Ciała spalone wapnem, same piszczele. Niektórzy poznawali swoich bliskich po resztkach ubioru. Mama nie zobaczyła naszego taty. Prawdopodobnie był w trzeciej mogile, którą ekshumowano trzeciego dnia, gdy musiała położyć się do łóżka. Pomordowani zostali powkładani do trumien. Nie każdy z osobna, ale ile się zmieściło do trumny. Pochowani zostali na mogileńskim cmentarzu, w podziemiach kościoła, który kiedyś tam stał, ale został zniszczony. Na tym miejscu powstał duży, ładny pomnik - mauzoleum, upamiętniający wszystkich zamordowanych w czasie II wojny światowej na terenie powiatu Mogilno.

Lubiłam ścierać z półek kurze oraz sprzątać w szufladach. Pewnego dnia wśród innych rzeczy znalazłam w szufladzie jakiś krzyż. Mały, metalowy. Podobał mi się. Przeczuwałam, że to coś ważnego, ale nie miałem pojęcia, co to jest. Mijały lata, a ja ciągle wracałam i oglądałam odkryty kiedyś krzyż. Nie przyszło mi do głowy, ażeby z kimś tym podzielić się. Nie pytałam mamy ani rodzeństwa. Dopiero w szkole, na lekcji historii, o odznaczonych Krzyżem Virtuti Militari, skojarzyłam, że przecież u nas w szufladzie jest taki krzyż. Po powrocie do domu upewniłam się, że to właśnie takie odznaczenie. Nabrałam jeszcze większego szacunku do krzyża. Mamy już nie było.

Wiedziałam z opowiadań Mamy, że Tato, jako kawaler, służył w wojsku pruskim. Przypominam, że wspominała o kolejnych dwóch latach służby w Wojsku Polskim i wojnie bolszewickiej. O odznaczeniu nie wspominała. Ja też o krzyż nie pytałam. Nie kojarzyłam krzyża z Tatą. Z pewnością uważała, że jestem za mała, aby mi o tym mówić. Może ktoś ze starszego rodzeństwa coś o tym wie?

5 lutego 1950 roku kolejna tragedia w rodzinie. Odchodzi od nas nasza kochana Mama, przeżywszy 46 i pół roku.

Do mojego wyjazdu z domu rodzinnego do Żagania w roku 1956, krzyż pozostawał w domu rodzinnym, który wraz z całym gospodarstwem odziedziczył mój brat, Marian Nowakowski.

Żagań, w lutym 2008 r.

Opracowanie redakcyjne: Jerzy Osypiuk

***Wanda Sobczyńska, z domu Nowakowska**, ur. 05.07.1937 w Prośnie, gm. Budzyń, zm.24.02.2011 w Żaganiu. Córka Franciszka i Rozalii z Błaszaków. Pracowała jako księgowa w Nadleśnictwie Szprotawa. Wyszła za mąż pod koniec lat pięćdziesiątych. Miała dwoje dzieci: Andrzeja i Arletę.*

Józefa z Orlików i Antoni Błaszakowie, rodzice Rozalii Nowakowskiej

Rozalia Nowakowska z młodszymi dziećmi Wandą, Bożeną, Anną i Marianem. Ok. 1946 r.

Rozalia i Franciszek Nowakowscy. Ok. 1928 r.

Rozalia Nowakowska z córkami Ireną i Bronisławą. Ok.1948 r.

Prace polowe w Królewcu. Drugi od prawej Antoni Błaszak

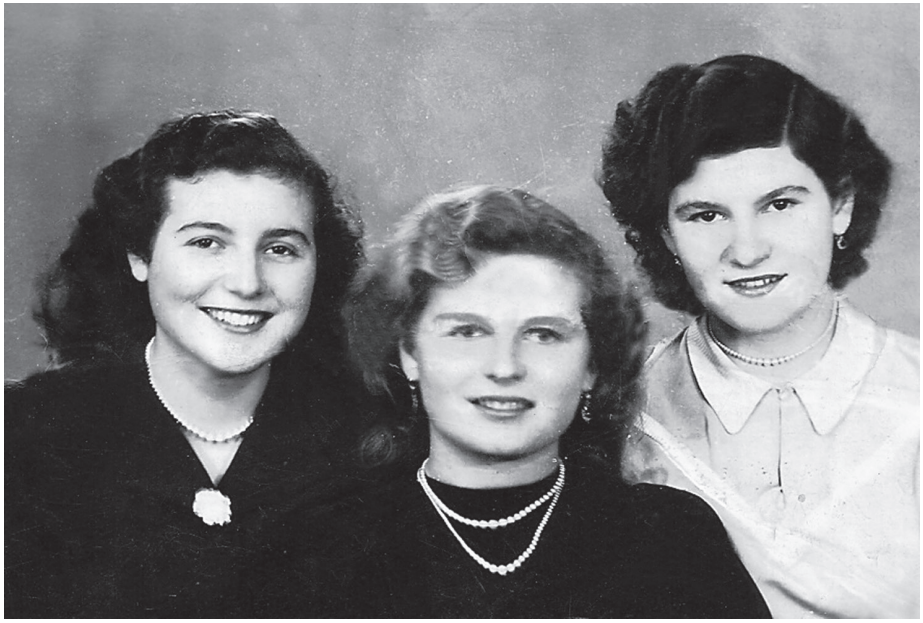

Bożena, Wanda i Anna Nowakowskie

Za to, że byli Polakami

W latach okupacji hitlerowskiej 1939 – 1945 Ziemia Wielkopolska była miejscem wielu aktów eksterminacji narodu polskiego. Jednym z tragicznych wydarzeń tamtych lat, nieznanym szerszym kręgom społeczeństwa, była egzekucja dokonana przez hitlerowców na 25 obywatelach polskich 22 maja 1941 r. w Małej Górce, gmina Nekla. W następstwie przypadkowego pożaru obory należącej do kolonistów niemieckich, którzy przejęli gospodarstwo po wysiedlonej rodzinie Majchrzaków z Małej Górki, nastąpiły we wsi i okolicy aresztowania. Aresztowani zostali mieszkańcy Małej Górki: Piotr Frąckowiak, Stefan Frąckowiak, Stanisław Wojtkowiak, Andrzej Cierzniewski, Antoni Kurpik, Jan Menes. Osadzono ich w areszcie we Wrześni, a następnie wywieziono do Fortu VII w Poznaniu. Po kilkudniowych przesłuchaniach spośród więźniów Fortu VII przygotowano transport liczący kilkudziesięciu mężczyzn. Wiązano ich po 5 w jednym szeregu, rozwiązywano, by po chwili zmienić ustawienie. Skrępowanych więźniów załadowano na dwie ciężarówki. Kolumna samochodów ruszyła w stronę Wrześni. Przez Podstolice i Opatówko zmierzała do Małej Górki. Według relacji Antoniego Urbaniaka powiązani skazańcy podprowadzani byli twarzą do ściany szczytowej spalonej obory. Egzekucję wykonywała grupa 10 żołnierzy. Stojący strzelali w głowę, klęczący – w plecy. W chwilę po oddaniu salwy ciała zamordowanych osuwały się na ziemię. Widok był przerażający… Po egzekucji ciała zamordowanych załadowano na ciężarówki i wywieziono na teren więzienia przy ulicy Młyńskiej w Poznaniu. Ich dalszy los nie jest znany. W egzekucji tej życie oddało sześciu synów Ziemi Nekielskiej. Wśród nich Jan i Franciszek Majchrzakowie – bracia Wacława, właściciela gospodarstwa, wysiedlonego do Generalnej Guberni. Złożyli najwyższą ofiarę na popiołach rodzinnej zagrody, w której urodzili się i wychowali. Wszystkim zamordowanym w Małej Górce przyszło zapłacić taką cenę tylko za to, że byli Polakami.

Jerzy Osypiuk

22 maja 1941 r. w Małej Górce zginęli:

Konstanty Bilażewski - inż., urodzony 15.09.1893 roku w Modliszewku, pow. Gniezno, zamieszkały w Poznaniu. Był pośrednikiem w handlu zagranicznym. Aresztowany 12.03.1940 roku. Miał żonę Helenę z domu Pilarską.

Stefan Chwiałkowski - fryzjer, urodzony 20.09.1919 roku we Wrześni. Był kawalerem. Aresztowany 18 maja 1941 roku we Wrześni.

Andrzej Cierzniewski - rolnik, urodzony 26.11.1908 roku w Małej Górce. Aresztowany 18 maja w Małej Górce. Kawaler.

Artur Czermiński - urodzony 1.09.1881 roku w miejscowości Pogroszew, niedaleko Warszawy. Był właścicielem majątku ziemskiego w Charbinie i wójtem w Powidzu. Aresztowany 10 października 1939 roku. Miał córkę i syna.

Wincenty Domagała - organista w Opatówku, urodzony 15.01.1897 roku w Dochanowie, pow. Żnin. Powstaniec wielkopolski. Aresztowany 18 maja 1941 roku w Zasutowie. Pozostawił żonę i czworo dzieci.

Stefan Duda - rolnik, urodzony 15.12.1879 roku w Niegolewie, pow. Nowy Tomyśl. Aresztowany w Borowcach, pow. Radomsko. Był żonaty, miał jedną córkę.

Zygmunt Duszyński - urodzony 26.04.1880 roku w Pakości. Był emerytowanym inspektorem szkolnym w Poznaniu. W czasie okupacji pracował jako dozorca. Aresztowany wraz z synem 27.01.1941 roku w Poznaniu. Był żonaty. Miał córkę i dwóch synów.

Tadeusz Dybizbański - urodzony 22.07.1922 roku w Poznaniu. Aresztowany w Poznaniu. Kawaler, miał siostrę i brata.

Wojciech Gracjalny - robotnik rolny, urodzony 17.03.1921 roku w Sierakowie koło Strzałkowa. Był kawalerem, miał cztery siostry i dwóch braci. Aresztowany w lutym 1940 roku w Sierakowie.

Leon Hyża - robotnik rolny, urodzony w Stępocinie 6.04.1921 roku. Pracował w gospodarstwie niemieckim w Małej Górce. Kawaler, miał dwóch braci. Aresztowany w Małej Górce 18 maja 1941 roku.

Ignacy Jamry - urodzony 29.01.1880 roku w Trzemesznie, pow. Krotoszyn. Był powstańcem wielkopolskim i inwalidą wojennym. Aresztowany w listopadzie 1939 roku, osadzony w Buchenwaldzie, skąd wrócił jesienią 1940 roku. Ponownie aresztowany wiosną 1941 roku. Miał syna i trzy córki.

Julian Kochowicz - kupiec, urodzony 19.11.1907 roku w Niemczech. Aresztowany w maju 1940 roku w Gostyniu; miał siostrę.

Franciszek Kozłowski - rolnik, urodzony 16.01.1885 roku w Berzynie. Powstaniec wielkopolski. Zamieszkiwał w Kębłowie, pow. Wolsztyn. Miał 3 córki i 3 synów.

Leon Kemnitz - nauczyciel, urodzony 17.10.1891 roku w Krosienie, pow. Czarnków. Był kierownikiem szkoły w Kleszczewie. Miał żonę Annę z Bączkiewiczów oraz trzech synów i córkę. Aresztowany 21.05.1941 roku.

Edmund Lipczyński - kupiec, urodzony 27.11.1902 roku w Poznaniu. Mieszkał w Poznaniu.

Władysław Malinowski - robotnik, urodzony 8.06.1912 roku w Poznaniu i tam zamieszkały.

Jan Majchrzak - urodzony 19.10.1902 roku w Małej Górce. Syn prawowitego właściciela gospodarstwa. Aresztowany 20 maja 1941 roku w Mosinie. Miał żonę Marię z domu Czechowską i dwie córki.

Franciszek Majchrzak - rolnik, urodzony 27.10.1900 roku w Małej Górce, brat Jana Majchrzaka. Powstaniec wielkopolski. Aresztowany 19 maja 1941 roku w Bieganowie, pow. Września.

Stefan Nowak - stolarz, urodzony 28.07.1913 roku w Dąbrówce, pow. Oborniki. Aresztowany jesienią 1940 roku w Chodzieży. Był żonaty, miał jedną córkę.

Ignacy Okupniak - ogrodnik, urodzony 11.08.1872 roku w Kowalskim, pow. Środa Wlkp. Aresztowany w listopadzie 1939 roku w Gulczewie, pow. Września. Miał dwie córki.

Tomasz Siwek - urodzony 19.12.1906 roku w Buchalinowie, pow. Środa. W czasie okupacji był robotnikiem rolnym w niemieckim gospodarstwie w Małej Górce i tam aresztowany.

Sylwester Szeszycki - urodzony 20.11.1904 roku w Powidzu. Był pisarzem w wójtostwie w Powidzu. Aresztowany 10 października 1939 roku. Był żonaty, miał jedną córkę.

Stanisław Świt - robotnik, urodzony 11.09.1903 roku w Środzie Wlkp. Był żonaty. Bezdzietny.

Marcin Wildaczyk - urodzony 12.10.1895 roku w Psarskich, pow. Szamotuły. Był strażnikiem granicznym w Kopanicy, pow. Wolsztyn. Aresztowany w 1940 roku. Był żonaty, miał trzy córki.

Jan Wita - rolnik, urodzony 5.02.1889 roku w Kębłowie, pow. Wolsztyn. Powstaniec wielkopolski. Aresztowany w październiku 1940 roku. Był żonaty i miał dwóch synów.

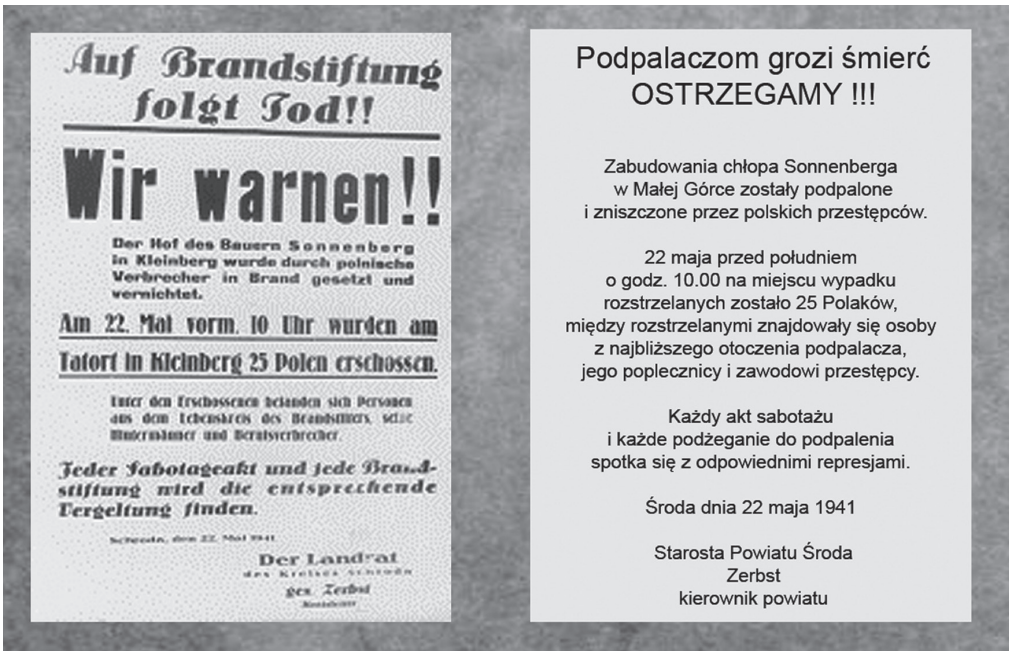

Auf Brandstiftung folgt Tod!!

Wir warnen!!

Der Hof des Bauern Sonnenberg in Kleinberg wurde durch polnische Verbrecher in Brand gesetzt und vernichtet.

Am 22. Mai vorm. 10 Uhr wurden am Tatort in Kleinberg 25 Polen erschossen.

Unter den Erschossenen befanden sich Personen aus dem Lebenskreis des Brandstifters, selbe Mitwisser und Mitverbrecher.

Jeder Sabotageakt und jede Brandstiftung wird die entsprechende Vergeltung finden.

Schroda, den 22. Mai 1941

Der Landrat
des Kreises Schroda
ges. Zerbst

Podpalaczom grozi śmierć
OSTRZEGAMY !!!

Zabudowania chłopa Sonnenberga
w Małej Górce zostały podpalone
i zniszczone przez polskich przestępców.

22 maja przed południem
o godz. 10.00 na miejscu wypadku
rozstrzelanych zostało 25 Polaków,
między rozstrzelanymi znajdowały się osoby
z najbliższego otoczenia podpalacza,
jego poplecznicy i zawodowi przestępcy.

Każdy akt sabotażu
i każde podżeganie do podpalenia
spotka się z odpowiednimi represjami.

Środa dnia 22 maja 1941

Starosta Powiatu Środa
Zerbst
kierownik powiatu

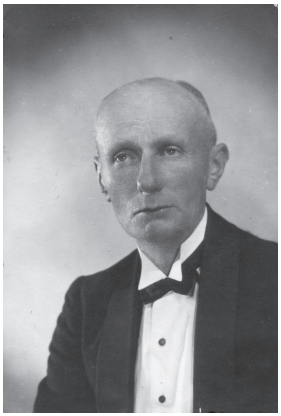

Artur Czerminski
(1881-1941)

Wincenty Domagała
(1897-1941)

Leon Kemnitz
(1891-1941)

Franciszek Kozłowski
(1885-1941)

Jan Majchrzak
(1902-1941)

Franciszek Majchrzak
(1900-1941)

Stefan Nowak
(1913-1941)

Tomasz Siwek
(1906-1941)

O, serca ludzkie! O ludzka pamięci, o biedne słabe istotki. Cierpi, kto ma lepszą pamięć, kto gorętsze ma serce niż wszyscy, lecz któż przeciw ogólnemu prawu co podoła? Zapomnienie jak pleśń pokrywa, cokolwiek się osamotniło.

Józef Ignacy Kraszewski

Autorka wspomnien w roku 1954

Izabela Dudek

To też można nazwać szczęściem
Wspomnienia z lat 1939-1945

Spróbuję wykorzystać to przemijanie. Czas, który upłynął od tamtych okupacyjnych lat, powinien dać mi szansę utrwalić to, co tak bardzo tkwi w mojej pamięci.

Co pewien czas przenoszę się chętnie do tamtego świata lat dziecinnych, tak jeszcze ubogiego w słownictwo. Nie wiem, czy podołam spisać to, co pamiętam.

W domu mówiło się często w gronie znajomych i kolegów Ojca o wojnie, ale o tej pierwszej. Byłam wtedy jeszcze mała. Coraz częściej jednak słyszałam o następnej, która na pewno wybuchnie.

Jakie ja miałam pojęcie o wojnie? Ano, idzie cały rząd wojska, gęsto, obok siebie, z karabinami, przez szosy, pola, drogi i gdy napotka wroga w innym mundurze, to strzelają do siebie. Potem idą dalej, powojują przez jakiś czas i będzie po wojnie.

- Tatuś - powiedziałam raz do Ojca - ja się wcale tej wojny nie boję. Jak przyjdzie, ucieknę do boru, wykopię dół, schowam się i tyle mnie znajdą. Gdy wojna minie, wyjdę z kryjówki i wrócę do domu.

- E, córka, co ty tam wiesz o wojnie? Oni by cię w mysiej dziurze znaleźli. Obyś nigdy nie doczekała żadnej wojny.

Odkąd pamiętam, zawsze kręciłam się koło Ojca i przysłuchiwałam się różnym rozmowom. Czy byłam ciekawa? Czy tylko odczuwałam potrzebę bycia obok Ojca? Chyba jednak to drugie.

Parę dni przed wybuchem wojny przyszedł do nas w Opatówku mężczyzna z walizką, ładnie ubrany. Prosił o nocleg.

- W domu nie mam miejsca - powiedział ojciec - ale w budynku gospodarczym jeśli chce, może przenocować.

Chciał.

- A dokąd tak pan podróżuje w te niespokojne, ciężkie czasy?

- Idę do Wrześni, do kolegi - odpowiedział.

Zostawił swoją walizkę w pokoju i poszedł spać.

- On, weźmy na przykład, dość bogato ubrany, a nie ma pieniędzy na kolej, ino idzie polną drogą, szpieg jaki czy co? - powiedział ojciec.

Rano, kiedy odchodził i był już przy furtce, nie powiedział: „do widzenia", tylko dziwne słowa: „no to chija madija" .

- Słyszałaś, co on powiedział?

- No to chija madija - odpowiedziałam.

- Choroba, chciał pewnie powiedzieć „heil Hitler". Tu cię mam ptaszku! Jak już powiedziałeś „ch", to klepałeś co bądź. A może to jakieś hasło było i szukał swojego wspólnika i nie mógł trafić? Ja mu jeszcze taką wygodę zrobiłem, że mógł całą noc nadawać swoje meldunki?!

Ojciec opowiedział o tym kolegom i wspólnie doszli do wniosku, że to był szpieg, który chciał powiedzieć „heil Hitler", ale w porę ugryzł się w język.

W piątek, 1 września 1939 roku, nie poszłam do szkoły.

- Jest wojna - mówili przez radio.

Jest cicho i spokojnie, tylko dlaczego tyle bydła prowadzą przez Opatówko? Co jedno stado, pędzone przez obcych ludzi przejdzie, to znów pędzą.

Miejscowe kobiety lamentują, że bydło niedojone cierpi i kto wie, kiedy będzie wydojone.

Czasami wóz jakiś przejedzie z uciekinierami. Na rowerach mężczyźni też na Kutno jadą.

Ojciec poszedł do naszego księdza Ludwika Dąbrowskiego i powiedział, że będzie uciekał.

- To ja też - oznajmił ksiądz. Wykopali dół obok plebanii, popakowali kościelne przedmioty liturgiczne, zakopali. Następnego dnia mieli uciekać.

Po południu, gdy byłam w ogródku, dziwnie zaczęła drżeć ziemia. Pobiegłam do domu, a tam drżą szyby w oknach i drzwi.

- Na pewno bombardują Poznań - stwierdził ojciec.

I tak od tego momentu rozpoczęła się dla mnie wojna. Miałam 10 lat.

Kolejnego dnia ojciec ponownie skontaktował się z księdzem, informując, że zmienił decyzję. Po pierwsze, nie ma czym uciekać z całą rodziną, a po drugie, wydaje się mu podejrzane to, dlaczego wszyscy uciekają w stronę Kutna. Przepytał uciekinierów o to, kto im powiedział, że akurat tam mają uciekać?

Ktoś, gdzieś, komuś powiedział: - Panowie, na Kutno, na Kutno, tylko na to Kutno.

A tam może być krach !!!

- Ja też nie wyjeżdżam - powiedział ksiądz, po czym odkopali wszystko przy plebanii i zostali.

Po jakimś czasie, gdy dotarły wieści spod Kutna, ojciec stwierdził:

- To te szpiegi, chorobniki, tak ich pchali na te Kutno.

A rzeź pod Kutnem przeszła do historii. Tymczasem bombardowano Poznań, Wrześnię, dworzec w Podstolicach. Niecierpliwiłam się, kiedy ta wojna przeniesie się gdzieś tam, bardzo daleko.

Kiedy po paru dniach do Opatówka wjechało wojsko niemieckie, zrozumiałam, że ta wojna będzie inna, nie taka, o której się nasłuchałam.

Jesienią 1939 r., w którąś z niedziel, kiedy domownicy byli na nieszporach, przyjechało motocyklem dwóch Niemców w wojskowych mundurach, aby przeprowadzić rewizję. Odbywała się to prawie w milczeniu.

- Vater? - spytał jeden.

- Nie ma Tatusia w domu i mamusi też nie ma, bo są na nieszporach - powiedziałam wystraszona.

Nie wiem, czy coś rozumieli po polsku, nic nie powiedzieli. Zrozumiałam tylko słowo „Vater".

Jeden z Niemców trzymał karabin gotowy do strzału, jakby im coś groziło z mojej strony, drugi pokazywał swoim karabinem miejsca, które mam otworzyć. Pokazywał i mówił - Na!

Otwieram szufladę biurka, sama muszę wyjmować wszystko. - Na! Pokazuje na drzwiczki boczne.

Na, na i na! Wywalałam wszystko po kolei z szafy, z kredensu, łóżka, poprzewracałam sienniki.

Z dużego, zamykanego kosza wyrzuciłam wszystkie śpiewniki i w ogóle wszystko, co tylko się dało wyrzucić. Nie znaleźli niczego, co by ich z pewnością zainteresowało.

Na biurku stał duży nabój. Ojciec mówił, że to przeciwlotniczy, ze światowej czy bolszewickiej wojny, tego nie pamiętam. Górna część tego naboju była ciężka, dolna lekka, z brązowego metalu. Przy wyjmowaniu górnej części wydobywał się ładny dźwięk. Jeden się trochę tym pobawił. Podobała się im też ochrona na pudełko do zapałek z żółtego metalu. Wzięli je sobie. Mieli ochotę na drugą ozdobną część od kompletu, ale była za duża, nie mogli jej włożyć do kieszeni, więc zostawili.

W końcu pojechali. Ojciec wrócił, kiedy kończyłam robić porządek po rewizji.

- Czego ty tam grzebiesz? - zapytał.

- Tatuś, tu było takich dwóch wojskowych.

Opowiedziałam jak było.

- Zabrali to od pudełka do zapałek i brzękali sobie tym nabojem.

- Patrz, te chorobniki czegoś tu szukali - powiedział ojciec - ale czego?

- Uuu…, to jest już barzy..., gorzy. Przecież flintę oddałem sołtysowi na trzy dni przed czasem!

- Ale radia Tatuś nie oddał.

- A będziesz ty cicho!? - zgromił mnie Ojciec.

- Pewnie że będę, ale jak ta pani (tu wymieniłam nazwisko) w środę pytała, co w radiu za granicą mówią, to byłam cicho i mówiłam, że nie mamy od dawna radia, bo Tatuś oddał sołtysowi.

- No i co? No i co mówiła?

- Mówiła: tak? Niemożliwe!

- A do smoka !!! - rzucił Ojciec.

Rozpytywał we wsi, czy była u kogoś rewizja, czy pytali o niego. Nikt nic nie wiedział.

- To było na mnie palcem pokazane i szlus - powiedział Ojciec.

Tego wieczoru siedział smutny, zadumany i parę razy sam do siebie mówił:

- Ja, ja, Polska była, potem jej nie było długo, potem znowu była, teraz na razie Niemcy znów ją zabrali. Ale oddadzą, oddadzą, a jak nie, to, psiakrewka, będziemy znowu się bić, a jakże.

Wiosną 1940 r. aresztowali księdza Dąbrowskiego i zabrali do obozu koncentracyjnego w Dachau.

Ojciec podjął pracę gdzieś w melioracji. Jeszcze w 1939 r. wszystkie dzieci, które ukończyły 10 lat, zaangażowane zostały do prac sezonowych w majątku, przy wykopkach. Nie był to przymus, ale obowiązek.

- Idź córka też do tej roboty, bo wszystkie dzieci idą i mogliby się na mnie uwziąć. A jak już na kogoś będą mieli chasa, to może być źle.

Ojciec mówił mi po imieniu, czasem córka, ale będę używała tego drugiego określenia. Po prostu jako córka, czuję się bardziej z Nim związana.

Pracowałam od wiosny do późnej jesieni 1940 roku w tym majątku (w Opatówku).

Pracy dla dzieci było dużo. Wyrywanie chwastów w rzepaku, ziemniakach, lnie. Przy żniwach stawianie snopków, zbieranie kłosów. Później wykopki, itd.

Płacili nam nawet, dniówka wynosiła 32 lub 35 fenigów.

Późną jesienią 1940 r. musieliśmy opuścić organistówkę w Opatówku, dlatego zamieszkaliśmy w Zasutowie. Tu zimą Ojciec pracował dorywczo przy odśnieżaniu szos. Wiosną 1941 r. wrócił do melioracji, ale miał bardzo daleko do pracy. Od 1 maja załatwił sobie pracę robotnika szosowego u Niemca Reimera, który był drogomistrzem. Mieszkał w Zasutowie, zatrudniał pracowników i tutaj prowadził biuro.

- Teraz znalazłem sobie dobrą pracę i już do końca wojny nie zamienię jej na inną - oznajmił w domu.

Pracował 2 tygodnie, dłużej nie zdążył.

15 maja 1941 r. rozeszła się wieść, że w nocy spalił się budynek gospodarczy w Małej Górce u Niemca po Majchrzakach. Nazwisk nowych osiedleńców niemieckich nikt na początku nie znał lub nie pamiętał. Mówiło się: ten po Majchrzakach, ten po Kaczmarkach, Kierzkowskich itd.

W niedzielę 18 maja, gdy zbliżało się południe, wróciliśmy z kościoła. W jakiś czas po aresztowaniu naszego księdza, ksiądz z Nekli, którego nazwiska nie pamiętam, wystarał się u władz okupacyjnych o pozwolenie na odprawianie nabożeństwa w Opatówku w co drugą niedzielę. Przywozili tego kapłana gospodarze z naszej parafii bryczką lub w zimie saniami, po kolei, sprawiedliwie.

Jeszcze w sobotę 17-go, ojciec zgolił sobie angielski wąs. Prawie taki sam nosił Hitler, dlatego go zgolił. Po powrocie z kościoła, gdy macocha zajęta była przygotowywaniem obiadu, wrócił Ojciec. Zawsze wracał później, po zamknięciu kościoła. Stanął na progu i pocierając sobie prawą ręką pod nosem, uśmiechał się. Nie wiemy, dlaczego się uśmiechał.

- No przecież wiemy, że zgoliłeś sobie wąsa - mówi macocha.

- Nie widzicie? - zdziwił się Ojciec.

Dopiero teraz zobaczyliśmy na małym palcu złoty, starodawny sygnecik damski z rubinowym oczkiem. Nie pamiętam, czy Ojciec powiedział, gdzie go znalazł, nigdy tego nie dowiedziałam się, bo później już nikogo o to nie pytałam. Za chwilę miał być obiad. Wyszłam zawołać brata i siostrę, którzy zaraz pobiegli do domu. Ja zostałam, bo do naszej bramy zbliżał się policjant w zielonym mundurze.

Wszedł już na nasze podwórko. Nie wiedziałam jeszcze do kogo poszedł, gdyż mieszkali tutaj jeszcze inni lokatorzy. Mnie o nic nie spytał. Zostałam jeszcze przed domem, bo ujrzałam koło mostu „czarnego" gestapowca stojącego z Janem Menesem. Pomyślałam sobie, że poczekam, zobaczę co będzie dalej, aby potem o wszystkim opowiedzieć Ojcu. Nagle usłyszałam za sobą kroki. Oglądam się i widzę, że Ojciec wychodzi z bramy na szosę, za nim

podąża „zielony". Ojciec z zaciekawieniem patrzy przed siebie, ale gdy zobaczył tamtych stojących dalej, natychmiast opuścił głowę. Domyślił się, że jest aresztowany. Stałam i pilnie patrzyłam Ojcu w oczy, dlatego tak dokładnie pamiętam. Patrzyłam za nimi. Ojciec z Menesem szli przodem, a za nimi ci dwaj. Pomyślałam: pewnie ich zabiją za jakimś drzewem. Patrzyłam tak długo, aż minęli zakręt i zniknęli z oczu.

Wróciłam do domu, aby zapytać, co chcieli i dokąd Tatuś poszedł?

Dowiedziałam się, że gdy wszedł „zielony" (jak on wiedział, w które drzwi wejść, mnie przecież nie pytał), zapytał czy Ojciec nazywa się Domagała. Kazał sobie pokazać ausweis i polecił, że Tatuś ma wyjść i coś pokazać.

- Chwileczkę, tylko wezmę kapelusz. Ojciec zabrał kapelusz i wyszedł.

Właśnie dlatego, gdy wyszedł na ulicę, patrzył z zaciekawieniem przed siebie i czekał na pytanie, którego się spodziewał. Dopiero gdy zobaczył „czarnego", zrozumiał podstęp.

Przechodząc obok, nawet nie spojrzał ze zdenerwowania na mnie. A tak patrzyłam Mu w oczy…

Zjadłam pospiesznie obiad i z niepokojem pobiegłam do wsi, może się czegoś dowiem.

Koło szkoły było sporo dzieci. Zapytałam je, czy nie widziały czasem mojego Tatusia, gdy przyprowadzono Go razem z panem Menesem?

- Tak, oni są w szkole, jest tam już kilku ludzi.

- Nie wiadomo, co z nimi zrobią, będziemy czekać, zobaczymy.

Czekałam około godziny, może dłużej, kiedy nadjechało auto terenowe. Jedno już tam stało.

- Oni pewnie po nich przyjechali? - spekulowaliśmy.

- O Jezu - mówię - a Tatuś głodny, nie zdążył zjeść obiadu.

- To leć po chleb! - powiedział ktoś.

Pobiegłam do domu, macocha szybko przygotowała chleb i popędziłam z powrotem. Biegłam, wpatrzona byłam w jeden punkt, w szkołę. Gdy dobiegłam, dzieciaki już się rozchodziły.

- Już ich zabrali, nie widziałaś jak jechali?

- Owszem, widziałam, gdy koło Menesa mijały mnie jakieś samochody, ale ja nie patrzyłam, kto jedzie w samochodach. Moje oczy były utkwione w szkołę. Byłam ślepa. Gdybym widziała, gotowa byłabym zaryzykować i rzucić im chleb. Kto wie, może pozwoliliby zjeść ten chleb, a mnie zabiliby za to.

Ojciec, wychodząc z domu, nie spojrzał na mnie. Wychodząc ze szkoły, na pewno spojrzał na dzieciarnię, ale mnie nie zobaczył. Mijaliśmy się tak blisko obok gospodarstwa Menesów, ale nie zobaczyłam Go. Tatuś i tak by mnie nie ujrzał, choćbym na Niego patrzyła. Jak się później dowiedzieliśmy, obaj z Menesem patrzyli na jego podwórko, mając nadzieję, że ktoś z domowników ich zobaczy. Nikt jednak nie widział.

Los tak zrządził, że Ojciec jeszcze dwa razy przejeżdżał obok naszego domu. W poniedziałek wieczorem wieźli ich zakrytym samochodem z Wrześni do Poznania i w czwartek, 22 maja, z Poznania do Małej Górki. Jednak już nigdy nie miałam Go zobaczyć. Pozostało jedynie pytanie: dlaczego aresztowano mojego Ojca?

Nikomu wówczas do głowy nie przychodziło, że aresztowanie mogło być związane z tym czwartkowym pożarem w Małej Górce.

Przez resztę dnia rozmyślałam: co by było, gdyby „zielony" nie zastał Ojca w domu? Może drugi raz by już nie przyszedł? Albo ja bym gdzieś czekała i ostrzegła Go?

Mógłby też uciec przez okno w pokoju, gdy wszedł po kapelusz? Ale też nic z tego by nie wyszło, bo ledwie pokazałby się w oknie, ten „czarny" strzeliłby do Niego. A zresztą, po co miałby uciekać, skoro miał wyjść na chwilę, coś zielonemu pokazać? Zaczęły mnie dławić łzy. Zrobiło się ciemno, a Jego nadal nie było.

Och, Tatuś, Tatuś, już prawie ciemno,
Żeby tak Tatuś teraz był ze mną.
Tak mocno Tatuś był dla mnie kochany
A teraz już pewnie na rękach ma kajdany.

Nastąpiła pierwsza noc. Noc bez Ojca, noc pełna obaw, strachu, lęku o Jego życie. Może już nie żyje? Sypiam sama w kuchni. Noc zabrała mi sen. Odmawiam zdrowaśki w intencji ocalenia tak bliskiej mi osoby, ale i raz po raz „wieczny odpoczynek", bo jeśli nie żyje?... Nie mogę spać.

Ze strachu o przyszłość najeżyły się moje włosy. I zaraz przypomniałam sobie, że tak samo było, gdy Tatuś grał jedną melodię na skrzypcach. Wtedy byłam mała i mówiłam, że mi włosy szybko rosną.

Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Modliszewku i mieszkała z nami moja rodzona siostra, Ojciec często grywał na skrzypcach jedną i tę samą ulubioną melodię. Raz, w przerwie po tej melodii, pyta mnie:

- A weźmy na przykład, córka, co teraz odczuwasz jak to gram?

- Nic Tatusiu nie czuję, tylko tak jakby mi włosy szybko rosły.

- Uhmm, a weźmy ten kawałek?

- Teraz to mnie aż szyja boli tu - i wskazałam ręką przy samej klatce piersiowej.

- Wydaje się, że mnie aż dusi i że te skrzypce płaczą. Spojrzałam ukradkiem na portret Mamusi.

Bo to też nazywa się..., zapomniałam tytułu tej smutnej melodii.

Nie śpię. Siostra! Moja siostra Krysia, starsza o trzy i pół roku, od 1937 r. jest u babci Antoniny, matki Ojca, w Dochanowie. Nie wie, że ja nie śpię, że Tatusia aresztowali. Jak ona mówiła? Jak ta melodia nazywa się? „Płaczące serce"? „Płaczące skrzypce"?

- Ty nic nie wiesz - mówiła kiedyś - ale Tatuś gra do portretu Mamusi. Zawsze staje przed Nią i Jej gra. Może mamusia lubiła tę melodię, a te skrzypce tak się skarżą. Może ta melodia nazywała się „Skarżące serce" lub „Skarżące skrzypce"?

Nadchodził już ranek. Nawspominałam sobie tyle, a w myślach miałam stale urywek tej melodii, którą pamiętam do dziś. Nie spałam całą noc.

W poniedziałek 19-go nie usłyszeliśmy, co z aresztowanymi. Cicho i głucho.

Wychodziłam do ogrodu, przykucnęłam przy grządce grochu i myślałam; groszek kwitnie, niedługo będą strączki, Tatuś by jadł, bo lubi. Co on teraz robi? Na pewno jest głodny, oni już tam na pewno jeść nie dali. Dlaczego od razu tego chleba nie wzięłam, tak na wszelki wypadek. Może bym mu podała, gdy wychodzili ze szkoły? I co On sobie pomyślał, kiedy mnie nie zobaczył pośród dzieci?

Pewnie pomyśli, że go nie kocham. A ja przecież tak bardzo kocham! Czy On się kiedyś dowie? Jak przyjdzie, to wszystko opowiem, co teraz o Nim myślę. A On się będzie dziwił i powie: aż tak tęskniłaś? Nie myślałem! No wiem, że my dwa kolegi jezdymy. No, no, córuchna, tak też myślałem.

Zawsze tak mówił do mnie, gdy się dłużej nie widzieliśmy. Kiedy szukał nowej posady, nie było Go nieraz 2-3 dni w domu. Czekałam wtedy z utęsknieniem na Jego powrót. Kiedy zobaczyłam z daleka balonówkę, rower z niskimi kołami i grubymi oponami, od razu wiedziałam, że to Ojciec jedzie. Wybiegałam naprzeciw i mówiłam:

- Jedy, jedy, tak mi było tęskno za Tatusiem, że aż strach. Odpowiadał mi wtedy tak, jak wyżej.

Teraz wychodziłam raz po raz na szosę, bo niby dlaczego nie mają Go puścić? Pod wieczór było mi niewymownie smutno. Już prawie kończy się poniedziałek, a Ojciec nie wraca.

A może ta melodia nazywała się „łkające serce", bo mi tak ciężko na sercu.

Kolejna noc i ponowne kłopoty ze snem. Myśli ciągle uciekają w przeszłość.

Ojciec po zakończeniu grania kładł skrzypce, tak od niechcenia, na stole i mówił: pobrzdąkaj sobie, jeśli chcesz i wychodził. Brzdąkałam trochę, bo wiedziałam, że stoi cichutko za drzwiami i słucha. Przecież nie otwierały się drzwi ani do kuchni, ani na dwór? Nie ciągnęło mnie do skrzypiec przez tę melodię, przy której tak mi te „włosy rosły". Wolałam na fisharmonii wystukiwać „Kiedy ranne…" lub „Wlazł kotek na płotek".

Jest wtorek, 20 maja. Tak smutno, że serce się kraje. Rozeszła się wieść o aresztowaniach mężczyzn z okolicznych wsi, w tym wielu z Małej Górki.

- Chyba jutro przejdę się do Małej Górki, może się czegoś dowiem, kogo aresztowali? - powiedziała macocha.

Usiadłam na pieńku do rąbania drzewa i rozmyślałam. Nie mogę przestać myśleć o Ojcu. Tak mnie omotały te myśli, rozglądam się dookoła, wydaje mi się, jakby tu było po spaleniu, jakbym patrzyła na coś, czego już nie ma, co zostało utracone na zawsze.

Wzrok mój padł na szopkę. Stała w szczycie chlewu, rozsypująca się, bez drzwi, jedynie dach trzymał się mocno. Jest! Tam coś jest! Co teraz z tym będzie? Czy to przyda Mu się jeszcze?

Może ze dwa tygodnie temu Ojciec zamknął się w pokoju i słychać było jedynie brzęk szkła.

Potem kazał mi trochę polatać. Tego samego dnia jednak powiedział do mnie.

- No, pódzej tu do mnie, córuchna, pódzej, coś ci powiem.

Wziął mnie na kolana, pogłaskał po głowie, schwycił ręką pod brodę - często tak czynił - a ręce Jego były najmilsze ze wszystkich rąk na świecie.

- Weźmy na przykład, jakby co, to wszystkie papiery, co byłem przy powstańcach wielkopolskich, zakopałem w tej szopce, na samym środku. Ale jakby co, jakby co. No, nie płacz zaraz, to tylko tak, żebyś wiedziała.

Ojciec był mi Ojcem, Matką, przyjacielem, kolegą, spowiednikiem, pocieszycielem, doradcą, wszystkim. Całą moją miłość przelałam na Ojca, do cna.

Sąsiedzi kręcą się po podwórku, patrzą na mnie, przeszkadzają w myśleniu. A ja o niczym innym nie myślałam, tylko o tym, co mogło być z Nim związane. Poszłam sobie za stodołę, usiadłam w kąciku, plecami oparta o tę szopę i dalej rozmyślałam. Nie tak dawno

jeszcze był u nas pan Bilski z Zasutowa. Rozmawiali sobie z Ojcem. Ja, jak zwykle kręciłam się obok.

- Wie pan - mówił Ojciec - oni tam mają wszystkie papiery, bestie, oni dojdą do tego. O, żebym ja teraz miał ten pas wojskowy, to może by mnie uratował, bo bym go naumyślnie nosił. Tam było na tej klamerce napisane „Gott mit uns", ale choroba, pożyczyłem jednemu z Żydowa i mi nie oddał.

Nie przychodziło mi na myśl nic ważnego, poza tym, że przypomniałam sobie taką sytuację.

Gdy przyszedł pan Bilski, Ojciec kończył wbijanie gwoździ w obcasy swoich niedzielnych butów.

- Co pan wbija, gwoździe? To powinny być drewniane teksy!

- A tam teksy, skąd mam je wziąć? Przynajmniej starczą mi teraz aż do śmierci .

I poszedł też w tych butach. Nie wiem, jak to nazwać, czy coś przeczuwał? Zgadł, czy też był to zwykły zbieg okoliczności? Tak minął ten wtorek, chociaż z pewnością myślałam o tysiącu innych ważnych spraw, których jednak nie zapamiętałam.

Wieczorem bałam się kłaść do łóżka - głowa robiła się taka pusta, a jaka ciężka. Leżałam i przypominałam sobie najróżniejsze epizodziki z tego dziecinnego życia. Cokolwiek by to było, zaczynało brakować miejsca w łóżku. Jak było przyjemnie i miło, kiedy Ojciec zabierał mnie na rower i jechaliśmy na grzyby. Kiedyś powiedział:

- Muszę oprawić ci ten obrazek od przyjęcia I Komunii Św., bo wszystkim oprawiłem a twój, prawie dwa lata będzie, jeszcze leży. Oprawię kiedyś, żebyś pamiątkę miała po mnie.

Jak wróci, to zaraz mi oprawi, przypomnę Mu.

Jest już środa, 21 maja. Macocha poszła do Małej Górki. Poczułam się swobodnie. Rodzeństwo, półbrat i półsiostra, biegali po podwórku. Oni inaczej przeżywali nieobecność Ojca, byli młodsi, może nie zdawali sobie sprawy z tego, co się zdarzyło. Poza tym mieli jeszcze matczyne skrzydła, ogromne skrzydła. Gdyby dla mnie przypadło chociaż jedno pióro z tego skrzydła, byłabym szczęśliwa.

Pamiętam, że odkąd umiałam pisać, jakie by to pismo nie było, wszystkie przykrości, przeżycia, zapisywałam na byle jakich karteczkach, potem zwijałam je i wciskałam na strychu między belki tak, żeby ich nie było widać. Gdy dorosnę, myślałam sobie, powybieram te papierki i spiszę do jednego zeszytu. Gdy będę starsza i nie będę się bała macochy, to jej wszystko przeczytam.

Nie wiem, czy kiedyś po wojnie, gdy rozbierano tę organistówkę w Opatówku, ktoś znalazł te papierki, czy nie.

Dlatego te smutki zaczęłam ponownie zapisywać. Przychodziły mi dość łatwo, a przez to, że je zapisywałam, było mi lżej. Pisałam dla siebie, w formie wierszyków, pod wpływem silnego przeżycia. Dziś myślę, że dały upust zbyt silnym wzruszeniom, które tak nagle na mnie spadły.

Więc kiedy macocha poszła, napisałam:

Wracaj Tatusiu o każdej porze,
Najlepiej, nim się do snu ułożę,
Czekam Cię o każdej godzinie,
Inaczej tęsknota za Tobą nie minie.

Wróć w tym ukwieconym maju,
Będzie mi wtedy z Tobą jak w raju,
Jak pięknie pachną kwiaty bzu,
Ty musisz, musisz wrócić tu.

Byłam dumna z tych wierszyków. Gdy Tatuś wróci i Mu je pokażę, to powie: no ładne, ładne, ładniejsze od tej mojej piosenki. Wiedziałam, że choćby nawet nie podobały się Ojcu i tak by mnie pochwalił.

Jesienią 1939 r. ułożył piosenkę czy pieśń i komponował do niej melodię. Kazał mi stać przed domem i pilnować, czy ktoś obcy nie zbliża się, a On grał i śpiewał.

Oto strzępy tego, co zapamiętałam.
„O, Ty Królu Bolesławie i Janie Sobieski,
jeno z grobu powstań, zobacz swoje dzieci
.....
O, Ty Polsko nasza, jakżeś nieszczęśliwa,
bo Cię Niemcy rozszarpali, już Cię prawie nie ma"

Może to był jakiś stary wiersz. Słowa i melodia plączą mi się po głowie do dziś.

Dzień minął w oczekiwaniu na wieści z Małej Górki. Macocha wróciła późnym popołudniem ze złymi wiadomościami.

- Chłopy kopią dół między Niemcem po Majchrzaku a tym po Kaczmarku - powiedziała. Jutro rano mają ich przywieźć i pozabijać, niby za ten ogień, co był w zeszłym tygodniu u tego po Majchrzaku.

Ciemno zrobiło mi się przed oczami i zakręciło w głowie. Ogarnęły mnie strach i przerażenie. Mają zakopać ich w tym dole!!! Włosy zaczęły mi „rosnąć". Muszę wyjść na dwór, chcę być sama w tej chwili, kolana się jakoś uginają, szyja zaczyna boleć.

Nie chciałam na nikogo patrzeć, bo chociaż wszyscy byli smutni, nikt nie płakał, a mnie same łzy płynęły do oczu. Wysunęłam się do ogrodu, który zawsze był moim małym azylem, moim królestwem. Płakałam półgłośno: o, ja biedna, co teraz ze mną będzie, gdzie ja pójdę, nigdzie w tych stronach żadnych krewnych... i wiele, wiele innych rzeczy mówiłam głośno, o których dziś jeszcze nie mogę mówić, bo nie wypada. Są sprawy, o których nie można pisać.

Jeżeli ma się jedyną osobę, tę podporę, przy której człowiek czuje się bezpiecznie i ta podpora ma nagle runąć, człowiek czuje, że leci w przepaść. Tak wówczas się czułam.

Gdzie też Tatuś może być? We Wrześni? Przecież w tamtą stronę ich wieźli.

Myślę co dzień Tatuśku o Tobie
I o tym, co ja teraz zrobię.
Bez Ciebie smutno mi w tym domu,
Ale komu mogę to powiedzieć, komu?
Może pójdę gdzieś w świat daleki,
Przez lasy, pola, łąki i rzeki.
Wiem, że tego zrobić nie mogę,
Bo kto mi pokaże drogę?

Kolacji nie jadłam. Niech to będzie post w intencji Ojca. Zasnąć nie mogę i myśleć nie potrafię.

Obok mojego łóżka stało krzesło Ojca.Tu było Jego miejsce. Siedział tutaj, gdy przyszedł po Niego „zielony". Wyciągnęłam teraz rękę i trzymałam to krzesło. Gdyby tutaj siedział, moja ręka obejmowałaby Go nieco powyżej kolan. Raz po raz głośno do Niego mówiłam: Tak, trzymam Tatusia za nogi i myślę o Tatusiu. Czy Tatuś też teraz o mnie myśli? O swojej kochanej, nieszczęśliwej córce? Ale jeśli Tatuś teraz śpi, to nic, to nic.

Ponownie wracałam myślami daleko w przeszłość, aby o czymś myśleć.

Co też stało się z nauczycielem z Opatówka, panem Ludwikiem Dudkiewiczem?

On chyba w ogóle po wakacjach nie wrócił, nie widziałam go. Gdzie może teraz być nauczyciel pan Jan Murkowski z Modliszewka? Oni się lubili z moim Ojcem. Co by teraz powiedzieli? Murkowski był zawsze taki markotny. Pamiętam, gdy byłam mała i zmarł Piłsudski, on płakał. A jak mnie chwalił za wiersz o Piłsudskim?! I przypomniałam sobie, bo nic innego nie przychodzi do głowy. Recytowałam ten wiersz, gdy jeszcze nie chodziłam do szkoły.

Wie to każde polskie dziecię,
Kto to jest na tym portrecie.
Kto to jest ten pan w mundurze,
Czyje to brwi i wąsy duże.
Czyj to uśmiech jest surowy,
Gdy patrzy na dziatek głowy.
To wódz wielki i kochany,
Wszystkim dzieciom dobrze znany.
To marszałek, który pragnie
By dziewczęta i chłopacy
Byli dzielni, mądrzy, śmiali,
Jak powinni być Polacy.

Ale co ja o Piłsudskim teraz myślę.

Obudziłam się skoro świt. Jest czwartek 22 maja 1941 roku.

Wszyscy jeszcze spali, leżałam niespokojna i myślałam. Muszę tam pójść. Może chociaż teraz będę Go widziała. Może Ojciec mnie zobaczy, może mi coś powie, może tylko ukradkiem spojrzymy na siebie ostatni raz. Ubrałam się, szurnęłam krzesłem, krzyknęłam na małego ratlerka. Byłam niecierpliwa, chodziło mi o to, aby jak najszybciej obudzili się pozostali domownicy i abym mogła jak najprędzej wyjść z domu.

- Mamusia, pójdę do Małej Górki zobaczyć, co tam będzie. Przekonam się, czy to prawda, że mają ich pozabijać? Zajdę do Wojciechowskich i zostanę tak długo, aż się coś wydarzy lub nie.

Pozwoliła mi pójść.

Była godzina siódma, może wpół do ósmej. Poszłam bez jedzenia, boso w drewnianych pantoflach, w fartuszku. Trochę szłam, trochę biegłam przez dworzec w Podstolicach, drogą przez Opatówko do Małej Górki. Na drogach było spokojnie, nikt jeszcze nie szedł, nikt nie jechał. Weszłam do wioski od strony Targowej Górki. Zaszłam do państwa Wojciechowskich i zapytałam starszą panią, czy to jednak prawda, że będą zabijać?

- Prawda. Sama przyszłaś?

- Sama.

- To ino idź po mamusię, a leć szybko, może zdążysz. Podobno kto będzie chciał, może przyjść się pożegnać - tak tu mówią.

Biegnę więc tą samą drogą, którą przyszłam.

Przybiegłam do domu i powtarzam słowa pani Wojciechowskiej.

- Ja nie pójdę - powiedziała macocha. Poleciła bratu pójść ze mną. Brat wziął czapkę. W tamtych czasach można było być boso, ale bez nakrycia głowy to nie było kompletne ubranie. Ojciec też zabrał kapelusz, a przecież było ciepło.

Poszliśmy. Do Opatówka co chwilę biegliśmy. Dalej szliśmy normalnym krokiem. Nawet trochę nieśmiało, niepewnie. Gdzieś daleko, od strony Małej Górki, słychać było śpiew w niemieckim języku. Od strony Podstolic, przez łąki i pola, na przełaj, w stronę Małej Górki szła zgraja śpiewających, umundurowanych Niemców, tzw. „żółtków" z SA, czarnych SS i czarnożółtych NSKK. Po drodze zaczęły nas mijać grupy na rowerach lub pojedynczo, w mundurach i cywile.

Wydawało się, że ta droga nie jest dla nas, dlatego czuliśmy się niepewnie. Jeszcze ktoś przemknął na motocyklu.

Widać teraz z daleka, jak dużo jest tam ludzi. Śpiewają, ryczą wprost. Brat wyraził swoją wątpliwość.

- Lepiej nie idźmy tam.

- Idziemy do końca. Pani Wojciechowska powiedziała, że będzie można pożegnać się. Ja idę - odpowiedziałam.

Pewnie jeszcze ich tam nie przywieźli - pomyślałam. Mimo woli oglądam się, bo z tyłu coś zawarczało. Widzę dwa samochody ciężarowe. Jadą za nami. Przed nimi motocykl z przyczepką. Jadą wolno drogą pełną dziur. Mijają nas tak wolno, że można by skoczyć w biegu. Silniki tak wyły, stękały *wu wu, wu wu wu,* jakby to jęki serc były. Będę pamiętała je do końca życia. Z tyłu siedzą żołnierze, zwróceni do nas twarzą. Gdyby ich tylu nie było, gdyby ich było ze czterech, to z pewnością można byłoby zobaczyć uwięzionych, ale siedzą ciasno, jeden przy drugim. Między kolanami trzymają karabiny. Skręcili już w lewo, do wsi. Jeden motocykl pojechał, drugi zaraz za zakrętem stanął. Zepsuł się. Przyspieszyliśmy kroku. Widzimy jak z tej ciężarówki zeskakują żołnierze i cywile. Wszyscy tacy równi, nie mają włosów. Wśród nich nie ma Ojca, pojechał pewnie w pierwszym samochodzie. Boję się. Zwalniam kroku, aby nie dojść do tego pojazdu, który naprawiał jeden z żołnierzy.

Tam na miejscu coś się kotłuje. Widzimy przechodzenie więźniów, ustawianie ich od nowa. Samochód jednak rusza. Mężczyźni też prawie dochodzą do celu. Zrównali się przy zabudowaniach. My idziemy też jakby szybciej i pewniej. Zbliżamy się do rowu, który przepływał w poprzek pola. Patrzymy przed siebie, z zebranej gromady wysuwa się dwóch, może trzech Niemców. Grożą nam pięściami. Zrozumiałam, że nie wolno nam dalej iść. Pewnie będą teraz strzelali, a może i nas zabiją? Przystanęliśmy.

- O Jezu, Jezu, żeby Go tylko nie bolało. Panie Boże, ratuj Go - krzyczę. Po paru sekundach słyszymy pierwszą salwę.

- Tatuś nie żyje, Tatuś nie żyje - krzyczymy.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to koniec strzelania, bo skąd mogłam wiedzieć, ilu tam ich jest.

Patrzyłam w tamtym kierunku, jacyś ludzie pochylają się, jakby klękali - co tam się dzieje? Za chwilę druga salwa. Biegamy w kółko, jakby w jakimś młynku. Ludzie znów się tam pochylają.

Nagle brat krzyczy:

- Gdzie moja czapka, gdzie moja czapka?

Spoglądam na trawę, do rowku. Nie ma.

- Przecież masz ją pod pachą - krzyczę - O Jezu, czy Tatuś żyje? Już jest trzecia salwa.

Krzyczę to samo po piątej. Zrobiło się cicho. Minęła dłuższa chwila niż te między salwami.

- Polecimy teraz do wsi, ale nie tędy, tylko od drugiego końca, szybko! - rozkazałam. Cofnęliśmy się do głównej drogi i pobiegliśmy do wsi od strony Targowej Górki.

Zatrzymaliśmy się przy zagrodzie państwa Wojciechowskich. Stały tam przy furtce płaczące kobiety. Wyszły też inne z podwórka pana Wojtkowiaka. Drogą zbliżają się pan Kurpik, pan Wojciechowski i pan Wojtkowiak. Serce mi zapukało, gdy widziałam ich żywych. Nadzieja - myślę - to nie ich przywieźli na stracenie, kogoś innego. Pan Wojciechowski idzie pierwszy, jest najbliżej mnie, więc pytam:

- Panie Wojciechowski, a gdzie Tatuś?

On taki zdenerwowany, wystraszony, ręce trzymał daleko od siebie, tak jakoś sztywno, całe zakrwawione. Ogląda się za siebie, do tamtych i mówi:

- Organista? Organista?... Nie wiem, nie wiem.

Pan Kurpik już wchodził na podwórko Wojtkowiaka, przypuszczam dzisiaj, że chciał umyć zakrwawione ręce, zrobił krok do tyłu i powiedział:

- Organista przecież nie żyje - co ty mówisz, przecież wiesz i… - zawiesił głos, po czym wszedł na podwórze.

Każdy miał tu swoją radość. Zostaliśmy na drodze. Zachciało się mi nagle pić, choć troszkę wody, bo taką suchość poczułam w gardle. Nie miałam śmiałości wejść do jakiegokolwiek domu.

- Wracamy do domu - mówię cicho, zrezygnowana. Szliśmy powoli. Idąc, splotłam palce obu rąk i położyłam na głowie. Nie wiem dlaczego, ale czułam, że te ręce muszę mieć na głowie. Poza tym poczułam jakieś otępienie i bardzo lekkie uderzanie młoteczkiem w sam środek głowy. Nie bolało, ale dłońmi obu rąk uciskałam głowę, co łagodziło odczuwanie tego młoteczka. Nie myślałam o niczym, zapomniałam o wszystkim, co się wydarzyło. Myślałam wyłącznie o głowie i o tym, że idę w stronę domu. Gdy doszliśmy do miejsca, gdzie zepsuł się samochód, przystanęłam, chcąc przypomnieć sobie coś ważnego. Ta droga nie dawała mi spokoju.

Chciałabym dokładnie opisać to, co się ze mną działo. Usłyszałam w głowie dziesiątki dzwoneczków, ale zaraz zaczęło zagłuszać je jakieś brzęczenie, cykanie owadów, pasikoników, coś takiego można usłyszeć, kładąc się latem w pogodny dzień na łące. Po chwili wybuchłam wielkim płaczem, płaczem bez łez, podobnym do śmiechu. Wtedy bardzo się wstydziłam, aby komuś o tym opowiedzieć, wstydzę się i teraz. Wyrzucam to z siebie po raz pierwszy i zapewniam, że naprawdę nie chciałam ani śmiać się, ani płakać. Odbywało się to bez mojej woli, zupełnie bezwiednie, nie miałam na to żadnego wpływu. Cały ten chaos i szum śpiewny zaczął mi uciskać oczy, jakby chciał ujść oczyma. Przez moment zabolały mnie oczy i nagle poczułam wielką ulgę, gdy wypłynęły łzy a wraz z nimi pozbyłam się

ucisku i chaosu. Zapanował zupełny spokój i momentalnie wróciła pamięć. Przypomniałam sobie wszystko, co zaszło. Gdy dziś wspominam to zdarzenie, nie potrafię go zrozumieć.

Ruszyłam dalej, trzymając ręce na głowie, bo pukanie młoteczka nie ustawało. Szłam powoli, jakbym na kogoś czekała. Co kilka kroków oglądałam się. Byłam zmęczona, tyle kilometrów zrobiłam. Byłam głodna, nie jadłam kolacji ani śniadania. Byłam wyczerpana, chwilami czułam, jakbym płynęła we śnie, myślenie było wielkim wysiłkiem.

Tatuś przejeżdżał obok mnie ostatni raz. Jeżeli siedział tyłem do szoferki, na pewno mnie widział. Już tyle przez szpary zobaczyłby. Jeśli mnie widział, to mu serce pękało z żalu. Może zobaczył mnie, gdy stałam z bratem w polu? Może słyszał nasz głos? Może cieszył się, że nas widzi z daleka? Jego trudno było w tej ciżbie zobaczyć. A może pomyślał: dobrze chociaż, że wiedzą, co się ze mną stało. Gdyby to wydarzyło się gdzieś w lesie, nikt by nie wiedział. Dlaczego jednych puścili a innych zabili? Ojciec na pewno poszedł z tamtej strony i będzie wcześniej w domu. Tak nierówno wszyscy wracali z miejsca tragedii. Wojciechowski z sąsiadami byli już w domu, a młynarz dopiero teraz wraca przez łąki. Idziemy z tej strony, a Tatuś poszedł z tamtej! Ale jeśli nie żyje, to Go kiedyś nawet gołymi rękoma nocą wygrzebię z tego dołu. Aby tylko nie był na samym dnie i psy nie szczekały. Nie wiadomo, czy ten dół jest bardzo głęboki?

Nie, nie, On jest już w domu, też pewnie zakrwawiony. Prędko umyje się, żebyśmy nie widzieli.

Ale miał założone to brązowe ubranie, najlepsze, będzie pewnie do niczego. Myśląc o tym wszystkim, dotarłam do Opatówka. Dopiero teraz odezwałam się do brata:

- Poczekaj tu, zobaczę tylko czy pan Przybył wrócił?

Jego gospodarstwo było tuż przy drodze, obok szkoły. Wchodzę do sieni i słyszę płacz Przybyłowej. Drzwi były lekko przymknięte i nie wiedziałam, co mam zrobić. Powoli odmykam je, ani nie pukam, ani nie mówię dzień dobry, tylko nieśmiało wsuwam głowę.

Stół stał przy oknie, a pan Przybył siedział po drugiej jego stronie, oparty na prawym przedramieniu, głowę miał opuszczoną. Nie widział mnie, bo uchyliłam drzwi cichutko, jak duch.

- Panie Przybył, a gdzie Tatuś? - zapytałam.

Uniósł głowę, spojrzał na mnie, jakby się ocknął.

- Idź dziecko do domu, idź !

Wycofałam głowę tak samo cichutko, jak wsunęłam. Pani Przybyłowej nie widziałam. Nie odezwała się. Była gdzieś głębiej w kuchni, za drzwiami. Wyszłam.

- I co? - zapytał brat.

- Powiedział, że mam iść do domu.

Może Tatuś już tam jest, a pan Przybył chce nam zrobić niespodziankę? Powoli, oglądając się przez cały czas, doszliśmy do domu.

Macochy w domu nie było. Przyszła po południu. Powiedziała, że też tam poszła, tylko później. Dotarła, gdy mężczyźni zasypywali dół.

- Tutaj ich nie ma, zasypujemy pusty dół, bo naszła woda - powiedział pan Jóźwiak. Ciała załadowali na ciężarówki, niech mi pani wierzy, mówię prawdę.

Gdy to usłyszałam, myślałam, że mi serce z żalu pęknie. To ich tam nawet nie ma? Chyba oszaleję.

Dlaczego nie szłam dalej, kiedy grozili? Zabiliby mnie i pojechałabym razem z Nim. Poza siostrą nikt by po mnie nie płakał. Gdybym wiedziała, że będą wieźli zamordowanych z powrotem, nie poszłabym do wioski. Może z samochodów kapała krew, to przynajmniej garść piasku z Jego krwią wzięłabym na pamiątkę. Nawet moje oczy nie odprowadziły Go na zawsze, jedynie zaprowadziły na śmierć. Obym tych ciężarówek nigdy nie widziała.

Ale nie, nie, On wróci, tak, wróci, bo pewnie już wcześniej go uwolnili, a tu, do Małej Górki, wcale nie przyjechał. Teraz idzie gdzieś daleko, jest zmęczony, głodny, ludzie po drodze dają mu jeść, a On im opowiada, opowiada. Jutro lub pojutrze przyjdzie. Naprawdę miałam taką nadzieję.

Późnym popołudniem wszedł na nasze podwórko Niemiec Grüning, zobaczył macochę, więc zapytał: - Czy mąż wrócił?

- Nie wrócił i nie wróci - odpowiedziała.

- Daję głowę, że wróci - zrobił przy tym charakterystyczny gest ręką koło szyi i obrażony, że mu się nie wierzy, wyszedł z podwórka.

Dało mi to nadzieję i nadal wierzyłam, że Ojciec wróci.

Podobnie jak w pierwszą noc po aresztowaniu, tak teraz po egzekucji, nie chciałam spać. Będę o wszystkim myślała, byle nie zasnąć. Starsi ludzie często opowiadali, że po śmierci daje się usłyszeć zmarłego. Będę pilnowała. Może Ojciec zapuka w okno albo usłyszę jakieś kroki? Całą noc mam przed sobą, więc czuwam, może zapuka żywy lub umarły.

Kiedy dzisiaj wspominam o tym, mnie tu nie ma. Jestem w tamtym świecie dzieciństwa, daleko w przeszłości, myślę i wspominam po dziecinnemu. Inaczej nie potrafię. Ktoś pomyśli, że jestem zbyt drobiazgowa, opisując mało istotne epizody ze wspólnego życia z Ojcem. Ale są to najradośniejsze chwile w moim życiu, których miałam za mało. Do tych wspomnień tęsknię jeszcze dziś.

„Jeśli się zatęskni, to się obraca jak słonecznik w tamtą stronę, z której wyszedł, ale oderwać się nie ma sposobu."

Józef Ignacy Kraszewski.

Jeśli chcę myśleć całą noc, aby nie zasnąć, to najlepiej, żebym była bardzo blisko Ojca. Lubiłam słuchać, jak opowiadał o wojnie. Często do niego mówiłam:

- Niech tatuś powie mi jeszcze coś o tej wojnie.

Opowiadał mi wciąż o tym samym, znałam wszystko na pamięć, nieraz poprawiałam te opowiadania. Przecież nie chodziło mi o treść, ale o to, abym przez jakiś czas mogła mieć głowę na Jego kolanach.

- O czym ci powiedzieć, o tym cielaku?

- Tak i jeszcze o czymś innym.

- No to pódzej tu, bo już wiem, że znowu chcesz głowę położyć na moje kolana - weź ryczkę.

Myśląc o tym, było mi niewygodnie w łóżku. Wstałam po cichu, wzięłam stołeczek-ryczkę - na krzesło położyłam poduszkę z łóżka i chociaż może już Go nie ma na świecie, siedzę przytulona w myślach do Jego kolan i słucham.

Perełka, nasza psinka, wkręca mi się mi na kolana, zaczyna skomleć i spoglądać raz na okno, raz na drzwi.

- Cicho, Peruś, bo się wyda, że nie śpimy - szepnęłam - Widzisz, ty też tęsknisz. Zobaczymy, może jeszcze przyjdzie twój pan, a teraz bądź cichutko, tak mi śpieszno do tego słuchania.

- Bo widzisz, na wojnie - opowiadał Ojciec - nie wolno brać do ręki ani leżącej bomby ani granatu, bo może wybuchnąć. Raz se idę, patrzę, leży taaaki duży cielok. Byłem ciekawy, czy tę bombę podniosę i postawię na sztorc? Kiedy już ją postawiłem, przypomniało mi się, że nie wolno. Zamiast ostrożnie położyć, to ją puściłem ze strachu i uciekłem - ale nie wybuchła.

- A o wujku Janku? (brat Ojca, zginął w 1915 r.)

- Gdy babcia napisała, że Janek jest „fermyst", to na ochotnika zgłosiłem się uprzątać zabitych z pola bitwy, ale go nie odnalazłem, a był blisko mnie. Pewno go bomba rozszarpała.

Gdy był w Powstaniu Wielkopolskim, wspominał „jak raz rąbnęli ostatnim pociskiem, to zaraz pancernik się wycofał - gnali chorobniki, jak pies".

„A jak bolszewików gonili w dwudziestym z bratem Sylwestrem, to ino krzyczeli: Wachu, Iwan, uchodi, rogate diabły idą. Tak bojeli się naszych rogatywek." Wiele różnych historyjek opowiadał.

Dlaczego tej wojny nie mógł przeżyć? Takie przecież miał szczęście na poprzednich wojnach.

No tak, ale na wojnach miał broń, a teraz gołe ręce i w dodatku związane. O czym On dzisiaj myślał?

Może, jeśli mnie widział, powiedział: „żegnaj córka na zawsze, ino się nie daj!" A może był taki oszołomiony, że nie widział nas i szedł jak ślepy? Może „dobrze, że jesteście, opowiedzcie całemu światu, co tu się stało". Albo „moje biedne dzieciaki, co wy teraz zrobita?" lub „uciekajta stąd, bo was jeszcze zabiją, pocośta tu przyszli?" „No widzisz córka, zawsze gdzie ja, tam i ty, wszędzie za mną chodzisz." Wreszcie: „ach dzieciaki, jak ja chciałbym żyć, ale niech już kończą, bo ledwie na nogach się trzymam".

Dałabym się wówczas pokrajać na kawałki, żeby wiedzieć, co Ojciec myślał w tamtym czasie. Ile nawspominałam sobie tamtej nocy, dzisiaj nie jestem w stanie powiedzieć. Wiem jednak, że przeżyłam śmierć Tatusia to bardzo głęboko, byłam bliska obłędu.

Nie zapukał, nic nie zachrobotało, jestem tego pewna, bo nie spałam. Skoro nie pozwolił się usłyszeć, to pewnie żyje jeszcze. Będę czekała. Tak za trzy dni to powinien już na pewno przyjść. Grüning też powiedział, że Ojciec przyjdzie. Skąd mógłby nadejść? Tylko od strony Wrześni. W oczekiwaniu na niego nigdy nie spojrzałam w stronę wsi, zawsze patrzyłam w stronę Wrześni. Często wchodziłam na płot, by dalej patrzeć, wzrokiem można było sięgnąć aż do lasu.

Ach, żeby choć raz stał się cud. Cóż by to była za radość. Przy Ojcu czułam się taka bezpieczna. Teraz to poczucie zaczynało mnie opuszczać.

Nie wierzę w to, co ludzie mówili.
Oni się na pewno pomylili.
Tatuśku, przecież Ty musisz żyć.
Ty musisz tu z nami być.
Co chwilę wychodzę z domu.
Nie mówiąc nic nikomu.

Wchodzę na ten duży płot,
Z tej strony nadejdziesz, stąd.

Nie przyszedł w piątek. Jest sobota, trzeci dzień i chociaż byłam prawie pewna, że nie żyje, to jednak tęsknota za Nim nie pozwalała rezygnować i tracić nadziei.

Wczoraj było farbowanie ubrań na czarno. Jeszcze w niedzielę moja sukienka była turkusowa, teraz jest popielato-czarna w granatowe plamy. W niedzielę, 25 maja, poszłam w tej sukni do kościoła w Nekli. Szłam sama. Kiedy byłam w połowie drogi, między Gierłatowem a Neklą, w moją stronę na rowerze zbliżał się młody Niemiec w mundurze Hitlerjugend. Mógł być trochę starszy ode mnie. Zauważyłam, że podjeżdża do mnie, zupełnie blisko. Zeszłam mu z drogi, byłam już na krawędzi rowu, podjechał do mnie i kopnął. Nie mogłam utrzymać równowagi i przewróciłam się do rowu. Pomyślałam w tym momencie o Ojcu. On tam też znosił poniżenia i upodlenia, to i ja wytrzymam. Człowiek czuje się w takiej chwili bezradny, upokorzony, zalękniony. Kiedy odwróciłam głowę, był już daleko. Jaka ze złości zrobiłam się odważna, poza tym mnie nie słyszał, więc wyzywałam głośno:

- Czekaj diable piekielny! Ja cię poznam, choćby za dziesięć lat, po twoich skośnych oczach! My się jeszcze policzymy! Otrzepałam się i poszłam dalej. W kościele udałam się pod sam ołtarz.

Stoję tu Boże przed Tobą nieboga
I proszę Cię, ukarz sprawiedliwie wroga.
Niech nie biją, męczą, zabijają,
Bo oni prawa do tego nie mają
I żeby Tatuś jeszcze dzisiaj przyszedł,
Bo już tydzień, jak z domu wyszedł.
Tak bardzo bym tego chciała,
Że zakonnicą bym za to została.

Gdy wracając, znalazłam się w miejscu incydentu z chłopakiem z Hitlerjugend, napadła mnie wielka złość. Najgorsze było to, że go nie znałam. W domu nie opowiedziałam o tej przygodzie. Lepiej niech nie wiedzą. Po obiedzie znów weszłam na płot. Jeżeli dzisiaj Ojciec nie wróci, to nie wróci już nigdy. Do tej pory nawet z końca Polski by przyszedł. O, tam ktoś idzie daleko. Nie, to tylko graf von Molek. Ale daleko dzisiaj zaszedł. Był to starszy pan, który życzył sobie, aby dzieci go tak tytułowały.

- Po nazwisku mi nie mówcie, tylko graf von Molek.

Tak też mówiliśmy. Całkiem normalny człowiek. W czasie spacerów zbierał niedopałki papierosów. Palił dużo i nie wystarczały mu te, kupione na kartki. Im więcej nazbierał, tym krótsze były jego spacery. To samo robiło zresztą więcej ludzi i nikt się z tego nie śmiał. Później, kiedy popasałam krowę, będąc w służbie u Reimera, zbierałam niedopałki i rzucałam przy szosie. W ten sposób skracałam mu spacery. Dochodził najwyżej do drogi, która prowadziła do pana Walenciaka.

Ciągle nie mijała mi złość na tego chłopaka. Bolało mnie biodro. Musiałam o tym napisać. Miałam potrzebę pisania, dużo i o wszystkim. Był to chyba sposób na odreagowanie w trudnych sytuacjach. Nie było na czym pisać, więc pisałam na torebkach po cukrze, soli,

na czym się dało. Znalazłam w moich szpargałach opis tej sytuacji z niemieckim chłopakiem w formie wierszyka. Teraz stwierdziłam, że dla takiego rozbójnika wierszem nie napiszę, bo sobie nie zasłużył.

„Ty plugu marny, wstrętny, nieznany, zobaczysz, zakują cię kiedyś w kajdany. To ja spokojnie idę sobie szosą, a ty mnie ścinasz nogą, jak kosą. Że jestem Polką, to ty mnie kopiesz? Ty zgniły fałszywy szkopie, zbrudziłeś mi suknię, wstrętny, za to będziesz za nogi do piekła wzięty. Może cię kiedy jeszcze zobaczę, wtenczas stokrotnie ci się odpłacę. Zobaczysz szkiebrze paskudny, mundurek twój też będzie brudny."

W niedzielę dotarła wiadomość, że do Małej Górki przywieziono 47 osób. Część z nich była powiązana sznurami. Cztery grupy po pięć osób i jedna szóstka. Przed egzekucją jednego z nich odwiązano i uwolniono. To by się zgadzało, pomyślałam sobie. Policzyłam przecież tych wysiadających z zepsutej ciężarówki, było ich dwudziestu jeden.

W niedzielę wieczorem musiałam już uwierzyć, że Ojciec nie żyje. Taki cios! Takie rozczarowanie. Miałam żal do całego świata, że mnie tak skrzywdził. Tyle dzieci ma rodziców albo same matki, a ja już nikogo.

Całą swoją miłość do Matki przelałam na Ojca. Teraz mi Go odebrali. Poprzysięgłam sobie wówczas, że choćby nie wiem co, nie dam sobie Go z serca wyrwać. Jest we mnie i korzenie zapuścił w sercu. Jedynie razem z sercem musiałby być wyrwany. O tym, co czułam i przeżywałam, nic w domu nie mówiłam. Byłam zamknięta w sobie. Dlatego było mi ciężej niż powinno.

Aby ukoić ból, pisałam listy do Ojca i na nie odpisywałam. Odpowiedzi były takie, jakich sobie życzyłam. Np. dlaczego Tatuś śpiewał „...i przyjdzie maj, zakwitną bzy, gdzieżeś, ach gdzie, kochanie, Ty ?" Czy Tatuś wiedział, że w maju umrze i ja tak właśnie będę o Nim myślała?

Dlaczego Tatuś śpiewał do Sobieskiego: „...jeno tylko z grobu powstań, zobacz swoje dzieci"?

Czy ja tak samo mam wołać do Tatusia? Takie zadawałam wtedy pytania.

Już czwarty dzień nadchodzi
I Tatuś mój nie przychodzi.
Pewnie Go jednak zabili,
A ludzie prawdę mówili.
Straciłam już wszelką nadzieję.
Gdzie ja się biedna podzieję?
Z domu mnie pewnie wygnają,
Bo oni serca dla mnie nie mają.
.....

Pracuję już u Niemca, tego, który i Ojca przyjął do pracy. Dla Niego nie zakończyło się to szczęśliwie. A jak zakończy się dla mnie?

Chodzę na razie spać do domu. Nowy mój pan drogomistrz zatrudniał bardzo dużo ludzi do pracy na szosie. Miał biuro, w którym zatrudniał dwóch nauczycieli. Pana Szumińskiego i pana Szczepańskiego. Pan Szczepański był bardzo szczupłym mężczyzną, nosił okulary. Nie ciekawiło mnie, gdzie mieszka, ale po pracy jechał rowerem w stronę Nekli. Pan Szumiński był z Psar. Zaraz za lasem skręcał w lewo. Często widziałam go jadącego, gdy

pasłam krowę w lesie. Na mojego pana pracownicy mówili „panie szefie". Starsza służąca i ja mówiłyśmy „pan". Jego żona zawsze była „panią", obojętnie, czy zwracałyśmy się do niej bezpośrednio, czy o niej mówiłyśmy. Między sobą mówiłyśmy na naszego pana „szef".

Szef zatrudniał w biurze przez jakiś czas studenta z Kostrzyna. Nazywał się Łabędzki, pewnie Henryk mu było na imię.

Na początku mojej pracy pasłam gęsi w rowie naprzeciw domu i zganiałam kury z szosy, jeśli wychodziły, bo za dużo ich ginęło. Tak było do końca maja i przez cały czerwiec. Prawie dzień i noc jechały transporty wojska niemieckiego na wschód. Wykonywałam też inne prace w domu czy ogrodzie. Byłam pomocą domową do wszelkich prac. Kiedy skończyłam naganiać kury i paść gęsi, to w wolnych chwilach pasłam krowę w lesie. Przeważnie po południu, ale bywało, że również przed południem. Szef miał ostry głos, więc się go bałam. Każdy mógł się go bać, ale w gruncie rzeczy był to dobry człowiek. Najczęściej na nas krzyczał i wrzeszczał, gdy wracał z zebrania NSKK. Jego mundur wyglądał groźnie, na jego widok ciarki przechodziły człowieka. Długie buty, czarne spodnie-bryczesy, koszula żółtobrunatna, zapomniałam jakiego koloru był krawat: czarny lub żółty, furażerka czarna, pasek skórzany przechodził od pasa z tyłu, na ukos przez ramię do przodu. No i ta opaska czerwona z Hakenkreuzem na rękawie. Bałyśmy się bardzo, często płakałyśmy po kryjomu.

Pewnego dnia myłam u niego centryfugę. W korytarzu od strony podwórza stał stół z przytwierdzoną do niego tą machiną do ściągania śmietany z mleka. Szef przyszedł i usiadł na krześle obok i przyglądał się, jak pracuję. Dokładnie umyłam te talerzyki stożkowe, rozkręcałam i nakręcałam co się da, a on siedział. Myślałam sobie, że niedługo skończę pracę. Miałabym wolną chwilę. Dlaczego on tak się przygląda i nic nie mówi? Pewnie chce mnie zwolnić. Co ja zrobię? Tu mam dobrze, nie jest tak ciężko, jak mają u bauera. Jak nadal będzie siedział, to będę myła dokładnie stół, nogi od stołu, a potem nawet futrynę od drzwi. Niech zobaczy, jaka jestem pracowita. Brałam już krzesło, aby na nie wejść i od góry myć futrynę. Odezwał się tak:

- Ojciec twój był drugi, czy matka jest druga?

Przeszył mnie prąd, szyja zabolała dusząco, w takiej chwili głos zmieniał się; jedno słowo wypowiadało się po cichutku, drugie głośniej lub bardzo głośno. Broda mi się trzęsła, nijak nie mogłam jej powstrzymać, płakałam i powiedziałam:

- Tatuś był moim pierwszym tatusiem, a mamusia drugą matką.

- Nie becz, nie będę cię bił.

- Tatuś nie był winien, bo nie podpalił tego ognia.

- Ty myślisz, że ja nie wiem? - ulżyło mi. On też wie, że Tatuś nie był winien.

- A pan widział mojego Tatusia i poznał go Pan?

- Tak, chociaż miał wąsa zgolonego i głowę, to go poznałem.

- I nie mógł go pan obronić?

- Ty myślisz, co bym go nie bronił. Nie mogłem, za krótko u mnie pracował i ja też za krótko tu mieszkam. On był w ostatniej piątce. Wywołali go ostatniego: - Domagała. Odpowiedział: - Ja, i szedł…

O więcej nie pytałam, nie mogłam, brakło mi słów. Nie wiedziałam, czy wypada jeszcze pytać, czy mnie nie skrzyczy. Byłam i tak wdzięczna, że mi to powiedział Niemiec! Sam nie powiedział ani słowa, a ja już tej futryny nie myłam. Poszedł. Stałam oparta o krzesło. Boże, myślałam, takie małe serce mam jeszcze, że też ono mi nie pęknie od tego wszystkiego?

Wieczorem tego samego dnia, kiedy oprzątałam świnie, przyszedł szef, czasem kontrolował, czy koryto dobrze wymyte. Przestałam się już go bać, pomyślałam, że to inny gatunek Niemca, więc zapytałam:

- Proszę pana, czy to prawda, że jednego człowieka odwiązali?

- Tak, bo na początku wojny on się za jednym Niemcem wstawił, a teraz ten Niemiec go wyratował.

Nie będę opisywała całego, ponad dwuletniego, okresu pracy u szefa, ale niektóre sprawy i wydarzenia w skrótach muszę opisać, bo są ważne. Jedna z nich dotyczyła mnie.

Pasłam krowę w rowach przy szosie i w lesie. W lesie teren był dla mnie nieograniczony, tak sobie szef załatwił. Wiadomo było, że ta dziewczynka z krową, to służąca Reimera. Może było późne lato w 1941 lub lato 1942 r. Pasłam krowę nad brzegiem lasu. W pobliżu na swoim polu pasła krowy Niemka w moim wieku, Eli Marielke. Przyszła jeszcze jedna dziewczynka, nie pamiętam dokładnie kto i razem siedziałyśmy na brzegu lasu. Eli miała zapałki, zgarnęła ściółkę, podpaliła szyszki i patrzyłyśmy jak ładnie się pali… Nieopodal miał też swoje pole Niemiec Grüning, ten, który głowę dawał, że Ojciec wróci. Nagle Eli pobiegła do krów, choć nie były w szkodzie. Dziewczynka pobiegła do lasu, myślałam, że po szyszki, a ja siedziałam sobie tyłem odwrócona do pola i nie wiedziałam, co się dzieje. Za moimi plecami odezwał się Grüning. Tyle naszczekał na mnie, mało jeszcze rozumiałam. Ogień zadeptał i odszedł. Eli do mnie już nie przyszła. W ostatniej chwili musiały go zobaczyć i dlatego uciekły.

Ze strachu pognałam krowę dalej, myśląc, że na tym sprawa się skończyła. Wieczorem Grüning przyszedł do szefa. Krzyczał niesamowicie, pokazywał gestem ręki na szyję i wydawał przy tym dziwny charkot. Padło słowo „juden". Szef zawołał mnie bliżej i zapytał, kto miał zapałki. Dopiero wówczas domyśliłam się, że to na pewno o mnie chodzi. Powiedziałam prawdę, że Eli miała zapałki, podpaliła szyszki i patrzyłyśmy jak się ładnie palą. Wtenczas szef rozdarł się na niego, aż się zrobił czerwony, a tamten odwracając się, wyszedł.

- Wiesz, co powiedział?

- Zrozumiałam tyle, że mówił o powieszeniu Żydów w Nekli.

- Powiedział, że ty będziesz powieszona razem z Żydami w papierowej koszuli. Nie bój się, nie dam cię powiesić, ale do Eli nie chodź, choćby paliła na swoim polu.

Poszłam do obory, patrzyłam na krowę, nie wiedziałam, co mam robić. Modliłam się, prosiłam Ojca na wszystkie świętości, żeby miał mnie w swojej opiece. Przeżyłam taki strach, jaki może mieć człowiek, który wie, że niedługo umrze. Straszne uczucie. Ojciec za niepodpalony ogień, ja za to samo – myślałam.

Nie opuszczaj mnie drogi Tatko,
Ty, który byłeś mi Ojcem i Matką.
A jeśli mi czegoś będzie trzeba,
Pomóż mi tam prosto z nieba.

Po trzech dniach szef powiedział:

- Jak myślisz, powieszą cię, czy nie?

Stałam z opuszczoną głową, każda cząstka ciała we mnie drgała. Nie powiedziałam nic, tylko myślałam: uklęknę przed nim, obłapię za nogi, będę prosiła, skomlała jak pies, żeby mnie tylko uratował…

- Nie bój się, wszystko załatwione, tylko dobrze pracuj.

- Dziękuję - chwyciłam go za rękę, pocałowałam i szybko wybiegłam. Byłam uratowana. Przez dłuższy czas nie oszczędzałam się, byłam mu bardzo wdzięczna.

W tym czasie, gdy wydarzyła się moja sprawa, Żydzi pracowali przy torach kolejowych. Budowali drugi tor. Mówiono, że od samego Poznania ten drugi tor kładli. Założyli do stacji Podstolice i na tym prace przerwano. Gdy Żydzi pracowali w pobliżu podstolickiego dworca, codziennie ich przyprowadzano z Nekli, a po pracy z powrotem prowadzono do Nekli. Byli wygłodzeni i ledwie szli. Czasem tych najsłabszych odwoził jakiś gospodarz, Polak. Nie wiem czy z rozkazu, czy z dobrego serca ich odwozili. Czasem widziałam, że odwoził ich pan Walkowski, który miał gospodarstwo bliżej stacji. Podkładaliśmy w torebkach gotowane ziemniaki w mundurkach, stawialiśmy pod drzewami, kiedy mieli przechodzić. Przechodzili przez Zasutowo, kiedy pracowali już na ostatnim odcinku tych torów… To nie trwało długo, może około miesiąca, a kolumna była coraz mniejsza. Ogólnie było wiadomo tyle, że przejściowo przebywają ci Żydzi w Nekli i codziennie tych słabszych wieszają w papierowych workach. Podkładaliśmy to jedzenie w trosce, żeby mogli dłużej żyć.

Jeśli piszę „podkładaliśmy", to znaczy, że anonimowi ludzie, między innymi ja. Nikt się nie afiszował. Nikt by się do tego nie przyznał. Wtenczas to było surowo karane, ale torebki stały gdzieniegdzie w centrum wsi i nie wiadomo było, kto je podkładał przy drzewach. Przykro było patrzeć, jak jeden więzień przez drugiego przepychali się, bo każdy z nich, kiedy już wchodzili do wsi, chciał iść z brzegu kolumny, żeby te dary zdobyć dla siebie. Głód sprawiał, że z dobrej woli jeden drugiemu nie użyczyłby ani jednego kęsa. Powstawało przepychanie, wyrywanie sobie nawzajem jedzenia, przez co Niemcy bili ich kolbami. Ale to ich chyba nie bolało, bo głód był silniejszy. Biedni ludzie. Dobrze, że ich bliscy nie mogli tego widzieć, bo serca by im popękały z żalu. Czasem widząc to, myślałam: dobrze, że Ojciec głodował tylko parę dni. Teraz Go już nic nie obchodzi, może lepiej, że już nie żyje? Ci Żydzi tyle upodlenia muszą znosić po to, żeby i tak na końcu być powieszonymi. Myślę, że nikomu z nich nie udało się przeżyć. Przecież ci ludzie byli tępieni z wyrachowaniem, bezwzględnie i okrutnie.

W międzyczasie ktoś z ocalonych w Małej Górce powiedział, że w poniedziałek 19-go maja, pod wieczór, wywozili naszych aresztowanych z Wrześni. Chociaż nie wiedzieli jeszcze dokąd jadą, to zorientowali się, że jadą szosą na Poznań (później mówił mi o tym p. Kopeć). Ojciec miał powiedzieć: Napiszę na karteczce tylko, że wieczorem 19-go przejeżdżamy przez Zasutowo i nic więcej. Karteczka gdzieś spadnie, może ktoś podniesie, to się dowiedzą jak i co. Pan Kurpik miał odradzać. - Człowieku, jadą za nami i nas oświetlają, kartka będzie fruwać i dopiero sobie narobimy... Masz rację - powiedział Ojciec - o tym nie pomyślałem. Później rozmawiałam o tym z panem Przybyłem, który potwierdził, że tak było. W Poznaniu dostali rano po kubku czarnej kawy zbożowej. W celi nie mieli na czym siedzieć, więc na zmianę opierali się łokciami o parapet.

- Wszyscy byliśmy smutni, bo każdy bał się o siebie. Ale twój ojciec był najsmutniejszy, był taki jakiś i milczał, milczał… Gdy go zapytali, co ty tak myślisz? Odpowiadał: „ co ta kobieta i te moje dzieci?…" Bardzo często to powtarzał, albo: „bydziesz widział, bydziesz

widział, nas jeszcze do Niemiec wezmą". To też często powtarzał… Czasem podrwili sobie z siebie. Kiedy wypuszczali ich za potrzebą, okropnie bili. Któryś z nich zauważył, że Ojciec wygiął się mocno, chroniąc tylną część ciała przed uderzeniem. - Ale ci się udało tym razem – mówił ktoś do niego.

- No, nie przeciągło tak mocno - odpowiedział.

Potem coś podpisywali, jakieś karty, listę czy formularz. Kiedy Ojciec znów powtarzał:

- Będzieta widzieli, oni nas do Niemiec… - pan Kurpik powiedział:

- Nieprawda. Jaką listę podpisywałeś, białą?

- Białą. Jak się podpisuje białą, to się wychodzi na wolność, różową, to do Niemiec. Czarną, to na śmierć. A ty podpisałeś białą, to wychodzimy na wolność. Siedziałem za broń, to już wiem, jak to jest.

Jakbym chciała, żeby Ojciec podpisał różową, milion razy różową, na pewno by wrócił. Jeśli takim dramatem wielkim byłoby wysłanie na roboty do Rzeszy, to jaką tragedią musiało być dla niego umieranie? Ojciec przeczuwał, że będzie źle, ale takiego zakończenia na pewno się nie spodziewał. Teraz wiedziałam już prawie wszystko. Pan Wojtkowiak powiedział mi później, że prawdą jest to, co pan Przybył mi powiedział, tylko, że to nie jest wszystko, ale ja ci nie powiem, bo jesteś za młoda na takie tematy.

- A ta czarna lista to była czarna?

- Nie, to była taka szarobura podobno, ale mówiło się czarna.

Wiesz, że stale po Tobie płaczę,
że Cię już nigdy nie zobaczę.
Czy widziałeś mnie jak w polu stałam?
Słyszałeś, jak głośno krzyczałam?

Może Ci było lżej, jeśli mnie widziałeś,
Kiedy tam pod murem stałeś.
Ja Cię nie dojrzałam mój Ty,
To wszystko przez te gorzkie łzy.

Dowiedziałam się tymczasem, że pierścionek, który Ojciec znalazł w dniu aresztowania, macocha wydała do domu rodzinnego, bo kiedyś tam pojechała, twierdząc, że nam przyniósł nieszczęście. I aby już tę historię nieszczęsnego pierścionka zakończyć dodam, że po wojnie dowiedziałam się, że ciocie moje spaliły go, gdyż uważały, że im też przyniósł nieszczęście, ponieważ wujka - ich brata, zabrali Niemcy na roboty do Rzeszy.

Muszę znów wrócić, chcę czy nie, do mojego pobytu i pracy u Reimera. Zaczęły się tam dziać różne, niezrozumiałe z początku dla mnie, rzeczy. Przede wszystkim za często były zabijane tam świnie. Polacy mieli zezwolenie na zabijanie świni raz w roku, tzw. „Schlachtschein". Niemcy dwa razy do roku. Reimer zabijał częściej, co 4-5 miesięcy. Najdziwniejsze było to, że zawsze świnia była w „patyku" czyli zagrodzie w chlewie. Raz przy karmieniu wieczorem wydawało mi się, że świnia jest mniejsza, ale napatrzyłam się w lesie na wysokie sosny, to teraz wszystko wydaje mi się małe - myślałam sobie. W lesie czułam się wspaniale. Położyłam się nieraz, oczy podnosiłam na sosny w górę i słuchałam, jak sobie szumią lub są całkiem spokojne. Wyobraziłam sobie duże podium, że to taka scena szkolna i mówię piękne

wiersze, a ludzie siedzą i są zachwyceni. Te wiersze, o których wówczas marzyłam, latami za mną chodzą, nigdy nie były napisane, bo nie potrafiłam, chociaż tak bardzo chciałam. Mam zanotowane takie rozmyślania:

Jakie piękne, wysokie sosny
W tym lesie naszym urosły,
Gdy tak sobie cicho szumią,
To czy one się rozumią?

Może sobie opowiadają,
Bo z pewnością usta mają.
Ale czy one słyszeć umią
I mój płacz zrozumią?

A jeżeli serca mają,
Może sobie czasem śpiewają.
Czy aby wtenczas słyszały
W Małej Górce śmiertelne strzały?

Czy one też strach mają,
Że je ludzie kiedyś pościnają,
Czy taką sosnę też boli,
Gdy ją ścinają piłą powoli?

Może one też płakać umią,
Dlatego tak stale szumią i szumią,
A może Tatko zamienił się w sosnę gładką
I stoi sobie z inną sosną, moją Matką.
Może spotkali się już daleko w zaświatach
I rozmawiają o dawnych, minionych latach?

A brzozy są duże i małe
Trochę szare, trochę białe
Gałęzie opuszczone, kłaniające
Listki małe, szeleszczące.
One płaczą, bo w maju
Ludzie na bukiety je zrywają…

Tego dnia byłam dłużej w lesie, bo w dniu poprzednim, kiedy wróciłam z krową pod wieczór, szef stwierdził, że krowa jest nienajedzona.

- Jutro wypędzisz wcześniej i później wrócisz. Krowa musi być dobrze nakarmiona.

On chyba się na mnie uwziął, przecież krowa zawsze równo jadła. Przypędziłam później. Tylko dlaczego akurat wieczorem druga służąca szorowała podłogę? Jeszcze nigdy tego wieczorem nie robiła. Znacznie później skojarzyłam sobie, że w tym dniu też było

świniobicie. Niemcy też byliby ukarani za nielegalny ubój. Powszechnie wiadomym było, że Polakowi za ubój bez zezwolenia groziła kara śmierci. Z Niemcami różnie bywało, oni mieli inne kary. Brali za to na front, czasem do obozu, jeżeli był małowartościowym Niemcem. Tak mówił nasz szef. Musieli mnie później wtajemniczyć, bo ile razy mógł mi mówić: ty za mało dajesz świni, ona jest coraz mniejsza lub: Jak ta świnia przez ten czas urosła! Bo znów w miejsce zabitej była większa. Pewnego dnia widział, że szykuję świni jedzenie, ale nic nie mówił. Gdy poszłam je wlać do koryta, wcale jej nie było, bo nie zdążyli przywieźć następnej. Śmiał się i kazał mi jej szukać. I wówczas pani posłała mnie po coś na górę do sypialni i ostrzegła, abym się nie przestraszyła. Kiedy weszłam, rozpołowiona świnia leżała na rozciągniętym stole. Zeszłam na dół blada. Powiedzieli mi oboje, że nie wolno mówić nikomu, bo tak i tak… Powiedzieli mi też dlatego, że następnym razem za zimno będzie na wypas krowy, a po trzecie, już dawno nie chodziłam do domu nocować.

Raz widziałam, że zabijał rzeźnik Białkowski, też pracownik szosowy, którego matka przed wojną prowadziła sklep kolonialny w Podstolicach. Sytuacja była na tyle niebezpieczna, że do biura przychodziło sporo ludzi, czasem również Niemcy. Dlatego dla bezpieczeństwa, żeby nie było zapachów kiełbasiano-tłuszczowych, kładłyśmy na szufelkę rozpalony węgiel, na to szmaty i z tymi tlącymi się szmatami od czasu do czasu przeszłyśmy się frontowym korytarzem po schodach do góry i z powrotem. Czuło się wtedy zapach spalonych szmat. Po każdym świniobiciu na drugi dzień pracownicy biurowi proszeni byli na świńską czerninę. Do jadalni musieli przechodzić przez kuchnię. Patrzyli na nas wtedy porozumiewawczo, a pan Szczepański pokazywał dłonią podcinanie gardła i mówił szeptem kl, kl, kl. Część mięsa wywozili do Poznania, bo tam mieli wszystkich krewnych. Szefostwo również sprowadzili się tu z Poznania. Reszta mięsa rozchodziła się nie wiadomo gdzie. Szef jechał gdzieś do urzędu – zabierał. Od czasu do czasu dostawał powołania do wojska, zabierał. Myślę, że on wszędzie wykupywał się w tych urzędach, wyrabiał sobie jakąś pozycję, aby móc mieć coś do powiedzenia, jeżeli zajdzie potrzeba, a w razie czego i jego mógł ktoś ratować, bo byłoby za co. W czasie wojny również u Niemców była bieda. Na kartki wszystko było, a w urzędach nie pracowali rolnicy tylko niemieccy urzędnicy. Więc gdy szef dostawał powołanie do wojska, tak sobie załatwiał, że odwoził samochód na front wschodni, co trwało około 14 dni i wracał. Niemcy nie głupi, żeby taką kurę co złote jajka znosi, zabijać. Więc gdy chcieli sobie podjeść, dawali znów powołanie do wojska.

Szef raz powiedział:

- Jestem w grupie posiłkowej. Wszystkich muszę posilać; jednym mięso, drugim samochody.

Gdyby ojciec później był aresztowany, kto wie, może na tyle byłby mocny, że by go uratował. On ratował ludzi! Miał takich pracowników, którzy przyjeżdżali jedynie po wypłatę. Zatrudniał nauczycieli i żył z nimi w dobrej komitywie. Nie byli nigdy aresztowani, więc dobrze ich chronił. Inny Niemiec palcem by wskazał na nauczyciela, żeby go aresztować.

Wspomniałam wcześniej, że w domu już nie mieszkałam. Napiszę krótko. Jednego dnia macocha powiedziała, żebym więcej jej progu nie przekroczyła. Mam sobie pójść, gdzie chcę, bo u niej nie ma miejsca. Pamiętam, że wyszłam z domu, stanęłam i nie wiedziałam co zrobić. Czy iść z tego miejsca gdzieś w świat, bo wydawało mi się, że skoro w domu nie mogę nocować, to znaczy, że u Reimera też nie mogę służyć. Było już ciemno. Do domu po pracy zawsze wracałam, gdy było ciemno. Kiedy już się wyszlochałam, poszłam do Reimerów.

Myślałam, że przez tę noc może z krową lub w małej stodółce się prześpię i może coś mi doradzą. Jednak kiedy weszłam, na nowo zaczęłam płakać. Trochę to trwało, zanim zrozumieli, o co chodzi. Jednakże obcy ludzie więcej mi okazali serca niż siostra matki, czyli macocha. Przyjęła mnie na wspólne łóżko druga służąca, uprzednio wypraszając pozwolenie u naszej pani. I tak już zostało do końca mojego tam pobytu.

Kiedyś zapytał nas szef, czy chcemy pójść do spowiedzi wielkanocnej. Pewnie, że chcemy. Myślałam sobie: gdzie my pójdziemy, bo byłam wiercipięta i nudziło mi się stale na jednym miejscu siedzieć. W Nekli, zdaje się, księdza już nie było, a w okolicy wszyscy zostali aresztowani. Może we Wrześni jest jeszcze jakiś ksiądz? Aż tu kolejnego dnia pani powiedziała, że jutro rano będzie spowiedź w pokoju gościnnym. Wiem, że najpierw był ktoś z obcych u spowiedzi, oni byli wpuszczani frontowym wejściem i przez biuro wchodzili do gościnnego. Tam ktoś się kręcił, drzwi były otwierane i zamykane. My siedziałyśmy w kuchni, czekając na swoją kolejkę. Przejść musiałyśmy przez jadalnię do gościnnego. Gdy weszłam, zrobiłam krok do tyłu.

- No wejdź, wejdź, nie bój się - powiedział ksiądz, ubrany normalnie, jak ksiądz.

- A milczeć umiesz?

- No pewnie - powiedziałam. Widziałam go parę razy przez judasza, gdy przychodził po wypłatę. Zawsze wydawał mi się taki delikatny… Nigdy nie dowiedziałam się, kto wówczas z obcych był jeszcze u spowiedzi. Na drugi dzień przy sprzątaniu pokoju gościnnego widziałyśmy w szufladzie mieszczącej się w dolnej części szafy komżę i stułę. Zamknęłyśmy natychmiast szufladę i udawałyśmy, same przed sobą, że nic nie widziałyśmy. Potem już tych rzeczy nie było, bo po kryjomu, z ciekawości, tam zajrzałam.

Wspominam te dziwne sprawy, które tu się działy po to, żeby teraz, po latach wyciągnąć jakieś wnioski. Mnie się wydaje, że to była jakaś współpraca z konspiracją, a może ona tam wprost tkwiła w tym domu? Może ja byłam za młoda, żeby to spostrzec?

Nie oznacza to, że miałyśmy tam lekko. Pracowałyśmy jak mrówki. Pani nie pracowała wcale, a kaprysy miała nieraz nie do zniesienia. W kuchni musiało błyszczeć, w jadalni super czysto, a jeszcze palcem po bufecie przetarła, sprawdzając, czy nie ma kurzu. Razem z biurem miałyśmy pięć pokoi do sprzątania i dwa z ukośnym sufitem, dwa korytarze, schody, masę okien do mycia, gotowanie, pranie, prasowanie, ogród, wszystko na naszych głowach. A przecież prądu nie było. A ilu gości przyjmowali jeszcze! Nie narzekałyśmy. Gdzie indziej było gorzej. Dla służby oddzielne gotowania, czyli gorsze. Dokuczała nam niewola, brakowało wolności, jej pragnęłyśmy najwięcej. Wolne dostawałyśmy dość często, ale to nie wszystko. Z tęsknoty śpiewałyśmy różne pieśni i przy śpiewaniu bardzo często płakałyśmy. Nie tak dawno pisała do mnie starsza służąca i pytała, czy pamiętam, jak śpiewałyśmy pieśń, której mój Ojciec ją uczył: „Błogosław Matko naszej polskiej ziemi”? Nie pamiętam. Aż wstyd! Pamiętam jedynie ten tytuł i melodię. Bardzo też ciepło wyrażała się o moim Ojcu.

W 1942 r. Reimerowie jechali do znajomych do Bydgoszczy. Prosiłam ich, żeby wystarali się o passierenschein i zabrali mnie ze sobą do Cioci. Szef postarał się o tę przepustkę. Gdy zajechaliśmy, zaprowadził mnie do mieszkania cioci i poprosił o odprowadzenie następnego dnia na dworzec, bo będą wyjeżdżali. Cieszyłam się z tego bardzo. Przynajmniej mogłam cioci opowiedzieć wszystko o Ojcu. Wiedziała jedynie, że Ojca już nie ma i nigdy już Go nie zobaczy. Bałyśmy się o wszystkim pisać w listach, bo często Niemcy je kontrolowali. Wiele razy się o tym słyszało.

Na początku 1940 r. siostra napisała do Ojca, że jego kuzyn Tadeusz Kruszka nie żyje, najpierw był ranny, ale nie leży na cmentarzu. Ojciec czytał ten list parę razy w kółko i stwierdził, że jest w tym „ich macha", bo gdyby umarł normalnie, spoczywałby na cmentarzu, ale dlaczego był ranny? Wyjaśniła mi ciocia dopiero, jak tam pojechałam. Aresztowany został w 1939 r. przez żniński Selbstschutz podczas transportu wraz z innym Polakiem.

Po wkroczeniu wojsk niemieckich w 1939 r. został aresztowany w rodzinnym Słabomierzu przez członków Selbschutzu i odprowadzony na posterunek w Żarczynie. Stąd transportowano go do Żnina torem wąskotorówki wraz z właścicielem Srebrnej Góry, Edwardem Mieczkowskim.

Podczas transportu eskortujący ich Niemiec Jensch nagle zaczął strzelać, śmiertelnie raniąc Mieczkowskiego. Kruszka otrzymał sześć kul i uznany został przez Niemców za zmarłego. Ofiary zostawiono na polu. Tadeusz Kruszka mimo ciężkich ran doczołgał się do pobliskiego gospodarstwa, gdzie uzyskał pomoc i został odwieziony do szpitala w Żninie. Niestety, oprawcy dowiedzieli się o tym i zabrali go ze szpitala. Został zabity na polu w pobliżu Małego Jeziora w Żninie i tam pochowany.

Czasem Reimerowie wybierali się na piesze spacery do lasu i po drodze wstępowali do leśniczego pana Poddanego. Pewnego dnia po takim spacerze powiedzieli nam, że przyjedzie tu za parę dni krawiec, trochę tu pomieszka i nas obszyje. Będzie spał i szył w pokoiku – wędzarni. Wędzarni, bo tam był piec do wędzenia. Wstawiliśmy maszynę i szył. Po dwóch tygodniach może, krawiec powiedział nam, że się ukrywa prawie od początku wojny, że był u pana Poddanego i dostawał tam listy. Teraz też chciałby pisać do narzeczonej i nie wie, jak to dalej będzie. Pisywał potem na adres jednej pani, a ja na rowerze odwoziłam jego listy na pocztę. Nazywał się Leon Wilczyński. Nie wiem, skąd pochodził, ani do jakiej miejscowości pisywał, dlatego, że wszystkie miejscowości były pisane po niemiecku, więc niełatwo było zapamiętać. U pana Poddanego nie mógł już dłużej być, więc szef zgodził się tak długo ukrywać go, jak długo się da. Wychodził tylko na podwórze do ubikacji. Wiedzieli o nim pracownicy biurowi, pan Wróbel, który był też pracownikiem szosowym, ale pracował jako podwórzowy; wyrzucał obornik, pucował krowę, ścielił słomę, kopał w ogrodzie, no i w ogóle utrzymywał porządek w obejściu. Wiedział też pracownik szosowy, niejaki Kaszyński, który u Reimera w szopie wykonywał jakąś stolarkę. Przed nimi nie dałoby się ukryć obecności Wilczyńskiego, więc byli wtajemniczeni. Myślę, że pracownicy biurowi, jak i ci zatrudnieni w podwórzu i paru innych jeszcze, byli szczególnie chronieni przez szefa. A krawiec szył i szył. Uszył mi płaszcz z długiej kurtki szefa, suknię i fartuch. Fartuch na pamiątkę przechowuję do dzisiaj.

Ten krzyk szefa „na nas", gdy wracał z zebrań, nie był groźny. Zauważyłam raz, jak otworzył okienko przy schodach, stał przy nim i krzyczał. Nieopodal był ogród Niemca Marielke i liczył na to, że oni go słyszą. Dlatego nie bałam się już tego krzyku. Kiedyś przyjechał taki wesoły, że idąc po schodach na dół, śpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła".

- Panie - powiedziałam - przecież okienko na schodach jest otwarte! - Dostałam burę, że nie zamykam okienka, kiedy kończę zamiatać.

Widziałam kiedyś takie wydarzenie, które mogłoby się wydawać śmieszne. Szef stał przed domem z jakimś nieznanym mi Niemcem, a od strony wsi nadjeżdżał młody człowiek w koszulce z krótkim rękawem, bo było lato. Ręce miał założone na piersi i nie trzymał

kierownicy. Miałam dobry punkt obserwacyjny, bo myłam okno w gościnnym pokoju. Niemiec powiedział do szefa:

- Widzi pan? Zaraz mu mordę zleję!

Szef go wyprzedził i powiedział:

- Halt! - młodzieniec zatrzymał się.

- Dlaczego nie trzymasz kierownicy?

- Bo mi zimno w ręce.

- To za karę zawróć, jedź do zakrętu koło Pomerenkego i z powrotem tu się zatrzymaj.

Pojechał, zawrócił, stanął. Szef szybko podszedł do niego, pięścią wymachiwał mu przed nosem i groził, że jak jeszcze raz to zobaczy… Kto wie, jakie mu znaki dawał przy tym, bo u młodego strachu nie widziałam. Uratował go chyba od pobicia przez tego drugiego. Niemiec był niezadowolony, bo mu coś o biciu mówił. Szef powiedział, że nie będzie sobie rąk brudził polską świnią. Kiedy się pożegnali i szef zatrzasnął drzwi, wchodząc do biura, powiedział sam do siebie po polsku, głośno: Jak cię ręka swędzi, to ją sobie podrap. Oni zawsze mówili do nas po polsku, nawet między sobą, przy nas. Jedynie kiedy się sprzeczali, to mówili po niemiecku. Dlatego będąc u nich, mało rozumiałam niemiecki. Widziałam też, jak zimą szef dawał za darmo biednemu człowiekowi węgiel w worku.

Wspominałam, że dość często w niedzielę dostawałyśmy wolne. Brałam je sobie najczęściej w niedzielę po południu, bo nie miałam gdzie pójść. Druga służąca czasem mogła już pójść w sobotę wieczorem. W niedzielę rano kazano mi zabić indyka. Indyk był wielki. Zaniosłam go do szopy, która przylegała do szczytu domu. W tym szczycie, u góry była sypialnia. Usiadłam na pieńku i zaczęłam płakać, darłam się w niebogłosy, wiedziałam, że tu mnie nikt nie usłyszy. Nie wiedziałam, jak się do niego zabrać. Indyk się szarpie, a ja i tak wiem, że go nie zabiję, bo nie mogę. Krzyczę więc: Co za nieszczęście mnie spotkało, akurat jak jestem sama, indyka się im zachciało, chociaż mają inne mięso. Kiwam się, jakbym wiła się w boleściach, a tu wpada szef. Spodnie miał ubrane na nocną koszulę, był boso, bez papci. Jak mnie zobaczył siedzącą na pieńku - wściekł się.

- Przynieś nóż! - Przyniosłam.

- Teraz trzymaj łeb!

- Nie utnę. To już lepiej niech mnie pan zabije i już!

- No to za karę trzymaj! Trzymałam za korale przy szyi, odwróciłam głowę, a on tego indyka chrympał. Resztę zrobiłam już sama. Do dzisiejszego dnia nie zabiłam jeszcze żadnego domowego ptactwa. Pani powiedziała później, że słyszeli mój krzyk, więc myśleli, że sobie palce uciełam lub w nogę toporkiem rąbnęłam. Dlatego pan leciał na złamanie karku.

Nieraz opowiadam mojej koleżance o różnych wydarzeniach (bo tu o wszystkim nie napiszę, dlatego że o wszystkim nie jestem w stanie sobie przypomnieć) i pytam ją, co sądzi o takim postępowaniu szefa jako Niemca. Mówi, że on pewnie był takim naszym „Klossem" i kto wie, czy tej żywności nie przekazywał też jakimś organizacjom, bo tyle mięsa nie mógł dawać tylko Niemcom. Mówi, że byłam jeszcze smarkata i wiele spraw mogło umknąć mojej uwadze. A mnie przecież nie mogli wtajemniczać, bo im mniej ludzi o czymś niebezpiecznym wiedziało, tym lepiej.

Co jeszcze zauważyłam, mieszkając w Zasutowie?

Polskie dzieci rodzące się w tym czasie otrzymywały imiona wyznaczone przez Niemców. W Urzędzie Stanu Cywilnego były proponowane dwa imiona do wyboru: Zdzisław i

Mirosław, a jeśli była to dziewczynka to Zdzisława i Mirosława. Co jakiś czas zmieniano te imiona. Nie wiem dlaczego i jak długo to trwało. Starsi mówili, że Niemcy specjalnie wytypowali słowiańskie imiona, aby potem, gdy wygrają wojnę, nie potrzebowali długo szukać. Wojenne roczniki o typowo polskich imionach to Polacy. Miało to jakieś znaczenie. Później, gdy mieszkałam w Małej Górce, nie pamiętam, jakie nadawano imiona, bo też chyba żadne polskie dziecko w tym czasie się nie urodziło. Przeważnie mieszkały tam rodziny w średnim wieku.

Przyszedł czas, że musiałam opuścić to miejsce, w którym było mi względnie dobrze. Reimer dostał znów powołanie do wojska, teraz już nieodwołalnie na stałe. Popłoch powstał, bo wcześniej starszy syn poszedł na front wschodni, teraz on. Pani z młodszym synem i drugą służącą miała wyjechać do Poznania. Mogła mieć jedną służącą, wolała starszą. Nie pamiętam, jaki szef miał wyznaczony termin, aby zlikwidować biuro i wyprowadzić rodzinę z Zasutowa. Szef zaczął od tego, żeby najpierw mnie gdzieś w pobliżu ulokować. Powiedział mi:

- Nie bój się. Na pastwę losu nie zostawię cię. Nie pójdziesz na Arbeistamt po nową pracę, bo cię mogą do Niemiec wysłać albo coś gorszego może się stać. Poszukam ci jakąś pracę.

W Poznańskiem było tak, że każde dziecko, które ukończyło 13 lat, musiało pracować. Aby nie dostać wezwania z pośrednictwa pracy, bo kto wie, gdzieżby skierowano do pracy. Najczęściej dzieci i ich rodzice obawiali się wywózki do Niemiec. Każdy z wyprzedzeniem szukał pracy dla siebie gdzieś bliżej. Oczywiście były także wyjątki, może przez przeoczenie lub rodzice potrafili wybronić swoje dziecko, aby nie potrzebowało męczyć się jak inne. Każdy kombinował jak mógł i nie mam tego nikomu za złe.

Reimer znalazł mi pracę. Przypadek sprawił, że podjęłam pracę w Małej Górce u brata tego Niemca, u którego spłonęła obora i gdzie był rozstrzelany Ojciec. Mimo to, byłam mu wdzięczna, że w ogóle mi pomógł, że nie zostawili mnie na ulicy. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, do kogo idę pracować. Minęły trzy dni i już tam byłam, Pan Wróbel zawiózł moją walizkę rowerem, a ja poszłam po południu już sama.

Wyszłam z domu Reimera, stanęłam, spojrzałam na mój dom, w którym mieszkałam z Ojcem. Nas już tam nie ma, pomyślałam i zrobiło mi się żal, że już nigdy tam nie wejdę, że już ich nie obchodzę…

Szczęśliwi, co cudze dzieci puszczają w świat,
tych one ani łez, ani cząstki ich żywota nie kosztują
i nie zapłaczą po nich gdy gdzieś w tłumie przepadną
Józef Ignacy Kraszewski

8 września 1943 roku szłam do Małej Górki i myślałam, co mnie tam czeka, jaki los mnie spotka. Tatuś rozpoczął u Reimera i skończył w Małej Górce. Czy teraz ma być podobnie? Czy tam jedzenie dla służby będą gotować osobno? A jeśli tak, to będzie gorsze. Szef powiedział mi na odchodne:

- A nic nie klep, co tu się działo.
- Proszę pana – powiedziałam – nie jestem szlaberlize!

Tu byłam przyjęta do dzieci. Pierwszego, tego samego jeszcze dnia, 9-miesięczny chłopiec wypadł mi z rąk na podłogę. Koniec – źle się zaczyna. Pierwszy raz mogłam zobaczyć, jak matka, Niemka, doskoczyła do dziecka jak lwica. Nie krzyczała na mnie, ale ostro pouczyła, że mam uważać, bo dziecko jest bardzo żywe. Przy okazji powiedziała, że do dziecka mam mówić po niemiecku. Następne, czyli czwarte dziecko, urodziło się w marcu 1944 r. Gdy wojna się zakończyła, bo tak lepiej mi się liczy, to najstarszy chłopiec, Arnold, miał 10 lat, dziewczynka, Eryka, 8 lat, Willi, którego ja już chowałam od dziewięciu miesięcy, miał ponad dwa lata i dziewczynka, Ursel, ponad 1 rok.

W pierwszym dniu nie wiedziałam jeszcze, że mój gospodarz, który był w wojsku, jest bratem tego, u którego spaliła się obora. Właśnie w pierwszych dniach o wszystkim informowała mnie starsza służąca, pani Luc'i, uświadomiła, u kogo jestem. Moim nowym panem jest Wilhelm, a jego brat to Gustaw Sonnenberg. Wcześniej jej powiedziałam, że mój Ojciec był rozstrzelany u tego gospodarza na początku wsi.

- O, wa… , to jest brat naszego!

Ciarki mi przeszły po całym ciele.

Jestem tu teraz mimo woli,
A serce jeszcze bardziej boli.
Przyszłam w to miejsce niechcący,
Pobyt tu będzie dla mnie dręczący.

Mieszkałam w środku wsi. Zanim poznałam ciężką pracę, najpierw poznałam Gustawa Sonnenberga. Mój nowy pan walczył na froncie. Gustaw Sonnenberg służył wszelką radą i opiekował się moją nowa panią, po kilku dniach przyszedł.

- To on - powiedziała Luc'i - i na pewno przyszedł z ciekawości ciebie zobaczyć.

- A skąd on może wiedzieć, że jestem córką zabitego?

- Już ty się nie martw. Oni wszystko wiedzą. Z pewnością spisał wszystkie nazwiska, aby wiedzieć po wojnie, kogo ma się bać.

Dowiedziałam się od Luc'i, że mają sześcioro lub siedmioro dzieci, już nie pamiętam, ile dokładnie. Najstarszy syn jest w wojsku, a najmłodszy jeszcze do szkoły nie chodzi.

Przez cały czas Gustaw Sonnenberg przebywał z panią w pokoju. Wychodząc, zatrzymał się w kuchni, aby dokończyć rozmowę, a na mnie patrzył nieznacznie z ukosa. A ja dybałam, żeby mu prosto w oczy patrzeć, a w myślach wyzywałam: ty gadzie przeklęty, żebyś zdechł, gorzej niż oni zdychali. Ty chytry psie, żal ci było pieniędzy na nową oborę, którą spaliłeś. Dzięki tym biednym ludziom, którzy przez ciebie zginęli, Hitler pobudował ci nową za darmo. Żeby te dusze niewinne chodziły za tobą do końca życia twojego, żebyś nigdy nie zaznał spokoju, żeby twój syn nigdy z wojny nie wrócił. Cały czas patrzyłam na niego, a on co spojrzał na mnie, widząc utkwiony wzrok, zaraz odwracał oczy. Gdyby stał jeszcze z godzinę w kuchni, przez cały czas mogłabym życzyć mu wszystkiego najgorszego.

Nareszcie żegna się i nagle, jakby mnie dopiero zobaczył, po polsku powiedział do pani:

- O, widzę, że masz nową niańkę?

- Tak, od paru dni, bo Jadzia nie nadawała się, bardzo się jąkała.

Jak on ładnie udawał! Tylko gdzie ja takie oczy, podobne do jego, już kiedyś widziałam? Niby normalne oczy, a górne powieki przy zewnętrznych kącikach lekko opuszczone, przez co wyglądały jakby były ukośne.

Druga służąca, Lucyna, była starsza ode mnie o trzynaście lat. Pani zwracała się do niej Luc'i, więc wszyscy tak mówiliśmy. Byli tutaj Piotr, nazywany Pejtrem i Tadeusz. Służba. Luc'i kazała sobie mówić po imieniu, ale nigdy tego nie robiłam. Zawsze mówiłam pani Luci.

Poznałam wszystkie prace polowe. Pracowałam na równi z dorosłymi przy wykopkach, burakach, ręcznym roztrząsaniu obornika widłami, przy żniwach, młóceniu. Jednakże najczęściej, szczególnie po południu, byłam przy dzieciach. Najpierw z tym jednym małym, potem z dwójką. W polu nie ma stale pracy, a ponadto Niemcy wypożyczali sobie służących do pracy w polu, więc to mnie dość często omijało. Gdy pracowałam w polu, to były ciężkie dni. W tym czasie pani musiała obiad gotować i była tak zmęczona, że ja musiałam z dziećmi spać w nocy. To była męka. Do każdego podgrzania mleka czy herbaty trzeba było rozpalać ogień, a jak miałam noc zarwaną, to na drugi dzień byłam słabsza. Po prostu wyczerpana. Wtedy pomyślałam, co by powiedział Ojciec, gdybym mu się poskarżyła?

Może by powiedział:

Nic nie mów, tylko cierpliwie rób,
Bo możesz mieć taki jak ja grób.
Robię dla ciebie wszystko, co tylko mogę,
Żeby ci ktoś, jak mnie, nie podstawił nogę.

Potrafiłam wykonać wszystkie prace. Jedynie krów nie doiłam, nie mogłam, nie miałam siły. Ręce miałam często „przerobione", przy nadgarstkach powiązane, bo kostki mi wychodziły jakoś i bolały. Dlatego Luci nie pozwoliła mi doić krów. Najbardziej lubiłam te wszystkie dni, gdy nie było pracy w polu. Przy pogodzie wyjeżdżałam z wózkiem w stronę łąk, brałam zeszyt i ołówek i skarżyłam się temu zeszytowi. Raz po raz patrzyłam w stronę gospodarstwa Gustawa Sonnenberga. W tamtą stronę szyja się sama wykręcała. Wyobrażałam sobie na różne sposoby, jak to wówczas mogło być? W którym miejscu mogła być ta „poczekalnia", w której Ojciec czekał na swoją kolej? Od tego zależało, czy mógł mnie widzieć, czy nie. W miarę upływu czasu narastała coraz większa tęsknota. Mówią: czas ukoi rany. Nieprawda. Dla mnie czas zatrzymał się w miejscu. Stale miałam 12 lat, gdy o Ojcu myślałam. Muszę się trochę cofnąć w czasie. Powinnam wcześniej o tym napisać, ale jakoś przeoczyłam, zgubiłam ten wątek.

Było to już po tym, gdy poznałam Gustawa Sonnenberga. Pewnego dnia przed południem szorowałyśmy podłogę w kuchni. Nie było szczotek do szorowania. Szorowałyśmy perzem. Z suchego perzu zwiniętego w pęczek jest dobra szczotka. Byłyśmy z Luci przy takiej pracy, kiedy przyjechał na motorze szef z żoną i powiedział mojej nowej pani, że mogą mnie zabrać z powrotem. Oj, pojechałabym zaraz, chociażby dlatego, że kiedy pasłam krowę w lesie, mogłam skupić się przy pisaniu i rozmyślaniu, bo krowa do mnie nie mówiła. A ten dzieciak stale potrzebował opieki. Pani nie zgodziła się, powiedziała, że nie będzie szukała innej, bo jest ze mnie zadowolona i ma do mnie prawo, bo jestem u niej zameldowana. A ja tak stałam i słuchałam, myślałam też, jak on znowu to „wywinął", że znów dowiózł samochód na front i wrócił. Nagle szef zapragnął zobaczyć, jak się jej świnie chowają. Kiedy

obie panie rozmawiały, poprosił, abym go oprowadziła, bo chętnie by obejrzał, czy są ładne. Ledwie weszliśmy do chlewu, zapytał szybko;

- Ty się gniewasz? Dlaczego nas nie odwiedzasz?

- Nie, proszę pana, po pierwsze myślałam, że pan jest na wojnie, a pani w Poznaniu, a po drugie nie miałam jeszcze wolnego.

- Co ??? Ja to załatwię. Zobaczysz. Masz tu ciężko ?

- Tak, nieraz bardzo.

Wyszliśmy.

- No, ładne świnki pani ma! Pierwsza klasa! Będziemy się zbierali. Pani pozwoli, że ją kiedyś odwiedzimy. Bardzo pani miła.

Do mnie zwraca się:

- A ty, kiedy będziesz miała wolną niedzielę? Tę, czy następną? To nas odwiedź.

- Dobrze, proszę pana.

Dostałam wolne zaraz w nadchodząca niedzielę. Najbardziej cieszył się krawiec. Biedny, tak mało ludzi mógł widzieć. Stał u góry na schodach, rękoma wymachiwał i mówił:

- O, mój pyrdek przyszedł, mój betlejek, o mój podjodyszek! - Tak mnie zawsze przezywał.

Dostawałam odtąd wolne jedno popołudnie niedzielne raz w miesiącu, a u szefostwa byłam jeszcze dwa razy. Szefostwo bywali u mnie, to znaczy odwiedzali moją panią jeszcze parę razy. Wiedzieli ode mnie, że po takich ich wizytach przez pewien czas miałam trochę lżej. No, może lepiej byłam traktowana. Ażeby nie podpadło, że przyjeżdżają, nie wiadomo po co, szef powiedział przy jednej z wizyt:

- Przyjeżdżamy, bo żona chce ją adoptować, gdyż nie mamy córki.

- Och! - westchnęła moja pani.

Może mieli taki zamiar? Jeżeli tak, to czy miałabym prawo bronić się? Jedno wiedziałam na pewno, że nigdy nie chciałabym być Niemką.

Skoro jesteśmy przy Reimerze, to przypomnę jeszcze jedno zdarzenie.

Szef stał przed domem i naraz przyprowadził małego, ok. 8-9 letniego Żyda, który zapytał, czy szosa ta prowadzi do „Worszał", a powinien powiedzieć do „Warszał". Dlatego szef zorientował się od razu, ze musi być nietutejszy. Daliśmy mu jeść, a on tak spieszył się, jakby tydzień nic nie jadł. Szef wypytywał skąd idzie, że ma się nie bać. Chłopiec powiedział jedynie, że idzie do Worszał do ojca i nazywa się Dawid Rubinowicz Rozenbaum. Był bystry, oczy miał czarne, duże, nieufne. Dostał prowiant na drogę, a szef go pouczył, żeby nie wstępował po pomoc do dużych, bogatych domów, tylko do małych chatek, brzydkich, bardziej w polu.

W 1944 r., w czasie kiedy w Warszawie było powstanie, szef wyrobił krawcowi papiery, jakoby utrzymywał uciekiniera z powstania i legalnie już (nie wiem na jakie nazwisko były te dokumenty wystawione) wyjechał do Niemiec na roboty. Podobno krawiec cieszył się z takiego obrotu sprawy, gdyż zaczęły mu nerwy wysiadać przez to ciągłe ukrywanie. Przebywał u szefa około dwóch lat. Czy prawdziwy Niemiec by tak postępował?

Dowiedziałam się znacznie później, że Reimer uratował Polaków, którzy mogliby być aresztowani za, mały wprawdzie, pożar w Zasutowie.

Mieszkała tam starsza Niemka z synem. To był mały domek z budyneczkami gospodarczymi. Mówili na nią Eliaszka. Nie wiem, czy to było nazwisko, czy syn nosił imię Eliasz. Nie miała jednej ręki do łokcia, dlatego wszystkie prace wykonywał Eliasz, zakupy też. Eliasz

wyglądał, jakby miał „piątą klepkę pękniętą". Daszek od czapki naciągał na oczy i patrzył w górę, ale nie był szkodliwy i na „Guten Tag" coś tam odburknął zawsze.

Spłonęła u nich szopka i Eliaszka zgłosiła, że ją Polacy podpalili. Ludzie się bali, że może powtórzyć się Mała Górka. Doszło do Reimera, co Eliaszka rozpowiada i zaczął z miejsca działać. Poszedł do niej i zażądał, aby odwołała takie oskarżenie, bo Polacy na pewno tej szopki nie podpalili. Zapytał, czy wie, że Polacy mogą być za to rozstrzelani? - Wiem - odpowiedziała.

- Ale pani będzie musiała na to potrzeć!

- No to będę.

Reimer miał już w tym czasie silną pozycję. Sprowadził komisję, która stwierdziła, że szopka zajęła się od popiołu wysypanego pod ścianą przez jej syna.

Reimer obronił jeszcze grupkę Polaków na początku stycznia 1945 r. Zobaczył z góry przez okno swojej sypialni, że stoi tam grupka Polaków z kilkoma esesmanami. Zszedł do nich i zapytał ostro:

- Was ist los?

Esesmani powiedzieli, ze Polacy ukradli im cywilne ubrania. Zorientował się, o co chodzi i też ostro zarządził;

- Rozejść się i szukać ubrań!

Wszyscy się rozbiegli i pochowali. W ten sposób zostali uratowani. Opowiadała mi o tym pani Mularczykowa z Zasutowa około 20 lat po wojnie. Ona też była w tej grupce 5-6 osobowej. Najedli się wiele strachu, gdyż powiedziano im, że jeśli ubrania nie znajdą się, to ich pozabijają.

Szef nie uciekał przed wkraczającą Armią Czerwoną. Mając tyle zasług na swoim koncie, miał nadzieję, że i jego będzie ktoś bronił. Niestety, nikt nie ryzykował z obawy o możliwość posądzenia o wrogość do Polski. Zabrany został na Sybir za Ural. Nie wiem, co spowodowało, że w 1947 r., zdaje się, wrócił. Szczęście? Czy może ktoś czynił starania jakieś? Przecież stamtąd mało kto wracał. Wrócił podobno do Szczecina, gdzie czekała żona, ale wkrótce zmarł na zawał. Tak słyszałam.

Powracam do mojej służby w Małej Górce. Na spacery z dzieckiem (potem z dziećmi) starałam się wyjeżdżać poza zabudowania gospodarcze, bo tam na drodze mogłam często spotykać kogoś z byłych aresztowanych jadących na pole. Wystarczyłoby mi jedno lub dwa słowa o Ojcu, już byłabym w innym świecie. Myślę, że gdybym była starsza, znacznie więcej dowiedziałabym się na interesujący mnie temat. Zapytałabym konkretnie: to i to chcę wiedzieć i koniec. Po prostu obawiałam się o cokolwiek zapytać, bo wyczuwałam, że nie jestem traktowana poważnie. Co tam oni będą z taką smarkatą rozmawiać, albo też bali się, że rozklepię i będą mieli nieprzyjemności. Poza tym byłam nieśmiała. Ale i tak myślę, że wiem dosyć dużo, pomimo mojej nieśmiałości. Na przykład: jechał pan Wojtkowiak, zrównałam się z nim, chciałam o coś zapytać, ale zrezygnowałam, bo nie wiedziałam, jak zapytać. Jechał pan Kopeć, to samo, nie wiedziałam jak rozpocząć rozmowę, gdy mnie mijał, szybko zapytałam:

- Panie Zdzichu, a gdzie Tatuś dostał…?

- W głowę - odpowiedział.

- A na pewno? - chciałam przedłużyć rozmowę.

- Na pewno.

- A niech mi pan jeszcze coś powie…

- Ano, byłem akurat w samochodzie i odbierałem zabitych. Chciałem układać delikatnie, po ludzku, a Niemcy przynaglali *schnel, schnel*, więc spieszyłem się i niechcący nadepnąłem twojego Ojca na rękę. A Ojciec w tym momencie westchnął sobie…

- To dziękuję.

Nie szłam już dalej, bo zagrały we mnie wszystkie struny. Znów nie wiedziałam, czy Ojciec westchnął z bólu, czy to było Jego ostatnie westchnienie…

Nikogo nie pytałam, czy stamtąd, gdzie stali, czekając na egzekucję, było widać ten dół dla nich wykopany. Medytowałam sobie nieraz: jeżeli Ojciec nie widział go, to może nie myślał, co dalej będzie. A jeżeli widział? To może sobie pomyślał: tu w tym dole będę leżał jak pies. Wszystkich przez całe życie odprowadzałem do grobu, a mnie na oczy piasku nasypią. Przy takich rozmyślaniach telepało mi serce, a w piersiach rozsadzało. Ciągle nie wiedziałam, jak nazywała się ta melodia: może „płacz moje serce, płacz". Żal mi było, że nie zrobiłam mu tej przyjemności i dłużej nie brzdąkałam na tych skrzypcach. On chyba tak bardzo tego chciał. Och! Gdyby wrócił, powiedziałabym: jak Tatuś chce, to nauczę się rug cug… Zawsze widziałam go (i widzę) jak ich prowadzili jeszcze przed zakrętem, mniej więcej koło pana Plucińskiego. Szedł prosto, w swym najładniejszym, brązowym ubraniu, szytym krótko przed wojną u krawca w Małej Górce. Jaki On był dla mnie ładny, ten mój Tatuś. Wydawało mi się, że żaden Ojciec nie był taki ładny, dobry, miły, wyrozumiały, że nikt na świecie nie miał tych zalet. Czy byłam fanatyczką na punkcie mojego Ojca? Nie wiem.

Trzecia wiosna bez Ciebie w tym maju
Tatku, ciebie nie ma w tym kraju.
Zniknąłeś z tej ziemi niespodziewanie,
Ty moje jedyne, jedynące kochanie.
Czy Ci chór aniołów śpiewa,
Czy Ci nic tam nie trzeba?
Jeśli przechodzisz jakieś Golgoty,
To pęknie serce moje, sieroty.

Siedziałam z tymi dzieciakami na łące przy drodze i sobie dumałam, przypominałam i zaczęłam żałować, że nie nastawiałam bardziej ucha, gdy Ojciec rozmawiał ze swoimi znajomymi. Przecież zawsze kręciłam się koło Niego, a tak mało zwracałam uwagi na to, o czym rozmawiali. O ile więcej teraz wiedziałabym. Kiedyś usłyszałam taki fragment rozmowy Ojca: „moją rodzinę Szwaby prześladowały od 1880 roku". Nie zwracałam uwagi, o czym wcześniej rozmawiali. Dlatego nie mogłam pojąć jak to jest, bo karaluchy znałam, pchły też, o Francuzach i szwabach słyszałam, więc dlaczego te robaki – szwaby tak uwzięły się tylko akurat na naszą rodzinę? Dopiero jak wojna wybuchła, dowiedziałam się, że szwaby to Niemcy i sama na nich tak mówiłam.

Pani posłała mnie z jakąś sprawą do żony Gustawa Sonenberga. Zobaczyłam ją pierwszy raz leżącą w łóżku. Ciągle tak było. Czasem wstawała i pochodziła trochę przy domu. Nigdy nie była we wsi odwiedzić krewnych czy znajomych. Mówili o niej, że jak ktoś ma coś na sumieniu, to wstydzi się ludzi, nawet swoich rodaków. Mówiono, że od tamtego pamiętnego wydarzenia coś jej się stało i teraz stale leży. Nawet kiedy uciekali do Niemiec, jechali dwoma wozami, bo na jednym ona leżała.

Przyszli raz koledzy po naszego Arnolda (najstarszego z dzieci) do szkoły. I kogo widzę? Tego, który mnie kopnął. Spojrzał na mnie, ja na niego. Miał takie same oczy jak Gustaw Sonnenberg. Arnold był naszym sprzymierzeńcem. Upodobał sobie Luci i mnie, opowiadał nam różne wojenne wiadomości. Jego siostra, Eryka, przeciwnie, była niedobra, zła, wyzywała nas: „polskie świnie", szczypała i czyniła różne przykre psoty. Gdzie to się takie zło wylęgło? Na jej temat mogłabym zapisać cały zeszyt. Kiedy Arnold wrócił ze szkoły, zapytałam, kim był ten największy? - Mój kuzyn - powiedział. Pomyślałam sobie *za mało ubawiony był w czwartek, to dokończył zabawę w niedzielę.* A głośno powiedziałam;

- Zaraz wiedziałam, że to on. Takiego poznałabym nawet za 10 lat i opowiedziałam mu, jak to było, bo oczy na mnie wybałuszał.

- To ja go skrzyczę.

- Tylko nic mu nie mów, bo mnie zleje.

Nie wiem, czy mu kiedyś powiedział czy nie, bo nigdy się do mnie nie odezwał ani ja do niego. Nawet w Niemczech nie odezwaliśmy się do siebie.

Często byłam bardzo zmęczona, czułam, że brakuje mi snu. Gdyby mi pozwolono, spałabym całą noc i cały dzień. Nigdy nie mogłam być chora, chociaż miałam grypę i wysoką temperaturę, wiosną krew z nosa prawie codziennie buchała, każdego dnia trzeba było być gotowym do pracy. Tak mi nieraz w środku było ciężko, jakbym pozrywane wszystko miała i pozapychane. Gdyby tak otworzyć, pomyślałam, i zajrzeć do środka, pewnie od tej goryczy wnętrze byłoby czarne jak smoła.

Czasem jest mi tak gorzko,
Myślę więc o sobie z troską.
Nie jadłam długo nic słodkiego,
Może to właśnie jest od tego?

Po wojnie, gdy wstanę z łóżka,
Kakao wypiję choć pół garnuszka.
Zjem całą rolkę może
I znów się do łóżka położę.

Niemcy bali się tyfusu. Wiemy to z wielu filmów. Ale bali się też gruźlicy. Dlatego byliśmy wszyscy wzywani do prześwietlenia w Nekli. Była to jakaś duża hala, dużo mężczyzn i kobiet w jednym pomieszczeniu. Kobiety dostały spory arkusz papierowy z krepy toaletowej z wycięciem na głowę i gdzie kto mógł, za żywymi parawanami z ludzi, zakładał. Kobiety wyglądały, jakby były w krótkich ornatach. Baliśmy się, bo fama rozniosła się, że u kogo odkryją gruźlicę, tego już nikt nie zobaczy, bo leczyć nie warto. Moja pani opowiadała, że gdzieś za Nekielką miała znajomych i właśnie od nich zabrano służącego.

- Jak to dobrze, że w porę go zabrali, przecież dzieci mogły się zarazić - powiedziała.

Z Małej Górki nikogo nie zabrali. Życie toczyło się dalej. Raz było lepiej, raz gorzej. Dobrze, że pani Luci była dla mnie dobra i wyrozumiała. Opowiadała różne fakty sprzed wojny; jak należała do „Młodych Polek" i jeździła na wycieczki, opowiadała o śpiewaku Mieczysławie Foggu, który śpiewał „O matce pieśń". Zaśpiewała mi, czym bardzo mnie wzruszyła. Dlatego do dziś Mieczysław Fogg jest moim idolem. Opowiedziała mi dużo rzeczy mądrych

i wyjaśniała to, czego nie rozumiałam. Radziła mi, jakie książki mam po wojnie przeczytać. Koniecznie „Potop", „Ogniem i mieczem" i „Pana Wołodyjowskiego". Pamiętaj: Sienkiewicza!

- Proszę pani - powiedziałam - jeżeli pani już wszystko wie, to proszę mi powiedzieć, co to jest „Oda do tęsknoty"?

- Nie wiem, takiego czegoś nie czytałam, ale czytałam" Odę do młodości".

- Nie, proszę pani, jest też „Oda do tęsknoty". Wiem dobrze, bo jak pasłam krowę u Reimera w lesie, to jeden leśniczy wziął mój zeszyt i przeczytał dwie kartki wierszy, to powiedział wyraźnie:

- O, ty piszesz odę do tęsknoty! Pisz, pisz, może kiedyś będziesz sławna, tylko pismo masz koślawe - powiedział.

- Jeśli tak powiedział, to się chyba na tym znał?

- A ty piszesz coś?

- Piszę.

- Pokażesz mi?

- Nie!

- On tylko tak dla żartów mówił - powiedziała Luci, a wiersze może pisać tylko poeta.

Ja i tak pisałam sobie co chciałam, bo to pozwalało mi znosić trudne życie. Ale dlaczego on mnie tak okłamał ?

Zaginął w małej Górce zięć pana Jóźwiaka. Młodzi mieszkali przed wojną w Środzie czy w okolicy Środy, a na czas okupacji przyszli mieszkać do pana Jóźwiaka. Czasem przyjeżdżali Niemcy pytać, czy nie wrócił. Pan Jóźwiak mówił nawet do mnie, że stale musi im to samo mówić, że z początku to się czasem kręcił koło domu, ale teraz to już się nie pokazuje od dawna. Po jakimś czasie córka pana Jóźwiaka - Pelagia, dostała wezwanie, że ma się stawić w celu rozpoznania topielca. Latem 1944 roku pracowałam w polu, w tym dniu pracowała ze mną wynajęta do pracy córka pana Jóźwiaka.

- I co - pytam - to był pani mąż?

- Tak.

- Nie wydali go pani?

- Chcieli wydać, ale ja nie chciałam. Teraz tak ciężko, za co pogrzeb bym zrobiła? A tak, niech go gdzieś pochowają.

Żal mi się zrobiło tego człowieka. Ja tu tęsknię i ubolewam, że Ojca nie ma w tym dole, a ona wcale nie chciała go pochować.

Zbliżała się jesień 1944 r. Wiadomo wszystkim było, że Niemcy wysyłać będą na „einsatz" czyli do kopania okapów.

Kopanie rowów strzeleckich i przeciwpancernych. Jeśli była odpowiednia liczba dorosłych, to po jednej osobie zabierali z każdej rodziny. Niemcy też musieli oddać swój „kontyngent", jeśli w rodzinie było czterech służących. Przypadło na mnie. Nie pamiętam wszystkich osób, które z Małej Górki jechały. Między nimi byli Piotr Frąckowiak, Mieczysław Szczepański, Bronia od Niemca Daliga, Helena od Krygerów i inni. Do Włocławka zajechaliśmy pociągiem nocą. Pod gołym niebem, gdzieś na placu, przeczekaliśmy do rana. Rano pognali nas na małą kolejkę i pojechaliśmy do Lubrańca. W Lubrańcu tworzono tzw. kolone (niem. kolonie). Każda kolone miała swój numer. Każdy też trzymał się swoich. W naszej kolone byli wszyscy z Małej Górki, okolic Nekli i Wrześni. Skierowano nas do miejscowości Słomkowo. Ogólnie było bardzo dużo ludzi, chyba z całej Polski. Kwaterę mieliśmy w

stodole na klepisku. Nie pamiętam, ile kobiet było w naszej stodole, ale leżałyśmy w dwóch rzędach i jedna drugą dotykała stopami. Chodziłyśmy do pracy dość daleko, a co dzień było coraz dalej. Kopane rowy przeciwpancerne były szerokie i głębokie. Były znacznie szersze niż czołg jest długi, ku dołowi coraz węższe. Mężczyźni kopali i wyrzucali ziemię, a kobiety rozsypywały tę ziemię tak dokładnie, że z daleka nie było widać, że tam jest rów. To miała być pułapka na czołgi, kopana na planie zygzaków. Jeśli skończyliśmy dany odcinek, mijaliśmy całe kolumny kopiących i zaczynaliśmy swój następny odcinek.

Byliśmy głodni. Jedyna ciepła strawa, to obiad. Przywozili kotły z obiadem na pole, ale zanim właściwe kolony odnaleźli, strawa już była zimna. Co to był za obiad? Brukiew, ogórki, trochę marchwi i ziemniaków razem ugotowanych. Jeden dostał trochę zupki, drugi gęste, bo im się mieszać nie chciało. Suchy prowiant otrzymywaliśmy na kolację i dzieliło się tak, aby starczyło na śniadanie. Idąc do pracy, wyrywaliśmy po drodze marchew, brukiew, czasem pomidory, jeśli rosły blisko drogi. Gdy gospodarze spostrzegli co się święci, raz dwa sprzątali z pola to, co można jeść na surowo. W miarę posuwania się coraz dalej z naszą pracą, pola były już czysto wysprzątane. Naszą grupę pilnował młody jeszcze Niemiec, niezdolny do służby wojskowej z powodu okropnych platfusów. Przyjemność sprawiało nam, gdy podczas pracy obok nas przechodziła inna grupa, aby zająć za nami swoje stanowisko. To nic, że następnego dnia będziemy przechodzili obok innej grupy, ale dzisiaj nie jesteśmy ostatni. Bardzo często pracowaliśmy obok grupy z Łodzi. Pilnowała tej kolony, tymczasowo, jak się później okazało, Polka. Co to była za wiedźma!? Jak ona z tą czerwoną opaską na przedramieniu wyzywała ludzi. Kapo. Prawdziwe kapo! Z daleka było widać, że to Łódź idzie.

Nie pamiętam nazwisk tych obcych z naszej kolony, bo to różni ludzie z okolicy byli, ale na jednego mówili Anioła. Może tak się nazywał. Zapamiętałam go, bo był śmieszny. Drugi nazywał się Lis, a nam mówił, że prawdziwie to on nazywa się Fuks. Powiedziałam raz:

- Ty głupi, przecież Fuks, to po polsku Lis!

- No to co, ale nazywam się Fuks.

Była jakaś pani Władysława Jagodzińska, była też kobieta, która miała zęby z białego metalu, ale jak sobie potarła solą, to przez pewną część dnia były żółte. Mówiła, że jej się złoto psuje, bo bieleje.

Najwyższą władzą, która kierowała robotami, była „Organizacja Todt". Byli wszechwładni. Mogli krzyczeć, bić, nawet zabić. Bali się ich nawet pilnujący nas Niemcy. Któregoś dnia przechodziła obok nas kolona łódzka. Nasi chłopcy zagadywali przechodzące panie, powstał z tego jakiś śmiech, nie wiem nawet, o co chodziło, bo w tym czasie śmiałam się z dowcipów Anioły. „Wiedźma" podeszła do naszego „pilnowacza", pokazała palcem na mnie, bo się śmiałam, skrzyczała go i powiedziała, że zaraz powie „Todtowi". Jak na złość stał niedaleko. Widziałam, że podeszła do niego, pokazała palcem na naszą grupę. Ze strachu uciekłam do rowu strzeleckiego, niby za swoją potrzebą, bo wszyscy tam chodzili. Tatku, ratuj, bo mogę zginąć tu niewinnie. Ze strachu dostałam rozstroju żołądkowego. Polka, która krzyczy sobie na Niemca, jakby był jej poddanym. On gębę rozdziawił i nie wiedział, co powiedzieć. Zatkało go. Na szczęście „Todt" poszedł w inną stronę. Jednak przez cały dzień, jeśli „Todt" pokazywał się blisko nas, leciałam do rowu. Pani Władzia też pilnowała i ostrzegała:

- Uważaj, idzie tu jeden znowu.

Widziałam jak „Todt" przy wycinaniu trzciny bił jednego z robotników bykowcem. Jak ten wił się z bólu!

Tatko mnie chroni i za mną stoi,
On nikogo się już teraz nie boi.
Pilnuje, pomaga i wszystko wie,
Któż inny mógłby tak kochać mnie.

Ziemia jest ciężka. Jeżeli się ją przez cały dzień przesypuje, wywołuje okropne zmęczenie. Byłam wykończona, słaba, przesilona, cały lewy bok mnie bolał. Pewnego dnia powiedziałam do mojego „stróża", że idę do lekarza.

- Pójdę z tobą - powiedziała inna dziewczyna - bo nie umiem po niemiecku.

Poszłyśmy do Lubrańca, do naszego lekarza od okopów. Strach przeszedł nas, bo lekarzy było dwóch, a w dodatku nie byli ubrani na biało, tylko w czarnych mundurach „SS". Żeby jeszcze byli bez czapek, ale w czapkach oni zawsze groźniej wyglądali. Wpadłam z deszczu pod rynnę, pomyślałam sobie, gdy zobaczyłam na biurku obok słuchawek bykowiec. Jak zbada, że jestem zdrowa, to może dostanę lanie?

O Tatku, ratuj mnie, żeby nie bili, wolę żeby do Niemiec wysłali.

Opowiedziałam, co mnie boli, koleżankę to samo boli i prosimy o „leichte arbeit". Byli ubawieni, kiedy mnie osłuchiwali. Zbadali nas i dali po trzy dni lekkiej pracy. Wiedziałyśmy z góry, gdzie jest ta lekka praca, przy kościele, jedna czy dwie wioski za Słomkowem. Tam właśnie była kuchnia polowa. Wokół kościoła były poustawiane kotły kuchenne pod prowizorycznym dachem, jakaś maszyneria do filtrowania wody, bo ją brali prosto z jeziora, które znajdowało się obok kościoła. Kościół służył jako magazyn i do prac kuchennych. Obierałyśmy ziemniaki, brukiew, kroiłyśmy to wszystko, itp. Tyle tych kucharek, dozorczyń, chyba ochotniczki, bo bardzo butne były te Niemki. Jedna kuchnia gotowała specjalnie dla kierownictwa i dla kucharek. Trochę sobie odpoczęłyśmy przez te trzy dni. Kiedy wróciłyśmy do naszej kolony, usłyszałyśmy, że „wiedźma" z Łodzi jest już przy łopacie, że jej miejsce ktoś inny zajął. Ano, kij ma dwa końce.

Po przyjeździe do domu o wszystkim opowiedziałam Luci. Stwierdziła, że pewnie byłam mocno chora, skoro dali mi lekką pracę i że w ogóle miałam tam trochę szczęścia.

Nadchodziła zima. Wszyscy mieli nadzieję, że to ta ostatnia. Zaistniała jakaś inna atmosfera... Niemcy jakby mniej pewni siebie. Wcześniej chodzimy spać. Dawniej siedziałyśmy długo, a jeśli chciałyśmy coś dla siebie zrobić, to jedynie nocą. Luci szyła, przerabiała sobie i mnie sukienki, bo wyrosłam. Ja natomiast cerowałam dla nas obu. Luci przed wojną była krawcową, a tutaj była skierowana przez Arbeitsamt z nakazem pracy. Mieszkała w Karolewie koło Gułtów i gdy miała wolne, jechała rowerem do matki. Pani miała dobre serce dla swoich koleżanek. Gdy nadchodziła zima, wypożyczała panią Luci do szycia. W zamian przychodziła służąca stamtąd. Nie lubiłam takiej wymiany. Miałam przez to gorzej. Trzeba było pokazywać, gdzie co jest. Przez to miałam więcej pracy. Gdy nadchodził wieczór, Luci wracała do domu. Bez niej czułam się jak bez jednej ręki. Pan Peter zaczął przesiadywać więcej w stajni, bo pracy z końmi już prawie nie było. Przesiadywał tam, reperował uprząż, naprawiał worki do zboża. Przychodził jedynie na posiłki i spać. Spał w kuchni. Stała tam specjalnie dla niego tzw. „szlafbane". To taka ławka, na której w dzień siadało się, a do spania otwierało. Pan Peter bardzo lubił gołębie i jedynie zimą mógł się nimi nacieszyć. Ja też nie

wychodziłam już często z dziećmi, tylko kładłam poduszkę na stole przy oknie, usadzałam obydwoje dzieci i starałam się czymś je zainteresować. Obserwowaliśmy gołąbki i z tej okazji powstały takie rozmyślania.

Lubię gołębie na dachu,
Chodzą spokojnie, bez strachu.
Kiedy chcą to fruwają,
Często głośno gruchają,
Żeby gołębie nie były domowe
Lecz wyćwiczone, pocztowe,
To bym do Krysi je wysłała
I resztę o tatusiu napisała,
Ale oni by je zabili
I mięsem się podzielili.
Teraz jest głód we wojnę,
Czasy takie niespokojne.

Kiedy kładłyśmy się z Luci wcześnie spać, opowiadałyśmy sobie tak długo, dopóki jedna z nas nie usnęła. Przeważnie Luci wcześniej zasypiała, bo ciężej pracowała. Opowiadałam jej, o co ostatnio prosiłam szefa. Był chyba ostatni raz u nas pod koniec listopada i obiecał mi, że jeżeli wojna tak wcześnie nie skończy się, to w lutym będzie się starał, abym wyjechała do cioci Stasi do Bydgoszczy. Mam się do tego czasu zastanowić, bo w miastach jest głód i nawet ziemniaki są na kartki. Na koniec wojny mogą bombardować miasta i można zginąć. To jeszcze się namyślę.

- Bo on, proszę pani, wszystko może. Pani Helutce, która tam u nich była jeszcze z miesiąc, jak tam „nastałam", wystarał się o wyjazd do Generalnej Guberni, bo tam ma całą rodzinę. Po polsku to on umie perfekt. Nawet wie, jak się pisze „trzewiki". Tylko mówi zamiast przecież - że, a zamiast że - o co. Nie mówi Zosia tylko Żosza.

- A wiesz, że syn Gustawa Sonnenberga poległ na wojnie już dość dawno? Arnold powiedział mi w tajemnicy. Nikomu nie powiedzieli, ani żałoby nie noszą. Niektórzy mówią, że to on ten krzyż przewrócił, jak był na urlopie. Co mu ten krzyż przeszkadzał? Przecież mieszkał na jednym końcu wsi, a krzyż stał na drugim. Oni pewnie wiedzą, że ludzie się domyślają, kto to zrobił, dlatego nie rozgłaszali tego. A co ty będziesz robiła w tej Bydgoszczy?

- Nie wiem. Może pójdę do jakiejś fabryki? Takie fabryki co mają wysokie kominy, to mają piorunochrony - mówiłam. I niejedne domy też. A tu? Nie ma nigdzie! Tylko ta strzelnica w lesie przy szosie, naprzeciw podstolickiego dworca ma piorunochron. Tam mieszka tylko jedna rodzina, która pilnuje i jest jeszcze stajnia, zawsze otwarta dla koni. Gdy przyjeżdża wojsko na ćwiczenia, tam konie zawsze stawiają. Niby nic nie ma, a piorunochron jest. Zawsze, gdy pasłam krowę, a była burza, to zaprowadziłam krowę do stajni, a sama stawałam przy piorunochronie, aż opierałam się plecami o ten drut, co do ziemi jest wkopany.

Pani Luci aż usiadła na łóżku.

- Ty, głupia, przecież akurat mogło w ciebie rąbnąć! Przecież po tym drucie piorun leci do ziemi!

- Ale mnie nic się nie stało!

- Bo akurat nic nie rąbnęło. Szukałaś śmierci?

- Nie, proszę pani, ale jak byłam z krową za tym wałem strzeleckim, to gdy żołnierze mieli ćwiczenia, to dwa razy kulki mi koło ucha świsnęły i też mi nic się nie stało.

- To podziękuj Bogu, że żyjesz i pamiętaj, że wojna się jeszcze nie skończyła. A teraz śpij!

Że też diabeł mnie pokusił, żeby jej to opowiedzieć. Myślałam, że im bliżej piorunochronu, tym bezpieczniej. Pani Luci zasnęła albo udawała, że śpi, a ja zostałam sama ze swoimi myślami. A jak sama, to wiadomo, o czym myślałam, tylko o jednym w kółko. Zawsze początek był taki, że widziałam ojca, gdy szedł z panem Menesem, jeszcze przed zakrętem wsi. Odprowadzałam go oczyma. Brązowe ubranie, beżowy kapelusz, buty, co miały starczyć aż do śmierci. Tak pięknie był ubrany na śmierć… Po tym wstępie myślałam już na wyrywki, od wspomnień miłych, kiedy byłam jeszcze mała, a gdy się wyczerpały, myślałam o najgorszych rzeczach. Przypomniałam sobie, jak czasem pilnowałam pana Wojtkowiaka, kiedy na pole pojedzie. Gdy zrównałam się z nim, pchając wózek, a zorientował się, że chcę o coś zapytać, ściągnął lejce.

- Prrrr! - odezwał się pierwszy.

- Dziewczyno, daj spokój, po co masz się struć na nowo, to i tak ci nic nie pomoże, aby na zdrowiu stracisz, a tamto i tak nie wróci.

- Wiem, panie Wojtkowiak, ale mnie z żalu tu piecze w żołądku. Jakby tak pańska Zosia pytała mnie coś o pana, to bym powiedziała wszystko do cna, co tylko bym wiedziała.

Zmiękło pewnie mu trochę serce, zdjął czapkę, podrapał się po głowie.

- No, co by ci powiedzieć? Jak bylim w Poznaniu, to Ojciec opowiadał, że jak ich zaprowadzili do szkoły (w Zasutowie), to powiedzieli, że kto ma przy sobie coś wartościowego lub pieniądze, może oddać ojczyźnie niemieckiej. Niech powykładają na ławkę. Ojciec położył obrączkę, zegarek z łańcuszkiem, scyzoryk i trzydzieści parę fenigów.

- To dziękuję - powiedziałam.

No i mam nowe zmartwienie, bez którego pewnie nie umiem żyć. Dlaczego byłam taka dociekliwa? Czy ja musiałam wszystko wiedzieć? Przecież potem musiałam na nowo martwić się. Przeżywać od nowa. Scyzoryk pamiętam. Był bardzo maleńki, rękojeść z zielonej perłowej masy, a obydwa końce z białego metalu. Zegarek z łańcuszkiem, bo dawniej mężczyźni nosili go w kieszonce kamizelki, a łańcuszek był przytwierdzony do dziurki guzika w kamizelce. Pamiętam, że od tyłu otwierała się grawerowana koperta. Pamiętam też, jak ojciec chwalił ten zegarek przed kimś.

- O, to dobra szwajcarska marka! Jak mi przed laty raz nie chciał chodzić, to nalałem mu benzyny, rąbnąłem o nocny stolik i fertyk.

- I co?

- Chodzi do dzisiejszego dnia jak zypciś.

Z grudniu 1944 r. pamiętam pogrzeb. Zmarł chłopiec o imieniu Leszek, siostrzeniec pana Leona Cierzniewskiego, chyba na dyfteryt. Szło nas trochę ludzi w tym orszaku pogrzebowym na cmentarz w Opatówku. Bez księdza, bo w naszej okolicy nigdzie nie było księży. Ktoś niósł niewielki krzyż. Szliśmy środkiem drogi, a naprzeciw nas szła grupa Niemców, mieszkańców Małej Górki, zapewne z jakiegoś zebrania, sami mężczyźni. Przyznam się, że miałam strach, bo nie wiedziałam, co teraz będzie. Przecież niosą krzyż! Tymczasem Niemcy zeszli na pobocze i z powagą pozdejmowali czapki. Coś takiego! Tego by się nikt nie

spodziewał. Najpierw powywracali krzyże, gdzie tylko były, a teraz przed małym krzyżem pozdejmowali czapki. Święta i Nowy Rok minęły szybko. Dochodzą pogłoski, że front się zbliża, ale gdzie jest teraz, nikt nie wiedział. Każdy czuł zbliżający się koniec. Jak to się dla mnie skończy? Umówione byłyśmy z ciocią z Bydgoszczy, że obojętnie kiedy wojna się skończy, będziemy czekały na wiadomości od siebie do pół roku. Jeśli któraś z nas nie odezwie się po tym terminie, to znaczy, że nie żyje. Zawsze wszyscy Polacy wierzyli, że Niemcy wojnę przegrają. Każdy był o tym przekonany i to nas trzymało.

Skrzynka kontaktowa miała być u państwa Jadwigi i Piotra Kopińskich w Targowej Górce. Państwo Kopińscy zgodzili się i posłałam cioci ich adres. Pan Kopiński był razem z moim Ojcem w Powstaniu Wielkopolskim. Potem przypadek zrządził, że Ojciec był organistą w Siedlimowie, gdzie również mieszkał pan Kopiński. Był on ojcem chrzestnym mojej rodzonej siostry Krysi. Kiedy Ojciec wyprowadził się do Modliszewka, drogi ich rozeszły się. Spotkali się w 1938 roku, kiedy przeprowadziliśmy się do Opatówka, na zebraniu byłych Powstańców Wielkopolskich. Takie były zbiegi okoliczności.

Skończy się wojna, pójdę do państwa Kopińskich, napiszę do cioci list i pojadę do niej. Jeżeli nie odpisze w ciągu pół roku, to znaczy, że jej nie ma i nie mam po co jechać, bo innych krewnych tam nie mam. Jeszcze pod koniec grudnia ciocia napisała. Babcia z Dochanowa zmarła. Jutro będzie pochowana. Pamiętaj, że jeżeli do ciebie się nie odezwę, jedź po wojnie do Krysi i niech Bóg ma was w swojej opiece. Amen.

Nie było mi wesoło. Tu napracowałam się, ale najadłam do syta i jeszcze 8 marek na miesiąc zarobiłam. Teraz nie wiem, co mnie będzie czekało.

Niemcy biegają do siebie, jakiś popłoch się robi. Nigdy nie myślałam, że Niemcy będą uciekali do Niemiec. Myślałam, że odbędzie się tak jak z naszymi: przyjechała władza niemiecka, dała czas pół lub jedną godzinę. W tym czasie Polacy musieli być gotowi do opuszczenia swojego domu. Polacy też dadzą im tyle czasu i na swoje niech wracają. Przecież zanim tu przyszli, każdy z nich swoje miejsce zamieszkania miał. Moi Niemcy pochodzili gdzieś spod Radziejowa, a pan, który zresztą na stałe służył w wojsku za moich czasów, przebywał na urlopie ze cztery razy. Był krawcem z zawodu i tak nie umiałby gospodarować, więc będzie znowu szył, jeśli wróci z wojny.

Tymczasem 19-go stycznia 1945 r. wieczorem przyszedł Gustaw Sonnenberg i zarządził, że następnego dnia o 10.00 pani ma być wyszykowana do wyjazdu. Pejter będzie odwoził. - Ty też jedziesz z panią - powiedział do mnie. Luci i Tadeusz będą pilnowali gospodarstwa, bo my tu niedługo wrócimy. Przygotowania. Pakowanie. Ja płakałam, Luci też.

- Co ty mój „dziecioku" zrobisz - mówiła - oni już tu nie wrócą, ale co z tobą? Trzymaj się Piecha (Piotr Majchrzak - brat pomordowanych), jak on tak dobrze twojego ojca znał, to ci krzywdy nie da zrobić. Ino swoich się trzymaj!

Rano 20-go, pani wysłała jeszcze Pejtera po chleb do Targowej Górki. Przeważnie piekliśmy chleb, ale czasem kupowaliśmy, nie wiem, na kartki czy na wymianę mąki. Teraz tak niespodziewanie wyjazd nastąpił, że ani upieczonego chleba, ani kupionego nie było, a na podróż był bardzo potrzebny. Pejter, nasz służący, to Piotr Kaczmarek. Muszę tu wyjaśnić, że moi Niemcy mieszkali po państwie Szczepańskich, a Piotr Kaczmarek był bratem pani Szczepańskiej. Był starszym kawalerem, miał około 50 lat, mieszkał i pracował u siostry. Gdy wyrzucali Szczepańskich, to Piotr został tutaj jako służący Sonnenbergów, gdyż miał inne nazwisko, więc nie należał do rodziny wysiedlonej. On z kolei czuł się tutaj jak gospodarz

na swoich włościach, dbał o gospodarstwo swojej siostry. Dla pozoru pytał, co ma robić lub wyjaśniał, co będzie robić. Czasem pytał panią:

- Wyrten, co mam dzisiaj robić?

- No, pewnie będziesz krymrował.

- Dobrze - odpowiadał. Brał brony i szedł bronować. Co tam ona zna się na robocie w polu, baba jedna.

Pejter pojechał po chleb. Dochodziło prawie południe, czas jechać. Na drodze we wsi tworzył się już konwój, a Pejtera nie ma… Gustaw Sonnenberg pospiesznie zabrał zbyteczne konie i wóz od tych „od Czarnego Morza" po Menesach, bo tam były cztery konie i ich służącego. Tylko, że te zbyteczne konie były „te" gorsze. Gustaw Sonnenberg przypilnował, żebym wsiadła na wóz. Przez cały czas trzymał prawą rękę w kieszeni. Czy miał broń w tej kieszeni?

Wsiadłam z ciężkim sercem na wóz i wydawało mi się, że już nigdy nie powrócę i z żalu chciało mi się krzyczeć. Nikt tu za mną nie może się wstawić. Gdybym miała gdzieś blisko rodzinę! Może rodzina wyprosiłaby łaskawie u mojej pani zwolnienie mnie z tego wyjazdu. Miałam koleżankę, o rok młodszą od siebie, Stefkę, która służyła w Środzie u dwóch Niemek. Kiedy raz zwaliły ją ze schodów, uciekła do domu w Zasutowie. Za karę czekała ją wysyłka do Niemiec. Wtedy matka poszła do tego najważniejszego Niemca, decydującego o wyjeździe, uklękła przed nim, obłapała za nogi, prosiła, prosiła i wyprosiła od wywózki do Niemiec. Później służyła w Nekli czy przed Neklą. Chwaliła się, że ją tam szanują, chociaż pracy miała szalenie dużo. W moim przypadku nie miał kto wyprosić tej łaski, więc z ciężkim sercem pojechałam. Westchnęłam sobie do Ojca, bo tylko jego miałam na pocieszenie. Tatku, Ty wszystko widzisz i wiesz. Ratuj mnie.

Podaj mi rękę i prowadź,
Nie daj mnie nikomu zmarnować.
Ja tak bardzo pragnę żyć,
W Małej Górce chcę jeszcze być.

Co działo się na szosach, strach wspominać. Przy takiej ślizgawicy i wąskich szosach działy się niesamowite sceny. My w jedną, wojsko w drygą stronę. Ciągnęły całe tabory uciekinierów. Z innych miejscowości stali na bocznych drogach, nie mogli wjechać na szosę. Czekali aż powstanie jakaś luka, prędko wjeżdżali w nią, a ci z tyłu musieli czekać, aż ten tasiemiec skończy się. Jechaliśmy dzień i noc. Konie miały przywiązane torby z obrokiem przywiązane i jadły po drodze. Każdemu śpieszyło się, żeby dostać się "Iber die Oder". Tam, po przekroczeniu Odry, miał się poczuć bezpiecznym. Nie pamiętam, ile tych nocy jechaliśmy, może 3-4? Po pierwszej nocy, około południa byliśmy zaledwie w Śremie.

Jeżeli ktoś chciał iść za swoją potrzebą, schodził w takim miejscu, gdzie były zabudowania, a wóz jechał dalej, żeby nie tarasował drogi. Potem goniło się ten wóz. Dlatego w ten sposób dużo Polaków pouciekało.

Ja nie miałam szans na ucieczkę, bo po pierwsze szły ze mną zawsze starsze dzieci, a po drugie zbyt wielkim tchórzem byłam… Słyszało się, że tam uciekł woźnica, tam służąca, gdzie indziej znowu dwoje. Podobno utworzyła się gdzieś grupa Niemców, szli brzegami szos i lasów i zabijali pojedynczych mężczyzn, jeśli nie potrafili się wytłumaczyć, że

mieszkają w pobliżu. Sama pani mówiła, pewnie miała strach o naszego wypożyczonego służącego z końmi.

- Teraz przynajmniej nie będą uciekali, bo do domu i tak nie dojdą.

Może Niemcy sami rozpuścili taką plotkę w obawie przed ucieczką Polaków? Jednak po powrocie słyszałam, że ten „treuchender" z Podstolic zastrzelił w lesie kilku mężczyzn próbujących ucieczki. Widocznie ktoś musiał to widzieć.

Żyliśmy przez cały czas o pożyczonym chlebie od Gustawa Sonnenberga. Ile widziałam wozów stoczonych w rowach, poprzewracanych, bez koni i ludzi! A ile razy myśmy stali w poprzek szosy? Front tak szybko posuwał się pewnie naprzód, że Niemcy nie czekali, aż wszyscy zdążą przejechać Odrę i wysadzili most w Głogowie. My byliśmy już po drugiej stronie. Już za Odrą stawaliśmy na nocleg. Ugotować można było kawę zbożową. Jednak w domach, do których trafiliśmy, nie było miejscowych Niemców. Pouciekali w głąb Rzeszy. Domy były pootwierane, bydło pozostawione luzem. Można było się dobrze wyspać. W miarę naszego przemieszczania się w głąb Niemiec, zauważyliśmy, że mieszkańcy już dalej nie uciekali. Podawali w trakcie naszej jazdy gorący kleik w kubkach. Był słony, więc smakował. Nocowaliśmy u mieszkających tam Niemców, więc było ciasno. Moje miejsce było zawsze w kuchni na podłodze. Gospodarze mieli przygotowaną jakąś zupę dla takich jak my i gorącą podawali. Tam, w głębi Rzeszy, mieli już tę pomoc zorganizowaną. Pewnego wieczoru nie rozebrałam się do spania, bo nie było nic do przykrycia. Na podłogę kładło się tylko trochę słomy, bo podłogi były tam przeważnie z cementu, przez co było mi bardzo zimno. Zawsze w nieznanej wsi jacyś „żółci" kazali skręcić w prawo.

- Koniec jazdy. Wy tu zostaniecie.

Obliczyli pewną ilość wozów, a reszta pojechała dalej.

Im dalej w głąb Niemiec jechaliśmy, już tej ciasnoty na drogach nie było, bo gdzieś przed nami uciekinierzy otrzymywali stałe kwatery. Zniknęli już z szos żołnierze z zawieszonymi na piersiach blachami z ryngrafem (żandarmeria wojskowa). Taki jeden żandarm dostał od polskiego woźnicy batem, aż mu się wokół szyi obwinął. Jeździli po szosach, krzyczeli, miejsce wojsku torowali. A co biedny służący mógł zrobić, jak wóz stanął w poprzek na ślizgawicy? Ten krzyczał na niego, a woźnica z nerwów zdzielił go batem. Żandarm za kaburę łapał z wściekłości, bo i honor mu splamił, i bolało zapewne, a Niemka z dzieciakami zastawiła go i krzyczała coś. No i pohamował się, ale co dostał, to dostał padalec. Dojechaliśmy do celu. Był to pierwszy lub drugi dzień lutego 1945 r. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Wszędzie ciemno jak w piekle, dokładnie pozakładane były kotary zaciemniające. Weszliśmy do wielkiego domu. Co parę kroków stali chłopcy z Hitlerjugend i kierowali po schodach do góry. Każda rodzina dostała swój pokój. Duża rodzina, duży pokój. Mniejsze rodziny, mniejszy. W pokojach było jasno, choć na zewnątrz nie było tego widać, bo okna zaciemniono. Podczas okupacji wszyscy musieli mieć okna dokładnie zaciemnione. Służyły do tego specjalne rolety z czarnego papieru grubości brystolowej. Nie mogło być żadnej szparki. Przyszedł do nas jeden „zielony" jeszcze za życia Ojca w Zasutowie i wrzeszczał, że mamy niedobrze zasłonięte okno w kuchni i od szkoły było już to widoczne. Takie „ferunklunk" mieli też w Rzeszy.

Spaliśmy pierwszej nocy jak w domu, bo sienników ze słomą było pod dostatkiem. Rano przekonaliśmy się, że jesteśmy w dużym, okrągłym zamku. Miał jedno lub dwa piętra,

otoczony był jakimiś drzewami. To był chyba park. Tylko jednym wejściem mogłam trafić do naszego pokoju, bo jeśli weszłam innym, błądziłam.

Ta moja droga ciernista
Długa była, jakby wieczysta.
Nareszcie się już skończyła,
Oby szczęśliwą dla mnie była.

Spaliśmy tam dwie lub trzy noce, bo zamek miał jeden mankament. Podczas nocnego bombardowania Berlina trzeszczał. Niemki zrobiły szum u władz, że podczas gdy ich mężowie walczą, one mogą zginąć tu pod gruzami. Pomogło na tyle, że wszystkim poszukali prywatne kwatery u ludzi, a zostawili w tym zamku jedynie tych „Schwartzmeer Deutsche" i „Balten Deutsche". Tych rdzenni Niemcy nie chcieli przyjąć. To był gorszy gatunek.

- Mogli sobie w „sowieten" zostać - mówili.

Dostaliśmy pokój w budynku szkolnym u nauczycielki, na piętrze, a Gustaw Sonnenberg zajął całą klasę ze swoją dużą rodziną. Lekcje już w tym niepewnym czasie nie odbywały się. Gustaw S. nadal miał swoja bratową pod opieką. W tej wsi była może połowa uciekinierów z Małej Górki. Nikt nie wiedział, co stało się z resztą. Nie było ich nawet w sąsiednich wsiach, bo Gustaw ich szukał. Tu było już lepiej na kwaterze. Miałam jednak dużo pracy. Stałam się niespokojna, nerwowa, wybuchowa, a nie mogłam przecież tego okazać. Ile w tej wsi ludzi było! Nauczycielka – starsza panna z matką, były rdzennymi berlinianka-mi. Przyjechały tu jako „flichtlinge". My też byliśmy „flichtlinge". Pierwszy raz spotkałam się z takim określeniem. Mniej więcej oznaczało to „ewakuowani z zagrożonych terenów" albo jak inni uciekinierzy, przed nalotami lotniczymi. Nauczycielka mówiła mi, że została skierowana tutaj z powodu nalotów bombowych. Byli tu ludzie z Hanoweru z popalonymi włosami. Dziewczyny nosiły turbany, żeby nie było widać popalonych włosów. Stałam w gigantycznych kolejkach po chleb i inne zakupy. Gotowałam obiad, robiłam małe przepierki, pieluchy, bo najmłodsze dziecko w marcu dopiero rok skończyło. Po obiedzie sprzątanie i zajmowanie się małymi dzieciakami, bo starsze najczęściej biegały. Pani właściwie nic nie robiła. Po południu schodziła do klasy na „konferencję" i przychodziła, gdy już wszyscy spaliśmy. Pamiętam, że w moje 16 urodziny miałam pierwsze samodzielne duże pranie. Od naszego wyjazdu uzbierało się go bardzo dużo. Prałam cały dzień w pralni i jeszcze obiad ugotowałam. Ale było mi w pralni dobrze, odpoczęłam od dzieci, bo dyżur miała pani. A co, niech pobawi swoje własne dzieci. Poza tym w pralni miałam kartkę i ołówek. Co bym robiła podczas gotowania bielizny? Pisałam o śmierci Ojca.

Na śmierć kolegów patrzyłeś i cierpiałeś,
Chociaż sam już z nimi umierałeś.
Umierałeś zupełnie ostatni, powoli,
Martwiłam się, że to Cię bardzo boli.

Jak On to spokojnie musiał znieść,
Za to należy się Mu wielka cześć.
Co Mu powiedział dobry Bóg,

W chwili śmierci, gdy słaniał się z nóg?

Dziś Wniebowstąpienie mój Wincenty,
Jesteś sługo mój do nieba wzięty.
Więc kiedy umęczony padać musiał,
Wzleciała do nieba Jego dusza.

Tęskniłam, bardzo tęskniłam do swoich stron, chociaż tu czułam się jakby trochę swobodniejsza, tu mnie nie znali, nie musiałam się wszystkim kłaniać z daleka, jak w Małej Górce, to jednak czułam się naprawdę jak wygnaniec. Nieraz zadawałam sobie pytanie, czy dobry los rzuci mnie jeszcze w tamte moje strony? Jak to będzie przebiegało?

Przypomniałam sobie, przez jakie miasta jechałam. Patrząc od Odry to: Glogau, czyli Głogów. Potem Sagen czyli Żagań, Sorau, Cottbus. Nasze powiatowe miasto w Rzeszy nazywało się Jüterborg, poczta Damme lub Dahme, a wieś Görsdorf.

Niesamowicie denerwowały mnie niemieckie dziewczyny, które tam mieszkały. Nie wiadomo z jakiego regionu pochodziły, bo ich dialekt językowy był tak pokrętny, niezrozumiały – mówiły *Plattdeutsch*. My mówiliśmy *Hochdeutsch*. Na przykład: jeśli na siebie po polsku mówię *ja*, to po niemiecku mówi się *ich*. A one zamiast *ich* mówiły *yke*. Weszła mi w kolejkę przed sam nos taka gruba Berta, to ją wypchałam, mówiąc, że tu nie stała. A ona mówi yke i coś niezrozumiale szczeka. To ja ją przedrzeźniam mówiąc;

- Yke, sryke, pyke!

A ona do mnie;

- Was???

- Pokrywka i kwas, tere, fere, kuku. O! Głowę podniosłam do góry i dumnie patrzyłam w chmury. Ale już były trzy przy mnie i mnie popychają. Wiedziałam, że to już nie przelewki i z obawy, że ktoś może podsłuchać mój obcy akcent, powiedziałam ciszej:

- Ja was nie rozumiem i wy mnie też, to po co się złościcie?

Udobruchały się, ale fefry miałam. Gdy wróciłam do domu, zaraz Arnoldowi powiedziałam, jak zadarłam z grubą Bertą z warkoczami.

- Nie bój się. One musiały nigdy nie słyszeć polskiego języka, boby się domyśliły. Jakby przyszła na skargę, to jej powiem, że jesteś Włoszką, bo Hitler dobrze żyje z Mussolinim.

Nie przyszła, a ja jej unikałam.

Co wieczór ze starszymi dziećmi oglądałam przez okno jasne niebo nad Berlinem. Reflektory przeciwlotnicze pięknie tańczyły po niebie, a złote kulki cieszyły oko, gdy ginęły gdzieś w przestworzach. Miejscowi Niemcy mówili, że do Berlina jest 50 km, ale nam wydawało się, że jest bardzo blisko. Czasem przyszedł mnie odwiedzić p. Zdzisław Kopeć, czasem nasz woźnica, którego nazwisko uszło mi w tej chwili z pamięci. Oni karmili swoje konie i spali gdzieś w zabudowaniach gospodarczych obok zamku, bo to był jakiś duży majątek. W tym majątku byli też zatrudnieni jeńcy wojenni – Rosjanie. Zdarzały się ucieczki. Byli też zabici podczas mojego pobytu, ale nie będę tego opisywała.

Podczas gdy małe dzieci po południu spały, ja sobie pisałam. Dwa zeszyty zostały w Niemczech.

Tego dnia miał przyjść Stachu Grenda. Lubiłam go bardzo, on się wiecznie śmiał i przy nim można było rozerwać się trochę. Czekałam na niego. Kiedy zapukał do drzwi, na samą myśl, że to on idzie, uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Proszę !

Wszedł Grüning! Ten sam, który gwarantował, że Ojciec wróci i ten sam, który chciał, żebym była powieszona w Nekli. Co można pomyśleć przez parę sekund? Dużo. Bardzo dużo. Więcej niż w normalnych warunkach przez godzinę. Uśmiech mi zastygł na ustach. Pierwsza myśl: a tak mi z górki szło już i teraz tu, na sam koniec mnie dostałeś. Nikt ci teraz nie przeszkodzi. Szef mi nie pomoże…, jak mnie znalazłeś? Kto cię przysłał? Jednocześnie nie przestawałam się uśmiechać i mówiłam:

- Kto do mnie przyszedł? Pan Grüning!

Myślałam szybko dalej: taki los przypadł nam, że dziś tu a jutro tam, taki los dał nam Bóg, że nie wiemy, gdzie nasz grób. Przecież ten tekst przed wojną razem z Ojcem śpiewałam, a podczas wojny nigdy – dlaczego mi na myśl przyszedł teraz?

- Proszę wejść, proszę usiąść, proszę!

Uśmiechałam się jak najpiękniej, udawałam taką szczęśliwą, że mnie taka zacna osoba odwiedziła, a myślałam: już mnie ma w szponach!

Usiadłam obok niego przy stole, nie panowałam nad nerami, głos mi drżał. Człowiek, gdy zajdzie potrzeba, może co innego myśleć i co innego mówić. Nie wiedziałam, po co przyszedł, ale przecież serdecznie go przyjęłam. Półtora roku nie było mnie w Zasutowie, a on pamiętał moje nazwisko. Nie wiem, czy to nazwisko utkwiło w jego pamięci ze względu na mnie, czy Ojca. Przez cały czas byłam bliska płaczu, ale trzymałam się dzielnie. Nogi zaczęły mi drżeć, kolana wprost skakały. Przyciskanie ich rękoma niewiele pomagało. Bałam się, że to zauważy, więc zerwałam się z krzesła i udawałam, że przykrywam dziecko. Coś tam poprawiałam. Niech widzi, jak bardzo jestem potrzebna niemieckim dzieciom. Nie wytrzymałam. Rozpłakałam się na dobre, ale kłamałam dalej:

- Tak się cieszę, aż się wzruszyłam, że pan przyszedł, że kogoś widzę z mojej wioski Aż mi się płakać chce.

Cały czas był poważny. Nic nie mówił, bo ja mówiłam i nagle uśmiechnął się. Czy naprawdę uwierzył, że ja się cieszę? Zaczął mówić. Przyszedł z innej wsi. Był gdzieś sprawdzić listę, bo szuka żony, z którą się zgubił koło Odry. Nie ma jej w spisie, ale znalazł moje nazwisko, więc przyszedł zapytać, czy jej nie widziałam. Odetchnęłam! Nie jest tak źle, pomyślałam, ale tobie nie można wierzyć, bo jesteś fałszywy. Kto wie, co dalej może być jeszcze. Potem wyjął z kieszeni książeczkę do nabożeństwa, włożył miedzy kartki klucz i mówił, że teraz sobie powróży. Po czym otworzył i powiedział, że mu wyszło, że jego żona nie żyje. Znienacka powiedział:

- Ty wiesz, że twojemu Ojcu ktoś się przysłużył?

- Wiem! - odpowiedziałam.

- On mógł nawet żyć, ale ja obowiązek wobec ojczyzny musiałem spełnić. To mówisz, że wiesz. A kto?

- „Ci" - i wymieniłam nazwisko.

- Tak. A skąd wiedziałaś?

- Bo ludzie tak mówili. Skąd wiedzieli – nie wiem.

To ty wiedziałeś, chciałeś mi dzisiaj powiedzieć - pomyślałam - spóźniłeś się szwabski psie. Masz nieczyste sumienie teraz. Wytypowałeś go z pomocą kogoś, a właściwie dzięki komuś. Sam się dzisiaj przyznałeś. Myślałeś, że ci Hitler medal da, ty krzywusie przetrącony.

Byłam serdeczna dla niego do samego jego wyjścia dlatego, aby nie pomyślał, że wcześniej udawałam.

- Gdy pan będzie kiedyś w naszej wsi, niech pan wstąpi. Bardzo proszę.

Nie przyszedł już. Jak to człowiek musiał nakłamać, naudawać dla swojego dobra, nie czyniąc krzywdy innym. Pewnie te stare sprawy mało kogo mogą interesować. We mnie nadal jest to wszystko świeże.

Na świecie można spotkać różnych ludzi. Byli tacy, którzy w oczy pięknie świecili, a dołki pod nim kopali. Prawdziwych patriotów mieli za zero i spychali na dno, bo to ich mierziło. Dziś byliby gotowi na klęczkach przysięgać, że oni nigdy w życiu czegoś takiego by nie zrobili. Nosi takich ludzi nasza polska ziemia. Niech im Bóg nie pamięta i przebaczy.

Zachorowałam na odrę. Zaraziłam tych dwoje małych dzieci. Leżały w przyciemnionym pokoju. Chodziłam, opiekowałam się nimi, ale inne prace też musiałam wykonywać. Czułam się bardzo źle. Cała twarz w czerwonych krostach, które zrobiły się wprost granatowe. Czułam, że mam wysoką temperaturę. Nie miałam nadziei, że z tego wyjdę. Dlatego uszyłam sobie woreczek z materiału, włożyłam zdjęcia Matki i Ojca i napisanym adresem cioci. Zawiesiłam na szyję, bo jeśli umrę i mnie gdzieś w ogrodzie zakopią (kto by pogrzeb zrobił?), to jak ktoś mnie po latach odkopie, będą wiedzieli, kto to był.

Przez ten czas, kiedy dzieci były chore, obiady gotowałam w pokoju na żelaznym piecyku, bo dzieci musiałam mieć obok siebie, a brudną wodę wynosić we wiadrze na dwór. Po wodę chodziłam do kuchni nauczycielki, gdyż tam była mała pompa do wody. Nauczycielka stwierdziła, ze mam odrę, więc dlaczego nie leżę? Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co to za choroba, wiedziałam jedynie, że w pokoju ma być ciemno. Odpowiedziałam, że pani mi nie powiedziała, abym się położyła, więc najwyżej umrę.

- Jak to? Przecież w Polsce rodzice na ciebie czekają!

- Nie czekają, bo mamusia umarła przed ukończeniem przeze mnie półtora roczku, a Tatusia Niemcy zabili!

- Her Gott!!!

Pomyślałam sobie, że skoro z takim przejęciem wykrzyknęła te słowa, to nie może ona być hitlerówką. Potrzebowałam się komuś wyżalić. Luci przy mnie nie było, a w niej wyczułam dobrego człowieka, więc co mi tam… I tak umrę, to niech wie, co się w Polsce działo. Jeśli chce, niech rozpowie wszystkim miejscowym Niemcom. A co?!

Opowiedziałam jej wszystko. Także i to, że w klasie na dole mieszkają Niemcy, przez których zginął mój Ojciec i że w ogóle Niemcy mordowali Polaków z zimną krwią.

- Main Gott! Main Gott!

Była przestraszona, zdenerwowana i zła na nich. Dała mi swoje ładne spodnie z granatowej gabardyny w prezencie. Jakby chciała zrekompensować moją krzywdę. Kiedy po obiedzie myłam schody, nauczycielka zapytała mnie, czy pani jest w domu.

- Jeszcze jest, ale zaraz wyjdzie - dopowiedziałam.

Poszła i zrobiła jej awanturę, że ta dziewczyna ma odrę i nie leży.

- Moje dzieci też mają. To nic takiego - powiedziała.

- Ale pani dzieci leżą i mają stale ciemno, a ona jest starsza, to jest niebezpieczne, może oślepnąć lub umrzeć.

- Nic jej nie będzie - odpowiedziała pani.

Poszła na „konferencję", ale po godzinie wróciła, kazała mi się położyć i dodała:

- Co ta nauczycielka dzisiaj taka zła, jakby ją mucha ugryzła?

Z wielką przyjemnością i ulgą rozłożyłam swój siennik na podłodze, położyłam się i natychmiast zasnęłam. Musiał to być ostatni, najgorszy dzień tej choroby, bo rankiem było mi znacznie lepiej i już nie leżałam. Jak to dobrze, że będę żyła, bo kto by opiekował się po wojnie grobem Ojca, gdy Go kiedyś odkopią?

Zbliżał się front. Niemcy zakładali tak zwane *pancerszpere*. Na początku wsi wbijali grube bele sosnowe po obu stronach szosy, przez co szosa była odpowiednio zwężona w tym miejscu, żeby czołg nie mógł się przecisnąć. Wyglądało to dość solidnie z uwagi na włożone do środka kamienie. Chcieli w ten sposób zyskać na czasie. W ostatnim dniu bez przerwy żołnierze jeździli motocyklem w tę i z powrotem.

- Znów kurier leciał. Mówił Gustaw Sonnenberg.

Teraz byliśmy we dwie rodziny razem, bo Gustaw S. zarządził, że wszyscy razem przejdziemy do gospodarzy mieszkających naprzeciw szkoły.

- To tak na razie - powiedział - Pójdziemy tam, bo gdy jest więcej ludzi, będzie raźniej.

W tym gospodarstwie mieszkały tylko dwie starsze Niemki. Mnie wydawało się, że szkoła jest mniej bezpieczna, bo była bez innych zabudowań, oprócz ubikacji. W gospodarstwie więcej budynków, to i więcej kryjówek. On czuł się pewnie trochę zagrożony. Przez to, że tam poszliśmy, więcej ludzi nie było. W szkole została nauczycielka z matką, a tu są tylko dwie Niemki. Ilość osób ta sama! Ostatnio ręki z kieszeni nie wyjmuje, jakby mu było zimno w prawą rękę… Kurierzy jeździli, samoloty latały też często i wysoko. Nie wiadomo, czyje te samoloty. Stałam przed domem. Czy to zawsze musi tak być, że krótko przed rozpoczęciem wojny i krótko przed jej zakończeniem muszą być szpiedzy? Przedtem ten „Hija madija" a teraz spadochroniarze? Spadochrony małe jak groch, a człowiek cienki jak nitka! Musi być bardzo wysoko.

- I co? - przerywa moje myślenie Gustaw S. - cieszysz się, że angielskie samoloty latają?

- Nie, wcale się nie cieszę - kłamię, tak było dobrze przecież.

- Wojna skończy się niedługo. Tylu ludzi zginęło, wielu niewinnie.

- No! - odpowiedziałam skwapliwie i przestraszyłam się, że mi te „no" wypowiedziało się, dlatego że zdradziłam przed nim swoje myśli. Poszedł sobie.

Przed południem 21 kwietnia 1945 r. jeden jedyny strażnik, stary Niemiec z karabinem na plecach, prowadzał gdzieś przez wieś całą grupę jeńców rosyjskich, około 70 osób, którzy pracowali w majątku. Ale około południa jeńcy powrócili sami, bez strażnika. Po południu wjechał pierwszy czołg rosyjski. Wszyscy rozbierali *pancerszperę*: jeńcy i nasi chłopcy. Rozebrali w pół godziny. Kamienie tylko śmigały w powietrzu. Z tego jedynego czołgu poschodzili żołnierze, porozchodzili się po wsi, postrzelali sobie przy niektórych zagrodach na wiwat. Chociaż całymi rzędami poukładane były przy drodze pancerfausty i handgranaty, którymi mieli bronić wsi starzy Niemcy z Volkssturmu, nikt z domów nie wyszedł. Rosjanie pojechali z powrotem. Późnym wieczorem, kiedy już było ciemno, a my wszyscy siedzieliśmy w pokoju, słychać było, że jedzie czołg. Nagle rozległ się potężny trzask, wyleciały

wszystkie szyby z okien od ulicy. My ze strachu poschodziliśmy do piwnicy. Niemcy mieli bardzo praktycznie budowane gospodarstwa. U tych Niemek z pokoju wychodziło się do przedsionka, dalej do futerni, a z futerni były drzwi do obory i piwnicy. Ponadto jeszcze różne zakamarki były. Piwnica była duża, więc młodzi siedzieli na ziemniakach. Całą noc przesiedzieliśmy w piwnicy.

Rankiem rozległo się walenie kolbami do drzwi frontowych i krzyki: *Otkrywat!* Gustaw S. wyszedł otworzyć. Wrócił i powiedział, że wszyscy mamy wychodzić. Żołnierze powiedzieli, że tu wojna się skończyła i nic nam się nie stanie. Wychodziliśmy pojedynczo. Jeden z żołnierzy stał w pokoju przy drzwiach do futerni, drugi przy drzwiach kuchennych, które prowadziły do drugiego pokoju. Pistolety maszynowe mieli wycelowane w naszą stronę. Ten, który stał przy drzwiach futerni, pytał każdego z osobna: Polak czy Niemiec? Kiedy przyszła kolej na mnie, gdy już wychodziłam z dzieckiem na ręku, żołnierz w tym momencie odwrócony był do tego drugiego i coś mu mówił. Przechodziłam bardzo wolno, oglądałam się jeszcze, a on pytał już następną osobę. Bałam się bardzo tego, że jeżeli będą chcieli wszystkich zabić, to już nic nie pomoże, jak będę krzyczała, że jestem Polką. Będzie już za późno. Wszystkim kazali się ustawić pod jedną ścianą. Kto miał na czym, to siadał. Ja siedziałam, bo miałam małą na kolanach. Gdy już wszyscy weszli, wszedł jeden żołnierz, stanął naprzeciw i patrzył na nas. No, teraz pociągnie za spust, pomyślałam - co za nieszczęście mnie spotkało, że akurat mnie nie zapytał. Chyba wstanę z krzesła i podejdę do niego i powiem, że mnie nie zapytał. Podniosłam się na wpół już, a żołnierz odezwał się:

- *Nu da, kak nie ma Polaczki, to idi ty* i wskazał na jedną z córek Gustawa S. Udałam, że poprawiam sobie suknię usiadłam z powrotem. Wyszła posłusznie, bez słowa, matka jej zaczęła płakać, mąż ją uspokajał, wszyscy patrzyli na mnie z nienawiścią. W myślach mówiłam: co za zbieg okoliczności, dziękuje Ci Tatku, czuwałeś!

On nie śpi, On zawsze czuwa
I kłody spod nóg mych odsuwa.
Pamiętał o moim niebezpieczeństwie,
Tak jak ja pamiętam o Jego męczeństwie.

Gustaw S., może kto wie, powiedziałby, że tu jest Polka, ale bał się. Oczywiście nie mnie, tylko chłopaków. Bo gdyby to mnie spotkało, na pewno powiedziałabym Piechowi, a wtedy dla Gustawa mogłoby się to źle skończyć. On się z tym liczył, wolał dla dobra rodziny poświęcić córkę. Innego wyjścia nie miał. Na jego sumieniu ciążyło przecież morderstwo 25 Polaków i miałby sąd, gdybyśmy sobie o tym przypomnieli.

Kiedy dziewczyna wróciła, zaraz weszła pod łóżko, pod którym już leżała jej matka. Do mnie nikt z ich rodziny tego dnia nie odezwał się.

Gustaw S. postanowił przenieść się w głąb wsi, dalej od szosy. Tutaj było zbyt niebezpiecznie. Miał trzy dorosłe córki. Nas oczywiście też zabrał. I znów dwie starsze Niemki. Ciekawe, że taka duża wieś i ani jednego młodego mężczyzny nie było. Jedynie kilku chłopaków z Hitlerjugend. Poza tym sami staruszkowie.

Dostaliśmy jeden pokój, ok. 16 metrów kwadratowych. Ciasnota niemożliwa. Rodzina Gustawa S. to 8-9 osób i nas, razem ze mną, 6. Takich rodzin te panie miały więcej, bo nikt przy szosie nie chciał mieszkać. Ten pokój był po służących – Francuzach, którzy rankiem

odeszli. Dwa łóżka, pusta szafa, do której można coś włożyć. Gustaw zaraz zajął szafę, bo ma dużą rodzinę. W szafie znalazł dwa karabiny. Panika! Niemki nigdy im do szafy nie zaglądały, tłumaczyły się. Co by było, gdyby teraz była rewizja?!

- Jak dobrze, żeście przyszli, bo byśmy nie wiedziały o tym.

Myślałam o tym dziwnym zajściu rankiem i nie wiem, czy był to czysty przypadek, że żołnierz nie zapytał mnie o narodowość? Może tylko po ludzku sądząc, był to przypadek? Może wobec Boga nic nie jest przypadkiem, a zdarzenia są odwiecznie obmyślane? Może jedne są przez Boga wprost chciane, drugie tylko dopuszczone? Może każdy przypadek ma wobec Boga jakiś ukryty cel, jakiś zamiar, który dopóki się nie urzeczywistni, zgłębić i poznać nam trudno?

Tymczasem te karabiny Gustaw S. wyniósł w obrusie na ogród i pewnie je zakopał. Ten huk późnym wieczorem, który spowodował wypadnięcie szyb, był następstwem zderzenia się dwóch nieprzyjacielskich czołgów. Jechał niemiecki czołg na patrol, tu napotkał czołgi przeciwnika. Nie miał odwrotu, więc z całą siłą wpadł na przeciwnika. Nikt nie wyszedł cały z obu czołgów. Wszystko w środku było wypalone doszczętnie. Oglądaliśmy je na drugi dzień. Chłopaki mówili, że paliły się pięknie i szkoda, że byłam w piwnicy i tego nie widziałam. Słyszałam tylko, jak amunicja wybuchała raz po razie.

Jeszcze w marcu, kiedy chodziłam na spacery z dziećmi w ciepłe dni, spotykałam Jankę, też służącą z Małej Górki, która służyła u Niemki Schendel. Umówiłyśmy się, że jeżeli wojna skończy się, bo to nas stale podtrzymywało na duchu, i będzie wyjeżdżała, ma przyjść po mnie. Jeśli ja pierwsza będę miała szansę wyjechać, to przyjdę po nią. Po dwóch dniach, licząc od przyjazdu pierwszego czołgu, przyszedł Stachu Grenda, służący Gustawa Sonnenberga, powiedzieć, żebym na następny dzień rano była gotowa do odjazdu, bo wyjeżdżają.

- Ale ja nie wiem, czy pani mnie puści - powiedziałam.

- A co ta kanalia ma teraz do gadania? Chcesz zostać tu sama? My jedziem.

Pobiegłam do Janki powiedzieć, że jadę. Niestety, już jej nie było.

- Wczoraj wyjechała! A ino powiedz tam - powiedziała Schendel - żeby wszystko było zrobione, jak przyjedziemy niedługo.

- Dobrze!

Dopiero pod wieczór powiedziałam pani, że chciałabym już jutro wyjechać, bo wszyscy wyjeżdżają.

- Jedź, ja już nie mam nic do powiedzenia, ale ci nie zapłacę za te miesiące, bo nie mam tyle pieniędzy. I żeby Arnold nie dowiedział się, że wyjeżdżasz.

Arnold już w Rzeszy powiedział mi, że jeżeli Niemcy przegrają wojnę, a mówił nam nieraz w Małej Górce, że przegrają, to on tu w Niemczech nie zostanie, tylko pojedzie ze mną do Polski. On dla nas tyle dobrego zrobił, że często z Luci mówiłyśmy: on się chyba Niemcem nie urodził. Już w Niemczech, kiedy prowadzono jeńców do pracy, on przybiegł po chleb, aby im rzucić, a kiedy pani nie chciała się zgodzić, powiedział:

- Może nasz papa też jest głodny i ktoś mu rzuci kawałek chleba?

I dała chleb. A ile razy obronił mnie przed biciem przez siostrę Erykę? Przecież ona na każdym kroku okazywała mi swoją pogardę. Biła i ciągnęła mocno za warkocze. Byłam przy tym cicha jak truśka. Gdybym okazała, że to mnie boli, znęcałaby się bardziej, a oddać nie było mi wolno. Znałam ją na wylot.

Wstałam wcześnie rano, poprałam pieluchy, żeby pani była ze mnie zadowolona do końca. Nie spałam prawie tej nocy, dlatego że, po pierwsze, było ciasno i z emocji, że mam wyjechać, a także dlatego jeszcze, że w nocy żołnierze rąbali kolbą w drzwi, żeby otworzyć. Gustaw S. poszedł otworzyć. Pierwszy raz słyszałam, jak on płynnie, bez zająknięcia, mówił po rosyjsku. Po polsku oni wszyscy mówili bardzo dobrze, moi Niemcy też normalnie mówili, jak Polacy i nikt by nie powiedział, że oni są Niemcami. A tam w korytarzu tylko jego było słychać jak mówił i mówił, aż żołnierzom mowę odebrało pewnie, bo się uciszyli i poszli sobie. Nie rozumiałam tego języka, więc nie wiedziałam, po co przyszli. Gdy Gustaw wrócił do pokoju, powiedział im po niemiecku dość cicho:

- Zgubili zegarek i tu go przyszli szukać, ale powiedziałem im, że my nie znaleźliśmy zegarka i nie mamy też, bo jesteśmy biedni. Nas tu przywieźli do Niemiec, żebyśmy pracowali u Niemców - dali się nabrać. Tyle mniej więcej wyłowiłam uchem.

Dziś myślę, że wszyscy Niemcy odetchnęli dopiero po naszym odjeździe. Niedoszli prześladowcy odjechali, a teraz oni mogli udawać prześladowanych, biednych ludzi.

Przyszedł Stachu, wziął mój tobołek na plecy i rzekł:

- Śpiesz się, bo cię zostawimy.

Nie mogłam razem z nim pójść, bo pani szykowała mi dwie skibki chleba na drogę, no i butów jeszcze nie miałam, a do pokoju nie pozwalała mi wchodzić ze względu na Arnolda.

- Sama ci przyniosę, bo wszyscy jeszcze śpią.

Pożegnałam się z nią ładnie. Nie okazała żadnego żalu, może nawet byłam dla niej ciężarem? Takie czasy nastały, że jedna osoba mniej, to i jedna gęba mniej do jedzenia. Nie przyszło mi do głowy, żeby jej wspomnieć o książeczce pracy, którą przechowywała. Oddałaby, gdybym ukończyła 18 lat. Ale czy z radości nie można zapomnieć o czymś? Niby wszyscy spali, gdy wychodziłam, ale kiedy siedzieliśmy już na wozach, przyszedł Gustaw Sonnenberg. Z ręką w kieszeni, lewa dla odmiany, chyba żeby dodać sobie odwagi, przecież nie odważyłby się przyjść z bronią! Coś tam do nas powiedział, już nie pamiętam co. Żegnał się z każdym z osobna, jak najuprzejmiej. Kłaniał się do samych kolan i podawał rękę. Kiedy podawał mi rękę to i ja podałam.

My, Polacy, umiemy przebaczać szybko, za szybko, takim „nadludziom", ciemiężcom, którzy odnosili się z pogardą, tępili nas jak nieprzydatne muchy, bili, zabijali bez sądu, dlatego, że byliśmy Polakami.

Gdyby tak odwrócić sytuację… Przyjmijmy, że jest początek wojny i ktoś z nas wyjeżdżających miałby na sumieniu zbrodnię taką, jak miał Gustaw S., nikt z nas nie uszedłby z życiem. W tamtym momencie, to dziwne, ale zapomniałam o żalu, jaki czułam do niego przez cały czas. Piotr Majchrzak czyli Piechu, powiedział;

- Przyszedł z radości, że żyje. Podziękować za to, żeśmy go tu nie wydali w ręce żołnierzy. Niech go los sam ukarze za to. Ale szlag go trafi, jak pójdzie na swoją kwaterę po prowiant. Zabraliśmy mu wszystkie bochenki chleba i coś do smarowania.

Moja pani Olga Sonnenberg i jej szwagier Gustaw Sonnenberg cały swój dobytek pozostawili w szkole i od czasu do czasu, gdy coś potrzebowali, dochodzili tam. Nie mogli przecież z całym dobytkiem wpakować się do tego małego pokoiku. Chcieli tam przetrwać najgorsze dni i wrócić.

Wyjechaliśmy pięcioma lub sześcioma wozami. Było 16 mężczyzn i ja. Wyjazd do Polski to całkiem coś innego niż wyjazd z Polski. To była wielka radość!

Gnaj wietrze cienki jak batyst lub pajęczyna,
Niech śpiewają niezapominajki i szumi leszczyna.
Prowadź nas bezpiecznie, daj szczęście ludziom wszystkim,
Oglądać chcemy Polskę w swym blasku promienistym.

Za mały był nasz Orzeł Biały,
Dlatego nam Niemcy go zabrali.
Teraz doprawimy mu większe skrzydła
I nie oddamy, bo wojna nam zbrzydła.

Wyjechaliśmy zbyt wcześnie, bo minęły ledwie trzy dni. Myśleliśmy, że jeśli u nas od trzech dni okolica wyzwolona, to pojedziemy już spokojnie do domu. Tymczasem był to normalny front. Wojsko wschodnie jechało takim „pancerszpicem", a po bokach trwały walki. Nie wiedzieliśmy, jak jechać, aby nie wpaść Niemcom w ramiona, jechaliśmy w przeciwną stronę. Często jechaliśmy rowami, żeby zrobić wojsku miejsce. Wybraliśmy szosę, nie wiadomo, słusznie czy nie. Na zachód jechały czołgi i szła piechota. Dziwnie to wyglądało, ale zdawało się nam, że jesteśmy intruzami na szosie. Czasem wydawało się, że jeśli nie usuniemy się z drogi, to nas zmiażdżą czołgi. Proszę sobie wyobrazić maszerującą piechotę niezbyt szeroką szosą, a z tyłu wyprzedzają tę piechotę czołgi. Te czołgi tańczyły na szosie i aby nie posądzić, że czołgiści byli pijani, to co najmniej prowadzili je ludzie nieodpowiedni i nieodpowiedzialni. Własna piechota musiała na siebie wchodzić, ściskać i wchodzić do rowu, żeby nie zostać przejechanym. Pierwszego dnia po południu, po paru już kilometrach, napotkaliśmy zabitych cywilów. Wszyscy byli bez butów.

Tak więc, jeśli szła piechota i równocześnie jechały czołgi, zmuszeni byliśmy jechać rowami. Raz podszedł do nas piechur z pierwszego rzędu i prosił, aby chłopcy dali mu rower, bo mieli na wozie niezbyt dobrze przykryty sianem. Tłumaczył, że ma nogi pościerane i iść już nie może, a on przecież Polak, tylko mieszkał na wschodnich ziemiach, a teraz idzie aż spod Lenino, a dalej nie może, nawet swojej czołówki nie dogoni. Chłopaki powiedzieli, że chociaż nie wiedzą, co to jest Lenino, to dadzą mu rower, i dali. Żal im było roweru, ale patrzyliśmy za nim, jak doganiał swoich. Gdy się zrównał z ostatnim szeregiem, jeden z żołnierzy uderzył karabinem w przednie koło. Zrobiła się ósemka - rower wrzucony został do rowu. Nie mogliśmy się nadziwić, że taka zazdrość wśród nich panowała. Nie mam ja, nie będziesz miał ty.

Zobaczyliśmy przed nami wóz z obcymi. Powracała cała rodzina.

- No, powiedzieli chłopaki, zacznie się tworzyć cały tabor. Im więcej takich, tym raźniej będzie.

Niestety, po chwili przystanął czołg obok tego wozu. Żołnierz ściągnął za nogi dziewczynę z wozu i zabrał do czołgu. Powstał krzyk i płacz tej rodziny, ale byli bezsilni. Czołg z dziewczyną pojechał w „siną dal". Zaraz też Piechu i Stach przykryli mnie kocem, ktoś z drugiego wozu podał sweter męski. Piechu dał marynarkę, Stachu czapkę z daszkiem, ktoś inny półbuty męskie. Od początku byłam w spodniach, które dostałam od nauczycielki. Tak przebrana za chłopca, teraz byłam Stasiem. Wóz z tą nieszczęsną rodziną zniknął nam z oczu

i już nigdy go nie spotkaliśmy. Może ta rodzina pozostała na jakiś czas w celu poszukiwania córki? Nie wiadomo.

Najgorsza była pierwsza noc. Przystanęliśmy przy zabudowaniach opuszczonego gospodarstwa. Nie wiadomo, dlaczego nie było tam Niemców. Kwaterowało tylko wojsko. Dostaliśmy pozwolenie na spanie w stodole. Nie chciałam zejść z wozu. Wstydziłam się, bo tylu chłopców, a ja sama pośród nich.

- Nie zostaniesz na tym wozie przez całą noc. Zejdź, umyj się we wiadrze, zjedz kolację i spać, bo jutro jedziemy dalej. No dalej - powiedział Piechu - złaź i nie bój się, skryję cię dobrze.

Przy kolacji jeden z naszych chłopaków powiedział:

- A wieta, że jak wyjeżdżalim z Małej Górki widziałem w oknie, za firanką, zięcia Jóźwiaka.

- Ty chyba głupi jesteś - odezwałam się - Jakiego zięcia? Sama pani Pela powiedziała mi, że go rozpoznała jako topielca, a ty takie bzdury wygadujesz.

- A założym się? Nawet swój zielony sweter miał ubrany i gdy spojrzałem w okno, to się trochę odsunął. A czymu go nie odebrała i nie pochowała. No?

Zwątpiłam. Przecież mówiła, że nie wzięła go, bo pochówek by kosztował. A ona po prostu nie chciała pochować obcego człowieka! Po przyjeździe słyszałam, że to była prawda. Ukrywał się w małej piwniczce, do której wchodziło się z pokoju przez otwierany właz. Mieszkał więc w dzień pod podłogą. Mieli dwoje dzieci, które umiały milczeć.

Po kolacji w stodole Piechu kazał mi położyć się w poprzek, przykrył słomą i paru chłopców położyło się na mnie głowami. Byłam ich poduszką. Nie spałam całą noc, oni chyba też nie, bo samoloty latały i strzelały z karabinów maszynowych zupełnie blisko. Myślałam, że jeżeli kule przebiją dach, to trafią w ich głowy, nie mnie. A jak ich pozabijają, to co ja zrobię? Najbardziej w tamtej chwili chodziło mi o Piecha, bo on był mi ojcem. Jedynie do niego miałam całkowite zaufanie, bo był starszym w porównaniu z innymi. Był chyba z 1911 rocznika. Podczas tej strzelaniny nikt słowem nie pisnął. Ja też. Rano, z drugiego końca stodoły, reszta chłopaków wołała:

- Chłopaki, żyjeta wszyscy?

- Żyjemy. Ale tu niebezpiecznie było!

- To robimy śniadanie. Niech się nowy nasz „Stasiu" umyje i uciekajmy.

Zawsze myłam się we wiadrze. Później już się tak nie bałam. Człowiek do wszystkiego może się przyzwyczaić. Bardzo często w czasie jazdy musieliśmy z wozów schodzić i kryć się przed ostrzeliwującymi samolotami. Nie wiadomo, czyje to były samoloty i kogo chciały zabijać. Na czole nie mieliśmy napisane, kim jesteśmy.

Napotykaliśmy dość często po rowach i polach pozabijanych ludzi. Mężczyźni zawsze byli bez butów. Kobiety najczęściej leżały po krzakach, częściowo lub całkowicie rozebrane.

Szesnastu mężczyzn, z którymi jechałam, pochodziło nie tylko z Małej Górki, lecz z różnych okolicznych wsi. Był starszy pan z Podstolic, może odwoził tego treuhendera z majątku. Nikt wówczas nie pytał, kto kogo odwoził. O tym się nie myślało. Dziadek, bo tak na niego mówiliśmy, miał największy wóz. Takie wozy miały jedynie duże majątki. Hela, mówiło się na taki wóz. Na tej heli jechał z dziadkiem jakiś Kamiński z Podstolic, chłopak o imieniu Irek z okolicy, niejaki Franciszek Sikorski, który mówił z dumą, że generał Sikorski, który zginął w katastrofie lotniczej, to jego krewny.

Z powodu troskliwości i nadopiekuńczości ze strony chłopców poczułam się „ważna". Przejeżdżaliśmy przez miasto, a jechaliśmy na wyczucie. W środku miasta chłopcy zastanawiali się, w którą stronę skręcić. Powiedziałam, żeby skręcili w prawo. Jeśli chodzi o wyczucie, to nie chwaląc się, miałam lepsze od kolegów. Nie, oni skręcili w lewo, bo nie będą smarkatej słuchać. Ujechaliśmy może ze dwa kilometry, a tu most wysadzony. Musieliśmy cofnąć się do tego samego miejsca i skręcić w prawo.

- No i co? Nie miałam racji? Macie mnie słuchać, bo ja mam czucie!

- Ady, będziemy cię słuchać już, bo baba ma czasem lepszego nosa.

Zaczęliśmy mieć pecha. Wojsko szło stale naprzód. Podszedł do Piecha jeden z żołnierzy, który jechał zaprzęgiem konnym. Powiedział, że jedzie z tak daleka, że źrebny koń mu osłabł, więc on da mu swoje, a Piechu odda swoje. Nie w nos było, bo konie były ojcowskie, więc chciał je do domu przyprowadzić.

- Mus, nie łaska - powiedział i oddał. Konie były niezłe, ale przemęczone. Zaczął je oszczędzać. Źrebaka będę jeszcze miał, więc głaskał, klepał, karmił, no i żeby czasem po drodze nie oźrebiła się. Ściemniało się już, kiedy znów wybraliśmy sobie duży, opuszczony majątek na kwaterę nocną, w którym jednak było wojsko. Spaliśmy w pustej oborze. Gdy rano szykowaliśmy się do dalszej podróży, przyszli do nas wojskowi. W takiej sytuacji nauczono mnie, abym znajdowała się na drugim lub trzecim planie.

- Nigdzie nie pojedziecie - powiedzieli - Wypróżnić wozy, pojedziecie na lotnisko równać je. Jest zbombardowane i ma dużo dziur.

- Rozkaz to rozkaz - powiedział Piechu - ale mamy chorego chłopca, któremu Niemańcy ojca ubili. On musi zostać. Prosimy, żeby wszystkie rzeczy z wozów przenieść na helę i dziadek zostanie - pokazał na dziadka - bo musi się nim opiekować, pić dać, bo nic nie je. - Zgodzili się. A dziadkowi Piechu powiedział:

- Opiekuj się nią jak własną córką. Jeżeli nie przyjedziemy za dwa dni, jedź na własna rękę i zawieź ją tam, gdzie ci powie.

- Wróćcie wieczorem, bo umrę ze strachu. Przecież powiedzieliście, że będziecie mnie słuchać.

- Jak tylko się da, to wrócimy.

Przerzucili wszystkie rzeczy na helę i pojechali. Hela była głęboka, więc opuściłam się do samego dołu, na wierzchu przykrył mnie dziadek sianem. Siedziałam cichutko. Mijały godziny. Dłużyło mi się. Pewnie już popołudnie… nareszcie usłyszałam głośny szept dziadka:

- Nie bój się, to ja. Nie przychodziłem tak długo, bo gotowałem grochówkę. Nienamoczony groch, psia kość, długo gotuje się.

Podaje mi w garnuszku.

- Nie będę jadła, bo mi się nie chce jeść.

- Jedz do diabła, bo zawołam rusków.

Szybko wyciągnęłam rękę po garnuszek. Ale była dobra! Pierwszy gotowany obiad od wyjazdu. Stał i patrzył, jak jem ze smakiem.

- No i co? Chłop też umie gotować, jak ma z czego, no nie? I się nie bój, mam cię na oku cały czas. Smakowała ci?

- Oj, proszę pana, lepiej niż przed wojną tort jakiś!

- Teraz tam pójdę znowu, a ci jak się coś chce, to wytkni łep, zobacz czy kogu nie ma, chybni do obory, raz dwa i z powrotem na helom. Nie chciało mi się „chybnąć", zostałam znów sama. A właściwie - pomyślałam sobie - po co wiozę niemieckie pieniądze. Przecież w Polsce nie będą potrzebne, chyba że na pamiątkę zachowam. Tatuś też miał na pamiątkę papierowe pieniądze, tylko że one były większe. Mówił, że niejeden miał tyle, że mógłby pokój wykleić, a królika by za to nie kupił. A w rowie ile leżało pieniędzy! Całe paczki pięćsetek, bawiłam się nimi, podnosiłam całe garście do góry, rzucałam i patrzyłam, jak pięknie fruwają. Oj, żebym chociaż ze dwie paczki wzięła ze sobą, dobrze zrobiłabym. Gdy przyjechałam, Niemcy, którzy wyjeżdżali do swojej ojczyzny, płacili po 80 zł za 100 marek. Bank po wojnie dawał 20 zł za 100 marek. Miałam przy sobie ok. 200 marek, to dla mnie było dużo.

W dwa dni po rozstrzelaniu Ojca poszłam z bratem po chleb do Gierłatowa. Było tam dwóch kominiarzy i jeszcze ktoś. Kiedy wyszliśmy i uszliśmy już kawałek drogi, ktoś zawołał nas, abyśmy wrócili. Weszliśmy z powrotem, a kominiarze wyjęli pieniądze, dali je nam i mówiąc:

- Macie tu na szczęście.

Nie pamiętam ile, ale każdy z nas dostał sporo pieniędzy.

- Ale za co oni nam zapłacili, zdziwił się brat.

- Pewnie ta pani – powiedziałam, gdy wyszliśmy - powiedziała o naszym Tatusiu i pewnie zrobiło się im żal nas. Myślę, że nie pomyliłam się. Miałam dosyć pieniędzy przez całą okupację dlatego, że nie można nic było kupić bez kartek. Były „punkty" na wszelką odzież, bieliznę. Bardzo mało było tych punktów zresztą, buty były na „becukszain"; nie pamiętam czy jedna para na rok, czy na dwa lata. Jedynie dostępne były guziki, igły, ozdobne grzebyki do włosów, grzebienie, broszki i pierścionki metalowe, spinki do włosów – tzw. „Szpangi" i to prawie wszystko.

Posyłałam siostrze nieraz pieniądze „na babcię". Przed wojną tyle pieniędzy nie było. Tatuś musiał dorabiać. Oprawiał obrazy. Miał specjalne korytko z ukośnym wycięciem, diament do krojenia szkła, specjalne druciki szklarskie, którymi się szkło przymocowywało, aby szyba nie wypadła z ramy. Ramki kupował i przycinał na odpowiedni wymiar. Ja mu klej z żytniej mąki robiłam, żeby te paski papierowe pod spodem przykleić. Obrazki były pięknie zrobione. Tylko mi nie zdążył oprawić. I opłatki piekł sam. Tylko raz, gdy byłam mała, zamówił opłatki w Poznaniu. Przyszła cała skrzynia pokruszonych jak sieczka. Pomagałam obcinać nadmiar tego ciasta, które z boku powychodziło z formy za każdym razem, a ile przy tym najadłam się. Ręce zawsze musiałam mieć wyszorowane szczotką. Wycinałam takim wycinaczem najpierw pewną ilość dużych hostii, a potem z reszty opłatków same małe hostie. Na Boże Narodzenie Tatuś piekł dla ludzi opłatki. W ostatnie święta w 1940 r. też przychodzili ludzie po opłatki. Napiekł ich dużo, aby z różnych okolic ludzie mogli je mieć. A teraz kto będzie piekł?

Wprawiał też szyby. Gdy ktoś zamówił szklenie okna, to brał taką kastę na plecy z poukładanymi szybami i jechał wprawiać. Gdy mieszkaliśmy w Modliszewku, przyjechał pan Sułek i powiedział:

- Jedź pan do Bożacina i wpraw pan tej kobiecie szyby, bo już parę razy mi mówiła, żebym panu powiedział. Ojciec wziął tę kastę na plecy i rzekł;

- No widzisz pan, ja, trzeciorzędny szlachcic, kastę muszę brać na plecy. Że też moja babcia pozwoliła się wykraść kosynierowi i przez to szlachectwo utraciła! Gdzie ona oczy miała? Może teraz miałbym lepiej, co?

I puścił duże oczko.

Kto to może być kosynier? Wujek był w Palędziu kowalem, to podkuwał konie. A kosynier to pewnie jest ten, co wyrabia kosy albo jak są żniwa, wszystkim kosy klepie – rozmyślałam,

A chłopaki nie wracają. Co ja tu biedna przeżywam na tym wygnaniu. Już nie wiem, o czym myśleć. Ścierpłam całkowicie. Powinnam właściwie wszystko opisać, żeby ludzie wiedzieli, jakie miałam przeżycia i przygody. Na pewno napiszę. Jak przyjadę do Bydgoszczy, to zapytam, gdzie ci pisarze mieszkają. Pojadę i powiem;

- Proszę napisać książkę pod tytułem „Prawdziwe historie sieroty".

Słońce niedługo zajdzie, a ich nie ma… Taką ważną udaję, a jak ich nie ma, to się boję jak psi ogon, aż się ze strachu trzęsę.

Nie wracają jeszcze chłopcy,
Pracują gdzieś w tym kraju obcym.
Żeby szybko te pracę skończyli,
Jak najprędzej do mnie wrócili.

Nie, książki niech nie piszą, bo książki na pewno drogie będą i nikt nie będzie kupował, ale niech „puszczą" historię w odcinkach w gazecie jakiejś. Przed wojną, jak byłam mała, jeszcze w Modliszewku, w jednej z gazet publikowano w odcinkach powieść „Królowa, droga awanturnica", to wszyscy pożyczali tę gazetę i cała wieś czytała.

Ale co mogło się stać z Peterem, który wyjechał po chleb do Targowej Górki i nie wrócił? Jak mam rozpocząć te odcinki? No pewnie, że od początku wojny. Tak, wszystko można by napisać, ale jak tu opisać muzykę? Jak to napisać i kto w to uwierzy? Tak myślałam wówczas. Teraz mogę dopisać, że jak ma się żal w sobie, myśli się często o muzyce – gdzieś tam wewnątrz, głęboko, przechodzą w człowieku akordy tęsknoty, żalu. A jeżeli zna się słowa do tej muzyki, rozdrabnia się na małe kawałeczki i układa po swojemu coś innego, co w danej chwili potrzebne. Czy można taki stan ducha określić jakoś? Żal i smutek zawsze kojarzyłam z muzyką, od dziecka. Stąd tyle piosenek tutaj pisałam. Myślę, że ładnie mógłby opisać jedynie poeta. Ja jestem tylko prostym człowiekiem, mój zasób słów jest zbyt ubogi. Nie umiem wysławiać się ładnie, nie mam polotu i to, co chciałabym tu napisać, pozostanie jedynie w sferze moich marzeń i myśli. Nie znam innych określeń, aby to opisać, nie znajduję słów, ażeby wyrazić to, co chcę powiedzieć.

Gdy tak sobie rozmyślałam, usłyszałam turkotanie wozów, które było coraz głośniejsze. No pewnie! To chłopaki jadą! Pierwszy wjechał Stachu Grenda. On i jego oczy zawsze się śmiały, zawsze wszystkich rozweselał. Nigdy nie miał kłopotów.

- Żyjesz, aniołku? - zapytał - Przyjechalim, ale jutro musimy jeszcze raz pojechać. Potem dostaniemy taką przepustkę, żeby nas nigdzie nie zatrzymywali, bo już swoje zrobilim.

- Mizernie, ale żeś mnie pocieszył.

Rozbiegli się chłopaki konie futrować, może grochówkę jedli, ja siedziałam dalej w wozie. Przyszedł potem Stach i przyniósł mi dużą skibę chleba. Był posmarowany masłem,

obłożony szynką, na szynce grubo nałożony pasztet, a to wszystko polane prawdziwym miodem.

- Jedz! Znaleźliśmy w pałacowej piwnicy. Tu był pewnie „Kindergarten" i trochę im zostało. Kindergarten to coś w rodzaju przedszkola lub może ewakuowany sierociniec tu był. Nie wiadomo. Zlizałam miód, potem zjadłam pasztet, a na końcu chleb z szynką jadłam, ale i tak smakowało słodko. Zeszłam z wozu, umyłam się i powoli układaliśmy się do snu. Chłopaki napracowali się przecież.

Około północy łomotanie, rąbanie do naszych drzwi.

- Nic nie poradzimy - mówił ktoś - oni są pewnie pijani, mogą strzelać, musimy otworzyć.

Piechu zdążył powiedzieć do mnie:

- Załóż czapkę i wciśnij twarz w słomę. Żeby nie wiem co, udawaj, że śpisz.

Przyszli z bronią, bo „ktoś im powiedział, że tu są Giermańcy" .

- Nie ma Giermańców. Przyjechaliśmy z lotniska, cały dzień pracowaliśmy i jutro też musimy jechać, więc śpimy już.

Z leżących pozrywali koce, świecili na każdego latarką.

- Same spodnie - powiedział któryś z żołnierzy. Odeszli, a mnie cały czas dzwoniły zęby, nie mogłam uspokoić się.

- Chłopaki, czy my jesteśmy ich niewolnikami, że tak ostro nas traktują i stale straszą bronią?

- Nie denerwuj się - powiedział Piechu - to taki inny gatunek ludzi, oni tylko tak, chcą być ważni, bo to jeszcze front.

Chłopaki długo sobie jeszcze szeptali o tym, czego oni chcieli.

Kiedy uspokoiłam się, powiedziałam:

- Nie ma mowy, żebyście jutro tam jechali…

- O, witajże! O wilku mowa - ktoś powiedział, a ja ciągnęłam dalej:

- Wstaniemy rano, bardzo wcześnie i po cichu wyjedziemy, bo nas tu nie wiadomo jak długo będą trzymać.

- Ona ma rację - odezwał się Zdzich Kopeć - Usłuchajmy jej.

Tak się stało. Jedziemy bez śniadania, omijając kamienie po piachu, aby nie było słychać, a na szosie kłusem. Ze strachu oglądaliśmy się za siebie co jakiś czas, czy czasem nie ma pogoni za nami. E, oni śpią po wczorajszej nocy jak susły. Zwolniliśmy po paru kilometrach i przystanęliśmy na śniadanie, bo wstąpiła w nas odwaga. Przecież oni nie wiedzą, w którą stronę pojechaliśmy! Cieszyliśmy się z tego wszyscy, ja szczególnie, bo mnie usłuchali.

Ojciec tu znowu czuwał może
W tej dużej niemieckiej oborze.
Wyciągnął ku mnie swoje ramiona,
Nie będziesz córko moja zhańbiona.

Może w Cottbus lub innej miejscowości staliśmy cały dzień, bo wszystkich powracających spisywali na jakąś listę. Potem kazali nam jechać na jakiś plac – polanę leśną za miastem. Było tam już sporo powracających ludzi z wozami, takich jak my. Ze sporządzonej wcześniej listy wyczytywano po nazwisku każdego z zebranych. Wyczytani mogli jechać

dalej. Miało to oznaczać, że sprawdzono tożsamość powracających Polaków. Prawie wszyscy zostali wyczytani i uzyskali prawo jazdy w stronę lasu. Nas i kilka innych rodzin nie wyczytano, chociaż wiedzieliśmy, że byliśmy zapisani tuż za tamtymi, którzy odjechali. Zauważyliśmy, że wyczytują nazwiska, a nikt nie zgłasza się. Odzywaliśmy się więc my za innych, aby nie zostać samemu czasem. I tak pojechaliśmy dalej, ale do późnego wieczoru nie wydostaliśmy się na szosę. Tylko lasem i polami jechaliśmy. Zmuszeni byliśmy nocować pod gołym niebem, gdyż noc zapadła. Wszyscy wcześniej wyczytani musieli tam nocować. W lesie stacjonowało też wojsko. Nie będę opisywała tej nocy. Aż przykro, że takie bezprawie tam panowało. To była pijana dzicz, nie ludzie. Działy się tam przykre sceny i dramaty wielu kobiet. Dobrze, że byłam jedyną dziewczyną w przebraniu między moimi szesnastoma mężczyznami. Pilnowali mnie dobrze. Siedziałam w kucki, ukryta na dnie wozu między dwiema walizkami ustawionymi pionowo. Trzecia, położona poziomo na tych dwóch, a u góry, na sianie leżeli dość gęsto chłopcy, udając, że śpią. Czuwali! Co pewien czas zaglądali na nasz wóz żołnierze, za każdym razem inni. Była to najgorsza noc…

Kilka dni potem żołnierz stojący na środku szosy skierował nas w las. Było tam już kilka wozów z cywilami. Dali chłopakom piły. Jedni mieli ścinać sosny, inni wywozić je końmi, bo w pobliżu miał być zbudowany prowizoryczny most.

Piechu oczywiście swoich koni nie wyprzągł.

- Siedź tu na wozie i pilnuj! - sam chwycił za piłę i był blisko mnie. Nie wiem, jak daleko było do tego mostu, lecz sporo czasu upłynęło, zanim chłopaki wrócili po następną sosnę. Podszedł do mnie pilnujący tej roboty żołnierz i powiedział:

- A ty co siedzisz i nic nie robisz?

- Jestem chory.

- Konie będą robić, a nie ty. Wyprzęgaj!

- Ale ja nie umiem…

Przyjrzał mi się dobrze. - Aaa, to ty, zamaskowany chłopak jesteś!

Ale był już Piechu i ostatnie słowa słyszał:

- Co się stało?

- Konie stoją, ona siedzi i nic nie robi.

- To jest moja żona, chora i konie też chore.

- Ale drzewo nie ciężkie. Bierz konie!

Co miał robić? Wyprzągł.

- Ona niech siedzi, bo chora.

Zgodził się. Nie bałam się go. Miał takie jakieś ojcowskie spojrzenie. Skoro żona i jeszcze uśmiechał się, więc spokojnie siedziałam. Chłopcy po cztery sosny wywieźli, a Piechu dopiero raz, a miało się już ku wieczorowi. Krzyknęłam głośno;

- Ej, chłopaki! Jedziemy, bo ciemno zacznie się robić!

Piechu zabrał konie i szedł w moją stronę. Usłyszał to żołnierz.

- A co, już koniec?

- Już.

- Ile razy jechali?

- Dziesięć - kłamię.

- Jedenaście trzeba! No to krzyknęłam:

- Chłopaki! Słyszeliście? Żołnierz powiedział, że macie po jedenaście drzew wywieźć. To dalej, prędzej, po jednym i jedziemy!

Połapali się o co chodzi. Kiedy ruszyliśmy z lasu, śmiać nam się chciało, a chłopcy pochwalili mnie, że jestem sprytna, ale przygadali też, że Iza w lesie nie chce już więcej pracować.

Zanim dojechaliśmy do pierwszej wsi, żeby przenocować, najpierw przejeżdżaliśmy przez płonące miasto. Było ciemno, więc wyglądało strasznie. Palił się prawie każdy dom i nie było widać żywej duszy. To miasto najwidoczniej przed godziną było podpalone…

- Prędzej, prędzej - nagliłam - bo spadną na nas te mury, przecież w środku sam ogień.

Dziwnie smutno wyglądały zbombardowane miasta, przez które przejeżdżaliśmy. Tu nie ma sufitu, tylko kawałek podłogi z piecem kaflowym trzyma się. Tam kawałek podłogi z łóżkiem, a pod spodem piętra już nie ma. Gdzie indziej jest tylko ściana z oknem bez szyb, ale firanka powiewa. Żadnych cywili nie widać, jedynie wojsko na ulicach.

Potem, coraz bliżej Odry, szło już z górki. Zaczęło brakować nam chleba. Do tej pory chłopcy kombinowali jak mogli. Podsłuchałam jak mówili, że muszą coś ugotować, bo mają tylko małą kromkę chleba dla mnie. Muszę przyznać, że w podróży nie zajmowałam się przygotowywaniem jedzenia. Miałam zawsze jedzenie podane. Nawet nie wiem, kto z nich zarządzał sprawami żywieniowymi, stąd nie wiedziałam, jaki jest stan zapasów. Zdobyli gdzieś pęczak i ugotowali bez soli we wiadrze. Jadłam z nimi, aby nie musieli się martwić, co podadzą mi jutro. Potem już oficjalnie dowiedziałam się, że chleba nie ma. Podpowiedziałam, aby postarali się o ziemniaki, bo ugotowane w mundurkach są bardzo dobre. Dziś już nie pamiętam, cośmy dalej jedli, ale chleb zjedliśmy dopiero w Poznaniu.

W międzyczasie wojsko zabrało nam konie z zaprzęgiem. Na pozostałych wozach robiło się coraz ciaśniej. Nie starczyło dla wszystkich miejsc siedzących, dlatego chłopcy na zmianę raz jechali, a raz szli piechotą za wozem szli.

Dotarliśmy już do Głogowa i czekaliśmy na swoją kolejkę do mostu pontonowego. Stale był zajęty przez wojsko. Gdy na chwilę zwalniało się miejsce – przeprawiali cywilów. Nie mogłam nadziwić się, że niby z takich kawałków gumy zbudowali most, który uniesie wozy, konie, samochody i czołgi.

Za Głogowem zobaczyliśmy po raz pierwszy żołnierzy w rogatywkach. Do tej pory spotykaliśmy żołnierzy w furażerkach, okrągłych czapkach, z klapami na uszy, częściowo futerkowych, no i tych czołgowych, nie wiem jak one nazywają się. Z radości, że widzą żołnierzy w rogatywkach, chłopcy jak na komendę pozdejmowali czapki, pozdrawiając żołnierzy na widok orzełków. Żołnierze salutowali nam.

Za Głogowem też zostaliśmy tylko z jednym zaprzęgiem konnym. Był to oczywiście zaprzęg Piecha, który cieszył się, że konie zaprowadzi do domu. Na tym jednym wozie mieliśmy swoje tobołki, a chłopcy prócz woźnicy i mnie szli obok wozu. W Lesznie kilka osób nas opuściło, bo mieli prostszą drogę do własnych domów. Pozostałą naszą grupą zajęła się milicja. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego teraz policjanci nazywają siebie milicjantami. Jak oni są ubrani? Pół cywile, pół wojskowi, z biało czerwoną opaską na rękawie i to ma być policja?

Dali nam jakąś zespołową przepustkę i kazali jechać do domów pociągiem, za darmo, na tę przepustkę.

Najgorsze było to, że milicja zabrała Piechowi konie z zaprzęgiem. Jak ten człowiek prosił i błagał, targował się wręcz o te swoje konie. Bo chociaż podmienione na samum

początku podróży, to jednak z ojcowizny konie były zabrane do Niemiec. I to cztery! Powoływał się na swoich braci zabitych. Mówił, że Niemcy pozbawili go braci, a Polacy koni, że świat jest niesprawiedliwy. On po prostu płakał…

Pojechaliśmy do Poznania w jeszcze mniejszej grupie. W Poznaniu na peronach było pełno handlarzy, więc Piechu sprzedał nowe skórzane buty robocze za 20 złotych i dostał jeszcze bochenek chleba. Obdzielił nas sprawiedliwie tym suchym chlebem i cieszył się, że zrobił dobry interes, bo aż 20 zł za buty dostał. Nie mieliśmy pojęcia jaką wartość miał pieniądz. Dopiero w domu dowiedział się, że jeden chleb teraz kosztuje 26 zł, Jak on klął na tych oszustów, którzy go oszukali.

W Poznaniu po raz kolejny zmniejszyła się nasza grupa. Pozostali tylko ci, którzy mieszkali w Małej Górce i w jej pobliżu. Nie pamiętam, gdzie wsiedliśmy do małej kolejki. Wysiedliśmy w jakimś Tadeuszewie. Był to koniec naszej podróży. Stamtąd szliśmy pieszo do Targowej Górki. Chłopcy powędrowali do Małej Górki, a ja skierowałam się do państwa Jadwigi i Piotra Kopińskich w Targowej Górce.

Przyznam się, że szłam tam z niepokojem, bo nie wiedziałam, jak mnie przyjmą. Może już zapomnieli, że tak się umówiłam z nimi? To już tak dawno było. Jeśli będą niechętni, to co ja wtedy ze sobą pocznę? Byłam mile zaskoczona, bo nie tylko pamiętali, ale nawet szukali mnie. Najpierw w Małej Górce po wyjeździe Niemców, a potem pytali niektórych wcześniej wracających, czy mnie ktoś nie widział. Czekała na mnie jeszcze jedna niespodzianka – list od cioci z Bydgoszczy z informacją, że mam przyjechać. Co za szczęście! Czy mogłam się spodziewać lepszego zakończenia po tych przejściach i perypetiach?

Państwo Kopińscy traktowali mnie jak członka rodziny. Usłyszałam kiedyś od pana Kopińskiego:

- Moim obowiązkiem jest pomóc tobie przez wzgląd na pamięć twojego Ojca – człowieka prawego.

Dowiedziałam się, że będzie uroczyście obchodzona czwarta rocznica śmierci rozstrzelanych w Małej Górce. Będzie odprawione nabożeństwo, a ksiądz poświęci krzyż, który będzie tam ustawiony. Poprosiłam, czy mogę zostać do tego czasu? - Oczywiście, zostań, ale odpisz cioci, że żyjesz, bo list przyszedł jeszcze w marcu. Napisałam więc, że żyję i przyjadę po uroczystościach 22 maja.

Drugiego dnia po powrocie poszłam do Małej Górki, a szłam tak szybko, jakby wiatr mnie tam pędził. Pierwszy raz znalazłam się przy samym szczycie obory i w ogóle po tamtej stronie zabudowań. Ktoś poszedł ze mną, Piechu lub Czesław.

- Powiedz mi, jak myślisz, czy oni tu właśnie stali?

- W tym miejscu nie, bo oborę postawili o jeden metr dalej, ale jak zostali trafieni, to może akurat tutaj upadali. Może tu jest najwięcej ziemi nasiąkniętej ich krwią?

- No to idź, a ja sobie postoję tu jeszcze.

Stałam i myślałam.

Byłeś mi zawsze drogą osobą,
Przez całe życie chciałam być z Tobą.
Pół życia bym za to oddała,
Bym przy sobie Cię zawsze miała.

Moją główną kwaterą była teraz Targowa Górka. Zaczęłam odwiedzać znajomych. Najpierw w Małej Górce. Byłam parę razy u państwa Cierzniewskich, bo przyjaźniłam się ze Stanisławą. Wiedziałam, że w najbliższych dniach dziewczęta będą plotły korony. Chciałam się przyłączyć do tej pracy. Dowiedziałam się tutaj, że podczas ucieczki nie zdążył przekroczyć Odry Niemiec Gacke, ten po Stanisławskich. Gacke, przezywany przez nas „Kolenklau" wrócił z powrotem do Małej Górki, do Stanisławskich. Został przez żołnierzy zastrzelony koło szkoły w Opatówku i tam podobno zakopany, tak wówczas mówili ludzie. A z Gackową nawet rozmawiałam, o dziwo, bezbłędnie mówiła po polsku, ale o swoim mężu nic nie wspomniała. Poszłam też na moje dawne miejsce pracy, teraz już do państwa Szczepańskich, bo zostawiłam tam jakieś rzeczy osobiste. Tutaj dowiedziałam się, dlaczego nie przyjechał na czas Pejter, wysłany po chleb. Pejter śmiał się ze swojego sprytu i powiedział mi, jak to było.

Kiedy dotarł do Targowej Górki, zatrzymali go żołnierze niemieccy i rozkazali, żeby ich podwiózł do jakiejś miejscowości.

- Powiedziałem im, psia kitka, że jak mus, to mus, ale żeby mi dali jakieś zaświadczenie, gdy ich podwiozę, bo gospodyni z dziećmi czeka na mnie, żeby wyjechać do Niemiec.

Obiecali i dali. Odwiózł ich dość daleko. Z tym papierkiem w ręku był usprawiedliwiony, gdyby ktoś z miejscowych Niemców go złapał. Wracając, schował się dość głęboko w lesie, gdyż nie było liści i obserwował tę drogę, którą mieliśmy jechać.

- Widziałem z daleka wasz tabor. I śmiałem się do siebie głośno. Jedźta beze mnie, psia kitka. Przeczekałem do ciemka. Jedźta moje koniki do domu, bośta głodne.

Odwiedziłam parę razy moich znajomych w Opatówku. Dowiedziałam się tam, że Niemiec Krüger ze swoją rodziną, ten po Kierzkowskich z Małej Górki, mieszka w jakiejś futerni w majątku. Też nie przejechali Odry. Odwiedziłam ich, bo po pierwsze oni z każdym Polakiem porozmawiali, krzywdy nikomu nie zrobili, ich dorosły syn Gustaw i córka Emilia byli dobrzy i rozmawiali z nami po polsku. A po drugie, mieszkała z nimi ich zamężna córka z dwójką dzieci. Nazywała się Klingschpon. W Niemczech szukał jej mąż – kolejarz. Powiedziałam im, gdzie zamieszkali wszyscy Niemcy z Małej Górki. Dałam im adres i bardzo się z tego cieszyli. Byłam raz w Zasutowie, bo dowiedziałam się, że moja pani Reimer przebywa chwilowo u pani Mularczyk, więc odwiedziłam ją. Dowiedziałam się od niej, że szefa aresztowali Rosjanie i pewnie go już nie zobaczy. A przecież nie uciekali dlatego, że byli dla Polaków dobrzy i sądzili, że będą ich za to bronić. Nie wszyscy Polacy wiedzieli o tym, bo to była tajemnica, więc go zabrali. Reimerowa już się teraz nie dziwi wcale, bo ci, co podczas wojny bali się o swoje życie, teraz też drżą o własną skórę. Co to za Polska nastała teraz? Teraz ona czeka na rehabilitację i wyjedzie do Szczecina. Przekazałam też jej informację, że jej syna Albina widzieli nasi i rozmawiali z nim w Niemczech, niedaleko nas, w miasteczku Damme lub Dahme. Ucieszyła się z tej wiadomości i powiedziała, że ważne jest, że żyje, bo mąż nie wróci pewnie, a starszy syn Ejdel poległ na froncie wschodnim.

Zastanawiało mnie wtenczas, dlaczego akurat mieszka u pani Mularczykowej? Wyjaśniło się dopiero po dwudziestu latach, kiedy pani Mularczykowa opowiedziała mi o tym, jak Reimer uratował tę grupkę ludzi 5-6 osób, o której już pisałam, a w której była pani Mularczykowa. Myślę, że pani Mularczykowa z wdzięczności pomagała teraz przetrwać pani Reimerowej.

Idę od pani Mularczykowej i kogo ja widzę? W ogrodzie u Eliaszki stoi pani Grünning!

Nie przejechała Odry! Ale musiał tam panować bałagan w ostatnich chwilach, skoro zgubiło się dwoje ludzi. Powiedziałam, że mąż był u mnie i wywróżył sobie, że ona już nie żyje. Zawsze była czerwona na twarzy, teraz zrobiła się czerwona jak indor, twarz znieruchomiała przez moment, oczy wybałuszyła, a ja po cichu mówiłam sobie:

- A kysz, a kysz, bo ludzie mówili, że ona jest czarownicą. Krzyczała zawsze na ludzi i do ludzi, a czasem jak gdzieś szła, niosła ze sobą siekierkę. Ludzie mówili:

- O, ciota znowu idzie z toporkiem!

Zapytała o adres Grünninga, lecz mogłam jedynie podać ten, gdzie ja mieszkałam, bo on mieszkał w innej wsi. Po polsku nie przemówiła do mnie, widocznie nie potrafiła, podobnie jak jej mąż.

Ze smutkiem spojrzałam w stronę mojego domu. Tam pewnie jest już w szopie dziura, ciekawe jak głęboka? Na pewno wykopali. Po co ja wtenczas powiedziałam? Jak nie dziś, to kiedy indziej miałabym te dokumenty na pamiątkę. Teraz już nie będą nikomu potrzebne. Dopilnowałabym, aby je zabrać. Dwa razy wskakiwałam przez okno, żeby coś po Nim zabrać. Już nie będę ich oglądała, chociaż nigdy nie widziałam. A wszystko przez to, że miałam taką naturę do zgadywania. Przyszłam kiedyś ze służby na noc do domu – wtedy jeszcze chodziłam spać do domu, rodzeństwo już spało, a na stole stały kartonik i szuflada z różnymi porozwalanymi papierami. Spytałam tak sobie, żeby coś powiedzieć;

- Co mamusia szuka?

- Za głupia jesteś, żebyś wiedziała, co ja szukam.

Zabolało mnie to i powiedziałam;

- Papierów z powstania? Tu ich nie ma.

- A gdzie?

- W szopie zakopane na samym środku.

Żeby cokolwiek innego odpowiedziała, nie powiedziałabym. Ale że jestem za głupia, to chciałam pokazać, że nie jestem głupia, tylko już na tyle poważna, że Tatuś powierzył mi tę tajemnicę. A teraz wszystko już przepadło na wieki!

Pojechałam jednego popołudnia z Pejtrem do leśniczego Poddanego po świerk i gałęzie z dębu czy klonu. Nie miał z nim kto jechać, bo pracy w polu było dużo, więc pojechałam ja. Po przyjeździe stałam się taką „powsinogą", raz byłam tu, raz tam, czasem nocowałam u znajomych w Opatówku, czasem u państwa Cierzniewskich w Małej Górce, nawet w Zasutowie ten jeden raz spałam z panią Reimerową w jednym łóżku, kiedy ją odwiedziłam. Zawsze po jednej nieprzespanej nocy w mojej „bazie" wracałam do Targowej Górki. Ciągnęło mnie, żeby być między ludźmi po tych paru latach, kiedy czułam się jak na uwięzi. Ale i ten luz miał się wkrótce skończyć. No więc te gałęzie były przygotowane. Wjechaliśmy na podwórze i braliśmy z kupy. I znów spotkanie! Eli Marielke! Była tu służącą. Nie miałam dla niej serca za ten ogień przy lesie, gdy po rozpaleniu uciekła, zwalając winę na mnie. Powiedziałyśmy sobie „dzień dobry" i zapytałam, jak się tu pracuje. Nie spytałam nawet czy nie zdążyli przejechać Odry, czy też nie uciekali wcale, bo mieszkali na swoim własnym gospodarstwie.

Wracaliśmy naładowanym gałęziami wozem.

- Jak wam się jechało tymi chudymi szkapami od „Szwarcmejroków"? - zapytał Pejter.

- Oj źle, panie Pejter. Najgorzej było, gdy jechaliśmy pod górkę i konie nie mogły uciągnąć na tej ślizgawicy. Co rusz wóz w poprzek szosy stawał i do rowu chciał zjechać. Gospodyni wywaliła nawet tę koszykowa walizkę z budyniami, bo była bardzo ciężka. I zawsze gdy

konie nie mogły uciągnąć, mówiła: „Oj, Pejter, Pejter, żebyś mnie miał na kolanach prosić o przebaczenie, to ci nigdy nie przebaczę".

- Widzisz, psia kitka! Koni moich jej się zachciało! Nie dość, że spiżarkę odgrodziła w waszym pokoju i dziurę w szczycie na okienko dała wybić, cały pokój przez to spaskudziła, to jeszcze koni moich jej się zachciało.

Przez dwa lub trzy wieczory plotłam z innymi koronę w jakimś pomieszczeniu u państwa Majchrzaków. Z samych liści dębowych też była pleciona girlanda. Korona była potrzebna do owinięcia krzyża, który był zamówiony i miał być dowieziony w piątek. Czasem zaglądali do nas synowie państwa Majchrzaków, najstarszy Wacław, Piotr i Czesław. Dwukrotnie przyjeżdżał jakiś pan, wyglądało na to, że dogląda tych wszystkich prac. Pewnie był to ktoś z Gminy. Słyszałam jak mówił, że trzeba spisać dokument, włożyć do butelki i zakopać pod krzyżem, żeby kiedyś po latach ludzie wiedzieli, dlaczego ten krzyż tu postawiono. Nie wiem dlaczego, ale właśnie mnie dał duży brystol i karteczkę z tekstem i polecił napisać drukowanymi literami. Odmawiałam, tłumaczyłam się, że mam ukończone tylko trzy klasy szkoły powszechnej. Nie uczyłam się przez całą wojnę, więc nie mogę tego napisać. A po cichu myślałam sobie: dlaczego akurat ja? Girlandy pleść to co innego, ale wypisywać takie słowa? Mnie i tak jest ciężko i smutno. Gdyby wiedział, że tu był zabity mój Ojciec, to może nie otrzymałabym tego zadania. Nie chciałam mu tego powiedzieć, bo byłam bliska płaczu, trochę wstydziłam się rozpłakać przy wszystkich. Byłam prawie dorosła. Szesnaście lat to dużo. Każdy odmawiał, nikt nie chciał wypisać. Tłumaczyli się, że mają dużo pracy w polu, a ten mi wpycha kartkę do ręki i mówi, że dam sobie radę. Wzięłam tę kartkę i brystol. Obiecałam, że przyniosę w piątek 18-go maja po południu. W sobotę 19-go musiało już być wszystko gotowe na niedzielę. Na karteczce, o ile dobrze pamiętam, było napisane, że 22 maja 1941 roku zostało zamordowanych przez hitlerowskich zbirów 25 najlepszych synów Polski. Te słowa były na pewno, bo stale mam je w głowie. Słów było więcej, ale ich dzisiaj nie pamiętam. Poszłam do Targowej Górki, cała przejęta tą ważną misją. Tego wieczoru przy lampie naftowej rozmieściłam sobie zwykłym ołówkiem tylko literki i nic więcej. Musiałam tak rozmieścić, żeby od brzegu brystolu było trochę wolnego miejsca. Wiedziałam, że ten napis będzie opleciony wokół girlandą z liści i nie może być zakryty. Resztę zostawiłam na dzień następny. Siedziałam długo, wszyscy spali już, a ja dumałam…

Nie miałeś wieńca ani kwiatów,
Dla Ciebie plotłam koronę mój Tatku.
I na brystolu wypiszę te słowa,
Śmierć Twą przeżywać będę od nowa.

Da Bóg, że znajdę kiedyś szczątki Twe,
Lecz gdzie Cię szukać mam, gdzie?
Trumnę Ci kupię kiedyś może
I do niej Twe drogie kości ułożę.

W niedzielę ksiądz tę ziemię poświęci,
Nie tylko mnie łza się w oku zakręci.
Szkoda, że nie ma tu Krysi, Twej córki.

Przyrzekam, przyjedzie kiedyś do Małej Górki.

Napis miałam przegotowany na czas. Jednak nie byłam pewna, czy nie popełniłam jakiegoś błędu. Na karteczce też mógł być jakiś błąd. Kiedy byłam gotowa do wyjścia, powiedziałam pani Kopińskiej, że pójdę teraz odnieść brystol i przed wieczorem wrócę, ale najpierw pójdę do nauczyciela, pana Niedzieli, zapytać, czy nie ma błędów. Pana Niedzielę poznałam wiosną 1938 roku. Teraz na chwilę muszę powrócić właśnie do tego roku.

Kiedy wiosną 1938 r. przeprowadziliśmy się tutaj, organistówka w Opatówku nie była jeszcze opróżniona. Pan Majchrzak, ojciec rozstrzelanych dwóch synów, miał jeszcze jeden domek w Małej Górce, którego już nie ma. Stał on po lewej stronie drogi prowadzącej z Targowej Górki do Małej Górki, za domem pana Wojtkowiaka, zaraz za rowkiem, w narożniku przy zakręcie w lewo. Mieszkał tam w jednej połowie domu pan Jóźwiak, a na drugą przyjął nas, do czasu opróżnienia organistówki. Z tego powodu od wiosny do zakończenia roku szkolnego chodziłam do szkoły w Targowej Górce. Pan Niedziela uczył naszą klasę. Była też nauczycielka, mówili, że jest z Poznania. Pana Niedzielę lubiły wszystkie dzieci. On w ogóle nie denerwował się. Mówił nieraz, że ma co niedzielę święto, bo nazywa się Niedziela. Pan Niedziela ocenił, że napis jest dobrze wykonany, błędów nie ma i zapytał, czy naprawdę sama to wykonałam. Trochę zatrzymał mnie, wypytał, co robiłam podczas okupacji. Opowiedziałam, co i jak i pożegnałam się.

Te 10 minut rozmowy być może uratowały mi życie. O dobry człowieku, dzięki ci za to! Kiedy dochodziłam do Małej Górki, gdzieś koło pana Kurpika, na pewnym odcinku drogi, widać było dokładnie drugi koniec wsi. Z tego miejsca widziałam, że koło państwa Majchrzaków wyjeżdżał ze wsi samochód ciężarowy z brezentową budą. Wstąpiłam po drodze do państwa Cierzniewskich z tym zwiniętym rulonem, bo czasu miałam dosyć. Jak tu się nie pochwalić, skoro sam pan nauczyciel powiedział, że jest ładnie napisane? A tu panna Stasia powiedziała mi, że przed chwilą byli po mnie wojskowi samochodem.

- Taki ciężarowy, widziałam jak jechał koło Majchrzaków, to ten?

- Ten, ten. Ale miałaś szczęście, bo byli dobrze podpici. Byli z jednym chłopcem dla rozpoznania cię. Pytali czy tu jesteś, bo matka powiedziała im, że córka przyjechała z Giermanii i nie chce do niej wrócić. Mają ją przywieźć, a jak nie będzie chciała, to mają ją zastrzelić.

Chłopiec powiedział:

- Pojedziemy do jeszcze jednej wsi i ona na pewno tam będzie.

Odpowiedzieli, że nie mają tyle paliwa. Wyglądało na to, że musieli też być w Opatówku.

- Gdyby nie to, dopadliby ciebie akurat na drodze.

- Stasia - powiedziałam - gdyby mnie pan Niedziela nie zatrzymał na chwilę, przyszłabym, kiedy oni tu byli.

- No to byłoby już po tobie.

- Stasia, dzisiaj jest 18 maja, rocznica aresztowania naszych.

Nie rozwijałam już rulonu. Poszłam zanieść go do państwa Majchrzaków i pędziłam biegiem do Targowej Górki, oglądając się co chwila za siebie. Weszłam dzika do „mojego" domu. Kiedy opowiedziałam pani Kopińskiej o zdarzeniu, powiedziała:

- I co? Powiesz może, ze twój Ojciec nie czuwa nad tobą?

- Czuwa. Już parę razy tego doświadczyłam.

- Nie pozwolę ci daleko chodzić, a tu do nas to oni nie przyjadą. Nie bój się, to się rozniesie po całej okolicy. Zobaczysz.

Podziękowałam więc Ojcu za opiekę.

Tatku drogi mój, złoty,
Jakie Ty masz ze mną kłopoty.
Życie mi pewnie uratowałeś,
Zabić mnie nikczemnie nie dałeś.

Jest sobota 19 maja 1945 roku. Nie ma cukru na niedzielę, trzeba przynieść.

- Pójdę i przyniosę, niech pani się nie martwi, będę uważała. Gdyby jechało jakieś auto, cofnę się, wejdę do jakiegoś domu lub w pole ucieknę.

Tak słodko ćwierkałam, żeby mnie pani Kopińska puściła. Chciałam być pomocna.

Niechętnie, ale pozwoliła mi pójść. Do sklepu trzeba było iść pod górkę, minąć kościół z lewej strony, potem park z prawej i niedaleko, gdzieś też po prawej stronie, był ten sklep. Kiedy podchodziłam pod górkę, zauważyłam niedaleko kościoła jadącego na rowerze, w moją stronę, mężczyznę. Zszedł z roweru, a ja uśmiechnęłam się do niego, bo go poznałam. Był to pan Dankowski z Opatówka.

- Czy ty jesteś córka organisty i mieszkasz u Kopińskich?

- Tak.

- Właśnie jadę do ciebie powiedzieć, żebyś się chowała i nie łaziła sama, bo wczoraj macocha przysłała rusków z chłopcem po ciebie do znajomych w Opatówku. Potem jechali do Małej Górki.

- Dziękuję, panie Dankowski! Już wiem o tym, bo krótko po ich odjeździe z Małej Górki tam weszłam. Teraz biegnę po cukier do składu i zaraz będę z powrotem.

- To leć, ja tu postoję.

Stał przy drodze prowadzącej do Małej Górki.

- Uwinęłaś się ruk cug - powiedział - leć, a ja tu trochę postoję i będę patrzył za tobą.

Opowiedziałam o spotkaniu pani Kopińskiej.

- To nawet i tam posłała po ciebie? Do tego już doszło, że aż obcy ludzie cię ostrzegają?

Bardzo chciałam pójść po południu do Małej Górki. Będą krzyż dekorowali koroną, butelkę mają wkopać i cały krzyż zamontować, a mnie tam nie będzie! Nikt nie miał czasu ze mną pójść, bo pracowali pilnie w polu, a samej nie pozwolono pójść. Płakałam z żalu, że nie mogę tam być.

- Nie płacz, jutro pójdziesz, to wszystko zobaczysz. Nie miej żalu do mnie, bo też boję się o ciebie - powiedziała pani Kopińska - Co by twoja ciocia powiedziała, przecież prosiła mnie o opiekę nad tobą.

Pewnie, że nie miałam żalu do niej, tylko żal mi było, że nie będę tam na zakończenie tej pracy. Dlatego nie wiem do dziś, czy butelka była wkopana czy nie, bo chociaż mówili, że będzie wkopana, mnie przy tym nie było.

W niedzielę rano ktoś mnie podprowadził do Małej Górki, nie pamiętam kto, może był to pan Wiktor? Potem już z ludźmi szłam do kościoła w Opatówku. W kościele było pięknie. Było tak, jakby to był pogrzeb. Pierwszy pogrzeb. Potem będzie drugi pogrzeb, gdy

ich odnajdą – tak wtedy myślałam. Gdyby byli tam zakopani, miałby Ojciec swój prawdziwy pogrzeb i rodzina by się zjechała… W kościele myślałam o Ojcu.

Jak głośno ten dzwon dziś bije,
On go nie słyszy, On nie żyje.
Świece się równo palą, znak dobry,
Prawdziwy pogrzeb byłby podobny.

Gdyby, biedny, teraz żył,
Też z nami by tu był.
I ludzi jest dziś tak wiele
Lecz On nie zagra już w kościele.

Dziękuję, że dziś nie muszę kryć się,
Że los uratował mi w piątek życie.
Byłyby dziś dwa pogrzeby może.
Dziękuję, że tu jestem mój Boże.

Czasem mam serce ściśnięte jakby obręczą,
Te myśli o Nim mnie kiedyś zamęczą.
Tak Mnie to nieszczęście omotało,
Że nieraz żyć by mi się nie chciało.

Moim pragnieniem najgorętszym
Jest zanieść Mu kwiatów pełne naręcze.
Zaniosę mu jeszcze niejeden kwiatek,
Majowe bzy, jesienne róże, wiosenny bratek.

W tym dniu niosłam naręcza jaśminu. W sobotę jeszcze, pod wieczór, gdzieś poszłyśmy z panią Kopińską po ten jaśmin. Ze względu na moje bezpieczeństwo szłyśmy spory kawałek łąką, a nie drogą, chociaż było dalej.

Po nabożeństwie wszyscy ludzie poszli do Małej Górki. Po drodze minął nas ksiądz wieziony bryczką. Zanim doszłam pieszo na miejsce, ksiądz święcił krzyż. Mówiono wówczas, że w szczycie obory też poświęcił, ale tego nie widziałam. Poza tym ludzi było sporo, stałam dość daleko i nie widziałam dokładne tego, co się z przodu działo. Zaśpiewano jakąś pieśń, było krótkie przemówienie i odczytano wszystkie nazwiska pomordowanych.

Nie zdążyłam na czas do Małej Górki, bo miałam za ciasne buty. Na początku mojej służby dostałam od pani Reimerowej nowiuteńkie buty numer 37. Były na wyrost, ale nim skończyła się wojna, noga urosła. Po moim powrocie z Niemiec dostałam buty od Stasi Cierzniewskiej. Były to letnie buty z paskami, ale pod koniec mojego chodzenia po wsiach przełamały się zelówki. Chociaż obiecałam, że odkupię, do dzisiaj tego nie uczyniłam, ale mam teraz szczere zamiary wywiązać się z tego. Szłam powoli w zbyt ciasnych butach z okaleczonymi do krwi paznokciami, które na wpół już schodziły. Była to droga przez mękę.

Po uroczystości poszłam na obiad do państwa Cierzniewskich. Oni byli zawsze dla mnie życzliwi i gościnni. Nawet kiedy z konieczności odwiedziłam ich po 41 latach, też byli wspaniali i gościnni, tego po prostu się nie zapomina.

We wtorek 22 maja 1945 roku odwiedziła państwa Kopińskich moja macocha. Nie wiem dlaczego, ale postawili jej krzesło na środku kuchni. To miało jakieś znaczenie, ale nie wiem jakie. Powoli pakowałam się. Może specjalnie to robiłam, żeby coś robić. Macocha odezwała się tak:

- Niektóre córki wracają, a do domu nie przychodzą. Tylko wyjeżdżają do Bydgoszczy.

Pierwszy raz w życiu stałam się odważna i odpowiedziałam.

- Ja nie mam domu. Jedne matki chronią swoje dzieci, a inne wysyłają pijanych żołnierzy, żeby je zabili.

Pochyliła lekko głowę, ironicznie uśmiechnęła się i nie broniła się. Nie powiedziała ani słowa. Gdyby chociaż wypowiedziała jedno słowo, że to nieprawda – tak bardzo czekałam na to słowo. Byłam gotowa zostać i nie wyjechać. Tak się nie stało. To mnie utwierdziło w przekonaniu, że czuję do niej pogardę. Poszła sobie po chwili, a ja natychmiast przestałam się jej bać. Ludzka świadomość też ma swoje granice wytrzymałości, a potem już nie reaguje na nic.

- Widziałaś? Nie powiedziała ani słowa. Już wie, że wszyscy o tym wiedzą - powiedziała pani Kopińska.

Dzisiaj jest właściwa rocznica. Pójdę jeszcze ostatni raz do Małej Górki.

O tym, że wyjeżdżam do Bydgoszczy, przed nikim nie kryłam, raczej wszystkim mówiłam. Cieszyłam się, że nie będę pracowała w polu w jakimś gospodarstwie. Miałam tego dosyć i nigdy tej pracy nie lubiłam. Macocha musiała się o tym od kogoś dowiedzieć.

Wcześniej, 16 maja, pani Kopińska powiedziała mi, że muszę pójść „na starostwo" do Nekli wymeldować się (w tym czasie mówiło się po staremu "starostwo" zamiast „gmina"). Znałam drogę do Nekli jedynie od strony Zasutowa. Wytłumaczyła więc, jak idzie się do Nekli od strony Targowej Górki. Wiem dokładnie, że to było 16-go, bo mam jeszcze ten papierek, na którym widnieje data. Jest wypisany na odwrotnej stronie „Geburtsurkunde" (metryka urodzenia) z odpowiednimi rubrykami. W tym czasie urzędy cierpiały na brak papieru. Raz dwa załatwiłam wymeldowanie w „starostwie" i chciałam sobie pochodzić po Nekli. Zauważyłam, że z samochodu z brezentową budą, który stał koło Mibusa, tak nazywał się rzeźnik, wyszła macocha i szła w stronę „starostwa". Zawróciłam ze strachu, bo zawsze się jej bałam, i poszłam w stronę Targowej Górki tą samą drogą, którą przyszłam. Dziś nie wiem, czy trafiłabym, bo tą drogą szłam ten jeden, jedyny raz do i z Nekli. Nie wiem w jakim miejscu, ale jak zamykam oczy, to przypominam sobie, że w pewnym momencie niespodziewanie odwróciłam się za siebie, jakby mnie ktoś wołał, za sobą widziałam górkę. A pod tę górkę z tamtej strony podjeżdżała ciężarówka i dokładnie było widać kawałeczek dachu tej wysokiej budy brezentowej. W polu, po mojej prawej stronie (co za zbieg okoliczności), może 15-20 koków od drogi, pracowali ludzie przy rozrzucaniu obornika. Jedni stali, drudzy pracowali, a ja miałam szybki refleks. Zbiegłam do nich, stanęłam przy pierwszej stojącej dziewczynie i powiedziałam do drugiej stojącej;

- Chodź tu bliżej i zastaw mnie, żeby nie było mnie widać, bo tam jedzie pewnie moja macocha.

W chwili gdy to powiedziałam, już było widać cały samochód na wierzchołku tej górki. Macocha przejechała, patrząc prosto przed siebie, nawet na ludzi w polu nie spojrzała. Powiedziałam do tej pierwszej dziewczyny:

- Mnie się zdaje, że ona chce mnie zabić.

Czyje to było pole, skąd ci ludzie byli, tego nie wiem, ale ta pierwsza dziewczyna na pewno była z Podstolic i chodziła przez ten ostatni rok szkolny ze mną do szkoły w Opatówku. Mam ją na zdjęciu szkolnym. Przez ten jeden rok szkolny trudno zapamiętać wszystkie nazwiska, ale kiedy to sobie nieraz przypominam, zawsze przychodzi mi na myśl Marysia Kostrzewska. Może ona tak się nazywała? Nie wiem.

Kiedy ubierałam się do wyjścia, pani Kopińska przyglądała mi się i powiedziała.

- Wiesz, mi się zdaje, że ten „supełek" już rozwiązałam. Gdy matka dowiedziała się, że wjeżdżasz, pojechała na „starostwo" powiedzieć, żeby cię nie wymeldowali, bo jesteś niepełnoletnia. Musieli jej powiedzieć, że akurat przed paru minutami tam byłaś i wymeldowałaś się. Dlatego puściła się za tobą i jechała tą drogą, bo wiedziała, gdzie jesteś. Zezłościła się, bo cię nie spotkała. Pewnie sobie postanowiła, że albo do niej pójdziesz, albo nigdzie. Dlatego w piątek posłała żołnierzy po ciebie. Jak wychodziła od nas, to minę miała taką, jakby chciała powiedzieć: „ja ci pokażę, kto tu rządzi"!

- Ale jest pani mądra. Tak, tak, na pewno tak było!

Poszłam do Małej Górki do państwa Majchrzaków. Pani Majchrzakowa znów rozpłakała się nad swoimi nieżyjącymi synami. Mówiła, że jest stara i to ona wolałaby zginąć.

- Pani Majchrzakowa, tak musiało już widocznie być. Pan Cierzniewski też chciał zginąć za syna. Nawet prosił i nie zgodzili się. Mój Tatuś też podobno prosił, bo mówiła mi pani Pela od Jóźwiaków, że prosił, żeby go uwolnili, bo ma czworo dzieci, a dwoje zostanie sierotami. Też nie zgodzili się.

Dziwnie wyglądało to lamentowanie i pocieszanie się dwojga strapionych ludzi. Pożegnałyśmy się serdecznie i powiedziałam, że teraz pójdę sobie jeszcze tam postać.

Stałam długo przy tym szczycie, czasem klękałam, nie wiedziałam, co mam zrobić. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego jest tak ciężko rozstać się z tym miejscem. Taki mały kawałek ziemi, a taki drogi sercu.

Jak tam dojadę, wiedzieć nie mogę.
Czuwaj nade mną przez całą drogę.
Nie wiem, kiedy przyjdę tu teraz
Lecz myślą powracać tu będę nieraz.

Więc żegnam Cię cała w mych mękach
I na kolana przed Tobą tu klękam.
Ciocia pragnie, żebym do niej jechała,
Może mnie jak córkę będzie kochała.

Gdy życie moje się kiedyś zakończy,
Ty się na zawsze ze mną połączysz.
Kiedy świeca moja ostatnia zgaśnie,
Wtedy Ojcze spokojnie na wieki zaśniesz.

W środę 23-go uzgodniono, że do Wrześni na pociąg odwiezie mnie pan Wiktor. Ja natomiast chciałam pójść do Opatówka i stamtąd dopiero na dworzec w Podstolicach. Nic z tego. Podstolice są niepewne. Tam może ktoś czekać na mnie.

Wyjechałam w czwartek 24 maja 1945 roku przed południem.

Stojąc w pociągu na jednej nodze, przypominałam sobie, czy na tych służbach u Niemców cieszyłam się z czegoś czy nie?

Tak, bo miałam jedną niedzielę w miesiącu po południu wolną, a gdyby zaszła potrzeba, dostałabym też dodatkową, ale w następnym miesiącu nie dostałabym wcale. Krawiec uszył mi płaszcz, suknię i fartuch. No i spowiedź nam szef urządził, a jakim grubym głosem zaśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła", kiedy raz taki wesoły przyjechał. Raz dali nam wolne w powszedni dzień, żebyśmy mogły sobie zakupy osobiste zrobić we Wrześni i przy okazji zrobiłyśmy sobie wspólne zdjęcie.

A w Małej Górce? Też było trochę radości. Raz byłam w cyrku „Sarasani" we Wrześni. Później słyszeliśmy, że ten cyrk został zatopiony na morzu i żal mi było tego cyrku. Wiosną 1944 roku pojechałyśmy z gromadką dziewczyn rowerami gdzieś bardzo daleko, do kościoła do spowiedzi wielkanocnej. Tam był jeszcze ksiądz i co niedzielę mógł odprawiać nabożeństwo. Spowiedź odbyła się na wzór ewangelicki, bo gdzieżby ksiądz dał radę tylu ludzi wysłuchać każdej niedzieli? Nie mogę przypomnieć sobie nazwy tej miejscowości, bo ją tylko raz słyszałam i raz tam byłam. Wiem, że podróż dłużyła mi się i przyjechałam kompletnie wyczerpana. Latem w niedzielne popołudnia gromadziła się czasem grupka młodzieży, przeważnie na łące naprzeciw Szczepańskich – tych, których przesiedlili tu, do Małej Górki. Stachu grał na harmoszce, śpiewaliśmy różne piosenki, które były podczas wojny układane, a które dodawały nam sił do życia.

W czasie wojny dla Niemców były papierosy „Tanga", a dla Polaków „Balerino", bo były gorsze. Więc śpiewali: „Dla Polaka „Tanga" nie ma, tylko same „Balerino", ale Polak jest niegłupi i na lewo „Tanga" kupi". Podobnie z masłem: „Dla Polaków masła nie ma, tylko sama margaryna, ale Polak jest niegłupi i na lewo masło kupi". Albo śpiewano na niemiecką melodię „kornblumenblaum" (niezapominajki); „Uśmiechnij się, gdy gestapo nad tobą krzyczy, uśmiechnij się, choć ci czasem żebra policzy, więc odwróć oczy i nie martw się, na świecie nie jest tak źle, uśmiechnij się!" Dziwne, ale piosnki były na melodie niemieckie i z daleka było już słychać te niemieckie piosenki, a słowa polskie były śpiewane ciszej. Było wesoło. Ja też z moimi dzieciakami tam bywałam.

W czasie jazdy pociągiem myślałam też o mojej przyszłości.

Co ja w Bydgoszczy będę robiła?
Służącą będę lub się uczyła?
Może będę gdzieś za praczkę?
Albo w szpitalu za sprzątaczkę?

Do Bydgoszczy przyjechałam 25-go nad ranem. Podróże były w tym czasie długie i przykre. Na pamiątkę przechowuję kartę zameldowania, gdyż ciocia musiała mnie natychmiast zameldować.

Napisałam tu o sobie w wielkim skrócie, nie dlatego żeby mnie ktoś żałował lub mi współczuł. Nie skarżę się ani użalam, bo takich dzieci jak ja były dziesiątki tysięcy. Ale coś tam po każdym człowieku powinno pozostać. Napisałam więc, jak potoczyło się moje życie w czasie okupacji, jednej z tysięcy sierot. Nikt do tej pory nie policzył ilu ojców i ile matek oraz ich dzieci podzieliło los sześciu milionów Polaków, którzy stracili życie podczas ostatniej wojny.

Cieszę się, że żyję, że mogę opłakiwać do dnia dzisiejszego drogą mi osobę. Chociaż śmierć mojego Ojca zmieniła dalsze moje życie, bo nie spełniły się moje nadzieje, marzenia, to dane mi było przetrwać te ciężkie, niebezpieczne czasy, ten bezwzględny system faszystowski. To też można nazwać szczęściem. Napisałam to także dlatego, żeby dać obraz tego, co spotkało dzieci z Wielkopolski. Dzieci w Poznańskiem w wieku 13 lat dostawały już nakaz pracy, a młodsze chcąc uniknąć tego, same zgłaszały się do pracy u Niemców w pobliżu, po to, żeby nie wywieziono ich w głąb Polski lub Niemiec. Dzieci takie musiały stać się osobami dorosłymi, wydarto im dzieciństwo i kazano im pracować na równi z osobami dojrzałymi. Musiały się nauczyć milczeć, zachowywać tajemnicę za wszelką cenę, a w razie potrzeby kłamać. Ja z mojej szkoły życia w okresie okupacji wyniosłam i tę świadomość, że w tym okresie upokarzania młodego człowieka zdarzało się spotkać ludzi prawdziwie wspaniałych, chroniących przed złem. A w pierwszym etapie mojego samotnego życia podczas okupacji spotkałam też dobrych ludzi, mimo że byli Niemcami.

Przez całe życie, już od dziecka, zamierzałam to wszystko opisać bardzo dokładnie, w najdrobniejszych szczegółach, lecz zamierzenia te nie zostały przez los zrealizowane. Przypadek zrządził, że z grubsza mogę to wszystko opisać. Mój ukryty zamiar został urzeczywistniony, zamierzenia zostały po latach spełnione, a wszystko dlatego, że zachęcił mnie do spisania tych wspomnień pan Jerzy Osypiuk i jemu za to dziękuję.

Chciałabym powiedzieć jeszcze, że powojenny wicher przygnał mnie tu, do Bydgoszczy, gdzie mieszkała moja ciocia Stasia Klatt, siostra Ojca. Przyjęłam się jako młode drzewko. Lecz teraz, w jesieni życia, liście tego drzewa błądzą po dawnych drogach. Te pierwsze na drodze w Modliszewku od kościoła, którego już nie ma, do cmentarza i z powrotem. Resztę liści wiatr roznosi po drogach od Zastowa po Małą Górkę. Ta droga jest najbardziej zakodowana w mojej pamięci i nie zapomnę jej nigdy.

Bydgoszcz, 4 lutego 1989 roku.

Opracowanie redakcyjne: Jerzy Osypiuk

W tekście zachowano oryginalną pisownię autorki wspomnień.

Izabela Dudek, *ur. 8 marca 1929 r. w Modliszewku, córka Marianny z domu Badtke i Wincentego Domagały, organisty w kościele w Opatówku, rozstrzelanego 22 maja 1941 r. w Małej Górce.*

Od 1945 r. mieszkała w Bydgoszczy. W 1951 r. wyszła za mąż za Leonarda Dudka. Mieli dwoje dzieci: Jolantę i Wincentego. Zmarła 21 sierpnia 2008 r.

Rodzina Wincentego Domagały. Izabela siedzi na kolanach ojca.

Ks. Ludwik Dabrowski, proboszcz w Opatówku, zamordowany w Dachau 13.08.1942 r.

Zofia i Bernard Reimerowie w Zasutowie. Ok. 1942 r.

Przyjaciele z Zasutowa, 1942 r. Od lewej Teresa Plucińska, Józef Wieczorek i Zofia Król

Reimerowie w Zasutowie. Ok. 1942 r. Siedzą od prawej matka Reimerowej Franciszka Ławniczak, Jurek, jej wnuk z innej rodziny, Zofia. S

Czesia, starsza służąca u Reimera w Zasutowie. 8.09.1943 r.

Na podwórku przed domem w Małej Górce. Lucyna, Willi i autorka wspomnień. Wrzesień 1943 r., tuż po objęciu nowej służby.

W ogrodzie w Małej Górce w 1944 r. W tle dom Cierzniewskich, z prawej gosp. Kierzkowskich (Krüger). Od lewej Lota, służąca u Niemca Gacke (po Stanisławskim), Lucyna i autorka wspomnień

**W środku Erika i Arnold Sonnenberg,
z przodu Barbara Schtüler, z tyłu Gustaw Schendel.**

**Lucyna Kubiak, starsza służąca
u Sonnenbergów (po Szczepańskich)**

**Polacy pracujący u Niemców w Małej
Górce. Wczesna wiosna 1944 r.**

Wiktor Szalaty

Poniewierka na nieludzkiej ziemi

Ze Starczanowa do Archangielska

Wiktor Szalaty, Olsztyn, X. 1945 r.
15 Dywizja Piechoty

Urodziłem się w 1920 r. w rodzinie, w której na świat przyszło piętnaścioro dzieci. Byłem dziewiątym dzieckiem w rodzinie. Z pierwszego małżeństwa ojca urodziło się czworo, dwie siostry i dwóch braci. Rozpiętość wiekowa rodzeństwa bardzo duża. Najstarsza siostra urodziła się w 1899 roku, najmłodsza w 1934. Tutaj, w Starczanowie, ojciec Wawrzyn prowadził 18 hektarowe gospodarstwo. Słabe gleby nie zapewniały należytego utrzymania tak licznej rodziny. Z tego względu ojciec wydzierżawił gospodarstwo, należące do probostwa w Opatówku. W umowie dzierżawnej znalazł się zapis, nakładający obowiązek dowożenia mieszkającego w Nekli księdza w każdą niedzielę i jeden raz w ciągu tygodnia, w środę, na nabożeństwa do kościoła w Opatówku. Otrzymaliśmy za to znaczną ulgę w opłatach dzierżawnych. W latach 1931-32, jako 11-12 letni chłopiec dowoziłem księdza Leona Śmiśniewicza, którego doskonale pamiętam. Dzięki niemu stałem się szczęśliwym posiadaczem wymarzonej mandoliny.

Czasy były ciężkie. Tak liczną gromadę trzeba było ubrać i wyżywić. Głodni nie chodziliśmy, ale na zbytki nie starczało. Dalsza nauka byłaby dla rodziców zbyt wielkim obciążeniem. Musieliśmy zadowolić się wykształceniem w zakresie szkoły powszechnej.

Z opowiadań mojego ojca wiem, że w 1934 r. w ramach specjalnego programu rządowego przeprowadzano doświadczalne osuszanie bagien pińskich. Na zagospodarowywanych terenach tworzono osady rolne, obsadzane przez rolników z Wielkopolski, wzorowo zarządzane, mające być przykładem dla miejscowych rolników. Odbywało się to pod hasłem „Kultura rolna na wschód". Na 120 gospodarstw, powiatowi średzkiemu przydzielono do obsadzenia 20 gospodarstw, liczących po 20 hektarów łąk. Władze każdego powiatu ręczyły za przysyłanych osadników, że będą dobrze gospodarować. Aby otrzymać taki przydział, należało wpłacić wadium w wysokości 3000 zł. Całe gospodarstwo miało kosztować 25 000 zł., z rozłożeniem spłaty na 40 lat. Osadnik otrzymywał zbudowany dom oraz budynki inwentarskie wykonane z bali drewnianych , kryte blachą. Dom i obora znajdowały się pod jednym dachem. Szesnaście, może osiemnaście metrów długie i dziewięć szerokie. Łąki zmeliorowane, obsiane trawą. Na tamte czasy to była nowoczesna gospodarka.

Ze względu na liczną rodzinę, Wawrzyn Szalaty otrzymał przydział na 5 takich gospodarstw w Staniewiczach, leżących w połowie drogi między Brześciem a Baranowiczami. W pobliżu leżał majątek Mereczowszczyzna, miejsce urodzenia Tadeusza Kościuszki.

Ojciec najpierw pojechał sam, aby dopilnować spraw organizacyjnych. Następnie sprowadził tam córkę, Joannę. Bracia pożenili się i też tam wyjechali. W 1936 roku pojechałem tam również i ja, na jedno z gospodarstw. Z czasem dołączyła do nas mama, Władysława, z resztą rodzeństwa. Dwa gospodarstwa objęli nasi kuzynowie ze Środy. W dwa lata mieli po dwadzieścia dojnych krów. Żyliśmy ze sprzedaży mleka i siana, które kupowało wojsko na paszę dla koni. W okolicy kwaterowało dużo wojska, a więc był rynek zbytu. Dochodowa gospodarka pozwalała na zakup motocykla, radia, o co nie było łatwo w poprzednim miejscu.

W 1937 r. ojciec nosił się z zamiarem sprzedania gospodarstwa w Starczanowie. Wrócił, aby dokonać tej transakcji i przyjechać ponownie na kresy. Jednak sytuacja polityczna, coraz częstsze głosy o zbliżającej się wojnie, nie zachęcały nikogo do tak poważnej inwestycji jak zakup gospodarstwa. Nie znalazł kupca i z konieczności musiał pozostać w Starczanowie z córką, Stanisławą. Wybuch wojny uniemożliwił połączenie naszej rodziny.

Deportacja

19 września 1939 r., w dniu wkroczenia do Staniewicz wojsk sowieckich, umarła nasza mama. W tym czasie panowała epidemia czerwonki. Byłem również chory, z tego powodu nie byłem na jej pogrzebie. Wkrótce, w październiku 1939 r., mieszkająca z nami siostra, Bolesława (ur.1917), wzięła ślub z powracającym z wojny Janem Głowackim, z którym była w narzeczeństwie. Nie mając żadnego wyboru, musiałem zostać opiekunem całej naszej sześcioosobowej gromadki, mieszkającej do tej pory z mamą pod jednym dachem. Byli to: Kazimiera (ur.1927), Stefan (ur.1928), Seweryna (ur.1931), Zofia (ur.1933), Jadwiga (ur.1934). Z trudem, ale radziliśmy sobie jakoś. Odwiedzały nas siostra Joanna (ur.1903), mieszkająca ze szwagrem Stanisławem Hulewiczem w pobliskim miasteczku oraz Marianna (ur.1910) z mężem Ludwikiem Kowalczykiem. Mogliśmy liczyć na pomoc braci: Jana (ur.1907) i Mariana (ur.1912), mieszkających w sąsiedztwie ze swoimi rodzinami.

Wkroczenie bolszewików zmieniło nastawienie miejscowych Białorusinów do przybyszów z zachodniej Polski. Niektórzy z nich starali się przypodobać nowej władzy. Dawali odczuć, że zbliżają się nowe czasy.

I przyszły…

10 lutego 1940 roku, ok. godz. 3 w nocy, pod domy osiedleńców podjeżdżały sanie z sowieckimi żołnierzami. Pomagali im białoruscy chłopi.

W środku nocy obudził nas łomot do drzwi.

- Kto tam?

- Wojsko! Otwieraj!!!

Drzwi otwarte na oścież, siarczysty, dwudziestostopniowy mróz, krzyk i płacz dzieci. Sołdat z wycelowanym karabinem. Przerażona siostra Bolesława w ósmym miesiącu stanu błogosławionego i szwagier, Jan, stojący pod ścianą. Byli też siostra Marianna i Ludwik Kowalczykowie, którzy zostali na noc po wczorajszych odwiedzinach.

Taki widok pozostał w mojej pamięci. Żołnierze pozwolili przygotować tyle, ile mogliśmy unieść. Cóż można było zabrać w takim pospiechu? Kobiety i dzieci usiadły na

saniach, mężczyźni pieszo podążyli na stację kolejową w Iwacewiczach. Worki i tobołki z bagażami wszystkich rodzin wrzucono do jednego wagonu. Po czterdzieści osób zapakowano do każdego wagonu towarowego. Kilka razy odczytywano listę. Sprawdzano, czy zgadza się stan z wykazem nazwisk. Zwolniono siostrę Mariannę i Ludwika. Nie było ich na liście, gdyż nie mieszkali w naszym domu, lecz w Iwacewiczach. Przez trzy dni transport stał na bocznicy. Ciągle dowożono nowych

- Dokad jedziemy ?

- Do innego województwa, słyszeliśmy w odpowiedzi. Ruszyliśmy dopiero 13 lutego, rozpoczynając podróż w nieznane. To była prawdziwa katorga. Wprawdzie w wagonie był metalowy piecyk, 15 kg. węgla i kilka drewienek. Na ile czasu mogło to wystarczyć? Bardzo szybko zabrakło opału. Podróżowaliśmy w chłodzie, potęgowanym przez wiatr dostający się przez szczeliny w ścianach. Gdy pociąg zatrzymywał się aby pobrać wodę do parowozu, pozwalano zabrać trochę drewna, ale nie było go czym porąbać. Przy olbrzymich mrozach na zewnątrz, najbardziej cierpiały przemarznięte i wygłodzone dzieci. Dorośli gromadzili się wokół zimnego pieca, modlili się, śpiewali pieśni i przeklinali Stalina. Raz na trzy dni wrzucano do każdego wagonu ok. 20 bochenków chleba. Musiało go wystarczyć dla czterdziestu ludzi na trzy dni. Wodę uzyskiwaliśmy z roztopionego śniegu i podawano ją tylko dla małych dzieci. Najwięcej kłopotów, szczególnie kobietom, sprawiało załatwianie potrzeb fizjologicznych. Sprawę uratował starszy pan Lubelecki, któremu udało się przemycić do wagonu skrzyneczkę z narzędziami, którą zabrał w podróż. Obowiązywał surowy zakaz zabierania do wagonów jakichkolwiek ostrych narzędzi, z wyjątkiem noża kuchennego. Dzięki przezorności i odwadze tego mężczyzny wykonany został w podłodze specjalny otwór. Rozwiązano jeden z ważniejszych problemów sanitarnych podczas tej podróży.

Okrutne warunki podróży sprawiały, że ludzie umierali. Ciała zanoszono do ostatniego wagonu, spełniającego funkcję kostnicy. U kresu podróży konwojenci musieli się rozliczyć ze stanu osobowego. Liczba osób musiała zgadzać się co do sztuki. A było co liczyć, 36 lub 38 wagonów po 40 ludzi. Pod koniec podróży, podczas postoju konwojenci potrzebowali czterech ochotników do pracy, wśród nich znalazłem się i ja. Nie wiedzieliśmy, jaka czeka nas praca. Obok młodnika, 6 m od torów wykopaliśmy dół w śniegu, 5 na 5 metrów. Po otwarciu drzwi ostatniego wagonu naszym oczom ukazał się przerażający widok. Przed nami leżały nagie zwłoki współtowarzyszy podróży, której nie przetrwały osoby starsze i dzieci. Naliczyliśmy 27 zmarłych… Złożenie ciał w dole, kilka ruchów łopatą, przykrycie śniegiem. Już słychać sygnał wzywający do odjazdu.

- I po pogrzebie… , smutno wspomina pan Wiktor.

23 lutego dotarliśmy do Archangielska nad Morzem Białym.

W Archangielsku rozlokowano nas w różnych budynkach. Trzymaliśmy się całymi rodzinami. Spędziliśmy tutaj cztery dni.. W porównaniu z warunkami podróży, w kwaterach było nawet gorąco. Mogliśmy się najeść i odpocząć. Wydawało się, że teraz może już być tylko lepiej. Wydawało się…Wkrótce rozpoczęła się kolejna gehenna, związana z następnym etapem podróży. Tym razem podstawiono 30-40 sań. Na saniach mogły usiąść tylko kobiety i dzieci. Mężczyźni i dorośli chłopcy podróżowali pieszo za saniami. Wyruszaliśmy o zmroku i przez całą noc, bez najmniejszego odpoczynku szliśmy 30, 40 a czasem 50 kilometrów,

w wielkim śniegu i mrozie, aż docieraliśmy do kolejnej osady. Wielkie to były odległości i marsz ponad ludzkie siły.

Najpierw wędrowaliśmy w górę rzeki Dwiny, aż dotarliśmy do miejscowości Ust Pinega, leżącej w miejscu, gdzie Pinega wpada do Dwiny. Wzdłuż brzegów Pinegi przemieszczaliśmy się w górę rzeki. Dotarliśmy do miejscowości o tej samej nazwie. Następnie skierowano nas na południe i przez miasteczko Karpogory dotarliśmy do celu naszej podróży. 1 kwietnia 1940 r., po 50 dniach od opuszczenia swojego domu w spokojnych Staniewiczach, znaleźliśmy się w posiołku Siennoj, gm. Kuszkopała w bezkresnej tajdze, pokonując odległość ok. 400 km od Archangielska. W tej okolicy przyszło nam spędzić ponad. trzy lata naszego tułaczego życia.

W tajdze

Po długiej, morderczej wędrówce przybyliśmy do miejsca naszego przeznaczenia. Okazał się nim ukryty w tajdze „specpasiołok nr 92" o nazwie Siennoj. Położony nad malowniczą rzeczką Niżna Szuksza, w gminie Kuszkopała. Znajdował się tutaj tzw. „Liespromchoz", czyli zakład leśny, wzorowany na strukturze kołchozu, zajmujący się wycinką i spławem drewna do tartaków w Archangielsku. Jak się później dowiedzieliśmy, wiele lat wcześniej, za czasów Rosji carskiej w osadzie tej przebywali i zajmowali się wyrębem lasu polscy zesłańcy. Staliśmy się kolejnym ogniwem potężnej machiny…

Zamieszkaliśmy w dużych, jednoizbowych barakach wyposażonych w piece chlebowe. W każdym z tych domów zakwaterowano po trzy, cztery, na ogół liczne rodziny. Pierwsze dni przyniosły upragniony odpoczynek i czas na zagospodarowanie się w nowym miejscu.

Nie trwało to jednak długo. Wkrótce mężczyźni podzieleni zostali na 10-osobowe brygady i skierowani do lasu.. Każda brygada otrzymała dwie piły i kilka siekier. Uczono nas pracy przy zrębie drzew. Należało najpierw wokół ścinanego drzewa odgarnąć sięgający do pasa śnieg. Nie wolno było ściąć drzewa powyżej jednej trzeciej średnicy pnia. Służyły do tego piły poprzeczne i łuczkowe, na kabłąku z drewna, napinanego skręcanym sznurkiem. Trzeba było je umiejętnie napinać w zależności od temperatury powietrza. Inaczej w zimie, inaczej w lecie. Piły były dobre, szwedzkie, Szły w drewno jak w masło. Pracowaliśmy tak do końca kwietnia. Zbliżała się wiosna. Jakże inna niż ta, którą znaliśmy z Wielkopolski, czy nawet z Polesia. Przez cały kwiecień trzymał mróz. Gdy nadszedł maj, od razu robiło się ciepło i w ciągu 2-3 tygodni znikał śnieg i rozmarzała ziemia. Uprawa roli w tajdze była dla nas nowością, niosącą liczne niespodzianki. Kołchoźnicy rozpoczynali orkę, gdy gleba rozmarzała na głębokość 15-20 cm. Wtedy orano pola przez 3-4 dni przez dzień i noc, aby zdążyć przed rozmarznięciem ziemi na większą głębokość. W taki sposób przewracano a właściwie mieszano błotnistą maź. Nazywano to orką. Po całkowitym rozmarznięciu, przed osuszeniem gleby, orka byłaby niemożliwa, a chodziło przecież o wykorzystanie i tak krótkiego okresu wegetacji w tej szerokości geograficznej. Pamiętam nasze rolnicze doświadczenia. Ze szwagrem, Janem Głowackim posadziliśmy na przydzielonym nam poletku, ziemniaki. W czerwcu przyszedł mróz i zniweczył całą naszą pracę i nadzieję rodziny na własne zbiory. W następnym roku, nauczeni doświadczeniem i zdobytą od miejscowych mieszkańców wiedzą, zastosowaliśmy specjalną ochronę ziemniaków przed mrozem. Pojawiał się on zwykle nad ranem. Podpalaliśmy wtedy przygotowane wcześniej kępy mchu i wysuszonego torfu.

Warstwa dymu ścielącego się nad powierzchnią gleby w bezwietrzną noc, chroniła młode łęty ziemniaków przed mroźnym powietrzem.

Niesprzyjające warunki klimatyczne powodowały, że większość potrzebnej ludziom i koniom żywności sprowadzana była z zewnątrz. Należało to do obowiązków lespromsowchozu, który zatrudniał niezwykle tanią siłę roboczą w postaci zesłańców. Na miejscu było tylko pod dostatkiem siana dla ciężko pracujących koni. Stąd najprawdopodobniej pochodziła nazwa osady: Siennoj. Drogi wśród łąk i lasów były w fatalnym stanie, dlatego saniami jeździło się przez cały rok.

Gdy stopniały śniegi, na dachach niektórych domów ujrzeliśmy duże numery 92, wykonane z kory brzozowej, przybitej gwoździami do desek dachów. Oznaczały one numer naszej osady, widoczny z lotu ptaka. Służyły jako znak identyfikacyjny dla pilotów samolotów, wykonujących przeciwpożarowe loty patrolowe w okresie lata, oraz dostarczających zrzucaną w workach pocztę. Ze względu na duże odległości miedzy osadami ludzkimi, na trasie podróży znajdowały się tzw. „izbuszki", skromne, drewniane domki do odpoczynku i noclegu w czasie podróży, oznaczone również numerami.

W okresie wiosenno-letnim prowadziliśmy prace porządkowe, naprawialiśmy drogi, spławialiśmy wycięte zimą drzewa, oczyszczaliśmy teren, przygotowując się do kolejnego sezonu ścinki drzew, trwającego od początku października do końca kwietnia.

-Jak wyglądało życie w waszej osadzie? Jakich zapamiętał Pan ludzi?

-Komendantem pasiołka był porucznik Skomorocho. Miał do pomocy dwóch milicjantów: plutonowego Minina, spokojnego, wyrozumiałego człowieka oraz kaprala Żyto. Był to straszny służbista, prześladujący Polaków, starający się na każdym kroku uprzykrzyć nasze życie. Kierownikiem robót i tzw. diesiatnikiem, czyli wypłacającym wynagrodzenie, był Michaił Iwanowicz Doplewski. Jego żona była felczerką. To jej zawdzięczam moje życie.

Zapamiętałem dwie nauczycielki. Pierwsza to Faina Kobylewa, ładna dziewczyna, i Pawła, której nazwisko zatarło się w mojej pamięci.

Z grona zesłańców pamiętam rodzinę Filipiakow ze Staniewicz: rodziców, ich syna Stanisława z żoną Cecylią oraz Antoniego, Bronisława i Stanisławę.

Była z nami rodzina Kozakiewiczów. Ojciec z dwoma synami: Józefem (ur. 1920) oraz Leonem (ur.1917). Obaj poszli później do armii Andersa. Rodzina Jaremków, ich synowie Janek (ur.1921) i Franciszek (ur. 1923) byli moimi kolegami. Rodzina gajowego Aleksandra Naplochy w której było trzech synów. Barczakowie z 17 letnią córką. Ojciec również odszedł do armii Andersa.

Zbliżał się październik 1940 r., miesiąc w którym rozpoczynał się sezon wycinki drzew.

Wszyscy mężczyźni zostali skierowani ok. 30 km na północny zachód, w rejon rzeki Wyżna Szuksza do zrębu drzew. Praca była bardzo ciężka. Pracowaliśmy w brygadach 5-6 osobowych. Musieliśmy wypracować normę - 5 kubików drewna na osobę. Było to szczególnie trudne, gdy spadły wielkie śniegi i przyszedł mróz, sięgający minus trzydziestu stopni. Gdy nie wyrabialiśmy normy, karano nas zmniejszeniem porcji chleba. Ciężko pracujący dostawali po 900 gram chleba, pozostali 600 gram dziennie. Każdy padał na twarz, ale normę musiał wypracować. Zapłata za pracę była mizerna, a właściwie żadna. Teoretycznie powinniśmy dostawać dwa ruble za dniówkę pracy ale pieniędzy nie wypłacano, tylko zapisywano do zeszytu należną sumę. Za jednego rubla można było kupić 0,5 kg chleba. Nie

mając pieniędzy, nie można było poprawić swojego wyżywienia. Biedowała cała rodzina. Rodzeństwo, pięć sióstr, z których najmłodsza miała 5 a najstarsza 13 lat, znajdowało się pod moją opieką. Pomagała nam w organizacji życia domowego zamężna siostra Bolesława Głowacka, która tuż po przybyciu do Siennoj urodziła córeczkę. Młodsze z sióstr bawiły jej dziecko, starsza poszła do pracy, aby zarobić parę rubli.

Bardzo źle wyglądała sprawa przyodziewku. Nikt z zesłańców, poza pracującymi w lesie, nie dostawał żadnego ubrania. Drwalom należał się przydział jednej kufajki i pary walonków w zimie, oraz butów brezentowych na czas letniego spławu drewna. Dzieci nie miały w co się ubrać. Zniszczyło się wszystko, w czym przyjechały z Polesia. Brakowało pieniędzy i nie było gdzie kupić ciepłych ubrań. Gdy przyszła sroga zima, nie mogły iść do szkoły. Musiały zostać w domu. Sytuacja była tragiczna. Dowiedzieliśmy się, że w mieście jest dom dziecka, w którym przynajmniej dzieci nie będą głodne. Rozważaliśmy możliwość wysłania tam dzieci, aby ratować je przed głodem. Starsi, doświadczeni ludzie ostrzegali nas, aby nie oddawać tam najmłodszych dzieci, ponieważ grozi im całkowite zrusyfikowanie.

Z ciężkim sercem zdecydowaliśmy, że do domu dziecka pojadą 12 letni Stefan (ur. w 1928 r.) i o 2 lata młodsza siostra Seweryna (ur. w 1930 r.). Stefan był już mądrym chłopcem, więc byliśmy o niego spokojni. Wiedział dokąd i w jaki sposób w razie potrzeby może dołączyć do pozostałej rodziny w Siennoj. Faktycznie, dzieci zostały tam ubrane, nakarmione i chodziły do rosyjskiej szkoły. Brat nauczył się języka rosyjskiego i z łatwością się nim posługiwał. Przydało się to bardzo, gdy rodzina w 1944 r. została przesiedlona na Ukrainę.

Siostra zapomniała polskiego i mówiła tylko po rosyjsku. Kiedyś, w czasie świąt, odwiedziłem ich i pytam: -Sewerka, jak ci idzie tutaj, w nowym miejscu? - Nu, choroszo! odpowiedziała bez namysłu. - A ty - zwracam się do brata - mówisz jeszcze po polsku? - Bez problemu, pamiętam wszystko. Starsi mieli rację, ostrzegając przed niebezpieczeństwami, grożącymi młodszym dzieciom. Tym bardziej, że ośrodek opiekuńczy dla maluchów znajdował się ok. 300 km od Siennoj. Nigdy nie mógłbym ich odwiedzić, a tym bardziej później odszukać w tej zawierusze wojennej. Po roku zabrałem dzieci z powrotem do rodziny. Wymagało to pewnych zabiegów i pomocy życzliwej osoby, żeby przekonać dyrektora, że poradzimy sobie bez domu dziecka.

Ciężkie warunki pracy, ciągłe niedożywienie, szczególnie w porze zimowej, dawały się nam we znaki. Coraz częściej pojawiały się choroby. Zdrowy, silny mężczyzna wytrzymywał pół roku ciężkiej pracy. Później przychodziły choroby. Ludzie tracili siły, pojawiała się senność, kurza ślepota , która nie pozwalała na widzenie czegokolwiek po zapadnięciu zmroku. Na całym ciele pojawiały się czerwone plamy, które przeradzały się w wodne pęcherze. Następowało zakażenie całego organizmu i ludzie umierali. Najpierw starsi, słabsi fizycznie. Później przyszła kolej na młodszych. Była to cynga, odmiana szkorbutu syberyjskiego, spowodowana brakiem niezbędnych organizmowi witamin i składników mineralnych. Choroba ta powszechnie dziesiątkowała szeregi syberyjskich zesłańców. Wszyscy bardzo się jej obawiali. Żal było patrzeć na umierających kolegów. Byliśmy jednak bezsilni.

Niestety, w zimie 1942 r. również mnie dotknęła ta choroba. Przechodziłem wszystkie jej etapy. Najpierw kurza ślepota, czerwone plamy na ciele zamieniły się w pęcherze, pokrywające całe ciało. Do tego wielka opuchlizna. Doraźnym środkiem było ciągłe zmienianie wyjałowionej wskutek gotowania bielizny. Straszne uczucie. Miałem wrażenie

zdzieranej z całego ciała skóry. Wszystko wskazywało na to, że podążam tą samą drogą co inni…

Z pomocą pospieszyła felczerka Doplewska. Będąc w Kuszkopale, gdzie badała mięso, dowiedziała się , że trzeba było dobić konia, który złamał nogę.

-Witia, tobie może pomóc tylko wątroba tego konia.

Wypisała prośbę do kierownika kołchozu o sprzedaż, o ile to jeszcze możliwe, tej wątroby. Jak teraz ją tutaj sprowadzić, skoro dzieli te miejscowości ponad trzydziestokilometrowa odległość? Powierzyłem tę misję czternastoletniemu bratu, Stefanowi. Poprosiłem, aby towarzyszył mu kolega, Bronek Filipiak. Poleciłem zabrać saneczki, to na wypadek, gdyby któryś opadł z sił. Poza tym we dwójkę bezpieczniej i raźniej. Wyposażyłem chłopców w ruble i odprawiłem w drogę. Wrócili po dwóch dniach z pięciokilogramową, zmrożoną wątrobą, ciesząc się z wykonania zadania. Wszystkim poprawiły się humory. Felczerka ucieszyła się, że wystarczy lekarstwa dla innych chorych. U nas pojawiła się iskierka nadziei. Miałem jeść surową wątrobę, pokrojoną na małe kawałeczki. Nie było to przyjemne ani smaczne, ale cóż było począć? Wątroba albo śmierć!

Po trzech dniach zmniejszyła się temperatura, pęcherze zaczęły przygasać.

- Jest dobrze, Witia. Będziesz żyć!

W taki sposób zawdzięczam życie tej dobrej, życzliwej kobiecie. Pomogła wielu ludziom.

To ona, w kilka dni po przybyciu do Siennoj, w kwietniu 1940 r. odbierała poród Gieni, córeczki mojej siostry, Bolesławy Głowackiej. Warto powiedzieć o wielkiej życzliwości prostych Rosjan, mieszkających tutaj przed naszym przybyciem i spotkanych w innych okolicznościach naszego zesłania. Pomagali nam, na ile pozwalały ich możliwości. To przyjaźni, serdeczni ludzie.

Po tzw. amnestii, czyli zawarciu układu Sikorski - Majski, 30 lipca 1941 r. i podpisaniu umowy wojskowej, 14 sierpnia 1941 r. , regulującej zasady organizowania Armii Polskiej pod dowództwem gen. Andersa w Związku Sowieckim, poprawiło się nieco traktowanie polskich zesłańców. Zaczęto nas traktować jako „innostrańców", czyli obywateli innego państwa. Za pracę dostawaliśmy pieniądze, inaczej niż było na początku. Nie ogłoszono nam tego wprost. Wnioskowaliśmy o tym na podstawie docierających nielicznych sygnałów i obserwowanych delikatnych zmian. Mogliśmy zmieniać miejsce zamieszkania, o ile udało się zdobyć inną pracę. Niezbyt przychylnie patrzyły na to władze, obawiając się utraty taniej siły roboczej. Tym bardziej, że po napaści Niemców na ZSRR większość Rosjan została zmobilizowana do wojska.

Po wyleczeniu choroby zacząłem myśleć o znalezieniu rodzinie innego, lepszego miejsca do życia. Udałem się do leżącego nad rzeką Pinigą, oddalonego o ok. 70 km powiatowego miasteczka Karpogory. Udało mi się zdobyć pracę wozaka w instytucji podobnej do naszych Gminnych Spółdzielni, zajmującej się lokalnym handlem i pracami usługowymi. Teraz trzeba było sprowadzić rodzinę. Problemem stawało się zdobycie mieszkania. Było tutaj wiele domów, zajmowanych przez partyjnych i NKWD-owskich notabli. Nikt nie śmiał nawet zwrócić się do nich o wynajęcie jakiegoś kąta. Pomogli, jak zwykle, prości ludzie. Wróciłem więc po naszą rodzinę. W wyjeździe próbował przeszkodzić wspomniany wcześniej milicjant, kapral Żyto. Zwęszył gdzieś, że wszyscy pakują się do wyjazdu. Zabronił

woźnicom, dowożącym zaopatrzenie do osady, zabrania naszej rodziny. Nie zważając na te zakazy, skorzystaliśmy z usług innych woźniców, przy okazji kolejnego transportu.

W taki sposób znaleźliśmy się w Karpogorach, miasteczku o nieporównywalnie lepszych, mimo ciasnoty w wynajmowanym mieszkaniu, warunkach do życia i zarabiania pieniędzy. Duży przepływ ludzi i towarów pozwalał na zdobycie potrzebnych, a brakujących dotychczas artykułów. Poza pracą wozaka dorabiałem również wycinką i dowożeniem drewna opałowego. Za wyrobione w ciągu dnia, z pomocą siostry, 4 sążnie drewna, dostawałem 15 rubli. To było już coś.

Życie towarzyskie, mimo trudnych warunków bytowych, też miało swój urok. W miasteczku było kino, w którym oglądało się filmy i kroniki wojenne, relacjonujące sytuację na froncie. Więcej tam było propagandy niż autentycznych sukcesów cofającej się armii. Po obowiązkowym programie można było urządzić potańcówkę. Kiedyś na takich imprezach grali Rosjanie. Po zmobilizowaniu ich do wojska brakowało muzyków. Z bratem i poznanym kolegą, grającym na skrzypcach i harmoszce, wypełniliśmy brakującą lukę. Potańcówki mogły się znowu odbywać.

Zaczęliśmy grać polskie melodie: tango, walczyka. Rosyjskie dziewczyny, przyzwyczajone do swojego trepaka, nie umiały tego tańczyć. Próbowaliśmy jednak spełniać ich oczekiwania oraz uczyć naszych tańców. Gdy zaczęliśmy grać na tych zabawach, przestaliśmy być anonimowymi zesłańcami. Zaczęto na nas zwracać uwagę. To bardzo przydało się w późniejszym życiu. Nieraz płakać się chciało, w brzuchu burczało , a tutaj trzeba uśmiechać się i grać. Okazało się, że mandolina może też być pomocna w życiu. Dzięki temu mogliśmy liczyć na pomoc miejscowych.

Bycie zauważanym przez innych ma swoje dobre i złe strony. Do tych drugich należy bez wątpienia zainteresowanie policji politycznej, czyli NKWD, które czuwało nad poprawnością polityczną całej społeczności. Komendantem powiatowym w Karpogorach był major Charytonow. Miałem z nim pewne doświadczenia. Kiedyś wezwał mnie do siebie i mówi: -Mam dla was robotę . – Jaką?- pytam. –Spotykacie się, zebrania robicie. O czym rozmawiacie? -Jakie zebrania? Każdy o chlebie myśli a nie o głupotach. -Jedzenie dostaniecie…, kontynuuje komendant. – Ja do takiej roboty się nie nadaję. Drzewa to mogę przywieźć panu komendantowi. Poczęstował papierosem. -Nu choroszo. Idi.

Mieliśmy w naszym gronie fałszywych ludzi, donosicieli. Aż trudno uwierzyć. Rodzina M.: matka, żona policjanta i dorosłe dzieci, córka i syn. Dorośli ludzie mogli zapracować na chleb, ale pracować się nie chciało. Za donoszenie można było nieźle żyć. Za ich przyczyną kilku ludzi zostało pozbawionych życia. Pojawiał się wątek polityczny, resztę dopisał komendant lub jego podwładni… Szybko zorientowaliśmy się w czym rzecz i omijaliśmy tę rodzinę wielkim łukiem. Zdarzały się takie upadki moralne.

O tym, czym groziło dostanie się w łapy NKWD, mógł przekonać się szwagier, Jan Głowacki. Pojawił się na niego donos polityczny po zwykłym spotkaniu towarzyskim, na którym rozmawiano o wojnie. Ten wygra, tamten przegra, nic nie znacząca pogawędka. Pojawił się pretekst do przesłuchania. W komendzie NKWD został poczęstowany posiłkiem. Były to słone śledzie. Następnie zaprowadzony został do innego pomieszczenia i zamknięty w specjalnej klatce. Temperatura powietrza w tym pomieszczeniu, mimo panującej zimy wynosiła kilkadziesiąt stopni. Nie było czym oddychać. Niemiłosiernie dokuczało pragnienie.

Rozpoczęło się przesłuchanie. Zmieniali się przesłuchujący, zadawane były w kółko te same pytania, czekając, aż przesłuchiwany przyzna się do niepopełnionych czynów. Trzy dni go tak spowiadali, nie podając nawet kropli wody. Nie mogli mu nic udowodnić. Gdy zwalniali, usłyszał - Podpisz tu, że byłeś najeść się chleba i ani słowa o tym, co widziałeś !

„Wielkie ucho" i usiłowanie złamania ludzi były podstawą funkcjonowania tamtego systemu.

Nie każda historia kończyła się tak pomyślnie jak ta. Doświadczyła tego nasza rodzina. Mój brat, Janek Szalaty (ur. w 1907 r.), ojciec Czesia (1938) i Bolesława (1942) chorował na serce. Zdarzało się, że ze względu na chorobę nie mógł podjąć pracy i przez dwa dni nie pojawiał się przy wyrębie lasu. Przez to był traktowany jako „pragulszczyk", czyli symulant . Tylko wysoka temperatura mogła być usprawiedliwieniem. Został skazany przez sąd partyjny na pół roku przymusowych prac i wysłany do karnej kolonii w Pinidze. Żona Janka, Bronisława z Harbunowiczów (ur. w 1914 r.) tuż po wysłaniu męża do karnego obozu, urodziła 13 sierpnia 1942 r. synka Bolesława.

W zachowanych i udostępnionych przez pana Czesława Szalatego wspomnieniach mamy, czytamy m.in. dostałam od niego list, w którym pisze, ze jest ciężko chory i nie może zarobić na kawałek chleba (.)Wysłałam mu rękawiczki, skarpetki i machorkę. W kolejnym liście pisał, że niedługo wróci. Oczekuję go, a jego jak nie ma tak nie ma. Minął tydzień i drugi ,a męża nie ma. Aż tu dostaję wiadomość, że wszystkich, którzy tam byli, wywieziono na początku 1943 r. do Kotlasa.

Janek nie wrócił z zesłania. Nie było mu dane zobaczyć synka ani Bolkowi poznać ojca. Pozostał tam, daleko, w bezimiennej mogile, w bezkresnej tajdze. To wielki smutek dla całej rodziny.

Jest maj 1943 roku. Pojawiło się ogłoszenie, że Rajonwojenkomat (odpowiednik komendy uzupełnień – przyp. J.O.) prowadzi nabór do organizowanej polskiej 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Każdy z nas (Marian, szwagier Jan Głowacki i ja) chciał iść do wojska. Zebraliśmy się na naradzie rodzinnej, w której uczestniczyła koleżanka wspomnianej wcześniej felczerki Doplewskiej, pracująca w karpogorskim szpitalu lekarka z Leningradu. Sympatyczna i życzliwa kobieta.

-Jest was trzech do poboru. Marian ma małe dziecko, Jan, także małe dziecko i skrzywioną przegrodę nosową. Wiktor mógłby iść, ale ma pod opieką pięcioro dzieci. Jeśli pójdą wszyscy, dzieci zostaną bez opieki i środków do życia. Jeśli pójdzie sam Wiktor, dzieci będą miały opiekę i państwową zapomogę po 50 rubli na osobę.

Wypadło na mnie. Zdecydowała czysta kalkulacja. Dzieci otrzymywały 250 rubli miesięcznie. To lepszy interes niż u brata czy szwagra, którzy zarabiali po 120 rubli miesięcznie, na każdą ze swoich rodzin.

Nadszedł trudny czas rozstania i pożegnania z całą rodziną.

Pani Maria, córka p. Wiktora mówi, że jej ciocie, a siostry Wiktora, zawsze ze wzruszeniem wspominają słowa brata, który po pożegnaniu, przed odjazdem, powiedział:

- A teraz módlcie się za mnie, abyśmy się mogli jeszcze w przyszłości wszyscy spotkać!

-23 maja 1943 roku rozpocząłem moją służbę wojskową.

Mój skarb największy

Jest 23 maja 1943 r. Wzruszające pożegnanie z rodzeństwem i pozostałymi członkami rodziny. Wyruszam do polskiego wojska wraz z innymi poborowymi, którzy zgłosili się do

Rajonwojenkomatu w Karpogorach. Na otrzymanym skierowaniu adres przeznaczenia: Sielce nad Oką. Podróżujemy kilka dni. Najpierw samochodem, później pociągiem. W głowie natłok różnych myśli: jak będzie, co mnie czeka, kiedy będę mógł się ponownie spotkać z najbliższymi?

Docieramy wreszcie na miejsce. Przechodzimy procedury związane z przyjęciem rekruta do wojska. Otrzymuję przydział do szkoły podoficerskiej w szkolnym batalionie 3 pułku piechoty, 1 dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Struktura organizacyjna tego batalionu, dowodzonego przez kpt. Kapuścińskiego, wyglądała następująco: dwie kompanie piechoty, kompania ciężkich karabinów maszynowych, kompania moździerzy 82 mm., pluton rusznic przeciwpancernych i mój pluton fizylierów, czyli żołnierzy wyposażonych w broń automatyczną, przeznaczonych do specjalnego, szybkiego reagowania. Przez kolejne tygodnie zdobywaliśmy wiedzę ogólnowojskową, niezbędną każdemu żołnierzowi, a w przyszłości podoficerowi, dowodzącemu drużyną lub plutonem. Wielkim przeżyciem dla wszystkich żołnierzy była przysięga, złożona 15 lipca 1943 r. w 533 rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Nie było dla nas taryfy ulgowej. Kontynuowaliśmy mozolne ćwiczenia. Dowódcy powtarzali: „im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju". Mieli rację. Bardzo przydawało się w późniejszych walkach doświadczenie, zdobyte podczas szkoleń i morderczych ćwiczeń.

Pośród dni wypełnionych do późnego wieczora różnymi zajęciami, zdarzały się czasem takie jak ten, który utkwił bardzo w mojej pamięci.

Było to w Sielcach nad Oką w końcu sierpnia 1943 r. Do naszego plutonu przybiegł zastępca komendanta szkoły, por. Lew Połzun.

-Czterech ochotników potrafiących pływać. Za mną!

Czyściliśmy broń. Coś ciekawego się szykuje, pomyślałem. Bez zastanowienia zgłosiłem się z trzema innymi kolegami. Pobiegliśmy za porucznikiem. Ze stołówki zabraliśmy 2 wanny, z magazynku obok zapakowaliśmy na samochód Zis-5 skrzynkę granatów zaczepnych. Jedziemy. Zatrzymujemy się w pewnym oddaleniu za naszym obozem nad brzegiem rzeki, gdzie znajdują się stawy rybne. Patrzymy, od strony obozu zbliżają się trzy, czy cztery terenowe willysy z radiostacjami. Na długiej antenie jednej z nich czerwona chorągiewka. W pierwszym podjeżdża gen. Zygmunt Berling z jakimś majorem. W drugim - generałowie rosyjscy.

-Zdrastwujtie rebiata, przywitał nas najstarszy rangą Rosjanin. Wiecie po co tutaj przyjechaliście? Będziemy łowić ryby.

-Pokażcie, jak umiecie rzucać granatami. Każdy niech liczy swoje wybuchy.

-Brasaj ! (rzucaj) - padła komenda. Gdy zdetonowały wszystkie granaty usłyszeliśmy:

-Prygaj! (skacz) Sam rzucił się do wody, my za nim.

Ogłuszone szczupaki pływały po powierzchni. Łapaliśmy jedną ręką, drugą odgarnialiśmy wodę, płynąc do brzegu.

- Nie tak chwytaj, bo ci ucieknie.

- W zuby! Sam chwycił w zęby potężnego szczupaka, szamoczącego się wokół jego głowy, pokazując jak mamy to robić. Połów trwał może 15 minut. Zapełniliśmy wanny rybami. Było ich ok. 15 kg.

- Wszystkie wyzbierać, do jednej sztuki! Generał w czerwonych badejkach pobiegł do rzeki aby umyć się w czystej wodzie. Gdy wrócił, mówi:

- Musimy pozostawić po sobie porządek. Nielzia (nie wolno) głuszyć ryby, ale nam, frontowcom wszystko wolno.

Generał pożegnał się z nami. Z radiostacji dobiegały głosy meldunków z całego frontu. Odjechali.

-Kto to był? Pytamy naszego Połzuna.

- Wiecie, to był dowódca frontu białoruskiego, marszałek Żukow. Wizytował naszą dywizję. W tym czasie płk. Berling otrzymał awans na generała brygady. Działo się to na półtora miesiąca przed bitwą pod Lenino.

Po zakończeniu cyklu ćwiczeń i zdaniu egzaminów podoficerskich otrzymaliśmy przydziały bojowe w ramach 3 pułku piechoty 1 dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Trafiłem do czwartej kompanii fizylierów.

1 września 1943 r., w czwartą rocznicę napaści hitlerowców na Polskę, wyruszyliśmy na front. Na stacji Chrustowo załadowaliśmy się do eszelonu wojskowego. Jechaliśmy 180 km do Moskwy i następne 150 km do Wiaźmy. Stamtąd, do Smoleńska, na piechotę i dalej, pod Lenino. W dzień kryliśmy się w lasach, nocą odbywały się marsze. Szosy zniszczone przez czołgi, wszystkie mosty i przepusty na rowach wysadzone w powietrze. Co kawałek przeszkoda wodna. Po kolana w wodzie musieliśmy przenosić sprzęt i pomagać wozom taborowym pokonywać przeszkody. Był już przecież październik, z niskimi temperaturami. Najtrudniej było ze snem. W nocy maszerowaliśmy, w dzień, zamiast odpoczywać i spać, musieliśmy się okopać, ubezpieczyć i wykonać dziesiątki innych zadań. Po czterech dniach ludzie byli do niczego. Zasypiali w marszu. Przewracali się i zasypiali nawet w rowie.

Przed bitwą nie było żadnego odpoczynku. Normalne zajęcia, zajmowanie stanowisk, maskowanie się. Zatrzymaliśmy się 3-4 km przed rzeczką Miereją. Nasz 3 pp znajdował się w odwodzie. Por. Połzun, który dowodził naszą kompanią pod Lenino, był przewidującym dowódcą. Przyszedł rozkaz, aby okopać się na dole, w podmokłym terenie.

-Mam to gdzieś – powiedział - tutaj macie okopać się na górce, koło mnie, a nie w wodzie. Miał rację. Ci co znaleźli się na dole, porządnie przemarzli..

W drugim dniu bitwy, w bagnie na torfowisku obok mojego stanowiska upadł pocisk artyleryjski dużego kalibru. Przysypało mnie błotem. Pamiętam dźwięk podobny do tłuczonego szkła i przestałem cokolwiek słyszeć. Tak zakończyła się dla mnie bitwa pod Lenino. Zostałem odtransportowany na tyły. Dolegliwość związana z utratą słuchu trwała kilka dni. Tamte problemy powracają i odbijają się dzisiaj na moim zdrowiu. Mam kłopoty ze słuchem. Po bitwie 1 Dywizja została wycofana z frontu. Zimę spędziliśmy na Ukrainie w rejonie Kiwierc. Do dalszych działań bojowych zostaliśmy włączeni pod koniec sierpnia 1944r. na przedpolach Warszawy.

- Panie Wiktorze, czy mógłby Pan wspomnieć swoich współtowarzyszy broni, dowódców i kolegów z którymi dzielił pan trudy wojennej tułaczki?

- Dowódcą 3 pułku piechoty był pułkownik Piotrowski, taki rosyjski Polak. Spotkałem go pod koniec wojny, w szpitalu, w Legionowie. Był ciężko ranny. Przywieziono go do sali naprzeciwko. Odwiedziłem go, rozmawialiśmy ze sobą.

Jak wspomniałem wcześniej, pod Lenino dowódcą kompanii był por. Połzun. Później kompanią dowodził - aż do swojej śmierci na Wale Pomorskim - ppor. Alfred Sofka. Polak ze Śląska, siłą wcielony do armii niemieckiej. Na froncie wschodnim dostał się do niewoli sowieckiej i przebywał w łagrze na Syberii, skąd, podobnie jak my, trafił do wojska polskiego.

Ze względu na jego przeszłość, nie do końca ufali mu przełożeni. Miejcie na niego oko, słyszeliśmy od politycznego. Nas z pewnością pilnował ktoś inny. Taki to był sowiecki system wojskowej nieufności.

Plutonem fizylierów dowodził plutonowy podchorąży Jakub Klein.

Do grona bliskich kolegów zaliczyć mogę plut. Stefana Ungera, bardzo zdolnego i bojowego chłopaka. Gdy walczyliśmy nad Wisłą, trzeba było złapać „języka" (jeńca, w celu uzyskania informacji o ruchach nieprzyjaciela - przyp. J.O.) Miałem płynąć ja, Stefan i jeszcze jeden kolega z rkm-em. Dowódca mówi do mnie: -Ty nie popłyniesz. Unger pochodził ze Śląska, dobrze mówił po niemiecku i był znakomitym pływakiem. W tym samym czasie Niemcy wybrali się na naszą stronę. Na Wiśle spotkały się dwie łódki. Niemcy pierwsi otworzyli ogień, byli bliżej swojego brzegu. Tak zginął Stefan. Tylko jednemu z naszych udało się uratować. Ranny, jakoś dopłynął do brzegu i opowiedział o tym tragicznym zdarzeniu.

Innym kolegą był kpr. Antoni Gaudyn. Nad Wisłą rekrutowano kandydatów do Biura Ochrony Rządu. Byliśmy na rozmowie u NKWDzisty. Nie pasowałem. Ojciec posiadał 18 hektarów, a więc „kułak". Antoni poszedł do BOR-u. Miał mnie później ściągnąć do siebie, ale już się nie odezwał. Został później majorem i dowódcą Kompanii Reprezentacyjnej.

Kapral Tadeusz Reduta, zaginął bez wieści, gdy zdobywaliśmy Pragę. Automat znaleźli, ale właściciela nie było. Byłem przesłuchiwany przez śledczego na tę okoliczność.

Kapral Czesław Juszczak - w czasie szkoły był moim drużynowym.

Kapral Mosze Lewiej, pisarz kompanijny, wyznający zasadę „blisko kuchni - daleko od frontu". Miał wtedy ok. 25-26 lat.

Mikołaj Skleś, ur. w 1916 r., zginął na Wale Pomorskim.

-Zapewne utkwiły w Pańskiej pamięci jakieś szczególne sytuacje frontowe. Czy zechciałby Pan o nich opowiedzieć?

- Pamiętam pierwszego rannego. Tu, na Pradze, w sąsiedztwie naszych stanowisk ogniowych miały swoje stanowiska rosyjskie działka przeciwpancerne 45 mm. Obok jednego z dział upadł nieprzyjacielski pocisk artyleryjski. Nie ma tam co zbierać, pomyślałem. Patrzę w tę stronę i widzę, że jeden z żołnierzy się rusza. Podbiegłem, zarzuciłem na plecy i przeniosłem za murek. Oglądam. Tam gdzie but żołnierza, widzę tylko pół stopy, reszta urwana razem z butem. Na początku leciała krew, po chwili przestała. Oglądam dalej. Na korpusie pocięty odłamkami ale żyje. Na chwilę odzyskał przytomność. Jak mnie chwycił za szyję!!!

- Drużok! Spasaj!!! (przyjacielu, ratuj) - wzrusza się po latach pan Wiktor, nie mogąc wydobyć słowa.

Za chwilę zabrali go sanitariusze. Czy przeżył, tego nie wiem. Widok był przerażający.

- W walkach pod Warszawą, gdy zdobywaliśmy niemieckie umocnienia na przedpolach Pragi, miałem dużo szczęścia - kontynuuje pan Wiktor. Wprawdzie zostałem lekko ranny na plecach, w okolicy łopatki. Mogło się jednak zakończyć inaczej.

Pocisk rykoszetem odbił się od ziemi i przeleciał po moich plecach, kilka centymetrów od ucha. Poczułem jakby uderzenie młotkiem. Zdrętwiała mi ręka. Zobaczyłem w tym momencie całe swoje życie i rodzinę. Ale dostałem, chyba koniec ze mną - pomyślałem. Niemiecki cekaemista jeszcze raz puścił serię w moją stronę. Podniosły się przede mną obłoczki wyrzucanej przez pociski suchej ziemi. Udałem, że zostałem trafiony. Znieruchomiałem. W odległości ok. 70 m. zauważyłem strzelający w naszą stronę ckm (ciężki karabin maszynowy). Gdy odzyskałem czucie w palcach ręki, zacząłem gorączkowo rozglądać się, aby

znaleźć jakieś lepsze schronienie. Strzelec rozpoczął ostrzał celów w innym kierunku. Zauważyłem w odległości kilku metrów lej po pocisku artyleryjskim. W mgnieniu oka odbiłem się ze swojego miejsca i wpadłem do leja. Niemiec zauważył mój ruch i pociągnął serię w moją stronę. Pocałuj mnie w nos - pomyślałem sobie. Mój automat, zasypany piachem, okazał się nieprzydatny do walki. Wyciągnąłem zamek pepeszy, przetarłem szmatą, złożyłem. Wszystko gra. Ostrożnie rozpocząłem obserwację przedpola. Zauważyłem stanowisko ckm-u, w wysokim okopie pod siatką maskującą. Niemiec przerwał ostrzał i wysunął głowę, aby obejrzeć przedpole. Wymierzyłem w jego stronę i - gdy rozpoczął kolejny ostrzał - puściłem serię. Jego ckm zamilkł. Po chwili nasi podrywają się do ataku. Huraaaaa! Ckm nie strzela. To dobrze - pomyślałem. Gdy wpadliśmy do okopów, dowódca plutonu polecił mnie i koledze sprawdzić to stanowisko ckm-u. Dla bezpieczeństwa rzuciliśmy granaty niemieckie, których pełno było w okopie. Podchodzimy. Cisza. Nikogo nie ma. Na dnie okopu leży plecak tego strzelca i zakrwawiony hełm. Widocznie koledzy zabrali ze sobą rannego celowniczego. Nie wiem, czy biedak przeżył. Podchodzę do cekaemu, naciskam spust, a on strzela. Dla bezpieczeństwa wyciągnąłem zamek i odrzuciłem najdalej, jak tylko mogłem. Tak się skończył mój pierwszy pojedynek z Niemcem.

- Po zdobyciu Pragi zapewne wiedzieliście o walczących powstańcach w lewobrzeżnej Warszawie. Jak reagowaliście, jakie były nastroje wśród żołnierzy? Co mówili dowódcy?

- Myśleliśmy, że pójdziemy na pomoc Warszawie. Słyszeliśmy odgłosy walk, widzieliśmy płonące budynki. Jeden z naszych batalionów zdobył przyczółek czerniakowski. Sądziliśmy, że kolejne pododdziały pójdą za nim. Okazało się inaczej. Stalin zabronił kontynuowania natarcia. Jak się później okazało, była to sprawa polityczna. Berling został odsunięty od dowodzenia dywizją.

Kiedy w 1956 r. pracowałem w PGR Parzęczewo, pomiędzy Kamieńcem a Grodziskiem w powiecie kościańskim, byłem odpowiedzialny za zorganizowanie nagonki w czasie polowania. Dyrektor wezwał mnie do siebie i mówi: -Panie Szalaty, niech tylko będzie porządek w czasie polowania. Same szychy przyjeżdżają. -A kto ma być? - pytam.

- Generał Berling. Zajmuje się sprawami kontroli PGR-ów, Ponadto rosyjski generał i jakiś Chińczyk z ambasady.

-Znam go. Taki chłop - można z nim śmiało porozmawiać.

Na koniec polowania skierowałem się w stronę Berlinga. Strzelał do przebiegającego przez dukt leśny lisa ale nie trafił.

- Panie generale, nie udało się!

- A skąd mnie pan zna? - pyta zdziwiony.

-Starego żołnierza zawsze można poznać! Przedstawiłem się, wspominając, że byłem jego podkomendnym.

- To dobrze. Zaprowadził mnie do swojej powózki.

- Ale trofeum zdobyłem, powiada do swoich współtowarzyszy. Spotkałem swojego żołnierza.

- Panie generale, a gdzie nam się pan podział pod Warszawą? - zapytałem. Gdzie pan zniknął?

- Takie losy żołnierza. - odpowiedział z zadumą. Inne zadania otrzymałem.

Jak się dowiedzieliśmy, został wykładowcą w szkole oficerskiej, a później w Akademii Sztabu Generalnego.

Po zdobyciu Warszawy, w styczniu 1945 r., pułk nasz i cała dywizja zostały skierowane na Wał Pomorski, gdzie trwały ciężkie walki z Niemcami. Z tego okresu pamiętam takie zdarzenie.

Otrzymaliśmy zadanie przeczesania lasu w celu sprawdzenia obecności nieprzyjaciela. Skradaliśmy się wśród drzew. Na początku wszystko przebiegało pomyślnie. Po jakimś czasie snajperzy rozpoczęli ostrzał naszych żołnierzy. Każdy kolejny strzał eliminował moich kolegów. Dostrzegłem podniesioną rękę jednego z nich i podbiegłem. Okazało się, że dostał postrzał w jamę brzuszną. Obok, w zagłębieniu terenu, stał paśnik dla zwierzyny. Zaholowałem kolegę w to miejsce, rozebrałem i założyłem opatrunek osobisty. Kończyłem, gdy padł drugi strzał. Tym razem trafił w pierś opatrywanego kolegi, tuż obok mojej głowy. Gdyby snajper zdecydował się na jeszcze jeden strzał, byłoby i po mnie.

-Jak widać, działania wojenne niosły wiele zaskakujących, trudnych do przewidzenia sytuacji, niewytłumaczalnych z racjonalnego punktu widzenia. Innymi słowy, doświadczał Pan na własnym przykładzie działania Opatrzności Bożej. Czy zechciałby Pan opowiedzieć o podobnych przypadkach?

-Często zadaję sobie pytanie, dlaczego taka czy inna sytuacja zakończyła się w taki, a nie inny sposób? Mogła się przecież zakończyć inaczej.

Było to na Wale Pomorskim, na przełomie stycznia i lutego 1945 r. Wezwał mnie do siebie dowódca kompanii, ppor. Sofka, i postawił zadanie: Pójdziesz do ..., (tu wymienił nazwę miejscowości, której nazwy dzisiaj nie pamiętam) i przyprowadzisz nowych żołnierzy, stanowiących uzupełnienie stanu osobowego naszej kompanii. W czasie ostatnich walk bardzo uszczuplony został jej stan osobowy. Zameldujesz się za dwa dni. Gdy wróciliśmy po wykonaniu zadania, dowiedziałem się o tragicznych wydarzeniach w naszym pododdziale. Kompania nasza została wysłana na rozpoznanie i dotarła w okolice miejscowości Podgaje. Jak się okazało, stacjonowały tam liczne odziały hitlerowskie. Na przedpolach tej wsi kompania została otoczona przez przeważające siły wroga. Wywiązała się zacięta, całonocna walka. Gdy zabrakło amunicji, nasi zostali wzięci do niewoli. Jeńców zamknięto w stodole i rozpoczęto przesłuchania. Ppor. Sofka zaproponował ucieczkę. Rozerwano deski stodoły i zaczęto biec w kierunku lasu. W pogoń ruszyli niemieccy narciarze. Wielu kolegów zginęło, w tym dowódca kompanii ppor. Alfred Sofka. 32 żołnierzy Niemcy schwytali ponownie. Jeńców skrępowali drutem i żywcem spalili w tej stodole. Do dziś zadaję sobie pytanie, dlaczego tak się stało? Przecież w tej grupie żołnierzy, okrutnie zamordowanych, mogłem być również i ja.

Okrucieństwa wojny nie pozbawiały żołnierzy człowieczeństwa. Świadczy o tym dalsza opowieść pana Wiktora.

Zdarzyło się to również podczas walk na Wale Pomorskim. Leżałem okopany za gospodarstwem. Przede mną, nad rowem, szedł niemiecki żołnierz.

- Hande hoh! - krzyknąłem. On strzelił do mnie z pistoletu. Nie trafił. Strzeliłem w jego stronę, pod nogi. Musiał być oficerem, bo miał krótką broń i po moich ostrzegawczych strzałach wyrzucił pistolet. Trzymając ręce w górze, wycofywał się tyłem, mamrocząc pod nosem; drei Kinder, drei Kinder. Zrozumiałem, że ma troje dzieci. Pozwoliłem mu odejść. Czy przeżył i wrócił do swoich dzieci ? Nie wiem. - zastanawia się mój rozmówca.

- Potem są zapłaty, te odgórne. Takie jest życie - wzrusza się pan Wiktor.

Pokazuje starą książeczkę do nabożeństwa w czerwonej, wytartej, jednostronnej okładce.

To jest mój podarunek. Modlitewnik żołnierza z 1941 r. z przedmową biskupa polowego WP Józefa Gawliny. Dostałem go w Sielcach nad Oką za dobre wyniki w nauce w szkole podoficerskiej. Wręczał to oficer polityczny. Można było wybrać bardziej praktyczne nagrody, np. koce.

Wybrałem modlitewnik i w każdym wolnym czasie siadałem i czytałem, pod przydrożnym drzewem, w okopie, w lesie. Wodę widział i biedę widział…

To jest mój skarb! - podsumowuje wyraźnie wzruszony pan Wiktor.

Swój szlak bojowy Wiktor Szalaty zakończył 8 marca 1945 r. na Wale Pomorskim. Odłamek z miny moździerzowej uszkodził prawe biodro. Wskutek odniesionej ciężkiej rany trafił do szpitala wojskowego w Otwocku, gdzie spędził trzy miesiące. To tam dotarła do niego wiadomość o zakończeniu działań wojennych w Europie.

Rodzina pana Wiktora szczęśliwie powróciła do Ojczyzny w 1946 roku.

Nekla, we wrześniu 2007 r.

Wspomnień wysłuchał i do druku przygotował Jerzy Osypiuk.

***Wiktor Szalaty**, ur. 31.08.1920 w Starczanowie, syn Wawrzyna i Władysławy z d. Wiśniewskiej. Był dziewiątym dzieckiem spośród piętnaściorga rodzeństwa. Od 1934 mieszkał z rodzicami w Staniewiczach k/Iwacewicz, w woj. poleskim. 10 lutego 1940 deportowany z rodzeństwem i dalszą rodziną do specposiołka Siennoj w obwodzie archangielskim. Od 23 maja 1943 w I DP im. T. Kościuszki. Brał udział w bitwie pod Lenino i w walkach w okolicach Warszawy. 8.03.1945 ranny podczas walk na Wale Pomorskim. Po demobilizacji pracował w Gdyni, w Kliszowie (1948-51), Goździchowie (1951-63), Świętnie (1963-67). W 1967 powrócił do Starczanowa, gdzie przejął gospodarstwo ojca. Aktywnie działał w organizacjach kombatanckich. Od 1948 w związku małżeńskim z Władysławą Frąckowiak (1925-1991). Jest ojcem ośmiorga dzieci: Stefana (1948-2000), Krystyny (1949), Danuty (1951), Stanisławy (1952), Łucji (1954), Marii (1957), Urszuli (1958), Andrzeja (1960). Od 2005 Honorowy Obywatel Nekli. Niedawno obchodził 95 urodziny.*

W Iwacewiczach. W czapce Wiktor Szalaty

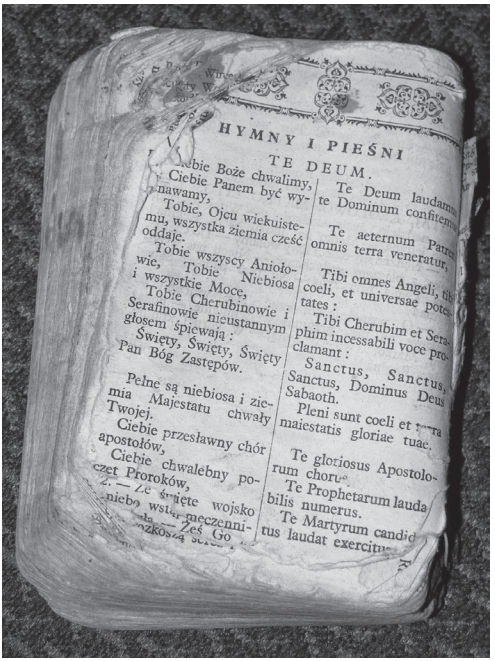

HYMNY I PIEŚNI

TE DEUM.

Tobie Boże chwalimy, Ciebie Panem być wyznawamy, Tobie, Ojcu wiekuistemu, wszystka ziemia cześć oddaje. Tobie wszyscy Aniołowie, Tobie Niebiosa i wszystkie Moce, Tobie Cherubinowie i Serafinowie nieustannym głosem śpiewają: Święty, Święty, Święty Pan Bóg Zastępów. Pełne są niebiosa i ziemia Majestatu chwały Twojej. Ciebie przesławny chór apostołów, Ciebie chwalebny poczet Proroków, [illegible] święte wojsko [illegible] niebo wstawienniczki [illegible] Ześ Go [illegible]

Te Deum laudamus, te Dominum confitemur. Te aeternum Patrem omnis terra veneratur. Tibi omnes Angeli, tibi coeli, et universae potestates: Tibi Cherubim et Seraphim incessabili voce proclamant: Sanctus, Sanctus, Sanctus, Dominus Deus Sabaoth. Pleni sunt coeli et terra maiestatis gloriae tuae. Te gloriosus Apostolorum chorus, Te Prophetarum laudabilis numerus. Te Martyrum candidatus laudat exercitus.

Świadek wojennych ścieżek. Niezawodny Przyjaciel...

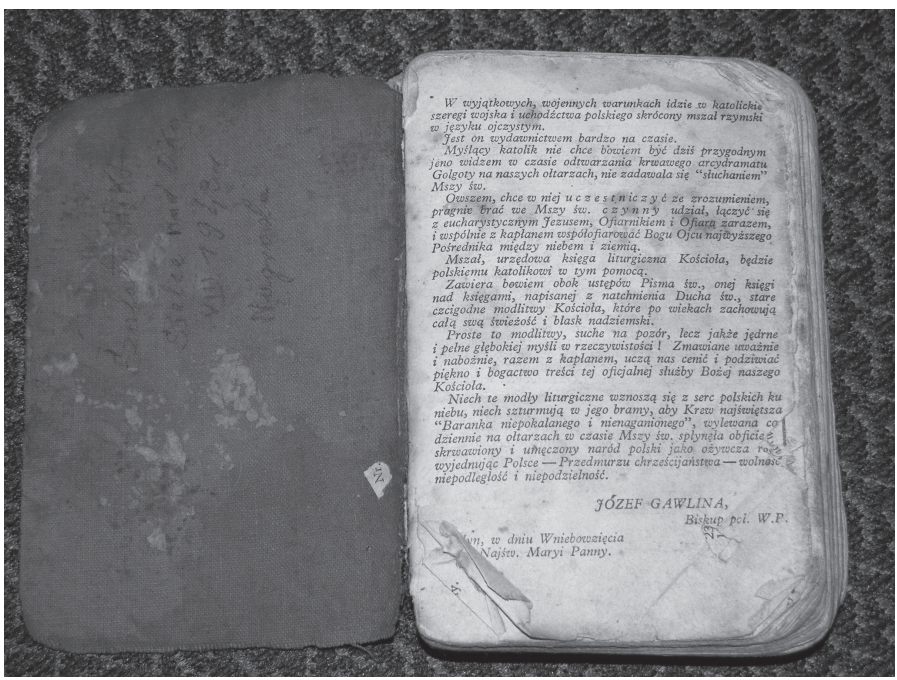

W wyjątkowych, wojennych warunkach idzie w katolickie szeregi wojska i uchodźctwa polskiego skrócony mszał rzymski w języku ojczystym.

Jest on wydawnictwem bardzo na czasie.

Myślący katolik nie chce bowiem być dziś przygodnym jeno widzem w czasie odtwarzania krwawego arcydramatu Golgoty na naszych ołtarzach, nie zadawala się "słuchaniem" Mszy św.

Owszem, chce w niej u c z e s t n i c z y ć ze zrozumieniem, pragnie brać we Mszy św. c z y n n y udział, łączyć się z eucharystycznym Jezusem, Ofiarnikiem i Ofiarą zarazem, i wspólnie z kapłanem współofiarować Bogu Ojcu najwyższego Pośrednika między niebem i ziemią.

Mszał, urzędowa księga liturgiczna Kościoła, będzie polskiemu katolikowi w tym pomocą.

Zawiera bowiem obok ustępów Pisma św., onej księgi nad księgami, napisanej z natchnienia Ducha św., stare czcigodne modlitwy Kościoła, które po wiekach zachowują całą swą świeżość i blask nadziemski.

Proste to modlitwy, suche na pozór, lecz jakże jędrne i pełne głębokiej myśli w rzeczywistości! Zmawiane uważnie i nabożnie, razem z kapłanem, uczą nas cenić i podziwiać piękno i bogactwo treści tej oficjalnej służby Bożej naszego Kościoła.

Niech te modły liturgiczne wznoszą się z serc polskich ku niebu, niech szturmują w jego bramy, aby Krew najświętsza "Baranka niepokalanego i nienagannego", wylewana codziennie na ołtarzach w czasie Mszy św. spłynęła obficie z skrwawiony i uwięziony naród polski jako ożywcza rosa wyjednując Polsce — Przedmurzu chrześcijaństwa — wolność, niepodległość i niepodzielność.

JÓZEF GAWLINA,
Biskup pol. W.P.

[illegible], w dniu Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny.

Skarb p. Wiktora - żołnierski modlitewnik . Sielce n/Oką, sierpień 1943 r.

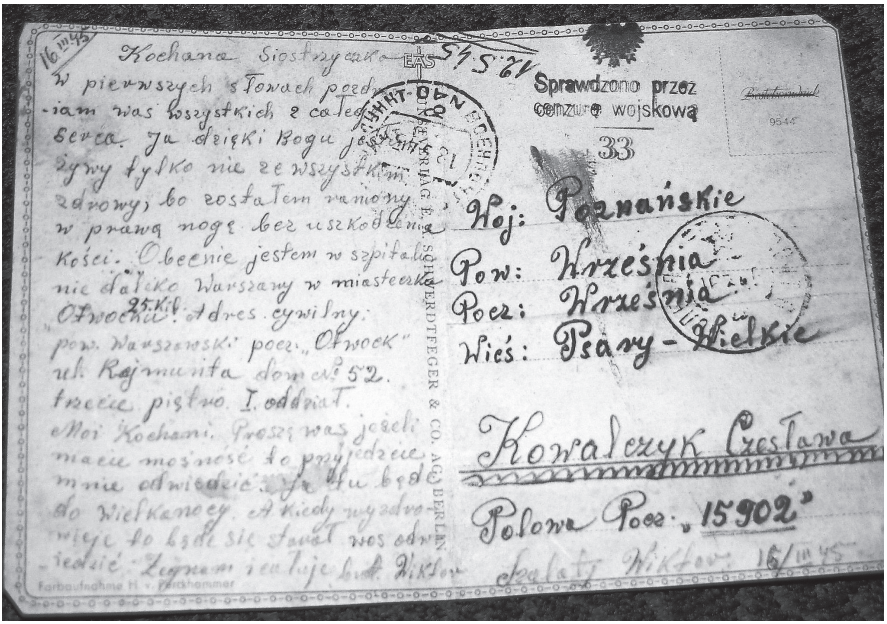

Korespondencja Wiktora do siostry Czesławy ze szpitala w Otwocku.

Siostry Wiktora: Jadwiga Dębicka (1934) i Zofia Matecka (1933), początek lat pięćdziesiątych XX w.

Wiktor z żoną Władysławą i pierwszymi dziećmi

Por. Wiktor Szalaty. Nekla, 1.09.2002 r.

Wiktor Szalaty, ur. 31.08.1920 .
Honorowy Obywatel Nekli. 2007 r.

Spotkanie po 73 latach. Od lewej Zofia Jasińska i Wiktor Szalaty, dawni sąsiedzi ze Staniewicz na Polesiu. Nekla, 2013 r.
Foto. Waldemar Odrobny

Bronisława Szalaty

Świadectwo mojego życia

Bronisława Szalaty. 1948 r.

Przyszłam na świat 19 stycznia 1914 r. pośród lasu, gdyż ojciec mój był gajowym. Byłam drugą córką, a czwartym dzieckiem Władysława i Józefy Harbunowiczów. W 1935 r. wyszłam za mąż za Jana Szalatego z poznańskiego, skąd on i jego rodzina przybyli na Polesie. Państwo sprzedawało działki z budynkiem mieszkalnym. Mąż posiadał gospodarstwo 22 hektarowe i dom. Resztę, to znaczy oborę, stodołę i budynek gospodarczy wybudowaliśmy sami. Posiadaliśmy 15 krów, 5 koni, wiele świń i liczne ptactwo. Posiadaliśmy też niezbędne maszyny rolnicze. Nasze gospodarstwo, choć z trudem i mozołem, rozwijało się dobrze dzięki żyznym poleskim ziemiom. Mieszkaliśmy w Staniewiczach, gmina Iwacewicze, pow Kossów Poleski. W 1939 r. mieliśmy już dwóch synów, Henryka, ur. w 1936 r. (zmarł 13 maja 1939 r.) i Czesława, ur. w 1938 r. , który przeżył tułaczkę i - dzięki Bogu - żyje do dziś. W roku 1939 świat został wstrząśnięty echem wojny światowej, którą rozpętał Hitler, napadając na Polskę z jednej strony, a Stalin z drugiej, zajmując wschodnią część Polski.

4 listopada 1939 r. przyszła na świat córeczka, Genowefa. 10 lutego 1940 r., o godzinie 4 nad ranem, stukaniem kolbami karabinów do drzwi z wrzaskiem „otwieraj"!!!, obudzili nas bolszewiccy żołnierze. Nie wiedzieliśmy, o co im chodzi. Przerażone dzieci zaczęły płakać. Moja, chora na serce mama zemdlała. Nie wiem, co robić, ale ratuję mamę. Mąż otworzył drzwi. Pierwszy widok, to skierowane do nas lufy karabinów i rozkazy:

- Zabierajcie się !!!... Zostaniecie wywiezieni w głąb Rosji ! Tak rozkazał Stalin.

- Zaczęliśmy płakać, prosić, błagać, że my nic złego nie zrobiliśmy. Czego od nas chcecie? Bolszewicki sołdat krzyknął, że mamy nie gadać, ale zabierać się i już. Zaczęłam płakać i mówię;

-Po co macie nas wywozić i zabijać? - Zabijcie nas na miejscu!

Wiedzieliśmy już wcześniej co potrafią zrobić żołnierze NKWD. Gdy weszli do Polski 17 września 1939 r. już krew się lała. W rowach leżały ciała zamordowanych leśniczych, gajowych, policjantów. Powiedział:

- „Niet, was nie budiem strelat`, tolko wywieziem.

Zaczęłam szykować ubranka dla dwuletniego synka i trzymiesięcznej córeczki. Wołam z płaczem:

- Boże, Boże, w co te dzieci ubiorę? W takie mrozy pomarzną mi.

-Towarzyszu, widzicie te małe dzieci? Czy wy nie macie serca?

-Dawaj, dawaj, poskoriej sabirajsia. Możesz sabrat wsiu odeżdu.

Mamy wyruszyć w podróż, a tu nie mam ani kawałka chleba - miałam właśnie piec. Ciasto zostało w dzieży. Płaczę. Straciłam już pamięć i nie wiem, jak dzieciaki otulić na drogę, a tu mama lamęci. Zaczęłam prosić żołnierza, aby pozwolił wydoić krowę i dać dzieciom ciepłego mleka. Jednak trochę wzruszył żołnierza widok płaczących dzieci i mogłam pójść do obory pod eskortą dwóch karabinów. Pozbieraliśmy, co potrzebne na drogę. Mąż ze strachu czy z nerwów musiał się załatwić. W pomieszczeniu ubikacji nie mieliśmy, więc też go wyprowadzili pod karabinem. Gdy się wreszcie wyszykowaliśmy, popatrzyliśmy z płaczem i z bólem serca i naprawdę wielkim żalem, że zostawiamy nasz dorobek, w który włożyliśmy tyle pracy. Musimy wszystko zostawić i jechać na tułaczkę w nieznany świat.

Wsiedliśmy na sanie i wieźli nas 13 km na stację kolejową w Iwacewiczach. Czekał tam na nas bardzo długi pociąg towarowy z załadowanymi już ludźmi. W naszym wagonie było kilka rodzin i około pięciu malutkich dzieci, które płakały z zimna i głodu. Nikt przecież nie zdążył uszykować dzieciom właściwego pożywienia. Później przynieśli do wagonu parę bochenków chleba do podziału. Cóż to znaczyło na 16 dorosłych ludzi i dużą gromadę dzieci na cały dzień? Przez cały dzień stał jeszcze pociąg na stacji, bo wciąż zwozili nowych ludzi. Dopiero w nocy ruszył w nieznany świat. Dokąd i po co ? Różnie myśleliśmy. Słyszeliśmy, co potrafią zrobić z Polakami. Płakaliśmy i modliliśmy się. W wagonie było zimno, wszędzie świeciły dziury, przez które dostawało się mroźne powietrze. Wprawdzie na środku wagonu stał żelazny piecyk, ale brakowało drewna na opał. Gdy podjechaliśmy pod jakiś tartak, kazali mężczyznom wyjść i przynieść trochę drzewa. Wszystko odbywało się pod lufami karabinów.

Mimo to było bardzo zimno. Pewna staruszka przymarzła do ściany wagonu. Zmarła, więc musieli ją odrywać od tej ściany. Co z nią zrobili, nie pamiętam, musieliśmy jechać dalej. Jechaliśmy około dwóch tygodni, aż dotarliśmy za Archangielsk. Tam mieliśmy dzień czy dwa odpoczynku. Spaliśmy w jakiejś świetlicy na podłodze, jak śledzie. Przyjechały po nas sanie, załadowaliśmy się i w drogę. Było jeszcze gorzej. Zimno nie do wytrzymania. Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów i odpoczynku w zimnej, lodowatej cerkwi, nie zwracano w ogóle uwagi na małe, płaczące z zimna dzieci. Rano zjedliśmy po kawałeczku zmarzniętego chleba i dalej, w drogę. Swoją córeczkę karmiłam jeszcze piersią, więc ją trochę ogrzałam. Gorzej było z dwuletnim synkiem. Trudno było dostać gorącej wody do picia. Wielki był kłopot z suszeniem pieluszek, nie było gdzie. Pamiętam, dojechaliśmy chyba do większej miejscowości. Nocowaliśmy w świetlicy, więc miałam okazję, aby wysuszyć pieluszki. Dzieciak mój już był chory, gorączkował. Dalsza podróż odbywała się przez tereny górzyste. Zjeżdżając w dół, przewracały się sanie. Wszyscy zażywali kąpieli śnieżnych. Wyciąganie dzieci ze śniegu, krzyki, jęki. Wokół słychać: Boże, Boże, ratuj nas! To, co działo się podczas całej podróży, trudno dzisiaj opisać. Trzeba to było przeżyć i widzieć tę rozpacz.

W tym dniu pokonaliśmy 35 kilometrów z chorym już dzieckiem. Nocleg miał być znów w klubie. Dzięki Bogu, bo trochę cieplej i będę mogła coś załatwić z chorym dzieckiem. Poszukałam lekarza. Przyszedł i zbadał córeczkę. Stwierdził zapalenie płuc. Nie byłam tym wcale zdziwiona. W takich warunkach starzy pochorowali się i pomarli w drodze, a cóż dopiero taka mała kruszyna! Prosiłam lekarza, żeby mnie z chorym dzieckiem skierował do szpitala. Jak ja mogę tak jechać z tak chorym dzieckiem? Lekarz wcale nie chciał o tym słyszeć. Co tam go obchodzi chore dziecko? Dał mi proszek zawinięty w gazetę, bo papieru nie mieli. Niby lek przeciw zapaleniu. Podałam ten lek dziecku i dalej w drogę. Sunęły sanie

po śniegu a moje dziecko coraz mocniej płacze. Wprost już jęczało, a ja równo z nim. Serce mi z bólu pękało, że ja, matka, nie mogę nic zrobić. Nie mogę przytulić, aby ukoić ból, nie mogę dać pić, albo chociaż zwilżyć spalone gorączką małe usteczka. Wołam: Boże, ratuj moją Kruszynę, nie zabieraj mi, Boże, proszę Cię- wołam i płaczę. Do dzisiejszego dnia, na wspomnienie płaczu i jęków córeczki jeszcze łzy mi płyną, że nie byłam w stanie jej pomóc. Kończył się kolejny odcinek naszej podróży. W drodze dziecko przestaje płakać, w końcu uspokoiło się. Ja nieszczęśliwa, myślałam, że usnęło. Rzeczywiście usnęło, ale na wieki. Dotarliśmy do wioski. Tu miał być dłuższy, trzydniowy odpoczynek. Miały przyjechać inne furmanki, a dotychczasowe powrócić do domów, bo wiozły nas już ok. 300 km. Wzięłam delikatnie swoje zawiniątko, aby nie obudzić, i wniosłam do izby. Tutaj dopiero dotarło do mnie, co się stało. Usnęła na zawsze moja kochana Córeczka. Jeszcze dzisiaj widzę, jak śpi spokojnie na moich rękach. Zaczęłam płakać, krzyczeć. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić? Otruć się nie miałam czym, zabić się? Doznałam szoku. Zawsze z nami byli żołnierze. Jeden z nich skierował na mnie lufę karabinu i krzyknął:

- Zamałczi, bo zastrieliu tiebja!

Nie zważałam na to, bo było już mi wszystko jedno. Stanęłam naprzeciwko i krzyczałam:

- Striełaj, striełaj. Zamordowaliście moje dziecko, bandyci, to i zabij mnie, bo i tak po drodze będziemy umierać z głodu i zimna. Patrz - moja matka już ledwie żyje i drugie dziecko też na pół zmarznięte. Co czeka nas dalej? Śmierć! Śmierć!

Drugi żołnierz podszedł do niego i chwycił za karabin

- Czto ty diełajesz? Uwidieł czto riebionok pamoir i mati baliejet?

Wyszli z izby. Syn, Czesław, ledwie zipie, ja płaczę, a tu pochować nie ma w co. Skombinowałam mej córeczce sukieneczkę z mojej sukni. Całą noc szyłam. Nazajutrz poszłam z mężem do naczelnika poprosić, żeby zrobili trumienkę i krzyż. Naczelnik zaczął śmiać się:

- A po co krzyż?

Ale stolarz odezwał się:

- U nich tak chowają.

Na drugi dzień krzyż i trumna była zrobiona. Teraz muszę prosić naczelnika by dał człowieka, byśmy mogli pochować dziecko. Były takie przypadki, że w czasie tej podróży rodzice musieli zostawiać martwe dzieci i jechali dalej. Co się z nimi później działo, nie wiadomo. Idę po raz drugi do naczelnika i proszę o człowieka. On sobie siedzi przy stole, coś pije, zajada ciastka i mówi mi:

- Ładno, ujeżdżajcie, a my zcharanim!

Wpadłam w złość i z płaczem krzyczę:

- Wy siedzicie i pijecie czaj a ja trzy dni nic w ustach nie miałam oprócz łez i bólu. Swego dziecka nie zostawię wam. Wezmę ze sobą. Do końca podróży będę je wieźć ze sobą. Ja wyjadę, a wy dzikom na pożarcie wyrzucicie! O nie, nie zostawię! Nie zostawię!

Musiało to zrobić na nim wrażenie bo tylko powiedział:

- Idi, zaraz cziełowiek prijdiot.

Przyszedł mężczyzna z małymi saneczkami. Postawiliśmy trumienkę. Zawieźliśmy na cmentarz i pochowaliśmy. Wracamy, a tu już furmanki i ludzie się pakują. Szybko zbieramy się i dalej w trzydniową drogę. Bez posiłku, już byłam tak wykończona, że ledwie

trzymałam się na nogach. Przez trzy kolejne dni jedziemy lasami. Teren jest bardzo pofałdowany. Ponownie pokonujemy po ok. 30 km. dziennie. Synek woła:

- Mamo, daj jeść! Tato, daj jeść!

Cóż mogę dać temu dziecku? Mamy kawałek chleba, ale zmarznięty. Zaczęliśmy prosić woźniców, aby zatrzymali się w lesie, abyśmy mogli dać dzieciom pić. Posłuchali. Stanęliśmy w lesie. Mężczyźni nazbierali trochę chrustu i rozpalili ognisko. Mąż w garnuszku stopił trochę śniegu, zagrzał i podaliśmy dziecku łyżeczką tak uzyskaną wodę. Jechaliśmy dalej. Trzeciego dnia mieliśmy do pokonania 35 km. Widzę, że synek jest bardzo słabiutki. Drżę ze strachu, żalu i bólu, prosząc Boga o wytrwanie, żebyśmy mogli wreszcie dojechać do miejsca przeznaczenia. Dojechaliśmy. Furmanki zaraz musiały wracać, więc rozładunek przebiegał bardzo sprawnie. Mąż najpierw pomógł matce wygrzebać stare i zmarznięte na dodatek kości. Zaraz zabrał też syna i wniósł do izby. Po chwili słyszę krzyk męża:

- Boże, Boże, dzieciak nie żyje. Cały jest sztywny!

Na te słowa oparłam się o sanie, ani kroku dalej zrobić nie mogłam.

- Nie, nie- powtarzałam szeptem - nie może tak być Boże mój! Dlaczego mnie karzesz? Dlaczego zabrałeś mi ostatnie dziecko?

Kobiety z tej wsi wzięły mnie pod rękę i zaprowadziły do domu. Upadłam na podłogę. Byłam bezsilna, wyczerpana. Pomyślałam sobie: W tak krótkim czasie stracić swoje dzieci, co za rozpacz. Matka moja, choć bardzo słabą była, zabrała się za ratowanie wnuka. Z pewnością Matka Najświętsza dodała jej sił. Rozebrała blade, nieprzytomne dziecko. Kobiety zaczęły nacierać ciało synka. Mąż poszedł poszukać lekarza. Leżę na podłodze i proszę: Boże, zostaw mi syna, nie zabieraj go! Wrócił mąż z panią doktor. Była bardzo miła i szczera. Zrobiła dziecku zastrzyk, zapisała cukru, ciastek i powiedziała:

- Macie dużo szczęścia, gdyby minęła jeszcze godzina to chłopiec by się już nie obudził. Poszła z mężem do sprzedawcy w sklepie, gdyż było już bardzo późno. Wrócił szybko. Przyniósł wszystko, co wskazała lekarka. Synek otworzył już oczy i woła:

- Ja chcę jeść!!!

Kobiety przyniosły ciepłej wody, mama osłodziła i maczając w niej ciastka, karmiła wnuka. Uradowałam się, że syn żyje, dziękując Bogu za jego ocalenie. Wyczułam również szczerość ludzi tam mieszkających, którzy przynieśli nam trochę jadła, chociaż sami nie mieli za wiele. Na drugi dzień z rana zawitała Pani Doktor i zbadała synka. Zapisała jajka. Powiedziała, że musi zjeść przynajmniej jedno jajko dziennie. Ponownie zapisała cukier i ciastka. Zaproponowałam lekarce kupno mojego czarnego kostiumu, abym miała za co wykupić zapisane produkty. Płaszcz zamieniłam u pewnej kobiety na mleko, która zgodziła się przynosić codziennie pół litra mleka. Wioska, w której się znaleźliśmy, nazywała się Siennoj. Przyjechaliśmy do niej 1 kwietnia 1940 r., po trwającej od 10 lutego podróży, kiedy to zostaliśmy wyrzuceni z domów w Staniewiczach.

Wrócę jeszcze do tego leku, który w czasie podróży lekarz zapisał naszej córeczce na zapalenie płuc. Mama wzięła ten proszek, który wydał się jej podejrzany, ze względu na zbyt dużą porcję. Dotknęła językiem i zaraz krzyknęła. Trucizna spaliła cały czubek języka. Zaczęła płakać, a ja z nią. Cośmy zrobiły, daliśmy dziecku truciznę. Boże, Boże, dlaczego przed podaniem tego leku nie spróbowałam? Nie pomogą krzyki i lamenty, gdyż dzieciak był już pochowany. Opowiedziałyśmy o tym kobietom. Została nawiązana nić porozumienia.

Ponieważ po przyjeździe zostaliśmy ulokowani w barakach, opowiedziały nam, jak wyglądało ich przybycie do Siennoj.

- Gdy nas tu przywieźli to był tylko las i też śniegu pełno. Rzucili nas na ten śnieg. Musieliśmy rąbać świerki i budować szałasy. Pościel mieliśmy z gałęzi. A ilu ludzi tu umarło! Zobaczycie jak duże jest tu cmentarzysko.

Gdy o tym nam opowiadały, wszystkie płakały.

Wrócę do wątku osobistego. Od tego czasu, gdy się tutaj znaleźliśmy i zachorował synek - leżał aż do października, kiedy to powoli zaczął wstawać i na nowo uczyć się chodzić. Po raz drugi w życiu miał krzywe nogi, jak pałąki. Był tak bardzo słaby i wycieńczony przez chorobę. Wychodząc do pracy żegnałam się z nim, gdyż obawiałam się, że wracając, mogę ujrzeć go martwym. W pracy byłam ponura, smutna i zamyślona o tym, co w domu z synkiem i matką. Matka też była wątła, chorowała na serce. Miała już 69 lat. Z pracy wychodziłam pierwsza, aby jak najprędzej znaleźć się w domu, z najbliższymi. Praca polegała na zrębie lasu. Mężczyźni ścinali drzewa, a kobiety obcinały gałęzie, składały na kupy i paliły. Nie chciały się one palić, bo były surowe. Latem jeszcze jako tako szło, gorzej było zimą. Gałęzie mokre, w ręce zimno, śnieg powyżej kolan, mróz syberyjski. Śnieg zaczynał topnieć dopiero od połowy maja. W czerwcu, gdy już było ciepło, kobiety ścinały drzewa i wynosiły na plecach na drogę. Mężczyźni układali z niego most, aby mogły przejechać samochody. Pnie miały średnicę 25-30 cm. i długość 6,5 metra. Wstawaliśmy bardzo wcześnie, około 4 rano i szliśmy do stołówki po zupę, gotowaną z ziaren owsa. Pracowaliśmy do zachodu słońca. Lato było krótkie, ale bardzo ciepłe. Chyba prawie bez deszczu. Noce były widne. Słońce zaszło i zaraz wschodziło. Niby noc, a mogłam pisać listy do znajomych bez zapalania lampy. Tylko wtedy miałam chwilkę czasu. W lesie było bardzo dużo grzybów: czerwonych łebków, kozaków i prawdziwków. Zbierałam grzyby i suszyłam na zimę. Brakowało nam chleba i źle nam płacili. W lecie pracowałam również przy sianokosach. W październiku 1940 r. wywieźli nas nad Szukszę, ok. 40 km od Siennoj. W miejscu tym znajdowały się 2 duże baraki, piekarnia, stołówka i biuro. Wokół same lasy. Po przybyciu rozpoczęliśmy prace przy zrębie drzew. Gdy spadło sporo śniegu, kobiety skierowano do wywożenia drzew saniami. Praca była bardzo ciężka, bo pnie miały po 40-50 cm grubości i 6-7 m długości. Rozpoczęły się tak silne mrozy, że aż pękały termometry. Nie było ciepłej odzieży ani butów. Odmroziłam palce u nóg i policzki, ale do pracy trzeba było iść. Po jakimś czasie dostaliśmy kufajki i walonki. Ranny posiłek to owsianka, trzeba przyznać, że była bardzo smaczna i zdrowa. Pracowaliśmy jak konie i to samo jedliśmy. Wieczorem była potrawa ze zgniłej kapusty i zmarzniętych ziemniaków. Tego to już nie można było zjeść. Na wymioty brało. Musieliśmy popić wodą z kawałeczkami chleba i iść spać. Pracowaliśmy w kółko. Świątków, piątków, ani niedzieli czy Bożego Narodzenia nie mieliśmy. Potraciliśmy rachubę dni. Nigdy nie pracowałam przy wywożeniu drzewa, więc nie wiedziałam, jak wydłużyć sanie za pomocą łańcuchów. Jak podważyć drągiem kłodę, aby włożyć ją na sanie? Kiedyś, sprężynując, taki drąg uderzył mnie prosto w żołądek. Z bólu przewróciłam się. Podnieśli mnie, usadzili na sanie i wróciłam do baraku, gdyż nie byłam w stanie pracować. Musiałam zaraz zgłosić naczelnikowi w biurze, co się stało. Prosiłam, aby mnie zawieźli do lekarza w Siennoj, gdzie wcześniej mieszkaliśmy. Nawet słuchać nie chciał. Pozostałam w baraku jeden dzień i drugi, bo nie mogłam się nawet schylić. Odebrali mi kartkę na chleb. Na czwarty dzień musiałam iść do lekarza na skróty, 20 km przez las. Pod wieczór dotarłam do Siennoj i udałam się do lekarki,

tej samej, która leczyła mojego synka. Otrzymałam zwolnienie za czas nieobecności w pracy, plus kolejne 10 dni zwolnienia. Napisała do komendanta kartkę, z którą miałam pójść, by oznajmić, co się stało i poinformować, że zostały mi odebrane kartki na chleb i przyszłam głodna. Komendant dał mi kartkę na 800 gram chleba i wydał rozporządzenie, nakazujące naczelnikowi obozu nad Szukszą, przywrócenie moich kartek na chleb. Przenocowałam w Siennoj i następnego dnia wróciłam do obozu. Wręczyłam naczelnikowi zwolnienie i zalecenia komendanta. Wykupiłam chleb na zaległe kartki. Ususzyliśmy z niego trochę sucharów na zapas. Skończyło się zwolnienie i musiałam wracać do tej samej pracy. Z powodu małych zarobków i niewystarczającego jedzenia zaczęliśmy wszyscy szemrać. Zwołali zebranie, na którym zaczęli na nas krzyczeć:

- Czto wy dumali, czto budietie panami? Kak ucha wam niewidna, tak i bolszoj Polszy nie uwiditie. Nie po to my was zdieś priwiezli, no cztoby rabotali i podochli, kak sobaki!

Nieraz później wypychali nas z kolejki po chleb lub go zabrakło i trzeba było odejść bez chleba. Przydział na osobę pracującą wynosił 80 g a na niepracującą 40 g. Chleb był bardzo czarny i taki wodnisty, ciężki, że na te 40 g wypadała taka grubsza skibka. Należała się nam również jedna porcja zupy, ani mowy więcej. Moją porcją chleba dzieliłam się z synkiem, bo co ten dzieciak miał jeść przez cały tydzień? Było mi go żal. Coraz bardziej słabłam, opuszczały mnie siły. Mężczyzn, a wśród nich mojego męża, wysyłali wciąż gdzieś do lasów, na dalsze prace. Wyznaczali terminy dwutygodniowe i trzytygodniowe, bez prawa powrotu do domu. Na wywożenie drzewa, aż znikną śniegi, to znów koszenie łąk, to tynkowanie piekarni, to malowanie. Lato w mig przeminie i znów zima i trzeba do lasu.

W końcu mąż tak mówi:

- Jesteś słaba, wycieńczona, mnie wciąż wysyłają w inne miejsca. Mamy jedno dziecko. Gdybyś miała drugie, może coś by się zmieniło? Może byś miała trochę wypoczynku? Kto wie jak długo będziemy razem?

Pomyślałam: może dadzą mi lżejszą pracę jak będę w ciąży? I tak się stało. Był już rok 1942. Tak długo nam nie płacili, nie mieliśmy już pieniędzy. Nawet wykup tej porcji zupy stawał się problemem. Już prawie pozbyłam się wszystkiego, co miałam. Mama chodziła do biura i krzyczała:

- Dajcie jeść! Przywieźliście nas na śmierć głodową!

Wszyscy chodziliśmy głodni. Dużo straciliśmy na leczenie dziecka. Była bieda. Cóż robić? Wybrałam się z mężem pieszo, 20 km przez las, do urzędu w Siennoj po pieniądze. Na próżno zaszliśmy, bo dienieg niet. Prosiłam:

- Dajcie chociaż parę rubli abym mogła wykupić chleb dzieciakowi i starej matce!

-Pieniędzy nie ma, jak będą - przywieziemy, usłyszeliśmy w odpowiedzi.

-Co nas tam obchodzi wasza stara matka i dziecko?

Zbliżał się wieczór. Nie było więc mowy o powrocie. Zaczęliśmy szukać noclegu i trafiliśmy na staruszka - rybaka. Był dobrym człowiekiem, bo poczęstował nas kolacją i rano śniadaniem. Dał nam też parę rybek. Ach, jak się ucieszyłam, że mama i syn będą mogli teraz zjeść trochę. Droga powrotna była tak męcząca, że czułam osłabienie . Nie mogłam władać nogami. Zbliża się wieczór. Chcę usiąść trochę i odpocząć. Mąż nie pozwolił.

-Jak usiądziesz i uśniesz, to po tobie.

Przy pomocy męża dobrnęliśmy jakoś do baraku. Położyłam się, bo z rana do pracy w lesie trzeba iść z koniem i saniami. Na drugi dzień po pieniądze wybrał się 19 letni chłopiec.

Miał na utrzymaniu bardzo chorego ojca i matkę, a dwaj młodsi bracia zmarli, gdyż nie mógł sam zarobić na utrzymanie 5 ludzi. W połowie drogi spotkał Rosjan, którzy powiedzieli mu, że nie ma po co iść, gdyż nie ma jeszcze pieniędzy. Wracaj. Nie zabrali go ze sobą, lecz zostawili. Sam szedł z powrotem. Zasłabł i upadł. Pełzając, chciał się doczołgać do baraku, ale brakowało mu sił. Żywił się śniegiem. W końcu przegryzł żyły na ręce i pił krew. Czołgał się kawał i zmarł biedak. Jadący inni Rosjanie zobaczyli go leżącego na drodze i przywieźli do obozu. Gdy rodzice dowiedzieli się o śmierci swojego chlebodawcy, podniósł się straszny lament. Ojciec zupełnie osłabł. Sąsiedzi pochowali chłopca. Wkrótce zmarł ojciec, a krótko po nim matka. Nie mogę sobie przypomnieć, co zaszło, że dużo ludzi zaczęło umierać. Najpierw z wyczerpania, później z chorób. W rodzinie o nazwisku Filipiak zmarło dwoje dzieci, ojciec i nie wytrzymało serce matki, która też zmarła. Cztery trumny były chowane w jednym dniu.

Naczelnik oznajmił, że kto chce, może sobie iść do miasta, lub dokąd chce, aby poprawić swoje warunki życia. Ludzie, którzy mieli jeszcze siły, zbijali tratwy i wypływali w dół rzeki, przed siebie. Z mężem nie mieliśmy siły do takiej roboty, więc wyruszyliśmy do Karpogorów. Matkę i syna zostawiliśmy na Szukszy, a my, po szczęście, w drogę. Gdy znajdziemy pracę i zarobimy trochę pieniędzy, to zabierzemy mamę i syna. Wyruszyliśmy. Do wioski było bardzo daleko. Głód nam bardzo dokuczał. Gdy dotarliśmy do niej, mąż zaproponował, abyśmy się rozeszli, jedno w prawo, drugie w lewo. Wstąpimy do domów. Może poczęstuje ktoś nas jakąś strawą. Spotkamy się na końcu wioski. Podeszłam pod jedno z domostw. Zapukałam, weszłam, pozdrowiłam „Radzi Chrysta".

- Dajcie coś zjeść, idę szukać pracy.

Odpowiedziała gosposia:

- Nie ma. My sami głodujemy. Mam dzieci, męża nie ma.

Wyszłam z bólem serca i ze łzami, tak, że nie widziałam już innych domów. Poszłam dalej, nie mając odwagi więcej prosić. Głód już mi tak dokuczał, czułam, że niedługo padnę. Zdecydowałam się ponownie zapukać i proszę - Radzi Chrystusa- coś zjeść. Szczęśliwie kobieta zaprosiła do środka, posadziła przy stole. Nalała mi w kamienną miseczkę żytniej polewki i podała mi kilka ziemniaków w mundurkach i kilka sucharów. Rozpoczęłyśmy rozmowę.

- Po co oni was przywieźli? Popatrz jak my żyjemy? To nasze codzienne jedzenie - ta polewka i te ziemniaki ,i więcej nie mamy. Mężów nam zabrali na front, a my z dziećmi tak męczymy się.

Popłakałam się i podziękowałam tej Kobiecince. Dała mi jeszcze parę ziemniaków i sucharków. Wyszłam, opuszczając ten gościnny dom z wielką radością. Na końcu wsi spotkaliśmy się z mężem. Trzeba było szukać noclegu. Trafiliśmy na dobrą kobietę, która przyjęła nas na nocleg. Dała kolację i spanie na podłodze. Nie mogłam całą noc spać, bo się oganiałam od pluskiew, które potwornie gryzły. Mężowi to nie przeszkadzało, spał. Rano gospodyni poczęstowała nas śniadaniem. Podziękowaliśmy i opuszczamy gościnną chatę, ruszając w dalszą drogę. Z trudem dotarliśmy do Karpogorów. Najpierw poszukaliśmy mieszkania. Kobieta zgodziła się przyjąć nas na kilka dni, aż znajdziemy gdzieś mieszkanie. Mąż znalazł pracę na 4 dni. Na razie czyści ustępy za parę rubli, to była praca dobrze płatna. Ja wywoziłam koniem na pole. Później mieliśmy pracować w lesie, ustawiając drewno w metry. Mężczyzna, który miał nas zaprowadzić do lasu i pokazać, gdzie mamy pracować, dał mężowi narty. Ja nie wzięłam, bo nie umiałam na nartach jeździć. Pojechali na nartach, a ja za nimi pieszo.

Śnieg był bardzo głęboki. Miałam ze sobą piłę i normalnie się w śniegu topiłam. Gdy jedną nogę wyciągnęłam, to druga mi wpadała w ten śnieg. I tak w koło. Nie pamiętam, który to był miesiąc. Wydaje się, że kwiecień, bo słońce w południe przygrzewało. Szłam, w końcu zaczęłam pełznąć, bo chciałam dotrzeć do miejsca pracy. Słoneczko już się skryło za lasem i zaczęło marznąć. Cała jestem mokra i zupełnie opadłam z sił. W końcu usiadłam na śniegu i zaczęłam płakać i modlić się. Myślałam, że tu zakończę swój żywot. Jeśli mąż po mnie nie przyjdzie, to umrę na tym śniegu. Gdy tak siedziałam, płacząc, mąż przyjechał i woła:

- Boże, kobieto, czyś ty niemądra? Ty tu siedzisz? Myślałem, że wróciłaś?

Dał mi swoje narty i – podtrzymując - wyprowadził na drogę. Wstąpiliśmy do stołówki, poprosiłam o gorącą wodę, by się trochę rozgrzać. Wróciliśmy do domu. Rano ruszyć się nie mogłam. Lekarz stwierdził zapalenie płuc. Dostałam zwolnienie i i zalecenie leżenia w łóżku. Gdy wykaraskałam się z tej choroby, zapadłam na ślepotę. Podobno z wycieńczenia. Byłam już w szóstym miesiącu ciąży. Ze względu na to, że nic przed sobą nie widziałam, musiałam być prowadzona pod rękę. Mąż miał kłopoty, bo do pracy musiał iść, a tu moja choroba. Zaprowadził mnie do lekarza na drugi dzień mojej choroby. Ten polecił gotować końską wątrobę i nad garnkiem, pod nakryciem, inhalować drogi oddechowe. Po ugotowaniu zjeść wątrobę i wypić ten rosół. Tak przez trzy dni trwała kuracja. Pomogła. Cieszyłam się, że widzę i mogę iść do pracy razem z mężem. Myślałam o synu i mamie, aby jak najszybciej sprowadzić ich do Karpogorów. Zaczęło się robić ciepło, śnieg topniał, a tu znów wysyłają mężczyzn do lasu na spław drzewa. Prawdopodobnie wysyłali je za granicę. Zbijano z pni tratwy i wodą drewno płynęło w dół rzeki. Miałam zamiar pójść z mężem, ale skierowano mnie do lekarza, który wydał zaświadczenie, że jestem w 7 miesiącu i nie wolno mi iść do tej pracy. W takim razie postanowiłam pójść po mamę i synka. Kupiłam trochę białego chleba i wyruszyłam w drogę. Szłam dwa dni. Gdy dotarłam, okazało się, że mama jest chora na czerwonkę. Już kilka osób tam zmarło.

-Boże, jak dobrze, że przyszłaś, mówi mama, gdybym umarła, to dzieciak zostałby sam i zabraliby go do ochronki.

Zostałam tam dwa tygodnie, aż mama wyzdrowiała. Zabieramy się w drogę do Karpogorów. Idziemy lasami. Było bardzo ciepło. Synek się bardzo szybko męczył, bolały go nóżki. Miał już prawie cztery latka. Brałam go na plecy i niosłam. Gdy się zmęczyliśmy, siadaliśmy pod drzewami. Później podwiązałam chustkę, tak jak kiedyś Cyganie nosili dzieci i tak niosłam Czesia. W końcu dotarliśmy do wioski nad rzeką. Dowiedzieliśmy się tam, że o północy ma odpłynąć statek do Karpogorów. Zostałam z synkiem na przystani, a mama poszła zdobyć jakąś żywność. Przyniosła pół litra mleka,, trochę cukru, cebuli i chleba. Nakarmiłam synka i same trochę posiliłyśmy się. Statek odpłynął punktualnie. Rano znalazłyśmy się w Karpogorach. Przez kilka dni szukałam pracy, o którą było bardzo trudno. Zgodziłam się zbierać jagody i grzyby na potrzeby miejscowej stołówki. Miałam za to kilka rubli, bezpłatny obiad dla trzech osób, składający się z dwóch dań. Dostałam również kartki na chleb . Tak pracowałam do 11 sierpnia 1942 r. Nazajutrz udałam się do szpitala w związku ze zbliżającym się terminem porodu. 13 sierpnia 1942 r. urodził się synek, Bolesław. Gdy byłam w szpitalu, dotarła do mnie wiadomość, że mąż został wywieziony do Pinegi na przymusowe roboty za to, że przez 2 dni nie wyszedł do pracy z powodu choroby. Otrzymałam od niego list, że jest ciężko chory i nie może zarobić na kawałek chleba. Ususzyłam trochę sucharów i wysłałam w paczce. Włożyłam też trochę pieniędzy. Po wyjściu ze szpitala kontynuowałam pracę przy

jagodach i grzybach. Mama opiekowała się dziećmi. Wkrótce skończył się sezon grzybowy, a z nim moja praca. Udało się jednak znaleźć pracę w kołchozie. Zimą młocka, pojenie bydła, suszenie ziemniaków. Najpierw trzeba było je ugotować w mundurkach, obrać, pokroić w plasterki i suszyć. Tak wysuszone ziemniaki wysyłane były jako zaopatrzenie wojska walczącego na froncie. Zimą, jeszcze w 1942 r., zaczęliśmy otrzymywać pomoc dzięki generałowi Sikorskiemu. Dostawaliśmy żywność, smalec, odzież. Tę część odzieży, która była dla mnie zbędna, wymieniłam na suchary, mąkę i ziemniaki. Wysłałam mężowi trochę żywności, machorkę, rękawiczki i skarpetki. Już pisał, że niedługo wróci. Oczekuję go, a jego jak nie było, tak nie ma. Minął tydzień i drugi, a męża nie ma. Wreszcie nadeszła wiadomość, że wszystkich, którzy byli z mężem w karnym obozie, wywieziono do Kotłasa. Na początku 1943 r. ponownie dostaliśmy odzież i koce. Z koców uszyłam mamie 2 spódniczki, bo nie miała już w czym chodzić. Starszemu synowi ubranko, sobie spódniczkę. Z Karpogorów przeniosłam się na wieś i dalej pracowałam w kołchozie. Tutaj było trochę lepiej. Gdy zabijano krowę, zabierałam flaki do domu. Mama oczyściła i gotowała. Czasami, gdy była młocka, obiad zjadałam w kołchozowej stołówce. Jakoś klepaliśmy tę biedę. Kiedyś dotarła do nas informacja, że znowu płynie duży statek z żywnością dla nas. Cieszyliśmy się. Wkrótce pojawiła się straszna wiadomość o śmierci Sikorskiego w samolocie. Nie otrzymaliśmy już towarów z tego ostatniego transportu. Podobno Rosjanie aresztowali statek i zabrali wszystko, co na nim było. Skończyła się kolejna zima. Znów praca w polu w kołchozie. Zarobiłam trochę ziarna i słomy. Słomę przekazałam pewnej gospodyni, która miała krowę i dawała mi pół litra mleka dla dziecka. W maju odprawialiśmy Majowe Nabożeństwa, prosząc Matuchnę, aby wyzwoliła nas z tego piekła. Któregoś dnia dostaję wezwanie, że mam się stawić o 9 wieczorem w NKWD w Karpogorach. Takie wezwanie dostała jeszcze jedna kobieta, uczestnicząca w Majowym Nabożeństwie. Poszłyśmy razem. Ją wezwali jako pierwszą. Siedziałam w poczekalni chyba z półtorej godziny. W końcu wołają i mnie. Zdziwiłam się, bo tamta nie wychodziła, nie było jej również wewnątrz. Enkawudzista pozwolił mi usiąść i grzecznie mówi, że mam na jego pytania odpowiadać prawdę. Chodziło o nauczyciela, który miał mówić o oficerach rozstrzelanych w Katyniu. Grzecznie mnie pyta jak to było, gdy szliśmy razem. Co opowiadał? Odpowiadam, że nic nie wiem i nigdy nie słyszałam takiej rozmowy.

- W tym dniu byłam w pracy, możecie sprawdzić, nic nie wiem.

Wtedy on z krzykiem na mnie, że wiem.

- Nic nie wiem, w tym dniu pracowałam. Zabraliście i wywieźliście mojego męża. Co z nim zrobiliście? Mam dwoje małych dzieci, starą i chorą matkę na utrzymaniu, muszę na nich zapracować. Co wy mnie zmuszacie do kłamstwa? Zapowiedzieliście przecież, że mam mówić prawdę, a jak mówię prawdę, że nic nie wiem, nie słyszałam, to mnie zmuszacie żebym kłamała.

Zaczęłam płakać a on mówi:

- Wot kajaka twiorda Polaczka, kak posiedzisz do utra, to wypajosz wsio, a ja ujdu!

Wstał i wychodzi. Zaraz pospieszyłam za nim i mówię:

- Jeśli mnie zamkniecie, będę krzyczeć i trzaskać w drzwi.

Stanął, spojrzał na mnie i ze złością wrócił pisać protokół. Napisał i przeczytał mi. Wynikało z niego, że nic nie wiem. Podsunął mi do podpisania oświadczenie, że pary z ust nie puszczę o kim i o czym była mowa. Jeśli nie dotrzymam tajemnicy, to się mogę pożegnać

z dziećmi i matką. Kiedy wyszłam, było już po północy. Biegłam do domu lasem. Przychodzę i widzę w oknie spłakaną matkę.

- I co się stało, za co ciebie tak trzymali?

Opowiedziałam mamie i zaznaczyłam, że nikomu ani słówka. Zaraz za mną przyszła ta kobieta i opowiada to samo. Też nic nie powiedziała, więc ją zamknął w sąsiednim pokoju. Gdy wypuścił mnie, uwolnił również tamtą kobietę. Rano przyszła żona nauczyciela.

- Co tam było?

- Nic - odpowiadam.

- Przesłuchiwali panią w sprawie mojego męża, proszę powiedzieć.

-Nic pani nie powiem, jak zamkną pani męża zostanie pani sama z dzieckiem, ja mam dwójkę dzieci i chorą matkę. Proszę iść do domu i mnie nie pytać o to, co było wczoraj.

Tak skończyła się cała sprawa. Pisałam później do władz, chcąc się dowiedzieć co się stało z mężem. Niczego się nie dowiedziałam. Wprost zaginął bez śladu. Do dziś nic nie wiem na ten temat.

W maju 1943 r rozpoczęło się formowanie dywizji kościuszkowskiej. Zabierali do wojska nawet 17- letnich chłopaków. Po wyzwoleniu okupowanych ziem i za to, że Polacy dzielnie walczyli, wszystkie polskie rodziny z syberyjskich lasów zostały przesiedlone na Ukrainę. Był to rok 1944. Znaleźliśmy się w Połtawskiej obłasti, Siemianowskim rejonie. Rozmieścili nas w różnych wsiach. Trafiłam do pechowej gospodyni, która nas do izby nie wpuściła, bo ją zawszawimy. Musieliśmy spać na dworze i strawę też gotować na dworze, niczym Cyganie. Musiałam nachodzić sołtysa i prosić o zmianę kwatery. Z dziećmi i chorą matką spać na dworze było zimno, gdyż nie było dobrego przykrycia. W końcu udało się dostać kącik mały, ciasny, ale przytulny. Gosposia była bardzo dobra i miła. Polubiła nas bardzo, a najbardziej mamę, bo się tak dobrze rozmówiły. Zaczęłam pracować w sowchozie, 2 km od miejsca zamieszkania. Pracowałam w ogrodzie. Było już tutaj lepiej, można było skorzystać z ogrodu, to cebulkę, ogóreczek, pomidora czy buraczek przynieść domownikom. Obiady jadłam w sowchozowej stołówce. Był barszcz ukraiński i kasza jęczmienna. Dla mamy i dzieci dostawałam suchy prowiant do domu. Ukraina była dla nas niebem i szczęściem za trudy nasze, które musieliśmy przeżywać pod Archangielskiem. Latem było dobrze, nie było kłopotu z obuwiem, bo chodziliśmy boso. Zbliżała się jesień, zaczęło się robić zimno. Pojawiły się przymrozki, a tu na nogi nie ma co włożyć. Mama uprosiła u miejscowych kobiet trochę lnu, uprzędła i zrobiła takie laczki, które obszyłam szmatami, i tak się jakoś chodziło w tych szmaciankach. Uzbierałam trochę pieniędzy i kupiłam na targu męskie trzewiki do pracy. Innym kłopotem był brak opału. Nie było w ogóle drewna, gdyż nie było w pobliżu lasów. Zrywałam różne zielsko, by je suszyć na opał. Szło się również w nocy na kradzież słomy do stogów sowchozowych. Towarzyszył nam strach, aby nas nie złapano. Tak gotowaliśmy strawę i ogrzewaliśmy izbę. Dostałam premię za pracę przy burakach w postaci 10 kg cukru. Zaniosłam to na rynek i sprzedałam. W zamian kupiłam trochę masła, sera, śmietany, trochę słoniny dla dzieci i mamy, aby nabrali sił, gdyż byli bardzo wyczerpani. W nocy szło się na szaber słonecznika. Mama ze starszym synkiem łuskali i też sprzedawałam. Kupiłam kilka worków i lekarstwa dla mamy. Z worków uszyłam dzieciom koszulki i majtki, bo były prawie nagie. W lecie żniwa i młocka. Skombinowało się trochę ziarna. Proso suszyła mama, a ja wałkiem w korytku obijałam, na wietrze wydmuchiwałam plewy i też niosłam na rynek. Dobrze, że dwa razy w tygodniu odbywały się targi. Można było coś sprzedać i coś kupić. Jakoś

szło. Tylko mama czuła się coraz słabsza, chorowała na serce. Kiedyś, gdy była już bardzo słaba, przez dwa dni nie poszłam do pracy. Leży zasmucona i tak do mnie mówi:

- Myślę, jak ty mnie pochowasz? Nie ma tu desek, trumny nie będziesz mi mogła zrobić. Będziesz musiała pochować bez trumny. Ale proszę ciebie, jeśli wykopią grób, to niech tak w bok podkopią i mnie tam wsuną, aby mnie na oczy piasku nie sypali.

Obie popłakałyśmy się. Mama poczuła się lepiej i powiada:

- Idź do pracy. Musisz zarobić dla dzieci kawałek chleba.

Nazajutrz, a było to 15 sierpnia 1945 roku, poszłam do pracy. W południe na pole przybiegł goniec z wiadomością, że mam wracać do domu, bo zmarła mama. Zaczęłam płakać i krzyczeć:

- Boże, Boże, dlaczego muszę tak przeżywać? O, o ja nieszczęśliwa, co ja teraz zrobię?

I biegiem, co tchu, dwa kilometry do domu. Z płaczem przybiegłam do domu. Dzieci siedzą, płaczą i wołają:

- Mamo, babcia nam zmarła!

Gospodyni mówi:

- U sąsiada udławiła się krowa i ją zarżnęli. Kazali babuszce przyjść po mięso.

Mama, uradowana, że ugotuje wszystkim obiad, poszła. Doszła do progu i przewróciła się. Posłali po lekarza. Gdy ten przyszedł, stwierdził zgon. Pobiegłam do tego gospodarstwa. Mama leżała na ziemi, przykryta prześcieradłem. Upadłam przy niej i krzyczałam:

- Mamo, po co poszłaś po mięso? Co ja teraz bez Ciebie zrobię? Byłaś dla mnie pomocą i podporą mego życia, a teraz zostałam z małymi dziećmi sama i muszę Cię tutaj zostawić! Przyjechała wołami córka naszej gospodyni, ludzie włożyli mamę na wóz i przywieźli do domu. Nie mam w czym pochować. Gosposia dała ukraińską wyszywaną koszulę i chusteczkę na głowę. Na drugi dzień poszłam do dyrektora sowchozu, w którym pracowałam. Zaczęłam płakać i prosić, żeby zrobili trumnę, chociaż ze starych desek. Dyrektor był dobrym człowiekiem. Znalazły się deski. Nasi mężczyźni zrobili trumnę i pod wieczór przywieźli wołami. Płakałam i się cieszyłam, że mamę pochowam w trumnie i nie będziemy piasku sypać na twarz i w oczy. Na trzeci dzień odbył się pogrzeb. Po stracie mamy nie poszłam już do pracy, bo nie mogłam zostawić samych dzieci. Gosposia była dobrą staruszką, więc pomagałam w pracach domowych. Krowę wydoiłam, na pole chodziłam wybierać ziemniaki, zboże młóciłam cepem. Dostawaliśmy z dziećmi obiad i mleko. Poszłam do dyrektora i prosiłam o jałmużnę dla dzieci. Prawdą jest, że nie odebrał mi suchego prowiantu. Dostawałam nadal. Dostałam też 50 kilogramów zarobionej wcześniej pszenicy.

Nastąpiła zima, a z jej początkiem, jakże radosna wiadomość, że po Nowym Roku pojedziemy do naszej Kochanej Ojczyzny. Z jednej strony cieszyliśmy się z naszego powrotu do Polski, nie straszna była nam już zima. Z drugiej strony była i rozpacz, że zostawiam tutaj dziecko, męża i matkę.

Wyjechaliśmy 6 kwietnia 1946 r. ale serce pękało z bólu, że pół mojej rodziny zostało na obcej ziemi. Jadąc myślałam, że wrócę do swojego starego gniazda. Okazało się jednak, że nasze tereny zajęte zostały przez ZSRR i nie mamy już prawa tam wracać. Pociąg wiózł nas na zachód. Serca stukały razem ze stukotem kół, że już w Ojczyźnie, że w Polsce. Dojechaliśmy do Wrocławia. Tutaj zatrzymano nasz transport na tydzień. Dostaliśmy po 1000 zł. zapomogi i trochę przyodziewku. Do miasta wychodziliśmy po jedzenie. We Wrocławiu kupiłam sobie trzewiki, bo byłam prawie bosa, i dzieciom sweterki. Niemki sprzedawały używane

ubrania. Po tygodniu zawieźli nas do Prochowa (obecnie Brochów- w płd-wsch. cz. Wrocławia), gdzie zakwaterowali nas w małych domkach. Tam zachorowali na odrę obaj chłopcy. Po dwóch tygodniach pobytu w Prochowie trafiliśmy do Sobótki, a następnie do Będkowic. Rodziny, w których byli mężczyźni, osiedlały się zaraz na poniemieckich gospodarstwach. Mnie, samotną kobietę z małymi dziećmi, dokwaterowali do rodziny niemieckiego robotnika, mieszkającego w niezbyt starej, skromnej chatce. Wkrótce zachorowałam na zapalenie stawu kolanowego i musiałam trafić do szpitala. Dzieci zostały u znajomych, którzy razem z nami wrócili z Ukrainy. Po dwóch tygodniach wróciłam do domu. Nie można było dostać pracy. Pracowałam u gospodarzy, aby zarobić na kawałek chleba i litr mleka. To nie był zarobek. Z tego nie wyżyję w zimie, gdy nie będzie pracy. Zdecydowałam się, aby na swój koszt wyjechać w poznańskie, gdzie mieszkała rodzina męża. W Starczanowie koło Nekli mieszkał teść, ale i tam nie było dla mnie miejsca, bo cała rodzina wróciła z Rosji i był przepełniony dom. Krępowałam się jako synowa, więc zaczęłam szukać mieszkania i pracy. W Nekli wynajęłam domek i podjęłam pracę w przedszkolu w charakterze kucharki i sprzątaczki. Pracowałam tam 4 lata. Synowie chodzili do szkoły. Były coraz większe wydatki, a pensja bardzo malutka. Po znajomości dostałam się do pracy w Swarzędzkich Fabrykach Mebli w Kostrzynie. Przez rok dojeżdżałam z Nekli. Gdy znalazłam tam mieszkanie, przeprowadziliśmy się z dziećmi do Kostrzyna. W fabryce mebli pracowałam do emerytury.

Jestem już od 15 lat na emeryturze. Synowie pożenili się i wyprowadzili z domu. Nadal mieszkam w Kostrzynie. Spisane wspomnienia są mikroskopijną częścią historii niedoli tych, którzy cierpieli głód, wygnanie, katorgę. Którzy swoją krwią znaczyli czerwone plamy na białym śniegu Syberii, ginąc od kul NKWD za to, że domagali się ludzkiego traktowania, lub w ucieczce ginęli z głodu, wycieńczenia, mrozu. Nasze przeżycia na wschodzie to Kalwaria, Golgota, Droga Krzyżowa. Często wybawieniem była śmierć. Wielu z nas przeżyło piekło życia ziemskiego. Wielu nie doczekało się prawdy po pięćdziesięciu latach kłamstwa, oszustwa. Czyny naszych sąsiadów, braci ze wschodu, jawią się w naszych wspomnieniach jak grzyby po deszczu. Echa stalinizmu jeszcze długo pozostaną w naszych zbolałych sercach, duszach milionów Polek i Polaków. Niech w sercach naszego Narodu nie zabraknie miejsca ani czasu na chwilę refleksji i modlitwy za bezimiennych Męczenników, a często bohaterów Narodu Polskiego.Pobyt na zesłaniu wschodnim był szkołą hartu ducha. Tylko wiarą w siebie i Bożą pomoc można było liczyć na przetrwanie. Na Wschodzie pozostało wiele bezimiennych mogił, na których nikt nie zapali świeczki ani nie położy kwiatka.

Na tych słowach zakończę, bo nie mogę dalej pisać. Łzy zalewają moje oczy i cała drżę ze wzruszenia. Dzięki, Boże, że pozwoliłeś mi wrócić z dziećmi do Ojczyzny! Reszta naszej rodziny pozostała tam na zawsze.

Opracowanie redakcyjne: Jerzy Osypiuk

***Bronisława Szalaty, z domu Harbunowicz**, ur.19.01.1914 w Starożyrowicach, pow. słonimski, zm. 14.03.2004 w Swarzędzu. Od 1935 w związku małżeńskim z Janem Szalatym. Deportowana z rodziną 10 lutego 1940 w okolice Archangielska, następnie na Ukrainę. Po powrocie do kraju w 1946 r. pracowała w przedszkolu w Nekli, później w Zakładzie nr 3 Swarzędzkich Fabryk Mebli w Kostrzynie. Po przejściu na emeryturę czynnie uczestniczyła w pracach stowarzyszenia Związek Sybiraków. Matka czworga dzieci: Henryka (1936-1939),*

Czesława (1938), Genowefy (1939-1940), Bolesława (1942). Syn Czesław od 1994 jest prezesem Związku Sybiraków, koło Kostrzyn.

W gronie przyjaciół w 1934 r. Bronisława Harbunowicz w środkowym rzędzie z prawej, nad nią siostra

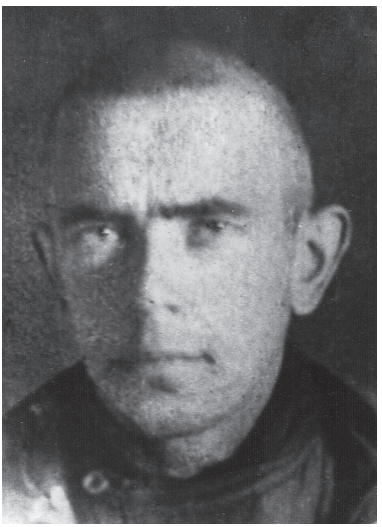

Jan Szalaty, mąż Bronisławy

Czesław Szalaty, syn autorki

Bronisława z Harbunowiczów Szalaty z synami Czesławem i Bolesławem. Kostrzyn, 1958 r.

Pracownicy Przedszkola w Nekli. Z lewej Bronisława Szalaty. 1951

Bronisława Szalaty z rodziną w parku nekielskim

Maria Jankowiak

Na dalekich stepach Kazachstanu

Dzieciństwo i lata młodości

Maria Jankowiak

Z trudem zdecydowałam się na opisanie wspomnień z mojego życia. Skłoniła mnie do tego zachęta wielu znajomych i koleżanek, znających moje wojenne losy. Mówię o sobie, że wychowałam się w internacjonale i może dlatego życie moje obfitowało w ciekawe, a zarazem trudne i ciężkie przeżycia. Urodziłam się w Niemczech (Dortmund), jako pierwsze dziecko Konstancji i Ignacego Jankowiaków. Rodzice moi od 1910 r. mieszkali w Dortmundzie, gdzie ojciec mój pracował w jednej z licznych fabryk. Wczesne dzieciństwo, od 4 do 10 roku życia, spędziłam wraz z moją o 2 lata młodszą siostrą, Jadzią, u dziadków Huryszów (rodziców mamy), w Targowej Górce, niedaleko historycznej Wrześni. Tu zaczęłam uczęszczać do szkoły. Moim pierwszym nauczycielem był wujek Józef, brat mamy, ciężko ranny w czasie pierwszej wojny światowej na froncie niemiecko-francuskim. Po rocznym pobycie w szpitalu wojskowym, jako inwalida (był raniony w głowę), został zwolniony z wojska i wrócił do rodzinnej wsi, do swoich rodziców, a moich dziadków. Nie mógł pracować, gdyż w jego głowie tkwiły jeszcze odłamki pocisku, który go ranił, a że był człowiekiem młodym, więc chciał coś robić, i my z siostrą stałyśmy się jego uczennicami. Zaczął nas uczyć czytania i pisania, i to z doskonałym rezultatem, bo kiedy zaczęłam uczęszczać do pierwszej klasy, umiałam już dobrze czytać i pisać. Teraz mój pierwszy nauczyciel w szkole, p. Dymalski, często stawiał mnie przed klasą i kazał czytać. Wtedy chyba zaczęła we mnie kiełkować myśl, by w przyszłości zostać nauczycielką.

Dom dziadków mile wspominam, a szczególnie zapamiętałam pieśni patriotyczne i śpiewnik z białym orłem na okładce. Śpiewało się wieczorem przy darciu pierza, w niedziele i święta. Wielu patriotycznych pieśni, które pamiętałam do dziś, nauczyłam się we wczesnym dzieciństwie. Boże coś Polskę, Jeszcze Polska nie zginęła, Rota, Tysiąc walecznych, Oto dziś dzień krwi i chwały, Z dymem pożarów, Kibitka i inne, to pieśni mego dzieciństwa. Do tego dodać muszę jeszcze kolędy i pieśni religijne związane z rokiem kościelnym.

Ojciec mój od 1914 r. przebywał na froncie niemiecko-francuskim. Był w niewoli francuskiej, potem w armii gen. J. Hallera. Po zakończeniu wojny pełnił służbę na granicy polsko-rosyjskiej w Podwołoczyskach nad Zbruczem. W tym przygranicznym miasteczku cała moja rodzina zamieszkała w listopadzie 1922 r. Tu z siostrą ukończyłyśmy szkołę powszechną. Potem zdałam egzamin wstępny i zostałam przyjęta do Prywatnego Seminarium

Nauczycielskiego Żeńskiego Komitetu Obywatelskiego w Tarnopolu. Do seminarium dojeżdżałam z Podwołoczysk przez 5 lat. Przed samą maturą, w kwietniu 1932 r., ojciec mój został przeniesiony do Tarnopola i tu mieszkaliśmy do kwietnia 1940 r. Maturę zdałam w czerwcu 1932 r. i zaraz we wrześniu zaczęłam pracować w Prywatnej Szkole Ćwiczeń przy seminarium, w którym zdobyłam dyplom nauczycielski. Później moja siostra również ukończyła seminarium nauczycielskie. Po roku pracy w Szkole Ćwiczeń zostałam bezrobotną nauczycielką, bo szkoła została zlikwidowana. Choć byłam bezrobotną nauczycielką, to nigdy nie byłam bez pracy. Zawsze coś robiłam, dawałam lekcje, przeprowadziłam kurs dla analfabetów, pracowałam w świetlicy dla bezdomnych chłopców, itp. Od czwartej klasy szkoły powszechnej byłam najpierw skautką, a potem aż do zsyłki na Sybir, harcerką. W harcerstwie zahartowałam się (zawsze byłam słabego zdrowia) i nauczyłam się wielu pożytecznych rzeczy, które w pewnej mierze pomogły mi w czasach wojennej tułaczki.

W roku szkolnym 1938/39 otrzymałam posadę nauczycielską we wsi Werbiąż Niżny, powiat Kołomyja, woj. Stanisławów. Po raz pierwszy na dłuższy czas rozstałam się ze swoimi drogimi rodzicami i ukochaną, jedyną siostrą Jadzią. Z radością przyjechałam do domu na wakacje, pełna jak najlepszych wrażeń z pracy i uroków pięknej przyrody podbeskidzkiej wsi. Były to moje ostatnie wakacje, spędzone z - zawsze z serdecznością wspominanymi -rodzicami i najmilszą moją siostrą i przyjaciółką, Jadzią. Jeszcze w domu było wesoło, bo był u nas na wakacjach chrześniak ojca, 15-letni Janek Nagler, uczeń Gimnazjum w Brzeżanach, też harcerz. Sąsiedzi również byli zadowoleni, bo Janek zabierał wszystkich malców, wyprowadzał ich na pobliskie wertepy i zakładał im „obóz harcerski". Ale już w czasie tych wakacji zakradał się niepokój o przyszły los naszej Ojczyzny, wojna bowiem była nieunikniona, wyczuwało się to. W ostatnim dniu sierpnia Janek wyjechał do Brzeżan i już potem słuch o Janku i jego rodzinie zaginął na zawsze.

Wojna

I oto, jak grom z jasnego nieba, 1 września 1939 r. dociera do nas wiadomość o wybuchu wojny. Zaczęły się dni niepokoju i grozy. Już w kilka dni po wybuchu wojny, niemieckie samoloty chciały zaatakować dworzec kolejowy w Tarnopolu, ale atak się nie udał, bomby padły na sąsiednie ulice, zabijając uciekającą do schronu kobietę. W chwili bombardowania byłam w schronie w ogrodzie, w którym schronili się liczni mieszkańcy domu, w którym mieszkałam. W większości były to kobiety, młodzież i dzieci. Ogarnął nas niesamowity strach, zachwiały się ściany schronu, rozległ się spazmatyczny płacz dzieci. Po odwołaniu alarmu wyszliśmy ze schronu i tak zaczęły się kolejne alarmy i ich odwoływanie. Od pierwszych dni wojny harcerki pełniły dyżury w różnych punktach miasta. 31 sierpnia 1939 r. byłam na Odprawie Chorągwi Harcerskiej we Lwowie, skąd przywiozłam instrukcje dla naszego Hufca. Zapamiętałam zaciemniony Lwów, przepełniony uciekinierami ze Śląska i odjeżdżającymi na front żołnierzami, dworzec kolejowy. Z frontu wojny docierały do Tarnopola niepokojące wiadomości, choć jeszcze ciągle wierzyliśmy w nasze zwycięstwo. Ale kiedy 17 września w popołudniowych godzinach, pamiętnej, pogodnej, słonecznej niedzieli zaczęły wjeżdżać do miasta uzbrojone po zęby oddziały armii sowieckiej, nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Tu i ówdzie dały się słyszeć głosy, że idą nam z pomocą, bo wkraczali do miasta bez jednego strzału.

Okupacja

Z nastaniem nocy stało się wszystko wiadome. Rozległy się strzały, opanowali wszystkie szkoły, zamienione na szpitale wojskowe, pełne rannych polskich żołnierzy i oficerów. Rano zobaczyliśmy na ulicach trupy naszych oficerów, próbowali się bronić, było wiadome, iż to wróg opanował miasto i tak zaczęła się nasza niewola. Teraz nie było spokojnej chwili. O każdej porze dnia czy nocy rozlegało się łomotanie w drzwi i groźne głosy „otkroj", tzn. otwórz. Uzbrojeni sowieccy żołnierze wpadali do mieszkania z pytaniem: „orużjo u was jest'?, tzn. „macie broń"? i rozpoczynali rewizję, w czasie której kradli, co im w ręce wpadło. W międzyczasie zaczęli nas spędzać na tak zwane „mitingi", w czasie których przygotowywali nas do obowiązkowego głosowania za przyłączeniem Ukrainy do ZSRR. Teraz Ukraińcy otwierali szeroko oczy i mocno byli zawiedzeni, bo oni liczyli na „samostijnuju Ukrainu" (samodzielną Ukrainę), a tu nic z tego. Dodatkowo nękali młodych i tak przy każdej rewizji pytali: „poczemu nie rabotajetie" (dlaczego nie pracujecie). Zaczęłyśmy się z siostrą starać o jakąś pracę. Dzięki pomocy znajomych, którzy już pracowali, siostra zaczęła pracować jako korektorka w drukarni, a ja w charakterze maszynistki w instytucji pod nazwą „Rybtriest". Okres od września 1939 r. do 13 kwietnia 1940 r. to czas lęku i niepewności, bo każdego dnia dowiadywaliśmy się o aresztowaniach znajomych i sąsiadów. U większości rodzin polskich zakwaterowani byli sowieccy urzędnicy. U nas też zamieszkał sowiecki obywatel, małomówny, ale kulturalny. Na kilka dni przed 13 kwietnia 1940 r. nie przychodził w ogóle do naszego mieszkania, ani w nim nie nocował. Zastanawiałyśmy się, dlaczego nie przychodzi, nic nie mówił, że więcej nie przyjdzie. W nocy z 12 na 13 kwietnia zrozumiałyśmy jego tajemnicze zniknięcie. Nie chciał być świadkiem naszej deportacji. Bo tej właśnie nocy załomotali w drzwi sowieccy żołdacy i po wkroczeniu do mieszkania nakazali nam prędko ubierać się i wychodzić z domu. Ciężko mi wspominać ten gorączkowy pośpiech w pakowaniu niezbędnych rzeczy i konieczność opuszczenia w przeciągu kilku minut rodzinnego domu, w którym szczęśliwie żyłam ze swoimi drogimi rodzicami i ukochaną siostrą. Od 17 września 1939 r. cień smutku zawisł nad naszym domem, bo nie było już w nim ukochanego ojca, tryskającego radością życia i życzliwością do ludzi, był już w obozie w Ostaszkowie.

Na Sybir

Przed domem stał samochód ciężarowy, którym odwieziono nas pod strażą na dworzec kolejowy. Razem z nami jechała też nasza sąsiadka z I piętra, p. Sabina (S)Łyska z 2 dzieci w wieku przedszkolnym, Niną i Józkiem. Na dworcu stało wiele ciężarówek, z których ładowano nas do wagonów towarowych. Po załadowaniu, wagony zamykano i przed godz. 6:00 czy 7:00 rano, dokładnie nie pamiętam, pociąg ruszył w nieznane. Przez zakratowane okienka, z żalem i bólem spoglądaliśmy na ukochane miasto i żegnaliśmy idących na ranną mszę św., bo to była niedziela. W tym samym wagonie znalazła się Marysia Czaykowska z rodzicami i siostrą Krystyną. Pani, której nazwiska nie pamiętam, ale którą znałam, mieszkająca na Zagrobli z córką i niemowlęciem. Było wielu innych znajomych, których nazwiska wymienię w dalszej części wspomnień. Jechaliśmy zamknięci przez kilka dni. Dopiero za Uralem otwarto wagony i pozwolono nam wyjść na świeże powietrze. Od razu otoczyli nas

ludzie, którzy przypadkowo znaleźli się na stacji, gdzie zatrzymał się nasz pociąg. Zaczęli nas dotykać, a my, zdziwieni, pytaliśmy, dlaczego to robią, a oni odpowiadali: „kak oni nas obmanuli", tzn. jak oszukały nas nasze władze, wmawiając nam, że chodzicie w ubraniach z papieru, a jesteście tak porządnie ubrani i dodawali: „eto wy nawiewno burżui". A my ze śmiechem odpowiadaliśmy: jacy z nas burżuje, wszyscy jesteśmy ludźmi pracy. Po paru minutach musieliśmy wrócić do wagonów i teraz już z dłuższymi lub krótszymi postojami na azjatyckich stacjach jechaliśmy do stacji docelowej, jaką był „obłast'noj gorod" (wojewódzkie miasto) Pawłodar. Podróż nasza trwała 2 tygodnie. Teraz znowu przesiadaliśmy się z wagonów towarowych na samochody ciężarowe. Kawalkada samochodów zajechała na wysoki brzeg potężnej rzeki Irtysz. Znana mi była z geografii ta nazwa syberyjskiej rzeki, nie wyobrażałam sobie jednak jej ogromu i dziwnych brzegów. Brzeg, na którym zatrzymały się samochody, był wysoki i stromy, drugi, ledwie widoczny, był zupełnie płaski i niski. Mętne, zielono-szaro-żołte, spienione wody rzeki wprawiły nas w osłupienie. Na rzece stał olbrzymi prom i teraz załadowane samochody ciężarowe zaczęły zjeżdżać na jego pokład, na którym już byli miejscowi ludzie, woły, konie, owce, wozy i cały ten ładunek został przetransportowany na drugi, niski brzeg Irtysza. Samochody zjeżdżają z promu i teraz mkną bezludnym stepem, ponad 20 km do najbliższego sowchozu o nazwie „Dżoł-Kuduk". Po drodze mijamy I fermę sowchozu, która miała się stać miejscem naszego zamieszkania i pracy. Po dotarciu do centrali sowchozu rozdzielono nas na poszczególne fermy. Wraz z mamą i siostrą znalazłam się na I fermie. Przywieziono nas na majdan, gdzie była studnia z żurawiem i koryta do pojenia bydła. Jeden z eskortujących nas enkawudzistów poszedł na fermę, drugi z karabinem został na straży. Ogarnęła nas rozpacz i wszyscy zaczęli płakać, strażnik również ocierał łzy, a że był sam, więc podszedł do nas i powiedział: wojna nie skończona, nie płaczcie, wrócicie do domu. Wkrótce zjawił się zarządzający fermą (Kazach, analfabeta) i przywitał nas słowami: „Polszy niet i nie budiet', sibirskaja ziemlja was prikrijet' " (Polski nie ma i nie będzie, syberyjska ziemia was przykryje). Słowa te podziałały na nas, jak iskra zapalna. Po raz pierwszy w życiu przeżyłam bunt wewnętrzny i wraz z innymi, młodymi dziewczętami i chłopcami, zaczęłam kląć. Ja, która nigdy przedtem nie wymówiłam przekleństwa, bo nie słyszałam go ani u dziadków, ani w domu rodziców, teraz cały swój bunt, swoje veto, chciałam wyrazić w przekleństwie. Mama, przerażona, podeszła do mnie i powiedziała: „dziecko, bój się Boga, co ty mówisz". Te słowa przywołały mnie do opamiętania, zamilkłam, ale w głębi duszy czułam wrzenie i opór przeciw tyranii. Wyobrażam sobie, jak musieliśmy groźnie wyglądać, my, młodzi Polacy, których oczy ciskały pioruny na zadaną nam przemoc. Obserwujący nas enkawudziści nie mówili nic, a zarządzający fermą zorientował się, że niewłaściwie postąpił, witając nas wyżej przytoczonymi słowami, wycofał się dyskretnie i wrócił na fermę. My tymczasem, podnieceni, zbuntowani, zaczęliśmy czerpać wodę ze studni, nalewać do koryta i myć się po długiej i uciążliwej podróży. Po dłuższej chwili wrócił nasz Kazach, ale tym razem przyszedł z kobietami, które przyniosły samowar z gorącą wodą i mleko dla dzieci. Już łagodnie i spokojnie powiedział, żebyśmy tu jeszcze zaczekali, bo musi nam przygotować izbę, w której moglibyśmy przenocować. Zbliżał się wieczór, na szczęście dosyć ciepły i na gwałt wyprowadzono jakąś rodzinę, aby nas umieścić pod dachem. O zachodzie słońca przyszedł „uprawlajuszczij" (zarządzający fermą) i oznajmił, że możemy wnieść swoje rzeczy do opróżnionej izby. Pierwsze pobiegły dziewczęta i jak weszły do wskazanej izby, tak jeszcze szybciej z niej wyskoczyły, bo momentalnie odczuły ukłucia niezliczonej ilości pcheł. A

izba wyglądała tak: ściany zbudowane z darni, wylepione gliną, dawno nie bielone, z sufitu sypała się ziemia, bo był przykryty żerdziami, sianem i ziemią, podłoga była klepiskiem, jak w stodole, jedno, małe okno niewiele wypuszczało światła. Chwila namysłu, jak pozbyć się pcheł. Pomysł zrodził się szybko. Chłopcy nosili wodę i zlewali podłogę, dziewczęta łamały rosnące na stepie piołuny, robiły miotły i wymiatały brudy z całej izby. Mokrymi miotłami omiotły ściany i do tak odświeżonej izby wprowadzili się utrudzeni, znękani tułacze. Nikt nie spał przez całą noc. Każdy tylko drzemał, siedząc na swoich tobołkach. Na drugi dzień zajechał samochód ciężarowy i zawiózł wszystkich młodych do centrali sowchozu na „Pierwomajskij prazdnik" (obchody 1 Maja). Kierownictwo fermy miało nie lada dylemat do rozwiązania. Gdzie umieścić kilkadziesiąt osób, które tu mają pracować, w tej jednej małej izbie nie mogą przecież mieszkać przez dłuższy czas, a mieszkań wolnych nie było. Wreszcie znaleźli. W odległości ponad 1 km od fermy, nad odnogą Irtysza stał pusty, 4-izbowy dom bez okien i bez drzwi. Tam zamieszkaliśmy, a dom nazwaliśmy: willa „Nędza". W największej izbie mieszkali: T. A. Czaykowscy z 2 córkami, Tabiszowa z 2 dziewczynkami i 1 chłopcem, Żydówka Margules, Szulcowa z 2 synami i ładnie śpiewającą córeczką Renią oraz my, Konstancja, Maria i Jadwiga Jankowiak – razem 16 osób. W mniejszej izbie mieszkała rodzina Greczyńskich, matka, ojciec, córki: Genowefa i zamężna Kazimiera Schinzel oraz syn Marian. W następnej małej izbie: rodzina Abramczuków (właściciel restauracji przy ul. Piłsudskiego w Tarnopolu) matka, ojciec i 2 synowie - Ludwik i Jerzy, Bronisława Pinkosz z córką Zdzisławą. W ostatniej izbie mieszkała babcia Bancerowa, Helena Nestorowicz, Chojecka i rodzina Skoreńków: matka, córka i 2 synów. Na tej samej fermie mieszkała jeszcze babcia Furdynowa z wnuczką Basią i wnukiem Julkiem oraz Haśkowa z 2 małymi córeczkami. Na IV fermie mieszkali Gużkowscy: matka, ojciec (z wyższym wykształceniem rolniczym), córka Wanda, synowie: Kazimierz, Władysław i Józef. Toniczyńska (żona kapitana) z 3 dzieci i bratem Tadeuszem Czupryńskim. Leonardowa (żona porucznika) z synkiem. Janina Mazurowa z córkami: Ludmiłą i Aurelią oraz synkiem Kaziem. Rodzina Lisieckich: matka, ojciec i 3 córki, Kudłowa z córką Czesławą. 2 Żydówki (siostry), z których jedna miała dorosłego syna, Munia. Olga Beniowska (żona Jana, podoficera 54 pułku piechoty w Tarnopolu) mieszkała i pracowała na VII aule. Obecnie mieszkają w Nowym Jorku. Na IV fermie mieszkali też Baliccy z córką Marysią, która na krótko przed wyjazdem do Polski zachorowała na tyfus i zmarła w Pawłodarze. W centrali sowchozu mieszkała Sabina (S)Łyskowa z córeczką Niną i synkiem Józiem. Poza centralną (prawdopodobnie na 3 fermie) mieszkała Helena Kulandowa (z domu Witwicka) z synkiem i teściową, która tam zmarła. Rezlerowa z córkami: Heleną, Rufiną i Nemezją oraz synem Edmundem. Tam też mieszkali Czyrscy z synem Władysławem, rodzice tam zmarli, a syn poszedł do armii Andersa. P. Czyrski był ojcem sędziego, dr Ignacego Czyrskiego.

W takim kręgu znaleźli się znajomi, których nazwiska zapamiętałam. Rozpoczęły się dla nas lata ciężkiej pracy, upokorzenia i poniewierki.

Kiedy po przeszło 40 latach wracam myślą do 6 lat spędzonych na dalekich stepach Kazachstanu, zastanawiam się nad tym, jak to się stało, że mimo tak trudnych warunków życia, o jakich przeciętny Europejczyk nie ma nawet pojęcia, większość z nas przeżyła i wróciła do kraju. Dziś mogę otwarcie powiedzieć, że siły do przetrwania czerpaliśmy z głębokiej wiary w opiekę Bożą i z gorącego umiłowania Ojczyzny. Przez długich 6 lat pobytu na zesłaniu kilkakrotnie zmienialiśmy miejsce zamieszkania. Każde pomyślne, czy niepomyślne dla nas

wydarzenia w polityce, odczuwaliśmy na własnej skórze. Do wiosny 1942 r. miejscem naszego zamieszkania był sowchoz Dżoł-Kuduk z tym, że pędziliśmy życie koczownicze. W lecie na sianokosach, na wypasach, strzyżeniu owiec czy remoncie budynków inwentarskich. Na fermie zostawały tylko nasze mamy i nieliczni ojcowie, a młodzież całe tygodnie i miesiące pracowała w stepie i mieszkała w szałasach, zbudowanych z siana. Po zawarciu porozumienia między gen. W. Sikorskim a Stalinem mogliśmy zmieniać miejsce zamieszkania i szukać odpowiedniej pracy. Mieszkańcy naszej I fermy przenieśli się do Pawłodaru. W tym mieście powstał Komitet Polski, w którym pracowała p. dr Maria Schmidt-Borońska (prof. mojej siostry) i dzięki jej poparciu siostra i ja dostałyśmy posadę nauczycielską w szkole polskiej, której dyrektorem był p. Jan Wisiecki z Tarnopola. Krótki, bo zaledwie 3-miesięczny okres pracy w szkole, wspominam z rozrzewnieniem. Uczniowie nie nastręczali żadnych trudności wychowawczych, byli zdyscyplinowani, uczyli się chętnie i pilnie. Choć była to szkoła podstawowa, to przychodzili nawet licealiści, aby usłyszeć polskie słowo. Lekcje odbywały się w prywatnych izbach, odstępowanych na czas lekcji. Bardzo krótko, w czasie letnich wakacji, dyrektorka miejscowej dziesięciolatki odstąpiła budynek szkolny polskiej młodzieży, a sama ze swoimi uczniami wyjechała na żniwa do kołchozu.

Po tragicznej śmierci gen. Sikorskiego szkoła polska została zlikwidowana i większość nauczycieli, jak również innych Polaków pracujących i mieszkających w Pawłodarze, została wywieziona do dalekich sowchozów. I tak wraz z mamą i siostrą znalazłam się w odległym o 200 km od Pawłodaru sowchozie o nazwie Pryirtyszieskij Ziernosowchoz. Ponownie razem z nami była Marysia Czaykowska z rodzicami i siostrą. Z Tarnopola była p. Mazurowa z 3 dzieci, p. Pinkoszowa z córką, p. Malasiewiczowa z córką Haliną. Tym razem przywieziono tu również mieszkańców Białegostoku. Tak jak w sowchozie Dżołkuduk, nie było dla nas mieszkań, więc przez całe lato mieszkaliśmy w oborach i cielętnikach, bo bydło było na wypasach. Pracowaliśmy przy żniwach. To lato wbiło mi się głęboko w pamięć, bo przyszło nam przeżywać tragedie rodzin greckich. Do tych samych obór przywieziono, wysiedlonych z nad Czarnego Morza, Greków. Były to przeważnie kobiety z małymi dziećmi, które masowo umierały. Zrozpaczone matki wynosiły na rękach zmarłe dzieci na cmentarz. Nasze mamy pocieszały je, jak mogły, a my uciekałyśmy w step, aby nie słyszeć rozpaczających matek, którym w niczym nie mogłyśmy pomóc. Później przywieziono również Czeczeńców, Inguszy i Niemców znad Wołgi.

W tym samym sowchozie, na I fermie, znalazła się rodzina Gużkowskich. Tam zmarł p. Gużkowski. Na IV fermie mieszkała p. Myślińska z córeczką i siostrą oraz siostrą męża p. Genią Myślińską, p. Bartkowiakowa z synem. Na III fermie mieszkała babcia Bancerowa i rodzina Horodyńskich, matka, ojciec i córka. Podaję tylko zapamiętane nazwiska tarnopolan, a mieszkali w tym sowchozie również mieszkańcy Białegostoku. W tym sowchozie mieszkaliśmy do kwietnia 1946 r., to jest do czasu, w którym rozpoczął się nasz powrót do kraju.

W Dżoł-Kuduku

W bardzo prymitywnych warunkach przyszło nam żyć w willi „Nędza". Początkowo bez drzwi i bez okien, ale że to był maj, więc nie odczuwaliśmy chłodu. Spaliśmy na ziemi, na sianie, jeden obok drugiego. Z czasem wstawili nam drzwi i okna, których nie można było otwierać, więc otwieraliśmy drzwi, bo w nocy było za duszno. W otwartych drzwiach

tliły się „kiziaki" (wysuszony nawóz bydlęcy – krowie placki), bo na dworze unosiły się roje komarów. Snujący się dym odstraszał je. Sen mieliśmy też niespokojny, bo gryzły nas pchły, pluskwy i wszy. W dodatku jeszcze myszy chodziły po nas w czasie snu. Jak mogliśmy, tak staraliśmy się utrzymać czystość. Pobieliliśmy ściany, świeżą gliną wylepiliśmy podłogę, myliśmy się i prali w odnodze Irtysza tuż przy domu. Wodę do picia nosiliśmy z odległej o przeszło kilometr studni z żurawiem. Woda była krystalicznie czysta, dobra do picia i gotowania. Nigdy w życiu nie wypiłam tyle wody (wody w ogóle nie piję) ile tego upalnego lata 1940 r., ale o tym później. Dokuczliwe były myszy, więc zaczęliśmy się zastanawiać, jak się ich pozbyć. Na pomysł wpadł p. Czaykowski. Nalał wody do kociołka i na jego krawędzi umieścił deszczułkę z przynętą. Mysz, maszerując do przynęty, przechylała deseczkę i wpadała do wody. Rano zwykle pierwszy budził się p. Czaykowski, liczył utopione myszy i bardzo dowcipnie składał głośno następujący meldunek: „Siegodnia 12, 15, ili 16 mysziej nie wiernułos' na swoi bazy" (12, 15 czy 16 myszy nie wróciło do swoich siedzib). Wszyscy ze śmiechem podrywali się ze swego legowiska i rozpoczynał się zwykły, szary dzień, mycie w rzece, indywidualna modlitwa, śniadanie i wymarsz do pracy. Zwykle rano przyjeżdżał na koniu „brigadir" (brygadzista) i wyznaczał pracę. Jednego z brygadzistów nazwaliśmy „bosyj komandir", bo przyjeżdżał na koniu boso, drugi otrzymał przezwisko „Lucyfer". Jego skośne oczy, wystające kości policzkowe i czołowe oraz popędliwy charakter skojarzyły się nam z diabłem i stąd ta pogardliwa nazwa. Pierwsza nasza praca to przygotowanie opału na zimę. Była to praca, o jakiej nigdy nie wiedziałam i nigdzie nie czytałam. Na olbrzymią pryzmę bydlęcego nawozu wypędzano stado wołów, które musieliśmy poganiać, a bydlęta udeptywały polewany wodą nawóz i zamieniały go w jednolitą masę. Potem dostawaliśmy drewniane formy, jak do wyrobu cegły i w nich formowaliśmy ręcznie brykiety z nawozu i układaliśmy je w rzędy na stepie, na którym schły w promieniach upalnego tej wiosny słońca. Przy tej pracy nie oszczędzono nam uszczypliwych i pogardliwych epitetów w rodzaju „oficierskije doczki" (oficerskie córki), „policijskije wierchuszki" (policyjne wierzchołki). Po tej pracy wszystkich młodych wywieziono w stepy, na sianokosy. Tam budowaliśmy szałasy z siana, w których mieszkaliśmy. Wyżywienie to pół kilograma chleba, ale nie zawsze, zupa z polowego kotła, najczęściej zacierka, a do picia „kipiatok", przegotowana woda z Irtysza lub „ajran", napój z mleka w rodzaju kefiru. Na tych pierwszych sianokosach popadłam w konflikt z „Lucyferem" i powiedziałam mu, że jest głupi. Za to zostałam wydalona z pracy i odesłana na fermę. Na fermie zjawił się „roboczkom" (opiekun robotników) i wezwał mnie do biura. Zapytał o przyczynę konfliktu. A kiedy rzeczowo opowiedziałam o moim proteście i o tym, że powiedziałam brygadziście, że jest głupi, powtórzył: „da, diejstwitielno durak" (tak, rzeczywiście głupiec) i dodał, nie martwcie się, dostaniecie pracę na fermie. I tak rozpoczęłam pracę z p. Czaykowskim. Donosiłam wysuszone brykiety, zrobionego przez nas opału, a p. Czaykowski układał brykiety w sterty. Upał był niesamowity, a że studnia była niedaleko, więc w dużej bańce na zmianę donosiliśmy wodę i piliśmy bez miary. Jak już wspomniałam, nigdy przed tym, ani potem, nie wypiłam tyle wody. Lato tego roku było tak upalne, że od gorących promieni słońca zapalił się wysuszony step. Zapędzono nas do gaszenia płonącego stepu. Początkowo próbowaliśmy ugasić ogień biciem płomieni wierzbowymi rózgami. Gdy to nie pomogło, rozkazali jednym z nas stać w rzece, czerpać wiadrami wodę i nalewać do beczkowozów, które rozwoziły ją do gaszenia poszczególnych ognisk. Wreszcie któryś z Polaków podał myśl, aby zaorać część stepu i w ten sposób oddzielić go od ognia.

Gaszenie pożaru trwało całą noc. Była to upiorna noc, którą odczułam dotkliwie i do dziś pamiętam, bo całą noc stałam po kolana w wodzie i bez przerwy podawałam wiadro z wodą, które po opróżnieniu natychmiast wracało. O wschodzie słońca pożar ugaszono, a ja i inne koleżanki z trudem prostowałyśmy zmęczone kości.

Po skończonych sianokosach pracowaliśmy przy odświeżaniu obór i owczarni. Jesienią i zimą przy karmieniu owiec, pojeniu cieląt i czyszczeniu obór. Tu chciałabym wspomnieć o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce chyba w pierwszym miejscu naszego pobytu w Dżoł-Kuduku, dokładnie nie pamiętam. Otóż, kiedy wczesną jesienią pracowałyśmy przy remoncie „bazy" (obora w stepie), dowiedziały się o nas mieszkanki pobliskiego kołchozu rybackiego, znajdującego się nad odnogą Irtyszu. Jedna z kołchoźnic przyszła nas zaprosić na tzw. „pominki" (coś w rodzaju stypy). Zaproszenie przyjęłyśmy i poszłyśmy do kołchozu. Zostałyśmy czyste domki z ogrodami warzywnymi, a w tych domkach same kobiety z dziećmi. Mężowie ich byli na froncie. Kobiety poprosiły nas, abyśmy im pomogły łowić ryby. Chętnie zgodziliśmy się, bo to nowe, ciekawe i nieznane nam zajęcie. Pamiętam, że wsiadłam do łodzi z jedną kobietą, dostałam wiosło do ręki i miałyśmy ciągnąć niewód (to taka sieć stawiana w poprzek rzeki) na drugą stronę rzeki. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robiłam, przeraziłam się, kiedy znalazłyśmy się na środku rzeki. Zaniepokojona powiedziałam, że nie umiem pływać i gdyby łódź przewróciła się, to utonęłabym. Na to moja towarzyszka odparła: „nie bój się, ja umiem dobrze wiosłować i prowadzić łódź, nic ci się nie stanie". Szczęśliwie dociągnęłyśmy sieć na drugi brzeg i spokojnie czekałyśmy, aż zapełni się rybami. Po dłuższej chwili znowu wysiadłyśmy do łodzi, by wrócić, ale sieć ciążyła coraz bardziej. Podpłynęły inne łodzie i pomogły wyciągnąć sieć pełną ryb. Po raz pierwszy - i chyba po raz ostatni w życiu - widziałam takie mnóstwo ryb. Zaraz przypomniał mi się biblijny połów ryb. Teraz szybko wyciągałyśmy ryby z sieci i wrzucałyśmy do łodzi. Małe rybki wracały do rzeki. A były tam różnej wielkości karpie, szczupaki, nelwy i inne gatunki ryb. Kiedy dopłynęłyśmy do brzegu, kobiety zaczęły sortować ryby i układać je w skrzynkach. Zaś ta, która nas zaprosiła, zabrała sporo ryb i wszystkie Polki. W domu ryby oczyściła i zaczęła je smażyć w śmietanie i pomidorach. Ciągle donosiła na stół świeżo usmażone ryby i zapraszała do jedzenia. Na stole był też dobry chleb, herbata, ciastka i nawet jabłka, które ktoś przywiózł z Ałma Aty. Była to dla nas prawdziwa uczta, bo ryby były wyjątkowo smacznie przyrządzone. Nasza gospodyni cieszyła się, że mogła w ten sposób uczcić pamięć swojej zmarłej przed rokiem matki. U Rosjan zachował się ten pogański zwyczaj, że jadłem i napojem wyprasza się dla duszy wieczne szczęście. Rosjanie chętnie nawiązywali kontakty z Polakami, a już zetknięcie się kobiet z dalekich stepów Kazachstanu z inteligentnymi dziewczętami z Polski było dla nich powiewem z szerokiego, nieznanego im świata. Pożegnałyśmy gościnny dom, dziękując gospodyni za okazaną nam serdeczność i miłe przyjęcie.

Na fermie nie było żadnego sklepu, niczego nie można było kupić. Dostawałyśmy jedynie pół kilograma chleba dziennie, a nasze mamy tylko 30 dkg. Za chleb trzeba było płacić. Można też było kupić 1 litr chudego mleka na każdego pracującego. Chcąc zdobyć trochę mąki czy kaszy, trzeba było iść do odległego o 22 km Pawłodaru. Na to trzeba było mieć zwolnienie z pracy. Najczęściej w niedzielę kilka osób szło do Pawłodaru na tzw. bazar, gdyż wtedy odbywał się targ. Na bazarze panował handel zamienny. Dobrze było jeśli udało się zdobyć trochę kaszy lub mąki. O ziemniakach nie można było nawet marzyć. Lato było wyjątkowo upalne, nie padał deszcz, nie było urodzaju. Przez cały pierwszy rok nie jedliśmy

ziemniaków. Zaczęliśmy chorować. Pierwszą śmiertelną ofiarą była Rozalia Poznachowska, która zmarła w szpitalu w Pawłodarze. Często traciliśmy rachubę czasu, bo dniem wolnym od pracy był co 10 dzień. Wolne dni od pracy mieli tylko pracujący w mieście. W sowchozach nie było dni wolnych. A kiedy powoływaliśmy się na konstytucję ZSRR, to najczęściej słyszeliśmy odpowiedź: „durak pisał konstituciju" (głupiec pisał konstytucję) lub „sołnce tiebie konstitucija" (słońce dla ciebie konstytucją), co miało znaczyć, że masz pracować od wschodu do zachodu słońca. Minęła wiosna, upalne lato i pogodna jesień. Zbliżała się mroźna i śnieżna zima. Coraz trudniej było nam się ogrzać w willi „Nędza". Śnieg zawiewał do izby. Coraz trudniej było w zaspach śniegu dobrnąć do pracy. Wreszcie dwutygodniowa zamieć całkowicie odcięła nas od świata. I wtedy kierownictwo przypomniało sobie o Polakach w willi „Nędza". Na gwałt zaczęli poszczególne rodziny przewozić na fermę i umieszczać w mieszkaniach Kazachów. Na całej fermie mieszkała tylko jedna rodzina rosyjska i jedna niemiecka. Z mamą i siostrą zamieszkałyśmy w kuchni, w rodzinie kazachskiej. A że zima była bardzo mroźna, do kuchni wprowadzono również krowę. Do pracy chodziliśmy gromadnie, najczęściej prowadził nas ktoś z miejscowych ludzi. Ja, jak zwykle, pracowałam z Marysią Czaykowską. Tej zimy oprzątałyśmy cielęta i dopiero wieczorem, po napojeniu cieląt, wracałyśmy do domu. Jednego wieczora zerwała się niebywała zamieć. W pracy pozostał jeszcze tzw. „otdielszczik" (pracownik, który wirował mleko z każdego udoju) i my. Kiedy brałyśmy mleko do pojenia cieląt powiedział: „nie idźcie do domu same, czekajcie na mnie, ja mam psa, on nas poprowadzi. A miał pięknego, syberyjskiego charta. Pies szczęśliwie doprowadził nas do odległej o 1 km fermy. Na środku fermy rozstaliśmy się. Mężczyzna z psem poszedł do sąsiedniego kołchozu, gdzie mieszkał, Marysia poszła do swego domu, a ja nie mogłam trafić. Śnieg zasypywał mi oczy i po dłuższym błądzeniu trafiłam do mieszkania p. Czaykowskich, którzy proponowali mi, bym u nich przenocowała. Podziękowałam, bo na mnie czekała mama i siostra. Wyszłam i znowu błądziłam. Tym razem trafiłam do biura, w którym zastałam rachmistrza. Zdziwiony zapytał: „co ty tu robisz?", „błądzę" odpowiedziałam. Zaczekaj, pójdziemy razem. Po chwili wyszliśmy w zamieć. Domy nasze były blisko. Kazis zapytał: trafisz teraz?, odpowiedziałam: tak. Powiedział mi „dobranoc" i poszedł do domu, a ja znowu nie mogłam trafić. Zmęczona, zagubiona w zamieci, westchnęłam gorąco do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i spostrzegłam, że stoję na dachu swego domu, na co wskazywał głęboki tunel przekopany do drzwi wejściowych. Jeszcze w innej sytuacji doznałam potęgi modlitwy. Dla wyjaśnienia muszę dodać, że domy były bardzo niskie, z płaskimi dachami i podczas zamieci były zasypywane śniegiem. Drzwi otwierały się do środka i wtedy przekopywało się tunel, aby wyjść z domu. Przetrwaliśmy pierwszą zimę i znowu wiosną ta sama praca i dla odmiany nowa praca, strzyżenie owiec w dalekim stepie. Pod koniec lata wywieziono nas w step do kąpania i strzyżenia owiec. Najpierw pojedyncze owce wypędzało się do specjalnie przygotowanego basenu wypełnionego wodą z kreoliną. Potem owce suszyły się, a kiedy wyschły, były strzyżone ręcznymi nożycami. Była to ciężka praca. Najpierw trzeba było owcę związać, a potem strzyc. Dobrze, jeśli wełna była czysta, ale często pełno w niej było piasku, wtedy nożyce z trudem wbijały się w wełnę. Moja siostra, Jadzia, doszła do takiej wprawy, że dziennie strzygła 14-15 sztuk. Sprawnie to robiły również Marysia Czaykowska i jej siostra Krysia. Ale ręce miały spuchnięte od wysiłku. Ja natomiast nie mogłam opanować tej sztuki, ręce moje były za słabe. Wyznaczono mnie przeto na „sortirowszczyka" (sortującą wełnę). Pakowałam więc do worków wełnę poszczególnych gatunków. Razem z

nami, Polkami, pracowało 2 starszych Kazachów, Omar i Abdychaim. Uczyli nas tej umiejętności strzyżenia owiec i ubolewali nad tym, że takie delikatne dziewczęta zapędzono do takiej ciężkiej pracy. Pomagali nam, jak mogli, i nie tylko tu, ale przy innych pracach również. Co kilka dni nocą wyruszali na fermę, aby zanieść do swoich domów trochę wełny. W drodze powrotnej wstępowali na tzw. „bakcze" (plantacje melonów i kawonów) i zwykle przynosili nam te smaczne owoce. Zachęcali, aby melony zjadać od razu, bo przyjemny, ale silny zapach mógłby nas zdradzić podczas ewentualnej wizyty jakiegoś naczelnika, kawony można było dłużej przechowywać. Wszyscy spaliśmy na sianie, w przybudówce do owczarni. Po kilku czy kilkunastu dniach pracy przy strzyżeniu owiec wróciłyśmy na fermę: tu znowu oprzątałyśmy owce, poiłyśmy cielęta, czyściłyśmy obory. Zbliżała się kolejna mroźna i śnieżna zima. Tej zimy chorowałam na jakąś dziwną chorobę. Zaczęła mnie boleć prawa noga, a ból był zagadkowy. Kiedy chodziłam, nie odczuwałam bólu, a kiedy się potknęłam nawet o maleńki kamyczek, odczuwałam niesamowity ból. Wtedy musiałam stać spokojnie i ból mijał. Na wiosnę wszyscy zaczęli chorować na malarię. Leczono nas akrechiną, gdyż chininy nie było. Mama była poważnie chora i zabrano ją do szpitala, który był na tzw. VII aule. Warunki szpitalne były prymitywne, brakowało żywności i lekarstw. Kto mógł, kupował u lekarza, który miał krowę, litr czy pół litra mleka i przynosił z domu coś do zjedzenia. Siostra Jadzia też była poważnie chora na nerwy, ale w Pawłodarze dostała skuteczne lekarstwo (o ile pamiętam był to wyciąg ze specjalnego gatunku rogów jelenich, lekarstwo miało przyjemny zapach) i wyleczyła się. Długo atakowała ją malaria i jeszcze po powrocie do kraju w 1946 r. miała 2 ataki. Mnie również nie ominęła malaria, ale bez komplikacji. Malaria to bardzo przykra choroba. Najpierw chory ma dreszcze, jest mu tak zimno, że i stos pierzyn nie może go ogrzać, a potem wysoka gorączka do 40° i przejmujący ból głowy. Atak mija, człowiek jest osłabiony, ale po 2 czy 3 dniach czuje się dobrze i wraca do pracy z tym, że ataki powtarzają się. Trzeba było systematycznie zażywać tabletki akrechiny. Malaria nie leczona przechodzi w stan chroniczny. Lekarze na ogół życzliwie nas traktowali i mówili, że trzeba nam dobrego odżywiania, którego oni również nie mieli. Nikt, kto nie był na zesłaniu w dalekim Kazachstanie, nie uwierzy, że można tak żyć, jak żyli zesłańcy i większość miejscowej ludności. Produkcja w ZSRR przed wybuchem II wojny światowej i w czasie jej trwania nastawiona była na zbrojenia, a naród żył w nędzy.

Wielką pociechą dla nas były listy z kraju i od czasu do czasu paczka od koleżanek czy znajomych. Nie miałyśmy krewnych na Podolu, bo wszyscy mieszkali w Wielkopolsce, mogłyśmy wiec liczyć tylko na pomoc koleżanek i znajomych, którzy pomagali nam w miarę swoich możliwości. Pamiętam, jaką radość sprawił nam list wujka z Kielc (brata mamy), w którym była fotografia kuzynki Wacławy z I Komunii Św. Przy sortowaniu listów na poczcie w Tarnopolu pracował ojciec koleżanki, p. Jan Ogryzek, który znał nasz adres i przeadresował list, który szczęśliwie dotarł do sowchozu Dżoł-Kuduk. Wujek nie wiedział, że zostałyśmy wywiezione.

Przeżyłyśmy kolejną zimę i nic jeszcze nie zapowiadało, że ta wiosna ożywi nasze nadzieje na powrót do kraju.

Tej wiosny czekała mnie nowa praca, podczas gdy siostra Jadzia, Marysia i Krysia Czaykowskie zostały wysłane na sianokosy. Ja zaś miałam być pasterzem owiec. Wczesnym rankiem, stary, poczciwy Kazach i ja wypędziliśmy stado owiec, liczące ponad tysiąc sztuk i około trzysta sztuk jagniąt. Pędziliśmy to stado w step, odległy 30 km od fermy. Po drodze,

która trwała do wieczora, owce pasły się, a my szliśmy za stadem. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się u znajomych starego Kazacha. A że Kazachowie są bardzo gościnni, więc zapraszali nas na herbatę. Siadaliśmy po turecku, przy okrągłym niskim stole, na którym stawiano samowar, podawano też chleb i masło. Pamiętam, jak mój poczciwy, stary pasterz podsuwał mi masło i mówił: „Marusia, jedz więcej masła, bo wy nie macie". Na miejscu, gdzie miałam spędzić całe lato czekał na nas „czaban" (starszy pasterz, syn starego Kazacha), jego żona, Igajsza i dzieci oraz drugi pasterz z żoną i dziećmi. Zamieszkaliśmy w jednej izbie, zbudowanej z darni. Spaliśmy na ziemi, na sianie, ja w środku, a obok mnie 2 kazachskie rodziny. Owce stały w zagrodzie, pod gołym niebem. W nocy pilnował owiec stary Kazach, który pędził ze mną owce, a teraz został nocnym stróżem. Tam nauczyłam się doić owce, bo co drugi dzień owce były dojone i wtedy ja oddzielnie pasłam jagnięta. Na drugi dzień jagnięta pasły się razem z dorosłymi owcami. I wtedy pasterz jechał na koniu, trzymając w ręce długą, dość grubą tyczkę, a ja szłam za stadem pieszo. Zwykle wczesnym rankiem wyganialiśmy owce daleko w step, gdzie była bujna, soczysta i wysoka trawa. Było to zwykle 3, 4 czy więcej kilometrów od postoju owiec. Dzień się dłużył niesamowicie. Z utęsknieniem czekaliśmy na zbliżający się zachód słońca, bo wtedy wracało się z owcami do zagrody. Utkwił mi w pamięci jeden piękny, pogodny zachód słońca. Owce pasły się pilnie, a słońce zniżało się coraz bardziej. Pasterz podjechał do mnie i powiedział: „Marusia, zawracajmy owce, bo zbliża się wieczór". I zaczęliśmy spędzać owce na drogę, prowadzącą do zagrody. Pasterz jechał z boku, a ja wolnym krokiem szłam za stadem, bo owce ciągle się pasły. W pewnej chwili zobaczyłam wilka, czołgającego się wśród owiec. Krzyknęłam ze strachu, a mój krzyk usłyszał pasterz. Natychmiast podjechał do mnie, owce rozpierzchły się, a wilk usiadł na tylnych łapach i wyszczerzył zęby. Zaczęliśmy krzyczeć: haj! czaj! (to taki okrzyk na odstraszenie wilka), koń rżał i bał się zbliżyć do wilka. Pasterz zamierzył się tyczką, a ja pomagałam krzykiem: haj! czaj! Wilk czmychnął w wysokie trawy. Jeszcze kilkakrotnie próbował wedrzeć się w stado, ale nasz krzyk odstraszał go. Pamiętam, że naprzeciw wyszły żony pasterzy z dziećmi, bo z daleka usłyszały nasz krzyk, wiedziały, że wilk atakuje stado i zaczęły też krzyczeć. Szczęśliwie, bez strat, wróciliśmy ze stadem do zagrody. Wilk nie dał za wygraną i przez całą noc podchodził do zagrody, aby przeskoczyć ogrodzenie. Nie udało się, bo na rogach zagrody świeciły się latarnie, a stróż bezustannie uderzał żelazem o żelazo. Była to niespokojna noc. Później dowiedziałam się, że na wypasach była też 15 czy 16-letnia Janka Horodyńska (też z Tarnopola) i sama pasła cielęta. Na stadko cieląt napadły 4 wilki i ileś tam cieląt zagryzły. Janka odchorowała to przeżycie. Wiadomości docierały tu na wypasy, bo starszy pasterz Nurtaj od czasu do czasu jeździł na fermę. Stamtąd przywoził chleb i coś od mamy, która pozostała na fermie. Z naszymi wypasami sąsiadowały wypasy krów, cieląt, owiec karakułowych. Pasterze przyjaźnili się i zapraszali się na wieczorne uczty. Zwykle moi pasterze zabijali wtedy owcę, gotowali w całości. Ugotowaną owcę wykładali na dużą, drewnianą tacę i stawiali na stół. Obok ustawiali samowar i zaczynała się uczta. Na początek gospodarz podawał na dłoni oczy owcy najbardziej szanowanemu gościowi. Potem odrywali rękami ugotowane mięso i jedli, popijając herbatą, której wypijali bardzo dużo. Na początku budzili mnie na tę ucztę. Kiedy odpowiedziałam, że w nocy nie będę jadła, pytali: jakie chcę mięso, gotowane czy surowe. Zwykle potem zostawiali mi kawałek surowego mięsa, które gotowałam sobie na stepie. Na 2 kamyczkach stawiałam garnuszek z mięsem i podkładałam suche gałązki na płonący, mały ogień. Naturalnie trzeba było pilnować ognia i cierpliwie czekać aż się

mięso ugotuje. Tak samo gotowałam mleko owcze, które dostawałam co drugi dzień, kiedy owce były dojone. Na tych wypasach przeżyłam jeszcze jedną przygodę z wilkiem. Otóż pewnego dnia, dokładnie nie pamiętam, czy był to koniec sierpnia, czy początek września, przed wschodem słońca wypędziłam jagnięta na pastwisko. Pamiętam, że była mgła i gęsta rosa, było dosyć ciepło. Jagnięta (ponad 300 sztuk) pasły się pilnie, a ja chodziłam dookoła stadka i czuwałam nad tym, aby zbytnio nie oddalały się od siebie. W pewnym momencie odwróciłam się i w odległości kilkunastu kroków zobaczyłam potężnego wilka, który upatrywał zdobyczy. W pierwszej chwili oniemiałam z przerażenia, a potem zaczęłam krzyczeć nieludzkim głosem. Mój krzyk usłyszał „czaban" z rodziną (jagnięta pasły się blisko zagrody). Wszyscy przybiegli do mnie, a ja nie mogłam mówić. Na pytanie „czabana": „wołk?" (wilk), kiwnęłam tylko głową. Na szczęście wilk nie zdążył chwycić żadnego jagnięcia, czmychnął w wysokie trawy. Tego dnia już nie pasłam jagniąt. Pasterz zapędził je do zagrody. Tak to przeżyłam, że przez kilka nocy krzyczałam przez sen: „wołk!" (wilk). Niezwykłym wydarzeniem na tych wypasach była zorza polarna. Było to na krótko przed wybuchem wojny między ZSRR a hitlerowskimi Niemcami. Pewnej nocy moi pasterze ucztowali wraz z zaproszonymi gośćmi, a ja spałam. Przez sen usłyszałam okrzyki: aj! baj! Aj! bajaj! Były to okrzyki przerażenia i podziwu zarazem. Zbudzili mnie i już przez otwarte drzwi izby zauważyłam niezwyczajne światło. Wyszłam przed dom i oczom moim ukazał się niezapomniany i niecodzienny widok. Połowa nieba, aż do horyzontu, miała jaskrawy kolor tętniczej krwi. Na samym horyzoncie w formie wachlarza rozchodziły się śnieżnobiałe smugi. Wszystko to drgało i pulsowało niesamowitym światłem. Już chyba nigdy w życiu nie zobaczę tak pięknej zorzy polarnej, którą w takiej okazałości widziałam po raz pierwszy. Moi pasterze byli zaniepokojeni, bo stary Kazach powiedział, że będzie wielka wojna, poleje się krew. Przepowiednia starego Kazacha spełniła się, bo wkrótce dotarła do nas wiadomość, że zaczęła się wojna między ZSRR i hitlerowskimi Niemcami. Potem dowiedziałam się, że na podstawie porozumienia między gen. W. Sikorskim a Stalinem, Polacy mogą zmieniać miejsce zamieszkania, mogą przenosić się do miast, z wyjątkiem miast wydzielonych i szukać odpowiedniej pracy. Gdy dotarła do mnie ta wiadomość, postanowiłam pojechać na fermę, ażeby zasięgnąć szczegółowych informacji. Poprosiłam „czabana" o urlop, którego chętnie mi udzielił i jeszcze postarał się o furmankę, którą mogłabym dojechać do odległej o 30 km centrali sowchozu. Znajomy „czabana" tzw. „sliwkowoz" (wożący śmietanę) odwoził śmietanę do mleczarni. Wyjeżdżał zwykle przed wieczorem, aby na drugi dzień rano być na miejscu. Ubrałam się ciepło, bo wiedziałam, że pojedziemy całą noc. Jechaliśmy w czwórkę, bo oprócz woźnicy i mnie była jeszcze kobieta z sąsiednich wypasów i mężczyzna. Wieczór był pogodny i dosyć ciepły, wkrótce ukazała się pełnia księżyca, było jasno i tak, gwarząc, kilometr po kilometrze zbliżaliśmy się do centrali. Wóz ciągniony przez parę młodych, silnych wołów, toczył się wartko. Nagle pogodne dotąd niebo zaczęło pokrywać się chmurami, ciemna, ołowiana chmura przesuwała się po księżycu, ukazały się pierwsze błyskawice, potem grzmoty i pierwsze krople deszczu, zbliżała się burza. I wtedy w oddali rozległo się wycie wilków. Była to niesamowita wilcza muzyka, którą słyszałam po raz pierwszy i ostatni. Moi towarzysze, ludzie stepowi, przyjęli to, jak coś normalnego, a ja byłam przestraszona i zaniepokojona o nasz wspólny los, bo wyobrażałam sobie, że wataha wilków może nas zaatakować. Woźnica, który nieraz słyszał wilczy koncert uspokoił mnie i wyjaśnił, że to może być tylko jeden wilk, a nie całe stado, jak nam się zdawało, bo jeden potrafi tak wyć i tak zmieniać natężenie głosu,

że zdaje się, iż jest ich bardzo dużo. Błyskawice, grzmoty i ulewny deszcz towarzyszyły nam do wschodu słońca. Wczesnym rankiem, przemoknięci do przysłowiowej suchej nitki dojechaliśmy do centrali sowchozu. Do domu na I fermę miałam jeszcze 3 km. Odwiedziłam dawną naszą sąsiadkę, p. (S)Łyskową, która pracowała jako sprzątaczka w dziesięciolatce. P. (S)Łyskowa poczęstowała mnie gorącą herbatą i umożliwiła wysuszenie wierzchniej odzieży. Tu dowiedziałam się, że gen. W. Sikorski wystosował apel do Polaków, by nie porzucali pracy. Na ogół zesłańcy stosowali się do tego apelu i pracowali na powierzonych im placówkach. Po krótkim odpoczynku u miłej p. Sabinki wyruszyłam na fermę. Pokrzepiona na ciele i duchu szybko przebiegłam 3 km, by znaleźć się w objęciach mamy, która czekała na swoje córki. Z Jadzią nie widziałam się, bo była na sianokosach. Po 2 czy 3 dniach pobytu u mamy wróciłam na wypasy i dopiero jesienią, znowu pędząc owce, wróciłam na fermę. Czas spędzony na wypasach był dla mnie czasem straconym. Nie miałam dostępu do żadnej książki. Jedyną moją lekturą były rosyjskie gazety, które od czasu do czasu ktoś przywoził na wypasy, ale były to zwykle stare gazety. W ogóle książka i prasa w sowchozach była niedostępna, bo jej nie było. Nieraz, kiedy sama pasłam jagnięta, płakałam nie tylko nad swoim losem, ale nad dolą naszego sponiewieranego narodu. Wierzyłam jednak, że kiedyś to musi się skończyć, że i dla nas zaświta jutrzenka swobody. Kiedy wróciłam z wypasów, a Jadzia i inni mieszkańcy naszej fermy z sianokosów, w dalszym ciągu pracowaliśmy na wyznaczonych nam punktach pracy na fermie. Coraz częściej jednak odwiedzaliśmy Pawłodar, gdzie powstał Komitet Polski, ażeby zorientować się, jakie są możliwości przeniesienia się do miasta i uzyskania tam jakiejś pracy. Najpierw trzeba było uzyskać zgodę w urzędzie kwaterunkowym na zameldowanie się. Pamiętam, że Jadzia kilkakrotnie jeździła do Pawłodaru i razem z koleżanką, też nauczycielką, której nazwisko uleciało mi z pamięci, chodziły od biura do biura i wreszcie po dłuższych zabiegach uzyskały zgodę na zameldowanie. Obydwie z siostrą miałyśmy zapewnione posady nauczycielek w szkole polskiej. Większość Polaków mieszkających na I fermie zdążyła zmienić miejsce zamieszkania. Kierownictwo fermy nie chciało nas zwolnić z pracy. Wtedy zdecydowaliśmy się wyjechać potajemnie nocą. Pomógł nam w tym mieszkaniec sąsiedniego kołchozu, który miał konia. Razem z nami wyjechała też p. Bancerowa, która początkowo zamieszkała razem z nami. Potem przeniosła się do domu starców. W Pawłodarze wynajęłyśmy pokój u starszej kobiety, mieszkającej razem z najmłodszą, 18-letnią córką, Aleksandrą, we własnym, dwuizbowym domku. Nam wynajęła pokój, a z córką zamieszkała w kuchni.

W Pawłodarze

Dzięki nowym, pomyślniejszym dla nas, zesłańców, stosunkom między emigracyjnym rządem polskim w Londynie a Moskwą, mogłyśmy zamieszkać w „obłastnom gorodie" (wojewódzkim mieście). Pawłodar w niczym nie przypominał europejskiego miasta. Ulice bez asfaltów i chodników, ciągnące się kilometrami. Chyba najdłuższą ulicą, przy której mieszkałyśmy, była ulica Sowietów. Latem grzęzło się w piasku, zimą w śniegu, a na wiosnę w wodzie. Najokazalsze, murowane budynki, to dawna cerkiew, zamieniona na warsztat mechaniczny, meczet zamieniony na dom kultury, dziesięciolatka i więzienie. Przeważały małe domki z drzewa albo gliny, które były własnością prywatną. Do okazalszych budynków należała też łaźnia miejska, tzw. „banja". Nad Irtyszem był port rzeczny. W mieście

zamieszkało wielu Polaków, którzy przenieśli się tu z sowchozów i kołchozów. Przywieziono również wiele rodzin z tajgi, gdzie wymarły prawie wszystkie dzieci i ludzie starsi. Przeżyli ludzie w sile wieku. Warunki życia w tajdze były o wiele gorsze, jak na stepach. Mokradła, trzęsawiska, roje różnych, często jadowitych owadów, były przyczyną różnych, nieznanych nam chorób. Groźną chorobą była tzw. sybirka, która powodowała śmierć w przeciągu kilkunastu godzin, kiedy nie było natychmiastowej pomocy lekarskiej. Nie było tam karetek pogotowia. Chorego wieziono do lekarza czy szpitala wołami albo koniem. A że odległości do placówek służby zdrowia były dosyć duże (jak w naszym sowchozie), więc często pomoc lekarska była spóźniona.

Wracam teraz do organizacji życia Polaków w Pawłodarze. Wszyscy zdolni do pracy pracowali w różnych przedsiębiorstwach, bo trzeba było z czegoś żyć. Marysia i Krysia Czaykowskie na przykład - pracowały w fabryce futer, ewakuowanej do Pawłodaru z Ukrainy. Siostra Jadzia i ja rozpoczęłyśmy pracę w szkole, która - jak już pisałam - mile zapisała się w mojej pamięci. Dyrektor szkoły i całe grono nauczycielskie zgrane i nader sympatyczne. Pamiętam, jak po lekcjach wszyscy szliśmy na spacer, na tak zwany deptak, gdzie do tańca przygrywała muzyka. Nikt z nas nie miał jednak ochoty do tańca, bo wszyscy byliśmy głodni. Wprawdzie od czasu do czasu dostawaliśmy trochę mąki, ryżu, cukru, czy jakieś konserwy, ale to nie mogło nas nasycić. Za chlebem trzeba było stać w tasiemcowych kolejkach i nie zawsze się dostało. Mimo tych niedostatków, życie Polaków stało się radośniejsze. Mogliśmy urządzać uroczystości związane z rocznicami historycznymi. Tym zajmowało się Koło Młodych zorganizowane przy Polskim Komitecie, włączała się szkoła polska. Na te uroczystości zapraszani byli przedstawiciele miejscowych władz. Zapamiętałam akademię w dniu 3 maja, urozmaiconą śpiewem, recytacjami, tańcami narodowymi, a szczególnie brzmi mi w uszach piękny występ solowy młodej, sympatycznej mężatki z Białegostoku, p. Mieci Dowojno. Śpiewała jak artystka operowa, a pieśni Moniuszki w jej wykonaniu wzbudziły prawdziwy zachwyt. Występ p. Mieci nagrodzono hucznymi brawami, nie obeszło się bez bisów. Chcę tu też powiedzieć, że dyrektor naszej szkoły, p. Jan Wisiecki z Tarnopola, był człowiekiem niezwykle muzykalnym. Często zbieraliśmy się razem i przypominaliśmy sobie pieśni i piosenki, które potem wykorzystywałyśmy na lekcjach. Najczęściej koleżanki śpiewały, a kolega dyrektor słuchał. Potem pisał nuty do zasłyszanych melodii i grał na skrzypcach. Wiele piosenek, szczególnie harcerskich, przypominała moja siostra Jadzia, obdarzona dźwięcznym i miłym głosem. Tak wzbogacaliśmy swój repertuar.

Wszyscy nasi chłopcy zgłosili się do armii gen. Andersa, zostały mamy, nieliczni ojcowie, dziewczęta i dzieci. Niektórzy oficerowie odwiedzali swoje żony i niejednokrotnie zabierali swoje rodziny na południe. Potem, wraz z armią, całe rodziny wyemigrowały do Iranu. Wiele osób umarło, gdyż klimat okazał się zabójczy. Ciągle żyliśmy nadzieją rychłego powrotu do kraju i to dodawało nam sił. Nie wszyscy jednak przeżyli. Zmarła wtedy jedyna 15- czy 16-letnia córka p. Klechamerowej z Tarnopola, później również jedyna córka państwa Balickich, Marysia, również z Tarnopola. Śmierć zbierała swoje żniwo, a żywi żyli nadzieją na lepsze jutro.

Życie religijne także zaczęło się rozwijać, bo przysłano nam księdza, który odprawiał mszę św. w każdą niedzielę i udzielał sakramentów. Nabożeństwa odbywały się w Komitecie Polskim, w którym przygotowano prowizoryczną kaplicę. Piękny obraz religijny do kaplicy namalowała plastyczka z Białegostoku, której nazwisko uleciało mi z pamięci. Na

spotkaniach Koła Młodych ksiądz zwrócił naszą uwagę na piękno przyrody, bo przyznam szczerze, że prymitywne warunki życia doprowadziły do negacji nawet dziwów przyrody. W dalszej części swoich wspomnień wrócę do tej sprawy. Mimo licznych niedostatków i biedy, która nas nękała przez długich 6 lat, życie w Pawłodarze było przyjemniejsze, bo obracaliśmy się w dużej grupie Polaków. W projekcie była ewakuacja uczniów i nauczycieli wraz z rodzinami do Indii. Płonne jednak były nasze nadzieje, które zniweczyła wieść o tragicznej śmierci gen. W. Sikorskiego. W krótkim czasie pracownicy Polskiego Komitetu zostali aresztowani, szkoła zamknięta, a większość nauczycieli wraz z rodzinami i wielu innych Polaków, zatrudnionych w rosyjskich przedsiębiorstwach zostało wywiezionych do dalekich sowchozów. I tak znowu wraz z mamą i siostrą znalazłam się w dalekim, bo odległym o 200 km sowchozie o nazwie Pryirtyszieskij Ziernosowchoz.

W Pryirtysziewskom Ziernosowchozie

Znowu tak, jak 3 lata temu w Tarnopolu, tak i teraz zajechała przed dom ciężarówka, która przewiozła nas do dalekiego sowchozu. W Tarnopolu było to w kwietniu, a teraz w pełni lata. Pożegnałyśmy miłą gospodynię i jej młodą, sympatyczną córkę Szurę i z bólem serca jechałyśmy w nieznane. Przypomniało mi się jedno, świadczące o tęsknocie religijnej wydarzenie. Pewnej nocy, kiedy jeszcze mieszkałyśmy w Pawłodarze, nasza gospodyni, niezwykle przejęta, zbudziła naszą mamę i spytała, co ona ma zrobić, bo śnił jej się Pan Bóg i kazał zawiesić obraz na dawnym miejscu (obraz był schowany w spiżarni). Mama odpowiedziała: zróbcie tak, jak polecił wam Pan Bóg. Tej samej nocy gospodyni wyciągnęła obraz, wytarła z kurzu, wydobyła ze skrzyni wyszywany ręcznik i zawiesiła piękną ikonę św. Mikołaja w kuchni, naprzeciw drzwi wejściowych. Rano wszystkie podziwiałyśmy ikonę, przystrojoną wyszywanym ręcznikiem. Ale nasza gospodyni była zaniepokojona, co powie syn, zagorzały komunista, który często odwiedzał matkę. Po południu przyszedł synalek, rzucił okiem na ikonę i zacietrzewiony zapytał: mama, a to co, na pewno ta Polka (wskazał na mamę) kazała ci powiesić? Matka gorliwca odpowiedziała spokojnie: nie Polka, a Pan Bóg kazał mi zawiesić ikonę. W pierwszej chwili żachnął się, a potem machnął ręką i powiedział: niech wisi. Potem, jak zwykle, przychodził dosyć często i najczęściej siadał w pobliżu ikony. Córka, Szura, wychowana w szkole w duchu komunistycznym, w głębi duszy była osobą wierzącą. Wycałowała wszystkie małe obrazki, jakie znalazła w naszej książce do modlitwy i prosiła, by jej opowiadać o Panu Jezusie i Matce Najświętszej. Szczególnie upodobała sobie Dzieciątko Jezus w żłóbku. Była to dobra i skromna dziewczyna. Jeszcze raz wrócę do tych dwóch osób, z którymi znacznie później pożegnałyśmy się na zawsze.

Tym razem znalazłyśmy się w sowchozie, w którym uprawiano zboże, głównie pszenicę. Mieszkali tu Rosjanie, Persowie, Niemcy, potomkowie polskich zesłańców. Teraz ferma, na której się znalazłam zaludniła się Polakami, trochę później przywieziono tu Greków, Czeczeńców i Inguszy (plemiona z Kaukazu). Znowu nie było dla nas mieszkań, a że bydło było na wypasach, więc zamieszkaliśmy w oborach i cielętnikach. Znowu jesteśmy razem z Marysią Czaykowską, jej siostrą Krysią i rodzicami. Pan Czaykowski żartował. Położył się w żłobie i śpiewał: „W żłobie leży". Oprócz mieszkańców Tarnopola byli z nami obywatele Białegostoku. Z Tarnopola była jeszcze p. Mazurowa z trojgiem dzieci, Malasiewiczowa z córką Haliną, Pinkoszowa z córką Zdzisławą, Bieniawska Olga. Z Białegostoku byli: Ambrożejowie

z dwiema córkami Janiną i Marią, Błońska Józefa z 2 córkami: Heleną i Eugenią, synową Heleną i wnuczką Wandą, Jaworowski z córką Teresą, Stasiewiczowie z córką Heleną, Lenczewska Halina z głuchoniemym bratem Stanisławem. W oborze, w której mieszkaliśmy, aż do powrotu bydła i cieląt z wypasów mieliśmy swego rodzaju „komfort". Od czasu do czasu na jednej z największych ścian, która służyła za ekran, wyświetlano filmy wojenne. Życie na fermie nr 2 mimo towarzyszącej nam biedy było ciekawe i urozmaicone. Żyliśmy wśród ludzi różnych narodowości, o różnych światopoglądach, zwyczajach i obyczajach. Stale tu się coś działo, przybywali ludzie nowi. W pewnym okresie przybyły tu kobiety z dziećmi, ewakuowane z oblężonego Leningradu, były wśród nich kobiety polskiego pochodzenia, które już nie mówiły po polsku, ale przyznawały się do pokrewieństwa z Polakami, jedna z nich miała imię Wanda. Jednego lata przywieziono żołnierzy narodowości uzbeckiej. Byli to gorliwi wyznawcy islamu. Trzy razy dziennie przerywali pracę i wznosili modły do Allacha. Polacy stanowili tu najbardziej zżytą i zorganizowaną grupę. Tak się szczęśliwie złożyło, że wyróżniały się dziewczęta. Chłopców już tu nie było, byli w polskim wojsku. Wśród dziewcząt byłyśmy najstarsze i obydwie miałyśmy maturę, byłyśmy nauczycielkami z zawodu. Pozostałe dziewczęta były uczennicami gimnazjów, tylko Błońska Eugenia była uczennicą szkoły podstawowej. Były to więc dziewczęta inteligentne.

Przez całe lato razem pracowałyśmy, więc zdążyłyśmy się poznać przy pracach żniwnych. W chwilach wolnych najczęściej śpiewałyśmy, a repertuar był bardzo urozmaicony. Składały się nań pieśni religijne, patriotyczne, piosenki harcerskie, ludowe, itd. Skończyło się lato, bydło wracało z wypasów, trzeba było opuścić obory i cielętniki. Zaczęto nas znowu wciskać do rodzin, tym razem rosyjskich. I tak znalazłyśmy się w jednej izbie, w której zamieszkały 4 rodziny. Rosjanka, której mąż był na froncie, miała dwie córki w wieku przedszkolnym, wdowa narodowości udmurskiej z dwiema córkami, z których jedna już pracowała, a druga była uczennicą miejscowej 4-klasowej szkoły podstawowej, Polka - p. Maria Malasiewiczowa z córką Haliną i ja z mamą i siostrą, razem 11 osób. Mimo takiego zagęszczenia, nie dochodziło między nami do żadnych scysji. Do kuchni była z góry ustalona kolejka. Najbardziej bojowa była Rosjanka, która czuła się gospodynią izby i ważną z tej racji, że była na usługach biura fermy nr 2. Bardzo skromna, cicha, człowiekiem o nieposzlakowanej uczciwości, pracowitości i prostocie była Udmurka. Przedsiębiorczą była p. Malasiewiczowa, która z nastaniem wiosny stała się naczelnym architektem i budowniczym, ale o tym później. W zimie prace były różne, przy oprzęcie i czyszczeniu obór, czyszczeniu zboża na odległym o 3 km od fermy tzw. toku (był to rodzaj ogromnej stodoły), na którym w czasie żniw zgromadzono setki, a może i tysiące ton zboża. Czyszczenie zboża było ciężką pracą, bo wszystko robiło się ręcznie. Jeden młynek do czyszczenia ziarna obsługiwaliśmy w czwórkę. Jedna nasypywała tzw. „pudowką" (wiadro o pojemności 16 kg), druga odgarniała młynkowane ziarno, a 2 kręciły korbę. Co jakiś czas zmieniałyśmy kolejność wykonywanej pracy. Dzienna norma na 4 osoby wynosiła 8 ton. Zwykle starałyśmy się przemłynkować 9, a nawet 10 ton, bo wtedy oprócz zarobionych pieniędzy każda dostawała jeszcze półtora kilograma pszenicy. Nie mogli nas oszukać, bo skrupulatnie zapisywałyśmy sobie ilość oczyszczonego zboża i sprawdzałyśmy, czy zapis w biurze zgadza się z naszym.

Pisząc o młynkowaniu zboża przypomniałam sobie katorżną pracę przy ładowaniu barki. Zanim z Pawłodaru przywieźli nas do sowchozu, zatrzymali nas w elewatorze

zbożowym nad Irtyszem, a że nie mieli dostatecznej liczby robotników, więc zmusili nas do ładowania barki, obiecując zapłatę i pół kilograma chleba. Poznałam jeszcze jeden rodzaj pracy ponad siły. Wpędzono nas na pokład, każda dostała do ręki drewnianą łopatę, którą nagarniałyśmy zboże do najdalszych zakątków pokładu. Z elewatora transporterem zboże sypało się na pokład, jak z rogu obfitości. Z trudem nadążyłyśmy rozgarniać sypiące się bez przerwy zboże, bałyśmy się, że nas zasypie, nawoływałyśmy się, aby nie zasnąć ze zmęczenia, bo ładowanie barki trwało całą noc. Kiedy o świcie wyszłyśmy na powierzchnię, byłyśmy nieludzko zmęczone i zakurzone od stóp do głów. Na szczęście było dosyć ciepło, więc zanurzyłyśmy się w wodach Irtysza. Wykąpałyśmy się, wyprałyśmy sukienki, które wysuszyłyśmy na brzegu rzeki, korzystając tymczasem z kąpieli. Za ciężką, całonocną pracę, nie otrzymałyśmy zapłaty ani kawałka chleba. Zostałyśmy odwiezione do sowchozu, w którym - jak już wspomniałam - zamieszkałyśmy w oborach i cielętnikach. Prawie wszyscy Polacy mieszkali w jednej izbie ze stałymi mieszkańcami fermy. Wyjątek stanowiły 2 rodziny, które otrzymały oddzielne izby. Była to czteroosobowa rodzina Ambrożejów z Białegostoku i trzyosobowa rodzina Stasiewiczów również z Białegostoku. P. Ambrożej był cieślą na fermie, a p. Stasiewicz dowoził paliwo do traktorów i kombajnów. Tak się szczęśliwie złożyło, że było nas kilka młodych dziewcząt, chętnych do pracy kulturalno-oświatowej. Nie miałyśmy jednak możliwości spotykania się po pracy i tak zrodziła się myśl wybudowania domu dla Polaków. Dom ten budowałyśmy po pracy. Głównym budowniczym była p. Malasiewiczowa. Jedne dziewczęta orały step i cięły darń na kawałki w formie cegieł. Drugie dowoziły materiał na miejsce budowy. Trzecie donosiły i podawały cegły, a p. Malasiewiczowa stawiała mury. Kiedy mury osiągnęły odpowiednią wysokość, przykryłyśmy je żerdziami, przywiezionymi z lasu, na to kładzione było siano, potem przysypane ziemią, a na koniec dach wylepiono gliną. Dom miał 4 izby i długi korytarz. Cały dom na zewnątrz i wewnątrz był wylepiony żółtą i pobielony białą gliną, która błyszczała, jak farba olejna. Każda izba miała jedno nieduże okno i jedne drzwi. Piece kuchenne zbudowała córka potomka polskich zesłańców o nazwisku Letniowski, który był stolarzem. Był to przystojny, wysoki, w starszym wieku mężczyzna. Z dumą mówił: „my toże polskaja szlachta" (my także jesteśmy polską szlachtą). Rzeczywiście, rodzina Letniowskich wyróżniała się jakąś dumą rodową, ale nikt z nich już po polsku nie mówił. Na tej fermie mieszkał jeszcze jeden samotny, starszy Polak rodem z Koła, pięknie mówił po polsku, a był to p. Łaszkiewicz. Chciał z nami wrócić do Polski, ale go nie puścili, bo był obywatelem sowieckim, a dostał się do Rosji w czasie pierwszej wojny światowej. Wracam jeszcze do naszej budowy. Otóż piece kuchenne były budowane z cegły surówki. Te cegły rozbiłyśmy z gliny i suszyły się one na stepie. Dom był gotowy w przeciągu kilku tygodni. Miejscowi nazwali go: „polskij dworiec" (polski pałac). Pierwszą z brzegu izbę musiałyśmy oddać na biuro. W drugiej, największej, zamieszkała p. Malasiewiczowa z córką i ja z mamą i siostrą. W trzeciej p. Błońska z 2 córkami i p. Jaworowski z 2 córkami i wnuczką. W czwartej państwo Czaykowscy z 2 córkami i p. Pinkoszowa z córką. Była to nasza druga zima w Pryirtyszieskom Ziernosowchozie na fermie nr 2. W czasie tej i następnych jeszcze zim wysyłano nas w step na tzw. „sniegozadierżanie" (dosłownie zatrzymywanie śniegu). Trzeba było łopatami kopać śnieg i ustawiać mury na stepie dla zatrzymania śniegu, zapewniającego wilgoć na polach pod uprawę pszenicy. Uważam, że była to robota bezcelowa, mająca na celu gnębienie nas. Pamiętam, jak w czasie silnych mrozów trzewiki przymarzły nam do śniegu, a kiedy zbliżał się zachód słońca, mróz

potęgował się i trzeba było szybko poruszać się, by nie przemarznąć do szpiku kości. Zwykle wtedy do domu biegłyśmy, by jak najprędzej zdjąć obuwie i rozgrzać zmarznięte nogi. Mimo zmęczenia miałyśmy jeszcze ochotę, by zebrać się razem porozmawiać i pośpiewać. Zwykle gromadziłyśmy się w naszej izbie dlatego, że była największa i choć sąsiadowała z biurem, nie miałyśmy z tego powodu żadnych przeszkód. Kiedy słyszałyśmy, że do biura zaczynają się zjeżdżać różni „dygnitarze" z centrali sowchozu, przestawałyśmy śpiewać. Zwykle wtedy przychodził ktoś z biura i zachęcał, byśmy dalej śpiewały, bo to im nie przeszkadza, gdyż pięknie śpiewamy, a oni chętnie słuchają. A śpiewałyśmy różne pieśni, a więc religijne, patriotyczne, ludowe, harcerskie, no i zapamiętane przeboje. Do swego repertuaru włączałyśmy też rosyjskie dumki i rzewne pieśni, które powstawały w czasie przeciągającej się wojny. My też uczyłyśmy śpiewać nowy hymn państwowy „ Sojuz nieruszymyj riespublik swobodnych", gdyż miejscowa młodzież nie mogła jakoś przyswoić sobie tej melodii, a nam się to udało. Nasza młodzież stanowiła zorganizowaną grupę, z którą liczyły się miejscowe władze, gdyż prace powierzone Polkom był wykonywane dobrze i w terminie. Pamiętam, jak jednego lata nasza ferma, dzięki pracy Polek została wyróżniona za terminowe zakończenie żniw. Odbył się wtedy zjazd przodujących sowchozów, na którym wystąpił nasz „zespół pieśni i tańca". Tu nadmieniam, że w międzyczasie taki zespół zorganizowałyśmy i już miałyśmy za sobą kilka udanych występów, które się bardzo podobały mieszkańcom fermy. Kiedy więc odbywał się zjazd przodujących sowchozów, zarządzający fermą zwrócił się do nas, by nasz zespół wystąpił na zjeździe. Śmiechu było wtedy co niemiara, bo przyjechał po nas samochód ciężarowy z czerwonym sztandarem i w wielkiej gali zawiózł nas na miejsce. Nasz „uprawliajuszczij" (zarządzający fermą) spacerował z nami dumny jak paw. A kiedy jego koledzy po fachu zwracali się do niego z pytaniem: skąd u ciebie tyle interesujących ludzi? Odpowiadał: to sami Polacy. Występ naszego zespołu wzbudził entuzjazm, okrzykom: brawo, bis! nie było końca. Kilkakrotnie zespół powtarzał krakowiaka, mazura i kujawiaka. Zachwyt sprawiły przemyślnie skombinowane stroje dziewcząt (tańczyły same dziewczęta). Spódniczki z kretonowych, kwiecistych, wypożyczonych od Rosjanek dywaników, korale z fasoli, wianuszki na głowie z kwiatków z pomalowanego na kolorowo papieru pergaminowego, zdobytego od pracownic miejscowej mleczarni i furkoczące pergaminowe, różnokolorowe wstążki, białe bluzeczki, fartuszki z serwetek, podnosiły urok wykonywanych punktów programu. Mistrzyniami w wyrobie wianuszków były koleżanki z Białegostoku, Błońskie i Jaworowskie. W śpiewie przodowała Krysia Czaykowska i moja siostra Jadzia. Na zakończenie zjazdu, wszyscy jego uczestnicy byli podejmowani obiadem z 3 dań. Na fermie urządziłyśmy „dożynki", naturalnie w j. rosyjskim. Były to wieńce dożynkowe z kłosów zbóż, ozdobione kwiatami i wstążkami z pergaminu, przyśpiewki i tańce. Miejscowi „dygnitarze" byli zachwyceni, bo nigdy czegoś podobnego nie widzieli. A każdy z nich otrzymał inny wieniec i usłyszał odpowiednią przyśpiewkę, którą same komponowałyśmy. Długo w ich domach były przechowywane nasze dożynkowe wieńce. Miejscowa młodzież zachęcona naszym przykładem zorganizowała swój zespół, którym kierowała księgowa imieniem Tamara. Była to osoba inteligentna, która była na zesłaniu z tej racji, że mąż jej był skazany na 10 lat bez prawa „pieriepiski", to znaczy nie mógł korespondować z rodziną. Zapamiętałam, jak osobiście recytowała wyjątki z „Oniegina". Te wszystkie nasze występy, spotkania i zebrania odbywały się w szkole, w której była tylko jedna izba lekcyjna. W dzień odbywały się w niej

lekcje, a wieczorami zebrania. Na występy polskiego zespołu przychodzili wszyscy; i starzy i młodzi. Zawsze dopytywali się, kiedy będzie następny występ.

Wracam jeszcze do innych prac przez nas wykonywanych. W zimie jeździłyśmy też do lasu po drzewo na opał. Dostawałyśmy sanie zaprzężone w parę wołów, piłę i siekierę i jazda do odległego o kilka kilometrów lasu. Sanie zostawiało się na skraju lasu, bo w lesie nieraz śnieg po pas. Najchętniej wybierałyśmy średniej grubości brzozy, które najpierw ścinałyśmy piłą, potem odrąbywałyśmy konary. Tak oczyszczony pień dzieliłyśmy na części i wynosiłyśmy na sanie. Wyjazd do lasu trwał zwykle cały dzień, a zdarzało się, że zmęczone woły nie zdołały dociągnąć ładunku na fermę. Trzeba było je wyprzęgać i drzewo zostawiać w stepie, a na drugi dzień jechać po nie z inną parą wołów. W zimie odwoziłyśmy również zboże do odległego o 12 km od fermy elewatora. Każda z nas dostawała sanie, na których była duża skrzynia i parę wołów. Same nasypywałyśmy ziarno do skrzyni w ilości kilku kwintali. W elewatorze ważono skrzynie ze zbożem. Potem znowu same wyładowywałyśmy i z pustymi skrzyniami ponownie zajeżdżałyśmy na wagę. A wczesną wiosną znowu przywoziłyśmy z elewatora zboże na siew. Zwykle ja byłam odpowiedzialna za zdawanie i pobieranie zboża z elewatora. Przy mnie ważono i wręczano mi kwity, które zdawałam w biurze na fermie. Utkwiła mi w pamięci jedna dramatyczna noc, jaką przeżyła moja brygada tzw. „izwozczikow" woźniców. Był mroźny, zimowy dzień i nic nie zapowiadało nadchodzącej zamieci. Zdążyłyśmy dojechać do elewatora, wyładować zboże, a tymczasem zbliżał się wieczór, a z nim zamieć śnieżna. Było nas 6 osób, 2 Polki, Lusia Malasiewicz i ja, Rosjanka, Iranka i dwóch rosyjskich chłopców, którzy mieli konie w zaprzęgu, a my woły. Chłopcy pierwsi wyładowali zboże i jak wicher pomknęli do domu. My zaś pod wieczór przy wzmagającej się zadymce wyruszyłyśmy w drogę powrotną. Całą noc błądziłyśmy w stepie i nie mogłyśmy trafić na właściwą drogę. Śnieg zasypywał nam oczy, woły z trudem brnęły w śniegu po pas. Chwilami stawały ze zmęczenia. Dwie Marusie (Rosjanka i Iranka) modliły się głośno słowami: „Matier' Boża sochrani" (Matko Boska, broń). Byłam najstarsza wiekiem, no i pewnym doświadczeniem życiowym, podtrzymywałam je więc na duchu i wierzyłam głęboko, że Matka Boska Nieustającej Pomocy wyprowadzi nas z zamieci. I nie zawiodłam się. O brzasku dnia trafiłyśmy do kołchozu, sąsiadującego z elewatorem. Zwróciłyśmy się do kierownika kołchozu, żeby dał siana naszym zmęczonym wołom. Odmówił, tłumacząc się, że dla swoich zwierząt nie ma dostatecznej ilości pasz. Wróciłyśmy do elewatora zmęczone, głodne, w przemoczonej odzieży. Życzliwy magazynier wprowadził nas do swojej dyżurki, w której przy żelaznym piecyku wysuszyłyśmy przemoknięte odzienie i obuwie. Tymczasem zawieja stawała się coraz mniejsza, mogłyśmy ruszyć w drogę powrotną do domu. Nasze biedne wołki z początku raźno ruszyły w drogę, ale w miarę przebytych kilometrów szły coraz wolniej. Pod wieczór dotarłyśmy do domu. A w naszych domach i na fermie rozpacz i najgorsze przewidywania, bo chłopcy wrócili tego samego dnia, a nas nie było całą noc i następny dzień. Kiedy wróciłyśmy, wszyscy wybiegli na nasze powitanie. Tu muszę wspomnieć, że najbardziej niepokoiła się Marysia Czaykowska. Opowiadała mi Jadzia (moja siostra), że całą noc nie spała i co chwilę przychodziła się pytać, czy wróciłyśmy. Po naszym szczęśliwym powrocie wszyscy odetchnęli z ulgą. Potem jeszcze wiele razy odwoziłyśmy zboże, ale wracałyśmy szczęśliwie w tym samym dniu.

W czasie naszego pobytu w Pryirtyszieskom Ziernosowchozie zmieniali się dyrektorzy sowchozu, zarządzający fermą i brygadziści. Byli to różni ludzie, życzliwi i prostacy.

Zapamiętałam brygadzistę o nazwisku Łoziński. Był on spokrewniony z rodziną Letniowskich, ale różnił się tym, że był gruboskórny i lekceważąco odnosił się do przeważającej liczby pracujących na fermie kobiet. Każdej, bez względu na wiek mówił: ty. Wszystkie były oburzone, ale żadna nie miała odwagi, by zwrócić mu uwagę. Przez jakiś czas milczałam, ale w końcu postanowiłam z tym skończyć. I kiedy, jak zwykle usłyszałam: „Maruśka pajdiot tam" (Maryśka pójdzie tam), odpowiedziałam: ja wam nie Maruśka, zwracam się do was w kulturalny sposób i tego samego żądam w stosunku do siebie. Łoziński zdębiał, popatrzył na mnie z góry i po namyśle powiedział: „smotri, kakaja panja, kak budiesz w Warszawie, budiesz panja" (popatrz jaka pani, jak będziesz w Warszawie, to będziesz panią). Na to ja odpowiedziałam: byłam panią, jestem panią i będę panią. Nic nie odpowiedział, ale nigdy już nie mówił nam: ty. Zrozumiał, że przegrał, bo powiedziałam to w towarzystwie Rosjanek, które powiedziały: „brawo Marusia". Negatywną dla nas postacią był również ostatni przed naszym wyjazdem zarządzający fermą, Mołorykin. Ten otwarcie mówił, że gdyby mógł, to nikogo z Polaków nie wypuściłby z sowchozu. Trudno mu było pogodzić się z tym, że wkrótce Polacy wrócą do swojej ojczyzny. I nawet w ostatni dzień przed wyjazdem musieliśmy pracować.

Po wybudowaniu domu pomyśleliśmy też o założeniu ogródków warzywnych. Była to ciężka praca, bo step kopałyśmy łopatami. Same też zrobiłyśmy ogrodzenie z gałęzi przywiezionych z lasu. Przydzielono nam też małe kawałki ziemi, na której mogłyśmy posadzić ziemniaki. Było więc już zabezpieczone jakieś wyżywienie na zimę. A kiedy w lutym mama wraz z p. Malasiewiczową poszły do pobliskiego kołchozu, Abaj i przyniosły parkę 2-tygodniowych małych prosiąt, była nadzieja, że następną zimę będzie tłuszcz i mięso, którego nam bardzo brakowało. I teraz jeszcze jedna rewelacja z życia zwierząt, które żyją w jednej izbie razem z nami. Świnka p. Malasiewczowej wabiła się Muszka, a nasz wieprzek Bączek. Miały wyznaczony kącik do spania i oddzielny do załatwiania się. Prosiaczki te doskonale nas rozumiały, reagowały na każde zawołanie. Lubiły się gonić po izbie, a najbardziej popisywały się, gdy przyszedł ktoś obcy. Pamiętam, że kiedy pewnego razu odwiedził nas zootechnik, który przyjechał z centrali sowchozu, był zachwycony zachowaniem się prosiaczków, które popisywały się swoją gonitwą, a na nasze słowa: „Muszka, Bączek, już dosyć zabawy, teraz czas spać" posłusznie przestały biegać i położyły się na swoim legowisku. Zdziwiony zootechnik powiedział: „U Poljakow i prosjata kulturalnyje" (U Polaków i prosięta kulturalne). Oprócz prosiaczków w klatce były jeszcze 2 czy 3 kurki. Ten cały zwierzyniec na wiosnę został przeniesiony do korytarza, gdzie miał specjalne ogrodzenie. Przez wiosnę i lato prosiaczki żywiły się trawą na stepie i ziarnem, rozsypanym nieraz na drodze. Nie pamiętam, kto zabijał te prosiaki, bo nie chciałyśmy tego widzieć, gdyż były one wytresowane, jak pieski i z daleka nas poznawały i biegły do nas. Przypuszczalnie osiągnęły wagę około 50 kg. Zima była jako tako zabezpieczona, były ziemniaki, kilkanaście kg pszenicy, słonina i mięso. Gorzej było z odzieżą i obuwiem, którego nie można było i nie było za co kupić, a ta, którą otrzymałyśmy z darów, zdążyła się zniszczyć. Kiedy odmówiłam, że nie pojadę z ziarnem do elewatora, bo nie mam ciepłego obuwia, sądzono mnie i skazano na 3 miesiące pracy przymusowej i potrącenie zarobków. Na moje szczęście powiały korzystniejsze dla nas wiatry w polityce i karę odwołano. Echa dalekiej polityki odczuwaliśmy nieraz dotkliwie. Oto przyszedł moment, że NKWD zażądało, abyśmy stawiły się w rejonie, bo wręczą nam sowieckie dowody osobiste. Niektóre dotarły do rejonu, ale dowodów nie przyjęły. Ja wraz z

siostrą i kilku innymi wróciłyśmy z połowy drogi. Ogarnął nas niepokój o dalszy nasz los. Dowiedział się o tym dyrektor sowchozu i przyjechał na fermę. Radził nam, żebyśmy przyjęły te dowody, bo w przeciwnym razie pójdziemy do więzienia, z którego nie wrócimy. Po kilku dniach na fermę przyjechało NKWD i wręczyło nam dowody, które z oporem, ale - za radą dyrektora sowchozu -przyjęłyśmy. Sprawdziły się przewidywania dyrektora sowchozu, bo po kilku tygodniach to samo NKWD zjawiło się znowu na fermie i odebrało nam sowieckie dowody. W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że organizuje się Związek Patriotów Polskich. Wkrótce z rejonowego miasteczka Żelezienka otrzymaliśmy propozycję, aby zorganizować Koło ZPP, które będzie przygotowywało Polaków do powrotu do kraju. Miejscowe władze otrzymały nakaz, aby ułatwiły nam kontakty z nadrzędnymi komórkami ZPP. Zorganizowałyśmy więc Koło ZPP i teraz, już w zorganizowanym zespole, kontynuowaliśmy pracę kulturalno-oświatową. Odżyły nadzieje na powrót do kraju, ale termin upragnionej podróży wydłużał się niemiłosiernie. Aż przyszła zima 1945 r. i coś drgnęło. Z Żelezienki dotarła do nas wiadomość, że w lutym tego 1945 roku ma odbyć się w Pawłodarze zjazd ZPP, na którym zostaniemy dokładnie poinformowani, jak należy się przygotować do czekającego nas powrotu do ojczyzny. Należało wysłać delegata na wspomniany zjazd. Nie było jednak chętnych, bo zima surowa, odległość 200 km, podróż przygodnym, odkrytym samochodem ciężarowym. W tej sytuacji zdecydowałam się na tę ryzykowną podróż, choć fizycznie byłam najsłabsza w naszym zespole. Zdawałam sobie bowiem sprawę, że musimy być zorientowani w sprawach dotyczących naszego losu. Ubrałam się ciepło, na nogi obułam pożyczone od wysiedlonej Niemki walonki, do torby wzięłam chleb ze smalcem i pieszo wyruszyłam do odległej o 20 km Żelezienki. Tam zgłosiłam się u p. Kaszyńskiej z Białegostoku. Pani ta była przewodniczącą rejonowego Koła ZPP. W Żelezience też nie było chętnych na wyjazd. Byłam więc sama, ale nie opuszczała mnie wiara w udaną podróż. P. Kaszyńska dowiedziała się, że mają odwozić więźniów do Pawłodaru, jest więc okazja do wyjazdu. Zgłosiłam się do naczelnika więzienia z prośbą, by zgodził się na mój wyjazd z więźniami. On popatrzył na mnie z uśmiechem i powiedział: „nie, obywatelko, wy nie pojedziecie z więźniami". Na to ja: „jeśli spóźnię się na zjazd, wy będziecie za to odpowiedzialni". Naczelnik zapewnił mnie, że na pewno zdążę, bo on się o to postara. Zapytał jeszcze, u kogo zatrzymałam się w Żelezience, by mógł mnie zawiadomić. Słowa dotrzymał, bo na drugi dzień przysłał posłańca, bym się zgłosiła do więzienia, bo pojedzie samochód po paliwo, którym mogę jechać. Kierowca ciężarówki wskazał mi miejsce wśród pustych, blaszanych beczek, na wiązce siana i tak się zaczęła moja podróż przez bezbrzeżny step, do odległego o ponad 200 km Pawłodaru. Tą samą ciężarówką jechało jeszcze 2 przygodnych pasażerów, kobieta i mężczyzna. Samochód z trudem brnął przez zaspy śnieżne i nasza podróż trwała dwie doby. Dwie noce spaliśmy w tak zwanych przydrożnych zajazdach u znajomych kierowcy. Na szczęście nie było zamieci, więc udało się bez większych przeszkód dojechać do celu. Zjazd odbywał się w miejscowym domu kultury, który miał swą siedzibę w dawnym meczecie muzułmańskim, na co wskazywała architektura budowli. Obrady trwały 3 dni, przyjechało 2 delegatów ZPP z Moskwy, którzy poinformowali licznie zebranych delegatów o sposobach przygotowania poszczególnych oddziałów ZPP do rejestracji obywateli polskich. Cieszyłam się, że udało mi się wziąć udział w Zjeździe, ale powrót do sowchozu był bardzo utrudniony. Na czas pobytu w Pawłodarze korzystałam z gościny miłej koleżanki po fachu, p. Zofii Wincze, rodem z okolic Wilna. Codziennie od rana biegałam od zajazdu do zajazdu, gdzie zatrzymywały się ciężarówki,

bym mogła wrócić do domu. Moje zabiegi przedłużały się, bo akurat do Żelezienki nikt nie jechał. Każdego wieczoru czułam się zmęczona przemierzaniem kilometrowych ulic Pawłodaru, ale nie traciłam nadziei, że wreszcie wydostanę się z tego miasta, które przemierzyłam wzdłuż i wszerz. Po blisko 4-tygodniowej wędrówce po zajazdach trafiłam na samochód, który jechał do Żelezienki. Kierowca od razu zastrzegł, że za ruble on mnie nie zabierze. Uspokoiłam go, że dostanie parę nowych bucików, które otrzymałam w ramach pomocy dla mojej fermy. Zabrał też produkty żywnościowe, które również były przeznaczone dla moich podopiecznych. Serdecznie pożegnałam koleżankę Zosię Wincze i jej matkę (było to moje ostatnie pożegnanie, nie zobaczyłyśmy się nigdy więcej), wyruszając w drogę powrotną. Mróz był mniejszy, droga utarta, bo to już był marzec, więc dosyć szybko dotarłam do celu. Zgłosiłam się u p. Kaszyńskiej, poinformowałam ją o przebiegu obrad Zjazdu, zostawiłam przywieziony bagaż i pieszo wyruszyłam na swoją fermę. Następnego dnia jedna z naszych dziewcząt dostała parę wołów i pojechała do Żelezienki, by przywieźć zostawione tam rzeczy. Wszyscy czekali na wiadomości ze Zjazdu, które były dla nas pocieszające. Podzieliłam się nimi nie tylko z Polakami mieszkającymi na naszej fermie, ale i na fermie sąsiedniej. Wszyscy musieli się poddać szczepieniom przeciw ospie i przeciw tyfusowi. Dzięki współpracy koleżanki, Janki Ambrożej, z Ośrodkiem Zdrowia udało nam się uniknąć szczepień przeciw tyfusowi. Starałyśmy się o to, bo zdarzały się wypadki śmiertelne po szczepieniu przeciw tej chorobie. Tak zmarła 15 czy 16-letnia Marysia Balicka z Tarnopola, mieszkająca z rodzicami w Pawłodarze. Należało dokonać spisu wszystkich Polaków z naszej fermy, co też niezwłocznie uczyniłyśmy. W spisie podane były daty i miejsce urodzenia, miejsce zamieszkania w Polsce, wykształcenie, zawód, prace wykonywane w ZSRR, itd. Do dziś przechowuję odpis tego wykazu. Po upływie dłuższego czasu przyjechał na fermę oficer NKWD, który poinformował nas, że należy jeszcze przedłożyć metryki urodzenia. I tu konsternacja, bowiem wielu z nas nie posiadało jej. Oficer oświadczył, że może jeden drugiemu poświadczyć, gdzie się kto urodził. Zmartwiłam się tym, bo nie miałam metryki urodzenia, a urodziłam się w Niemczech. Na to p. Czaykowski powiedział, niech się pani nie martwi, ja poświadczę. I tu zabawny moment: enkawudzista czyta sformułowaną przeze mnie metrykę urodzenia i zwraca się do p. Czaykowskiego z pytaniem: Dortmund (miejsce mego urodzenia) to daleko od Tarnopola? Na to p. Czaykowski: niedaleko, 40 km. Struchlałam, a oficer jak gdyby nigdy nic odpowiada, dobrze, to rzeczywiście niedaleko, więc mogliście się znać. Po skończonych formalnościach i pomyślnym załatwieniu spraw związanych z naszym wyjazdem, śmialiśmy się do łez, że tak nam się udało z tym ograniczonym oficerem. Wszystkie wymagania dotyczące przygotowań repatriacji mieliśmy poza sobą i teraz czekaliśmy na sygnał wyjazdu. Minęła zima, wiosna, lato i jesień 1945 roku, a o naszym wyjeździe nic nie słychać. Pracujemy w dalszym ciągu, ale budzą się wątpliwości, zaczynamy tracić nadzieję, czy wydostaniemy się z tych bezkresnych stepów. Przeżyliśmy jeszcze zimę 1946 roku, a z nastaniem wiosny coś drgnęło…

Powrót do kraju

Dokładnie nie pamiętam, ale o ile mnie pamięć nie myli, wiosną 1946 r. dotarła do nas wiadomość, że wszyscy Polacy z naszej fermy mają się przygotować do podróży i przybyć do Żelezienki, skąd wyruszymy statkiem do Pawłodaru. Dostaliśmy parę wołów i wóz,

na który załadowaliśmy swoje tobołki i pieszo, żegnani przez mieszkańców, ruszyliśmy do wspomnianej Żelezienki. Odprowadzała nas młodzież, która ciągle powtarzała, jak my będziemy bez was żyć, kto nam będzie organizował spotkania z piosenką i tańcem. Pocieszaliśmy ich, że będzie coraz lepiej, bo wojna się skończyła i nauczyli się przecież od nas, jak można w tych bardzo prymitywnych warunkach uprzyjemnić sobie życie, organizując towarzyskie spotkania. Odprowadzający nas młodzi chłopcy i dziewczęta dotarli z nami do Żelezienki. Żegnali nas z płaczem, że musimy się rozstać. W Żelezience zgromadziło się wielu Polaków z sąsiednich sowchozów i kołchozów. Wszyscy czekaliśmy na statek, który miał nas przewieźć do Pawłodaru. Żaden z przepływających przez Żelezienkę statków nie chciał nas zabrać. Nasze oczekiwanie przedłużało się, kończyły się zapasy żywności, które przygotowaliśmy na czas podróży. Po przeszło tygodniowym, daremnym wyczekiwaniu na statek, postawiliśmy ultimatum naczelnikowi miasteczka, aby postarał się o nasz wyjazd albo zaopatrzył nas w żywność. Życzliwie zareagował na nasze żądania i zapewnił, że zrobi wszystko, żeby nam dopomóc. Byliśmy świadkami, jak prosił kapitana statku, który na krótko zatrzymał się w przystani, aby nas zabrał. Buńczuczny kapitan statku odpowiedział: „ja tutaj jestem gospodarzem i nikt nie będzie mi rozkazywał kogo mam zabrać". Wydał rozkaz, by statek ruszył w dalszą drogę. Zdesperowany naczelnik miasteczka wsiadł na motocykl i jadąc równolegle z ruszającym statkiem, prosił kapitana, by ten zatrzymał statek i zabrał Polaków, bo oni czekają już ponad tydzień, kończą im się zapasy żywności, a on nie ma żadnych możliwości, by nas żywić. Pomogły nalegania i prośby, statek zatrzymano, rzucono pomost i rozkaz: w przeciągu 20 minut wszyscy mają być na statku. Pamiętam gorączkowy pośpiech i to, że niejeden z nas wpadał do wody, ale jakoś szczęśliwie zdążyliśmy wejść na statek. Zziajani, zmęczeni, ale uszczęśliwieni, że oto płyniemy do Pawłodaru. Nie pamiętam nazwy statku, ale wiem, że była to normalna jednostka żeglugi pasażerskiej, kursująca po Irtyszu od wiosennych roztopów aż do pierwszych dni zimy, kiedy Irtysz zamarzał. Podróż statkiem była przyjemna, mieliśmy pełną swobodę, mogliśmy oglądać wszystkie urządzenia statku. Przypominam sobie, że pewnego wieczoru, kiedy wpatrywaliśmy się w rozgwieżdżone niebo i wsłuchiwaliśmy się w szum fal Irtysza usłyszeliśmy jęk i skargę polskich tułaczy, czekających na brzegu. Zwróciliśmy się do kapitana statku z prośbą, by zatrzymał statek i zabrał oczekujących. Tym razem kapitan szybko uległ prośbom naszych ładnych dziewcząt i zabrał zziębniętych, obdartych i głodnych zesłańców. Kiedy weszli na statek, kapitan wydał rozkaz byśmy natychmiast oddalili się i zabronił nam stykać się z nimi. Okazało się bowiem, że byli brudni, obdarci i zawszawieni. Okazał im serce i umieścił ich blisko maszynowni, by mogli się ogrzać. Nam nie pozwolił przychodzić do nich, gdyż obawiał się, że mogą być chorzy i możemy się zarazić. Dowiedzieliśmy się, że przez cały rok nie jedli chleba, a na brzegu Irtysza, pod gołym niebem, ponad tydzień czekali na statek. Wdzięczni byliśmy dowódcy statku, że okazał serce znękanym tułaczom.

Do Pawłodaru dotarliśmy w pierwszych dniach maja, o szarym świcie. Od rzeki wiał lekki wiatr, a chłód wczesnego ranka przejmował od szpiku kości. Znowu prosiliśmy kapitana statku, by pozwolił nam pozostać na statku do wschodu słońca. Tym razem nie uległ naszym prośbom, tłumacząc się, że statek musi być wyładowany, umyty i natychmiast załadowany solą. Wysiedliśmy na brzeg, na którym leżały hałdy miału węglowego. Kiedy wzeszło słońce, zobaczyliśmy swoje twarze, czarne od pyłu węglowego. Pospiesznie dziewczęta wytarły twarze i pospieszyły do miasta, by dowiedzieć się o dalszej naszej podróży. Okazało się,

że wszystkie budynki szkolne są już zajęte przez repatriantów, nam zostało boisko szkolne. Na tym boisku spędziliśmy kilka nocy, oczekując na pociąg, którym mieliśmy dojechać do kraju. Noce były zimne, więc wszyscy starsi ludzie znaleźli noclegi u dawnych znajomych rodzin rosyjskich. Moja siostra zachorowała na ischias, nie było mowy, aby mogła spędzić noce pod gołym niebem. Myślałyśmy, że może uda nam się dostać nocleg w hotelu, lecz nic z tego. W recepcji postawiono nam pytanie: „sprawka u was jes't?" (czy macie skierowanie). Bez skierowania nie można było zamieszkać w hotelu. Wtedy postanowiłyśmy, że mama i siostra poproszą o nocleg gospodynię, u której kiedyś mieszkałyśmy, choć było to daleko od śródmieścia, ale nie miałyśmy innych możliwości. Przyjęła nas bardzo serdecznie i swoje łóżko odstąpiła Jadzi. Tak więc mama z Jadzią nocowały pod dachem, a ja wraz z innymi koleżankami nocowałyśmy na boisku. Głodne nie byłyśmy, bo w Pawłodarze każdy z nas otrzymał 10 kg chleba, masło, wędzoną baraninę, konserwy rybne, skondensowane mleko, itp. Przypominam sobie, że pewnej nocy tak zmarzłyśmy, że postanowiłyśmy pójść do łaźni i być tam do wschodu słońca. Do łaźni mieliśmy wolny wstęp, bo przed wyjazdem wszyscy musieliśmy być w łaźni. Skorzystałyśmy więc z tej okazji i kilka godzin spędziłyśmy w obłokach ciepłej pory, chłodząc się od czasu do czasu zimnym prysznicem. Tymczasem nasza bielizna i odzież były odkażane. Odświeżone i w dobrym nastroju wróciłyśmy na boisko. Tak się szczęśliwie złożyło, że - o ile mnie pamięć nie myli - w tym właśnie dniu podstawiono pociąg. Teraz zaczęła się gonitwa po mieście, aby wszyscy dowiedzieli się, że pociąg czeka i trzeba się spieszyć. Znowu były to wagony towarowe. Przy zajmowaniu miejsc nie było żadnego tłoku, bo wagony były numerowane i mieliśmy przygotowane spisy tych, którzy mieli wyznaczone miejsce w poszczególnych wagonach, każdy wagon miał wyznaczonego kierownika. Po sprawdzeniu, czy wszyscy zdążyli zająć wyznaczone miejsca, pociąg ruszył w daleką drogę do kraju. Radość powrotu mąciła myśl o tych, którzy nie doczekali tej szczęśliwej chwili i spoczęli na wieki w obcej ziemi. Podróż znowu trwała dwa tygodnie, ale nie była już tak uciążliwa, bo na stacjach były otwierane wagony i mogliśmy z nich wychodzić. Po kilku dniach dojechaliśmy do Moskwy. Pociąg zatrzymał się na dworcu Białoruskim i stał całą noc. W tym czasie w Moskwie przebywała polska delegacja rządowa z Bierutem na czele. I chyba z tej okazji przywieziono do naszego transportu obiad z 3 dań, a dla dzieci bułeczki i płótno. Korzystając z pobytu w stolicy, grupa naszych dziewcząt postanowiła dotrzeć na Plac Czerwony. Wczesnym rankiem wybrałyśmy się na dworzec. Pociąg nasz stał w odległości prawie 3 km od budynku stacyjnego. Szybko pokonałyśmy tę drogę i zaraz na wstępie zwróciłyśmy się do pełniącego służbę milicjanta, by wskazał nam drogę do stacji metra, bo chcemy jechać metrem na Plac Czerwony. Na to milicjant odpowiedział, że metro zaczyna kursować dopiero o godz. 7-mej, ale na Plac Czerwony możemy teraz pojechać autobusem, a wrócić metrem. Tak też zrobiłyśmy i w kilka minut znalazłyśmy się blisko mauzoleum Lenina. Zaraz podszedł do nas milicjant pełniący tam służbę i rozpoczął z nami przyjacielską rozmowę. Mówił nam, że w czasie wojny był w Białymstoku i chciałby jeszcze raz to miasto zobaczyć. A Janka Ambrożejowa z Białegostoku zapytała: „a gdzie tu mieszka tow. Stalin?", staliśmy bowiem blisko Kremla. Na to milicjant nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął. Wyraziłyśmy też życzenie, że chciałybyśmy zwiedzić mauzoleum Lenina. Niestety, milicjant nie mógł spełnić naszego życzenia, bo zwiedzanie mauzoleum zaczynało się o godz. 11-tej. Nie mogłyśmy też zobaczyć wnętrza pięknej cerkwi, stojącej na Placu Czerwonym, gdyż była w remoncie, po którym miała być zamieniona na muzeum, którego otwarcie miało nastąpić

w czerwcu 1946 r. Na zakończenie naszej przyjacielskiej rozmowy uprzejmy milicjant ułamał gałązkę kwitnącego bzu z krzaka rosnącego przed cerkwią i na pożegnanie wręczył ją Jance. Wskazał nam też pobliską stację metra i tak rozstaliśmy się. Metrem byłyśmy zachwycone, to coś jak pałac z bajki, a podróż bardzo wygodna. A naszym dzieciom, które były z nami (o ile pamiętam była to trójka dzieci p. Janki Mazurowej, Genia Błońska) niezmiernie podobała się jazda ruchomymi schodami. Dla mnie ta jazda nie była nowością, bo - o ile mnie pamięć nie myli - w 1937 roku byłam w Warszawie i tam miałam przyjemność korzystać z ruchomych schodów w znanym przedwojennym domu towarowym braci Jabłkowskich. Po kilkuminutowej podróży metrem przyjechałyśmy na Dworzec Białoruski, a stamtąd pieszo do naszego transportu. Zachęcona naszym opowiadaniem o wspaniałościach metra, następna grupa młodych wyruszyła naszymi tropami. Nie zdążyli wrócić, a tymczasem nasz pociąg ruszył w dalszą drogę. Byliśmy zmartwieni, co się stanie z pozostałą grupą. Na szczęście grupa ta została najbliższym pociągiem dowieziona do stacji, w której zatrzymał się nasz transport. Szczęśliwie zakończyła się udana eskapada drugiej grupy. Teraz już niecierpliwie czekaliśmy, kiedy nareszcie przekroczymy granicę i znajdziemy się na polskiej, wytęsknionej ziemi. Pociąg zatrzymywał się na różnych stacjach, mogliśmy wychodzić z wagonów, pospacerować i nawet ugotować jakąś zupę, jeśli był dłuższy postój i znalazło się trochę opału. Na jednym z takich postojów dotarł do naszego wagonu Polak, pochodzący z miasta Łodzi, który był wywieziony do ZSRR. Udało mu się uciec i prosił, by mógł schronić się w naszym wagonie. Zgodziłyśmy się, choć zdawałyśmy sobie sprawę czym to grozi, liczyłyśmy na los szczęścia i tak się stało. Drugim zbiegiem, który nam towarzyszył od samej Żelezienki był Pers. Odprowadzał on swoją żonę z 2 dziećmi. Żoną jego była Polka z Białegostoku, pani po maturze, pielęgniarka z zawodu. Mieli dwóch uroczych chłopców, którzy doskonale posługiwali się j. polskim, rosyjskich i irańskim. Wspomniany małżonek chciał z całą swoją rodziną jechać do Polski. Ale ówczesne prawo sowieckie zabraniało mężczyznom, obywatelom ZSRR, repatriować się z rodziną do innego kraju. Kobieta, obywatelka ZSRR, żona Polaka mogła z nim jechać do Polski. Nasz Irańczyk miał pozwolenie odprowadzić żonę do Pawłodaru. Trudno mu było rozstać się z rodziną, więc postanowił odprowadzić ją do Moskwy. I ta podróż przebiegła szczęśliwie. Jak już dotarł do Moskwy, postanowił jechać do Polski. Nasz wagon był wtajemniczony w te plany i obydwaj uciekinierzy liczyli na naszą pomoc. Nie wychodzili z wagonów i ukrywali się przed oczyma konwojentów, którzy strzegli poszczególnych wagonów. W czasie tej powrotnej podróży spotykaliśmy też transporty Ukraińców, wywożonych do Kazachstanu. Kiedy stykaliśmy się oko w oko pytaliśmy „dokąd jedziecie", a oni odpowiadali: „tam, skąd wy wracacie". Nieustanna wędrówka ludów to obraz tego nieludzkiego kraju. Smutnie zapisał się w mej pamięci obraz wygłodniałych za drutami kolczastymi jeńców niemieckich, wyciągających do nas błagalnie ręce z wołaniem: „Brot" (chleba). Zawsze impulsywna p. Janka Mazurowa (nie żyjąca już dziś) w pierwszym odruchu zawołała: „och, wy, szwaby" to przez was ta wojna", ale zaraz się zreflektowała i zawołała: „trzeba im pomóc". Mieliśmy chleb, konserwy, nie byliśmy już głodni w czasie tej długiej podróży, więc rzucaliśmy za druty, co kto mógł, a oni rzucali się na to, jak wygłodniałe zwierzęta. Dobrze, jeśli pilnowali ich żołnierze o ludzkim sercu, którzy udawali, że tego nie widzą i odchodzili w drugą stronę. Ale byli i tacy, którzy nie dopuszczali jeńców do tych rzuconych im kawałków chleba. Widziałam też jeńców zbierających pod wagonami strużyny ziemniaków, ocierających je z piasku i jedzących na surowo. Wrył mi się w pamięć widok

jeńców niemieckich, wprzęgniętych jak konie do beczkowozów, wywożących nieczystości. Było to w Baranowiczach, gdzie pociąg nasz zatrzymał się na dłuższy postój. Te nieludzkie widoki wzbudziły we mnie wielki sprzeciw przeciw wojnie i wszelkiej przemocy. Pozostało w mej pamięci jeszcze jedno wspomnienie z Baranowicz. Dowiedzieliśmy się bowiem, że jest tu czynny kościół, w którym jest ksiądz. Szybko zorganizowała się duża grupa z panem, umiejącym grać na organach i wybrała się do kościoła, by poprosić księdza, aby odprawił krótkie nabożeństwo dla Sybiraków. Wiem, że nie mogłam pójść, bo w każdym wagonie musiał ktoś zostać. Poszła siostra Jadzia z mamą i wielu innych. Po jakimś czasie wszyscy wrócili smutni i zapłakani. Pytamy: co się stało, dlaczego płaczecie? Z płaczem opowiadali nam, że ksiądz, jeszcze młody, chętnie zgodził się na odprawienie krótkiego nabożeństwa, ale kiedy wyszedł do ołtarza, a przygodny organista zagrał „Serdeczna matko", którą to pieśń z płaczem zaczęli śpiewać znękani tułacze, zemdlał ze wzruszenia, serce młodego kapłana nie wytrzymało, zasłabł i nie mógł odprawić nabożeństwa. Sami więc, bez księdza, z płaczem śpiewali „Serdeczna matko, opiekunko ludzi…" i wrócili do pociągu.

Dojeżdżamy do granicy. Pociąg zatrzymuje się i teraz następuje kontrola poszczególnych wagonów. Wiemy, że w naszym wagonie jest uciekinier, w drugim Pers, towarzyszący swojej rodzinie. Obydwaj są ukryci za bagażami. Otwieramy szeroko drzwi wagonu, żeby zniechęcić konwojentów do kontroli, a nasze śpiewające dziewczęta zaczynają śpiewać ulubione przez żołnierzy piosenki. Ci zapominają o kontroli, zasłuchani i wpatrzeni „w krasiwyje diewoczki" żegnają nas. Zamykamy drzwi i pociąg rusza. Nasi „uciekinierzy" uratowani, wychodzą z ukrycia i dziękują nam za pomoc. Już na polskiej ziemi pociąg zatrzymuje się. Możemy wyjść z wagonów, ogarnia nas wzruszenie i radość z powrotu do Ojczyzny, wielu całuje ze czcią polską ziemię. Po krótkim postoju pociąg rusza w dalszą drogę na zachód. Zapamiętałam krótki postój w historycznej Wrześni, a następnie w Gnieźnie. Tu ucieszyłyśmy się, że będziemy mogły zobaczyć dawną stolicę Polski, w której jeszcze nie byłyśmy. Szybko wysiadłyśmy z pociągu, by jak najprędzej wyruszyć do miasta. Kiedy wyszłyśmy na ulicę i zobaczyłyśmy porządnie ubranych ludzi, cofnęłyśmy się, onieśmielał nas bowiem nasz ubogi ubiór. Nasze mamy poszły do miasta, a młodzież wróciła do pociągu. Z Gniezna pociąg ruszył w kierunku Pomorza Zachodniego. W jednym z miasteczek, w pobliżu dworca kolejowego, zwrócił naszą uwagę pomnik z napisem w j. rosyjskim: „My etu ziemlju zawojowali, my imiejem k niej prawo" (My tę ziemię zdobyliśmy, mamy do niej prawo). Był to pierwszy zgrzyt, który dotknął nas do żywego i obudził refleksję; to za tyle ofiar i przelanej polskiej krwi, rzekomy nasz sojusznik rości sobie prawo do naszych historycznych ziem… Wątpliwa to przyjaźń i niepewny to sprzymierzeniec. Po dwutygodniowej podróży pociąg nasz dotarł do celu, jakim był malownicze miasteczko Łobez. A że były to Zielone Święta, więc nikt na nas nie czekał w tzw. Urzędzie Repatriacyjnym. W dalszym ciągu żyliśmy w pociągu, w dzień chodziliśmy po mieście, które było bardzo zniszczone. Najładniejszą, niezniszczoną dzielnicę willową zajmowali żołnierze sowieccy. Po świętach w urzędzie zjawili się urzędnicy, którzy oświadczyli, że tu jest kres naszej podróży i że możemy zajmować dowolne domy, najczęściej bez drzwi i bez okien i w nich zamieszkać. W międzyczasie przychodzili też kierownicy pobliskich PGR-ów i próbowali werbować do pracy fizycznej. Szczęśliwsze były koleżanki z Białegostoku, które po przekroczeniu granicy opuściły nasz transport, udały się do swego miasta i do swoich domów. Tarnopolanie byli zdani na łaskę losu. Znowu odezwał się we mnie sprzeciw na osiedlenie się we wprawdzie malowniczym, ale ogromnie

zniszczonym przez wojnę miasteczku. Powiedziałam sobie: przez sześć długich lat żyłam na stepach, a teraz mam żyć w ruinach, nie! Po krótkiej rodzinnej naradzie, postanowiłyśmy jechać do Poznania, gdzie mieszkali nasi krewni. Dostałyśmy bezpłatne bilety i ruszyłyśmy do grodu Przemysława. I znowu zawód, krewni zginęli w czasie działań wojennych, a Urząd Repatriacyjny nie wykazał żadnej troski, by nam pomóc. Tym razem mama zadecydowała, że pojedziemy na wieś do siostry mamy. Przyjechałyśmy na stację Podstolice (stacja na trasie Poznań-Warszawa) i tu wysiadłyśmy. Mama zapytała urzędnika ruchu, czy zna Łopatków i czy oni są w domu. Urzędnik odpowiedział, że byli wysiedleni, ale już wrócili na swoje gospodarstwo. Z Podstolic do Racławek było 6 km. Mama powiedziała, wy zostańcie, a ja pójdę do Racławek. Pamiętam, że była to piękna, słoneczna, czerwcowa niedziela. Parę godzin czekałyśmy do chwili, kiedy przyjechał po nas wujek Łopatka z synem Kaziem, uczniem szkoły podstawowej. Obydwie z Jadzią nie znałyśmy tego wujka, ale urzędnik, gdy zobaczył wóz, powiedział: „to jedzie p. Łopatka". Po wymianie kilku zdań i serdecznym powitaniu, ładujemy na wóz swoje tobołki, wsiadamy i ruszamy w drogę do Racławek. Wujek opowiada nam, że tam czekają na nas z obiadem, bo wujek zaraz po powrocie z kościoła i spotkaniu z mamą zaprzęgał konia i jechał do Podstolic. Przez całą drogę opowiadaliśmy sobie o naszych wojennych losach. W gospodarstwie wujostwa został tylko dom mieszkalny (nowy, zbudowany w 1939 r.) i stodoła, reszta budynków została rozebrana, zagrabiony inwentarz, maszyny i narzędzia rolnicze, nawet ogrodzenie sadu Niemcy zdążyli spalić. Całe wakacje 1946 r. spędziłyśmy w gościnnym domu wujostwa Łopatków z tym, że Jadzia prowadziła półkolonię w Środzie Wlkp. Zgłosiłyśmy się w Inspektoracie Szkolnym w Środzie, gdzie bardzo życzliwie przyjął nas ówczesny inspektor szkolny p. mgr Franciszek Król. Skierował nas do pracy w Kleszczewie. Tu ucieszył się kierownik szkoły p. Jan Perczak, gdyż był sam, bo niewykwalifikowani nauczyciele najczęściej po kilku tygodniach rezygnowali z pracy w szkole. Ówczesna szkoła w Kleszczewie mieściła się w dwóch budynkach. Jeden z nich był murowany, w tym była tylko jedna izba lekcyjna i mieszkanie kierownika szkoły, drugi stary, stuletni, pod strzechą, z 3 izbami lekcyjnym i pokojem nauczycielskim. Nam proponowano pokoiki na poddaszu u poszczególnych gospodarzy. Znowu zadecydowałam, że na żadnym poddaszu mieszkać nie będę. Jeśli nie dostaniemy odpowiedniego mieszkania, rezygnujemy z pracy w Kleszczewie. Z tą decyzją wróciłyśmy do Inspektoratu Szkolnego w Środzie. Inspektor, nie chcąc tracić trzech wykwalifikowanych nauczycielek, w naszej obecności zadzwonił do p. starosty. Ten dał odpowiedź, że do jutra sprawę załatwi. W przeciągu 14 godzin przeniesiono urząd gminny z Kleszczewa do Komornik, a opróżniony budynek z ogrodem oddano trzem wykwalifikowanym nauczycielkom – repatriantkom. I tak mama, siostra i ja zajęłyśmy 3-pokojowe mieszkanie na parterze, a kol. Józefa Durkalec, repatriantka z okolica Sambora, zamieszkała w mniejszym, 2-pokojowym mieszkaniu na piętrze.

Maria Jankowiak, *ur. 9.11.1912 w Dortmundzie (Niemcy), zm. 7.02.2003 w Swarzędzu. Wczesne dzieciństwo spędziła u dziadków Huryszów w Targowej Górce. W okresie międzywojennym mieszkała z rodzicami w Tarnopolu. Ojciec, st. posterunkowy Policji Państwowej, uwięziony przez władze sowieckie w Ostaszkowie i zamordowany w Twerze. 12/13.04.1940 deportowana z mamą i siostrą do obwodu pawłodarskiego w Kazachstanie. Po powrocie do kraju w 1946 zamieszkała w Racławkach u rodziny Łopatków. Pracowała w szkole w Kleszczewie, a po przejściu na emeryturę przeprowadziła się do Swarzędza. Spoczywa na cmentarzu w Targowej Górce.*

St. post. PP Ignacy Jankowiak, ojciec autorki wspomnień. Źródło: Rada OPWiM

Konstancja z Huryszów Jankowiak, matka autorki wspomnień

Jadzia Jankowiak, siostra Marii

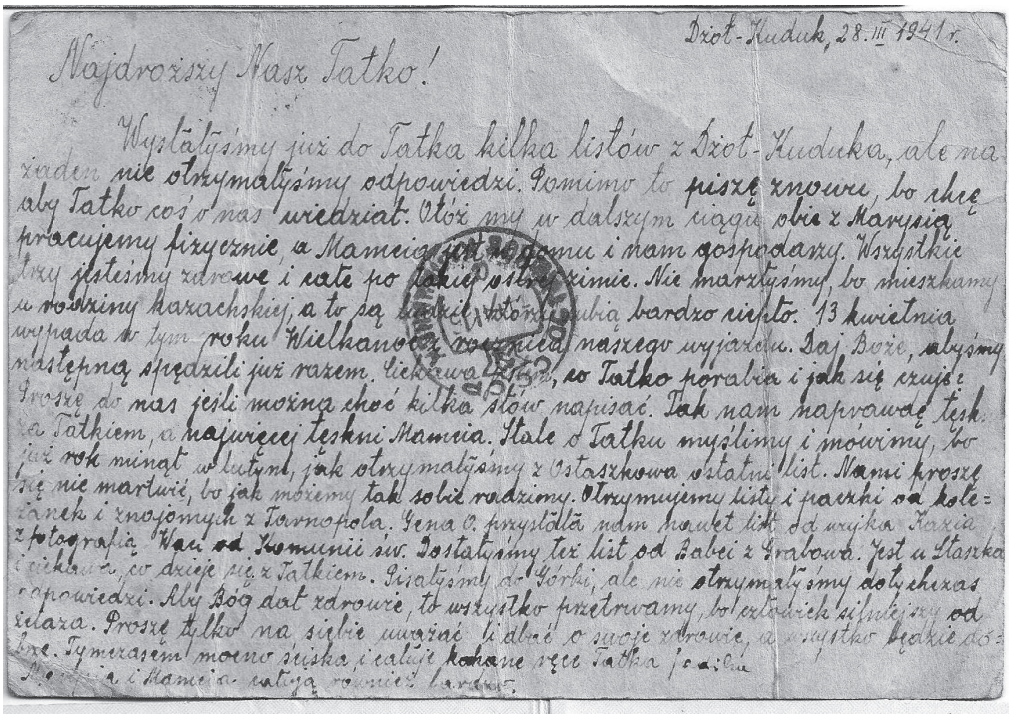

Dżoł - Kuduk, 28. III 1941 r.

Najdroższy Nasz Tatko!

Wysłaliśmy już do Tatka kilka listów z Dżoł - Kuduka, ale na żaden nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Pomimo to piszę znowu, bo chcę aby Tatko coś o nas wiedział. Otóż my w dalszym ciągu obie z Marysią pracujemy fizycznie, a Mamcia jest nam pomocą i nam gospodarzy. Wszystkie trzy jesteśmy zdrowe i zaś po takiej ostrej zimie. Nie marzniemy, bo mieszkamy u rodziny kazachskiej, a to są bardzo ciepłe [illegible] bardzo ciepło. 13 kwietnia wypada w tym roku Wielkanoc, a zarazem nasze wyjazdu. Daj Boże, abyśmy następną spędzili już razem. Ciekawa jestem, co Tatko porabia i jak się czuje? Proszę do nas jeśli można choć kilka słów napisać. Tak nam naprawdę tęsk. za Tatkiem, a najwięcej tęskni Mamcia. Stale o Tatku myślimy i mówimy, bo już rok minął w lutym, jak otrzymaliśmy z Ostaszkowa ostatni list. Mami proszę się nie martwić, bo jak możemy tak sobie radzimy. Otrzymujemy listy i paczki od kole= żanek i znajomych z Tarnopola. Irena O. przysłała nam komplet list. Od wujka Kazia z fotografią Wani od Komunii św. Dostaliśmy też list od Babci z Grabowa. Jest u Stasia i ciekawa, co dzieje się z Tatkiem. Pisaliśmy do Górki, ale nie otrzymaliśmy dotychczas odpowiedzi. Aby Bóg dał zdrowie, to wszystko przetrwamy, bo czasami ciężko od jedzenia. Proszę tylko na siebie uważać i dbać o swoje zdrowie, a wszystko będzie dobre. Tymczasem mocno ściska i całuje kochane ręce Tatka [illegible] a i Mamcia całują również bardzo.

Zwrócony list Jadzi do ojca w Ostaszkowie, napisany w Dżoł - Kuduk 28.03.1941 r.

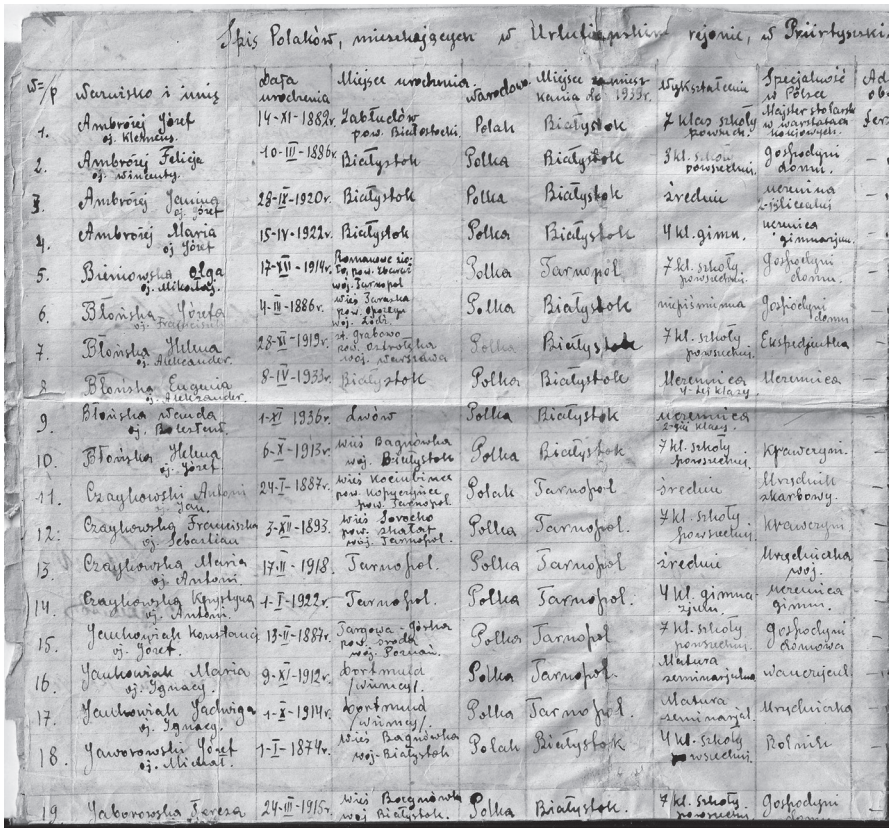

Spis Polaków, mieszkających w Urliutupskim rejonie, w Priirtyszski...

L.p.	Nazwisko i imię	Data urodzenia	Miejsce urodzenia	Narodowość	Miejsce zamieszkania do 1939 r.	Wykształcenie	Specjalność w Polsce	Adres obecny
1.	Ambroziej Józef oj. Klemensy.	14-XI-1882r.	Zabłudów pow. Białostocki	Polak	Białystok	7 klas szkoły powsz.	Majster stolarski w warsztatach kolejowych.	Iercz
2.	Ambroziej Felicja oj. Wincenty.	10-III-1886r.	Białystok	Polka	Białystok	3 kl. szkoły powszechnej	gospodyni domu.	—
3.	Ambroziej Janina oj. Józef	28-IV-1920r.	Białystok	Polka	Białystok	średnie	uczennica	—
4.	Ambroziej Maria oj. Józef	15-IV-1922r.	Białystok	Polka	Białystok	4 kl. gimn.	uczennica gimnazjum.	—
5.	Biriowska Olga oj. Mikołaj.	17-VII-1914r.	Romanowce (?) pow. Trembowla woj. Tarnopol	Polka	Tarnopol	7 kl. szkoły powszechnej	gospodyni domu.	—
6.	Błońska Józefa oj. Franciszek	4-II-1886r.	wieś Szwarska pow. Opatów woj. Kielce	Polka	Białystok	niepiśmienna	gospodyni domu	—
7.	Błońska Helena oj. Aleksander.	28-VI-1919r.	m. Grabowo pow. Ostrołęka woj. Warszawa	Polka	Białystok	7 kl. szkoły powszechnej	Ekspedjentka	—
8.	Błońska Eugenia oj. Aleksander.	8-IV-1933r.	Białystok	Polka	Białystok	Uczennica 4-tej klasy.	Uczennica	—
9.	Błońska Wanda oj. Robert.	1-XI 1936r.	Lwów	Polka	Białystok	uczennica 2-ga klasy.		
10.	Błońska Helena oj. Józef	6-X-1913r.	wieś Bagniówka woj. Białystok	Polka	Białystok	7 kl. szkoły powszechnej	Krawczyni.	—
11.	Czaykowski Antoni Jan.	24-I-1887r.	wieś Kociubińce pow. Kopyczyńce woj. Tarnopol	Polak	Tarnopol	średnie	Urzędnik skarbowy.	—
12.	Czaykowski Franciszka oj. Sebastian	3-XII-1893.	wieś Sowicko pow. Skałat woj. Tarnopol.	Polka	Tarnopol.	7 kl. szkoły powszechnej	Krawczyni	—
13.	Czaykowska Maria oj. Antoni.	17-II-1918.	Tarnopol.	Polka	Tarnopol	średnie	Urzędniczka woj.	—
14.	Czaykowski Krzysztof oj. Antoni.	4-I-1922r.	Tarnopol.	Polka	Tarnopol.	4 kl. gimnazjum.	uczennica gimn.	—
15.	Jaukowiak Konstanty oj. Józef.	13-II-1887r.	Tarnowa - Jezierna pow. Środa woj. Poznań.	Polak	Tarnopol	7 kl. szkoły powszechnej	gospodyni domowa	—
16.	Jaukowiak Maria oj. Ignacy.	9-XI-1912r.	Dortmund (Niemcy).	Polka	Tarnopol.	Matura seminarjalna	wauczycielka	—
17.	Jaukowiak Jachwiga oj. Ignacy.	1-X-1914r.	Dortmund (Niemcy).	Polka	Tarnopol.	Matura seminarjal	Urzędniczka	—
18.	Jaworowski Józef oj. Michał.	1-I-1874r.	Wieś Bagniówka woj. Białystok	Polak	Białystok	4 kl. szkoły powszechnej	Rolnik	—
19.	Jaborowska Teresa	24-III-1915r.	wieś Bagniówka woj. Białystok.	Polka	Białystok.	7 kl. szkoły powszechnej	gospodyni domu	—

Wykaz Polaków przebywających na zesłaniu w Fermie W-2 Ziernosowchozu w Urliutupskom rejonie, Pawłodarskoj obłasti. Cz.1

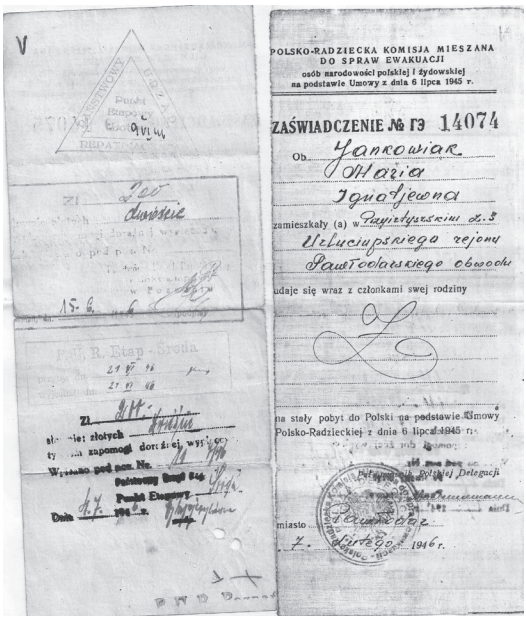

POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA
DO SPRAW EWAKUACJI
osób narodowości polskiej i żydowskiej
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

ZAŚWIADCZENIE № ГЭ 14074

Ob. Jankowiak
Maria
Ignacjewna

zamieszkały (a) w Pawłodarskiem o. 3
Urliupskiego rejonu
Pawłodarskiego obwodu

udaje się wraz z członkami swej rodziny

na stały pobyt do Polski na podstawie Umowy
Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.

miasto
7. Października 1946 r.

Dokument repatriacyjny, upoważniający do powrotu do kraju

Od lewej Jadwiga Jankowiak, Maria Jankowiak, NN

Siostry Jadwiga i Maria Jankowiak. Lata siedemdziesiąte XX w.

Wesele państwa Łopatków. 1962 r. Konstancja z Huryszów Jankowiak, mama autorki wspomnień, w chustce, druga na lewo od młodej pary.

Grób Jankowiaków w Targowej Górce. Foto. Michał Pawełczyk

Walerian Nowaczyk

Nalot na Peenemünde

Walerian Nowaczyk. 1937 r.

Urodziłem się w Nekli, 8 listopada 1914 r. Pochodzę z rodziny robotniczej, ojciec mój był majstrem drenarskim. Widocznie służyło mu świeże powietrze, bo dożył sędziwego wieku 101 lat.

Po ukończeniu szkoły podstawowej pracowałem w Firmie Budowlanej Kazimierza Szulca w Nekli, jako „pomoc biurowa". Zasadniczą służbę wojskową odbyłem w latach 1937-1938 w 17 Pułku Artylerii Lekkiej w Gnieźnie. Tam też ukończyłem Podoficerską Szkołę Łączności.

Po rozpoczęciu wojny skierowany zostałem jako podoficer rezerwy do 25 Pułku Artylerii Lekkiej do Kalisza. Wojsko służby czynnej było już w tym czasie na placówkach bojowych. Nas, rezerwistów, umundurowano i w pierwszych dniach września załadowano do wagonów kolejowych. Jechaliśmy trasą na Łódź, gdzie dowiedzieliśmy się z megafonów, że Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę. Bardzo się ucieszyliśmy, ale radość nasza nie trwała długo. Gdy dojechaliśmy w okolice miasta Końskie, transport nasz został zbombardowany. Lotnicy niemieccy uszkodzili lokomotywę, a następnie zaczęli strzelać do żołnierzy ukrywających się na poboczach torów. Były pierwsze ofiary – kilkunastu zabitych, którym na miejscu wyprawiliśmy pogrzeb. Nam, ocalałym, przypadł los przedzierania się dalej pieszo. Około 10 września dotarliśmy w kilku grupach na Lubelszczyznę, gdzie tworzył się punkt zborny dla rozbitych jednostek wojskowych. Moja grupa, około 20 żołnierzy, dołączyła do większego zgrupowania o nazwie Ośrodek Zapasowy Artylerii Lekkiej nr 7. Dowódcą naszym był Gruzin, płk Mikoładze, znający dobrze język polski. Ja, jako dowódca patrolu łączności, miałem do dyspozycji czterech kanonierów, konia i wóz taborowy.

Po skierowaniu na linię frontu i włączeniu się do działań zaczepnych, po dwóch dniach morderczych zmagań zostaliśmy okrążeni, ale nadal wycofywaliśmy się nocą do Tomaszowa Lubelskiego. Tam dostaliśmy się w strefę działań Armii Czerwonej, która przekroczyła granicę wschodnią i rozbroiła nasze mniejsze oddziały wojskowe. Było to dla nas wielkim zaskoczeniem i ciosem w plecy. Straciwszy wóz i konia, przedzieraliśmy się za wojskami niemieckimi, wycofującymi się ze swoich pozycji, aby sami nie dostać się do niewoli sowieckiej. Nie uniknęliśmy natomiast niewoli niemieckiej, w wyniku czego wysłany zostałem spod Puław do przymusowej pracy w III Rzeszy. Transport skierowany był do Meklemburgii, na wyspie Uznam, 40 km na północ od Swienemünde (Świnoujścia), do miejscowości Peenemünde, gdzie znajdowała się baza rakietowo-doświadczalna pocisków V1 i

V2. Mieszkaliśmy w dużym obozie Trassenheide, około 10.000 osób; 60% stanowili Polacy, resztę Czesi, Ukraińcy, Holendrzy i Francuzi.

Mieszkaliśmy w barakach, spaliśmy na piętrowych pryczach. Przydział żywności był skąpy, praca ciężka: codziennie na 10 godzin gnano nas do pogłębiania wykopów ziemnych. Obiad jedliśmy wieczorem: zupa z buraków i brukwi. Teren Peenemünde podzielony został na trzy strefy. Robotnicy przymusowi mogli przebywać tylko w strefie pierwszej, druga i trzecia były ściśle tajne. W strefie trzeciej pracowało pięciu inżynierów różnych specjalności: tam właśnie znajdowały się wyrzutnie rakietowe. Do pracy zawsze eskortowali nas w kolumnach żołnierze, same rakiety widzieliśmy tylko przy próbnych wystrzałach. Gdybym miał je do czegoś porównać, to powiedziałbym, że były podobne do rakiet wystrzeliwanych dziś w kosmos: kilka metrów wysokości, duży warkocz ognia i ogłuszający huk. Za pomocą tej broni Niemcy chcieli pokonać Anglię. Angielskie samoloty zwiadowcze często przelatywały nad terenem obozu, codziennie spodziewaliśmy się nalotu.

17 sierpnia 1943r., w nocy, nad obóz nadleciało ponad pięćset bombowców czterosilnikowych. Nalot okazał się dla nas, robotników, tragiczny. Anglicy błędnie zlokalizowali teren bazy i pierwsze eskadry przez pomyłkę zrzuciły bomby na nasz lager. Masa bomb burzących i zapalających, wszystko dookoła się waliło i paliło, trwało to kilka sekund, przypominało koniec świata. Nasz lager zniszczono w osiemdziesięciu procentach, kilkaset osób zostało zabitych, ponad tysiąc rannych.

Mnie dopisało trochę szczęścia. Tej nocy byliśmy w kantynie, ponieważ nasz barak zdezynfekowano ze względu na ogromną ilość pluskiew. O godzinie 23:30 zagrały syreny, wyszliśmy z kantyny i czekaliśmy, co będzie dalej. Minuty płynęły, ale alarmu nie odwoływano. Uznaliśmy, że samoloty odleciały w kierunku Berlina. Poszedłem do baraku kolegi, który położył się na pryczy. Usiadłem na taborecie i zasnąłem. Przyśniło mi się, że zaczął się nalot, że wszystko się pali. Właśnie ten sen mnie ocalił! Przerażony, obudziłem się, zerwałem i wybiegłem z baraku. I wtedy usłyszałem szum – to nadleciały pierwsze samoloty, które oświetliły teren, za nimi bombowce zrzucające od razu masę bomb. Odskoczyłem od baraku i rzuciłem się na ziemię. Najbliższa bomba burząca spadła około ośmiu metrów ode mnie. Mój najbliższy kolega, Marian Goździewicz, podczas nalotu zginął. Zabitych pochowano w dwóch wielkich mogiłach zbiorowych.

Na dwa tygodnie przewieziono nas, ocalałych robotników, do koszar w Świnoujściu, w tym czasie Niemcy w pobliżu spalonego lagru wybudowali nowe baraki, w których mieszkaliśmy do końca wojny; pracowaliśmy w firmie budowlanej. Pamiętam jedną z dezynfekcji: lekarz spośród więźniów wybrał tych, którzy byli zawszawieni – od 80 do 100 osób. I ci ludzie zostali odgrodzeni od reszty drutem kolczastym i zgładzeni. Widzieliśmy ich z daleka: po dziesięciu dniach nikt z nich się już nie ruszał. Niemcy podpalili ogrodzony teren miotaczami ognia i wyrównali ziemię buldożerami. Pamiętam drzewa, które tam rosły. Były ogryzione z kory.

Walerian Nowaczyk, *ur. 08.11.1914 w Nekli, zmarł 23.10.2010 we Wrześni. Po ukończeniu szkoły powszechnej pracował jako pomoc biurowa w firmie budowlanej Kazimierza Szulca w Nekli. W latach 1937-38 odbył służbę wojskową w 17 pal? w Gnieźnie. Walczył w wojnie obronnej 1939 w szeregach 25 pal. Dostał się do niewoli niemieckiej i przebywał w Peenemünde na wyspie Uznam. Po 1945 wyjechał na Ziemie Odzyskane w okolice Mirska,*

skąd powrócił w 1949 do Nekli. Podjął pracę w branży handlowej we Wrześni. Od 1978 na emeryturze. Aktywnie działał w organizacji kombatanckiej. Ojciec czworga dzieci.

Od lewej Walerian Nowaczyk, Józef Nowak i Marian Goździewicz. Pennemünde , sierpień 1943 r.

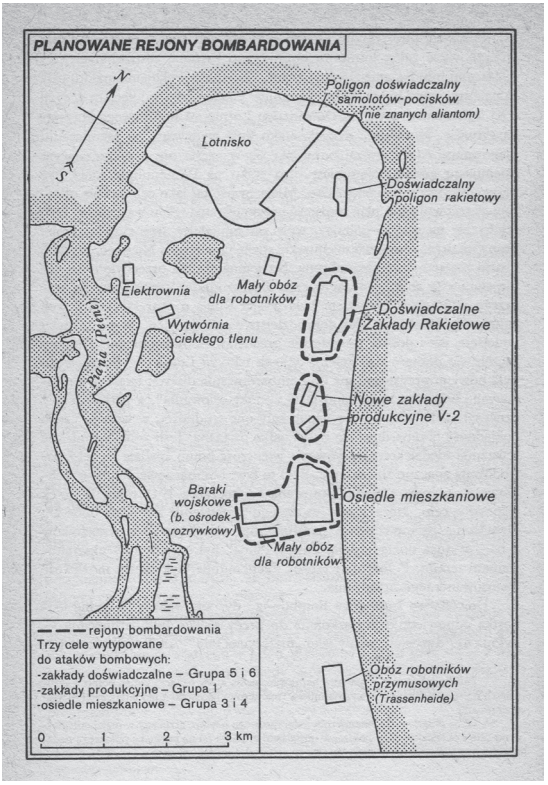

Rozmieszczenie obiektów w Peenemünde. Źródło. Martin Middlebrook Nalot na Peenemünde. Wyd. MON, Warszawa 1987 r.

Stefan Pluciński

Tragizm mojego dzieciństwa

Stefan Pluciński w okresie pracy w szkole w Targowej Górce.

Październik w 1939 roku, tak jak nastroje Polaków, jest ponury, dżdżysty. Niektórzy już wracają. Wloką się ciężko w mglistą pogodę w mundurach bez pasów, bez dystynkcji, w dziurawych butach. Ich charakterystyczną sylwetkę poznać można z daleka. Żołnierze Polskiej Armii. Wracają Wacław Stefaniak i Piotr Samelak. Leon Adamski już nie wróci. Został gdzieś pod Sochaczewem czy Kutnem. Poległ na polu chwały. Każda sylwetka widoczna z dala, od strony Mystek czy Barda, budzi w nas nadzieję na powrót brata Edmunda. Pasę teraz z wiernym owczarkiem krowy na kilkunastohektarowym obszarze roli więziennej, czyli jak się to mówiło „na ministerstwie". Gdy widzę z daleka wlokącą się postać lub słyszę choćby szczekanie psów w naszej zagrodzie, jestem niemal pewien, że to Edmund. Liczę dla pewności guziki, wróżąc „on, nie on". Jeśli wychodzi, że to on, wcześniej spędzam bydło z pola. Obserwuję obejście, a przede wszystkim twarze domowników. Nie, nikt nie przyszedł. Oczy mamy nie błyszczą radością, zatroskane jak zwykle. Żałuję, że nie jestem nadal w polu. Miałbym przynajmniej jakieś złudzenie, oczekiwałbym radości.

Są wykopki. Chmurno i szaro. Ziemniaki już sprzątnięte, lecz brukiew jeszcze na polu. Ojciec i rodzeństwo wybierają. Jak zwykle, pasę krowy. Dziś dość daleko - przy drodze średzkiej, kolo zagajnika. W wysokim, poplonowym łubinie, przerośniętym, wysianym podczas żniw owsem, bydło je spokojnie. Raj dla pastuszka. Niedaleko inne stada, a najbliżej pasie koleżanka szkolna, Zosia Czerniak. Podczas, gdy bawię się z psem, zza drzew zagajnika, od strony Dominowa, wyjeżdża czarny, lśniący samochód osobowy. Nie wiem, dlaczego, ale ogarnia mnie strach. Udając, że nie dostrzegam auta, zawracam krowy od strony drogi. Kątem oka widzę jednak, że pojazd się zatrzymuje. Nogi mi słabną, ale zaganiam dalej. Niestety, słyszę okrzyk: „Halt! Komm hier!" (Stój! Chodź tutaj!) Teraz muszę się zatrzymać. Wysoki, młody Niemiec w cywilnym ubraniu, oficerkach i z hackenkreuzem na rękawie, w towarzystwie kierowcy, zbliża się do mnie, brnąc przez łubin. Nie mogę zrobić kroku. Nogi mi zdrętwiały tak, że podpieram się grubym, brzozowym kijem pastuszym.

Niemiec coś mówi. Nie rozumiem. Chcę sobie przypomnieć, jak to się po niemiecku mówi, że się nie rozumie. Nic nie mogę wykrztusić. Zapomniałem całej mojej ubogiej niemczyzny. Wtedy Niemiec już po polsku z krzykiem: „Kto ci tu kazał paść?!" Odpowiadam, że teraz wszyscy tu pasą. „A czyje to pole?!" — „No, ministerstwa sprawiedliwości". W tym momencie potężny kopniak zwala mnie na ziemię. Wyrwany mi z ręki kij wznosi się i opada na moje plecy, ręce, głowę, nogi. Nic nie wiem. Nie czuję bólu. Nie krzyczę, nie płaczę. Tarzam

się po ziemi bity, kopany, deptany. Tuż przy twarzy widzę szare grudki ziemi i pojedyncze listki łubinu. Słyszę niemieckie wyrazy, których nie rozumiem. Nagle dostrzegam szybką, białą plamę, słyszę wściekle warczenie psa. Moja Psota dopada błyszczącego buta Niemca i wpija się weń kłami. Prześladowca gwałtownie się odwraca. W tej chwili bezwiednie zaczynam się toczyć jak walec, byle dalej. Niemiec wyszarpuje z kabury rewolwer i mierzy w psa, lecz ten jest szybki i znika w łubinie. Uzbrojona dłoń zwraca się na mnie. Podniosłem się już, lecz uciekać nie mogę. Czekam na strzał. Po chwili, która wydaje mi się niezmiernie długa, mój oprawca krzyczy: „Żebym cię tu więcej nie widział! Du polnisches Schwein! Raus!" To już rozumiem. Spędzam pospiesznie bydło. On zaś z daleka grozi Zosi Czerniak, która, widząc, co się dzieje, pospiesznie się oddala. Hitlerowiec gładzi swój uszkodzony przez mojego psa but, siada do samochodu i odjeżdża.

Teraz dopiero czuję ból. Z trudem docieram do domu, gładząc bez przerwy kochany, biały łeb psa. Mama rozbiera mnie i wtedy widać sine i niebieskie plamy i pręgi na całym ciele. Leżę trzy tygodnie. Wiem już, kto mnie tak urządził — herr Schur, dziedzic ze Zberek kreis Schroda, treuhänder na majątku więzienia w Targowejgórce. Nie, to już nie Targowagórka lecz Königshof, tak jak Dominowo -—Herrendorf, Stępocin - -Bergforwerk, Małagórka -— Kleindorf, Chwałszyce — Lobenau, Gąsiorowo — Genzeheim, a Września — Wreschen.

W drugiej połowie października aresztowania. Ojciec boi się. Był podsołtysem i działaczem społecznym. Boi się Jan Molik — powstaniec wielkopolski. W okolicy szaleją Schur i Niemcy z Dominowa: Block i Gross, a także wielu innych. Wreszcie ukoronowaniem tego jest publiczna egzekucja na rynku w Środzie. Kilkudziesięciu Polaków z okolicy rozstrzelano pod murem sądu. Ginie przyjaciel ojca, nauczyciel Kaniewski z Murzynowa. Trwoga i rozpacz nie do opisania. W dzień spoglądamy ku wsi, w nocy oczekujemy łomotania do drzwi. Kilka dni później zabierają Franciszka Rodowskiego. Córka aresztowanego, Waleria, kierowniczka poczty, jeździ do Gestapo z listem polecającym od Wiesnera. Śmieją się z niej i naiwności Wiesnera: „Teraz każdy Polak to baranek. Czy nie wie on, że Rodowski był powstańcem?" Nie wróci już nigdy, przechodząc kolejno Fort VII, Dachau i Oranienburg.

Ojciec jest kiedyś we Wrześni. Niemcy ściągają mu na ulicy buty „oficerki". Okazują się jednak za małe na niemiecką nogę i tylko dlatego nie wraca do domu boso. Wrzesińscy Żydzi maszerują z łopatami do pracy i śpiewają na rozkaz wyuczoną piosenkę:

Śmigły-Rydz, hyc, hyc!
nie nauczył nas nic.
A nasz Hitler złoty
nauczył nas roboty.

W drodze powrotnej widzi ojciec toczące się po szosach działa i czołgi wracające z triumfem do Rzeszy po blitzkriegu nad Polską. Na lufach olbrzymie napisy: „Polen Kaput!", „Minister Beck sitzt im Dreck", „Heil Hitler!" Portrety Führera, hitlerowskie flagi. Przychodzi do domu przygnębiony i zasępiony.

Od Edmunda nadal nie mamy żadnej wiadomości. Wyglądamy go wciąż daremnie. Gdzieś w połowie listopada dostajemy gości z Gdyni, tylko że teraz to już Gottenhafen. Przybywa ciocia Maria Zgórecka z bratankiem, Tadeuszem Zgóreckim. Ojciec jego, Stanisław Zgórecki, jest teraz w rejsie do Brazylii na MS „Sobieskim", z dala od wojennych wydarzeń — oni zaś, z tysiącami Polaków, wyrzuceni, siłą wracać muszą „nach Heimat". I znów płyną opowieści o pierwszych dniach wojny tam, na Wybrzeżu. Po raz pierwszy słyszę nazwy

„Westerplatte" i „Hel". Wprawdzie Półwysep Helski znałem doskonale z geografii szkolnej i opowiadań wujków, ale teraz słowo „Hel" znaczyło coś zupełnie innego. Urosło do rangi symbolu.

Wieczorami toczą się przyciszone rozmowy. Komentujemy rozmaite wiadomości zakazane i poufne. Czekamy na wydarzenia, które przybliżają rzekomo godzinę wyzwolenia. Czujni na każde szczeknięcie psa, śpiewamy cicho przy blasku piecyka pieśni narodowe i religijne, przypominamy dawne niby to przepowiednie, z których jasno wynika, że splugawiony krzyż zderzy się z sierpem, że jakiś cud przywróci nam wolność. Wieczory takie kończą się jeszcze smutniej, bo któraś z kobiet nie wytrzymuje i wybucha płaczem. Wtedy i ojcu głos się zaczyna łamać.

Poranek 8 grudnia był piękny. Wczesna, ostra zima pokryła smutną ziemię nieskazitelnie białym, śnieżnym kobiercem. W tym dniu właśnie Niemcy rozpoczęli wyrzucanie Polaków z okolicy Środy i Wrześni. Na pierwszy ogień poszły Sokolniki, w odwet za stracenie kilku niemieckich dywersantów w dniach wrześniowych. W ciągu kilku minut zabierano całe rodziny, jak kto stał, w jednym ubraniu, w roboczym fartuchu, bez żywności, bez pościeli, z maleńkimi dziećmi i staruszkami -—w kilkunastostopniowy mróz. W taki właśnie sposób wyrzucono z domów i wywieziono za Garwolin rodziny Tylskich i Szelejewskich z Markowic za Środą. Była to rodzina męża mojej cioci, Agnieszki Tomczak z Poznania. Wujek, Jan Tomczak, zaginął bez wieści gdzieś pod Kutnem. Ponieważ w Poznaniu nie było co jeść, ciocia wraz z dwojgiem dzieci przebywała raz u nas, a raz w Markowicach. Po wyrzuceniu Tylskich była już tylko u nas.

Od tego dnia, nauczeni doświadczeniem innych, byliśmy przygotowani na wywózkę. Każdy z nas miał w pogotowiu małą skrzyneczkę z najpotrzebniejszymi przyborami. Przed snem układaliśmy swoje ubrania w taki sposób, by można było w ciągu kilku minut i nawet w ciemności ubrać się, kładąc na siebie nawet kilka par bielizny, swetrów czy skarpet. Ponieważ wysiedleńców wywożono wozami lub saniami, przeto każda kolumna tych pojazdów wywoływała żywe zaniepokojenie. Mieszkając w polu, poza wsią, obserwowaliśmy stale okoliczne drogi.

Wkrótce wyrzucono wiele rodzin polskich z Orzeszkowa. Ich miejsca zajęli Niemcy, ściągnięci z krajów nadbałtyckich, tzw. baltendeutsche, po naszemu po prostu „baltoki". Pewnego dnia, około godziny 10:00, w grudniu lub styczniu, nie pamiętam dokładnie, przybiegł do nas Franciszek Kaleta z typowym dla tamtych dni okrzykiem: „,Jadą!" Ktoś zauważył całą kolumnę wozów ciągnącą w kierunku Targowejgórki od strony Dominowa i Orzeszkowa. W ciągu niewielu minut nie tylko my, lecz cała wieś, ubrana jak na wyprawę polarną, czekała gotowa na wyrzucenie. Mróz był silny. Budziło to trwogę o dzieci, które w takich warunkach marzły nieraz na wozach, czy nieopalanych salach przejściowych obozów. Mój najmłodszy braciszek, Januś, miał dopiero trzy lata. Po pierwszym strachu i zdenerwowaniu nastąpiło męczące oczekiwanie, a w miarę upływu czasu nawet zniecierpliwienie. Wychodziliśmy na płaski dach stodoły, by w śnieżnej dali wypatrzeć niemieckie furmanki. Po kilku godzinach zaczęliśmy się stopniowo rozbierać, a nawet żartować. Przyszło odprężenie. Wiadomo było, że to jeszcze nie dziś. Okazało się później, że kolumna wozów rzeczywiście posuwała się w naszą stronę. Byli to jednak „baltoki" z Orzeszkowa, udający się do milkarowskiego lasu po swój przydział drewna opałowego.

Nam opału brakło. Nigdy przecież dotychczas węgla nie kupowaliśmy latem. Teraz był on przede wszystkim dla Niemców. Wielkim sukcesem było zdobycie we Wrześni, Środzie czy Nekli centnara lub dwu. Toteż paliliśmy tylko tam, gdzie to było konieczne. Dlatego w wilgotnym pokoju pierzyna przymarzała do ściany. Żyliśmy więc nadzieją „aby do wiosny". Wiosna bowiem miała przynieść nie tylko słońce i ciepło. Nadzieja była w walczącej (wierzyliśmy w to) Francji i Anglii. Kiedy głęboką nocą, gdzieś bardzo wysoko na rozgwieżdżonym niebie, rozlegało się przejmujące granie silnika samolotowego, różne w swej tonacji od bębnienia eskadr bombowych w czasie nalotów, byliśmy przekonani, że to angielska maszyna zwiadowcza, tym bardziej, że nawet podczas walk wrześniowych Niemcy nie latali u nas nocą. Poza tym wiedzieliśmy z tajemniczych źródeł, że ster walki przejął w swe ręce generał Władysław Sikorski, stając się symbolem wolności i zwycięstwa, podnietą do wytrwania.

Dlatego też, gdy brak opału dawał się dotkliwie we znaki ludności wsi i miast, a hitlerowcy szumnie święcili triumfy po sukcesach na Bałkanach, o czym wielkimi literami krzyczał „Ostdeutscher Beobachter", na białym murze dawnego „Rolnika" we Wrześni pojawił się napis, który w innych warunkach uznano by za nieprzyzwoity. Teraz jednak był pokrzepieniem serc. Cytuję go dosłownie:

Paskudne, głupie Niemczyska,
Nasramy na wasze węgliska.
Marzec, kwiecień wasz
Maj i czerwiec nasz:
Bo słoneczko coraz wyżej,
Sikoreczka coraz bliżej.

Śmiała się wtedy, mimo terroru okupanta, cała Września i okolica.

W miarę zbliżania się wiosny, nastąpiły we wsi pewne zmiany. Wyrzucono z mieszkania Rodowskich, właścicieli sklepu. Ich miejsce zajął bügermeister Karl Fitzke oraz jakiś jego krewny, Konrad Gross z Dominowa, zagorzały hitlerowiec. Nowi lokatorzy otwarli teraz w przestronnym lokalu dawnego konkurenta sklep, „Kolonialwagen". Frau Emma Fitzke powiedziała, że teraz dopiero oddycha pełną piersią i wie, że żyje. Całe życie ciężko pracowali i dorobić się nie mogli, bo Polacy podatkami chcieli ich pognębić. Powiedzenie to niezmiernie zaskakujące, bo przecież na przykład inny z miejscowych Niemców, Wiesner, wzorowy rolnik, nigdy nie skarżył się na podatki, a każdemu Niemcowi z Dominowa czy Bukowego Lasu wiodło się lepiej niż przeciętnemu Polakowi.

W dawnym więzieniu znów znaleźli się więźniowie, tylko że strażnikami byli teraz Niemcy. Nowy treuhänder, Schteitz, miał ciężką rękę. Średniego wrzostu, okazałej tuszy, o krzaczastych brwiach i ponurym spojrzeniu, Bawarczyk z pochodzenia — był postrachem nie tylko więźniów. Z jego „wychowawczymi" metodami zapoznałem się niebawem osobiście. Stanowczo do hitlerowskich administratorów więzienia nie miałem szczęścia. Przedtem odczułem na własnej skórze władzę Schura, teraz przyszła kolej na Schteitza. W jakiś roboczy dzień szedłem sobie z kościoła. Minąłem właśnie stary pałac Kosińskich i za żelazną bramą zbliżałem się do ogrodu Rodowskich, w którym rozpierał się teraz Fitzke. Właśnie tam zetknąłem się z nie znanym mi Niemcem, zdążającym w kierunku pałacu. Ubrany był w jakby cywilny mundur koloru polskiego z ciemnozielonym kołnierzem. Nie byłem jeszcze

na tyle dobrze wychowany, by kłaniać się byle nadczłowiekowi, którego w dodatku nie znałem. Gdy usłyszałem za sobą okrzyk: „Zurück! Komm hier!" (Wracaj! Chodź tutaj!) - nogi mi zdrętwiały. Odwróciwszy się, ujrzałem jegomościa przywołującego mnie palcem i szwargoczącego coś, czego nie rozumiałem. I znów cała znajomość mojej ubogiej niemczyzny opuściła mnie, tak że zdołałem tylko wyjąkać: „Ich... verstehe nicht". W tym momencie Niemiec nagłym ruchem uderzył mnie w głowę, zrzucając mi czapkę na ziemię. „Szindopry mówicz, du kleiner polnischer Hund!" -— wrzasnął. Następne uderzenie przygięło mnie do ziemi. Musiałem, założywszy czapkę, cofać się kilkanaście kroków, przedefilować przed Niemcem i, zdejmując czapkę, złożyć mu głęboki ukłon, mówiąc wyraźnie „Dzień dobry". Lekcja była skończona. Ukoronowaniem jej była znacząca groźba ręką, co miało niewątpliwie znaczyć: „Pamiętaj, na drugi raz!"

Zastępcą czy pomocnikiem Schteitza by! wysoki Niemiec w mundurze zielono-błękitnym, niejaki Müller. Nie przypominam sobie jednak, by zbytnio na niego narzekano. Na probostwie treuhänderem mianowano przybyłego gdzieś z Rzeszy cywila nazwiskiem Panzer. Ten nie budził strachu, lecz uczucie śmieszności. Po prostu był trochę pomylony. Kiedyś ogolił sobie tylko połowę swego niemieckiego oblicza i tak paradował po wsi. W Mystkach namiestnikiem nowych władców został Brisch, o którym wiele nie wiem.

Wielkanoc w 1940 roku była wcześnie, bo już 24 marca. Wtedy też ostatni raz w życiu widziałem naszego proboszcza. W środę 27 marca ks. Kazimierz Pause, Polak z Koronowa pod Bydgoszczą, wczesnym rankiem został aresztowany. Na wozie eskortowano go do Środy. Ten dawny kapelan wojskowy, prosty zazwyczaj jak świeca, siedział przygarbiony i smutny, przejeżdżając ostatni raz przez wieś, do której nigdy już nie miał powrócić. Dwa lata później zginął w Dachau.

W tym czasie mieliśmy już wiadomość o Edmundzie. Żył i przebywał w obozie jenieckim na Śląsku. Prosił o ciepłą bieliznę i żywność. Jego wojennych przejść nie znaliśmy. Janek Sobota też był w niewoli. Nie było jednak żadnej wiadomości od wujków: Jana Tomczaka z Poznania i Franciszka Norkiewicza ze Środy. Nie ma jej zresztą do dziś. Zaginęli bez wieści. Wujek Stanisław Zgórecki przysłał okrężną drogą, przez jakichś krewnych z Ameryki, wiadomość, że jest zdrów. Pytał o swych bliskich, ale nie podawał gdzie przebywa. Pisany po francusku list tłumaczył jeszcze ks. Pause.

Miejscowi volksdeutsche nie próżnowali. Opowiadano, że Polaka Hydzielskiego z Giecza aresztował Niemiec Block z Dominowa i założywszy mu pętlę powroza na szyję, przywiązał do roweru i pedałował, a jego kamraci poganiali Polaka batem jak bydlę. Kiedyś nocą załomotano do drzwi mieszkania Franciszka Kalety, a gdy ten otworzył, napastnicy rzucili się na niego, bijąc w ciemności, gdzie popadło. Kaleta, broniąc się, chwycił siekierę, lecz zdołali mu ją wydrzeć. Wtedy, podczas szamotaniny, rozcięli mu palec u nogi. Zdołał się jednak wyrwać i przepadł w mrokach nocy. Oni zaś, nie używając latarki, go nie rozpoznali. Oburzony Wiesner, sąsiad Kalety, postanowił prowadzić dochodzenie, ale widocznie, pouczony przez Gestapo, dał spokój. Tak więc sprawców nie wykryto, choć podobno ślady prowadziły na Bukowy Las, gdzie władał Arndt -— butny hitlerowiec, postrach okolicy.

Nadeszła wiosna. Trzeba było pracować w polu jak dawniej, orać, siać, pielić, chociaż nie wiedzieliśmy, kto będzie zbierał plony. Pole moich rodziców przylegało do obszaru więziennego. Więźniowie, Polacy, pracowali jak dawniej, cierpiąc dotkliwy głód. Zbliżanie się do nich było zabronione. Wiedząc, że będą w pobliżu pracować, wynosiliśmy w trawę

na miedzę lub skarpę rowu kromki chleba, tak, by strażnicy tego nie dostrzegli. Więźniowie sami zresztą się bali. Schteitz skatował kiedyś zgrzebłem od czyszczenia koni jakiegoś więźnia do nieprzytomności. Nie był to zresztą sporadyczny wypadek. Po cichu szeptano, że zastrzelonego więźnia zagrzebano na skraju pięknego parku, za pałacem. Ze zgrozą patrzyliśmy na stada wron kołujące nad drzewami, jak gdyby wskazywały ten samotny, utajony grób.

Oprócz białej i wiernej Psoty mieliśmy najostrzejszego we wsi czarnej maści psa, Grymasa. Na bramie wiodącej w podwórze stale wisiała tabliczka: „Baczność! Ostre psy!" Teraz musiało być oczywiście: „Achtung!" Spodobał się ten pies Schteitzowi i kupił go od nas za darmo. Musiałem go zaprowadzić na podwórze więzienne. Wtedy też zobaczyłem niewiele starszą ode mnie córkę treuhändera, paradującą w mundurze „Hitler-Jugend". Grymasa przezwano oczywiście jakoś po niemiecku. Karmiony obficie wszedł w służbę III Rzeszy i uganiał odtąd pod oknami cel więziennych. Stał się potem postrachem więźniów. W ten sposób nasz pies, wciągnięty na Volkslistę, stał się jedynym zdrajcą, jaki wyszedł z naszej zagrody.

Na początku maja zmarł po krótkiej chorobie nasz leśniczy, Polak, nazwiskiem Salamon. Jego pogrzeb stał się swego rodzaju manifestacją. Wszyscy Polacy ze wsi starali się w jakiś sposób przyczynić do uświetnienia żałobnej uroczystości. U nas w domu szykowaliśmy karawan, choć nie było tego zwyczaju w naszej wsi. Mniejszy wóz pomalowaliśmy zwyczajną, klejową czarną farbą, okucia wysmołowaliśmy, by błyszczały, po czym przybraliśmy girlandami ze świerku. Michał pojechał końmi do Milkarowa, skąd wyruszył kondukt. Kto tylko mógł z Polaków, przybył na pogrzeb, by oddać ostatnią przysługę temu, który był jednym z nas. Celebrował ks. Dąbrowski z Opatówka, którego kilka dni później Niemcy aresztowali i wywieźli.

Wyczekiwaliśmy z napięciem zmian w zmaganiach wojennych. Nadzieja była w walczącej Francji. Kiedy jednak w zwycięskiej euforii rozszalały się nienawistne płachty z czarnymi swastykami, a olbrzymie plakaty, jak po upadku Warszawy, krzyczały tym razem: „Frankreich kaput! Paris gefallen!!" - starsi ludzie upadli chwilowo na duchu i popadli w stan przygnębienia. Pozostała jeszcze Anglia, która „od stu lat żadnej wojny nie przegrała", jak mówili niektórzy, lecz nikt już nie uwierzyłby w wiadomości o angielskich samolotach na Ławicy, jak to było we wrześniu. Coraz częściej zatem zwracano uwagę na wschód, na „Ruska" i każdy był pewien, że do starcia między tymi dwoma państwami musi dojść. A wtedy, wspominano, powtórzy się historia Napoleona, tylko że tym razem będzie to Hitler.

Już po upadku Francji otrzymaliśmy okrężną wiadomość, drugą już, od wujka z MS „Sobieski". List przysłany, jak poprzednio, przez Stany Zjednoczone, pisany po polsku, był bardziej niezrozumiały początkowo niż ten francuski. Wujek donosił, że jest zdrów i cały. Był jakiś czas u cioci Frani, ale gdy ta zachorowała, musiał się przeprowadzić do cioci Anieli. Zastanawialiśmy się co to znaczy, ponieważ żadnej cioci Frani ani Anieli za granicą nie mieliśmy. Zrozumieliśmy wreszcie, że po prostu był we Francji, a po jej kapitulacji dostał się do Anglii.

Żniwa tego roku nastąpiły dość wcześnie, koło 10 lipca. Starym zwyczajem spaliśmy na sianie, tym razem również ze względów praktycznych. Chodziło bowiem, by w wypadku jakiegoś nocnego najścia hitlerowców, nie zaskoczyli wszystkich razem w domu. Śpiąc pod dachem, słyszeliśmy każde podejrzane poruszenie na wsi, budziło nas głośniejsze szczekanie psów. Mimo ciężkiej, żniwnej pracy, wieczorami długo rozmawialiśmy o wojnie,

graliśmy na organkach, śpiewaliśmy sobie po cichu dawne piosenki. Trochę już zdążyliśmy się przyzwyczaić do okupacyjnej rzeczywistości.

Wieś musiała dać kontyngent siły roboczej do Rzeszy. Wśród wielu młodych ludzi znalazł się i Michał. Dnia 25 lipca, w nocy, wyruszał transport. W domu zapanowała ciężka, przygnębiająca atmosfera. Zaczerwienione oczy mamy i drżący głos ojca miały swoją wymowę. Przed wieczorem, przygotowany już do podróży Michał poszedł na wieś pożegnać się z przyjaciółmi, a potem odpoczywał trochę. Postanowiłem czekać do chwili wyjazdu, lecz senność mnie zmogła. Obudziłem się w chwili pożegnania. Pamiętam ostatni uścisk i pocałunek braterski. W żółtym świetle naftowej lampy nie widziałem dobrze jego twarzy, której już nigdy nie miałem ujrzeć. Czułem tylko mokre od łez policzki, słyszałem płacz mamy i siostry. Do dziś nie mogę sobie wybaczyć, że nie czuwałem do chwili jego wyjazdu.

Zabrano wtedy, oprócz Michała, naszego kuzyna, Tadeusza Zgóreckiego, którego ojciec był na MS „Sobieskim", Józefę Zgórecką, Stanisławę Sadyś, Stanisława Menesa, Józefa Jałoszyńskiego, Piotra Samelaka, Mariana i Czesławę Rodowskich. W następnym transporcie pojechali Stanisław Kopiński, Wincenty Pałasz, Aleksander Jałoszyński, Władysław Nowak, Władysław Monarcha, Czesław Wiśniewski i jeszcze ktoś, kogo nie pamiętam. Ci odjechali 6 sierpnia.

Po trzech tygodniach Michał przysłał pierwszy list. Zawiadamiał, że jest w okolicy Lipska w miejscowości Grossenheim, u bauera nazwiskiem Arno Fehrman. Pracuje końmi na roli i jest mu bardzo ciężko, choć w domu też pracy było niemało. Prosił o tłuszcz do smarowania chleba. Z tych wszystkich wrócić nie mieli już nigdy: mój brat Michał, Wincenty Pałasz, Władysław Nowak i Władysław Monarcha. Zmarli na skutek bądź wycieńczenia pracą i głodem, może zginęli podczas nalotów, albo też zamordowani zostali w więzieniach.

Dzień 5 września 1940 roku pozostanie w mojej pamięci jako dzień uroczysty. Rodzice obchodzili jubileusz srebrnych godów małżeńskich. Wobec niepewności sytuacj,i względy oszczędnościowe nie były brane w rachubę i dlatego w domu urządzono dość wystawne przyjęcie. W tajemnicy przed Niemcami przybyli bliscy sąsiedzi: pan Wojkiewicz, Jan Molik, Franciszek Kaleta, Zgóreccy i Władysław Przychodniak z Racławek. Nadeszło sporo telegramów z życzeniami. Zastanowił nas jeden list z życzeniami od jakiegoś przyjaciela domu. Do dziś nie wiemy, od kogo — był anonimem. Zawierał humorystyczną ocenę naszych panów życia i śmierci oraz naszych sojuszników z Zachodu. Elaborat ten wniósł dużo odprężenia w tę miłą, a zarazem smutną uroczystość. Nasze życzenia składane rodzicom wyrażały pragnienie, by doczekali złotych godów w wolności i gronie całej rodziny. Tymczasem teraz Michał, głodny, pracował na niemieckiego bauera, Edmund z jenieckiego obozu również przerzucony został do bauera w Glashutte w Badenii. Z braci i sióstr rodziców w była tylko siostra mamy, Agnieszka. Inni przybyć nie mogli. W czasie uroczystości bez przerwy ktoś z nas czuwał na drodze, by w razie zbliżania się nieproszonych gości natychmiast uprzedzić domowników. Był to czwartek.

W sobotę rano, 7 września, zbudziło nas ujadanie psów. Gdyśmy się zerwali z pościeli i zeszli na dół, rodzice stali już na drodze i spoglądali w kierunku wsi. Na werandzie przy drzwiach frontowych, siedział nieznajomy człowiek. Był boso, bez czapki. Okazało się, że uciekł ze wsi, gdzie Niemcy zaczęli wysiedlanie polskich gospodarzy. Między innymi Żandarmi przyszli do zagrody Jana Wojkiewicza, u którego ukrywał się ów uciekinier. Był to Władysław Socha z Gowarzewa, kuzyn Wojkiewiczowej. Teraz, zdenerwowany, opowiadał

przebieg wydarzeń. Schowek jego mieścił się na poddaszu krytej słomą obory, stojącej tuż przy drodze. Spał twardo. Obudziły go rozmowy Niemców na podwórzu. Domyślił się, że przyszli wyrzucać Wojkiewiczów. Nikt go nie mógł obudzić, by nie zwrócić uwagi żandarmów. Należało natychmiast uciekać. Ale jak? Wszędzie mógł się natknąć na prześladowców. Z jednej strony droga, z drugiej - podwórze. Pozostało ryzyko. Wyrwawszy słomiane poszycie dachu, wyskoczył na drogę i po przebiegnięciu kilkunastometrowej odległości ukrył się w kukurydzy, nie mając pewności, czy nie został zauważony. Ponieważ ustalił przedtem z Wojkiewiczem, że w razie potrzeby schroni się u nas - musiał się upewnić, czy i nas nie wyrzucają. Czołgając się około trzystu metrów pustym polem, dotarł do naszych zabudowań. Do jego ocalenia przyczyniła się poranna szarówka.

Mimo bliskich kontaktów z Wojkiewiczami, nie wiedzieliśmy nic o fakcie ukrywania ściganego listami gończymi Sochy. Poszukiwano go w całej okolicy z powodu zatargów z Niemcami w okresie przedwojennym. Groziła mu śmierć, toteż konspiracja musiała być szczególnie staranna. Teraz zadanie ukrycia go przypadło nam. Ani przez myśl nikomu nie przeszło, by mogło być inaczej. Jak długo? Nie wiadomo. Na wypadek naszego wysiedlenia wskazaliśmy mu następny punkt. Była nim gajówka Stanisława Rodowskiego w oddalonym o kilometr lesie.

Tego dnia wyruszył z naszej wsi olbrzymi transport wysiedleńców. Wyrzucono rodziny Jana Wojkiewicza, Józefa Menesa, Jana Molika, Wojciecha Matuszewskiego, Pelagii Menes, Władysława Menesa, Władysława Targosza, Jana Szymkowiaka, Marianny Siwiak, Franciszka Podlewskiego, Władysława Orwata, Jana Roszyka, Franciszka Przymusińskiego, Czesława Głębockiego, Monarchy, Ludwika Nawrockiego, Jana Nawrockiego, Andrzeja Wiśniewskiego, Piotra Deski. Władysław Przychodniak, będąc samotny, uciekł i przekradł się sam gdzieś w odległe strony. Z Małejgórki wyrzucono Jana Menesa, Szczepańskich, Łabędzkich, Cierzniewskich, Kaczmarków, Miśkiewiczów, Majchrzaków, Kurpików. Z Gąsiorowa -— Szwedów, Jarząbków, Szczepańskich. Ze Stępocina — Domańskich, Płócienników i wiele innych rodzin, których nazwisk już nie pamiętam. Oblicze naszej wsi i okolicy zmieniło się zasadniczo. Gospodarstwa objęli Niemcy z terenów tzw. Generalnej Guberni. Opiekę nad nimi jako Orstbauernführer (miejscowy przywódca chłopów) musiał objąć Wiesner.

U nas w domu natomiast należało uporządkować pewne sprawy w związku z nowym, nielegalnym domownikiem. Przede wszystkim pan Władysław Socha został naszym „wujkiem". Nie wolno było go inaczej nazywać. Ktoś z nas zawsze miał pełnić coś w rodzaju warty i w wypadku zbliżania się obcego natychmiast sygnalizować. Na miejsce ukrycia wybraliśmy stodołę, z której można było w każdej chwili uciec w kukurydzę, rosnącą przy samej ścianie budynku. Ponieważ w sąsieku pełno było słomy wiązanej w snopy, przeto wspólnie z przyszłym lokatorem urządziliśmy coś w rodzaju szybu, na którego dnie znajdowała się kryjówka. Wyjście bezpieczeństwa stanowiły oderwane, na jednym gwoździu trzymające się deski oszalowania. Wystarczyło je rozsunąć, by znaleźć się na zewnątrz. Kryjówkę można było również błyskawicznie zamaskować. Po prostu, po wyciągnięciu jednego snopa zapadały się wszystkie i nikt nie mógł się nawet domyślać, co kryją pod sobą. Socha czuł się teraz o wiele pewniej niż u Wojkiewiczów. Zaraz pierwszej nocy wybrał się po swoje rzeczy do poprzedniej kryjówki. Wprawdzie mieszkał tam już nowy „właściciel", Niemiec Kropp, ale ponieważ obawiał się w nocy wytknąć nosa na dwór, a psy znały swego, więc nie było trudności z zatarciem śladów i wyniesieniem skromnego dobytku.

Ponieważ w naszym obejściu pole widzenia było rozległe, dlatego „wujek" nie przebywał stale w ukryciu. Gdy nikogo obcego nie było w pobliżu, pracował w obrębie podwórza, bo bezczynnie siedzieć nie umiał. Rąbał drzewo, rżnął sieczkę, oprzątał bydło. Lubiliśmy go też nie mniej niż prawdziwego wujka. W wolnych chwilach, na poddaszu, chętnie z nami gawędził, zerkając raz po raz przez szklaną dachówkę w stronę wsi. Tematem naszych rozmów były przede wszystkim sprawy okupacji i wojny.

W czwartek, 26 września 1940 roku, przypadały urodziny ojca. Kończył 52 lata, w czasie których nie tylko pracował i udzielał się społecznie, lecz i dużo chorował. Otrzymał też w tym dniu swoisty podarek urodzinowy: okupant pozbawił go owoców jego pracy i wyrzucił na tułaczkę i poniewierkę.

Wczesnym rankiem obudziło nas gwałtowne pukanie do drzwi wiodących na spichrz i wołanie ojca: Wstawajcie, bo nas wysiedlają! "Poczęliśmy się gorączkowo ubierać, nie wiedząc, od czego zacząć. W worki pchaliśmy pościel, ubrania i całkiem, jak się potem okazało, niepotrzebne rzeczy. W mieszkaniu stał rozkraczony żandarm, pokrzykując: „Schnell, schnell! Raus!" Na podwórzu kręcił się drugi Niemiec. Należało ostrzec Sochę. W czasie tych dwudziestu minut raz Bronek, raz ja wpadaliśmy do stodoły, gdy żandarm się oddalał i wołaliśmy przyciszonym głosem „Wujku! Uciekaj, bo przyszli po nas!" Nie wierzył, bo kiedyś udało nam się nabrać go dla żartów. Dopiero niezwykły ruch w obejściu i gwar Niemców przekonał go, że znów trzeba szukać innej, nowej kryjówki.

W mieszkaniu trwało gorączkowe pakowanie. Mama targowała się z Niemcem, który nie pozwalał wziąć pościeli. Płacząc więc, pokazywała małego, czteroletniego Janka i chorego ojca. Wreszcie żandarm dał się ubłagać i pozwolił zabrać jedną pierzynę. Również o żywność trzeba się było upraszać. Co mama lub siostra kładły do worka, to hitlerowiec wyrywał z ręki i kładł na stół. Więc ktoś z nas za jego plecami brał szybko to samo i upychał w inny worek. Obiektem pożądania Niemca było przede wszystkim zatopione w garnkach smalcu mięso. Nie udało się nam zabrać wszystkiego, co na drogę przygotowaliśmy. Wielu ważnych rzeczy w pośpiechu zapomnieliśmy, bo przecież trzeba było się jeszcze ubrać, opatrzyć małego Janka, a również złapać dwie, trzy kaczki dla cioci, która została. Niemiec wściekał się na to, zamierzał kolbą na mamę, ale ta odważnie broniła swoich praw do swoich rzeczy. Minuty mijały szybko. „Raus! Raus!"

Na drodze czekała już furmanka, którą musiał przyjechać po nas sąsiad Zgórecki. Wypchane byle jak worki wędrowały na wóz. Wtedy udało się nam „ukraść" naszą własną rzecz - drugą pierzynę. Bronek wkradł się niepostrzeżenie z workiem do spichrza, gdzie znajdowały się jeszcze pościele, zapakował szybko pierzynę, zrzucił ze schodów za oborę, a stamtąd, niedostrzeżony, zaniósł na wóz. Nie mogli tego przeboleć potem żandarmi, jak dowiedzieliśmy się później. „Złodzieje!" — tak nas nazwali. Czas minął. Mama trzymała na ręku Janka, ojciec usiadł zasępiony koło Zgóreckiego. Ciocia Tomczakowa, której do domu już nie było wolno wejść, płakała na drodze, trzymając swe dzieci za ręce. Konie ruszyły z wolna błotnistą i wyboistą drogą. Wtedy Werka, Bronek i ja, wziąwszy harmonijki, zaczęliśmy grać — głośno, zapamiętale, choć gardło dziwnie nam się zaciskało. Musieliśmy jednak spełnić to, co przyrzekliśmy my sobie od dawna. Żandarmi z karabinami na ramionach po prostu osłupieli. Już nie poganiali nas swoim szwargotem. Tego się me spodziewali. Przyzwyczajeni do biadań, płaczu kobiet i dzieci, u nas się zawiedli. Nawet mama teraz nie płakała. Płynęły

jedna piosenka za drugą: „Żegnaj domku mój rodzinny", „Hej Mazury, hejże ha!", „Hej, kto Polak, na bagnety!", „Zielony mosteczek" i wiele innych. Nie baliśmy się. Zakazane piosenki teraz dla nas nie istniały. Żandarmi zresztą wiele melodii nie znali, zaś bürgermeister Karl Fitzke, który ich przyprowadził, wcześniej już do wsi pospieszył, by nam w oczy nie patrzeć.

Na wsi czekaliśmy jakiś czas, aż dołączy drugi wysiedleniec, Kazimierz Nawrocki z rodziną. Ci, którzy zostawali, żegnali się z nami. Wreszcie przybył po nas autokar. Z wyjątkowym komfortem nas wywożono. Poprzednie grupy wysiedlonych udawały się na punkty zborne furmankami. Przeładowaliśmy cały nasz dobytek i gdy silnik rozpoczął swą pracę, zawtórowaliśmy mu znów na naszych harmonijkach i graliśmy dopóty, dopóki nasza wieś i nasz dom nie zniknęły nam z oczu. Wkrótce byliśmy już pod Mystkami. Teraz dopiero w oczach ukazały się łzy. Hitlerowcy ich jednak nie widzieli. Zbliżaliśmy się do Środy. Byliśmy pewni, że tam właśnie dołączą nas do transportu. Wiedzieliśmy bowiem, że przejść musimy przez piekło, które „czyśćcem" delikatnie zwano - przez obóz przejściowy w Litzmannstadt, jak okupant nazywał Łódź.

Jakież było jednak nasze zdziwienie, kiedy - nie zatrzymując się w Środzie - autokar skierował się w kierunku Nekli. W Marjanowie władowano rodzinę Garstków, w Janowie rodzinę Owsianowskich, po czym znów wróciliśmy do Środy. Tam dołączono do nas samotnego pana Koniecznego z małym węzełkiem i po krótkim postoju znaleźliśmy się na szosie poznańskiej. Dezorientacja nasza była całkowita. Niemcy nie wdawali się z nami w żadne dyskusje. Z karabinami na kolanach siedzieli nadęci, patrząc na nas niewidzącym wzrokiem.

Minęło pierwsze przygnębienie, bo towarzystwo, jeśli tak można się wyrazić, raczej się dobrało. Swoistym humorem bawił nas pan Konieczny, wtórował mu wesołego usposobienia pan Nawrocki i bardzo dzielna, pyskata pani Garstkowa. Próbowaliśmy zgadnąć, dokąd nas wiozą. Zaczynaliśmy przypuszczać, że do Niemiec. Ktoś żartował, że wiozą nas i pokazują piękno naszej ziemi. Nawrocki znów mówił, że i tak przeżyje i wróci na swoje, bo wziął akurat poduszkę z kurzego pierza, a przecież ludowe podanie mówi, że na kurzym pierzu nikt nie skona. Sekundowała mu pani Garstkowa, nasza mama też się rozchmurzyła, tak, że chwilami zaśmiewaliśmy się do łez, spoglądając spod oka na hitlerowców z trudem usiłujących ukryć swoje zdumienie. Przyznać trzeba, że nie uciszali nas krzykiem, z jakim niebawem mieliśmy się spotkać. Spośród wszystkich starszych osób jedynie ojciec był najbardziej przygnębiony, choć starał się tego nie okazywać.

Wkrótce minęliśmy Poznań, przez który przejeżdżałem pierwszy raz w życiu (autobusem też zresztą jechałem pierwszy raz). Chciałem koniecznie zobaczyć przez okno znaną mi z podręczników, smukłą wieżę poznańskiego ratusza. Nie udało się. Pamiętam jedynie pękatą sylwetkę Wieży Górnośląskiej i widoczny w dole czerwony gmach Dworca Głównego. Teraz byliśmy pewni, że jedziemy do Niemiec. Utwierdzały nas w tym przekonaniu nazwy miasteczek, jak Buk, Grodzisk, Opalenica.

W Opalenicy zatrzymaliśmy się zupełnie nieoczekiwanie, by usłyszeć rozkaz wysiadania. Byliśmy na stacji kolejowej. Panował tu wielki ruch. Niemcy zwozili wysiedleńców z okolicznych miejscowości na transport, który tu właśnie formowali. Skończyła się, niestety, przyjemna przecież mimo wszystko, choć przymusowa wycieczka autokarowa, a rozpoczęła się stopniowo gehenna. Wtłoczyli nas do wagonów, osobowych co prawda, lecz przez to bardziej ciasnych. Po dwie, trzy rodziny w jednym przedziale i oczywiście nasze tobołki,

które każdy kurczowo trzymał i upychał pod ławkami, na półkach, czy też kładł na miejsce przeznaczone do siedzenia .

Załadowany już pociąg stał na torze jeszcze dwie, może trzy godziny, obstawiony uzbrojonymi konwojentami. Można było wychodzić jeszcze po wodę. Wtedy też spotkaliśmy się po raz pierwszy z objawami ludzkiej życzliwości i współczucia. Nigdy nie zapomnę mieszkańcom Opalenicy tych bułeczek smarowanych i obkładanych, które znosili nam do pociągu, na co Niemcy jeszcze pozwalali. Nie wiedzieliśmy jeszcze co to głód, choć nam, dzieciakom, dobrze już w żołądkach burczało. Było już przecież dość późne popołudnie, i chyba z myślą o nas opaleniczanie te bułeczki smarowali.

Przed wieczorem transport ruszył i w ten sposób rozpocząłem moją pierwszą podróż pociągiem. Znów mijamy Poznań, naszą bliską, jakże znajomą Środę i teraz wiemy, dokąd Niemcy nas wiozą. A więc jednak Łódź. Niepokój wzrasta. Ojcu udało się zabrać pewną sumę pieniędzy, marek. Tak bardzo będą potrzebne. W Łodzi jednak czeka nas „czyściec", o którym tak potworne rzeczy już słyszeliśmy. Mama więc dobywa igłę z nićmi i starannie wszywa papierowe banknoty w zaszewki worków, w których są rzeczy. Zapada zmrok, rozjaśniany od czasu do czasu światłami mijanych miast Jarocin, Pleszew, Ostrów Wielkopolski. Jest nam coraz niewygodniej. Chce się spać, ale nie ma gdzie się położyć. Niektórzy stoją. Usypiamy w niewygodnych pozycjach. Ktoś zrzędzi, że nie może nóg wyprostować. Gdy pociąg kołysze na zwrotnicach, z półek spadają worki. Drzwi są zamknięte z zewnątrz, na dworcach pełno hitlerowców w jakichś nie znanych mundurach. Jedziemy dalej.

W miarę zbliżania się do Łodzi odchodzi sen. Trzeba się przygotować na najgorsze. Nikt nie myśli już o harmonijkach. Rodzice z niepokojem spoglądają na Werkę i Bronka, których, być może, odłączą od nas i zabiorą do Niemiec. Daleko za nami została już Zduńska Wola, potem Pabianice i wreszcie pociąg stukocze coraz wolniej. Migają światła na rozjazdach. W wagonach gorączkowe zbieranie bagażów. Płaczą rozbudzone dzieci. Mama trzyma małego Janka na ręku. Parowóz gwiżdże coraz częściej. Wjeżdżamy już między perony. Jeszcze kilka sapnięć lokomotywy i olbrzymie litery na budynku dworcowym: „Litzmannstadt", zaś na peronie formacje żandarmów, bahnschutzów, esesmanów.

Pociąg zatrzymuje się. Ogarnięci dreszczem oczekiwania widzimy, jak szyki uzbrojonych żandarmów, bahnschutzów i esesmanów rozsypują się wzdłuż wagonów. Zgrzyt rygli, trzask otwieranych drzwi i ochrypły wrzask dopadających do wagonów hitlerowców: „Alle raus! Aussteigen! Schnell!" Wysiadamy, a raczej wyskakujemy, bo już niektórymi drzwiami wdzierają się żandarmi, popychają kolbami karabinów, brutalnymi kopniakami. Tu i tam ponad głowami wysiedleńców przelatują worki i węzełki z mizernym dobytkiem, wyrzucane silnymi rękami hitlerowców. Wiele z nich już tam zostanie, bo właściciele muszą się spieszyć i nie mają możliwości ich szukać. Trzeba trzymać dzieci, trzymać za wszelką cenę, by ich nie pogubić. Mama z Jankiem na ręku i jakąś paczką rozgląda się za mną. Ja i Bronek dźwigamy worki z pościelą, Werka i ojciec — worki z rzeczami, żywnością i cennymi markami w zaszewku. Nie pogubić się, nie stracić reszty zabranego dobytku, nie dostać się w zasięg żandarmskiej kolby...

Udaje się nam to przecież i razem z olbrzymią falą bezdomnych już wygnańców spływamy szerokimi schodami Dworca Kaliskiego w dół, na plac, by wkrótce znaleźć się na szerokiej ulicy brukowanej kocimi łbami. Fetor łódzkich rynsztoków, wrzaski bijących

żołdaków, wycie przejeżdżających posępnych ciężarówek z powiewającymi płachtami i szum udręczonego ludzkiego potoku wprowadza mnie w dziwny stan jakiegoś odurzenia. Idę, potykam się, dźwigam mdlejącymi rękami czternastoletniego chłopca ciężkie toboły, widzę śpiącego Janka, dyszącą ze zmęczenia mamę, zgryzionego rozpaczą ojca, Werkę, Bronka, widzę ledwie nadążających starców i niemowlęta w ramionach matek, uzbrojoną i pokrzykującą eskortę, światła nieznanego miasta, słyszę tysiące odgłosów. Widzę kolby spadające na plecy, kopniaki rozdzielane hojnie między tych, którzy wyszli na skraj jezdni, którzy pod ciężarem ładunku, zmęczenia czy wieku zwalniają. „Los, los! Schneller, du verfluchtes Schwein!" Staram się iść pośrodku kolumny. Trzymać się rodziny, nie zgubić się, nie stracić nic z niesionego dobytku. Idziemy długo, obciążeni ponad miarę, zaszczute ludzkie stado. Bez chwili wytchnienia, bez odpoczynku. Kilometr, dwa, trzy, może cztery, pięć. Wreszcie po lewej stronie ulicy wyrastają zabudowania fabryczne. Uczucie ulgi niezmiernej, bo zwalniamy.

Ludzką masę wchłania brama fabryczna, wielkie hale na parterze i piętrze, zamknięty dziedziniec. Wrześniowa noc, której się nigdy nie zapomni, wkrótce się skończy. Ledwie dostrzegalny w blasku lamp brzask dobywa z mroku ponure mury. Walimy toboły w jakimś kącie parterowej hali. Siadamy na nich, wstrząsani dreszczami. Odziani na zapas, zlani potem — czujemy teraz dotkliwie chłód jesiennej nocy. Janek płacze i woła o mleko. Nie ma nawet wody. Mama ostrożnie dzieli zabrane zapasy żywności. Trzeba oszczędzać, bo nie znamy jutra. Nie wiemy, czy tutaj jest „czyściec", czy też pognają nas dalej. Teraz Niemcy nie krzyczą. Wartę przy bramie pełnią szeregowi żandarmi. Esesmani, w czarnych mundurach, lśniących butach, z trupimi czaszkami na zadartych czapkach i z nieodłącznymi pejczami, przechodzą raz po raz przez dziedziniec i hale. Te ich niewidzące oczy i hackenkreuze na rękawach budzą grozę i głęboki wstręt. Wstręt, który kojarzy się wkrótce z odorem łódzkich ścieków, zbiorowych, otwartych latryn, wyciem samochodowych syren, smakiem jęczmiennej kaszy oraz śmierdzącym, zgniłym i pełnym insektów barłogiem.

Rankiem Niemcy zarządzają przygotowanie do wymarszu. Pada rozkaz ładowania worków i waliz na samochody. Robimy to z najwyższą obawą, bo któż może zaręczyć, że to odzyskamy. Mama zostawia przy sobie jedną z pierzyn, myśląc o małym Janku i chorym ojcu (słyszeliśmy przecież, jak strasznie cierpieli na skutek zimna wysiedleni w grudniu 1939 r., wyrzuceni na łaskę losu w okolice Garwolina), oraz podręczną walizkę z małą ilością żywności. Reszta żywności została załadowana z innymi rzeczami. Wyruszamy. Jest nam lżej, choć niepokój oczekiwania wzrasta. Idziemy teraz gęsto zabudowanymi ulicami. Nieco mniej niemieckich krzyków i wyzwisk. Droga też krótsza. Niebawem zatrzymujemy się przed wielkim gmachem fabrycznym, wznoszącym się opodal, po prawej stronie ulicy. Aby się doń dostać, trzeba przejść obszerny plac. Dołączamy do tłumu oczekującego „oczyszczenia". Hitlerowcy w mundurach i ubrani po cywilnemu kierują co jakiś czas grupy wysiedleńców na obszerne schody prowadzące w głąb gmachu. Nie widać natomiast wychodzących. Jest chyba jakieś inne wyjście.

Czekamy stojąc i siedząc, na czym kto może. Pogoda jest słoneczna. Około godziny 9:00 nasi „opiekunowie" polecają nam szukać swoich pakunków zwalonych na ogromną kupę. Jest to niezmiernie trudne, gdyż każdy szuka własnych rzeczy, odsuwając inne. Stanowi to chyba niemałą rozrywkę dla przyglądających się Niemców. Uśmiechają się złośliwie. Zdołaliśmy wreszcie odnaleźć swoje rzeczy. Zaraz też rozmaici Niemcy i Niemki zaganiają

nas pod wejście, jak psy stado bydła. Taszcząc za sobą dobytek po kamiennych schodach, pogrążamy się w mrocznym korytarzu, gdzie pod swoją rękę, uzbrojoną w potężną laskę z żelazną gałką, przejmuje nas mały, gruby kuternoga w kapeluszu tyrolskim ze znaną opaską na rękawie. Z niesamowitym wrzaskiem komenderuje, rozdzielając mężczyzn i kobiety. Tegośmy się nie spodziewali. Mama z Jankiem i Weronicą zostają natychmiast odłączeni, mając przy sobie tylko dwa mniejsze pakunki. Ojciec, Bronek i ja mamy resztę, w tym ciężki worek z żywnością. Przerasta to nasze siły. W tłoku możemy te bagaże tylko za sobą ciągnąć. Skąd schorowany ojciec ma tyle siły, nie wiem. Wściekły oprawca wali na oślep laską kogo popadnie, kopie i popycha.

Przedostajemy się do olbrzymiej hali przedzielonej drewnianymi przepierzeniami z desek wysokości około 3 m. Pośrodku dwoje drzwi prowadzi na drugą stronę. Dochodzą stamtąd przerażające trzaski, wrzask Niemców, płacz dzieci, krzyki bólu. Biją! Przerażenie paraliżuje nasze ruchy. Kuternoga szaleje. Każdą próbę porozumiewania się mężczyzn i kobiet stłoczonych naprzeciw siebie kwituje uderzeniem, kopniakiem, przekleństwem. Tylu wyzwisk i obelg nie słyszałem nigdy przedtem ani potem. Udało nam się dostać pod samo przepierzenie. Tłoczno tam i ciemno, jednak daleko od straszliwego kulasa. Modlimy się po prostu, by choć jeden worek podrzucić mamie i siostrze, które stoją naprzeciw, ale jest to niemożliwe. Ojciec, przerażony krzykami zza ściany, dobywa scyzoryka, trzęsącymi się rękami wypruwa marki i podkłada pod deski ściany. Nie chce, by spotkał nas los tych, których teraz Niemcy biją. A wiemy już, że biją za ukrywanie marek i kosztowności. Jakieś dziecko na ręku jednej z matek (była to p. Jędruszkowiakowa) krzyczy przeraźliwie z głodu. Butelka ze smoczkiem jest przy ojcu tego dziecka, z drugiej strony bariery. Próby podania powodują nowe przekleństwa i kułaki pilnującego Niemca. Wtedy widzę, jak moja mama, sama z Jankiem na ręku, mówi coś energicznie do hitlerowca, odpycha go, wydziera butelkę p. Jędruszkowiakowi i podaje matce dziecka. Przerażenie zatyka nam oddech. Uderzy mamę? Niemiec jednak traci na chwilę tupet i cofa się, by za chwilę ryknąć na kogo innego.

Powoli przesuwamy się ku wyjściu, by wreszcie z tego przedsionka piekła dostać się do hali, w której nie wiemy, co nas spotka. Widzimy tam dwa długie korytarze między zagrodami, w których siedzą maszynistki i piszą. Stuk dziesiątek maszyn ogłusza. Kobiety pod rozkazami butnych Niemek przechodzą do pomieszczeń na lewo, my na końcu korytarza dostajemy się w ręce innych umundurowanych i cywilnych Niemców, których złodziejskie ręce poznajemy natychmiast. Szybkimi ruchami badają kieszenie, sprawnie przebiegają po szwach i podszewkach ubrań, macają kołnierze, czapki. Z rozpaczą widzimy, jak wyciągają słoje z zatopionym mięsem, suszoną kiełbasę, szynki, które z takim trudem udało się wczoraj zapakować. Kosztowności nie mieliśmy, ale żywność przedstawiała dla nas niewspółmiernie większą wartość. Ojciec próbuje prosić o pozostawienie choćby części. Warknięcie „Maul zu!" (Zamknij pysk) jest jedyną odpowiedzią. Ja nie jestem zdolny uświadomić sobie tragizmu sytuacji, wiem jednak, co przeżywa ojciec. Opodal kogoś biją. Zbieramy wreszcie wyrzucone mienie i pchamy bezładnie do worków, w których marki uchowałyby się. Czy jednak ojciec mógł przypuszczać, że przedstawiciele narodu panów będą aż tak głodni, iż na widok smacznego pożywienia zapomną o zbadaniu szwów worka?

Spisali nas wreszcie, szczególną uwagę zwracając na Bronka, po czym przegnali do następnej zagrody, gdzie spotkaliśmy się z mamą, Werką i Jankiem. Mama pytającym wzrokiem patrzyła na nas. Jak nam poszło? Bronek mówi: „Mamo, wszystko nam zabrali".

Jedynym naszym sukcesem było przewiezienie pościeli i trochę żywności, którą miała mama w podręcznej walizce.

Później jeszcze jakaś ewidencja. Nie pamiętam już jak się to stało, że spostrzegłem Bronka w odrębnej zagrodzie. Z kilku innymi młodymi ludźmi stał jak odsadzone od stada zwierzę, oparty o barierę, do której nie wolno już było podejść, i patrzył smutnym wzrokiem na nas. Zabrano go do Niemiec. Tyleśmy go widzieli. Rozłączyli nas na długie pięć lat. Był to cios, szczególnie dla rodziców, dla słabego ojca. Edmund w stalagu. Michał u bauera i teraz Bronek. Nie było jednak czasu na rozczulanie się. Musieliśmy robić miejsce dla innych. Było już późne popołudnie. Innym wyjściem wydostaliśmy się na dziedziniec z drugiej strony gmachu. Przeszliśmy etap „oczyszczania", byliśmy już obojętną masą ludzką, która nie musi nawet jeść, nie potrzebuje odczuwać czegokolwiek, a jeśli nawet, to cóż może obchodzić „misjonarzy" hitlerowskiej kultury? Czekaliśmy więc dłuższy czas, mniej już teraz pilnowani i mając większą możność poruszania się po wyznaczonym terenie.

Wreszcie zaczął się ruch i niemieckie pokrzykiwania. Po raz trzeci tego dnia zbieramy się do wymarszu i wkrótce znów idziemy, wlokąc o wiele lżejsze już tobołki. Złowrogi gmach zostaje za nami. Nie wiemy na razie, dokąd hitlerowcy nas kierują. Jesteśmy potwornie zmęczeni. Największym pragnieniem jest wyprostowanie nóg i sen, choćby na odrobinie słomy. Wierzyć się nie chce, że jeszcze wczoraj spaliśmy wygodnie w domu. Dom. Ze zmęczenia trudno sobie wyobrazić, że istniał, był nasz. Zdaję sobie sprawę, że jakiś etap mojego życia minął bezpowrotnie, Że obecny marsz jest zdążaniem ku nowemu, nieznanemu przeznaczeniu. Nie jesteśmy już tak bardzo pewni swojego powrotu do rodzinnego gniazda, jak w chwili wysiedlenia.

Wita nas smutna, martwa fabryka włókiennicza, na której dziedziniec wkraczamy przez wielką, żelazną bramę, zamykającą się za nami ze szczękiem. Fabryczny dziedziniec jest długi i wąski. Z prawej strony widzimy czerwony, długi, piętrowy budynek. Z lewej - jakieś mniejsze zabudowania, potem otwarte, wspólne dla mężczyzn i kobiet, latryny, obok których znajduje się ze szczytu wejście do wielkiej hali z rzędami słupów podpierających strop. Przeciwległą stronę zamyka wielki, właściwy gmach fabryczny z szerokimi oknami i strzelającym w niebo kominem. Znów w nozdrza uderza fetor ścieków i dołów kloacznych i nieznany mi dotychczas zapach chloru, a wzrok napotyka czarne, nienawistne mundury z zygzakami SS. Wchodzimy do owej wielkiej hali, rozbrzmiewającej gwarem chyba kilku tysięcy osób. Z wielkim trudem ojciec wyszukuje w samym kącie wolny skrawek barłogu, niezmienianego od dawna, zgniłego, cuchnącego. Walimy się jednak na niego z ulgą. Spać. Mama organizuje posiłek. Gdzieś podobno dają kawę. Brak naczyń. Jest już zresztą późno. Trzeba zjeść chleb i popić jakąś stęchłą wodą.

Wreszcie można wyjąć z worka poduszki, płaszcze i zdrzemnąć się niespokojnie. Tuż obok są Nawroccy, Owsianowscy, Garstkowa z dziećmi. Pana Koniecznego nie ma. Może zabrali go do Niemiec. Nie ma też Marysi Nawrockiej. Spotkał ją ten sam los, co Bronka. Również w pobliżu znalazła miejsce rodzina Cieślaków z Dobierzyna i wielu innych, z kt6rymi później się zaznajamiamy. Teraz próbujemy spać, co z trudem się udaje. Zmęczenie jest zbyt wielkie. Jakoś jednak zasypiamy, przynajmniej my, dzieci, choć niemowlęta płaczą. W ten sposób mija niedający się nigdy zapomnieć dzień 27 września 1940 roku.

W tym lagrze spędzamy sześć dni. Podobno czekamy na transport. Wiemy już, że skierują nas do Generalnej Guberni, dokładnego jednak miejsca przeznaczenia nie znamy.

Potworna jest ta wegetacja na pełnym insektów barłogu. Na zawsze zapamiętałem odrażającą postać naczelnego kucharza, który ze straszliwymi przekleństwami asystował przy fasowaniu jęczmiennej kaszy, czy grochówki, jak nazywano brunatne ciecze, czy też czarnej lury ochrzczonej mianem kawy. Innych posiłków nie było, poza małą ilością bardzo słonego chleba, przydzielonego wysiedlonym na cały okres zaraz na początku. Fasowanie posiłków należało do mnie. Ojciec cierpiał na żołądek. Werka też jakoś źle się czuła. Mama opiekowała się wszystkimi.

Z moim rówieśnikiem, Józkiem Nawrockim, lub nieco starszym Mundkiem, stawaliśmy w kolejce, starając się nie narazić kucharzowi, który bil wielką chochlą i kopał, jeśli ktoś śmiał upomnieć się o dokładkę, a już z wielką przyjemnością kierował niespodziewanie na zgnębionych ludzi strumień wody z parcianego węża, rozpraszał w ten sposób tłoczących się i śmiał szatańsko. Szczególnie używał sobie, gdy na dziedzińcu przechadzał się ten czy inny esesman. Opowiadano, że to jest Polak, w co trudno było uwierzyć. Gdy jednak później dowiedzieliśmy się, co znaczy nazwa „kapo", uznaliśmy to za wielce prawdopodobne. W każdym razie budził większą nienawiść ludzi niż kuternoga z „czyśćca".

W wolnych chwilach pętaliśmy się po dziedzińcu, próbowaliśmy zwiedzać zrujnowane hale na piętrze z milczącymi maszynami i belami zżółkłej bawełny. Spotkało się to jednak ze stanowczym zakazem rodziców, gdyż łatwo było o jakiś wypadek, a ponadto zetknięcie się z zielonym, czarnym lub brunatnym mundurem mogło się skończyć tragicznie. Szczególny niepokój rodziców budziła również latryna - tak urządzona, że łatwo można było wpaść do dołu kloacznego. Groziło to przede wszystkim dzieciom. Opowiadano, że niejedną ofiarę pochłonęły nieczystości.

Niezapomniane wrażenie pozostawiły wieczory. Gdy nie wolno było poruszać się po dziedzińcu, wtedy, przy nikłym świetle słabych żarówek czy lamp gazowych, skupiali się na swoich legowiskach wszyscy członkowie rodzin. Tu i tam śpiewano rozmaite piosenki: niektóre głośno, inne ciszej, bo treść ich była patriotyczna. Wyciągaliśmy też harmonijki i graliśmy do wtóru. Ustalił się też zwyczaj wspólnego odmawiania różańca lub śpiewania pieśni religijnych na dobranoc, jeśli słowo „dobranoc" miało jakiś sens, bo pchły i pluskwy nie pozwalały na spokojny sen. Bywało też, że wpadał z rykiem jakiś Niemiec: „Ruhe! Nicht singen!" Milkł wtedy gwar i śpiew, by znów za chwilę przyciszonym echem się odezwać, a potem zamilknąć bez rozkazu. Tak mijały dni naszego pobytu w tych warunkach.

Codziennie jakaś grupa wyjeżdżała - my nie. Jednak i na nas przyszła wreszcie kolej. Dnia 1 października wezwano ojca do biura, razem z większością obecnych na sali mężczyzn, dokonano jakichś spisów i polecono przygotować się do drogi na drugi dzień. Odetchnęliśmy z ulgą. Cokolwiek miało nas spotkać, wydawało się lepsze od smrodliwego i zawszonego lagru.

Jakoż 2 października poderwano nas wcześniej z legowisk, większe bagaże polecono przygotować do załadowania na samochody, dano przydział kilku chlebów na drogę i ustawiono przed bramą. Samochody zabierały bagaż, a przed nami otwarła się znów ta sama brama. Zaczynał się nasz czwarty etap łódzkiej wędrówki. Nie wiem dlaczego, lecz szczegółów z tego marszu prawie nie pamiętam. Wiem tylko, że mama nie oddała do przewiezienia samochodem worka z pierzyną, którą dźwigaliśmy wspólnie, że droga była dość daleka, że wreszcie zaprowadzono nas na inny dworzec i około godziny 10:00 pociąg ruszył

w kierunku na Warszawę. Celem naszym była stacja Trawniki. W jakiej jednak okolicy owe Trawniki leżały, nie mieliśmy pojęcia.

Wagony były osobowe i ciżba w nich była jeszcze większa niż w transporcie z Opalenicy. W dodatku nasz wagon był mocno ogrzany, co dawało przyjemność tylko z początku. Później ciepło stało się bardzo uciążliwe, gdyż trudno się było rozebrać z obawy przed pogubieniem odzieży. Zdaje się, że w Radomiu był najdłuższy postój, w każdym razie w Warszawie znaleźliśmy się jeszcze za dnia, około godziny 16:00.

Sądziłem, że z pociągu ujrzę znane mi z ilustracji szkolnych budowle, a przede wszystkim wieżę Zamku i Kolumnę Zygmunta. Nie wiedzieliśmy dotąd, czy zostały one zniszczone we wrześniu. czy też ocalały. Niestety, z okien pociągu Warszawa wydała nam się jakaś szara, bezbarwna. Dostrzegliśmy duża ruin i zniszczeń. Zanim zatrzymaliśmy się na dłużej, często czekaliśmy na jakichś dworcach towarowych, między rozmaitymi zestawami towarowymi. W którym miejscu wypadł główny, około dwugodzinny postój - nie wiem, jednak był on na lewym brzegu Wisły. Był to chyba jakiś dworzec, bo staliśmy przy peronie. Tam też doznaliśmy doraźnej pomocy od Czerwonego Krzyża. Panie z opaskami Czerwonego Krzyża roznosiły gorącą kawę, chleb z marmoladą, a dla małych dzieci zupę mleczną. Wielką ulgą był dla nas fakt, że to były Polki, okazujące nam szczere współczucie. Obiecywaliśmy więc sobie więcej wolności w Generalnej Guberni i to w pewnym sensie miało być rekompensatą za czekającą nas nędzę i głód. Niestety, oczekiwana wolność okazała się mirażem, choć w porównaniu do terroru w „Warthegau" rzeczywiście była większa.

W dalszą podróż wyruszyliśmy już o ciemku. Przez Wisłę pociąg sunął bardzo wolno i gdyby nie ciemności -moglibyśmy obejrzeć panoramę stolicy. Potem, nabrawszy szybkości, mijaliśmy wschodnie przedmieścia, podziwiając stylowe budyneczki stacyjek podmiejskich, wyłaniające się spośród sosnowych lasów otwockich wilie i budynki sanatoryjne. Później, ukołysani miarowym sapaniem lokomotywy i stukotem kół, zasnęliśmy w pozycjach nader niewygodnych, na ławach, tobołkach, półkach czy kolanach matek. W tym samym przedziale jechała rodzina Ratajów, zdaje się, że z Żegowa w powiecie nowotomyskim.

W Garwolinie, która to nazwa napawała nas strachem, gdyż wielu znajomych przymierało w tej okolicy z głodu i zimna, transport zatrzymał się nieco dłużej. Część wysiedleńców tu miała swoją stację docelową. My jechaliśmy dalej. W Dęblinie pożegnali nas Nawroccy. A tak chcieliśmy być razem. W świetle dworcowych lamp zostawiliśmy ich na peronie, siedzących na tłumokach, w towarzystwie zielonych mundurów. Pani Ewa Nawrocka, w ciemnozielonym ubraniu wielkopolskiej wieśniaczki, słała nam ręką i łzą w oku pożegnanie, gdy pociąg ruszył i krył się w mroku wśród nizinnych garwolińskich lasów.

Dojeżdżamy do Lublina. Za oknem migają i znikają za nami nazwy stacji: Puławy, Nałęczów, Motycz, Sadurki - nie wiem dziś, która wcześniej, a która później. W Lublinie znów dłuższy postój. Kobiety z Czerwonego Krzyża roznoszą gorącą zupę z koncentratu spożywczego o nazwie: „Knorr" oraz kawę i chleb. Skąd polska organizacja czerpała fundusze na tego rodzaju pomoc? Nie podejrzewaliśmy, aby to była zasługa okupanta. Dali nam przecież w Łodzi kilka bochenków chleba i po 20 złotych na członka rodziny, wskutek czego cały „kapitał" wynosił zaledwie 100 zł, nie licząc kilku marek, które gdzieś tam się uchowały. Pomoc ta musiała pochodzić zapewne od miejscowego społeczeństwa, które po roku okupacji z pewnością nie było zbyt syte.

Wkrótce znów jesteśmy na trasie. Za oknami noc. W szyby zacina deszcz. Sen już się nas nie ima. Śpią tylko małe dzieci. Zaczyna się ruch. Chyba już niedaleko do Trawnik. Zbieramy luźne rzeczy i pakujemy. Mignęła jakaś nazwa. Ktoś odczytał, że to Jaszczów. Wreszcie wagony stukają w zwolnionym tempie, przeskakują na rozjazdach. Przeciągły gwizd parowozu, jeden, drugi. Wpatrujemy się w mroczną szarość schyłku październikowej nocy. Coraz wolniej odpływają do tyłu semafory, budynki dróżnicze i pociąg wtacza się między perony. Na budynku stacyjnym napis: Trawniki. Tutaj jednak nie następuje „galowe przyjęcie" jak w Łodzi. Siąpie deszcz, drobny jesienny kapuśniaczek. Dopiero po dłuższym czasie zaczyna się leniwy ruch. Niemcy otwierają drzwi. Widzimy, że ludzie zaczynają wysiadać. Pojawiają się żandarmi, dzielą na jakieś grupy, wywołują nazwiska. Idziemy do towarowych wagonów po bagaże. Uczucie ulgi, bo są wszystkie.

Ojciec zostaje wezwany wraz z innymi głowami rodzin do budynku. Przychodzi stamtąd z kartą przesiedleńczą, na której widnieje nazwa „Stefanów". Mamy czekać na furmanki, które zawiozą nas na miejsce przeznaczenia. Robi się coraz zimniej. Mamy nadzieję, że podróż nie będzie trwać długo. Wreszcie na ulicę przed dworcem zajeżdżają dziwaczne, bo długie i wąskie, wozy. Zaczynamy się ładować. „Nasz" furman mówi, że to niedaleko. Ktoś inny mówi, że pojedziemy 25 kilometrów. Nie bardzo wierzymy. Nikt u nas przecież nie jechał nigdy końmi na taką odległość. Wreszcie sadowimy się i razem z całą karawaną furmanek ruszamy w ostatni etap. Deszcz pada coraz bardziej. Mama otula Janka. Ojciec, Werka i ja staramy się okryć jakimś płaszczem. Furman, Janek Jędruszak, którego później bliżej poznajemy, jest dość rozmowny. Próbuje nam tłumaczyć dziwnym akcentem, że nie będzie nam źle, bo Stefanów to bogata wieś. Udajemy, że wierzymy. Przejeżdżamy przez dużą wieś o dziwnej nazwie Dorohucza, przez most na rzece Wieprz. Szosa gładka, z cegły układanej w „choinkę". Na lewo niskie mokradła. W dali linia lasu. Skręcamy na szosę włodawską w kierunku północnym. Teraz z obu stron widzimy podmokłe, torfiaste łęgi, pełne kęp zarośli, zagajniki olchowe przerośnięte brzeziną. Tu i tam małe drewniane zabudowania, jakże inne niż w Wielkopolsce. Przypominają się opowieści o Garwolinie. Czyżby tak biedna była ziemia lubelska, o której w szkole mówiono, że ma najlepszą, lessową glebę? Nie orientujemy się jednak w położeniu i dlatego nie wiemy, że znajdujemy się na pograniczu Wyżyny Lubelskiej i Krowiego Bagna. Tu z łaski Hitlera przyjdzie nam wegetować. Pejzaż jednak zmienia się nieco. Po lewej stronie nadal widzimy szarą wstęgę lasu, jednak przy szosie są pola uprawne. Wsie Chjeniec, Chojno. Jesteśmy już częściowo przemoknięci. Pada coraz bardziej. Furman twierdzi, że już niedaleko. Później dopiero doświadczam osobiście, że 15 km to blisko, bo musiałem jeździć 40 i 60 km. W tej chwili jednak jest nam naprawdę zimno, choć nic na to poradzić nie możemy. Szosa pnie się nieco w górę. Odczytujemy nazwę miejscowości: Korybutowa Wola. Opodal zgrabny, drewniany kościółek, zaś przy szosie —groby. Groby tych. którzy napadli. Na krzyżach swastyki i hełmy. Nieco dalej, przy kościółku, znajdują się mogiły obrońców, którzy tu, w Korybutowej Woli, stawili czoła najeźdźcom i stoczyli swoją ostatnią bitwę. Na polskich mogiłach proste, brzozowe krzyże, bez hełmów, bez napisów. Nasze pierwsze zetknięcie z grobami poległych wstrząsa bardziej niż dreszcz z zimna i przemoknięcia. Może to tu leżą bliscy, o których nie ma wieści. Nie dowiemy się tego nigdy. Szum deszczu, turkot żelaznych obręczy, smutna zaduma i niespokojne spojrzenia mamy, która widzi nas drżących i sama drży, otulając Janka.

Mijamy wsie obojętni już, otępiali. Barki, Głębokie, Stręczyn. Potem znów cmentarz wojenny z pierwszej wojny światowej, na prawo dwa cmentarze: katolicki i prawosławny. Wóz przestał turkotać po bruku. Cyców. Skręcamy w lewo. Teraz to chyba już blisko, bo 7 km. Niestety, droga ciężka, koła grzęzną w mokrym piasku, jedziemy wolno. Podgłębokie. Torfiska, piaski i małe domki - tak ubogie, że trudno uwierzyć, by ludzie mogli w nich mieszkać. Potem mały wąwóz, drewniany most na rzece Śwince i furman pokazuje nam w oddali jakąś wieś; „Tam Stefanów". Ale to jeszcze 3 km. Przedtem jest długa wieś Janowica. I tu niespodzianka. Pośrodku tej wsi podrywa nas okrzyk przechodnia: „Ludzie, a wy skąd?!" To Janek Menes z Małejgórki, wysiedlony w pierwszym rzucie, trzy tygodnie temu. Radość ze spotkania swojaka podnosi nas na duchu. „A tam mieszkają Majchrzaki!" To nasi bliscy krewni, też z Małejgórki. Otrząsamy się z przygnębienia. Jedziemy dalej. Nie damy się!" — krzyczy Menes. Ojciec uśmiecha się. Może nie będzie tak źle.

Przetrwaliśmy i wróciliśmy. Przeżywszy wiele ciężkich chwil, zaznaliśmy również głodu, chorób, trwogi. Poznaliśmy inne strony, zwyczaje, innych ludzi. Czekaliśmy z utęsknieniem na listy kierowane pod adres: Stefanów, poczta Cyców, powiat Chełm Lubelski, G. G. Razem z nami dzielili wygnańczy los wysiedleńcy z okolic Nowego Tomyśla i Buku: Nowiccy z Januszewic, Tomikowscy, Rataje, Napierałowie z Żegowa, Bremborzowie z Kąkolewa, Smierzchalscy z Dobrej, Gawronowie, Cieślakowie, Piętki, Osydusowie, Przyweccy z Dobierzyna, Jędruszkowiakowie z Granowa, Zimeccy spod Nieszawy, Grześkowiak z Annopola pod Środą, Grzesie, Jarmuszkiewiczowie, Rzadkiewiczowie, Brysiowie spod Łodzi. Złączyła nas wojenna zawierucha, rozłączyła konieczność. Ta sama konieczność, która każe ptakom wracać do swych gniazd. Więc przetrwawszy, wróciliśmy. Bo „nie damy ziemi, skąd nasz ród". Bo oczekiwane przez pięć lat jutro stało się dniem dzisiejszym. Naszym, polskim dniem.

Stefan Pluciński, *ur. 30.08.1926 w Targowej Górce, zmarł 8.12.2009 w Kostrzynie. Pracował jako nauczyciel w szkołach w Targowej Górce (12.1956 - 05.1958), we Wszemborzu i Biechowie. Uzupełnił wykształcenie pedagogiczne kończąc Studium Nauczycielskie w Poznaniu. W 1973 przeniósł się z rodziną do Kostrzyna. Tutaj pracował w szkole im Ewarysta Estkowskiego do chwili przejścia, ze względu na stan zdrowia, na rentę w 1982 roku. Pracował też jako organista w kościołach w Targowej Górce i Czerlejnie. Poświęcał się ulubionemu zajęciu, jakim było malowanie obrazów. Między innymi namalował portret gen. Antoniego Amilkara Kosińskiego, patrona szkoły w Targowej Górce. Pozostawał aktywny w życiu społecznym. Był inicjatorem i współorganizatorem Obchodów 700-lecia Targowej Górki w 1958. Służył doświadczeniem, wchodząc w skład Komitetów Obchodów 730-lecia TG w 1988 r. i 750-lecia w 2008 r.*

Stefan Pluciński z uczennicami szkoły w Targowej Górce.

Stefan Pluciński (siedzi pierwszy z prawej) z uczniami i nauczycielami szkoły w Targowej Górce.

Stefan Pluciński z uczestnikami kursu na prawo jazdy w Targowej Górce, siedzi czwarty od prawej. Druga poł. lat pięćdziesiątych XX w.

Bronisław Pluciński

Wyrwani z gniazda

Wspomnienia z przymusowych robót w III Rzeszy w latach 1940 - 1945

Tułaczym szlakiem

Był dzień 27 września 1940 roku, gdy- po przejściu przez piekło czyśćca w Łodzi- rozpoczął się w moim życiu nowy etap. Oderwano mnie gwałtem od rodziny, kraju i lat mojej młodości. Zacząłem pisać nowy rozdział w księdze mego bytu, nie wiedząc, ile kart będzie mi dane zapełnić, nie znając przyszłości zasnutej oparami brunatnej mgły i dymami wojennej pożogi. Nie tak, w wyobrażeniach i snach dziecięcych, przedstawiała się wielka przygoda mojego życia.

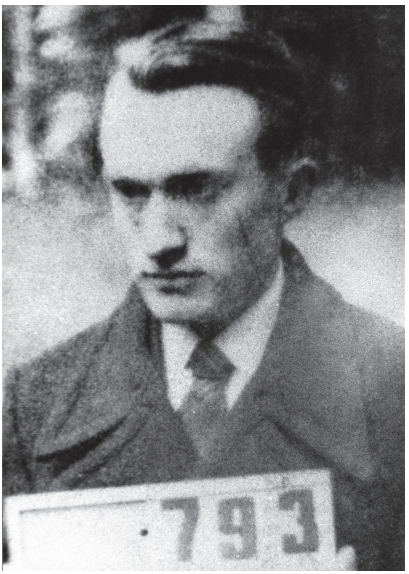

Bronisław Pluciński w obozie przejściowym w Łodzi. 1940 r.

I oto teraz, razem z Ojcem i bratem, czternastoletnim Stefanem, niesieni falą bezbronnej, tragicznej masy wysiedleńców, zbliżamy się do wyjścia z czyśćca. Jesteśmy ograbieni z żywności, pieniędzy i odzieży. Po kilku godzinach trwania terroru rewizji spotykamy się znów z Mamą, starszą siostrą Weroniką i małym, czteroletnim braciszkiem, Janusiem, roz--dzielonymi z nami na końcu czyśćca. Wśród zgiełku, płaczu i krzyku bitych ludzi oraz gardłowego wrzasku übermenschów mówię do mamy: „wszystko nam zabrali". I to są moje ostatnie słowa do rodziny, słowa pożegnania zarazem. Podnosi się bowiem barierka w zagrodzie, wydzielonej jakby w miejscu skupu zwierząt w wielkiej fabrycznej hali, i zostaję tam gwałtownie wepchnięty i oddzielony od moich bliskich.

Żegnamy się wzrokiem. Jeszcze widzę w tłumie pochyloną, zgnębioną dziś postać ojca, na chwilę ujrzę jeszcze Janusia na ręku mamy, by po chwili zostać samotny, zgubiony wśród rzeszy wygnańców. Jak zaszczute zwierzę chodzę po klatce. Mając lat 19, czuję się bezradny jak dziecko, a jednocześnie w jakiś sposób bardziej dojrzały. Domyślam się tylko, po co mnie odłączono. Chce mi się płakać, krzyczeć, modlić, a równocześnie - skołowany i zmęczony - jestem dziwnie obojętny. Lecz bariera raz po raz się podnosi i zagroda zaczyna się zapełniać takimi jak ja.

Czekamy na swój dalszy los. Wkrótce też sfora żandarmów, bonachutsów i gestapowców, okrzykami Rause ! Schnell ! zaprasza do wyjścia i - pod silną eskortą, jak zbrodniarzy - pędzi do innego lagru przez ulice robotniczego miasta. Swój skromny dobytek niesiemy na plecach, w rękach, pod pachą. Niektórzy nie mają nic. Mnie też wiele nie zostało. Jest późne popołudnie, gdy docieramy wreszcie do jakiejś fabryki, zamienionej na obóz przejściowy.

Spotykam tu Marysię Nawrocką, koleżankę szkolną, razem z nami wysiedloną z Targowej Górki. Ona też jedzie do Niemiec, jako „freiwilliger". Po przybyciu do lagru zbiórka na dziedzińcu fabrycznym, po której zapędzono nas na piętro, do ogromnej hali, i polecono zrobić porządek, jeśli chcemy spać. Na ten cel przeznaczony był wielki prostokąt na środku hali, zasłany barłogiem startym na sieczkę. Więcej tam jednak było insektów niż słomy. Barłóg ruszał się od olbrzymich mas robactwa. Deutsche ordnung.

O zmroku sygnał do spania. Śpimy, gdzie kto może – byle nie na żywym materacu: na stołach, ramach od krosien, parapetach, czy też wprost na cementowej posadzce. Przy mnie jakiś piętnastoletni chłopiec. Noc, jakich się wiele w życiu nie przeżywa. Wśród pozornej ciszy szepty, modlitwy, tajne szlochy, przekleństwa na szkopów, robactwo, zimno ciągnące od kamiennej podłogi i okien bez szyb, na los tułaczki i jutro nieznane.

Nie mogę spać. Rozmyślam o wypadkach ostatnich dni, przeżywam je w męczących majakach. Myślę o rodzicach, braciach, siostrze. Mam uczucie straszliwej pustki. Wydaje mi się, że mogę zazdrościć snu memu towarzyszowi niedoli. Ale to złudzenie. On też nie śpi. A cierpi chyba bardziej niż ja, niż inni. Jest w tej grupie chyba najmłodszy, odarty ze wszystkiego. Nie ma nawet najmniejszego tobołka i w niekompletnym ubraniu. Nadludzie nie pozwolili mu się nawet ubrać. Ale nie skarży się, nie narzeka. Tylko nie śpi. Mały, cichy bohater. Nie pamiętam nawet jego nazwiska ani miejsca pochodzenia. Szkoda. Bardzo go polubiłem. Dzieliłem się z nim swoim płaszczem, bo ziąb doskwierał.

Nareszcie świt. Budzi jeden drugiego. Robi się ruch. Ktoś intonuje „Kiedy ranne wstają zorze". Śpiewamy wszyscy. Następuje jakieś psychiczne odprężenie. Ale tupot podkutych butów, wrzask „Nicht singen, schlafen". Wyjaśniamy, że rano, tośmy wstali. Uspokoiło to trochę Niemców, ale nagnali nas z powrotem do spania. Była godzina druga. Światła miejskie wprowadziły nas w błąd. Kładziemy się więc, ale nikt już nie zasypia. Toczą się rozmowy. Opowiadamy swoje przeżycia. Wreszcie, o 5:30, definitywnie wspólnym różańcem kończymy tę koszmarną noc. Rano wydają chleb i kawę, ale ja nie mam czym jeść. Ta część bagażu, w której miałem kubek, miseczkę i łyżkę, została mi zabrana podczas rewizji. Uratowała mnie Marysia, darowując mi szklankę, która odtąd będzie mi służyła za kubek, talerz i łyżkę. Godzina 10:00 - badanie lekarskie. Wszyscy zdolni do pracy w Vaterlandzie. Na obiad zupa wyglądająca na krupnik. Kasza kaszę goni. Wieczorem znów kawa i chleb i tak do wtorku. Czekamy na transport. 1 października rano podwójna porcja chleba i polecenie przygotowania się do wymarszu na stację. Po raz trzeci zarzucamy lichy dobytek na plecy i pędzą nas na stację. Jest nas około osiemdziesiąt osób i wszyscy też zostajemy wepchnięci do jednego wagonu osobowego. Straż uzbrojono w karabiny i broń krótką. Pierwsze szarpnięcie lokomotywy i pociąg, powoli nabierając szybkości, rusza ku swemu i naszemu przeznaczeniu. Do Niemiec, do Niemiec, do Niemiec... zdają się wystukiwać swój jednostajny rytm koła wagonów. Ale oto wracamy tą samą trasą, którą nas przywieźli, do Litsmansstadt.

Ostrów, Jarocin, Środa. Moje miasto. Przejeżdżam przez nie od chwili wysiedlenia po raz trzeci. Niedaleko stąd do domu mego dzieciństwa, w którym panoszy się wróg. Przeżywam znów wydarzenia ostatniego roku. Mieliśmy nawet guzika nie oddać, a dziś cały kraj butem niemieckim zdeptany. Salwy plutonów egzekucyjnych zalały krwią rynek średzki, rynki i place wielu miast i wsi. Terror, poniewierka i prześladowanie stały się chlebem codziennym całego narodu, mnie i moich bliskich.

W oczekiwaniu na cud wyzwolenia, na tułaczkę, na los niewiadomy, uczyliśmy się w pierwszym roku okupacji języka wroga, by móc się bronić a może i walczyć, uczyliśmy się ze Stefanem języka przyjaciół znad Sekwany. W nauce niemieckiego i francuskiego pomaga nam kolega Edward Molik - uczeń gimnazjum. A potem wysiedlanie, ładowanie na wóz. Środa, Poznań, Opalenica. I melodia wygrywana na harmonijkach ustnych; „Bywaj mi zdrowy kraju kochany, już w mglistej giniesz powłoce". I teraz, gdy pociąg przetacza się przez Środę, śpiewam znów w myśli tę pieśń.

W Poznaniu krótki postój, a potem już do Rzeszy. Miarowy stukot kół uśpił nas około północy, lecz nie na długo. Zbyt ciasno. W głębokiej, przygnębiającej zadumie mijamy miasteczka i wsie, chyba już nie polskie. A kiedy szarość porannego brzasku zaświta za oknami pociągu, wśród szeptu modlitwy i cichego śpiewu dojeżdżamy do Szczecina.

Tutaj odżywa we wspomnieniach czytana w dzieciństwie książka „Chata wuja Toma". Jestem niewolnikiem wystawionym na targ. To nie opowieść literacka – to rzeczywistość. Okoliczni bauerzy wybierają żywy towar z wielką starannością, tak jak to czynić zwykli handlarze na targowisku bydlęcym. Wyselekcjonowano 15 osób, a w tym Marysię Nawrocką. Żegnaj! Do widzenia w Targowej Górce. Z resztą jedziemy dalej. Wolgast. Tu też kilku zabrano. A my dalej, do Anklam. Wyładowują nas z pociągu i prowadzą do miasta na nocleg. Lokują nas w dużej sali w budynku obok cukrowni. Otrzymujemy ciepłą zupę. Każą nam spać. Strażnicy są nadal, ale już po cywilnemu. Zastanowiło nas to, że traktowano nas łagodniej. Pierwszy raz od tygodnia jesteśmy w ciepłym pomieszczeniu. Walimy się na podłogę i zasypiamy kamiennym snem. Pierwsza noc i pierwszy nalot. Bomby spadają na pobliską cukrownię, około pięćdziesiąt metrów od nas. Ale niewielu z nas słyszy wybuchy. Ja też nie. Po prostu śpimy. Dopiero rano dymiące obok nas zgliszcza ukazujące nam widmo śmierci, krzepiły nas, jakże krzepiły. A więc wojna jednak trwa i czują to nasi ciemiężcy.

Po śniadaniu znów targ niewolników. Bauerzy wybierają. Przedtem badanie lekarskie. A mój 15–letni bohater, Józek (przypomniało mi się imię) został odesłany do kraju. Był zbyt słaby jako arbaiter. Ja też byłem widocznie jakiś wybrakowany. Z jednym z kolegów czekałem na swego pana – nabywcę do wieczora. Gdy jednak nikt się na mnie nie zdecydował, w towarzystwie jednego tylko strażnika wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy do Greifswaldu. Na peronie stacyjnym strażnik przekazał mnie innemu Niemcowi wysokiego wzrostu, w przybrudzonym roboczym drelichu. Strach mnie ogarnął, gdy ten, zbliżywszy się do mnie, popatrzył uważnie, zabrał mój tobołek, pytając: „Das ist twoje? Kom mit! Du bist słaby."

Zgłupiałem. Czegoś takiego nigdy się nie spodziewałem. Ale wciąż jeszcze nieufny, milczący poszedłem za nim. Na ulicy wsiadłem z nim na wóz zaprzężony w dwa konie. Ruszyliśmy.

Jedziemy. On gadatliwy. Ja zrezygnowany, milczę. Wreszcie zdenerwował się mój gaduła i wali do mnie; „Du bist nie mówić"? Roześmiałem się po raz pierwszy od tygodnia i po raz pierwszy po niemiecku w Niemczech, nie będąc pewnym poprawności swojej wymowy pytam: „Sind Sie bauer?" „Nein" - odpowiada – „ich bin arbeiter". Rozgadał się teraz na całego. Rozumiałem z tego piąte przez dziesiąte i czułem się jak na tureckim kazaniu. Zmęczył się wreszcie czy zorientował w mojej znajomości niemczyzny i na chwilę zamilkł. Mówię więc do niego: „Bitte langsam sprechen" - ja tylko trochę umiem po niemiecku. Wtedy on wyjaśnia, że jedziemy na mały folwark, że bauer jest bardzo dobry. Że, może nie tak bardzo, ale w okolicy dla Polaków najlepszy, bo z Polakami zetknął się już przed wojną. Przyjeżdżali

tu na roboty sezonowe. Dalej mój woźnica chwalił się, że umie trochę po polsku, na dowód czego zaprezentował swój słownik z dziedziny anatomii i ciała ludzkiego poniżej pasa i związanych z nimi różnych czynności fizjologicznych. Obiektywnie stwierdzić należy, że wymowa była całkiem poprawna, mimo to uśmiałem się szczerze i odprężyłem się jeszcze bardziej. Napięcie psychiczne powoli ustępowało.

W pewnym momencie zdenerwował mnie. Zapytał, z jakiej dzielnicy pochodzę. Mówię, że z poznańskiego. A on na to: „Das ist ur deutsche Gebiet." Głupia cholera – pomyślałem i niezbyt głośno to samo wypowiedziałem. Zapomniałem, że ta część słownika jest mu dość dobrze znana. „Ich bin nicht gupi kolera". Odezwał się i zamilkł obrażony. Żal mi się go zrobiło, bo jakim chlebem był karmiony, taki trawił. Więc mówię, że ich bin głupio i cholernie hunger. Uwierzył, a ja pomyślałem, że jednak głupi. Miałem nad nim przewagę, że umiałem więcej po niemiecku niż on po polsku.

I tak, pogadując, skręcamy na brukowaną, wiejską ulicę, mijamy kościół ewangelicki na skraju wioski, wjeżdżamy na okropnie wyboistą drogę, polnische wege?! A więc mają je też. Dwukilometrowy odcinek pokonujemy po ciemku. Postanawiam sobie ulżyć i mówię, że u nas takich dróg nie ma, że polnische wirtschaft jest lepsza. Masz za ten twój „Gebiet". Wreszcie wyłaniają się z mroków zarysy zabudowań. Wjeżdżamy na podwórze. Konie stają, schodzę i...wpadam po kostki w błoto. Mój rozmówca bierze mój worek, idzie w kierunku budynku wołając: „Władek! Józef! Franz! kolega ich hier, chocz pryntko!" Zaprowadził mnie na poddasze. Wchodzę po schodach, staję na progu i patrzę. Widzę przede mną trzy nieznajome twarze. Ale to polskie twarze. To dużo znaczy. Jest godzina 22:30. Miejsce mojego przeznaczenia nazywa się LEIST II.

Pozornie kończy się tutaj mój tułaczy szlak, ale ja wiem, że skończy się pod dachem rodzinnego domu. Wierzę w to głęboko.

My i oni

Stojąc na progu mojej sztuby zdaję sobie sprawę, że wkraczam w nowe środowisko, chcąc nie chcąc muszę się przystosować do nowego sposobu życia, jakże odmiennego od warunków życia w rodzinie. Witamy się więc, zapoznajemy i zanim zdołam trochę odetchnąć, muszę odpowiadać na pytania bezładne, co słychać w kraju. Moi koledzy są właściwie jeńcami. Wiele też przeszli i wiele „dobroci" doznali od członków Herrenvolku, a jednak nie bardzo wierzą w to, co słyszą ode mnie o strasznych wydarzeniach pod okupacją. Nie mam jednak siły, by ich dziś przekonywać. Jestem głodny i zmęczony. Władek idzie więc do pałacu, zwanego przez nich hofem po kolację dla mnie. (Byliśmy bowiem na wyżywieniu hofu. Jechać na hof - znaczyło jechać na podwórze, iść na hof - iść do pałacu.) Wrócił po chwili, ale nie sam. Przyszły trzy służące, Niemki, niosące chleb i kawę. Jedna była zbędna, ale ciekawa nowej twarzy. Pytała, skąd jestem, kim jestem, co umiem. Odpowiadałem półsłówkami, bo byłem przede wszystkim zajęty jedzeniem. Władek tłumaczył, że jestem wysiedlony, nie wiem gdzie jest rodzina, jak postępują z nami w Polsce. One też nie wierzyły, ale Władek umiał je przekonać. Odeszły jakby zawstydzone.

Wreszcie o godzinie 24:00 idziemy spać. Łóżko typu koszarowego. Moje na piętrze. Koledzy w czasie zajmowania legowisk informują o tutejszych zwyczajach. Przestrzegają przed zbytnim pośpiechem w pracy. Chodzi o to, aby się nie narazić robotnikom niemieckim,

zatrudnionym tutaj, bo oni są przodownikami pracy, tzw: verarbeiterami. Widocznie też zbytnio sobie rękawów nie wyrywają. Za długo jednak się nie zastanawiałem nad tym, bo zasnąłem, gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki.

Rano koledzy budzą mnie z trudnością. Wstaję i o godzinie 6:55 idziemy na apel, który odbywał się przed naszą kazerną czyli budynkiem dla robotników sezonowych. Dziś apel będzie trwał trochę dłużej niż zwykle. Oto idzie w naszym kierunku wysoki, po myśliwsku ubrany mężczyzna. Pozdrawia wszystkich „Gut Morgen!", po czym zbliża się do mnie. Z okupacyjnego nawyku doznaję mimowolnego uczucia trwogi. W ogóle jestem dziś w centrum zainteresowania. Niemiec przedstawia się: Ich bin deine Bauer. Kommst du deutsch? Odpowiadam, że trochę. Wtedy on pyta: czy nie nazywam się Kaczmarek. (Przed wojną pracowało tu kilku Kaczmarków) Mego nazwiska nie mógł wymówić. Z imieniem Bronisław też nie było łatwo. Pyta więc robotników niemieckich, jak mnie będą nazywać. Jeden z nich odpowiada, że Bruno. Tak więc po raz drugi w życiu zostałem ochrzczony, tylko że bez wody.

Po apelu każdy podjął wyznaczoną pracę. Ja z kolegą Józefem pojechałem po słomę. Zburczał mnie, że za szybko robię. Potem poszedłem okrywać kopce ziemniaków pod nadzorem robotnika Niemca. Ten za chwilę woła: langsam, langsam! Wreszcie pyta, jak po polsku mówi się langsam. Więc co chwilę napomina mnie teraz: powoli robicz, powoli! Zwalniam tempo, ale to nie wystarcza. Zabiera mi więc łopatę i tłumaczy dobitnie, że trzeba naprawdę wolno robić. Więc odpowiadam, że przecież robię bardzo wolno, że u nas za taką robotę byłbym bity i poganiany okrzykami Lose, lose! Nic nie mówi, lecz posyła mnie do grupy jeńców belgijskich i poleca im, by mnie nauczyli wolno pracować. Nie mogę tego jakoś pojąć, ale idę.

Próbując mojej francuszczyzny, pozdrawiam ich. Bonjour monsieurs! Przyjmują mnie serdecznie, zasypują gradem pytań i powitań. Niestety, znajomość francuskiego jest bardzo słaba. Niewiele rozumiem i niewiele mogę im przekazać mową czy gestem. Zabieram się więc do pracy, ale jeden z nich, imieniem Gaurica, coraz to woła lang – sam akcentując ostatnią sylabę, a dzwoniąc spółgłoską „ą" w pierwszej. Zwalniam więc tempo ponownie, wciąż bojąc się, że za mało zrobię. Chleb z solą byśmy w domu jedli, gdyby rodzice takiej roboty mnie nauczyli. Maurice też jednak nie wytrzymuje i mierzy krokami wykonaną pracę. Okazuje się, że ja sam okryłem 2 – kroki, a ich pięciu 4 – kroki. Mówi więc – pardon! – i jednocześnie wymownym, międzynarodowym gestem stuka się w czoło. No cóż, trzeba się będzie przystosować, choć niełatwo maltretowane zwierzę uwierzy, że każą mu wolno ciągnąć.

Obiad po całotygodniowej katordze był po prostu królewski. Po obiedzie na sztubę przychodzi bauer, spisuje moje personalia, pyta o wykształcenie i wreszcie o to, dlaczego wyjechałem ochotniczo do Niemiec. Wyprowadzam go więc z błędu i mówię, że nie jestem ochotnikiem, lecz wysiedleńcem. On na to, że przecież w papierach piszą Freinlliger, więc bez zastanowienia się odpowiadam, że u nas ludzie nawet rozstrzeliwać dają się na ochotnika. Powiedziawszy to, poczułem, że zbladłem jak płótno. Bauer popatrzył na mnie uważnie i powiedział: „Na! Bruno! hier must du bischen aufpassen" Tak też rozumiem, że będę musiał tu trochę uważać na słowa, a jednocześnie nie rozumiem, że Niemiec tak się może zachowywać. Dotychczas znałem innych Niemców. Pamiętam przecież, jak został skatowany mój młodszy brat, Stefan. Ale nie mówię tego, bo już uważam.

Wychodząc, bauer każe mi iść po południu do zbierania ziemniaków na akord, bo Bent mówi, że przy kopcach nie bardzo idzie mi robota. Wiem już, o co chodzi Bentowi i postanawiam nauczyć się gut machen.

I tak minął pierwszy dzień mojego pobytu na przymusowych robotach w Rzeszy hitlerowskiej in Leist II aber Greifswald in Pommern. Dzień pełen niespodzianek i wrażeń, pełen kontrastu między tym czego doznawaliśmy w kraju, a tym, czego doznałem dziś tutaj. Wciąż nie mogę w to uwierzyć i zastanawiam się, czy to nie jest tylko gra i zastawianie pułapek. Jestem nieufny.

Lecz następne, szare i jednostajne, jesienne, wypełnione niezbyt intensywną pracą, potwierdzają rzeczywistość pierwszego dnia. Koledzy starają się, abym nie myślał zbyt wiele o swoich sprawach, starają się wytworzyć atmosferę rodzinną, za co jestem im serdecznie wdzięczny. Ja ze swej strony staram się poznać ich troski i zainteresowania. Na razie nigdzie nie wychodzę.

Wolne chwile przeznaczam na naukę niemieckiego. Ten ich ur deutsche Gebiet nie daje mi spokoju. Przeczuwam, że będzie trzeba ich wyprowadzić z błędu. Na to zaś trzeba znać ich język.

Po dwu tygodniach niecierpliwego oczekiwania, pełnego niepokoju, otrzymuję wiadomość o rodzinie. Zostali osadzeni na poniemieckim gospodarstwie we wsi Stefanów pow. Chełm Lubelski. Niełatwo będzie im żyć na ogołoconym ze wszystkiego gospodarstwie. Spokojniej jednak myślę o nich, a sam wrastam w nowe środowisko, w konglomerat różnych narodowości zegnanych do Niemiec, po to, aby machina wojenna mogła wyrobić swoją potworną normę. Kim byli moi współtowarzysze, postaram się, tak jak pamiętam, opowiedzieć.

Jak już wspomniałem, koledzy byli jeńcami wojennymi, zabranymi do niewoli pod Skierniewicami czy Łowiczem. Wszystkich cechowały solidarność i patriotyzm. Jestem wiele od nich młodszy. Przyjmują mnie jednak serdecznie do swego grona i traktują jak swego rówieśnika. Nie mamy przed sobą tajemnic. Oto oni:

Władek Biernacki, żonaty, robotnik z fabryki papieru we Włocławku. Politycznie wyrobiony, reprezentuje poglądy lewicowe. Często prowadziliśmy z nim długie dyskusje.

Franek Narożny ze Śmigla, żonaty, robotnik. Pracował w cegielni. Problemami politycznymi raczej się nie interesował.

Józef Zandrowicz, żonaty, robotnik rolny, pochodził ze wsi Dobre pow. Aleksandrów Kujawski. Politycznie niezaangażowany. Władał komicznie niemczyzną. Znając około 100 słów niemieckich, wdawał się w długie pogawędki z Niemcami, szczególnie przy pracy przeplatając niemiecki z polskim. Słuchając ich, odnosiło się wrażenie, że doskonale się rozu-mieją.

Stanisława, nazwiska nie pamiętam, była jako pomoc we dworze. Znała dobrze język niemiecki, ale z naszą grupą nie utrzymywała kontaktów koleżeńskich. Po prostu chciała unikać plotek.

Wypada mi teraz przedstawić Niemców:

Mój bauer, dr Hager, jest emerytowanym lekarzem – chirurgiem. Ma 68 lat. Bardzo powolny w mowie i ruchach. Patrząc na niego, wierzyć się nie chce, że ten człowiek mógł dokonywać skomplikowanych operacji. Ma bardzo żywą w usposobieniu żonę, bardzo zresztą inteligentną. Jest bauerem właściwym, ale to nie on przyjął i przestrzegał przed nierozwagą w słowach. Gospodarstwem zajmuje się bowiem jego zięć, Gustaw Miller lat 36. O nim właśnie poprzednio mówiłem. Ma pociąg do kieliszka, ale nie jest pijakiem. Należy do NSDAP. Jego żona, jak ojciec powolna, jest trochę zwariowana na punkcie koni. Próbuje być amazonką, co jej się nie bardzo udaje.

Robotnicy, zarówno Niemcy jak i Polacy, są przez nich traktowani jednakowo, choć większym zaufaniem cieszą się Niemcy, co zresztą nikogo nie dziwi. Otrzymują też nieco wyższe wynagrodzenie. Dostają 37 pfenigów na godzinę, podczas gdy my 26 pf. Za wypracowane nadgodziny Niemcom należało się 100% więcej, podczas gdy nam płacono tylko 31 pf. Równą płacę otrzymywaliśmy za prace akordowe.

Nie było chyba przypadkiem, że robotnicy Niemcy byli jakoś dobrani pod względem zapatrywań na sprawy ludzkie i na politykę. Pomimo, że na płaszczyźnie oficjalnej gorliwie pozdrawiali się Heil Hitler! To jednak życie ich przeczyło owemu heil. Był tutaj jakiś olbrzymi kontrast między jednym a drugim, w co nigdy bym nie uwierzył, gdybym sam o tym się nie przekonał. Byli Niemcami, czuli się nimi, a jednocześnie chlubili się tym, że przez 30 lat znajdowali się pod panowaniem Szwecji. Do słowiańskiego pochodzenia się przyznawali, chociaż wiele nazw topograficznych miast i wsi było pochodzenia słowiańskiego, a bardzo wiele miało tyko nieznaczne zniekształcenie. Ale o tym problemie będę miał okazję jeszcze wspomnieć.

Bardzo przykładnie współżył z nami stary traktorzysta, inwalida z I wojny światowej, Bent oraz jego żona.

Burgwald, chlewmistrz, mimo że był członkiem NSDAP, był wręcz naszym przyjacielem. I cała jego rodzina, również bardzo serdecznie usposobiona, załatwiała nam wszelkie zakupy w mieście.

Meier, starszy wiekiem, trochę czasem narwany, członek hilfs-polizei, chętnie wprowadzał nas do zakazanych Polakom miejsc, robił nam dobrą reklamę w terenie i często informował i ostrzegał w związku z różnymi akcjami antypolskimi. Był źródłem opinii o sąsiadach. Stąd też wiedzie-liśmy, kogo możemy śmiało odwiedzać, a przed kim się strzec.

Reszta robotników, jak Trent i Weber, żyli swymi sprawami, zaś inni zmieniali się dość często i nie można było ich dobrze poznać.

W połowie października rozpoczęły się wykopki buraków cukrowych. Miałem teraz okazję bliżej zetknąć się z Belgami, z którymi łączyła nas ta sama okupacja i te same nadzieje. Przychylnie do Polaków i do spraw polskich ustosunkowani, koleżeńscy i solidarni, odwiedzali nas nawet wtedy, gdy przestali na naszym majątku pracować. Wspomniany już Maurice, syn właściciela fabryki wyrobów tytoniowych, chciał się koniecznie nauczyć po polsku. Mówiono o nim, że obydwie ręce ma lewe. Po niemiecku mówił słabo (tak jak nasz Józef). Polszczyzna zaś sprawiała mu niesamowite wprost trudności. Wymawiał jako tako wyrazy: ręka, noga, oko, ale czasowników w formie bezokolicznikowej: jeść, patrzeć, chodzić – nie miał siły wymówić. Było to ponad jego siły.

My zaopatrywaliśmy ich w papierosy, bo oni za tak zwany lagergeld nie mogli ich kupić, a paczek z domów jeszcze nie otrzymywali. Kiedy zaś po pewnym czasie nam brakowało tytoniu, oni - otrzymując już zaopatrzenie z domu - obdarowywali nas z wielką przyjaźnią.

Wieczorami pisywałem listy, a tych było codziennie kilka, bo korespondencję prowadziłem bardzo szeroką i częstą. Wraz z Władkiem otrzymywaliśmy często po 10 listów. Jesień robiła się chłodniejsza, a ja nie miałem ciepłej odzieży. Prosiłem krewnych z poznańskiego o jakieś stare rzeczy i bieliznę. Rodzice, sami ogołoceni ze wszystkiego, nie mogli mi pomóc. Więc ciocia, Agnieszka Tomczak z Poznania, przysłała mi kurtkę, przerobioną ze starego płaszcza, trochę bielizny i rękawice. Ciocia Maria Zgórecka przysłała mi ubranie, rękawice, skarpety i również bieliznę. Nie było to wiele, ale tak bardzo zimy już się nie bałem.

W listopadzie otrzymałem od brata, Michała, smutną wiadomość. Zachorował poważnie i został ulokowany w szpitalu w Dreźnie. Zabrany do Niemiec na roboty, 25 lipca tego samego roku, był u Bauera Arno Fehrmanna w miejscowości Grosenheim koło Drezna. W przeciwieństwie do mnie, jakkolwiek zaopatrzony w odzież i przybory osobistego użytku, trafił bardzo źle. Traktowany przez swego Niemca jak bydlę robocze, skarżył się na ciężką pracę i głód. Przed wojną również bardzo poważnie chorował i zdawałem sobie sprawę, że może być źle.

Dnia 1 grudnia zachorowałem i ja. Mój gospodarz, senior dr Hager, określił moją chorobę mianem „nostalgia". Z dnia na dzień czułem się gorzej. Po dwu tygodniach, kiedy byłem bliski psychicznego załamania, kazał mi wstać i iść do pracy. Odmówiłem. Przysłał mi zatem skierowanie do lekarza, tzw. Hrankenachela. Poszedłem. Ten, niewiele badając, napisał krótko: zdolny do pracy. Pomyślałem, że koniec ze mną. Nie miałem jednak racji.

Przez trzy dni pracowałem z Meierem w budynkach gospodarczych, a potem na innych stanowiskach, ale zawsze z nim. A miał on cały czas niewyczerpane tematy, tak, że nie było czasu myśleć o chorobie. I tak powoli choroba przeszła. Stary Hager miał rację.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Postanowiliśmy je obchodzić tak, aby jak najbardziej przypominały dom rodzinny. W Wigilię postanawiamy pościć zgodnie z tradycją, nic nie jedząc do wieczora. Zawiadamiamy o tym bauerów. Bardzo byli tym zdziwieni, ale się zgodzili. Zarządzono nawet dzięki temu robotę bez przerwy obiadowej do godz. 14:00, po fajerancie Franek postarał się o świerk, z którego zrobiliśmy choinkę, ozdobioną wycinankami z papieru. Potraw tradycyjnych nie mieliśmy, ale po całodniowym poście chleb z okładem w mgnieniu oka zjedliśmy, a potem, łamiąc się opłatkiem, który od rodziców dostałem, składaliśmy sobie życzenia szczęśliwego przetrwania i szybkiego powrotu pod dach rodzinnego domu. Przyszłe święta chcieliśmy spędzać w gronie swych bliskich. I przez wszystkie okupacyjne święta snuliśmy tę nić serdecznych pragnień, by wreszcie po latach się ziściły, ale do tego dnia było jeszcze dłużej, niż sądziliśmy. Długo w noc jeszcze rozbrzmiewała nasza sztuba kolędami pod choinką. Cicha noc, ale wojenna, pełna niewypowiedzianej tęsknoty, cięższej niż kiedy indziej.

W drugie święto z Józefem poszliśmy do Oldenhegen, drugiej wioski, odwiedzić i zapoznać polską rodzinę, również wysiedloną, z okolic Chełmna. Było tam więcej Polaków, ale głównym ośrodkiem zainteresowania był p. Tomaszewski z rodziną. Miał lat około 60, bardzo oczytany, o szerokich horyzontach myślowych, bardzo jak na ten wiek młodych. Spotkanie z tym człowiekiem podniosło mnie na duchu. Mawiał, że trzeba się hartować a nie załamywać, bo Polska potrzebuje ludzi silnej woli. Mówisz, że nie mamy broni w tej chwili, ale bronią naszą w tej chwili winno być słowo, wiedza i kultura życia. Na taką broń nas stać. Trzeba tylko nią umieć władać.

Świetnie umiał po niemiecku i wyraził gotowość pomocy w nauce. Radził starać się o książki, nawet niemieckie, szczególnie o charakterze geograficznym i historycznym, i szukać w nich śladów polskości i słowiańszczyzny tych ziem, na których byliśmy. Zdawał sobie dobrze sprawę, że po kataklizmie tej wojny wróci na prastare ziemie. Był bardzo odważny i narażał się na wielkie niebezpieczeństwo.

Jego dorośli synowie, Witold i Edwin, byli bardziej ostrożni i nie mieszali się w sprawy polityki jak ojciec. Mieli zresztą ku temu powody. Na tym majątku, w przeciwieństwie do

naszego, była atmosfera bardziej hitlerowska. Żyła tu też rodzina Osowskich, niby Polaków, ale volksdeutschów. Wysiedleni z Pomorza, nie cieszyli się jednak zaufaniem.

Wskazówki pana Tomaszewskiego szczerze sobie wziąłem do serca i starałem się jak najszybciej opanować niemiecki. Pożyczyłem od Niemców książki, od szkolnych począwszy, a potem inne. Początkowo przeglądałem je tylko i wymieniałem na inne. Wszystkiego nie mogłem zrozumieć, ale szukałem w nich swojsko brzmiących wyrazów, słowem: tego, o czym mówił Tomaszewski. Wreszcie wpadła mi przypadkowo w rękę zniszczona książka, którą się dzieci bawiły, pod znamiennym tytułem „Volk und Rasse", autora, niestety, nie pamiętam. Książka ta zawierała opisy wszystkich ziem niemieckich, między innymi traktowała o tym, jak to Niemcy, kulturtragerzy, nieśli kulturę na wschód od Łaby, für den Slawen. Opisy były zaskakująco szczegółowe i aż roiło się w nich od słowiańskich i polskich nazw. Nazw miast i wsi, obecnie tylko lekko zniemczonych, imion książąt słowiańskich, polskich Piastów i pomorskich Gryfinów.

Z wrażenia nie mogłem spać i w najbliższą niedzielę poszedłem do pana Tomaszewskiego, aby mi przetłumaczył choćby tylko tę część, która dotyczy najbliższej okolicy. Z radością przystał na to, mówiąc: zostaw mi książkę, zapoznam się z nią. Przyjdź za tydzień, to pomówimy, więc po tygodniu zamknęliśmy się w pokoju sami i objaśnił mi to, co powinienem wiedzieć o historii tych ziem. I znów polecił mi na odchodnym: „Idź do siebie, przemyśl to i przyjdź znów za tydzień, opowiesz mi to, coś zapamiętał po polsku i po niemiecku, bo i twoją niemczyznę trzeba będzie dostosować do czekającego cię zadania."

Egzamin po polsku wypadł na piątkę, ale niemiecki bliski niedostatecznej. Zadanie: podciągnąć niemczyznę w tym kierunku. Pomagał mi, więc w tym Władek Biernacki. Uczyłem się.

Tymczasem wieści od rodziny były coraz smutniejsze i niepokojące. Michał - operowany na głowę w drezdeńskim szpitalu, stawał się coraz słabszy. Spodziewał się odesłania do kraju, co oznaczało stan beznadziejny i bliski koniec jego młodego życia. (Był dwa lata starszy ode mnie) Listy od niego nie zawierały skarg. Były pełne nadziei na spotkanie w domu i w wolnej Polsce. Nie pisał nigdy „Żegnajcie!", a zawsze „Zostańcie z Bogiem, do zobaczenia!".

Ten przykry nad wyraz fakt ostudził mój zapał do nauki, ale zarazem rodził uczucie buntu i chęć odwetu choćby najniewinniejszym Niemcom. Również pan Tomaszewski przywraca mnie do równowagi i teraz on prosi mnie o zachowanie rozsądku. Podziwiam jego takt i sposób argumentacji.

Kończyła się pierwsza na obczyźnie zima. W kościach poczułem reumatyzm. Skutek braku dostatecznie ciepłej odzieży. A tyle w domu zostało, resztę mi na łodzi zabrali, a tutaj każą pracować na siebie.

Lata tęsknoty i nadziei.

Czas, który minął od przyjazdu do List II do nastania wiosny, był okresem trudnym. Był jednak okresem, który wydaje mi się najważniejszym. Zaaklimatyzowałem się, bowiem tutaj, zarówno pod względem psychicznym jak i fizycznym, choć nie odbyło się to łatwo. Zawarte w tym czasie więzy przyjaźni zadecydowały o moim przetrwaniu, dały mi możliwość pracy samokształceniowej, natchnęły mnie jakąś pożyteczną pasją. Wszystko razem było

czynnikiem pozwalającym zająć się czymś konkretnym, myślom młodzieńczym starganych wojenną zawieruchą, i łagodzącym ból rozłąki z tym, co było mi dotychczas najdroższe. Ostra zima zaś, jakkolwiek zostawiła wiele śladów na moim zdrowiu, ukształtowała jednak mnie fizycznie, mimo że nigdy nie byłem zbyt silny.

A więc pierwsza na obczyźnie wiosna. Wraz z pierwszymi cieplejszymi podmuchami wiatru znad Bałtyku, przyszła - niestety -wiadomość od Michała. Wrócił do kraju. Po przebytej ciężkiej operacji nastąpił nawrót dawnej choroby. Był już w Niemczech niepotrzebny. Odesłano go więc zgodnie z przewidywaniami do szpitala w Środzie Wlkp. Jakaś radość biła z jego listów, że jest tak blisko domu wśród swoich. Odwiedza go ciągle ciocia Maria Norkiewicz, której mąż zginął we wrześniu. Odwiedzają go w miarę możliwości koledzy i znajomi. Jest pełen niezachwianej wiary w przyszłość, a może ukrywa w ten sposób przeczucie śmierci, ze względu na rodzinę, której nie ma przy nim mimo bliskości rodzinnego gniazda.

U mnie jednak praca. Po ostrej zimie szybko obeschły pola, słońce osuszyło glebę. Ruszyły prace polowe. Wiosenne siewy i sadzenie ziemniaków, jak na tutejszy dość ostry klimat, bardzo wcześnie.

Właśnie w drugiej połowie kwietnia, podczas sadzenia ziemniaków, rozmowy toczyły się na różne tematy. Opanowałem już na tyle niemiecki, że porozumiewałem się dość swobodnie. W pewnym momencie Meier mówi do mnie tak:

– Bruno, ty tak szybko poznajesz nasz język, bo pochodzisz z Poznańskiego, a to przecież jest ur deutshe Gebiet. We mnie jakby piorun strzelił. Wiedziałem, że przyszła chwila rozgrywki. Te same myśli ma widocznie Józef, bo uruchamia swoją komiczną niemczyznę i mówi do Meiera: „Meier, co ty zagen? Das ist nicht prawda!". A zaraz potem do mnie: „Bronek, zagen no Meierowi." Słowa te wywołują ogólną wesołość, zaś Meier nieco zdenerwowany pyta mnie, co to znaczy. Wiedziałem, że nie ma drogi odwrotu, ale ogarnęły mnie wątpliwości., czy podołam zadaniu a po drugie nie mogłem przewidzieć reakcji Niemców na to, co usłyszą.

Rozpoczynam więc mój „wykład" i podkreślam z naciskiem, że Poznańskie nigdy nie było niemieckie, że w długim przecież okresie zaborów żyło własnym, polskim życiem, że ono właśnie jest kolebką państwa polskiego itd. Co więcej, nawet ziemia, w którą teraz sadzimy ziemniaki, jest ur slawishe und ur polnische Gebiet.

Kości zostały rzucone. Jestem już spokojny. Koledzy z niepokojem obserwują reakcję Niemców. Bent, spokojny jak zawsze, zrównoważony, patrzy na mnie ze zdziwieniem. Meier natomiast najpierw zbladł, a potem poczerwieniał i w ogóle sprawiał wrażenie człowieka, który zachłysnął się wodą. Ugodziłem go w najczulsze miejsce, zraniłem jego niemieckie serce.

„Bruno – wykrzyknął – przecież ciebie za to czeka obóz koncentracyjny. Coś ty powiedział. Przecież to obelga dla nas, dla całego narodu niemieckiego. „Das last sich nicht". Czyżbym przegrał? Miałem przecież aufpassen. Ale nie, jeszcze nie przegrałem. Bo oto Bent uspokaja Meiera: Last man ruhig! A potem stawia warunek: „Darujemy te obelgę, z tym jednak, że twierdzenie swoje nam udowodnisz!"

Uspokojony już zgadzam się. Stawiam im pytanie, czy wiedzą, jak dawniej nazywał się Greifswald, kto i kiedy nadał mu prawa miejskie. Nie wiedzą. Wobec tego wyjaśniam:

Miejsce to dawniej nazywano Koziogród. Prawa miejskie Koziogrodowi nadał książę Warcisław III (Wratysław) w roku 1226. Wskazuję im widoczną nad lasem wieżę ruin

zamku w Eden, i mówię, że tam znajduje się grób księcia Mirosława I. Wymieniam przylądek Arkana na pobliskiej wyspie Rugii, który był miejscem kultu Słowiańszczyzny północnej. Przytaczam nazwy i podaję ich pierwotne brzmienie: Wolgast to Wołogoszcz, Stralaund to Strzałów, Anklem to Nakło. Opowiadam koło dwu godzin. Meier pyta co chwila nerwowo: „Das ist war?" Bent milczy i słucha. Ryzykuję, więc dowód, którego niezbyt jestem pewien, ale jestem ciekaw ich postawy. Zapominam o własnym bezpieczeństwie. Szarżuję. Otóż dowodzę im, że oni też nie są tak bardzo stuprocentowymi Niemcami. W ich narzeczu są ślady mowy polskiej. Meier nadal się nie zgadza, buntuje się, naciska na Benta: „Bent, co ty na to? Powiedz, czy to prawda, co mówi Bruno!?" Bent potwierdza, mówiąc: „Tak, to wszystko prawda, tylko, że to było bardzo dawno temu, kiedy nasi przodkowie przyjęli mowę i kulturę niemiecką. Ten okres wystarcza na to, żeby być Niemcami".

Meier wciąż się buntuje, ale Bent mu przerywa: „lest doch, ruchig sein! Ja teraz pytam: Skąd to, Bruno, wiesz? Mów śmiało, jesteś bezpieczny." Więc mówię, że w szkole powszechnej uczyli nas nie tylko historii Polski, ale i Niemiec oraz całej Europy. Nie tak jak u nich. Ich dzieci w trzeciej, czwartej klasie słabo czytają i piszą, bo najważniejsze, że Heil Hitler potrafią wykrzykiwać. Taki mają niski poziom w szkołach. Zgadzają się z tym ostatnim, ale Bent kwestionuje poziom polskiej szkoły, będąc zdania, że to, co powiedziałem, mogłem jedynie usłyszeć na wyższej uczelni. Zaprzeczam, jednak mi nie wierzą. Władek jest zdania, że należy ich w tym błędzie utrzymywać, skoro koniecznie tego chcą. Gdy na południe idę do hofu po obiad, zarzucają mi inni Niemcy, że ukryłem wyższe wykształcenie. Bent i Meier zdążyli już o tym powiedzieć. Moje zaprzeczenia nie odnoszą skutku, tym bardziej, że Władek - szelma - odpowiada dwuznacznie na ich pytanie. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak zgodzić się ze zdaniem Władka, że jeśli chcą być w błędzie, to nie naszym obowiązkiem jest ich z tego wyprowadzać. Wkrótce jednak miałem się przekonać, że stanowi to dla mnie pewne zagrożenie.

20 kwietnia 1941 roku otrzymałem telegram: „Michael gestorben- mittwoch begrebnis". Tragiczna wiadomość, mimo że byłem na to przygotowany, wstrząsnęła mną do głębi. Był to dotkliwy cios. Zwróciłem się z prośbą o urlop na pogrzeb brata. Bauer obiecał, że mi go udzieli, ale wieczorem oznajmił mi, że mój urlop związany jest z pewnym ryzykiem, że nie ma gwarancji, czy wrócę, w dodatku w moich dokumentach nie wszystko jest zgodne z prawdą. Mogło to być tylko wykształcenie. Był to drugi cios. Rozpacz moja jest bezgraniczna, ale dzięki kolegom łatwiej ją pokonuję. Odwiedzam też pana Tomaszewskiego. Znalazłem tam jakby drugą rodzinę.

W połowie maja tegoż roku przyjechały tu na roboty sezonowe cztery Słowenki z Jugosławii. Jesteśmy ciekawi ich wyglądu, urody, języka. Spodziewamy się zobaczyć coś z egzotyki. Więc po fajerancie idziemy po schodach na sztubę i widzimy, że sztuba na dole jest zajęta przez te nieznane istoty. Słychać gwar rozmów. W pewnej chwili słychać zza drzwi swojsko brzmiące słowa: „Anica, ti cujes? Na co pada odpowiedź tej drugiej „Tak, cuje". Patrzymy na siebie, pociągamy nosami i Władek pełen humoru powiada, że chyba nas czują przez drzwi. Roześmiałem się po raz pierwszy od chwili śmierci Michała, a Władek, zadowolony, mówi te słowa: „No widzisz, nareszcie widzę w tobie życie. Pamiętaj, że mimo tej parszywej wojny życie musi się toczyć naprzód, chociaż giną nasi bliscy, chociaż ktoś ci umiera. To jest warunkiem przetrwania."

Wielokrotnie potem miałem sobie przypominać te słowa, patrząc na ludzkie tragedie, i stwierdzać ich głęboki sens.

Nazajutrz rano Władek zarządza, że wszyscy idziemy do pracy ogoleni i odświeżeni. Chodzi o to, aby pierwsze wrażenie, jakie odniosą o Polakach Słowenki, było jak najlepsze. Władek zresztą zawsze troszczył się o to, aby Polacy swym wyglądem budzili szacunek. Na apelu bauer przedstawił nam dziewczyny i odwrotnie, zaznaczając, że ja jestem kawalerem, a moi koledzy żonaci. Było przy tym trochę humoru, zaś okpić ich nie za bardzo było można, bo jedna z nich znała język polski, niemiecki i francuski. Nie były wcale egzotyczne. Cechowała je uprzejmość i kultura osobista.

Najstarsza z nich, lat około 40, Marija Seruga, była jakby opiekunką, matką. Nazywały ją też pozostałe „Mati" czyli matka. Młodsze (około 18-lat) Agneska i Anna Gaspar, siostry, prowadziły bardzo uporządkowane swoje życie osobiste, co w tej zbieraninie narodów, nie wyłączając niektórych Polek, było zjawiskiem rzadkim. Czwarta, Frantiska Andrecz, znając obce języki szybko zawierała znajomości. Jeden z jej przyjaciół, feldfebel lotnictwa (4 km od nas było lotnisko) nie bardzo strzegł tajemnic wojskowych napominając, że w pobliskim Peenemünde robi się wünderwaffe, jakieś V-1 czy V-2 i jeszcze jakieś tam V przeciwlotnicze. Zlekceważyłem wtedy jego słowa, traktując je jako przechwałkę, których przecież było tak wiele.

Nasze stosunki ze Słowenkami były bardzo dobre, choć nigdy nie przekraczały granic przyzwoitości. Bardzo lubiłem szczególnie Annę Gaspar, prostolinijną, a jednocześnie na swój wiek poważną.

Byłem też u nich częstym gościem, stąd też dość szybko opanowałem jakże bliski nam język słoweński. Sprawy polskie znały na wyraz dobrze i miały do nich jak najbardziej przychylny stosunek. Jugosławię, jako całość, zwały „domowinką" czyli ojczyzną i nie wyobrażały sobie separatystycznego państwa słoweńskiego, nie uznawały również okupacji węgierskiej, pod którą znajdowały się ich rodzinne strony, Murska Sobota, Subotica i Maribor.

W pierwszych dniach czerwca przyjechało również na roboty sezonowe dwóch Węgrów. Tego dnia po południu przysyła bauer do mnie na pole służącą Imgart, z poleceniem, abym niezwłocznie udał się do hofu, bo przyjechali robotnicy węgierscy, a nikt się z nimi nie może rozmówić. Odpowiadam, że przecież nie umiem po węgiersku. Lecz ona daje mi rower i popędza mnie mówiąc, że taki bauer dał befehl und fertig. Więc jadę i myślę, jak się wywiążę z zadania, skoro znam zaledwie kilka słówek. Bauer z miejsca zwraca się do mnie: „Bruno, musisz mi przetłumaczyć, co te Węgry mówią, bo ja nie rozumiem, a muszę ich zameldować. Wyjaśniam bauerowi, że ja też nie umiem. Lecz on na to, że skoro ze wszystkimi się rozmówię, to i teraz dam radę. Widzę, że będę jednak musiał tego dokonać. Zaczynam po niemiecku – „Nem tudom". Po francusku – „Nem tudom". Szukam w myślach innych sposobów i próbuję. Nic tylko nem tudom i nem tudom. Wtedy, zdenerwowany, że moją reputację diabli wezmą, walę po naszemu: „Jak wy nem tudom, to ja też do jasnej cholery nem tudom. Co ja z Wami zrobię?" A młodszego Węgra jakby kto błotem zdzielił, tak podskoczył do mnie i mówi: „Pane, przecież ja po waszemu umiem".

Kamień z serca mi spadł. Dalej tłumaczenie poszło już gładko – mimo że Węgier miał bardzo wyraźnie zły akcent. Bauer zaś powiada: „A jednak Bruno kłamałeś. Ty na pewno masz wyższe wykształcenie, bo skąd byś umiał po węgiersku." Osłupiałem i na moment zapomniałem nawet po polsku. Żeby tak długo obcować z Polakami i nie odróżnić słuchowo

nawet tak dwu różnych krańcowo języków jak polski i węgierski. Jednak co Lengyel to Lengyel.

Czerwiec jest okresem przerywki buraków. Była to praca akordowa na morgi. Za jedną morgą (25 arów) płacono 12 marek. Kiedyś bauer sam przyniósł nam motyki i skierował do tejże przerywki. Wtedy Józef pyta, ile bezahl za eine morge. Bauer odpowiada, że 12 marek. Wtedy Józef rzuca mu pod nogi motykę i krzyczy, że za zwelf marek to on nie arbeit. Zaskoczeni niespodziewaną odwagą u Józefa, czekamy z napięciem reakcji ze strony bauera. Ten zaś po prostu zaczyna się tłumaczyć, że płaci nam tyle, co Niemcom, i prosi, aby szedł do pracy. Perswazji i prośby ze strony bauera spodziewaliśmy się najmniej. Ostatecznie Józef poszedł do roboty i zajął morgę wraz ze mną. Zaczęliśmy przerywkę. I co się okazało? Otóż Józef był specem od przerywki. W dokładności i szybkości nikt mu nie dorównał. Był autorytetem w tej pracy, dlatego naskoczył na Niemca.

Plantacja buraczana znajdowała się około stu metrów od morza, a raczej zatoki Leiste Boden. Podczas upałów kilka razy dziennie wskakiwaliśmy do wody w celu ochłodzenia się. Oczywiście eskapady te były możliwe tylko przy pracach akordowych. W czasie innych prac można to było urządzać jedynie w czasie przerwy obiadowej, lub w ogóle po fajerancie.

W drugiej połowie czerwca zauważyliśmy większą aktywność straży morskiej. Snuliśmy różne domysły. Zagadkę rozwiązała, jak piorun z jasnego nieba, wiadomość o wybuchu wojny z Rosją. W pierwszym dniu nasi Niemcy, bardzo podenerwowani, wyrażali obawę o los tej wojny. Jednak pierwsze wieści o szybkich postępach armii hitlerowskiej już w następnych dniach przewróciły im w głowie. Tylko nieliczni, do których zaliczał się Bent Bergwald, zachowali w swym entuzjazmie umiar i przypominali ostrożnie sobie i innym Napoleona. Byli jednak i tacy, co do wojny z Sowietami odnosili się zdecydowanie wrogo.

Między innymi był to karczmarz z sąsiedniej wioski, Neukirchen. Człowiek o wybitnie lewicowych poglądach politycznych, był wielkim przyjacielem Polaków. Bywaliśmy tam często, bowiem jego lokal był otwarty także dla nas. Grupa Niemców, którzy również tam bywali, wierzyła tylko w klęskę Hitlera na wschodzie.

Minął rok mojego pobytu w Rzeszy. W październiku nasza grupa jeden jedyny raz okazała się niesolidarna w stosunku do mnie. Na obiad ugotowano nam zupę ze słodkiego łubinu. W smaku była nawet niezła. Przypominała fasolę. Koledzy szemrali, ale zjedliśmy. Na kolację również ta sama zupa. Zjadłem tylko ja. Koledzy włożyli talerze i łyżki do reszty zupy. Miałem w tym dniu dyżur w przynoszeniu jedzenia z pałacu. Kazali mi więc odnieść zupę i powiedzieć, że tego jeść nie będziemy, bo w Polsce łubin stanowi paszę dla świń. Protestowałem przeciwko temu postanowieniu, bo ryzyko było tym większe, że akurat w tym dniu obchodził swój Geburstag dr Hager. Było tam wielu niezbyt nam przyjaznych nam gości, również z policji i Arbeitsamtu. Nic nie pomogło. Miałem dyżur i musiałem iść. Poszedłem, a gdy po kilku minutach wróciłem do sztuby, kolegów nie zastałem. Mimo wykonania polecenia postanowiłem nie uciekać. Poszedłem tylko na dół do Słowenek, choć burza wisiała nade mną. O godz.21:00 bauer szuka nas, ale w sztubie nikogo nie zastaje. Ja wychodzę i idę do Stanisławy, która przeniesiona z pałacu w kazernie miała teraz swoją sztubę. Tu właśnie zastaje mnie bauer. „Ach hier bist du" – mówi przeciągle jak do wytropionego zwierza – „A Władek, Franz i Józef gdzie?" Nie wiem – odpowiadam – wyszli. „W takim razie ty sam pójdziesz ze mną do pałacu" Kategorycznie odmawiam. „No to zobaczymy" – odpowiada, nie odwraca się i pędem wybiega ze sztuby. Staśka mówi, że zaraz przyjdzie z policją, bo

jest właśnie w pałacu. Wtem słychać szybkie kroki. Idą. Wpada jednak sam bauer , siny ze złości i wrzeszczy: „Auf mein Befehl kommst du auf dem Hof" Odmawiam. Nie dam okazji gościom do rozrywki. Był blady jak trup ze złości, a ja ze strachu chyba taki sam.

On krzyczy i przeklina – krzyczę i ja: Zabij mnie tu, a ja i tak nie pójdę. Wtedy on: Du verfluchte Mist! I wymierzył mi potężny cios. Mimo że zrobiłem unik, to jednak przez krzesło, stół i łóżko wpadłem w kąt pod ścianą. Oszołomiony uderzeniem, leżałem przez moment, nie mogąc się ruszyć. Usłyszałem jednak z oddali jakby jego słowa: „Herr Gott, was habe ich gemacht? (Boże, co ja zrobiłem!) Wytrzeźwiał w tym momencie, bo był podpity. Kiedy wyłoniłem się z kąta i otrząsnąłem przed nim, zapytał znów: „Pójdziesz czy nie?" Jak poprzednio usłyszał stanowcze „Nie!" „No to jutro pogadamy" – rzekł krótko i poszedł. Poszedłem i ja na swoją sztubę z rozbolałą od uderzenia ręką, rozbitą o ścianę głową i z żalem do kolegów, że mnie zostawili samego. Było mi wszystko jedno, w jaki sposób będzie ze mną rozmawiał. Czy on, czy gestapo – było mi wszystko jedno. Koledzy wrócili dopiero o północy. Pogratulowałem im odwagi, ale w nocy nie spałem.

Rano przy apelu bauer trochę pokrzyczał na mnie, a kolegów nazwał tchórzami, na co, niestety, zasłużyli. Wynikła przy tym nieco komiczna sytuacja. Otóż ja zwykle przy apelu tłumaczyłem, co kto ma robić. Dzisiaj było dwóch tłumaczy. Bauer chcąc uniknąć rozmowy ze mną, zwraca się najpierw do Benta, który przekazuje mi polecenia, a ja dopiero podaję je innym robotnikom. Wyglądało to tak:

Bauer: Bent, powiedz Brunowi, żeby powiedział Józefowi, Franzowi, Władkowi i Węgrom, że mają robić to i to ...

Bent: Bruno, bauer powiada, że masz powiedzieć Józefowi, Franzowi, Włdkowi i Węgrom, że mają robić to i to...

Bruno: Bent powiada, że bauer powiada, że Józef i Franz mają robić to i to, Władek i ja to i to, Węgrzy zaś to i to.

Józef: Zapytaj Benta, żeby zapytał bauera, co mamy zrobić jak skończymy tę robotą.

Bruno: Bent, Józef pyta, co mają robić, gdy skończą tę robotę.

Bent: Herr Bauer, Bruno powiada, że Józef pyta, co mają robić po skończeniu tej roboty.

Bauer: Powiedz Brunowi, żeby powiedział Józefowi, że ...

I tak cały łańcuch pytań i odpowiedzi ciągnął się do wyczerpania tematu. Apel ciągnął się więc długo, ale postanowiłem sobie, że pierwszy bezpośrednio do bauera się nie odezwę. Wyczułem również, że żadnego donosu na mnie nie zrobi. Trwało to cały tydzień. Wszyscy robotnicy, a szczególnie Niemcy, mieli z tego powodu szalony ubaw i śmiali się na zapas już przed apelem. Bent natomiast już wiele razy mówił, że tłumaczył niemiecki hoch na niemiecki plat, ale żeby tłumaczyć z hoch na hoch to zdarzyło mu się w czasie swoich 62 lat po raz pierwszy. Wyjaśnić tu muszę, że narzecze miejscowe, czyli plat, od poprawnego języka, czyli hoch, różniła się chyba bardziej niż polski od języka naszych Słowenek. W końcu po tygodniu bauer skapitulował, widząc wesołe ogniki w oczach robotników na apelu i wreszcie pierwszy się do mnie odezwał. Nie muszę chyba dodawać ile mi to sprawiło satysfakcji.

Nadchodzi druga zima. Gdy przewalą się cięższe roboty polowe, Polacy zaczną politykować i śledzić przebieg działań na froncie wschodnim. Przede wszystkim modlą się o srogą zimę. Kto tylko może, kupuje mapy i atlasy. W długie, listopadowe wieczory, studiujemy geografię Rosji oraz innych frontów, odwiedzamy się na sąsiednich majątkach, zawieramy

nowe znajomości, konsolidujemy się coraz bardziej. Różne były formy spędzania wolnych chwil. Politykowali po trochu wszyscy, ale w takich majątkach jak Küshof czy Messingen Hagen, Polacy robili w swych kazernach potańcówki. W Karendorf i Neunkirchen grali w karty i przy tym politykowali. Ja rzadko tam chodziłem, gdyż kart nie lubiłem, a taniec też mnie nie bardzo pociągał. Wciąż blisko żyłem w przyjaźni z p. Tomaszewskim i to, łącznie z przyjaźnią jaką darzyłem kolegów i Słowenki, na razie mi wystarczało. Niestety, pod koniec listopada dziewczęta odjeżdżają do swej domowiny. Było mi bardzo przykro, kolegom też. Reprezentowały coś więcej niż kulturę osobistą. Było w nich coś, co osoby postronne skłaniało do szacunku wobec nich. Z Anną postanawiamy korespondować. I rzeczywiście, przez najbliższe lata wymieniamy między sobą listy bardzo serdeczne, w charakterystycznym stylu południowo-wschodnim pisane. Niezmiernie żałuję, że nie zachował się żaden z nich.

Zima 1941/1942 była dość monotonna. W Oldenhagen odwiedzałem p. Tomaszewskiego, w Leist I Mariana pochodzącego z okolic Kraśniewic, raz po raz wpadałem do Emila na piwo, by zdobyć jakieś wiadomości. Poznałem kowala Michała z Neunkirchen, który z kolei nas odwiedzał, bo do niego dostęp był trudniejszy.

Gdy nadeszła wiosna 1942r., Niemcy mieli pretensje do Rosjan, że się nie poddali. Uważali, że przynajmniej Moskwę mogli im oddać przed zimą, to niemieccy żołnierze by tak nie zmarzli. Więc my ich pocieszamy, że wiosna za to tam ciepła, a lato gorące, więc tak się przez ten czas ogrzeją, że im na następną zimę wystarczy. My to rozumiemy po swojemu, a oni albo udają, ze nie rozumieją ironii, albo też rzeczywiście nasze słowa biorą za dobrą monetę, bo jeszcze więcej swoje żale wywodzą. Gdyby chcieli zrozumieć, że to co ich boli, nas krzepi.

Alarmy przeciwlotnicze w tym czasie należały jeszcze do rzadkości. Greifswald nie był żadnym ciekawym obiektem strategicznym. Mimo swoich 30 tysięcy mieszkańców nie rozporządzał prawie żadnym przemysłem. Było to stare miasto uniwersyteckie. Niemcy mawiali, że jest tam 26 uniwersytetów medycznych i dwa burdele. Do tych ostatnich, na szczęście, Polakom wstęp był wzbroniony.

Tejże wiosny przyjechali do nas na roboty Serbowie. Od nich dowiadujemy się dopiero o wojnie partyzanckiej generała Tito, o tym jakimi to „bohaterami" są Niemcy w górach Serbii, Czarnogóry i Macedonii. Serb nazywał się Rado Popowic; jego żona Anka. Dzieci nie mieli. Z nami tworzyli zżytą i zwarta grupę. Po polsku nie bardzo mogli się nauczyć. Mnie stosunkowo łatwo było się z nimi porozumieć, gdyż słoweński był im jednak bliższy niż polski.

Wraz z nimi powiększyło się grono znajomych, bo do nich przychodzili jeńcy serbscy wyznania mahometańskiego i jeden cygan serbski, który cudownie grał na skrzypcach. Później nieco dołączył do nich i zaprzyjaźnił się z nami jeszcze Chorwat. W ten sposób więc miałem okazję poznać nieomal wszystkich przedstawicieli narodów Jugosławii i problemy ich własne. To, co ich łączyło i to, co ich dzieliło. Ich zwyczaje i religię. Spotkanie z wyznawcami Mahometa było równocześnie spotkaniem z egzotyką. Wiele można by o nich wszystkich napisać, powodując się sympatią serdeczną. Łączyła nas nie tylko przynależność do wielkiej rodziny słowiańskiej, ale w chwili obecnej przede wszystkim ta sama okupacja. Chorwat jedynie, będąc nacjonalistą, nie uważał się za członka narodu okupowanego, choć wcale nie pragnął walczyć przy boku narodu panów. Nie zgadzał się z koncepcją polityczną obecnych przywódców Chorwacji. Nie lubił Niemców i szukał towarzystwa Polaków.

Płynęły dni. Powolne, pozornie beznadziejne dni wojny, której końca zda się nie było widać. Wieści z frontu nie były wesołe, choć tempo marszu na wschód wyraźnie osłabło. To już nie był Blitzkriag. potwierdziły się jednak słowa tamtego feldfebla o dążeniach Niemców do wyprodukowania w Peenemünde wunde waffe. Często teraz z tamtej strony dochodził do nas grzmot odpalanych rakiet nazwanych przez tamtego „V" . W dzień nie były one widoczne, wieczorem jednak obserwowaliśmy, jak ciągnąc za sobą smugę ognia nikły w przestwo-rzach. Dziwiliśmy się, że alianci nie kwapią się ze zniszczeniem zakładów i wyrzutni.

Pewnej niedzieli siedzimy sobie u Blocka w karczmie i popijamy piwo. Nagle otwierają się z hałasem drzwi, staje w nich nieznany nam osobnik. Zakurzony, bez czapki, ze zmierzwionymi włosami i przerażeniem w oczach. Na moment w lokalu zapanowała śmiertelna cisza, gdy wtem rozległ się przerażający krzyk ,,Onkel , mein liebe onkel!" Jak ty wyglądasz, co się stało? Przybysz opowiada chrapliwym zadyszanem głosem „Verfinehto sdolar dna hat une gomachti". (Przeklęty Adolf to z nim zrobił) i zaczyna opowieść o nieomal dantejskich scenach w bombardowanym już trzy dni Rostocku. Nie liczy się z niczym i z nikim. Nie boi się będących w lokalu żołnierzy, podoficerów ani żandarma. Przeklina Hitlera, że wojnę rozpętał, że ludzi na Ruś wysyła, że pod Moskwą tysiące niewinnych żołnierzy zamordowano, że Niemcy już wojnę przegrały.

Mówił tak sugestywnie, że słuchaliśmy jak w transie razem z Niemcami. My to znaliśmy dużo wcześniej. Na nas ich bomby tak samo spadały. Podobne sceny i u nas się działy.

W tym czasie spotyka mnie dotkliwy cios. Otrzymujemy wiadomość, że gestapo zabrało p. Tomaszewskiego do obozu koncentracyjnego pod Szczecinem. Zmarł tam rzekomo po kilku tygodniach. Jego męczeńska śmierć okryła serdeczną żałobą wszystkich Polaków w całej okolicy. Mnie brakowało go chyba najbardziej. Ten smutny fakt był jednocześnie sygnałem do zwiększenia czujności. Terror narastał i tutaj. Z rodziną Tomaszewskich niebezpiecznie było się teraz spotykać. Musieliśmy w tym celu stwarzać rzekome przypadki i okoliczności.

Polacy w tej okolicy znali się właściwie wszyscy, a jednocześnie bardzo mało, poza nielicznymi wyjątkami, o sobie wiedzieli. Prawie regułą było, że z pozoru prosty, mrukliwy odludek, gbur, okazywał się nagle człowiekiem wykształconym, inteligentnym, o jakimś wielkim sercu. W ten właściwie sposób w majątku Stovenhagen podczas jednej z debat odkryłem Henryka Matejczyka z Wołkomyska, nauczyciela. 12 lat starszy ode mnie, bardzo się ze mną zaprzyjaźnił. Zdobyłem od niego wiele wiedzy, której nikomu nie szczędził. Z jakiś tam źródeł otrzymywał wiele książek, a że od młodości byłem molem książkowym, więc też z nich obficie korzystałem.

Poza tym w niedzielę często urządzaliśmy wycieczki nad morze albo do lasu, gdzie po prostu udzielał nam lekcji, przeplatanych dowcipnymi kawałami, których znał niezliczoną ilość. Toteż grono jego słuchaczy zawsze było dosyć duże. Zapoznałem go też z innymi nauczycielami z Heseigenhagen, wioski odległej o 6 km. Stałem się łącznikiem w doręczaniu i wymienianiu książek między nimi. Korzystałem też na tym, bo w jedną niedzielę książkę odbierałem, a drugą doręczałem. W ten sposób cykl wymiany trwał dwa tygodnie.

Również w sąsiednich majątku Karendorf poznałem starszego ode mnie o 16 lat Stefana Neumowicza z Wileńszczyzny. To on właśnie, pozornie mrukliwy i gburowaty, okazał się bardzo inteligentnym i dobrym człowiekiem. Z jednym nie mógł się pogodzić. Mianowicie raziła go strasznie swoboda obyczajowa, jaka panowała wśród olbrzymiej grupy Polaków

i Polek. Uważał, że Polacy szczególnie winni zachowywać pozory obyczajności. Był w nim jakieś wzniosły romantyzm, umiejący się godzić jednak ze współczesnością. Aż do wyzwolenia byliśmy nierozerwalnymi przyjaciółmi. Jego zasady moralności społecznej wywarły na mnie wielki wpływ, mimo że wcale się nie kreował na kaznodzieję i Katona.

Trwająca już trzeci rok wojna coraz bardziej dawała się odczuwać. Pogorszyły się znacznie warunki naszej egzystencji. Przeszliśmy na odrębną kuchnię. Obiady gotowała nam wspomniana już Stanisława. Do dyspozycji mieliśmy tzw. Lebenasmittelkarte. Dostawaliśmy o wiele gorsze i w mniejszych ilościach wyżywienie. Pieniędzy mieliśmy dosyć, ale na lewo nic kupić nie było można. Wysyłałem więc je rodzicom, aby im pomóc w przetrwaniu. Nie wiedziałem i nie wierzyłem potem, że niewiele za nie mogli kupić ze względu na drożyznę, jaką w Guberni panowała.

W maju tego roku uległem drobnemu wypadkowi. Podczas pielęgnacji kopyt dwuletnich źrebaków zerwałem sobie trzy paznokcie u prawej ręki. Wiadomo, co to znaczy. Wstępny opatrunek zrobił mi stary bauer, dr Hager, a następnego dnia wysłał nas do szpitala uniwersyteckiego na oddział chirurgii zewnętrznej do Greifswaldu przy Langefürstrasse. Starszy wiekiem profesor, którego nazwiska nie pamiętam, osobiście dokonał prześwietlenia i polecił założyć opatrunek, zakazując myć miejsc nieobandażowanych. Gdy po powrocie dr Hager dowiedział się, że nie dostałem zastrzyku przeciw tężcowi, nakazał mi kategorycznie udać się nazajutrz po zastrzyk. Chodziłem tak trzy dni, ale żadnego szczepienia nie przeprowadzono. Za trzecim razem przyjął mnie pan profesor w asyście czterech praktykantów, burczał, że myłem rękę, i uspokoił jednocześnie, że nie ma obawy tężca.

Przez trzy tygodnie byłem zwolniony od pracy. Koledzy znosili książki, ale było ich mało. Studiowałem więc mapy. Chodziłem nad morze i tak minął wolny czas od pracy. Jedyne wojenne wakacje. Nadal jednak pracowałem jako jedno – i leworęczny, bo rany zagoiły się dopiero po żniwach.

Mijały znów dni i tygodnie i miesiące. Alarmy lotnicze stały się coraz częstsze, choć klucze samolotów niemieckich oglądaliśmy bardzo rzadko. Szły gdzieś bokiem. Nagle wśród Niemców poruszenie, Otto z naszego majątku zabity na wschodzie, a Weber odchodzi na front. Maier ma żal do naszego Józefa, że wywróżył Ottonowi śmierć na ruskim froncie Było to tak.

Gdy jesienią Otto odchodził na wojnę, w 1941 roku, sprzedał mi parę roboczych, używanych butów. Parę nowych butów zamierzał kupić od niego Józef , ale Otto powiedział, że gdy wróci z wojny, to będą mu potrzebne . Wtedy Józef mówi do niego „Otto, ty i też nie komen as haus, Ruski ciebie szisen kaput". Głupio nam się trochę zrobiło, bo Otto dobrze z Polakami żył, no, ale stało się. Heil Hitler!

Coraz więcej wiadomości o bombardowaniach w różnych stronach Niemiec nadchodzi w listach. Prawie każdy ma kogoś bliskiego na robotach w Rzeszy. Mój najstarszy brat, Edmund, jeniec z 1939 r. zwolniony ze stalagu, został robotnikiem u bauera w miejscowości Glashütte koło Beudorf w Badenii. Między wierszami jego listów wyraźne aluzje dotyczące nalotów bombowych i przelotów eskadr. Nasze Peenemünde zaś spokojnie pracuje, odpala rakietę za rakietą, wypróbowuje skuteczność ich działania, a nas krew zalewa. Zaczynamy wątpić w operatywność alianckiego wywiadu. Na widok każdej startującej rakiety ślemy nasze gorące życzenia, by jak bumerang zawróciła i roztrzaskała własne gniazdo. Nie możemy się tego jednak doczekać.

Nie wiadomo, czy Hitlerowcy wyczuwają nasze życzenia i obawiają się o swoją podziemną bazę, czy też w ogóle dlatego, że machina wojenna wyraźnie zgrzyta, bo zaczynają być coraz bardziej czujni. Przyglądają się tym aktywniejszym, sprawdzają, nie wiadomo po co, ich personalia. Ściągnięci z całej Europy, rzeczywiście rozpolitykowali się na dobre, a to jest niebezpieczne dla brutalnych władców.

Pewnego dnia do mnie przychodzi bauer z poleceniem, abym napisał do gminy w miejsce mego poprzedniego zamieszkania po zaświadczenie o pochodzeniu, wykształceniu i zawodzie. Jest to rzekomo potrzebne dla Arbeitsamtu. Niepokój mną targnął, bo podobne zaświadczenie miał przedłożyć p. Tomaszewski. Wiadomo zaś, co z nim zrobili. Postanowiłem jednak sam nie pisać. Proszę bauera, aby on za mnie to zrobił. Zgodził się. Podaję mu adres: Herrondorf (Dominowo) kreis Schroda, Wartagau. Z duszą na ramieniu czekałem, co będzie. Gryzę się ja, martwią się moi koledzy.

Po tygodniu idę do hofu odbierać listy, a tu po drodze zaczepia mnie służąca Imgard, i pyta mnie: „Bruno, hast du von"? Zaskoczyła mnie to niepomiernie, ale diablik jakiś do ucha mi szepnął, abym potwierdził. Jawohl - mówię bez namysłu. Dlaczegoś więc tego nie powiedział zaraz – pyta Imgard. A bo co – mówię – jestem Polakiem, a waszym niewolnikiem, a tytuł polski, a nie niemiecki. Nie bardzo to zgodne z prawdą, ale co tam taka Imgard wie o pochodzeniu tytułów. Ja, ja – rzecze więc – nam się zaraz zdawało, że ty nie jesteś zwykłym chłopem. Przyjdę po obiedzie do szefa. Gryzę wargi, by nie wybuchnąć śmiechem, ale jednocześnie zastanawiałem się, co to wszystko ma znaczyć. Nigdy przecież nie miałem ciągotek, aby się za szlachcica uważać. Chłopski syn jestem, do diabła. Po przyjściu na sztubę dzielę się tą przygodą z kolegami. Nurtuje mnie teraz niepokój. Władek twierdzi , że coś się za tym musi kryć, bo i po co mam iść do starego. Nie bardzo mi się chce iść, ale idę. Imgard powiada: Zaczekaj, szef zaraz przyjdzie. Więc czekam. Po chwili wchodzi bauer z urzędową kopertą w ręku, i zerka na mnie jakoś dziwnie spod okularów. Mrowie mi przeszło po plecach, a on stawia to samo pytanie co Imgard: Hast du „von"? Chcę zaprzeczyć, ale Imgard stoi we drzwiach i wybałusza gały z ciekawością. Cholera jasna, nie mam drogi odwrotu. Czuję, że zaprzeczenie może okazać się dla nich podejrzane. Mają zaś dość powodów, aby się mną w sposób szczególny zająć. Nigdy przecież nic nie wiadomo. Więc mówię prawie tak samo jak poprzednio Imgard i dialog się powtarza. Na to stary podaje mi rękę i mówi „Es glaube ich dir, oto list dla ciebie". Jak Bozię kocham, zgłupiałem. Biorę list do ręki i patrzę jak wół malowane wrota, bo na kopercie jak byk napisane: Bronislaus von Plucinski, Leist II itd. Jak zza ściany słyszę głos bauera: Otwórz, proszę kopertę, ale jej zawartość prawdopodobnie należy do mnie.

Otwieram i widzę tylko pieczęć z napisem „Gamainde Herrendorf kreis Schroda" a na dole Bürgermeister Herble" zakamieniały hitlerowiec i Polakożerca. W nagłówku również to przeklęte „von" przed nazwiskiem . Treść dokumentu nadającego mi „przywileje szlacheckie" z łaski jego kanclerskiej mości Adolfa w ząbek czesanego nie byłem zdolny przeczytać, tak że pozostała ona po dziś dzień tajemnicą. Zdałem sobie również sprawę, że to „von" jest dla mnie, jako Polaka, swego rodzaju policzkiem, ale wobec czułych na tytuły Niemców dawało mi pewną wyższość, którą i bez tytułu zresztą im okazywałem. Niemniej jednak po namyśle chciałem napisać do Dominowa o sprostowanie, ale tutaj koledzy sprzeciwili się temu.

Otóż Władek, jako przedwojenny lewicowy konspirator uzasadnił swój sprzeciw tym, że jest wielce prawdopodobne, iż powstanie tu wśród nas organizacja podziemna. Wówczas

to obmierzłe „von" może się przydać. Wobec tego zostałem Bruno von ..... Sprawa wyjaśniła się dopiero po wojnie. Otóż przedwojenny kierownik szkoły z mojej rodzinnej miejscowości, Polak, dobrze znający język niemiecki, w okresie okupacji był zatrudniony w tym urzędzie jako pisarz, i gdzie tylko mógł, dopisywał Polakom w dokumentach tytuły. Kto wie, czy w ten sposób nie uratował mi życia. Z drugiej strony jest pewne, że gdybym pisał o sprostowanie, to naraziłbym tegoż sekretarza na indagację Niemców.

I znów w Leist powiększyło się grono cudzoziemców. Dziwnym zbiegiem okoliczności przybyła matka Polka z synem i Ukrainka z 8-letnią córeczką. Obie pochodziły z Tarnopolskiego, nienawidziły się jednak serdecznie. Wobec Niemców było to dla nas przykre. Często też trzeba było je godzić i rozdzielać. Wiadomo, że Ukraińcy Lachiw nie lubili, a Polacy kresowi odpłacali im taką samą monetą. My, Poznaniacy, nigdy na swej skórze nie odczuliśmy ukraińskich metod walki o samostijną Ukrainu. Stąd też próbowaliśmy wpływać na starą Ukrainkę również przez to, że nie wykluczyliśmy jej z naszej społeczności. Dawaliśmy jej do zrozumienia, że Polacy nie chcą płacić krwią za krew, tym bardziej, że jej rodzina była rozproszona po całych Niemczech. Toteż gdy przyjechała do niej córka na urlop z innej części Niemiec, chętnie z Polakami rozmawiała, chociaż tylko po ukraińsku.

Godne uwagi jest to, że o ile Ukraińcy z kresów nienawidzili Polaków, o tyle Ukraińcy z radzieckiej Ukrainy żyli z Polakami w bardzo dobrych stosunkach. Była też w naszym majątku ukraińska dziewczyna z okolic Połtawy, zatrudniona jako służąca w pałacu, cicha i bardzo kulturalna. O wiele chętniej przebywała w towarzystwie Polek niż Ukrainek z kresów. Zmarła później w początkach 1944 na zapalenie mózgu i została pochowana na cmentarzu w Greifswaldzie.

Tymczasem o działaniach wojennych mieliśmy wiadomości lepsze niż sami Niemcy. Przesadzone często, czym się jednak nie martwiliśmy. Powodem naszego niepokoju było jednak to, że Niemców intrygowało, z jakiego źródła je czerpiemy. Rada w radę postanowiliśmy zaabonować gazety, ale jakie? Niemieckie odpadają. Dostępna jest tylko ukraińska gadzinówka „Krakiwski Visti". Ukraińcy po niemiecku jeszcze nie umieją i dlatego nie będą nas sypać, my zaś wobec Niemców będziemy mogli wskazać na tę szmatę jako na owe źródło. Abonuję więc ja oraz Matejczyk z Stevenehagen i Sławek z Karrendorfu. Język sprawiał mi trudność. Alfabet znałem, więc przeczytać przeczytałem i zrozumiałem, ale pisać i mówić za diabła nie mogłem się nauczyć. Gdy jednak Niemcy pytali co nowego, to braliśmy gazetę, i tłumaczyliśmy im wieści, o których w gazecie było i wieści, których sam Hitler często nie wiedział, jako że radia BBC nie słuchiwał. A słuchaliśmy je u wspomnianego już wiele razy karczmarza Blocka Emila. Bardziej zaufanym Polakom otwierał dostęp do radia, tak, że często Londynu słuchaliśmy. Zapłacił też za swe poglądy antyhitlerowskie i propolskie sympatie. Gestapo zabrało go do obozu koncentracyjnego, gdzie przebywał cztery miesiące. Po powrocie postępowania swego nie zmienił, tyle tylko, że stał się bardziej ostrożny. Przykładów takiej cichej walki z hitleryzmem wśród Niemców można by przytoczyć więcej.

Zbliżają żniwa 1943 rok. W bezpośredniej bliskości nas nie ma nalotów, ale coraz częściej eskadry alianckie lecą gdzieś na Berlin, nadlatują znad Bałtyku. Zastanawia to nas, jak również i fakt, że milczy obrona przeciwlotnicza wybrzeża, szczególnie Peenemünde. Po upalnym dniu 17 sierpnia, gdy żniwa są na półmetku, noc jest piękna i cicha. Nie szumi nawet morze. Dość długo siedzimy, rozmawiamy, a gdy się położyliśmy, nie zasypiamy od razu.

W pewnym momencie odezwały się syreny sygnalizujące tzw. voralarm. Nie przebrzmiało jeszcze ich echo, gdy zawyły pełną mocą, ogłaszając tym razem alarm prawdziwy. Od razu nie wstaje-my, przyzwyczajeni do alarmów, po których nie było bombardowań. Słyszymy jednak, że dziś silniki nadlatujących eskadr bardzo szybko z ledwie słyszalnego pianissimo przechodzą w forte, by zagrać pełnym fortissimo siłą bodajże kilkuset motorów. Drżą ściany budynków, mimo że nie rozległ się ani jeden wybuch. Wyskakujemy tedy z łóżek, ubieramy się gwałtownie i wybiegamy na dwór. „Nach bunkier" – wołają do nas bauer i Bargwald, starając się przekrzyczeć szum samolotów. Pomagając sobie gestami, bo dobrze nie słychać, odmawiamy. Tłumaczymy, że my to już znamy i będziemy z nimi czuwać. Z nami jest Serb Bade. Nie zgadzają się i starają się nas zapędzić do schronu, ale już za późno. Nad Peenemünde rozwiewają się mroki letniej nocy w odlepiającym błysku, by kilka sekund później targnąć potworną eksplozją setek odpadających bomb.

Nad Peenemünde rozlało się morze ognia. W świetle opadających powoli żyrandoli rakiet oświetlających zbladł księżyc, a jego srebrna poświata zakrwawiła się łuną. We wrześniu nad Wrześnią liczyliśmy eksplozje bomb, tutaj huk jest jednostajną monotonią rozrywającą bębenki naszych uszu. Próbujemy liczyć podchodzące do bombardowania eskadry, widoczne jak widmo w łunie pożarów i poświacie księżyca. Tracimy jednak rachubę, gdyż smugi sypiącego się fosforu, rozbłyski pocisków przeciwlotniczych i rozszalała wkrótce walka powietrzna rozpętały piekielny chaos.

Straszny w swej grozie widok. My zaś sycimy nim oczy, bo dla nas jest również piękny i wymarzony, oczekiwany z dawna. Oto po raz pierwszy od tragicznych dni września jesteśmy świadkami klęski germańsko – hitlerowskiej buty. Oto zapłata za tragedię naszego narodu, za skradzione rynki naszych miast, za głód i dolę wygnańczą, za śmierć naszych bliskich. Więc patrzymy szeroko rozwartymi oczami, chłoniemy niesamowitą scenerię wojny. Podziwiamy bezpardonową walkę powietrzną, która szaleje nad naszymi głowami, liczymy spadające maszyny. Nie obchodzą nas zabłąkane pociski i szczątki rozerwanych samolotów, z furkotem i świstem wirujące wokół nas.

Jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że Peenemünde to nie tylko kuźnia hitlerowskiej Wunderwaffe, strącona w tej chwili na samo dno piekieł, ale także straszliwe miejsce kaźni setek i tysięcy więźniów różnych narodowości. Zdajemy sobie sprawę, że w tej chwili odbywa się tam tragiczne misterium wyzwolenia ich poprzez śmierć, której nie sposób uniknąć, by inni mogli żyć. Modlimy się więc za konających. Jedni na głos, inni szeptem. Patrzy na nas Bargwald, widzi poruszające się wargi i pyta, co my opowiadamy. Mówię mu wtedy, że modlimy się za konających, bo tam nasi bracia giną. I o dziwo zaczynają też głośno Vater unser - modlą się wraz z nami.

Przerażeni do największego stopnia modlą się. Czy za tych, którzy giną, czy za siebie o ocalenie, czy wzywają kary na tych, którzy dokonują dzieła zniszczenia? Któż to wie? Wątpię, by ich modlitwa w tej chwili była wyrazem żalu za popełnione przez ich naród zbrodnie przeciw ludzkości, za sprowokowanie oglądanego w tej chwili straszliwego dramatu. Modli się i Serb. Jakże inna jednak jest jego modlitwa. Mimo powagi chwili przypomina mi się modlitwa pana Zagłoby z „Ogniem i mieczem". Tylko, że Serb modli się do św. Durotena (Jerzego) który jest jakimś ich patronem. Podczas każdej silniejszej serii bomb wplata do swej modlitwy okrzyk „Żiwio xorbia" gdy zaś buchające kłębami dymu i ognia wali się na ziemię

aliancki samolot, wykrzykuje z wściekłością i rozpaczą „Jebem ti Kajku", co po naszemu brzmi brzydko k.... twoja mać.

I tak powoli kończy się nalot. Wycisza się burza detonacji, odchodzą powoli eskadry, jak siewca, co zapisał dzieło zniszczenia, blednie w budzącym się brzasku poranka łuna pożarów, wstaje dzień 10 sierpnia. Wraz z nadchodzącym dniem rodzą się refleksje, kłębią się myśli. Jakże zmienne i inne są ludzkie odczucia i pragnienia. Ten sam widok, to samo zdarzenie u jednych budzi zachwyt, u drugich przerażenie. Jedni się radują, inni płaczą. Jednym dodaje odwagi, koi, budzi nadzieję, drugich zamienia w zaszczute zwierzęta, przeraża, pogrąża w odmętach rozpaczy i trwogi. Słyszałem modlitwę trzech narodów w trzech różnych językach. Dwie z nich, polska i serbska, podobne w treści, inne jednak w swej formie zewnętrznej. Jakżeż różniła się od nich modlitwa Niemców zarówno w słowach, jak w swej treści. A przecież staliśmy obok siebie, słyszeliśmy swe oddechy i czuliśmy rytm naszych niespokojnych serc, dotykaliśmy się wzajemnie. A jednocześnie, jakże byliśmy odlegli od siebie. Dzieliła nas przepaść nie do przebycia. Inne mieliśmy pragnienia, inne racje przedstawialiśmy Bogu. Które więc miał wybrać Najważniejszy jako godne wysłuchanie, skoro i jedne i drugie w tym własnym momencie były wolne od wyrachowania, były szczere i spontaniczne? Odpowiedzi na to nie otrzymuję i dlatego tym jaśniej zdaję sobie sprawę, czym jest wojna i wszelka nienawiść w stosunkach międzyludzkich. Przekleństwo wojny, nawet Boga zda się stawiać przed problemem nie do rozwiązania, zwykłe ludzkie problemy.

Jaki był stosunek sił w owym pamiętnym nalocie? Według oceny strony niemieckiej Peenemünde bombardowało 700 maszyn alianckich, broniło zaś około trzystu myśliwców niemieckich. Strąceniu miało ulec 17 samolotów, podczas gdy my zdołaliśmy naliczyć tylko 10. Strat własnych nie podano. Wydaje mi się, że liczba myśliwców jest grubo przesadzona, jakkolwiek walka powietrzna była niesłychanie zacięta.

Po dwu tygodniach nastąpił nowy nalot w godzinach popołudniowych lecz już nie tak silny. Wtedy na własne oczy zobaczyliśmy działania nowej broni, którą mimo zniszczeń zdołali Niemcy przygotować i ustawić na wyrzutni. Podczas trwania bombardowania odpalona rakieta prysnęła ku samolotom nieprzyjacielskim, eksplodując w oślepiającym błysku pośród naszych maszyn. Na szczęście, poza masą ognia, żadnych szkód nie wyrządziła.

Naloty na naszym terenie stały się zaraz częstsze. Bomby spadały na Anklam, Stralsund, Grimer, omijano jednak Greifswald.

.....

Wkrótce nastąpiły u nas zmiany co do składu narodowościowego robotników. Odeszli serdecznie żegnani Serbowie, a ich miejsce zajęła rosyjska rodzina Kuźniecowych spod Witebska. Spotkanie z Rosjanami było dość ciekawe. Odnieśliśmy wrażenie, jakbyśmy się od dawna znali i długo byli ze sobą razem. Bez żadnych ceremonii nastąpiła wymiana imion, po czym proces zżycia się nastąpił bardzo szybko. Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic.

Przybyło również Polaków. Wspomniana już wcześniej Staśka wyjechała na urlop w okolice Częstochowy. Wyszła tam za mąż i wróciła z mężem Stefanem oraz bratem Ignacym i jego rodziną. Przyjechał również mąż Ukrainki, Michał Krynkier.

W ten sposób powstała już dość duża społeczność cudzoziemców w naszym majątku, licząca aż 16 dorosłych osób. Nieuniknionym stało się również powstawanie grup.

Czwórka z naszej sztuby stanowiła kościec największej solidarnej grupy, do której należały wszystkie prawie narodowości z naszego i sąsiednich majątków, a także Polka z

Tarnopolskiego, a zwłaszcza jej syn Józef. Tworzyliśmy jakby rodzinę. Łączyły nas wspólne tajemnice, troski i radości. Wspomagaliśmy się w chorobie i w innych kłopotach. Cechowała nas bezinteresowna solidarność, a jednocześnie nikt drugiemu w życie osobiste się nie wtrącał.

Staśka wraz ze swoją rodziną tworzyła jakby odrębne zgrupowanie, czemu się zresztą nikt tak bardzo nie dziwił. Związki naturalnej rodziny siłą rzeczy są silniejsze od innych.

Trzecia grupa to Ukraińcy, w początkowej fazie żyli z nami w bardzo dobrych stosunkach. Kiedy jednak Michał rozeznał się w środowisku, pokazał rogi. Ten szermierz Samostijnej Ukrainy przede wszystkim nienawidził Lachiw. Pewnej niedzieli, wychodząc do innego majątku, zamknął swą żonę wraz z dziećmi w mieszkaniu na klucz, aby się nie mogła spotykać z Polakami. Ta podniosła krzyk i domagała się otwarcia drzwi. Wszczął więc pod drzwiami awanturę, pomstując na Lachów. W jej obronie stanęła Staśka, ale to dolało oliwy do ognia. W końcu musiał interweniować bauer Müller. Przekonywał go początkowo słowami, ale to nie pomogło, bo Michał, obywatel Gross Ukraine, nie potrzebował słuchać Niemców. To już wyprowadziło starego z równowagi. Wrócił do pałacu po reit peitsche (bat dżokejski) i taką mu dał Gross Ukrainę, że dwa tygodnie na plecy nie mógł się położyć. I znów muszę zaznaczyć, że Ukraińcy z polskich kresów spotykali się ze strony Niemców z lekceważeniem i pogardą. Nie lubił ich zresztą nikt.

Rosjanie zaś i Ukraińcy radzieccy, choć systematycznie wyniszczani, budzili u Niemców szacunek, a przez inne narody byli lubiani.

Położenie nasze zaczyna się pogarszać. Coraz częściej chodzimy głodni. Tylko ziemniaków mamy pod dostatkiem. Przydział chleba zmniejszył się do 2,5kg na tydzień i 15 dkg margaryny. Ukraść nie ma co i gdzie. Jedynie śruta owsiana z wysłodkami, którą otrzymywały konie, nadawała się do zjedzenia. Toteż podbieramy ją ukradkiem przy każdej okazji i używamy jej jako dodatku do placków kartoflanych. Później też gotujemy z niej zupę. Pewnego razu, rankiem przed apelem, wchodzi na sztubę bauer z poleceniem, abyśmy wcześniej wyszli i pomogli przy załadunku świń na samochód. Jemy akurat zupę, a łuska owsiana jest lżejsza, więc pływa na powierzchni. Wygląda to tak, jakbyśmy jedli zupę z plew. „Was ist das?" – pyta. Władek odpowiada, że my musimy pracować, a do tego trzeba mieć siłę. My zaś jesteśmy głodni, więc jemy to co nasze konie, tylko ugotowane. „Das ist unmöglich"! – (to niemożliwe) odpowiada bauer. Poleca więc Władkowi, by po południu przy śrutowaniu, ześrutował przez gęste sito żyta z pszenicą, co będzie na pewno lepsze od owsa i wysłodków.

Nadzieja na sytość poprawiła nasze humory. Żadnych podłych potraw nie będziemy musieli jeść. Mimo to nieraz skrycie tęsknimy do owej zupy z łubinu, której od pamiętnego incydentu już się nie gotuje, ale tak się nie upokorzymy, by o nią poprosić.

Na scenie teatru wojny następują poważne zmiany. Front zbliża się do granic Polski. W powietrzu bezwzględnie panują alianci. Niemcy już jawnie mówią o przegranej wojnie.

Do Neukirchen przyjeżdża bauzug składający się z Polaków. Ich zadaniem jest budowa podziemnych linii telefonicznych. Zakwaterowano ich u Emila Blocka w Neukirchen. Okazuje się, że Meier, będąc tam, szybko zrobił nam reklamę, aby przyszli nas odwiedzić i zapoznać. Spośród 80 przyszło do nas dwóch. Pochodzili oni, jak cała zresztą załoga bauzugu, z okolic Kalisza. Oni byli z Biernat koło Kalisza. Starszy z nich, Borowiński Bronisław, miał wykształcenie. Będąc nauczycielem, pisał wiersze. Niektóre były przed wojną

zamieszczone w gazetach. Posiadał wiele notatek z różnych z różnych stron Niemiec, jako że bauzug stacjonował w wielu miejscach. Jego pragnieniem – jak mawiał – będzie napisanie po wojnie wielkiej odysei Polaków. Drugi z nich – Stanisław Durajczyk – był w moim wieku. Przed wojną był uczniem szkoły średniej w Kaliszu. Ambitny, energiczny, pełen aspiracji i pragnień wręcz fantastycznych. Czy swoje marzenia zdołali spełnić? Nie wiem nawet, czy przeżyli wojnę, bo kontaktu z nimi już nie nawiązałem.

Bardzo żeśmy się polubili, a jednocześnie zażarcie dyskutowali. Dziś może wydawać się to mało znaczące, ale dla nas, pozbawionych własnego ojczystego środowiska, była to w tamtych tragicznych dniach, a jest już rok 1944, sprawa nader ważna. Porównywaliśmy przecież to, co było przed wojną, z tym, co będzie po wojnie. Każdy z nas pochodził z innego środowiska, inne miał wykształcenie, przeżycia wojenne i inne spojrzenie na życie i problemy polityczne. Byliśmy też Polakami, a wiadomo, że to nacja bardzo rozpolitykowana.

Łączył nas wspólny los, wróg, pragnienie wolności, umiłowanie wolnej od faszyzmu i wyzysku ojczyzny. O cóż moglibyśmy się kłócić? Jeden cel, ale drogi są różne, i o nie właściwie się ścieramy. Jesteśmy młodzi, radykalni, ale jednocześnie mało realni w swych poglądach. Problemy na miarę pokoleń chcemy rozwiązać zbyt szybko. Więc czasem do naszych dyskusji włączają się Władek, Matejczyk, Naumowicz i Sławek – lwowiak. Są obserwatorami i rozjemcami w naszych sporach w myśl zasady: Veritas in medium. Gdy zajdzie potrzeba, nie wahają się wylać na nasze, zafascynowane utopią głowy, kubła zimnej wody i ściągnąć z obłoków na ziemię.

W tym czasie wysłany przez bauera do Greifswaldu, spotkałem, po roku chyba, kolegę, Polaka, Edmunda (nie pamiętam nazwiska), o którym sądziłem, że jest w obozie koncentracyjnym. Edmund był robotnikiem u rybaka Darmera w Leist. (Poza wioską Leist, były trzy majątki o tej samej nazwie, dla odróżnienia odznaczone cyfrą rzymską: Leist I, Leist II, Leist III.) Zimą 1945 roku, Edmund, jeniec z 1939 roku, zwrócił się do mnie z propozycją ucieczki łodzią do Szwecji. Przyjęty początkowo z entuzjazmem projekt, po rozważeniu został przeze mnie odrzucony. Po prostu nie znałem się absolutnie na żeglarstwie. Tajniki nawigacji morskiej były mi zupełnie obce. Edmund zaś, uciekając, winien mieć kogoś do pomocy, i za takim też obiecałem mu się rozejrzeć. Poza tym chciałem być bliżej kraju, gdyż sądziłem, że tu wcześniej doczekam wyzwolenia. Było przecież już po Stalingradzie.

Edmund nie zrezygnował z zamiaru. Trochę nierozważnie dobrał sobie pomocnika w równie jak ja niedoświadczonym młodym chłopcu. W zabranej rybakowi łodzi o godzinie 22:30 wieczorem wyszli w morze. Wkrótce nadziali się na mieliznę, z której zdołali zejść dopiero o godzinie 23:30. Wyruszyli w dalszą drogę. Była gęsta mgła. Gdy byli na wysokości najbardziej wysuniętego na wschód cypla Rugii, natknęli się na motorówkę straży przybrzeżnej. Omal przez nią nie staranowani, próbowali uciekać. Gęsta mgła dawała im szansę. Niedoświadczeni żeglarze jednak, nie mogąc się uporać dość szybko ze zmianą żagla, zostali przyparci przez motorówkę do brzegu Rugii i schwytani. Edmund nie próbował się wykręcać. Indagującym go Niemcom powiedział wprost, że jako żołnierz ma prawo do ucieczki. Potraktowano go wyjątkowo łagodnie. Osadzony w więzieniu za zabranie chłopca, przesiedział sześć tygodni, po czym ulokowano go z drugiej strony Greifswaldu, z dala od morza, zakazując mu odwiedzania Leist. Opowiedział mi to wszystko właśnie tu, w Greifswaldzie, dokąd jak i ja został wysłany przez swego bauera. Potwierdziły się więc moje obawy i przewidywania, co do konieczności elementarnej choćby znajomości żeglarstwa.

Wyzwolenie

Szybkimi krokami zbliża się nareszcie radosna chwila wolności. Po czerwcowej inwazji aliantów we Francji, na wschodzie wojska radzieckie wkraczają do Polski. 22 lipca 1944 roku odzyskuje wolność część Polski, Rosjanie dochodzą do Wisły. Radość nasza nie zna granic, a jednocześnie niepokój targa sercem. Kordon frontu rozdzielił mnie od rodziny. Nie wiem co się z nimi dzieje, nie wiem, czy przeżyli front. Ale wypadki toczą się szybko.

1 sierpnia – powstanie warszawskie. Nasi Niemcy w pierwszych dniach odnoszą się do tego faktu z ironią i lekceważeniem. Lecz wkrótce zaczynają traktować nas poważnie, mówiąc, że Warszawa jeszcze się broni, a potem, że Warszawa walczy. „Warschau ist ein Reldenstadt", Polska nie zginie – mówią – a my wojnę przegraliśmy. Stwierdzają to głośno, wbrew oficjalnej propagandzie.

Grono nasze uszczupliło się o kolegę Matejczyka, który opuszcza Stevenshagen. Wysłany zostaje na zachód do budowy umocnień. Każdy powiat musiał wysłać tam pewien kontyngent robotników cudzoziemskich. Wyjechał również do Linz w Austrii bauzug. Z grona przyjaciół pozostał z nami Stefan Kaumowicz i Sławek – lwowiak. Korespondencja z Matejczykiem urwała się dość wcześnie. Z Durajczykiem i Borowińskim koresponduję do gwiazdki, po czym i to się urywa.

Każdy dzień przynosi nowe zmiany. Rusza wielka styczniowa ofensywa. Wyzwolona zostaje stolica, wyzwolony jest już mój dom rodzinny. Przyciągają do nas uciekinierzy zza Odry. Całe rodziny niemieckie wraz ze służbą, składającą się z Polaków. Nie zdążyliśmy się zżyć. Czas był po temu za krótki, mimo że byliśmy w przyjacielskich stosunkach.

Front stanął za Odrą. Przy cichej pogodzie dochodzą do nas odgłosy kanonady. Jako żywo budzą się znów wspomnienia września, gdy to w ciche wieczory w piwnicy nadsłuchiwaliśmy dalekich pomruków artylerii spod Kutna. Jakżeż inne teraz oczekiwania. Tymczasem w marcu zostaję wysłany wraz z parą koni na trzy dni na budowę umocnień przeciwpancernych do Eldeny. Tam, w czasie południowego odpasu koni, chodziłem po ruinach zamku księcia pomorskiego Mirosława I. Czułem się tam jak w Polsce. Bardzo pragnąłem znaleźć grób tego władcy, niestety kopać nie mogłem, bo to i czasu nie było, a w dodatku w strefie przyfrontowej mogłem się narazić na niebezpieczeństwo. Zauważyłem kilka łacińskich napisów, które jednak zasypane gruzem i zarosłe trawą były prawie nieczytelne.

Z wysokiej wieży obserwowałem wybrzeża Rugii. Ponosiła mnie fantazja. Czułem się jakby w prostej linii potomkiem rycerzy, strzegących zachodnich rubieży przed zakusami margrabiów brandenburskich. Biegłem myślą do Arkony, tego duchowego ośrodka pogańskiej Słowiańszczyzny. Te trzy dni zawsze pozostaną w pamięci, jako jedno z najmilszych wspomnień.

Cztery i pół roku z dala od kraju, w morzu niemczyzny, żarty tęsknotą, spotykam pomnik słowiańskiej kultury. Poddaję się marzeniom o braterstwie narodów słowiańskich, bez względu na taką czy inną przeszłość, bez względu na zadawnione krzywdy i urazy. Marzę o słowiańskiej rodzinie, której by już nigdy nie zagroził germański zalew. By Drang nach Osten już nigdy więcej się nie powtórzył. Nie przypuszczałem, odcięty od źródeł informacji, że marzenia te już stają się rzeczywistością realną. Na razie schodząc z ruin, jakby z innego świata, wchodziłem na powrót w okrutną i ponurą rzeczywistość, w świat podłości i zbrodni.

Po raz pierwszy widzę, spędzonych tu, dawniej zabranych jeńców rosyjskich. Całe kolumny wynędzniałych do ostateczności cieni. Opuchłych z głodu, zrezygnowanych, żartych przez robactwo. To nawet nie ludzie ani zwierzęta. To już automaty pilnowane przez zgraję wachmanów i oficerów z opasłymi kałdunami. Swoja butę i pewność siebie okazują wobec tych strzępów ludzkich, zmuszonych do wyniszczającej pracy, ale gdy rozlegnie się głos kanonady, dziwne skurcze przebiegają im po opasłych gębach, a rozbiegane, niespokojne ślepia jakby spoglądały za siebie, za drogą do ucieczki. Zastanawiam się, czy my potrafimy zapłacić im taka samą monetą. Wydaje mi się jednak, że chyba nie, bo dla Słowian nawet wróg pozostaje człowiekiem, nigdy przedmiotem.

Po powrocie do majątku zastaję nastrój gorączkowego niepokoju. Po nakazie: przygotować się do ewakuacji, przygotowuje się wozy, okrywa je plandekami. Zastanawiamy się, dokąd będziemy się ewakuować, skoro praktycznie nie ma już strefy niezagrożonej.

Prace polowe idą niemrawo, bez pośpiechu. Liczy się dni dzielące nas od wolności i powrotu do domu. Ten sam nastrój u Rosjan. Strach i niepokój przejawiają Ukraińcy. Robotnicy Niemcy nie radują się, ale i zbytnio nie lękają. Lęka się rodzina bauerów, stwierdzając jednocześnie, że nie opuszczą Leist, chyba że zmusi ich do tego wyraźny rozkaz ewakuacyjny. Uważali, że nikogo nie skrzywdzili i kary się nie obawiają. Jest to prawda.

My, Polacy i Rosjanie, zbieramy się i ustalamy wspólnie naszą linię postępowania i nasz stosunek do Niemców po wyzwoleniu. Dochodzimy do wniosku, że nie mamy powodu do zemsty i dochodzenia sprawiedliwości wobec poszczególnych osób w naszym środowisku. Skrzywdził nas system faszystowski, którego tutejsi Niemcy nie byli entuzjastami, a nawet wrogami. Sam bauer, mimo przynależności do NSDAP, tylko dwa razy w ciągu tych lat był widziany w mundurze partyjnym podczas przyjazdu z zebrań, nigdy zaś się w nim nie pokazał w majątku. Wprawdzie była okoliczność pobicia mnie, jednak koledzy uznali, że stało się to częściowo z ich winy. Poza tym, w każdym innym miejscu za moją postawę dostałbym się do obozu. Braki w wyżywieniu panowały na każdym majątku. Jeśli zaś porównać sytuację Rosjan w naszym majątku z sytuacją tych z Eldeny, to nasi żyli prawie luksusowo, otrzymując takie same racje jak my. Przyznać musimy, że mieliśmy bardzo dużą swobodę osobistą, której nie mieli Polacy w innych stronach Niemiec.

Ustaliliśmy ponadto, że sprawę przynależności do NSDAP rozsądzą komuniści niemieccy z Emilem Blockiem na czele. Rosjanin Kuźniecow stawia problem Ukraińców. Co z nimi? Wychodzimy z założenia, że ich sprawę należy pozostawić jurysdykcji polskiej lub radzieckiej w miejscu ich pochodzenia. Tam najlepiej znają ich przeszłość.

W ten sposób jesteśmy przygotowani i czujni, gotowi w razie potrzeby udzielać pomocy walczącym oddziałom wyzwoleńczej armii.

Podobnie przygotowano się w innych majątkach, gdzie wydano nawet wyroki, potwierdzone przez sądy doraźne po wkroczeniu Rosjan.

Dnia 26 kwietnia przychodzi wiadomość, że Greifswald został uznany za strefę neutralną jako miasto uniwersyteckie i zostanie przejęty bez walki. Wysadzone zostaną tylko lotniska. Nie będzie ewakuacji, nie będzie frontu. 27 kwietnia o godzinie 8:00 rano należy na domach niemieckich wywiesić białe flagi.

Jest ranek. Wszyscy wychodzą do normalnej pracy. Nikt nie dowierza zarządzeniom. Lotniska milczą, białych flag nie ma. Przed godziną 10:00 potężna eksplozja targnęła powietrzem. Wylatują w górę maszyny i urządzenia lotnisk. I niezapomniany do końca życia

widok: oto jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otwierają się okna i ... białe flagi. Masa białych flag. Wzruszenie ściska gardło. Tyle lat, tyle lat i wreszcie wolność. Rzucamy prace, wyprzęgamy konie i pędzimy na hof. Ciekawi nas, jak wyglądają zwycięzcy.

Szybko jemy posiłek, ubieramy się w najlepsze rzeczy i spieszymy do Neukirchen powitać Armię Czerwoną. Tam całe kolumny wojsk zmotoryzowanych. Weseli i życzliwi Rosjanie witają się z nami i jednocześnie mówią; „Do swidania, my w dalszy pachod, nam nużno Germańca bić". Józek i Franek wracają do Leist, ja z Władkiem idę do Greifswaldu. Wracamy po dwóch godzinach z wiadomością, że w naszym majątku rozlokuje się komendantura wojenna. Przed wieczorem przybył tu zwiad w sile sześciu żołnierzy. Komendant ściągnął następnego dnia z oddziałem 15 żołnierzy i zakwaterował się w pałacu.

My zaś z miejsca przygotowujemy się do odjazdu. Przygotowujemy sobie żywność. Zabijamy 100-kilogramowego tucznika, z czego połowę solimy w konwiach od mleka, a połowę Franek, nasz kucharz nadworny, opieka i zalewa tłuszczem. Gorzej z chlebem. Władek więc śrutuje pszenicę, a potem zmienia się w piekarza i piecze bułki. Twarde to było jak diabli, ale zawsze pieczywo. Ja przygotowuję transport; konie, uprząż, paszę. Wozy były, jak wiadomo, już przygotowane. Józef zaś organizuje naczynia, lampę naftową i inne niezbędne przybory.

29 kwietnia jesteśmy gotowi do podróży. Postanawiamy wyruszyć jutro rano. Po południu przychodzi do nas komendant w randze kapitana. Zwraca się z zapytaniem, kto z nas może tłumaczyć z rosyjskiego na niemiecki i odwrotnie. Milczą wszyscy, milczę i ja. Wreszcie Staśka (panieńskie nazwisko Pustuł, z męża Wasiel) pyta, czemu się nie głoszę. Odpowiadam, że co innego rozumieć, a co innego tłumaczyć w tak ważnych sprawach. Ale komendant nie ustąpił i zostałem tłumaczem. Wdaliśmy się z nim w rozmowę. Pytamy czy droga będzie wolna, bo jutro chcemy jechać do domu. On na to, że wolna, ale niebezpieczna, bo to strefa zafrontowa. Siły porządkowe jeszcze niezorganizowane. Nawet za własnych żołnierzy z tyłów nie może ręczyć. Wiadomo - wojna. Różny element jest pod bronią i dlatego też dodaje: „Naszy krasnojarcy razniesut was w drabnyje trapkij". Radzi poczekać jeszcze tydzień. My jednak nie odstępujemy od swego zamiaru.

O godzinie 18:00 poszedłem tłumaczyć. Komendant wszystkim zebranym mieszkańcom objaśnił na wstępie ich obowiązki wobec nowej władzy, ich prawa. Zapewnił też ochronę prawną wobec ewentualnych nadużyć żołnierzy. O prawdziwości ostatnich słów miałem się wkrótce przekonać. Oto około godziny 21:00 przybiega Borgwald, prosząc o pomoc wobec próby gwałtu. Komendant natychmiast wzywa znajdujących się na warcie żołnierzy i poleca udać się wraz ze mną i moją komendą na miejsce zajścia. Wydaje im wyraźny rozkaz podporządkowania się moim poleceniom. Czuję się dziwnie. Cywil, nie wojskowy, a dowodzę oddziałem czterech żołnierzy, w tym dwóch podoficerów. Krzywdę bym wyrządził ogółowi żołnierzy armii radzieckiej, gdybym nie opisał dalszego przebiegu zajścia.

Biegniemy do mieszkania Borgwaldów, skąd słychać szamotaninę, krzyk i płacz. Żołnierze z bronią gotową do strzału wpadają do środka. Widzimy, że dwóch żołnierzy szamoce się z trzecim, wiążąc mu ręce pasem. Nie wiemy, kto jest gwałcicielem. W sąsiednim pokoju znajduje się czwarty i jego wzywająca pomocy ofiara. Sytuacja wyjaśnia się błyskawicznie. Związany i tamten chcą użyć przemocy, dwaj pozostali bronią. Nie chcąc użyć broni w mieszkaniu, obezwładniają jednego. Moi żołnierze wpadają do pokoju i rzucają się na drugiego. Tamten z bronią, w stanie nietrzeźwym, nie daje się od razu obezwładnić, jednak nas

jest więcej. Ujętych i związanych prowadzimy do komendanta, który poleca ich trzymać pod strażą do rana, a jutro oddać pod jurysdykcję starszego komendanta w Neukirchen.

Przyznaję, że miałem poważnego stracha podczas tego incydentu, ale jednocześnie miałem się przekonać, że prawa ludzkie i sprawiedliwość są szanowane. Tak to przez krótką chwilę byłem przedstawicielem jakby cywilnej władzy w Niemczech. Poprosiłem teraz komendanta o godzinną przerwę, bo język mi skołowaciał od bezustannego tłumaczenia.

Poszedłem odpocząć do rodziny Kuźniecowych. Pytam, czy jadą z nami. Lecz oni pojadą, gdy się sytuacja znormalizuje. Wojsko ich będzie przenosić, gdy przyjdzie na to czas. Pożegnałem się więc bardzo serdecznie z nimi i pobiegłem znów tłumaczyć.

Teraz treść rozmów toczyła się wokół spraw politycznych:

A wiec stosunek do Hitlera, faszyzmu, wojny. O metodach traktowania jeńców rosyjskich i całych narodów. O zniszczeniach w ZSRR i w Polsce. O obowiązku odbudowy nie tylko własnego kraju lecz i krajów przez siebie zniszczonych. Omówiono również szereg innych, bardzo w tej sytuacji istotnych problemów. Opiniowałem każdego Niemca z osobna. Było to bardzo trudne, bo w zasadzie biegle rosyjskim nie władałem, więc o pomyłkę było bardzo łatwo.

Wreszcie mogłem wyrwać się do siebie i przygotować do podróży. Trzeba było spakować rzeczy osobiste, i trochę odpocząć. Około godz. 1:00 przyszedł do nas komendant się pożegnać. Udzielił mam szeregu cennych rad i wskazówek, co do ochrony przed maruderami zafrontowymi i pomocy w drodze. Bardzo nam się te ostatnie słowa później przydały.

Powrót do gniazda

30 kwietnia, godz. 4:00 rano. Wyruszamy w drogę do kraju. Opuszczamy Leist II über Greinewald in Pommern. Odjeżdżamy z czystym sumieniem i honorowo, nie czyniąc nikomu krzywdy. Zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteśmy w tym właśnie środowisku ambasadorami naszego narodu, a to zobowiązuje. Poza żywnością nie zabraliśmy nikomu nic, dlatego też na naszych wozach jest wiele miejsca.

W pierwszym wozie nasza czwórka i dwójka wspomnianych kolegów, ewakuowanych podczas zimowej ofensywy. Za nami Staśka ze swoją rodziną , na drugim wozie. Wydawało nam się, że pojedziemy pustą drogą, ale w Neukirchen było nas 10 wozów. Przez Greifswald przejeżdżamy o świcie. Na szosie zaczyna się robić tłoczno. Na wozach powiewają biało-czerwone flagi. Rozdzielamy się ze Staśką, aby się więcej nie spotkać. Każdy jedzie w swoją stronę.

Kolumna wozów zda się nie mieć końca. Jak strumyki łączą się w coraz większe potoki ,by wreszcie popłynąć korytem potężnej rzeki, tak z bocznych dróg dochodzą do szosy pojazdy wracających do domów tułaczy, i długo czekają okazji, by włączyć się do głównego nurtu , a potem znów rozdzielić i pójść innym szlakiem. Teraz już nie tylko polskie flagi lecz wszystkich uciemiężonych narodów załopotały na wietrze w promieniach wiosennego słońca. Jechali Polacy, Rosjanie, Czesi, Jugosłowianie, Albańczycy, Grecy, Węgrzy, Rumuni, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Łotysze. Narody zachodnie kierowane były do Szczecina na punkt zborny, więc jechali też na razie w tym samym kierunku Norwegowie, Duńczycy, Holendrzy, Belgowie, Francuzi, Włosi.

Jechali też Niemcy, ale pod białymi flagami.

O żadnym przystanku nie było mowy. W wypadku uszkodzenia wóz spychano na bok, gdzie po naprawie trzeba było czekać na lukę w kolumnie jadących. Tragicznie przedstawiała się konieczność załatwiania potrzeb fizjologicznych. Nie było mowy o zatrzymaniu pojazdu. Stąd też pogubiło się wiele osób, najczęściej matek z dziećmi. Nas humor nie opuszczał i mieliśmy pretensje do Józefa jako organizatora sprzętu, że nie pomyślał o nocniczku.

Pod wieczór dojeżdżamy do Anklam. Rozglądamy się za kwaterą. Znajdujemy ją na przedmieściu, w dużym opuszczonym majątku. Znalazło się i miejsce dla koni, solidnie już zmęczonych. Spotykam tu ziomka, Józefa Pałasza z Targowej Górki. Nagadać się nie możemy. Zmęczeni kładziemy się wreszcie na spoczynek. Nasza czwórka przy koniach, pozostali koledzy na wozie. Rano budzimy się i spostrzegamy, że konie wykazują dziwny niepokój. Spostrzega to i nasz sąsiad, więc szukamy przyczyn. Jest: Nieboszczyk pod słomą na której ja spałem... Apetyt i humor opuszcza mnie na cały dzień, mimo że udaję bohatera.

Byle prędzej w drogę. Ruszamy. Do Passewalk dojeżdżamy po południu. Tutaj zostajemy zaangażowani do pomocy przy porządkowaniu magazynów żywnościowych. Pracujemy do wieczora, za co otrzymujemy na osobę 1kg cukru, 0,5 kg ryżu, 1 kg makaronu, konserwy oraz wygodne na noc kwatery.

Rankiem ruszamy dalej. Za miastem stoją zatrzymane całe kolumny wozów. Pytam Rosjan, dlaczego nas zatrzymano. Jeden mi odpowiada, że „zdieś budut dokumienty prosmatriwać". Czekamy do godziny 10:00. I oto zjawia się kilku oficerów którzy mówią, aby jeśli kto może, oddał zbędne koce i konie, jeśli ma dwa. Nasze konie były zbyt słabe, i nie nadawały się. Oddaliśmy tylko koce, zostawiając sobie po jednym. Dokumenty były w porządku. Ruszyliśmy dalej.

Odcinek drogi z Passewalk do Szczecina był najtrudniejszy. Panowało tu prawo dżungli. Ofiarami przede wszystkim byli Niemcy, wracający po ewakuacji do domów. Niektórzy cudzoziemcy, wracający pieszo, zrzucali niemieckie rodziny z wozów w rowy i błoto, i zabierali im konie i wozy. Jak na ironię, przodowali w tym ich protegowani Ukraińcy. Oburzali się na to i protestowali przeciw temu prawie wszyscy, a także żołnierze radzieccy. Niewiele to jednak pomagało, bo kolumna wciąż posuwała się na przód i nie można się było zatrzymać.

3 maja dobijamy do Szczecina. Witają tu nas polskie biało-czerwone flagi i polskie mundury. Wzruszenie znów ściska nam gardło. Po tylu latach znów na polskiej ziemi. Zatrzymujemy się tutaj jeden dzień, aby pomoc przy budowie drewnianego mostu przez Odrę. Oddajemy jednego konia dla wojska, wyszukujemy mały wózek konny, przeładowujemy nasz dobytek i pieszo przy wózku, ruszamy w dalszą drogę do Stargardu. Żegnam się tu z kolegami, którzy idą na pociąg, aby być wcześniej w domu. Zostaję sam. W czasie krótkiego postoju odpoczywam, karmię konia i już mam ruszyć dalej, gdy koledzy wracają. Dworzec jest tak zapchany, że musieliby czekać ze dwa dni na swoją kolej. A więc znów razem. Nie chcemy jednak iść pieszo. Kompletujemy z porozrzucanych przy drodze wozów nowy pojazd, znowu przeładunek i znów na wozie. Odpoczną nasze nogi.

Na następnym przystanku Franek piecze mięso, a Władek bułki, bo zabrane z Leist już się skończyły. Teraz odwrotnie: bułki się udały, ale mięso Franek przypalił. Nawet smalec zrobił się brązowy i gorzki jak diabli, ale nie wolno go nam wyrzucić. Połowy drogi jeszcze nie przebyliśmy przecież, a sześciu ludzi chce jeść. Widzimy nawet pozytywy tej pieczeni. Nie smakuje – mniej zjemy i zaoszczędzimy na dłużej. Nikt zaś nam jedzenia nie będzie darował. Wszędzie była wojna. Tylko ziemniaków w kopcach jest pod dostatkiem.

Kraj teraz pusty. Ludzi nie widać. Skończyły się niezliczone kolumny wozów. Łączą się teraz najchętniej w grupy po cztery lub pięć. Zawsze i przyjemniej, i bezpieczniej jechać w takiej małej społeczności. Dziewiątego dnia podróży jesteśmy w Krzyżu. Władze kierują tu wszystkie pojazdy na plac w mieście, gdzie odbywa się przegląd wozów i bagaży. Obok nas stanął sześciometrowej długości wóz drabiniasty, wyładowany chyba niezbyt uczciwie wypchanymi walizami. Dokonujący przeglądu pułkownik radziecki popatrzył na nas i mówi „Wot, biednyje wy ludzie, możno wam jechać". Co z sąsiadami - nie wiem. Nie czekamy, spieszymy się.

10 maja. Dawna polska granica. Wieluń. Tu spotykamy pierwszych szabrowników. Chcą wyłudzić konia za 1000 zł. Wydaje mi się to dużo. Koledzy są skłonni, ale ja muszę sprawdzić. Twierdzą ponadto, że przez dawną granicę nas nie przepuszczą konno. Więc idę przez most graniczny i dalej do miasta. Spotykam tu kolejarza rodem z Gniezna. Ten objaśnia, że tu żadnej granicy nie ma, że tamci to szabrownicy i za darmo chcą wyłudzić konia i wóz. Gdy wracam, już tych niebieskich ptaszków nie ma, ulotnili się. Kolejarz objaśnił nas w rozkładzie jazdy pociągów. Po czterech latach, siedmiu miesiącach i dziesięciu dniach wspólnego wygnańczego życia, w rodzinnej atmosferze rozstajemy się.

Dalszą podróż odbywam samotnie, ale niedługo. Już za miastem spotykam człowieka ciągnącego ręczny wózek. Idzie od Szczecina do Słupcy. Całą drogę pieszo, ciągnąc wózek przez cały czas. Jest na pół bosy, ma poobcierane nogi. Bardzo już wyczerpany. Proponuję mu wspólną podróż. Przyjmuje to z uczuciem wielkiej wdzięczności i westchnieniem ulgi. Nie chce się narzucać, więc siada na wóz, ale wózek ciągnie początkowo za sobą, by nie zajmować miejsca. Jest głodny. Częstuję go jedzeniem, na które rzuca się łapczywie, tak że pierwszy dzień postanawiam wydzielać mu małe porcje, w obawie o jego zdrowie.

Nocujemy pod Czarnkowem. Przyznać muszę, że pierwsze spotkanie z ludźmi na wielkopolskiej ziemi bardzo mną wstrząsnęło. Przyjęto mnie bardzo niegościnnie. Wprawdzie nie wyglądałem pociągająco. Od kilku dni nieogolony, w ubogiej odzieży i z pustym wozem, wyglądałem na włóczęgę. Któż jednak w tych dniach nim nie był. A jednak o żywność nie prosiłem. Tęskniłem tylko za kawą zbożową, chlebem, bo od kilku dni piłem tylko wodę i jadłem wyschnięte już bułki. Gospodarz na wstępie zapytał, czy mamy czym zapłacić. Dałem około dwa kilogramy cukru, ale to było mało. Musiałem dołożyć resztę ryżu. Tak więc to, co od żołnierzy radzieckich dostałem, Polak wziął. I to tylko za nędzny nocleg pod dachem szopy. Nie pamiętam nazwy wioski. O zmroku przyjechałem i przed brzaskiem odjechałem. Nie pytałem o nazwisko gospodarza, bo i po co. Nie przechodził chyba żadnej tułaczki i wysiedlenia. Był zamożny. Inwentarza było dużo w oborze. Nie rozumiał, co to bieda i los człowieka, którego skrzywdziła wojna. Dorabiał się na ludzkiej tragedii. Posilamy się więc w drodze, twardymi jak kamienie bułkami i przypalonym mięsem.

W południe trzeba było popaść konie, a że owsa już nie miałem, więc mój towarzysz podróży z wielką ochotą odpasał mojego „Braunego" na rowie. Ja poszedłem do jakichś zabudowań po wodę do picia. Było to już pod Obornikami. Nie dano mi wody, lecz kawy i chleba. Smaku tej, z życzliwego polskiego serca danej kawy, też nie zapomnę. Chleb miał smak jakiejś cudownej manny. Proszono nawet nas na obiad, ale nie chcieliśmy nadużywać gościnności. Była to rodzina uprzednio wysiedlona. Gdy zapytałem, ile jestem winien, i zaproponowałem odrobek, śmiech na twarzach gospodarzy nawet mnie zaniepokoił. On zaś chciał mnie wspomóc kilkoma złotymi na dalszą drogę. Nie przyjąłem, ale z wielką wdzięcznością

podziękowałem i ruszyłem dalej, zastanawiając się nad ludzkimi charakterami, porównując twardość jednego serca z ciepłą serdecznością drugiego.

Przed wieczorem znaleźliśmy się w Połajewie, na drodze do Poznania. Duża, czysta, zamożna wieś. Przede wszystkim szalenie gościnna. Tutaj noclegów było dość. Znalazło się miejsce pod dachem dla nas i dla konia, oraz ciepły posiłek. Jesteśmy jednak brudni i dlatego idziemy spać do stajni. Gospodarze są jakby obrażeni. Nie chcą, aby ich opinia wioskowa posądziła o brak gościnności. W końcu ustępują. Rano, gdy się budzimy, koń już jest odkarmiony. Nas zabierają bez dyskusji na śniadanie, a potem zaopatrują w chleb i paszę dla konia na cały dzień. Wiem już, że tu o zapłatę pytać nie należy. Nie można dewaluować ludzkiego serca.

Rozpoczynamy ostatni etap. Koń chyba nawet przeczuwa to, bo rusza raźno w drogę. Poznań. Na Garbarach pomagam przeciągnąć jakiś wóz z meblami i znów dalej, aby szybciej. Teraz droga zaczyna się dłużyć. Im bliżej domu, tym bardziej tęsknota ssie pod sercem. W Swarzędzu odpasam konia, bo już osłabł. W Kostrzynie jestem o godz. 15:00. Tu oficer radziecki prosi mnie, abym zabrał do Józefowa pod Neklą pewną dziewczynę. Jedziemy teraz we trójkę. Ona, wesoła, ma co opowiadać, ja milczę i liczę kilometry, godziny, minuty dzielące mnie od domu.

Słońce już chyli się ku zachodowi. Przed Neklą żegna nas dziewczyna i idzie do domu odległego od szosy o około 800 metrów. Proponuję memu towarzyszowi, aby jechał ze mną, ale on chce asfaltową szosą ciągnąć wózek. Oddaję mu więc resztę pieczeni, bo już w drodze nie będę jadł, i już po zachodzie słońca rozstajemy się. Skręcam w Nekli w stronę Targowej Górki, a tu ludzie mnie otaczają i pytają: kto, skąd, dokąd. Nie nadążam z odpowiedziami. Dowiaduję się jednak, że ojciec jest już w domu, ma dwa kare konie i przyjeżdża do Nekli z jakimś nieznajomym.

A więc już są. Czy wszyscy? Myślę teraz o mamie. Męczyło mnie dziwne przeczucie. Byłem niespokojny. Gdy zapada zmrok, wyjeżdżam z Nekli. Chciałbym przypiąć skrzydła, byle prędzej. Ale koń bardzo zmęczony. Zrobił dziś ponad 70 km. Kuleje i ledwo człapie. Liczę kroki. Zimno mi. Wdziewam kurtkę. Nie! Za ciepło. Nie poznaję siebie. Dzieje się ze mną coś niezwykłego. Tyle lat na to czekałem. Dlaczego ogarnia mnie strach? Chcę z kimś mówić. Jestem sam. Więc schodzę, biorę Braunego za uzdę i zaczynam z nim rozmawiać. Trochę mi lżej. Jest już gęsty mrok i lekka majowa mgiełka ponad polami, gdy przejeżdżam przez Kokoszki. Teraz chyba naprawdę chłód.

Gdy wjeżdżam do Stępocina słyszę muzykę, grają i cieszą się. U kogo? Przystaję i nasłuchuję. Już wiem . To u Menesa. Wydaje mi się, że nie rozumiem tych ludzi. Jak można się dziś cieszyć? Ale to tylko ja tak myślę. Przecież już po wojnie. W tej wędrówce przegapiłem dzień kapitulacji Niemiec. Salwy zwycięstwa, słyszane gdzieś w drodze, uszły mej uwadze. Więc ludzie mają prawo do radości. Mnie to nie uspokaja. Ktoś chyłkiem przemyka pod ścianami domów. Nie wiem, czy widać flagę na moim wozie, która w ciemności jest szara. Koń powoli wspina się pod stępocińską górę. Pomagam mu. Jeszcze 3,5 km.

Gdyby to był dzień, zobaczyłbym moją wieś. Zobaczyłbym drzewa rodzinnej zagrody. Ale jest noc. Koń rży, jakby czuł mój niepokój. Siadam na wóz. Przystajemy co chwilę. Jest ciężko. Zmęczenie coraz większe. Długo przemierzam ten ostatni odcinek drogi. Około dwóch godzin. I nareszcie z mroków nocy wyłaniają się kontury parku. Moja wieś rodzinna. Znam tu już każdy szczegół, każdy kamień.

Znów schodzę z wozu. Boję się. Spływa ze mnie pot. Nigdzie żywej duszy. Jakoś nie tak wyobrażałem sobie powrót. Przy kościele przystaję. Klękam na chwilę u wrót wejściowych, ale modlić się nie umiem. Nie mogę również płakać. Ciche rżenie - to koń mnie przywołuje. Siadam i teraz wóz głośno turkocze po bruku. Minuty płyną coraz wolniej. Jeszcze kilometr. Jeszcze 10-15 minut. Wielka wieś. Nigdy nie przypuszczałem, by radość była tak bolesna.

Ustaje turkot kół. Wóz już na bocznej drodze do mego domu. Jeszcze 500 metrów. Teraz płaczę. Jest mi lżej. Zarysy budynków już widoczne. Szczekają psy. Ale głosów nie poznaję. Są inne. Również drzewa inne, choć te same. O wiele większe. Przystaję przed bramą. Ta sama. Zamknięcie tylko inne. W domu śpią. Zsiadam i przez ogródek idę do drzwi frontowych. Nadsłuchuję chwilę i naciskam klamkę. Po chwili znajomy głos pyta „Kto tam?". Poznaję, to kuzynka Ania. „Ale kto?" powtarza pytanie. Otwórz Ania, poznaję cię, mówię to ja, Bronek. Zgiełk, krzyk, otwierają się drzwi, i Ania wpada mi w objęcia. Mama żyje? - pytam. „Żyje, wszyscy żyją"- odpowiada poprzez łzy. Witam się z rodzicami, z bratem Jankiem, z ciocią Marią. Edmund jeszcze nie wrócił. Stefan chory został z siostrą na Lubelszczyźnie. Brak słów przy pierwszym po latach spotkaniu. Jest 23:00 dnia 18 maja 1945 roku. Długo w noc ciągną się rozmowy. I wreszcie zasypiam w rodzinnym gnieździe, pod dachem mego dzieciństwa, po 4 latach, 7 miesiącach, 17 dniach, 17 godzinach i 15 minutach.

Bronisław Pluciński, *(1921–2002), mieszkaniec Targowej Górki, rolnik prowadzący kilkunastohektarowe gospodarstwo, odziedziczone po ojcu. Czynnie uczestniczył w życiu społeczno-kulturalnym wsi, podobnie jak jego ojciec Marcin, przed drugą wojną światową prezes Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" w Targowej Górce. Przewodniczył obchodom 700-lecia Targowej Górki w 1958 roku. W czasie obchodów brał udział w widowisku historycznym związanym między innymi z późniejszym patronem Szkoły Podstawowej w Targowej Górce generałem Antonim Amilkarem Kosińskim. W 1988 roku włączył się w przygotowania obchodów 730-lecia Targowej Górki, połączonych z nadaniem imienia szkole.*

Lucyna Idasiak

Bronisław Pluciński z żoną i dzieckiem.
Lata 50-te XX w.

Bronisław Pluciński
przy tablicy upamiętniającej 700-lecie Targowej Górki

Podczas żniw. Bronisław Pluciński z Kazimierzem Łopatką. Lipiec 1958 r.

Bronisław Pluciński

Klemens Matuszewski

W Obozie Jeńców Wojennych w Murnau /Oflag 7A/

Klemens Matuszewski w obozie jeńców w Laufen (niedaleko Salzburga), Niemcy, 1940 r.

W dniu 23 sierpnia 1939 r. udałem się jak zwykle do pracy na godz. 8 rano. Od prawie trzech lat pracowałem w Poznańskim Urzędzie Wojewódzkim, Wydział Rolnictwa i Reform Rolnych, Oddział Pomiarów Rolnych. Urząd Wojewódzki mieścił się przy ulicy Gołębiej.

Około godziny 10 przybiegła do naszego biura żona stróża domu, w którym zajmowałem obszerny pokój jako sublokator przy ulicy Strzeleckiej. Pani ta weszła do pokoju, w którym pracowałem wraz z kolegami: Józefem Merlingerem i Leonardem Rybczyńskim i zwracając się do mnie, rzekła: Mam dla pana kartę powołania do wojska. Odebrałem w milczeniu kartę powołującą mnie do natychmiastowego stawienia się w dowództwie 17 Pułku Artylerii Lekkiej (17 p.a.l.) w Gnieźnie. Współpracownicy w naszym Oddziale zaczęli żartować i można było usłyszeć zwykłą powtarzającą się śpiewkę: wojny nie będzie. Żartobliwie twierdzili, że niepotrzebnie zbladłem, bo za kilka tygodni będę z powrotem. Nie broniłem się i niczemu nie przeczyłem. Kierownikowi Oddziału zdałem przydzieloną, a niedokończoną pracę. W Oddziale naszym pracowało około 15 osób. Podszedłem do każdego ze słowami pożegnania. Trzyletnia współpraca złączyła mnie z nimi węzłami przyjaźni. Wyszedłem na korytarz, tam spotkałem jeszcze kilka znajomych osób z sąsiednich Oddziałów. Te same słowa pożegnania. Szybko znalazłem się na ulicy. Do domu, w którym mieszkałem, było około pięć minut pieszej drogi. Wszedłem do swego pokoju, otworzyłem szafę. Mundur wisiał gotowy. Zacząłem się śpiesznie przebierać, a jednocześnie rozglądałem się po swym pokoju. Na sekundę wzrok mój zatrzymał się na otwartej książce na nocnym stoliku i w tej samej sekundzie przyszła refleksja, nie czas teraz na czytanie książek. W kącie pokoju stała średnich rozmiarów walizka, w znacznej części spakowana. Stale jej używałem, wyjeżdżając służbowo na zlecone prace w terenie. Ostatnio walizka ta była ze mną na Święcie Morza w Gdyni. W tym momencie przypomniałem sobie, że przed kilku dniami oddałem bieliznę do prania. Pralnia była niedaleko, na tej samej ulicy. Bieliznę będę potrzebował, muszę pójść i ją wykupić. Kończę ubieranie się, otwieram portfel i stwierdzam, że nie mam wystarczającej ilości pieniędzy na wykup bielizny i na taksówkę na dworzec kolejowy, a poza tym, wyjeżdżając choćby na wojnę, muszę mieć ze sobą trochę pieniędzy. Zaczynam się denerwować, takie błahe sprawy stały mi na drodze w takim momencie. Zbiegam po schodach i wyszedłem na ulicę. Idę od Placu Świętokrzyskiego do Placu Wolności, gdzie mieści się budynek Pocztowej Kasy Oszczędności, w której mam dość znaczne oszczędności. Tramwaje jadą jeden za drugim. Wsiadam do pierwszego, który idzie w tym kierunku. Po kilku minutach wchodzę do budynku PKO. W obszernej sali jest dużo ludzi,

stoją w ogonkach. Dołączam do jednego z nich. Kasjerka w okienku coś mówi i daje znak ręką, ludzie w ogonku, do którego dołączyłem, rozstępują się, wówczas zdaję sobie sprawę, że chodzi o mnie, bo mam na sobie mundur. Wprawdzie mobilizacja jest częściowa (tymczasem imienna), lecz ludzie się orientują. Podchodzę do okienka, wymieniam jakąś sumę, mniejszą niż pierwotnie zamierzałem. Reszty swoich oszczędności nigdy nie oglądałem. Dziękuję kasjerce, ludziom z kolejki i wychodzę na ulicę. Wsiadam do tramwaju jadącego w kierunku Placu Świętokrzyskiego. Wysiadam, po drodze wykupuję bieliznę i znowu jestem w swoim pokoju. Kończę pakowanie, zaglądam od rozkładu jazdy pociągów. Jestem znowu na ulicy i kieruję się do postoju taksówek. Taksówką przyjeżdżam na Dworzec Główny. Na dworcu widzę większe i mniejsze grupy młodych mężczyzn, wielu z nich pijanych. Pociągi przepełnione. Przeciskam się wśród głośnej wrzawy. Biletu nie potrzebuję kupować, karta powołania wystarczy. Pociąg opuszcza Poznań ze znacznym opóźnieniem. W Gnieźnie droga z dworca kolejowego do koszar 17 p.a.l'u jest mi dobrze znana. Odbywałem tam swą praktykę po ukończeniu Szkoły Podchorążych. Około godziny czwartej melduję się w dowództwie pułku. Po kilku minutach miałem już zadanie do wykonania. Miałem, zgodnie z instrukcją, udać się do miejscowości w niedalekiej odległości od Gniezna i tam zameldować się u por. Freja (Por. Zbigniew Frej, z zawodu oficer 17 p.a.l'u). W tej miejscowości por. Frej przeprowadzał pobór koni dla naszego pułku. Zadaniem moim było pomagać mu w tych czynnościach lub go częściowo zastępować. Motocykl z kierowcą stał przed budynkiem dowództwa pułku. Kierowca zawiózł mnie na miejsce i bez dłuższych wstępów zacząłem współpracować z por. Frejem. Pobór trwał prawie całą noc, bez przerwy. Zrobił się już dzień /24 sierpnia/ i słońce ukazało się na niebie, a okoliczni gospodarze podprowadzili swoje konie, jeden po drugim, do zakwalifikowania lub orzeczenia o niezdolności konia do służby.

Wreszcie pobór się skończył. Bez trudu sformowałem kolumnę marszową z wybranych koni. Ludzie, przeważnie młodzi mężczyźni, bez szemrania spełniali moje polecenia i tak w dogrzewającym słońcu i wznoszonych przez konie tumanach kurzu doprowadziłem setki koni (dokładniejszej liczby dziś nie pamiętam) do naszego pułku. Zdałem konie oficerowi, który zajął się dalszym ich losem, a sam powtórnie zameldowałem się w dowództwie pułku. Bez długiego czekania, tym razem otrzymałem swój stały przydział do pełnienia funkcji oficera obserwacyjnego w drugim dywizjonie 17 p.a.l'u. Dowódcą drugiego dywizjonu był mjr Alojzy Krannerwetter, u którego natychmiast się zameldowałem. Dowódcą 17 p.a.l'u do wybuchu wojny był płk Stefan Springer, a od dnia 1 września ppłk Stefan Piwakowski. 17 p.a.l wchodził w skład 17 dywizji, której dowódcą był płk Mieczysław Mozdyniewicz, a 17 dywizja była częścią składową Armii Poznań dowodzonej przez generała Tadeusza Kutrzebę (gen. Kutrzeba był w obozie jeńców w Murnau, zmarł w 1947 roku w Londynie).

Od momentu otrzymania stałego przydziału, dla nas wszystkich zaczęła się niezwykle mozolna praca nad zorganizowaniem dywizjonu. Pobieranie koni, uprzęży, którą trzeba było dopasować, dział, jaszczy, amunicji, wozów taborowych, karabinów, sortów mundurowych, przyborów do jedzenia itd. Prace organizacyjne trwały do soboty 26 sierpnia, o ile dobrze pamiętam, w miejscowości Gutowo. Zostaliśmy tam zakwaterowani, cały czas trwały prace nad doprowadzeniem dywizjonu do stanu gotowości do akcji bojowych. Gdy myślę o formowaniu się naszego dywizjonu i wszystkich pracach z tym związanych, myślę także o ludziach, którzy byli częścią składową tego dywizjonu. Nie mogę tu wymieniać większej ilości nazwisk, ale wspomnę tylko jedno. Wkrótce po moim przybyciu do Gniezna dołączył

do naszego oddziału dr Gerard Sobecki i objął funkcję lekarza dywizjonowego. Zaraz po przybyciu zdołał uzyskać zwolnienie na jeden lub dwa dni. Udał się do Poznania, by wziąć ślub, jak można przypuszczać, z panią swojego serca i wrócił do oddziału.

W środę, 30 sierpnia po południu, został przydzielony mi samochód i pierwsze zadanie na dzień następny. Zadanie to brzmiało: organizacja punktów obserwacyjnych dla naszego dywizjonu na odcinku Podstolice - Września. W tym dniu rano, to jest 31 sierpnia, udałem się w teren, żeby dokonać rozpoznania i obserwacji instrumentem. Po polowych pracach, w kancelarii dywizjonu, naniosłem potrzebne punkty na mapę, poczyniłem potrzebne obliczenia i sporządziłem odpowiednie szkice. Dzień następny przyniósł nam wstrząs. Ludzie do tego czasu, nawet na moment, nie chcieli wierzyć, że może wybuchnąć wojna. Teraz musieli uwierzyć. Wojna stała się faktem. Moja całodzienna praca z dnia poprzedniego nie została wykorzystana.

Co nastąpiło w następnych trzech tygodniach, w szczegółach nie potrafię już dziś opisać. Sytuacja zmieniała się z dnia na dzień, a często z godziny na godzinę. Za dużo nas czasu dzieli nas od tych momentów. Zresztą te szczegóły można znaleźć w fachowych omówieniach w książce „17 Wielkopolska Dywizja Piechoty w kampanii 1939", którą opracował kpt. Ludwik Głowacki, dowódca 6 baterii w naszym dywizjonie, a także na krótko dowódca naszego dywizjonu. Choć nie opisuję szczegółów z tych trzech tygodni, przytoczę jednak te przeżycia i wypadki, które zapamiętałem. Marsze odbywały się wyłącznie nocami i to jeśli nie po dziennych i ciężkich akacjach bojowych, to po pracy rozpoznawczej dla spodziewanych akcji. Często wyczerpani do granic maszerowaliśmy obok naszych koni (samochód miałem tylko przez parę dni), bo nietrudno było zauważyć, że i konie były zmęczone i osłabione. Przy tym noce były wprost upiorne. Wokoło, gdzie tylko spojrzeć, pożary a za tymi pożarami dalsze pożary, trudno było się oprzeć wrażeniu, że cała Polska płonie. W dniu 16 września, po południu, zostaliśmy zaatakowani przez oddział czołgów niemieckich. Mjr A. Krannerwetter został poważnie ranny na stanowisku dział 6 baterii. Dowództwo dywizjonu objął na krótko kpt. J. Piłakowski a potem, też na krótko, kpt. L. Głowacki.

Rannego majora A. Krannerwettera opatrzył wspomniany lekarz naszego dywizjonu, dr G. Sobecki. W tym miejscu wyprzedzę swoje wspomnienia o trzy dni, bo w dniu 19 września dr Sobecki poległ na polu walki jako lekarz i jako żołnierz. Ten wspaniały młody człowiek i lekarz (takiego go poznałem), zginął, podobnie jak setki, a później tysiące polskich żołnierzy i ludności cywilnej, którzy padli ofiarą piekielnych sił szalejących po naszym kraju.

W dniu 17 września znajdujemy się w niedalekiej odległości od Sochaczewa. Od rana atakuje nas niemieckie lotnictwo. Bombowce bombardują, a myśliwce strzelają nie tylko do nas, lecz także do ludności cywilnej; strzelają do kobiet wykopujących w polu ziemniaki. Niemieccy lotnicy urządzali sobie bezkarnie harce nad naszymi głowami. Piękna jesienna niedziela (17 września) była dniem bezprzykładnej klęski dla naszej armii i dla Polski. Padali ludzie, padały konie, a gdzie tylko spojrzeć, powywracane wozy, uszkodzone działa i jaszcze.

W nocy z 17 na 18 września przeprawiamy się przez rzekę Bzurę. Po przeprawie już nasze odziały nie zdołały się zorganizować i wrócić do pierwotnego stanu. Około południa 18 września na polecenie kpt. Eugeniusza Komorowskiego (mego dawnego dowódcy 8 baterii w czasie mej służby w 17 p.a.l'u), organizuję gotowanie strawy w dwóch kuchniach polowych. Setki żołnierzy pobierają ciepłą strawę. Są mi wdzięczni, bo od szeregu dni ciepłej strawy nie jedli.

W następnych dniach cofamy się przez Puszczę Kampinowską w kierunku Warszawy. Im bliżej Warszawy, tym więcej Niemców. W dzień praktycznie nie można się poruszać. W nocy Niemcy oświetlają teren rakietami. W końcu znalazłem się w bardzo małej grupie. O ile pamiętam, było nas dwunastu. Porucznik z wrzesińskiego pułku piechoty (nazwiska nie pamiętam), ja jako drugi oficer i dziesięciu szeregowych. Jest dzień 23 września i znajdujemy się w miejscowości Młociny pod Warszawą. Jesteśmy otoczeni, wyczerpała się amunicja, wyczerpały się nasze siły. Niemcy się zbliżają, widzimy u nich pistolety maszynowe i ręczne karabiny. Otacza mnie kilku Niemców z wyciągniętymi bagnetami. Sięgają po moją broń boczną (pistolet), z głowy zdzierają hełm. Jestem jeńcem wojennym, jestem zawstydzony i upokorzony. Jest dzień 23 września i mniej więcej godzina 4 po południu, czyli dokładnie miesiąc od czasu mego zameldowania się w Gnieźnie w 17 p.a.l'u.

Przez ostatnie lata mówiło się w Polsce, że jesteśmy mocarstwem, a teraz Niemcy głoszą, że tylko w jednym dniu, 17 września, zabrali do niewoli 600 tysięcy polskich żołnierzy. Następuje więc okres niewoli. Jedną lub dwie noce Niemcy trzymają nas pod gołym niebem. Następnie oddzielają oficerów od szeregowych. Zostałem dołączony do grupy oficerów, z którymi spędzam kilka dni w wagonie towarowym w Pruszkowie. Następnie łączą nas jeszcze z inną grupą i spędzamy znowu kilka dni w jakimś, na wpół zbombardowanym budynku Starostwa (prawdopodobnie w Rawie Mazowieckiej). Wreszcie wywożą nas do koszar batalionu saperów w Kielcach. Gdzieś w połowie października zacząłem niedomagać, w wyniku czego znalazłem się w wojennym szpitalu, zorganizowanym w Gimnazjum imienia Stefana Żeromskiego w Kielcach. Powodem pobytu w szpitalu była dyzenteria i ogólne wyczerpanie. Poza dolegliwościami fizycznymi jestem psychicznie zgnębiony. Nie mogę się pogodzić z ogromem klęski i nieszczęść, jakie spadły na nasz kraj. Nie jest wstydem zostać pobitym na polu walki, lecz sposób, w jakim myśmy zostali pobici, nie mieści się w głowie. Czuję ból fizyczny i psychiczny. Muszę szukać pomocy, wiem intuicyjnie, gdzie tę pomoc znaleźć. Proszę siostrę Czerwonego Krzyża o książki. Nie potrzebuję długo czekać, bo otrzymuję większą ilość książek. Zanim otworzyłem pierwszą z nich, przychodzi mi na myśli mój pokój na ulicy Strzeleckiej w Poznaniu. Na nocnym stoliku została w połowie przeczytana książka, dość popularna i znana przed wojną „Spór o sierżanta Griszę" Arnolda Zweiga. Przez chwilę wydaje mi się, że ta otwarta książka, w połowie przeczytana i leżąca na nocnym stoliku, łączy mnie w jakiś sposób z tamtym czasem, a ostatnie dwa miesiące to dziwna zjawa. Lecz to trwa może sekundę, szybko zdaję sobie sprawę, że lata 1917 i 1918, w których dzieje się akcja opisana w „Sporze o sierżanta Griszę" i następne dwudziestolecie, to przeszłość, która „przeminęła z wiatrem", to miniona epoka. Obecnie wchodzimy w inną epokę, w nową rzeczywistość.

W Kielcach przebywamy do 9 grudnia. W tym czasie dochodzę trochę do sił.

W dniu 9 grudnia 1939 r. zostaliśmy przewiezieni z Kielc do Krakowa i umieszczeni, już nie na długo, w szpitalu także zorganizowanym na czas wojny w tak zwanej Bursie ks. Kuznowicza. Tam spędzamy pierwsze w niewoli święta Bożego Narodzenia. Po raz pierwszy składamy sobie życzenia, żeby następne święta były w wolnej Polsce. Ten rodzaj życzeń powtarza się przez wiele lat. Życzenia później, już na emigracji, zmieniają się na „żeby Polska była wolna". Stale te same pobożne życzenia, tej wolnej Polski, a wiemy skądinąd, jak w lekkomyślny sposób umiemy tę wolną Polskę tracić. To jest jednak inny temat i nie tu miejsce na tego rodzaju rozważania.

W dniu 27 grudnia zostaliśmy zwolnieni ze szpitala, to znaczy zabrani pod strażą (pod strażą byliśmy cały czas od chwili dostania się do niewoli) i przeprowadzeni do koszar. Sądzę, że były to koszary znane jeszcze z czasów austriackich pod nazwą „cwancygierów", to znaczy 20 pułku piechoty.

W tych koszarach przebywaliśmy od 27 grudnia 1939 do 2 stycznia 1940. W dniu tym tzn. 2 stycznia po południu wyprowadzono nas z koszar i skierowano do dworca towarowego w Krakowie. Stąd już w grupie 80 oficerów opuściliśmy Polskę. Zanim jednak nastąpił wyjazd, przeżyłem nieoczekiwanie dodatkowy dramat. Gdy przybyliśmy do wspomnianego dworca, podstawiono kilka wagonów osobowych, gdzie niezwłocznie zajęliśmy miejsca i czekaliśmy na odjazd. Niemcy załatwiali jakieś formalności między sobą. Po stosunkowo krótkim czasie niemieckiemu oficerowi, komendantowi transportu, zameldowano gotowość pociągu do odjazdu. Oficer niemiecki dał znak ręką do odjazdu i sam zrobił ruch w zamiarze zajęcia miejsca w swoim wagonie. W tej właśnie chwili podbiegła młoda dziewczyna i zbliżyła się do niego. Oficer niemiecki znowu dał znak ręką, wstrzymując w ten sposób odjazd pociągu. Stałem w oknie przedziału, który zajęliśmy z kilkoma kolegami. Kiedy Niemiec wstrzymał odjazd pociągu, z grupy ludzi, która stała w pobliżu, ktoś wypowiedział moje nazwisko, a ktoś drugi wskazał na mnie. Młoda dziewczyna stanęła w pobliżu, powiedziała, że ojciec mój się zbliża i wskazała ręką w jego kierunku. Zobaczyłem swego ojca, który zbliżał się z pewnym trudem po zaśnieżonej drodze. Dziewczyna podprowadziła go pod okno, w którym stałem. Dał mi jakieś zawiniątko i wymieniliśmy po kilka urwanych słów, oczywiście dotyczących reszty rodziny. Wszystko to trwało kilka minut. Przy mnie w oknie stał Stasiu Komosiński z Siemianowic, przyjaciel jeszcze ze szkoły podchorążych we Włodzimierzu Wołyńskim, który szepnął mi w pewnym momencie: pożegnaj się z ojcem, bo możesz nie mieć czasu. Wdzięczny mu byłem za to, bo czułem w sobie jakieś odrętwienie, a Niemiec dał ponownie znak do odjazdu. Widziałem swojego ojca po raz ostatni. Umarł w grudniu 1946 r., a do Polski pierwszy raz po wojnie przyjechałem, i tylko z wizytą, w roku 1967.

Dla objaśnienia podaję, że młoda dziewczyna była córką przyjaciół mojej siostry i szwagra. Dziewczyna ze swymi rodzicami mieszała w Krakowie, a moja siostra i szwagier w Częstochowie. Będąc jeszcze w Kielcach, dałem znać o sobie moim rodzicom przez żołnierza, który został zwolniony ze szpitala w Kielcach i udawał się w moje rodzinne strony. Dał im znać i ojciec wybrał się do Kielc, żeby się ze mną zobaczyć. Tam się dowiedział, co się stało i nie rezygnując, przyjechał do Krakowa. Ta podróż spod Wrześni do Krakowa trwała cztery doby.

Opuszczamy Kraków żegnani przez grupę stojących na śniegu ludzi, wśród których był mój ojciec, kiedyś postawny, silny i trzymający się prosto mężczyzna, teraz pochylony, opierający się o laskę, zgnębiony, stary człowiek. Muszę jeszcze wspomnieć jeden moment przed samym wyjazdem pociągu. Ojciec mój zwrócił się do niemieckiego oficera i po zamienieniu z nim kilku słów, zbliżył się do naszego wagonu i rzekł: wiem, gdzie jedziecie, to miejsce koło Salzburga, a myśmy kiedyś z Salzburga sprowadzali maszyny rolnicze. Dziwne wspomnienie w momencie naszego wyjazdu.

Opuszczamy Kraków żegnani przez ośnieżone miasto w zimowych okowach. Opuszczamy też Polskę w kleszczach terroru niemieckiego. Podróż nasza z Krakowa do Laufen (tak się nazywała ta miejscowość pod Salzburgiem) trwała trzy doby. Byliśmy przygnębieni, w dzień czytaliśmy, bo mogliśmy zabrać pewną ilość książek ze sobą lub przez okna wagonów

obserwowaliśmy mijane miejscowości. Na noc kładliśmy się na ławkach lub bagażnikach, lecz zasnąć nie było łatwo. Dręczące myśli wracają, trochę spokoju przynosi stukot kół wagonu o szyny kolejowe.

Do Laufen przyjechaliśmy w dniu 5 stycznia 1940 r. Na stacji kolejowej powitał nas mróz, ziemia pokryta śniegiem i straże niemieckie z psami, w dodatku z niesamowitymi i przerażającymi krzykami żołnierzy niemieckich. W Laufen na początku jest nas niedużo. Pewna ilość szeregowych i nasza 80-cio osobowa grupa krakowska, jak się sami nazwaliśmy. W lutym lub marcu dołącza do nas duża grupa oficerów polskich z Norymbergi: w liczbie około 600. Dużo czasu spędzamy na apelach, które Niemcy organizują nam dwa razy dziennie. Kwaterujemy w jakimś starym zamku. Budynek o bardzo wysokich trzech piętrach. Tuż obok naszego obozu płynie nieduża rzeka Salzach (dopływ Innu). Z naszego trzeciego piętra widzę w oddali Salzburg. Przypominają mi się maszyny rolnicze, o których mówił mi ojciec przy naszym pożegnaniu.

Prowadzone są długie dyskusje. Najczęściej tematem są zagadnienia związane z naszą klęską. Kto winien? Dalszym tematem rozmów są prognozy na przyszłość. Mówi się o wiosennej ofensywie Francji i Anglii. We Francji jest gen. Sikorski. Wiąże się z nim duże nadzieje. Pesymiści przepowiadają wojnę na dwa lata, optymiści kończą ją w sześciu miesiącach. Nie wierzyłem ani jednym ani drugim. Nie dlatego, żebym był mądrzejszy od innych lub więcej od nich wiedział. W czasie tych dyskusji myślą wracam do lat po pierwszej wojnie światowej, do czasu, kiedy to dopiero zacząłem chodzić do szkoły, a ojciec nasz, uczestnik walk na zachodnim froncie, czasami wspominał pamiętny sierpień 1914 roku. Byli wówczas tacy, którzy przepowiadali, że wojna może potrwać do sześciu tygodni, potem przedłużali ją do trzech miesięcy, wreszcie do Bożego Narodzenia. Wyrażane są w ten sposób nie prognozy, a raczej pobożne życzenia. Mamy w Laufen już sporą bibliotekę. Pewną ilość książek ofiarował do tej biblioteki niemiecki komendant obozu, Austriak z pochodzenia, człowiek wykształcony, uważał się za miłośnika, jak sam mówił, polskich klasyków.

Wkrótce po przybyciu do Laufen, może naprędce organizuje się chór kościelny, do którego przez pewien okres należę, choć nie jestem tęgim śpiewakiem. Niedzielne nabożeństwa odprawia niemiecki ksiądz z Oberndorfu, miejscowości leżącej nieopodal Laufen. Ksiądz ten informuje nas, że piękna kolęda, znana w szerokim świecie „Cicha Noc"(Stille Nacht) została skomponowana w jego parafii na początku osiemnastego wieku.

Zaczynamy się także uczyć języka niemieckiego. Lekcji tego języka udziela nam, już przedtem wspomniany, płk Stefan Springer. Człowiek o wysokiej kulturze osobistej i niezwykle taktowny jako dowódca. Uczymy się niemieckiego w bardzo małej grupie, a płk Springer opowiada nam także o swoich przeżyciach z pierwszej wojny światowej, które dotyczyły właśnie okolic, gdzie przebywaliśmy, to znaczy Salzburga i Lafuen.

Płk Springer zmarł po wojnie w Polsce.

W naszej grupie krakowskiej najwyższy stopniem był gen. Jan Chmurowicz, przed wojną dowódca 15 Dywizji Piechoty i dowódca obrony Przemyśla. Jego późniejszych losów nie znam.

Pamiętam także pułkownika Witolda Morawskiego, który będąc już w innym obozie jeńców, miał być stamtąd zabrany przez Niemców do obozu koncentracyjnego i zginął.

W Laufen przebywaliśmy do dnia 27 maja 1940 r., w którym to dniu obóz nasz został rozwiązany. Na jakiś czas przed tą datą podzielono nas na trzy grupy. Największą grupę, do

której i ja należałem, przewieziono w wagonach towarowych do obozu jeńców wojennych w Murnau(Oflag 7A).

Pięć lat pobytu w Obozie Jeńców Wojennych w Munrau (Oflag 7A)

Jak wspomniałem, przed wyjazdem z Laufen podzielono nas na trzy grupy. Żeby dostać się do pierwszych dwóch, trzeba było być albo starszym stopniem oficerem, albo mieć jakieś „chody". Ani jednym ani drugim warunkom nie odpowiadałem, przeto, jak większość z nas, którzy byli w tym czasie w Laufen, znalazłem się w grupie trzeciej. Jeśli mnie pamięć nie myli, pierwsza grupa wyjechała do Itzehoe koło Lubeki, druga grupa do Woldenbergu (dziś należący do Polski i nazywa się Dobiegniew). Trzecia grupa w dniu 27 maja 1940 została przewieziona do Murnau. Tak się rozpoczął pięcioletni pobyt w Obozie Jeńców Wojennych w Murnau. W każdej sytuacji życiowej wytwarza się pewien charakterystyczny sposób bycia, prawdopodobnie dla czysto praktycznych względów, a także może tu działać instynkt samozachowawczy. W dużym zbiorowisku, jakim był obóz, tworzyliśmy sami małe grupy czy grupki, dobierając się ze względów charakterologiczno-towarzyskich. Z Kielc wyjechało czterech oficerów, a w Murnau pozostaliśmy razem tylko we dwóch, Józef Święcicki, z Poznania i ja. Odpadł od nas kpt. Zbigniew Nowakowski, który dołączył do jednej z pierwszych grup i Mikołaj Iwanowski, który został przesunięty do innej grupy ze względu na wiek, bo dochodził wówczas już do pięćdziesiątki, ale też przyjechał do Murnau. W Krakowie za to dołączyli do nas Mieczysław Rogalski, inż. z Krakowa i Stanisław Komosiński z Siemianowic. Tak więc znowu byliśmy we czterech. Później mogły następować pewne zmiany, lecz grupki takie trzymały się razem często przez cały okres wojny. W naszym wypadku Komosiński w jakimś czasie został przesunięty do innego bloku.

Z chwilą przyjazdu do Murnau zostaliśmy włączeni do już istniejącego i zorganizowanego obozu, w którym było kilka tysięcy oficerów. W pierwszych tygodniach po przyjeździe szukaliśmy wśród starych mieszkańców Murnau (myślę o obozie) znajomych czy kolegów. Zaczęły się na nowo dyskusje o działaniach wojennych i często o wyczynach poszczególnych opowiadających. Z początku słuchałem tych gorących dyskusji, ale jednocześnie czułem jakąś niedorzeczność w tych opisach i często sprzeczkach. Co można było mówić o naszych działaniach i wyczynach, kiedy nie można było ukryć i wytłumaczyć bezprzykładnej klęski. Przecież nie tak dawno mówiło się buńczucznie o mocarstwowości Polski. Ta mocarstwowość prysła jak bańka mydlana. Wśród rozmów, rozmyślań i wspomnień trzeba się było znowu dostosować do nowych warunków i nowego otoczenia. W nowym miejscu nasza mała grupa znalazła się na strychu bloku A, a po mniej więcej sześciu tygodniach przesunięto nas do garażu, nazwanego w nomenklaturze obozowej blokiem E. Trzypiętrowe prycze, a między pryczami wąska przestrzeń, w której przeciska się dwunastu ludzi. W blokach (garażach) warunki ciężkie, w naszym mieści się około 250 oficerów. Tu przeżywamy pierwszą rocznicę wybuchu wojny, pierwszą rocznicę dostania się do niewoli. Dla nas, z grupy krakowskiej, były to pierwsze Święta Bożego Narodzenia w obozie.

Powoli przyzwyczajmy się do warunków i do otoczenia. Życie obozowe nabiera swoistego charakteru. Przez kantynę obozową (oczywiście prowadzoną przez Niemców) zamawia się książki naukowe z różnych dziedzin, podręczniki, słowniki, instrumenty muzyczne. Organizuje się pogadanki, kursy, wykłady. Powstają: teatr, teatr kukiełkowy, orkiestry czy

zespoły muzyczne. Otwierają się warsztaty obozowe, działa biblioteka. Zaczyna także działać inicjatywa prywatna. Powstają przedsiębiorstwa prywatne: pralnie, cerowania skarpet, prac igliczkowych (robienia na drutach), przeróbki czy dopasowania mundurów.

Wkrótce, po przyjeździe do Murnau, jedną z pierwszych czynności było nawiązanie łączności z wszystkimi oficerami, którzy znaleźli się w naszym obozie i służyli w 17 p.a. l'u. Było nas w obozie dwudziestu. Najstarszy stopniem był mjr Witold Łoziński, dowódca pierwszego dywizjonu naszego pułku w czasie wojny. Od samego początku, od kiedy nawiązaliśmy łączność, tych ponad dwudziestu oficerów tworzyło zgraną, oddzielna grupę. Przez cały czas pobytu w Murnau, każdego 17 dnia miesiąca, mieliśmy koleżeńskie zebrania. Wymienialiśmy informacje, dyskutowaliśmy w bardzo spokojny sposób o minionych przeżyciach wojennych. Na te koleżeńskie spotkania zabieraliśmy taborety i szliśmy na umówione miejsce. Piliśmy herbatę lub kawę (nie od początku wojny, dopiero gdzieś od połowy 42 roku), zawsze w przyjacielskiej i życzliwej atmosferze spędzaliśmy godzinę lub dwie. Rozmawialiśmy o wszystkim, co nas w danej chwili interesowało, o przejawach życia obozowego, o wiadomościach z Polski, o wydarzeniach na frontach i na arenie międzynarodowej.

Wiadomości wojenne pochodziły z jednej strony z gazet niemieckich, a z drugiej strony drogami zakonspirowanymi. W każdym bloku były zespoły informacyjne. Koledzy nasi z tych zespołów, po zgaszeniu światła, czyli po 22 wieczorem, czytali i referowali wiadomości. Wielu z naszych kolegów miało zwyczaj żartowania z wiadomości pochodzących z gazet niemieckich. Tu muszę zrobić uwagę, że wiadomości podawane w gazetach niemieckich tak bardzo fałszywe nie były. Byli ludzie w obozie w Murnau znający dobrze język niemiecki i stosunki niemieckie, którzy z całą otwartością twierdzili, że wiadomości niemieckich nie należy lekceważyć. W tym miejscu pozwolę sobie zrobić jeszcze jedną uwagę i uprzedzę wypadki i przeżycia, które staram się ująć w tym opowiadaniu. Otóż tydzień lub dwa po zakończeniu wojny, gen. W. Anders przyjechał do naszego obozu i przemawiał, sądzę, że dłużej niż godzinę, w tak zwanej hali oszklonej. Między inni powiedział: „niemieckie komunikaty wojenne były najbliższe prawdy".

Z kolei przejdę do działu oświaty, czyli do dokształcania się lub zdobycia wykształcenia. Niezwykle szeroki temat, jeśli chodzi o tę stronę przejawów życia obozowego. Niezliczona ilość kursów, wykładów, referatów, pogadanek i spotkań dyskusyjnych. Wszystkie możliwie kierunki nauk i zawodów, oczywiście tylko teoretycznie. Każdy mógł znaleźć to, co go najbardziej interesowało. Można było pogłębić wiedzę o swoim zawodzie, a także poszerzyć ogólne wykształcenie.

U niektórych z naszych kolegów zaobserwowałem pęd do zdobycia możliwie jak najszerszej wiedzy, w odróżnieniu od tych, którzy nie szukali jej i zadowalali się posiadanymi wiadomościami. Skorzystałem w tym czasie z możliwości zdobycia pewnych umiejętności, ale raczej w skromnych rozmiarach i w przedmiotach niewyszukanych. Podzieliłem sobie dokształcanie na dwie grupy. Do pierwszej zaliczyłem:

1. teoretyczną naukę jazdy samochodem wraz z budową i pracą silnika samochodowego,
2. kurs księgowości według zaplanowanego programu przez nauczyciela z tej branży,
3. naukę języka niemieckiego,
4. naukę języka angielskiego.

Do drugiej grupy należały wykłady, referaty, pogadanki nieplanowane z góry. Zależnie od czasu, zainteresowania danym tematem lub od samopoczucia, bo ze zdrowiem miałem niejednokrotnie kłopoty.

W pierwszej grupie wybrałem przedmioty przydatne z praktycznego punktu widzenia, choć w czasie wojny nie wiedziałem, jaki z tego będę miał pożytek. Była to może w pewnym stopniu intuicja, gdyż w późniejszym życiu to, czego się nauczyłem w obozie, okazało się niezwykle cenne. Dużo czasu poświeciłem na naukę języka niemieckiego, który po zakończeniu wojny bardzo się przydał. Po wojnie pozostawałem w Niemczech przez ponad sześć lat i trzeba było się tym językiem posługiwać. Najwięcej czasu poświeciłem na język angielski. Nauka tego języka szła mi niezwykle opornie, czasami rezygnowałem, żeby po jakimś czasie znowu wracać do nauki. Mogę śmiało powiedzieć, że ta dość słaba znajomość języka angielskiego przydała mi się najbardziej ze wszystkiego, czego nauczyłem się w obozie jeńców. Po przybyciu do USA od samego początku byłem zdany na samego siebie. Będąc już wówczas żonatym i z dwojgiem dzieci, potrafiłem sam sobie radzić we wszystkich sprawach związanych z życiem w nowych warunkach.

Jeśli chodzi o drugą grupę przedmiotów w dokształcaniu, traktowałem ją mniej poważnie, choć z całą pewnością korzystanie z tych wykładów, referatów czy pogadanek było znakomitym sposobem na uzupełnianie swojej wiedzy i poszerzenie światopoglądu. Jednym słowem te wykłady czy pogadanki były interesujące i pouczające, a niektóre z nich traktowałem jako kulturalną i pożyteczną rozrywkę. Niestety, nie pamiętam wszystkich nazwisk prelegentów, których byłem często wdzięcznym słuchaczem.

Kpt. Marian Suski miał wykłady z elektrotechniki, a jego specjalnością była superheterodyna, przed wojną uważana za duże osiągnięcie techniki. Kpt. Suski, jak mi wiadomo, był przez długie lata profesorem na Politechnice we Wrocławiu.

Antoni Suski (nie sądzę, żeby byli krewnymi) miał od czasu do czasu lekcje wymowy angielskiej (amerykańskiej) w sali oszklonej dla setek, a może tysięcy słuchaczy. Antoni Suski był prawdopodobnie urodzony w USA, ale z całą pewnością był wykształcony w tym kraju. Był najlepiej mówiącym po angielsku w całym obozie. Chodziłem na jego lekcje, żeby pochwycić choć trochę z prawdziwej wymowy angielskiej.

Mjr Klesza zdawał nam relacje z Olimpiady z roku 1936 w Berlinie. Był on członkiem ekipy jeździeckiej i w niezwykle interesujący sposób opowiadał o udziale w swojej dyscyplinie, a także o polskiej zwycięskiej drużynie piłki nożnej.

Por Makarczyk, pisarz i podróżnik, a po wojnie zdaje się, że dyplomata, także w ciekawy sposób opowiadał o swych podróżach do Afryki, którą nazywał Czarnym Lądem, i do Południowej Ameryki.

Był w naszym obozie uczestnik wyprawy naukowej na Spitsbergen (nie pamiętam jego nazwiska). Jego relacji słuchałem także z niemniejszym zainteresowaniem, bo oprócz wyników ze swych badań mówił również o spostrzeżeniach z życia Eskimosów.

Nie pamiętam nazwiska profesora literatury polskiej, który omawiał twórczość poszczególnych polskich autorów. Dla mnie słuchanie tych pogadanek było niezwykle pożyteczną rozrywką.

Inny profesor miał pogadanki w języku niemieckim o historii niemieckiej w odniesieniu do historii polskiej i europejskiej.

Por. Feler (nie jestem pewien czy napisałem poprawnie jego nazwisko) mówił w języku niemieckim o niemieckiej prehistorii.

Inż. Stanisław Miernik miał pogadanki o tworzywach sztucznych. Pamiętam parę takich pogadanek, w których brałem udział w małym gronie, gdzieś między naszymi pryczami. Stanisław Miernik, jak mi wiadomo, był wiceministrem przemysłu chemicznego w powojennej Polsce. Pamiętam go jako człowieka o błyskotliwym umyśle i fenomenalnej pamięci. Uczęszczałem także na wykłady prof. Włodzimierza Zonna. Był taki okres, że na jego wykłady trzeba było wcześnie wstać, bo odbywały się przed śniadaniem i przed rannym apelem. Prof. W. Zonn wykładał w obozie astronomię i matematykę. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich tematów i zagadnień omawianych i wykładanych w naszym obozie, wspomnę jednak jeszcze jeden dział naszych zajęć. Mjr W. Łoziński, o którym już wspominałem, wzywał nas od czasu do czasu na odprawy (niezależnie od comiesięcznych spotkań). Na tych odprawach omawiał z nami zagadnienia związane z toczącą się wojną. Były one studiowane z pomocą wszystkich możliwych źródeł i analizowane przez wyższych oficerów. Z kolei mjr Łoziński wprowadzał nas w te zagadnienia.

W życiu obozowym najbardziej fascynującym zjawiskiem był teatr. Przede wszystkim było nim duże zainteresowanie, wzbudzał entuzjazm wśród wielu kolegów.

Bez wątpienia teatr odegrał wybitną rolę, nie tylko przynosząc rozrywkę w jednostajne, trudne i przygnębiające życie obozowe, ale był także poważnym wkładem w nasze dokształcanie. Na początku teatr wystawiał widowiska lekkie, coś w rodzaju operetek lub komedii muzycznych, jak np. popularną w obozie „Kapryśną Afrodytę" skomponowaną przez autorów obozowych. Z czasem jednak kierownicy teatru porwali się na poważne utwory. Na scenie zobaczyliśmy „Kupca Weneckiego" W. Shaekespeara, „Zemstę" A. Fredry, „Cezara i Kleopatrę" B. Shawa, „Judasza z Kariothu" K. Rostworowskiego. Do dziś pamiętam słowa powtarzane przez Judasza na scenie „Jam w Kafarnaum sklepik miał otwarty ledwie do wieczora". Widzieliśmy utworzy Żeromskiego, Grzymały-Siedleckiego, Bałuckiego i innych. Nie potrafię wymienić wszystkich autorów i sztuk teatralnych, których było kilkadziesiąt, pokazanych widzom obozowym w setkach przedstawień.

Osobny dział w dokonaniach teatru stanowiły dekoracje. Muszę w tym miejscu stwierdzić, że choć nie sądzę, żebym w obozie opuścił jakąś sztukę teatralną, niestety nie podzielałem entuzjazmu licznej grupy kolegów odnośnie teatru. Powodem chyba były role kobiece grane przez mężczyzn. Może nie na miejscu to stwierdzenie, lecz widziałem stale w tych przedstawieniach coś sztucznego, a przed wojną byłem entuzjastą teatru. Szczerze jednak podziwiałem niezwykle dokonania, jeśli chodzi o dekoracje i związane z tym impresje świetlne.

Omawiając zagadnienia teatru w Murnau, muszę tu wspomnieć przedstawioną już pod koniec wojny, chyba w styczniu 1945 r. „Noc Wigilijną" Ch. Dickensa. „Noc Wigilijna" wystawiona w Londynie, pod koniec ubiegłego stulecia, była wówczas niezwykłym sukcesem. W obozie reżyserię i narrację prowadził sam L. Schiller, bez dekoracji, bez kostiumów nawet, nie na scenie, w jakiejś sali pod cebulką. Było to już po likwidacji naszego teatru, czyli bloku D. Blok ten został zajęty przez jeńców z Powstania Warszawskiego. Jeśli mowa o teatrze, muszę także wspomnieć o teatrze kukiełek, w którym przedstawiony „Ojciec Wirgiliusz" rozśmieszał nas na swój sposób. Kierownikiem i duszą tego teatru był Henryk Ryl,

kolega „rezydujący" przez ostatnie dwa lata wojny w tym samym bloku F co ja, w sąsiedniej drużynie.

Wreszcie muszę wspomnieć tu osobistość niezwykle popularną w teatrze obozowym i pewnie w obozie. M. Hawryluk miał niezwykłe poczucie humoru. W pewnym sensie był jak amerykański Bob Hope. Różnica była może taka, że M. Hawryluk tworzył i przedstawiał sam swe utwory, a Bob Hope korzystał z umiejętnością innych, którzy mu w tym pomagali. W każdym razie M. Hawryluk przedstawiał swe humorystyczne utwory, używając języka Wiechowskiego (warszawskiego).

Teraz przejdę do innej dziedziny życia kulturalnego w naszym obozie, a mianowicie do muzyki. Przed wojną nie miałem okazji spotkać się z muzyką poważną na taką skalę. Koncerty w obozie były dla mnie nowością. Orkiestra symfoniczna osiągnęła imponujący rozmiar, około 70 osób. Jak w teatrze od widowisk lekkich z czasem przechodziło się do poważnych, tak samo w muzyce, od lekkiej operetkowej muzyki z czasem zaczęto urządzać koncerty muzyki klasycznej. Usłyszeliśmy wówczas możliwie wszystkich znanych kompozytorów, jak Bach, Brahms, Beethoven, Mozart, Noskowski, Czajkowski, Dworzak, i inni, których nie pamiętam. Soliści występowali w recitalach fortepianowych. Słuchaliśmy sonat, polonezów i walców Fryderyka Chopina. Do dziś moją ulubioną melodią jest Druga Rapsodia F. Liszta. Oprócz koncertów orkiestry symfonicznej mieliśmy także orkiestrę jazz'ową i zespół mandolinistów. Te dwa zespoły występowały nie tylko na osobnych koncertach, ale także przy innych okazjach, jak np. przy świętach pułkowych.

Pisząc te wspomnienia z pięcioletniego pobytu w obozie jeńców w Murnau, byłoby niesprawiedliwością nie wspomnieć, choć krótko, o obozowej bibliotece lub raczej o obozowych bibliotekach. Wiem, że ilość książek w obozie doszła do imponującej liczby dziesiątek tysięcy tomów. Prócz biblioteki głównej były biblioteki mniejsze, jak: biblioteka dzieł wybranych (z trójkątem), prawnicza, techniczna, rolnicza, wiedzy religijnej i inne. W końcowej ocenie, mogę sobie wyobrazić życie obozowe bez teatru czy bez instrumentów muzycznych i koncertów, lecz nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji, gdyby w obozie nie było książek. Ośmielam się przeto stwierdzić, że najważniejszą pozycją w życiu kulturalnym obozu były książki.

Nie będę opisywał różnych wydarzeń, tak w świecie zewnętrznym jak i wewnątrz obozu i naszej reakcji na te wydarzenia. Wspomnę jednak jeden moment historyczny, który spowodował przygnębienie w całym obozie i ja dzieliłem to samo uczucie zawodu i rozczarowania. Mam na myśli klęskę i upadek Francji w czerwcu 1940 r. Nie zgadzałem się na to w obozie i nie zgadzam dziś, że nasza klęska w 1939 r. była usprawiedliwiona wobec klęski bogatej i dobrze uzbrojonej Francji. Losy Francji są sprawą Francuzów, a nas to nie tłumaczy z poniesionej klęski.

Na końcu jeszcze raz wspomnę blok F i kilku jego mieszkańców w ostatnich dwóch latach pobytu w obozie. Z naszej czwórki, jeszcze z Krakowa, M. Rogalski i J. Święcicki po wojnie wrócili do Polski, S. Komosiński (który w pewnym momencie został od nas odłączony i mieszkał w innym bloku) dołączył do Drugiego Korpusu i prawdopodobnie znalazł się w Anglii. W bloku F mieszkali także wspomniany już Stanisław Miernik i Janusz Wieczorek, obaj wrócili do Polski i obaj zajęli wysokie stanowiska w administracji w powojennej Polsce.

Nasz obóz został oswobodzony w dniu 29 kwietnia 1945 r. Była słoneczna, ale chłodna i wietrzna niedziela. W godzinach popołudniowych, od strony Monachium, na szosie,

pokazały się olbrzymie czołgi amerykańskie. Niemcy zostały pokonane, przegrały wojnę. Dla nas, mieszkańców obozu jeńców w Murnau, zaczął się nowy rozdział w życiu.

Royal Oak, Michigan, USA, w styczniu 1983 r.

Klemens Matuszewski, *ur. 4 listopada 1913 r. w Targowej Górce w rodzinie Wojciecha i Anny Matuszewskich. Szkołę podstawową ukończył w Targowej Górce, Gimnazjum w Środzie Wlkp., a następnie Państwową Szkołę Mierniczo-Melioracyjną w Poznaniu, zdobywając dyplom mierniczego. Służbę wojskową odbył w Szkole Podchorążych Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim oraz w 17 Pułku Artylerii Lekkiej w Gnieźnie. Od 15 listopada 1936 roku do wybuchu wojny pracował w Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu w Wydziale Rolnictwa i Reform Rolnych w Oddziale Pomiarów Rolnych. Po odbyciu sześciotygodniowych ćwiczeń wojskowych w lecie 1937 roku otrzymał we wrześniu 1938 roku patent oficerski ze starszeństwem od 1 stycznia 1938 r.*

23 sierpnia 1939 r. zmobilizowany do wojska w stopniu podporucznika artylerii rez. Uczestniczył w wojnie obronnej 1939 r. 23 września 1939 r. w Młocinach pod Warszawą dostał się do niemieckiej niewoli. Przebywał w obozach jenieckich w Laufen i Murnau w południowych Niemczech, gdzie doczekał wyzwolenia przez wojska amerykańskie. Po wojnie podjął służbę w Kompaniach Wartowniczych Armii Amerykańskiej na terenie Niemiec. Po założeniu rodziny, z żoną i dwojgiem dzieci, wyemigrował do USA. Zamieszkał w Detroit w stanie Michigan, podejmując pracę mierniczego w prywatnym biurze geodezyjnym.

Zdjęcie wykonane dla ojca przebywajacego na froncie I wojny swiatowej. Od lewej Alfons, Hieronim, mama, Klemens i Stasia. Września, w lutym 1916 r.

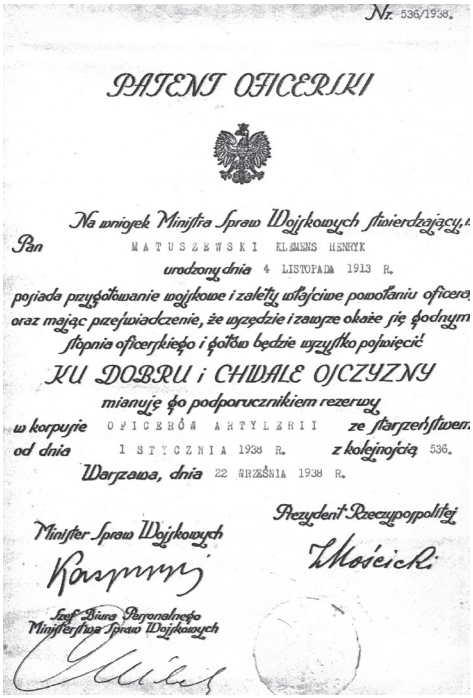

Nr 536/1938.

PATENT OFICERSKI

Na wniosek Ministra Spraw Wojskowych stwierdzający,

Pan MATUSZEWSKI KLEMENS HENRYK

urodzony dnia 4 LISTOPADA 1913 R.

posiada przysposobienie wojskowe i zalety właściwe powołaniu oficera oraz mając przeświadczenie, że wyzedzie i zawsze okaże się godnym stopnia oficerskiego i gotów będzie wszystko poświęcić

KU DOBRU i CHWALE OJCZYZNY

mianuję go podporucznikiem rezerwy

w korpusie OFICERÓW ARTYLERII ze starszeństwem

od dnia 1 STYCZNIA 1938 R. z kolejnością 536.

Warszawa, dnia 22 WRZEŚNIA 1938 R.

Minister Spraw Wojskowych

Kasprzycki

Szef Biura Personalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych

Prezydent Rzeczypospolitej

Mościcki

Patent oficerski

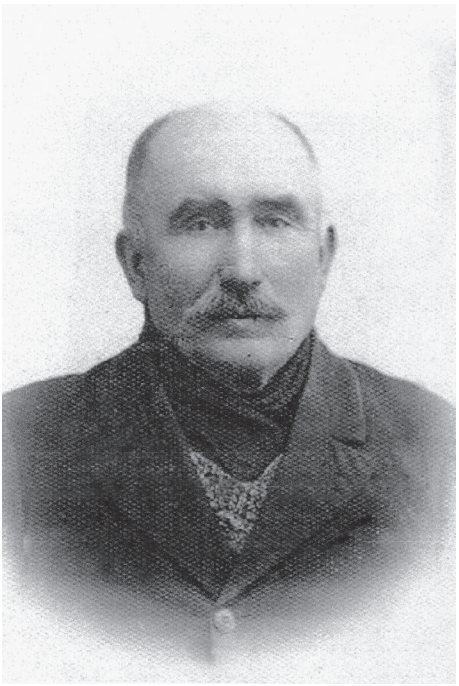

Wojciech Matuszewski, ojciec autora, podczs wysiedlenia do miejscowości Pogranicze w gm. Dorohusk w pow. chełmskim w woj lubelskim

Siostra autora Stanisława z dziećmi Danutą i Ryszardem odwiedza rodziców wysiedlonych do woj. lubelskiego. Z prawej brat Alfons

W obozie jenieckim Murnau w Niemczech. Autor stoi trzeci od lewej.

W obozie jeńców w Murnau. Autor w drugim rzędzie, trzeci od prawej

STATE OF MICHIGAN

BOARD OF REGISTRATION FOR

ARCHITECTS PROFESSIONAL ENGINEERS AND LAND SURVEYORS

BE IT KNOWN THAT

KLEMENS HENRYK MATUSZEWSKI

HAVING SUBMITTED ACCEPTABLE EVIDENCE OF HIS QUALIFICATIONS AND EXPERIENCE IN HIS PROFESSION HAS BEEN DULY REGISTERED AND IS HEREBY AUTHORIZED TO PRACTICE

LAND SURVEYING

AND TO USE THE TITLE

REGISTERED LAND SURVEYOR

Certificate No. 12588

In Witness of These Presents, the Board grants this Certificate which shall be effective from November 3, 1981

Prawo używania tytułu Registrated Land Surveyor - Zawodowy Mierniczy i samodzielnej pracy zawodowej

Z córką Ewą . Detroit 1981 r.

Klemens i Kazimiera Matuszewscy z synem Tadeuszem i córką Ewą.

Mieczysław Chęciński

Nadrobić stracony czas

Płk Mieczysław Chęciński

Wraz z obchodami 750-lecia rodzinnej wsi wszedłem w „jesień" mojego życia.

Żyłem życiem przeciętnego Polaka na przełomie XX i XXI wieku. Dość powszechna jest opinia, że były to czasy trudne, ale ciekawe. Być może jest to prawdą, nie nudziłem się. Chwil radosnych miałem jednak w życiu niewiele.

To, co pozostało w mojej pamięci, postaram się przybliżyć czytającym te słowa. Nasza rodzina wywodzi się z Targowej Górki. Ojciec - Marceli Chęciński, a także jego ojciec, a mój dziadek – Michał, tutaj się urodzili i tu pozostali na zawsze. Sięgając do korzeni, udało mi się dzięki dokumentom archiwalnym poznać swoich przodków. Są to: Andrzej Chęciński (1768-1831) syn Franciszka, Urban Chęciński (1800-1848) syn Andrzeja, Marcin Chęciński (1847-1880) syn Urbana, Michał Chęciński (1874-1960) s. Marcina. Ten ostatni, to mój dziadek, którego bliżej poznałem.

Mój ojciec, Marceli Chęciński (1906-1978), w roku 1927 poślubił Cecylię Jabłońską (1904-1971) urodzoną w Dortmundzie w Niemczech. Z zachowanego świadectwa wynika, że ojciec uczęszczał do szkoły w Targowej Górce w latach 1912-1920. Rodzice do roku 1929 byli robotnikami folwarcznymi w miejscowym majątku, który dzierżawił od skarbu państwa Stanisław Szuman, Po parcelacji majątku w 1929 r., otrzymują od państwa parcelę o powierzchni ok. 10 ha ziemi i stają się rolnikami. W wyniku czego część rodzeństwa była pochodzenia robotniczego, a część chłopskiego. Moje urodzenie poprzedziło dwóch braci i siostra: Józef Chęciński (1927), Janina Chęcińska (1928), Stanisław Chęciński (1931). Czwarty, to autor tych wspomnień, Mieczysław Chęciński (1933).W następnych latach przybywało kolejne rodzeństwo: Krystyna Chęcińska (1936), Ireneusz Chęciński (1938), Hieronim Chęciński, którego daty urodzenia nigdy nie zapomnę. Było to 1 września 1939 roku, w pierwszym dniu wojny. Byłem przygotowany po raz pierwszy przekroczyć próg szkoły. Nie udało się. Było to możliwe dopiero w 1945 roku.

1 września 1939 r. Ojczyzna nasza w niebezpieczeństwie. Od godzin rannych trwa obrona granic przed napadem hitlerowskich Niemiec. Nikt nie przypuszczał, że to początek II wojny światowej. Piękny, słoneczny dzień, zakłócony warkotem samolotów ze znakami czarnych krzyży na kadłubach. Kończyły się wakacje szkolne, na próżno kierownik szkoły - Izydor Niedziela - oczekiwał na przybycie dziatwy szkolnej. Wielu mężczyzn objętych mobilizacją udało się do jednostek wojskowych. Wśród nich kpr. rez. Feliks Jałoszyński. Miejsce docelowe - Gniezno, przydział - zwiad konny. Edmund Pluciński do Lwowa. W rodzinie

państwa Plucińskich nie tylko syn otrzymał kartę mobilizacyjną, ale także ulubiony koń, odprowadzony na punkt zborny pod Kostrzynem.

Mieszkańcy wsi tworzą „Straż Obywatelską", uzbrojoną w broń myśliwską. Jednym z jej członków jest Wincenty Orwat. Mijają kolejne dni wojny. Przez Targową Górkę przetacza się niezliczona ilość uciekinierów z zachodu na wschód. Przybyli także z Poznania członkowie rodzin lub krewni wielu mieszkańców, aby zatrzymać się u bliskich i przeczekać niepewne dni w spokojnej miejscowości, jaką była Targowa Górka. Wśród mieszkających tutaj Niemców zachowania różne. Erich Wiesner - spokojny, opanowany i życzliwy ludziom, niezdolny, aby kogokolwiek skrzywdzić. Karl Fitzke ulega nastrojom nowej sytuacji, trudno mu ufać.

W siódmym dniu wojny hordy niemieckich żołdaków posuwają się w głąb kraju. Przed zachodem słońca niebo w kierunku Kopaszyc, Dominowa, Giecza sprawia wrażenie zakrwawionego. Po północy Michał Pluciński zdaje służbę patrolowania wsi Wincentemu Orwatowi i Franciszkowi Menesowi. Podczas służby w rejonie zagród Stefana Pielaka, Adama Jałoszyńskiego i sklepu Karla Fitzke pojawia się dwóch osobników. Wincety Orwat rzuca wezwanie „Stój! Kto idzie !".W odpowiedzi padają strzały. Wincenty biegnie kilka kroków, zatrzymuje się na bramie swej zagrody, umiera. Kula przeszyła mu pierś. Dywersanci, dobrze wyszkoleni i bezwzględni, znikają za zabudowaniami Stefana Pielaka w kierunku Małej Górki. Wincenty Orwat ginie na posterunku w ósmym dniu wojny. Jest pierwszą ofiarą II wojny światowej w Targowej Górce. Pogrzeb odbywa się jeszcze tego samego dnia, w godzinach popołudniowych. Uroczystość ta staje się wielką manifestacją narodową. Skromną trumnę przykryto biało-czerwoną flagą państwową. Grób, na polecenie proboszcza, wykopano w innym kierunku, aby zaznaczyć wyjątkowość sytuacji. Uroczystość prowadzi ks. Kazimierz Pauze, który wygłasza mowę pożegnalną. W imieniu mieszkańców Targowej Górki, odchodzącego na wieczną wartę żegna Marcin Pluciński.

Uroczystość kończy się odśpiewaniem „Boże coś Polskę" z refrenem „Ojczyznę wolną racz ocalić Panie". Okryta narodową flagą trumna znika pod ziemią. Pożegnano nie tylko bohatera, ale także narodowy symbol, jakim jest flaga, na sześć mrocznych lat okupacji. Dzień później, 9 września 1939 r., od strony Nekli do Targowej Górki wkraczają oddziały butnej armii hitlerowskiej. Hełmy żołdaków, głęboko nasunięte na czoło, karabiny gotowe do strzału. Zamknięto kościół i szkołę. Na budynkach, zajętych przez żołnierzy i hitlerowskich dygnitarzy, powiewają czerwone flagi ze swastyką.

Trwają lata okupacji. Jest rok 1941, oczekujemy kolejnego potomka rodziny. Brat, Marian Chęciński (1941), przychodzi na świat w ciekawych okolicznościach. Zaplanowana do wysiedlenia do generalnej Guberni jest również nasza rodzina. Zgromadzeni w kącie pokoju, ubrani w kilka par bielizny i trzymając związany przy nodze tobołek ze skromnym dobytkiem, czekamy na przybycie nowego gospodarza naszej posiadłości. Mama odczuwa bóle porodowe i wchodzi do łóżka. W tym momencie przybywa nowy właściciel w towarzystwie gestapo i sąsiada, Niemca, Ericha Wiesnera. Pada pytanie, dlaczego nie jesteśmy gotowi,by opuścić mieszkanie. Ratuje nas sąsiad, Wiesner, który twierdzi, że matka rodziny jest chora, z podejrzeniem o tyfus. Nieproszeni goście szybko opuszczają mieszkanie. Tym razem nam się udaje i pozostajemy na swoim. Kim był nasz dobroczyńca? Niemiec, Erich Wiesner, mieszkał naprzeciwko naszego domu. Był wzorowym rolnikiem, znającym zasady uprawy ziemi i hodowli, zwłaszcza koni. Trudno obecnie dociec, skąd i kiedy przybył do Targowej

Górki. Dobroci Ericha Wiesnera doświadczyła moja rodzina , jak też inni mieszkańcy. Wiem, od kolegi, Kazimierza Orwata, syna Władysława, że ich rodzina została ostrzeżona przez Wiesnera o grożącym im wysiedleniu. Zgodził się także na przechowanie pięknej pary koni i innego sprzętu. Gdy przebywali na wygnaniu, wspomagał ich finansowo, wysyłając pieniądze za pośrednictwem rodziny mieszkającej w głębi Niemiec, w obawie przed miejscowymi. Podobną opinię wyraża kolega - Józef Jopek, syn Adama, których także uprzedził o grożącym niebezpieczeństwie i przyjął sprzęt gospodarczy na przechowanie. Po zakończeniu wojny pozostał w Polsce i zarządzał gospodarstwem przyszpitalnym w Środzie Wielkopolskiej.

Nasz dom, jak zapamiętałem, był obszerny. Tzw „czworak" , wyglądał okazale. Kryty dachówką, stał na działce, otrzymanej w ramach parcelacji w 1929 roku. Między domem a drogą rosły drzewa i krzewy owocowe. Otoczenie zdobiły wielkie rabaty kwiatów. Było to zasługą naszej mamy. Rodzina nasza zajmowała dwa pokoje z obszerną kuchnią. Pozostałe dwa lokale oddane były w najem. W jednym mieszkali państwo Komisarkowie, u których przebywał mój serdeczny kolega, Henryk Leszczyński, drugi lokal zajmowali państwo Władysława i Stanisław Jałoszyńscy z trójką dzieci: Ireną, Stanisławem i Mieczysławem. W czasie okupacji dokwaterowano nam rodzinę kierownika miejscowej szkoły, państwa Anielę i Izydora Niedzielów z czwórką dzieci: Bożeną, Andrzejem, Jerzym i Karolem. Jako dzieci w podobnym wieku stanowiliśmy 15-osobową grupę. Miejscem spotkań i zabaw było podwórko, stodoła, strych obory i chlewni. Nie zawsze wśród nas panowała zgoda, jednak często dzieliliśmy się pajdą chleba, najczęściej ze smalcem. Dom nasz był usytuowany około 100 metrów od głównej drogi, z wejściem do mieszkania od drogi i od podwórka. Wejście do pokoju gościnnego od drogi było otwierane szczególnym gościom: księdzu proboszczowi przychodzącemu z kolędą lub posługą kapłańską do chorej babci lub dziadka oraz z okazji ważnych wydarzeń: przyjścia na świat kolejnego członka rodziny, dla ukochanej pani Józefy Kundt, akuszerki, która przekraczała próg naszego domu bardzo często. Niosła skuteczną pomoc naszej mamie. Była osobą, którą można obdarzyć mianem bohatera. Jej ręce jako pierwsze dotykały każdego z nas. Swoimi umiejętnościami służyła kolejnym pokoleniom przychodzących na świat. To jej ręce dokonywały pierwszej kąpieli niejednego z nas. Ilu ludziom pomogła się narodzić w ciągu 44 lat swojej pracy? Z opowiadań mieszkańców wynika, że pierwszym odebranym niemowlakiem był Bronisław Menes urodzony 29 sierpnia 1922 roku, a ostatnim, Jerzy Jaskulski, urodzony 10 sierpnia 1966 roku. Mieszkała w skromnym domku w pobliżu szkoły, zawsze była gotowa na wezwanie niesienia pomocy. To co czyniła, zasługuje na szczególną pamięć i modlitwę. Jej skromny grób znajduje się po przekroczeniu bramy cmentarza po lewej stronie, w sąsiedztwie nagrobka Stefanii i Feliksa Jałoszyńskich. Czas sprawił, że napisy stały się nieczytelne.

Władze niemieckie, widząc tak liczne potomstwo i fakt urodzenia mamy w Niemczech, proponują przyjęcie obywatelstwa niemieckiego przez podpisanie Volkslisty. Rodzice nie zgodzili się na układy z Niemcami. Niemiec, który przejął w sąsiedztwie gospodarstwo mojego ojca chrzestnego, Władysława Logi, objął w posiadanie również naszą własność, a nas wysiedlono do Brodowa k/Środy. Dostaliśmy mały domek kryty słomą. Podłogą była ubita glina.

Lata te pozostawiły w mojej pamięci pragnienie chleba i mleka. Po pewnym czasie udało mi się wrócić do Targowej Górki i pozostać pod opieką babci i dziadka Jabłońskich, rodziców mojej mamy. Dziadkowie mieszkali w tak zwanej „gminnej chałupie przy stawku".

Było u nich mleko, choć kozie. Bawiłem się w małą konspirację. Za kilka jabłek przenosiłem listy osadzonych w zakładzie karnym i wrzucałem do skrzynek pocztowych w Nekli i we Wrześni. Mogę tylko domyślać się, jakie znaczenie miały te listy dla osadzonych w miejscowym więzieniu.

Ciekawą postacią w naszej wsi był - czuwający nad jej bezpieczeństwem - Antoni Nowak, nazywany wujkiem. Zamieszkiwał w gminnym domku przy stawie. Był nocnym stróżem wsi. W każdą noc, kilka razy przemierzał drogę od strony Mystek i Racławek po Małą Wieś i wylot drogi w stronę Nekli. Zatrzymywał się na krótki odpoczynek w budce, wykonanej na wzór wojskowy, przy kuźni pana Gramzy. Ostrzegał o pożarze i niepokojących odgłosach ze stajni i obór. Otaczany był wielkim szacunkiem mieszkańców wsi za sumienne spełnianie swoich obowiązków. Jako 12-letni chłopiec, wraz z wujkiem Antonim byłem świadkiem pożaru obiektu architektonicznego, jakim był dwór w Targowej Górce. Pożar wywołany został w styczniu 1945 r. przez wycofujących się żołnierzy Wehrmachtu, tuż przed wkroczeniem Rosjan. Na jego twarzy widać było wielkie zakłopotanie i bezradność. Wtedy to byłem świadkiem wkroczenia do rodzinnej miejscowości pierwszych żołnierzy Armii Czerwonej. Pani Tabaczkowa poczęstowała wyzwolicieli mlekiem, którego jako pierwszy musiałem skosztować ja i właścicielka.

Po kilku dniach przybyli rodzice i moje rodzeństwo. Mieszkanie nasze częściowo zamienione było w magazyn paszy dla bydła. Cieszyliśmy się, że jesteśmy razem i zdrowi. Rozpoczęliśmy życie od nowa.

Powoli życie zaczyna wracać do normy. Do szkoły wraca Izydor Niedziela i zaczyna organizować prace porządkowe. 12 lutego 1945 roku po długiej przerwie lat okupacji przekraczamy próg naszej, polskiej szkoły. Zaczynamy nadrabiać stracony czas. Wśród uczniów jest spora grupa z roczników 1933-1937, którym wojna nie pozwoliła uczyć się. W tej grupie jestem i ja. W pierwszym roku nauki zaliczyliśmy I i II klasę, a w następnych latach III, IV i V. Chętnych z naszej grupy, za zgodą naczelnika więzienia i kierownika szkoły, dołączono do wieczorowej szkoły dla dorosłych, do której uczęszczali strażnicy miejscowego zakładu karnego. Tak oto nadrobiliśmy stracony czas w zakresie siedmioklasowej szkoły podstawowej.

Ciekawym wydarzeniem w naszej rodzinie był rok 1949, przychodzi na świat kolejny i ostatni potomek rodu Chęcińskich; Czesław – Bolesław. Drugie imię Bolesław otrzymał z racji, że ojcem chrzestnym został Bolesław Bierut. Próbowano wówczas na wzór okresu międzywojennego naśladować zwyczaj, że po urodzeniu siódmego syna zapraszano jako chrzestnego prezydenta RP, Ignacego Mościckiego. Rok 1949 był rokiem przełomowym, odejścia rządzących od kościoła. Chrzest zamieniono na uroczyste nadanie imienia. W przypadku mojego brata chrzest odbył się 16 czerwca 1949 roku zapisem w Księdze Ochrzczonych. Jako ojciec chrzestny wpisany został Bolesław Bierut Prezydent RP, a w rubryce wyznanie ówczesny proboszcz, ks. Piotr Kaczmarek, postawił maleńki znak „?"

Drugą osobą towarzyszącą przy chrzcie jest zapisany Leon Kaźmierczak, przewodniczący Rady Narodowej w Środzie Wlkp. Matkami chrzestnymi były znane mieszkanki Targowej Górki: Maria Ciepluch i Waleria Rodowska.

Nadeszły lata złej polityki rolnej. Trwa walka z kułakami. Trudno zrozumieć, kto nim jest. Czy mój ojciec także? Za nie wywiązanie się z nałożonych obowiązkowych kontyngentów trafia do więzienia, jak wielu innych rolników z Targowej Górki. Po wyjściu z aresztu

ulega i wstępuje do powstałej Spółdzielni Produkcyjnej. Mamy „Kołchoz", który funkcjonuje do roku 1956 i rozpada się jak wiele innych.

Byłem pierwszym, który opuścił Targową Górkę. Zostałem wcielony do Powszechnej Organizacji „Służba Polsce". Mimo że była to praca przymusowa, dała mi możliwość spojrzenia na Polskę lat pięćdziesiątych. Zostałem przydzielony do 12 Brygady PO SP w Chorzowie. Pracowaliśmy przy regulacji rzeki Brynicy. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem tętniące pracą huty i kopalnie Śląska. W PO SP ukończyłem kurs pracowników służby żywnościowej i pracowałem, zajmując się zbiorowym żywieniem junaków.

Przełom w moim życiu nastąpił w latach 1953-1956. W 1953 r. mój rocznik podlegał obowiązkowej służbie wojskowej, do której zostałem powołany. Zostałem podchorążym Oficerskiej Szkoły Piechoty im. gen. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu. W 1956 r. po promocji na stopień podporucznika WP rozpocząłem długą służbę w jednostkach liniowych w Opolu, Bolesławcu, Gorzowie Wlkp., Międzyrzeczu, Krośnie Odrzańskim. W roku 1973, po uzyskaniu wyższego wykształcenia, zostałem nauczycielem akademickim w Wyższej Szkole Oficerskiej Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu, gdzie byłem odpowiedzialny za nauczanie techniki uzbrojenia.

Płk w st. sp. Mieczysław Chęciński *(ur. 1933) jest aktywnym działaczem, pełniącym odpowiedzialne funkcje w Klubie Oficerów Rezerwy im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Poznaniu. Blisko współpracuje z władzami samorządowymi MiG Nekla, uczestnicząc z delegacją KOR w uroczystościach patriotycznych na terenie gminy Nekla.*

Ślub Tadeusza Chęcińskiego ok. 1928 r. Z lewej przy młodej parze dziadkowie autora Jadwiga i Michał Chęcińscy, na krześle mama Cecylia z bratem Józefem

Rodzice i rodzeństwo Mieczysława Chęcińskiego. Rok 1943. Od lewej: Krystyna, Marian, Ireneusz, Hieronim, Mieczysław

Czesław Bolesław Chęciński ok 1950 r.

Autor wspomnień trzeci od lewej w górnym rzędzie

Karol Niedziela

Okupacyjne losy Izydora Niedzieli - nauczyciela w Targowej Górce

Niezwykle trudno jest odtworzyć zdarzenia, które miały miejsce ponad 70 lat temu z uwagi na fakt, że większość osób, które mogłyby udzielić bardziej szczegółowych informacji, dawno już nie żyje. Niniejszy tekst mógł więc powstać jedynie w oparciu o materiały i dokumenty rodzinne, rozmowy z moim Ojcem oraz jego zapiski, a także wspomnienia własne i mojej siostry, Bożeny. Niektóre informacje ogólne zaczerpnięte zostały z Internetu. Pomocne okazały się również zapisy kroniki szkolnej prowadzonej w początkowych latach powojennych przez Izydora Niedzielę.

Izydor Niedziela
(3.09.1901 - 23.07.1974)

Izydor Niedziela urodził się w 1901 r. w Niemieckiej Lutyni na Zaolziu (obecnie Czechy). W 1921r. ukończył Seminarium Nauczycielskie Macierzy Polskiej Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie i rozpoczął pracę w szkole w Zebrzydowicach jako nauczyciel tymczasowy. W 1922 r. przeniósł się do Targowej Górki, by być bliżej rodziców, którzy przenieśli się z Zaolzia do Wielkopolski wcześniej i zamieszkali w Dominowie, u córki Marii. W 1926 r. otrzymał obywatelstwo polskie, gdyż po przyłączeniu Zaolzia do Czechosłowacji w 1920 r. wybrał wraz z rodzicami opcję polską. W szkole w Targowej Górce pracował w latach 1922 - 1951, początkowo jako nauczyciel, a od 1936 r. jako kierownik.

* * *

Okres wakacyjny, tj. lipiec i sierpień 1939 r., był podwójnie gorący, zarówno z uwagi na porę roku, jak też spodziewany wybuch wojny, czego następstwem była powszechna mobilizacja. Ojciec, ze względu na zły stan zdrowia, otrzymał przydział do pracy w ówczesnej Penitencjarnej Kolonii Karnej w Targowej Górce (zwanej potocznie przez mieszkańców więzieniem), która funkcjonowała tam w latach 1934 - 1952 przy majątku rolnym, stanowiącym własność państwa. Zakwaterowano go w oficynie więziennej, w której prowadzone były prace związane z ewidencjonowaniem ludzi, zwierząt i sprzętu dla potrzeb wojska.

Podczas wakacji można było zaobserwować wzmożony ruch samolotów. Zbliżał się nowy rok szkolny 1939/40, ale już w sierpniu 1939 r. jego rozpoczęcie stało pod znakiem zapytania. Potwierdził to początek działań wojennych. W pierwszych dniach września rozpoczęły się bombardowania. Niemcy zbombardowali m.in. tory kolejowe w Podstolicach i cukrownię we Wrześni. Ostrzeliwane były również cele ruchome, zwłaszcza ludność cywilna.

Już w dniu 1 września 1939 r. pojawili się polscy uciekinierzy, którzy opuszczali miejscowości położone nad granicą polsko-niemiecką i na własną rękę - uciekając przed Niemcami - przemieszczali się z zachodu na wschód. Jedni korzystali z dostępnych własnych środków transportu, głównie furmanek, inni szli pieszo, niosąc skromny dobytek, jaki udało

im się zabrać ze sobą. Niektórzy z nich w drodze zatrzymywali się na krótki postój i nocleg w szkole. Wśród uciekinierów znalazł się m.in. nauczyciel ze Zbąszynia, miejscowości położonej w pobliżu ówczesnej granicy polsko-niemieckiej, którego nazwiska nie udało mi się, niestety, ustalić. Jeszcze przed wybuchem wojny Niemcy grozili mu, że go zastrzelą. Uciekł więc wraz z siostrą i córką. Tymczasem żona i druga córka przedostały się do Kościana. Przyjmując propozycję Ojca, zatrzymał się na dłużej w szkole w Targowej Górce. Wkrótce Ojciec wraz ze wspomnianym nauczycielem oraz ze swoim szwagrem, Antonim Kubiakiem z Dominowa, również uciekali rowerami na wschód. Po miesiącu dwaj pierwsi wrócili do Targowej Górki, natomiast Antoniego Kubiaka Niemcy wywieźli do obozu dla uciekinierów w Biedrusku koło Poznania, skąd wrócił dopiero pod koniec października 1939 r.

10 września 1939 r. pojawiły się we wsi pierwsze patrole niemieckie, a w dniu 13 września regularne wojsko. W pierwszych dniach wojny żandarmi co jakiś czas zjawiali się w szkole, poszukując Polaków, o których informowali ich „życzliwi" Niemcy. Przeprowadzali też rewizje. Pewnego razu zastali brata Ojca, Józefa, który po powrocie z wojska mieszkał u rodziców w Dominowie. Do Targowej Górki przyjechał pomóc w wykopkach buraków cukrowych w majątku przy więzieniu. Zorientowawszy się, że zbliżają się żandarmi, położył się w łóżku, przy czym ubrany był w wojskowe spodnie, co mogło go zdekonspirować. Na szczęście Niemcy nie przeprowadzili wtedy szczegółowej rewizji i to go uratowało, niestety, nie na długo. Wkrótce wysiedlono go wraz z rodzicami do Generalnego Gubernatorstwa, a stamtąd na roboty przymusowe do Drezdenka koło Strzelec Krajeńskich, znajdujących się wówczas na terenie Rzeszy (obecnie województwo lubuskie). Przebywał tam do końca wojny. Po powrocie z Biedruska poszukiwano też u nas Antoniego Kubiaka.

W ramach akcji wysiedlania Polaków z Wielkopolski (Warthegau) do Generalnego Gubernatorstwa wywieziono rodziców Ojca, którzy mieszkali u swojego zięcia, Jana Sikorskiego, w Dominowie. Zdarzenie to miało miejsce w dniu 6 grudnia 1939 r. Wywieziono wówczas całą rodzinę Sikorskich (Jana Sikorskiego, jego żonę Marię - siostrę Ojca - wraz z trójką dzieci, rodziców Ojca oraz drugą jego siostrę, Bronisławę, i brata, Józefa). Na spakowanie musiało wystarczyć 15 minut. Wojnę spędzili we wsi Grabianka w gminie Osieck, w ówczesnym powiecie garwolińskim. Tam też, w 1942 r. zmarła matka Ojca. Pozostali członkowie rodziny szczęśliwie przeżyli wojnę, by wkrótce po jej zakończeniu powrócić do Dominowa.

Z tego okresu pochodzi wzruszający list naszego dziadka, Józefa Niedzieli, do mojego Ojca, który przytaczam w pisowni uwspółcześnionej.

N B P J Ch [Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus]

Kochany synu,

pieniądze żem odebrał, za które ci dziękuję. Również ci dziękuję za pamięć i przywiązanie synowskie, że się tak usiłujesz mi ulżyć w tym podeszłym wieku. Również zasyłam ci błogosławieństwo ojcowskie i niech cię dobry Bóg ma w swojej opiece i niech ci błogosławi już tu na ziemi, a po śmierci niech ci da szczęśliwą wieczność. Może da dobry Bóg, że się jeszcze zobaczymy. Do zobaczenia.

Twój ojciec Józef

Masowe wysiedlenia nie ominęły gospodarzy z Targowej Górki, których wywożono do lubelskiego. Miały one miejsce w dniach 7, 14 i 21 września 1940 r.

Hitlerowska polityka na terenach włączonych do Rzeszy nastawiona była na wyniszczenie, zwłaszcza inteligencji - księży, nauczycieli, lekarzy, by wymienić tylko niektóre profesje. W praktyce realizacja tej polityki przybierała różne formy, najczęściej wywóz do obozu koncentracyjnego, zwłaszcza księży, czy też publiczne egzekucje nauczycieli. W 1940 r. z Targowej Górki do Fortu VII w Poznaniu (KL Posen), a następnie kolejno do obozów w Buchenwaldzie i Dachau wywieziony został miejscowy proboszcz, ks. Kazimierz Pause, były kapelan Wojska Polskiego w wojnie 1920 r. Zginął w Dachau 17 sierpnia 1942 r. Natomiast masowa egzekucja dokonana przez Einsatzkommando 15 IX 1939r. w Kostrzynie, podczas której rozstrzelano 27 osób, dotknęła m.in. kilku nauczycieli z Kostrzyna i Nekli. Podobna egzekucja miała również miejsce w Środzie. Einsatzkommando 16 rozstrzelało wówczas 29 osób. Zginęło w niej m.in. kilku nauczycieli ze Środy i okolic. 22 maja 1941 r. w Małej Górce rozstrzelano 25 mężczyzn.

W maju 1940 r. wyjechała do Witowa w powiecie średzkim moja siostra Bożena, najstarsza z rodzeństwa. Był to celowy zabieg, pozwalający, przynajmniej do czasu, na uniknięcie wywózki na roboty przymusowe. Zamieszkała tam u naszej krewnej, akuszerki, Katarzyny Gwóźdź. Pobyt siostry u niej był uzasadniony, gdyż miała ona zezwolenie na odbieranie porodów Niemek, a w związku z częstymi wyjazdami do porodów, które wówczas odbywały się w domu, zaistniała potrzeba zatrudnienia pomocy domowej. Tak więc z czworga rodzeństwa pozostali w Targowej Górce dwaj starsi bracia i ja. Aby uniknąć wywózki na roboty do Niemiec, również najstarszy brat, Andrzej, był zatrudniony w lesie.

Wkrótce potem okazało się, że szkoła w Targowej Górce zostanie przekształcona w szkołę niemiecką i będą się w niej uczyć dzieci zamieszkałych na tym terenie osadników niemieckich. Kierownikiem tej „nowej" szkoły został oczywiście Niemiec, Rudolf Tobler. Spowodowało to konieczność opuszczenia przez naszą rodzinę mieszkania służbowego, co nastąpiło w dniu 15 stycznia 1941 r. Początkowo zamieszkaliśmy u kowala, Kazimierza Gramzy, a gdy go wysiedlono, udzielił nam swojej gościny gospodarz Marceli Chęciński. Mieszkaliśmy u niego do stycznia 1945 r. Była to duża izba w czworaku, służąca za sypialnię i kuchnię, oddzieloną sznurkowym dywanem, zawieszonym pod sufitem.

Gdy sytuacja nieco uspokoiła się, a Niemcy zorganizowali własną administrację, Ojciec rozpoczął pracę w Urzędzie Gminnym w Dominowie, gdzie prowadził prace administracyjne w zakresie stanu cywilnego i spraw meldunkowych. Było to możliwe, gdyż Niemcy poszukiwali Polaków z biegłą znajomością w mowie i piśmie zarówno języka polskiego, jak też niemieckiego. Umożliwiało to swobodne porozumiewanie się i z Niemcami, i z Polakami oraz licznie zamieszkałymi na terenie gminy, zwłaszcza w samym Dominowie, osadnikami niemieckimi. Wielu z nich - jak wspominał Ojciec - nie znało już języka niemieckiego i przychodząc do urzędu w celu załatwienia spraw urzędowych posługiwało się językiem polskim. Wraz z Ojcem pracowali tam jeszcze wspomniany Antoni Kubiak oraz nauczycielka, Stanisława Kodurówna z Dominowa.

Praca w gminie chroniła tylko częściowo przed ewentualną eksterminacją, skoro pod koniec wojny - według nieoficjalnych informacji - Ojciec znalazł się na tzw. „czarnej liście" osób przeznaczonych do likwidacji. Że do niej nie doszło, zawdzięczać należy temu, że wojna nie trwała dłużej. Zatrudnienie w Urzędzie Gminnym umożliwiało mojemu Ojcu prowadzenie działań konspiracyjnych. Polegały one na wystawianiu młodym mieszkańcom Targowej Górki fikcyjnych dokumentów stwierdzających wiek, w którym nie byli jeszcze objęci

przepisami o obowiązku świadczenia pracy przymusowej na terenie Niemiec. Obejmował on m.in. młodzież po ukończeniu 13 roku życia. Odmowa zgłoszenia się na wezwanie groziła wysyłką do obozu pracy lub obozu koncentracyjnego. Wywózki można było uniknąć po udowodnieniu zatrudnienia w określonych przez okupanta dziedzinach.

Mechanizm wydawania odpowiednich dokumentów polegał na wpisywaniu nieprawdziwych danych o wieku osoby zainteresowanej na oryginalnym druku. Następnie konieczne było uzyskanie akceptacji komisarza Urzędu Gminnego, którym oczywiście był Niemiec, poprzez złożenie podpisu. Wystawiane zaświadczenia na ogół nie budziły jego zastrzeżeń. Ojciec miał jednak świadomość wielkiego ryzyka, jakie niosło za sobą takie nielegalne postępowanie. O tym, że nie było o nie trudno, świadczy następujące zdarzenie. Pewnego razu komisarz przed złożeniem podpisu długo przyglądał się dokumentowi, jak gdyby miał jakieś wątpliwości. Podczas rozmowy otrzymał on telefoniczną wiadomość o tym, że ma natychmiast stawić się u starosty powiatowego w Środzie. Wezwał więc swojego zastępcę i polecił mu zająć się tą sprawą. Skończyło się na strachu. Niestety, ustalenie liczby osób, którym dzięki mojemu Ojcu udało się uniknąć wywózki do Niemiec na roboty przymusowe, z oczywistych względów nie jest dziś możliwe. Jedno z takich ratujących od wywózki zdarzeń przypomniał mi w 1988 r., podczas uroczystości otwarcia nowego budynku szkolnego, mieszkaniec Targowej Górki, pan Bronisław Pluciński.

20 stycznia 1945 r., wobec zbliżającego się frontu, rozpoczęła się ucieczka Niemców na zachód do „Vaterlandu". Po ich wyjeździe, późnym popołudniem, przyjechał do wsi patrol niemiecki. Niemcy na zakończenie swojego pobytu w Targowej Górce oblali benzyną i podpalili znajdujący się w parku pałac Ministerstwa Sprawiedliwości. Ten okres tak wspominał Ojciec w napisanej przez siebie „Kronice rodzinnej": Przez noc z soboty na niedzielę i w samą niedzielę panowało „bezkrólewie". Wieczorem 21 stycznia zajęły wieś wojska radzieckie, a ja pozbyłem się kieszonkowego srebrnego zegarka. A szkoda, bo był bardzo dobry i pamiątkowy.

23 stycznia 1945 r. nastąpił powrót do zdewastowanej szkoły. Trzeba więc było ją na nowo umeblować, gdyż meble szkolne, ławki, tablice podczas wojny Niemcy wywieźli do sąsiednich szkół. Udało się wszystko odzyskać dzięki pomocy Bolesława Zajdowicza i Stanisława Menesa. Meble z Bukowego Lasu i Barda zwieziono na wypożyczonym z miejscowego więzienia wozie (platformie), zaprzężonym w parę wołów. Przez pewien czas kwaterowali w szkole żołnierze radzieccy. Był to dla nich krótki postój w dalszej drodze do Berlina.

W niedzielę, 5 lutego 1945 r., Ojciec zgłosił się do służby, 12 lutego 1945 r., gdy w Poznaniu Niemcy bronili jeszcze Cytadeli, która poddała się dopiero 23 lutego, rozpoczęła się nauka w szkole. Rok szkolny 1944/45 był z konieczności bardzo skrócony i trwał do 15 lipca 1945 r. Były to ciężkie czasy. Pisał o nich Ojciec: Pracowałem przed południem, po południu i wieczorem do godziny 10-tej, bo i dzieci chciały się uczyć, i starsi chcieli ukończyć klasę VII, i analfabetów trzeba było ratować. Już po zakończeniu wojny, 20.10.1950 r., za pracę tę otrzymał Ojciec „Dyplom uznania za likwidację analfabetyzmu".

Na zakończenie podkreślić wypada, że warunki pracy w szkole w tym czasie były bardzo trudne, z powodu licznych zajęć, prowadzonych tylko przez troje nauczycieli (Izydor Niedziela - kierownik szkoły, Maria Ciepluchowa - nauczycielka i Mirosława Dalska - nauczycielka pomocnicza) przy 195 uczniach. Z tego powodu zajęcia odbywały się w tzw. klasach łączonych. Duże utrudnienie stanowił m.in. brak zeszytów i podręczników, a także

prądu elektrycznego, który doprowadzono dopiero w kwietniu 1950 r. Tymczasem korzystano z lamp naftowych, rzadziej karbidowych, z uwagi na zajęcia prowadzone także w godzinach wieczornych. Równie trudne były warunki materialne nauczycieli, którzy przez pierwsze pół roku nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia, a jedynie pewną rekompensatę w naturze - głównie w postaci żywności dostarczanej w ramach pomocy z UNRRA .

Katowice, w czerwcu 2015 r.

Rodzice Izydora Niedzieli - Józef i Marianna - podczas wojennego wygnania. 1942 r.

W ogrodzie przy szkole w Targowej Górce. Od lewej: leśniczy Jan Salamon z Milkarowa, nauczyciel Franciszek Nawrot z żoną, Izydor Niedziela. 1930 r.

Od lewej: Izydor Niedziela, ks. Bolesław Jordan (1899-1945), leśniczy Jan Salamon (1886-1940), Franciszek Nawrot. Targowa Górka, druga poł. lat trzydziestych XX w.

Aniela z Roszaków i Izydor Niedziela z Karolem (na rękach), Jerzym, Bożeną i Andrzejem. 1939 r.

Ks. Kazimierz Pause proboszcz w Targowej Górce w latach 1930-1942

Szkoła w Targowej Górce

Zofia Spławska

Siła rodziny

Zofia Spławska z domu Strzyżewska. 1952 r.

Urodziłam się w 1934 roku w Niechanowie w rodzinie Walerii z Kaczmarków i Zygmunta Strzyżewskich. Rodzice prowadzili tam 18 hektarowe gospodarstwo rolne. Po wybuchu II wojny światowej pierwszy rok okupacji hitlerowskiej minął w miarę spokojnie. Dramat naszej rodziny rozpoczął się na początku (lub około polowy - przyp. red.) sierpnia 1940 roku, kiedy to władze okupacyjne rozpoczęły masowe wysiedlenia polskich gospodarzy w naszej okolicy. Pamiętam dobrze, że był to czas żniw, gdyż rodzice sprzątali, przygotowując dużą, dwustanowiskową stodołę do zwożenia zboża, a ja prosiłam ojca o przygotowanie specjalnych widełek dla mnie, małej dziewczynki. Wspominaliśmy o tym później bardzo często.

Pewnego sierpniowego dnia 1940 roku wjechał na nasze podwórze samochód z żandarmami. Rozkazali, aby w dwadzieścia minut spakować najpotrzebniejsze rzeczy i zbierać się do opuszczenia gospodarstwa. Na podwórko przybiegł zaciekawiony wuj Edzio, brat mamy, który z siostrą pracował na pobliskim polu. Nasze pola sąsiadowały ze sobą. Gdy się zorientował o co chodzi, pobiegł po ciocię, aby ta pomogła w przygotowaniach. Szybko pakowano najpotrzebniejsze rzeczy. Mama owinęła w pierzynę zdjęty ze ściany krzyżyk. Gdy wydawało się, że już wszystko spakowane, zawróciła do domu zabrać miednicę, aby mieć w czym myć dzieci. Jeden z przechodzących Niemców z impetem kopnął miskę, ta zatoczyła łuk i wpadła do pobliskiej studni. Po wojnie, gdy rodzina wróciła do gospodarstwa, okazało się, że miska nadał tkwiła na dnie studni.

Żandarmi nakazali wujkowi zaprzęgać do wozu nasze konie i po załadowaniu całej rodziny ruszyliśmy w nieznane. Na drodze spotkaliśmy inne wozy wiozące sąsiadów i rodziny gospodarzy z najbliższej okolicy. Wyjechali wtedy Patrzykowie, nasi sąsiedzi, Pietraszewscy, Skora, rodzina Stanisława Kozłowskiego, Andrzejewscy. Wawrzyniakowie też byli wywiezieni, ale nie pamiętam dokąd. Cieślewiczowie zostali na miejscu. Wywieziono nas wszystkich do Czerniejewa i „zakwaterowano" w stodole. Stała za kościołem, patrząc w stronę pałacu. Widzieliśmy z niej przez szpary w deskach chodzących po ulicy mieszkańców. Ojciec znał język niemiecki, dlatego przysłuchując się rozmowom żołnierzy, mógł poznać zamiary pilnujących. W jednej z podsłuchanych rozmów usłyszał, że gdy przywiozą benzynę – podpalą i „kaczka z wody". Od tego momentu polecił mamie i dzieciom siadać nocą jak najbliżej wyjścia i nasłuchiwał, czy coś się nie dzieje. Myślał o ucieczce z całą rodziną. Na szczęście nie doszło do tego. Przebywaliśmy w tej stodole około dwóch tygodni. Co sobotę odwiedzał nas wuj Edzio, przywożąc rowerem żywność, chleb i cukierki dla

dzieci, które kupiła babcia z Żelazkowa. Opowiadał po wojnie, że gdy przyjechał w trzecią sobotę, już nas nie zastał. Przebywaliśmy tutaj tak długo, gdyż Niemcy zwozili z całej okolicy wysiedlonych, aby skompletować cały transport kolejowy. To wymagało czasu. Polskie rodziny przetrzymywano w wielu stodołach w Czerniejewie, Szczytnikach i innych okolicznych miejscowościach. Wreszcie zarządzono kolejną podróż. Wszyscy musieli dojść na stację kolejową w Szczytnikach Czerniejewskich, skąd mieli się udać pociągiem w dalszą podróż. Mieliśmy do przebycia siedem kilometrów. Mama dźwigała na ręce Zygmusia, a w drugiej ciężką walizkę z talerzami. Nie dając rady, tuż za mostkiem, za drugim drzewem, porzuciła ją. My dźwigaliśmy swoje małe tobołki, idąc na końcu kolumny. Dzieci nie miały dosyć siły i często zostawały z tyłu. W takim wypadku niemieccy żołnierze wyciągali baty i bezlitośnie bili najmłodszych. Ja też dostałam. Nareszcie dotarliśmy do dworca. Na stacji stał długi pociąg do przewozu bydła. Ludzi ładowano do wagonów. Warunki były potworne. Wagony były nieumyte po przewozie świń, bydła i koni. Resztki nawozu bardzo śmierdziały. W przeładowanych wagonach nie można było się ruszyć i nie było czym oddychać. Brakowało jakiegokolwiek jedzenia. Odczuwaliśmy głód.

Z podróżą pociągiem wiąże się tragiczna historia. Nasza sąsiadka z Niechanowa, Pietraszewska, wiozła w wagonie swoje małe, niedawno narodzone dziecko. Niemowlę nie wytrzymało tragicznych warunków. Zmarło w czasie podróży. Gdy na jakiejś stacji niemiecki żołnierz otworzył drzwi wagonu, usłyszał od Pietraszewskiej, że zmarło jej dziecko. Żołnierz odebrał je siłą kobiecie i wyrzucił przez otwarte drzwi wagonu. Jak ta matka rozpaczała! Po wojnie bardzo często chodziła do kościoła, modląc się za swoje zmarłe dziecko. Nie mogła zapomnieć tragicznego końca życia swojego maleństwa i tego, że nigdy nie mogła pochować ciała, jak nakazuje katolicki obowiązek.

Nie pamiętam, jak długo trwała ta nasza podróż. Końcowym przystankiem była Łódź. Przybyłych umieszczono w obozie przejściowym znajdującym się bardzo blisko dworca, na którym wysiedliśmy. Była to jakaś stara fabryka. (Prawdopodobnie przy ulicy Żeligowskiego 41- przyp. red.). Dokonano rejestracji wszystkich przybyłych, podając imiona i wiek członków rodziny. Ojciec, wiedząc, że od 13 roku życia odłączają dzieci od rodziców, kierując ich do pracy u Niemców, zaniżył wiek najstarszego brata Seweryna, podając, że ma lat 12. Dzięki temu pozostał z nami. Oprócz rodziców było sześcioro dzieci: Seweryn, Irek, Zofia czyli ja, Marysia, Józio i Zygmuś. Później, na zesłaniu, urodziły się jeszcze dwie siostry; Helena w Murawcu (1941) i Czesława w Zabłociu (1944) . Po dokonaniu rejestracji należało przed specjalną komisją złożyć posiadane pieniądze, kosztowności i inne cenne przedmioty. Każdy był dokładnie sprawdzany, lecz udało się ojcu w ubraniu Seweryna ukryć pieniądze, a w moim płaszczyku, w dolnym narożniku, złotą obrączkę. Na szczęście Niemcy ich nie znaleźli. Jeśli ktoś nie oddał wartościowych przedmiotów, a został z nimi przyłapany, był potwornie bity. W obozie gorsi od samych Niemców byli Volksdeutsche, czyli Polacy, którzy współpracowali z hitlerowcami za przyznane im przywileje. Kiedyś zostałam potwornie pobita przez jednego z nich za to, że z siostrą prosiłyśmy o trochę chleba do jedzenia. Niemiec, który dowiedział się, co mówiły dzieci, nie zareagował i odszedł, podczas gdy Volksdeutsch nadal bił nas bez litości.

Pamiętam, że w obozie wybuchł pożar. Od przegrzanego komina zapaliła się belka i pożar objął pomieszczenia na piętrze, gdzie mieszkało wielu ludzi. Wybuchła panika. W czasie ucieczki schodami w dół małe dzieci były tratowane. Ludzie wyrzucali przez okna

swoje pakunki. Mama też wyrzuciła worek, w którym był zabrany z domu krzyżyk. Złamał się podczas upadku. Ojciec zachował zimną krew, polecając abyśmy schodzili na samym końcu. Tak się uratowaliśmy. Trudno powiedzieć, ile dzieci zginęło podczas tej ucieczki. Po pewnym czasie musieliśmy zwolnić miejsce dla ludzi z kolejnego transportu. Dostaliśmy polecenie wymarszu do innego obozu. Szliśmy środkiem ulicy. Prowadzonych wyzywali od Żydów. Ojcu spadła czapka, a ja chciałam ją podnieść. Wtedy oberwałam pejczem od pilnującego strażnika. W nowym obozie spaliśmy na rozścielonej słomie. Na co dzień mieliśmy bardzo kiepskie wyżywienie, tylko raz dziennie była podawana gotowana zupa. Czasem Niemiec przynosił chleb i rzucał, gdzie popadło. Inny, przynosił chleb i wysypywał na kupkę. Wtedy ludzie rzucali się na ten chleb, walcząc między sobą o to, kto będzie pierwszy. Ojciec bardzo o nas dbał. Starał się za wszelką cenę zdobyć pożywienie. Dostał się do pracy w kuchni, skąd przynosił każdego wieczora chleb. Nie było noża, więc ułamywał po kawałku i tak rozdawał dzieciom, mówiąc: „bierzcie i jedzcie". Przebywaliśmy tam może ze dwa miesiące, aż wreszcie nadszedł czas wyjazdu. Zaprowadzono nas na stację, skąd ruszył pociąg na wschód. Jechaliśmy przez Warszawę. Może po dwóch dniach, bo mieliśmy wiele przystanków, dotarliśmy do Terespola. Tutaj zobaczyliśmy wojsko i porozbijane wagony pociągu, jeden na drugim, bo dzień wcześniej partyzanci podłożyli miny i wysadzili pociąg. Niemcy zebrali nas i powiedzieli, że tylu a tylu musi zginąć za tych żołnierzy niemieckich, którzy tutaj wczoraj stracili życie. Pod domkiem krytym strzechą, na niewielkim wzniesieniu, w pobliżu stacji, ustawili nas do rozstrzelania. Tata zgarnął nas wszystkich razem, mówiąc do mamy, że jeśli zginiemy, to wszyscy razem. Po chwili usłyszeliśmy strzały, Niemiec krzyknął, że mamy uciekać. Rzuciliśmy się do pobliskiego rowu, aby schronić się przed strzałami. Po tym zajściu, gdy wszystko się uspokoiło, znaleźliśmy jakąś szopę na drewno, w której schroniliśmy się na 4-5 dni. Tata był bardzo zaradny, poszedł do sołtysa, do gminy i wystarał się o jakieś pomieszczenie. Dostaliśmy jeden pokój, w którym wszyscy zamieszkaliśmy. W Terespolu przebywaliśmy kilka miesięcy, może dłużej. Ojca zabierali do budowy okopów, do budowy drogi na lotnisku w Małaszewiczach (prawdopodobnie był to pas startowy- przyp. red) . Pamiętam, że wygnali nas z domu i cała rodzina musiała tam pójść do pracy. Rzucałam takie kostki w beton, chlapało strasznie, zasypywano i ubijano je ręcznie. Byliśmy tam tylko raz. Było bardzo zimno.

Nie mam pewności, w jakiej to było miejscowości. Być może w Terespolu. Byłam świadkiem wyganiania z domów i rozstrzeliwania Żydów. Zastrzelili również moją koleżankę Żydówkę. Wcześniej Żydzi musieli wynosić z domów wartościowe przedmioty i układać je na ustawionych na rynku stołach. Gdy się uspokoiło, wyszliśmy i z innymi miejscowymi dziećmi poszliśmy do kościoła czy synagogi. Tam ujrzeliśmy młodego, czarnego Żyda z brodą, leżącego pod ścianą na podłodze, usiłującego przykryć się leżącymi obok książkami. Nie bardzo mu się to udawało, więc poprosił nas, abyśmy mu pomogły. Przykryliśmy go książkami. Zauważyłam, że wystają mu pięty, więc przykryłam je jakimś papierem. W tym momencie otworzyły się drzwi i wpadł do świątyni niemiecki policjant. Zapytał, czy ktoś tutaj jest jeszcze oprócz nas. - Nie, nie ma nikogo - odpowiedzieliśmy. Wygonił nas i zabronił tu przychodzić. Zbliżał się wieczór, gdy ze świątyni wyszedł Żyd z poduszką pod pachą, ten, którego ukryliśmy, i zaczął uciekać w stronę lasu. Jeden z miejscowych chłopaków ukraińskich zaczął krzyczeć, wskazując Niemcom uciekającego. Zaczęli do niego strzelać, ale nie wiem czy go trafili, czy też udało się mu uciec. Później jeden z Niemców dał temu chłopakowi,

który wskazał uciekiniera, dużą piłkę, którą przyniósł ze stołu. Wtedy ja się rozbeczałam. On dostał, a ja nie. Więc dał tę piłkę mnie. Gdy poszliśmy nad Bug z tą piłką, jeden z chłopaków kopnął ją, wpadła do rzeki. Chcąc ją ratować, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, pobiegłam za nią, wpadając do wody. Zaczęłam się topić. Na szczęście uratowały mnie miejscowe kobiety. Powiadomiły rodziców i wszystko szczęśliwie się skończyło.

W zimie zostaliśmy przekwaterowani do położonej nad Bugiem wsi Murawiec. Dostaliśmy pustą chałupkę nad samą wodą. Nie było w niej łóżek ani mebli. Ojciec zorganizował jakieś deski, z których zbił prycze, przywieźli słomę i na niej spaliśmy. Musiał nadal chodzić do wyznaczonych przez sołtysa prac przy kopaniu okopów oraz różnych prac porządkowych. Pamiętam przestawianie wysokich słupów granicznych. Raz stały przy naszym domku, a następnego dnia znikały. Tutaj w lutym urodziła się Helenka.

Pewnej nocy, nad ranem, gdy przyszły roztopy, obudził wszystkich dziwny szum. To woda przepływała przez klepisko naszego domku. Szybko zaczęliśmy się pakować, aby opuścić dom, zabierając mokre tobołki i inne rzeczy. W naszą stroną jechali już furmanką miejscowi, krzycząc, abyśmy szybko się zbierali, bo za godzinę będzie już po nas. Ewakuowano nas na wyższy teren. Został nam przydzielony pokoik w jakimś domu we wsi. Tutaj też zastał nas wybuch wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 roku. Rozpoczęła się wielka strzelanina. Po naszej stronie rzeki padały pociski. Niemcy zajmowali stanowiska w okopach po lewej stronie Bugu.

Po jakimś czasie skierowano nas do odległego o ponad dwadzieścia kilometrów Zabłocia, niedaleko Kodnia. W czasie podróży wozem z Murawca do Zabłocia, po drodze napotykaliśmy posterunki wojskowe sprawdzające zawartość furmanek. Na jednym z nich ojciec został pobity przez pijanych żołnierzy za to, że był Polakiem. Powożącego furmana, Ukraińca, nie ruszyli. Tę miejscowość zamieszkiwała prawosławna ludność ukraińska. Od mieszkańców wsi uzyskaliśmy pomoc, dzięki której przetrwaliśmy dalszą część wojny.

W Zabłociu dostaliśmy duży murowany dom, kryty blachą, z altanką. Znajdowały się w nim dwa pokoje z kuchnią. W podwórku, w dawnej oborze, zorganizowano sklep z artykułami dla biednej ludności. Duża drewniana stodoła była podzielona na dwie części, jedna stała na naszej części podwórza, druga na części sąsiada. Być może kiedyś należały te gospodarstwa do jednej rodziny. Za stodołą był wiatrak, a obok stodoły stała wojskowa wieża obserwacyjna.

Do szkoły było niedaleko. Trzeba było wyjść za stodołę i już prosto szło się do szkoły. We wsi była szkoła ukraińska, ale dzieciom polskim nie wolno było się w niej uczyć. Nauczycielka w szkole ukraińskiej mieszkała w sąsiedztwie i kolegowała się z mamą. Powiedziała, że mogę przychodzić na lekcje, mimo że władze tego zabraniały. Kiedyś, siedząc na lekcji, usłyszeliśmy, że ktoś przyszedł na kontrolę, więc wyskoczyłam przez okno, uciekając jak najdalej. Ukryłam się pod snopkami zboża w stodole sąsiada, którego wszyscy nazywali Miszką i tak zasnęłam. Obudziłam się, gdy było już ciemno. Popłakałam się ze strachu. Na szczęście nie były zamknięte tylne wrota i mogłam wrócić do domu. Mama bardzo się o mnie martwiła.

Zastanawiałam się, dlaczego nasza polska rodzina na zesłaniu otrzymała w przydziale tak dobry dom. Musiał należeć do jakiejś majętnej rodziny. Podobno mieszkała w nim wdowa, którą Niemcy przenieśli gdzieś, gdzie były jeszcze lepsze warunki, a tata miał się opiekować tym gospodarstwem, w którym był koń i trzy krowy. Właścicielka wróciła do

tego domu po wyzwoleniu, a my musieliśmy się przenieść do polskiej rodziny Pawelców na końcu wsi, gdzie była kuźnia. Właśnie tam, podczas okupacji, odbywały się potajemnie msze święte odprawiane przez księdza z Kodnia. Do mszy służyli bracia Seweryn i Irek. W Kodniu Seweryn przystąpił do pierwszej Komunii św.

Relacje z miejscowymi mieszkańcami układały się bardzo dobrze. Ojciec starał się żyć dobrze ze wszystkimi. Czasami przychodzący nocą partyzanci wypytywali, jacy dla nas, Polaków, są Ukraińcy. Ojciec zawsze chwalił te relacje. Kiedyś po akcji w naszym domu pojawił się nocą jakiś ranny partyzant z sanitariuszką. Mama pomagała opatrywać ranę ramienia. Ja trzymałam świeczkę. Okna były szczelnie zasłonięte specjalnym czarnym papierem. Na drugi dzień, gdy jeszcze spaliśmy, pojawiła się policja ukraińska, gdyż we wsi był posterunek takiej policji. Wypytywali o partyzantów. Mama zdecydowanie zaprzeczyła. „Ale wchodzili do waszego domu". „Nikogo u nas nie było" - usłyszeli w odpowiedzi. Na szczęście poszli sobie.

Pamiętam pożar wioski w okolicach Zabłocia (nie pamiętam jej nazwy) spalonej przez Niemców w ramach działań przeciwko partyzantom. Podobno się tam ukrywali. Spłonęło w tej wsi kilkanaście domów krytych strzechą. Pozostały tylko same szkielety. Byliśmy później oglądać to pogorzelisko. W jednym z domów widziałam zwęglone zwłoki mężczyzny, który ukrył się za drzwiami wejściowymi do domu. Siedział w kucki z wyciągniętymi przed siebie rękoma opartymi na kolanach.

Pewnej nocy długo krążył nad Zabłociem samolot. Nie potrafię określić, który to był rok. O wpół do dwunastej przed północą, nad lasami, rozbłysły rakiety. Samolot wylądował na dużej łące pośród lasów. Do ojca przybiegł sołtys. „Strzyżewski, zbieraj się, dostałem telefon. Musimy zorganizować ludzi i jechać na pomoc". Rano wpadłam na pomysł, aby z bratem i synem Miszki pobiec do lasu zobaczyć ten samolot. Idąc piaszczystym traktem po śladach, jakie zostawił samochód wiozący ludzi, wśród których był nasz ojciec, bez trudu dotarliśmy na miejsce. Cieszyliśmy się, że udało się odnaleźć samolot. Niemcy byli zdziwieni, skąd się wzięły w tym miejscu dzieci. Ojciec po niemiecku powiedział: „To moje dzieci". Kazali się skryć w wykopanym dole, aby nic się nam nie stało. Był to wielki, sześciomotorowy samolot, któremu odpadł jeden silnik. Przewoził rannych żołnierzy do szpitala w Białej Podlaskiej, ale nie zdołał dolecieć, lądując w tej okolicy. Tata później nam opowiadał, jak wyglądali ci ranni. Niektórzy byli bez rąk. Samolot wewnątrz był bardzo zakrwawiony. Płakaliśmy, przyglądając się rannym. Gdy samolot był już opróżniony po ewakuacji, tata poprosił Niemca, czy może pokazać wnętrze samolotu swoim dzieciom. Ten zgodził się. Po raz pierwszy zobaczyliśmy, jak wygląda wnętrze samolotu. Widziałam też wtedy ściany samolotu ubrudzone krwią.

Trudno mi operować datami, ale pamiętam obrazy, które utrwaliły się w mojej pamięci. Przypominam sobie dwie kobiety z domu koło wiatraka, które miały potrzaskane odłamkami pużyty (pośladki – przyp. red.). Odwieziono je do szpitala w Białej Podlaskiej. Wcześniej też była tam nasza mama, leczona na zapalenie płuc, przywieziona z Zabłocia. Pracował tam wysiedlony z Gniezna doktor Michałowski. Dzięki niemu mama przeżyła. Pod poduszkę podkładał mamie tabletki, pokazując na migi, palcami, ile ma ich zażywać. Ale pacjenci tam się buntowali. Pytali, dlaczego doktor przychodzi ciągle do tej pani? Bał się o swoje bezpieczeństwo. Udawał, że sprawdza tętno, czy pacjentka jeszcze żyje.

Często w naszym domu w jadłospisie były „placki na kołach". Kuchnia posiadała cztery otwory na garnki, przykrywane kompletem obręczy redukcyjnych, które dopasowywało się w zależności od średnicy garnka, wpuszczanego nad palący się ogień. Przykrytą

płytę wycierało się do czysta ściereczką i na tych kołach układało się wyrobione i rozwałkowane butelką, na cienkie placki, ciasto (mąka, woda, soda, sól). Wypieczone, chrupiące placki zajadaliśmy ze smakiem.

W lipcu 1944 roku Niemcy przygotowywali się do obrony przed nacierającą Armią Czerwoną. Przeszkodą naturalną była rzeka Bug. Na jej lewej stronie, pomiędzy Zabłociem a Kodniem, Niemcy zbudowali trzy linie obrony składające się z umocnień ziemnych, budowanych od dłuższego czasu przez miejscową ludność. Do tych prac zabierali naszego ojca i wielu mieszkańców Zabłocia i całej okolicy. Na tym odcinku trwały zacięte walki. Rosjanie użyli nawet lotnictwa. Wiadomo było, że Niemcy nie zdołają się obronić. Niektórzy z nich, wątpiąc w skuteczność obrony, próbowali oddalić się z armii, przebierając w cywilne ubrania. Taki właśnie żołnierz pojawił się na naszym podwórku, prosząc mamę o cywilne ubranie. Mama odpowiedziała, że od wczoraj nie wrócił mąż, zabrany do prac przy umocnieniach, a tylko on posiada jedyne w tym domu męskie ubranie. Wyszedł na drogę i tuż za wsią zginął od przypadkowej bomby zrzuconej z przelatującego rosyjskiego samolotu. Szybko pozbawili go portfela, złotego zegarka i obrączki pierwsi z Ukraińców, którzy pojawili się przy ofierze. Od takich bomb zostały ranne kobiety, o których wcześniej wspominałam. Za naszą stodołą powstały trzy potężne doły po bombach, które uszkodziły wiatrak i wieżę obserwacyjną.

Pamiętam, że gdy do wsi wkraczali Rosjanie, byliśmy już w komplecie. Ojciec zdążył powrócić z robót. Siedzieliśmy z ukraińskimi sąsiadami w naszej solidnej piwnicy. Ojciec w tym czasie doił krowy. Przyniósł to świeże mleko do piwnicy i każdego częstował. Wszyscy pili ze smakiem, zdmuchując piankę.

Na naszym podwórzu ulokowała się kuchnia polowa. Wśród kucharzy kręcił się 15-16 letni polski chłopak Jasiu. Czyścił karabiny. Nawiązaliśmy rozmowę. Zapytał o moich rodziców. „Są w domu. Chodź, zobaczysz". „Nie wolno nam wchodzić do domu".

- Ja nie mam rodziców - powiedział po chwili milczenia - Moi rodzice i bracia są w studni. Kamienie na nich rzucali, by nie wyszli. Dopiero znacznie później zrozumiałam, że temu chłopakowi, gdzieś za Bugiem, Ukraińcy zamordowali rodziców i braci, a wojsko przygarnęło sierotę. Wtedy dałam mu swój adres, on dał swój. Ale chyba i on go zgubił i ja zgubiłam. Do dziś nie wiem, co się z nim stało. Tydzień stali u nas i pojechali dalej...

Z pobytem w Zabłociu wiąże się jeszcze jedno wspomnienie dotyczące rodziny Pawelców, u których mieszkaliśmy. W czasie żniw w 1944 r. władze sowieckie zwołały wszystkich mężczyzn na zbiórkę koło gminy. Wuja Pawelec, bo tak wszyscy na niego wołaliśmy, pracował w polu. Nie było dyskusji, wszyscy musieli się stawić. Rosjanie wybrali młodych mężczyzn i załadowali na stojącą ciężarówkę. Wśród nich znalazł się wuj w białej koszuli i jego brat. Poszliśmy z całą grupą dzieciaków i rodziną zobaczyć, co się dzieje. Wśród nas były dwie córki wuja. Biegliśmy za odjeżdżającą powoli ciężarówką. Wuj siedział na końcu, po lewej stronie, i machał nam na pożegnanie. Auto zniknęło w lesie. Gdy przejeżdżali pod gałęziami sosen, brat Pawelca chwycił za jedną z nich. Zeskakując z wysokości, uciekł do lasu. Dzięki temu przeżył. Mężczyzn z samochodu wcielono do wojska. Później dotarła wiadomość, że wuj Pawelec zginął podczas walk pod Warszawą.

Musieliśmy czekać, aż działania wojenne przeniosą się za Poznań. Władze proponowały ojcu przejęcie młyna, gdzieś za Zabłociem. Dochodziły wiadomości, że w dziwnych okolicznościach ginęli tam młynarze. Ojciec nie przyjął tej propozycji. Powiedział do mamy,

że wracamy do rodziny, na swoje gospodarstwo, skąd nas wyrzucili Niemcy. Nie odbyło się to jednak w sposób zaplanowany. Było to wiosną 1945 roku. Mieszkaliśmy nadal u Pawelców. W południe przybiegł sołtys i mówi: „Strzyżewski, musicie uciekać. Jeśli do rana nie wyjedziecie, będziecie wszyscy zamordowani. Polaków mordują". Zaczęły się gorączkowe przygotowania. Całe popołudnie pakowaliśmy się. Przychodzili sąsiedzi, Ukraińcy, przynosząc różne rzeczy na drogę, przede wszystkim żywność. Żegnaliśmy się serdecznie, a ile płaczu przy tym było!… Mogę teraz podziękować mieszkańcom Zabłocia za życzliwość w czasie naszego pobytu i za to, że wyposażyli nas w żywność na drogę. Dostaliśmy dwa worki solonej słoniny, bardzo przydatnej w podróży. Była to nasza waluta, którą płaciliśmy w drodze. Rano, o szóstej, ruszyliśmy wozami na stację w Terespolu. Odwozili nas sąsiedzi.

Na stacji stał pociąg z wagonami towarowymi, podobnymi do tych, którymi przyjechaliśmy. Ojciec poszedł na rozmowę z maszynistą, zabierając ze sobą odpowiednią ilość otrzymanej w Zabłociu słoniny. Okazało się, że pociąg jedzie do Poznania i jeszcze dalej. Wprawdzie nie ma pozwolenia na zatrzymanie pociągu we Wrześni, ale zaproponował, że zwolni do tak małej prędkości, abyśmy zdążyli wyrzucić bagaże i wyskoczyć z pociągu. To nam bardzo odpowiadało. Sprawnie minęła cała podróż, a we Wrześni było tak, jak powiedział maszynista. Rodzice zdążyli wysadzić dzieci i wyrzucić nasz niewielki dobytek. Ojciec udał się do wuja, swojego kuzyna, który miał rozlewnię piwa przy browarze we Wrześni. Ten, znając miejscowych ludzi, wynajął furmana, który zgodził się zawieźć nas do Niechanowa. Po raz drugi sprawdziły się nasze środki płatnicze. Woźnica bardzo ucieszył się z zaproponowanej formy zapłaty. „Po co mi pieniądze, nie mają teraz wartości, a jedzenie przyda się rodzinie".

Gdy dotarliśmy do Niechanowa i wjeżdżaliśmy na swoje gospodarstwo, spotkała nas niemiła niespodzianka. Przy wjeździe na podwórze stała budka wartownika, a w niej znajdował się sowiecki żołnierz.

- Przyjechaliśmy do swojego gospodarstwa, z którego wyrzucili nas Niemcy w 1940 r.- powiedział ojciec.

- Nielzia"- usłyszeliśmy - Teren wojskowy.

Cóż mieliśmy począć? Udaliśmy się do sąsiada Jana Wawrzyniaka, który odstąpił nam swój drugi, niezamieszkały dom. Spędziliśmy tam pół roku, zanim Rosjanie opuścili nasze gospodarstwo. Wojsko rosyjskie kwaterowało w gnieźnieńskich koszarach, natomiast u nas urządziło sobie wysuniętą placówkę na przedpolach Gniezna. Stacjonowała tutaj obsługa potężnego reflektora przeciwlotniczego. Każdej nocy włączali ten reflektor i przeczesywali niebo w poszukiwaniu wrogich samolotów. Było tak widno, że można było znaleźć na podwórku nawet igłę.

Tuż po wojnie i po powrocie z zesłania pojawiły się w naszym domu dwie kilkunastoletnie dziewczyny. Załatwiając jakieś sprawy w Gnieźnie, ojciec usłyszał ogłaszane przez megafony komunikaty o możliwości zaopiekowania się bezdomnymi, pozbawionymi opieki rodziców dziećmi i młodzieżą. Zgłosił się więc na dworcu kolejowym do komisji, która dokonywała ewidencji nowych opiekunów. Rodzice zdecydowali się na przyjęcie pod nasz dach dwóch dziewcząt. Były to ok. 16-17 letnia Żydówka o imieniu Otylia oraz nieco młodsza, Niemka Renia. Pierwsza przebywała u nas około pół roku. Pewnego dnia przyszedł od władz nakaz odwiezienia jej do Gniezna, gdyż organizowany był powrót do jej kraju. Niemka

przebywała dłużej. Najpierw u nas, a następnie u brata ojca, w Dalkach. Wyjechała dopiero, gdy miałam ok. 17 lat, a więc ok. 1951 roku.

Z podróży na wschód utkwiło w mojej pamięci wspomnienie mamy, która codziennie wyciągała krzyżyk i modliła się słowami: „Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami! Daj nam chleba!". Szczerze martwiłam się o naszą mamę i bardzo brałam sobie do serca jej wzruszającą modlitwę. Najważniejsze w czasie wojny okazało się wsparcie całej rodziny. Nasz ojciec zawsze bardzo dbał o żonę i dzieci. Dzięki temu, że byliśmy razem, łatwiej mogliśmy przetrwać trudne chwile. Mimo że na drodze napotkaliśmy wiele niebezpieczeństw, wszyscy, w powiększonym o dwie siostry składzie, szczęśliwie wróciliśmy do domu. Tutaj, w Niechanowie, przyszło na świat jeszcze dwoje dzieci Walerii i Zygmunta Strzyżewskich, nasza siostra Lucynka (1946) i brat Stasio (1947).

Życie powoli wracało do normy.

Wspomnienia powstały na podstawie opracowania Weroniki Bartosik, wnuczki Zofii Spławskiej, wyróżnionego przez Ośrodek Karta w 2012 r. w ramach ogólnopolskiego konkursu „Historia Bliska" i rozmowy przeprowadzonej z p. Zofią w dniu 29 sierpnia 2015 r.

Opracowanie redakcyjne: Jerzy Osypiuk.

***Zofia Spławska, z domu Strzyżewska**, ur. 07.04.1934 r. w Niechanowie. Mieszka w Nekli przy ul Polnej 18. Przez wiele lat prowadziła z mężem gospodarstwo rolne i pracowała w Zespole Szkół w Nekli jako woźna. Wychowała dziesięcioro dzieci. Jako wysiedlona i represjonowana podczas drugiej wojny światowej posiada uprawnienia kombatanckie przyznane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych nr PU1/K0616/1109505/001 z dnia 15 września 1998 roku.*

Zofia Spławska

Zygmunt Strzyżewski, ojciec p. Zofii

Zofia i Wawrzyn Kaczmarkowie z Żelazkowa, dziadkowie Zofii Spławskiej

Zygmunt i Waleria Strzyżewscy, rodzice autorki wspomnień

Od lewej Lucyna, Stanisław, Zofia, Helena, Czesia Strzyżewscy. 1954 r.

Franciszek Kordus

Wspomnienia z przeszłości, z lat wojny i okupacji

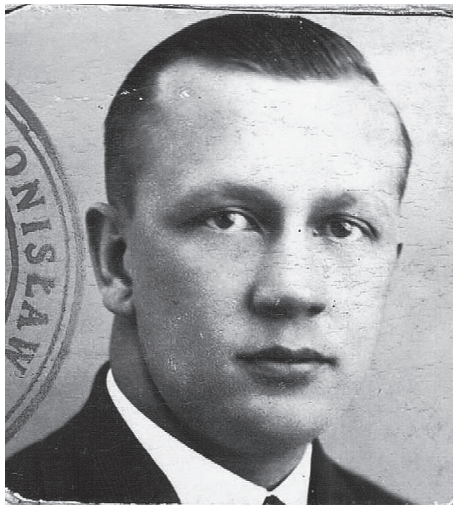

Franciszek Kordus w 1923 r.

Od 1 września 1931 roku pracowałem na stanowisku sekretarza Wójtostwa w Nekli. Z tego tytułu w sierpniu 1939 roku nie zostałem zmobilizowany. Wobec niekorzystnego rozwoju sytuacji na froncie otrzymałem polecenie ewakuowania i zameldowania się do dyspozycji władz polskich w Białej Podlaskiej. Wyruszyłem tam z całą rodziną 5 września 1939 roku wozem konnym, dostarczonym przez majątek Żółtowskich. Razem z nami ruszyli nauczyciele Anna i Gerard Linkowie. Podróż przebiegała bardzo wolno z uwagi na zatłoczone drogi podobnymi do nas uciekinierami, a zwłaszcza przez nękające uciekinierów naloty niemieckiego lotnictwa. Wprawdzie omijały nas pociski, lecz spotykaliśmy zabitych, padłe konie i rozbite pojazdy. Dojechaliśmy w okolice Kutna, jednak dalsza podróż była już niemożliwa z uwagi na zbliżające się wojska niemieckie. Po dwudniowej przerwie postanowiliśmy wrócić do Nekli. Dotarliśmy tutaj około 20 września. Ponieważ Niemcy wzywali Polaków do zgłaszania się w swoich miejscach pracy, zgłosiłem się do Wójtostwa w Nekli. Wójtem, a według niemieckiego nazewnictwa Komisarzem, był już Erich Haüsler, Niemiec ze Starczanowa, który miał tam gospodarstwo rolne. Z uwagi na biegłą znajomość języka niemieckiego w mowie i piśmie, wyniesioną z niemieckiej szkoły, zostałem zatrudniony jako tłumacz i księgowy. Musiałem jednak opuścić zajmowane dotąd mieszkanie służbowe na piętrze w budynku Wójtostwa. Zostaliśmy przekwaterowani do Gierłatowa.

Głównym pomocnikiem Komisarza był Niemiec Kurt Müller, nauczyciel miejscowej szkoły niemieckiej. Chodził ubrany w czarny mundur SS, w czapce z trupią główką. Zorganizował bojówkę złożoną z około 25 młodych Niemców, która nocami napadała na Polaków i ich biła. Pobici zostali między innymi Stanisław i Andrzej Hadadowie - powstańcy wielkopolscy z Nekli, Jan Nowak z Nekielki, Czesław Frąckowiak ze Starczanowa, także powstańcy oraz Tomasz Szczeszyński, robotnik z Nekli. Frąckowiaka skierowano do wiezienia, gdzie w 1940 roku zmarł. Bojówka także zniszczyła stojące w Nekli figury kultu religijnego.

W dzień zabierano tzw. zakładników, którzy musieli wykonywać różne prace porządkowe przy naprawie zniszczeń wojennych. Cofające się oddziały polskie zniszczyły mostek na kanale nekielskim i wiadukt kolejowy w Kokoszkach. Niemieckie naloty zniszczyły stację kolejową w Podstolicach. Bombardowana była także stacja w Nekli, lecz bomby nie trafiły w cel i eksplodowały w polu. Jako zakładników Kurt Müller typował głównie Polaków zajmujących jakieś stanowiska publiczne, przede wszystkim tych, których uznał za niebezpiecznych dla okupanta i przekazywał te informacje do Gestapo. Miał w Nekli dobre

rozeznanie, bowiem pracował tutaj jako nauczyciel od 1932 roku. Znane były przypadki tuż przed wojną, że podsłuchiwał rozmowy pod domami znanych obywateli. Prawdopodobnie z jego wskazania w dniu 18 października dokonano w Nekli aresztowań następujących osób: Ignacego Wróblewskiego - kierownika szkoły, Gerarda Linkego - nauczyciela i drużynowego harcerstwa, Jana Nowaka z Nekielki - prezesa Związku Powstańców Wielkopolskich, Feliksa Walkowiaka z Nekli - sekretarza tego związku i Władysława Kryślaka z Nekli – policjanta, który kontrolował działalność niemieckich organizacji w Nekli przed wybuchem wojny. Wszystkich ich rozstrzelano w publicznej egzekucji na rynku w Kostrzynie 20 października. Łącznie ofiarą egzekucji padło 28 osób z Kostrzyna, Nekli i okolic. W grudniu 1939 roku i wiosną 1940 roku okupant dokonał licznych wysiedleń Polaków do Generalnej Guberni, a także na roboty przymusowe do Niemiec. Wywożonym pozwolono zabierać tylko przedmioty osobistego użytku, które mogli unieść (do 20 kg). Mimo tych prześladowań duch polskości w miejscowym środowisku nie ustępował, a nawet powiększała się solidarność i cementowała jedność mieszkańców.

Okupant zaraz w pierwszych dniach wojny wydał zarządzenie dotyczące zdania przez Polaków posiadanej broni i aparatów radiowych. Niewykonanie tego zarządzenia zagrożone było karą śmierci. Wiem o kilkunastu aparatach radiowych, które zdano. Nie słyszałem o zdanej broni. Kierownik gorzelni w Nekli Aleksander Bromer zatrzymał aparat radiowy, ukrył go w gorzelni i potajemnie odbierał wiadomości, które następnie były rozpowszechniane ustnie wśród zaufanych osób. Kolporterami tych wiadomości byli między innymi Franciszek Zmyślony, prowadzący sklep spożywczy w Nekli, a gdy Niemcy mu go zabrali, pracował jako robotnik w gorzelni. Kolporterami byli także leśniczy Aleksy Odrobny, rolnik Kazimierz Szumigała - przedwojenny sołtys Nekli, a także inni, których już nie pamiętam. Bromer został nakryty podczas słuchania radia przez niemieckiego akcyźnika, lecz zdołał zbiec i ukrywał się na terenie powiatu słupeckiego. Po wykryciu jego kryjówki próbował ponownie uciekać, lecz został zastrzelony przez żandarmów.

Początkowo, po rozpoczęciu wojny, nie działała w Nekli żadna organizacja konspiracyjna. Pierwszym przejawem oporu był kolportaż pism podziemnych; gazetek i biuletynów tworzonych na podstawie nasłuchów radiowych. Jednym z pierwszych kolporterów gazetek był Michał Krause z Gierłatowa, którego ojciec tam prowadził tam sklep. Krause po wojnie wyprowadził się do Kłodzka i tam zmarł. Innymi kolporterami gazetek i wiadomości byli dróżnik Marcin Wojciechowski z Nekli i Antoni Kurpik, rolnik przesiedlony z Małej Górki do Gierłatowa. Ja także brałem w tym udział. Na przełomie lat 1939-40 organizowano w Nekli i okolicy zbiórkę pieniężną na pomoc dla rodzin po zaginionych lub przebywających w obozach jenieckich żołnierzy, a później także dla więźniów obozów koncentracyjnych. Organizatorami zbiórek byli Michał Krause, Franciszek Koperski - właściciel tartaku w Nekli, Wincenty Kaszyński, dróżnik z Nekli, Stanisław Waczyński, zajmujący się badaniem mięsa w Nekli, fryzjer Andrzej Wróblewski z Nekli i ja. Waczyński odznaczał się gorącym patriotyzmem i już przed pierwszą wojną światową był członkiem Sokoła w Westfalii. Zebrane datki Michał Krause przekazywał do punktu w Środzie, początkowo była to Wielkopolska Organizacja Wojskowa, a później Związek Walki Zbrojnej. Nazwisk odbiorców nie znałem. W 1940 roku organizatorzy zbiórek w Środzie zostali aresztowani i zaprzestano tej działalności. Niektórzy mieszkańcy, np. Stanisława Majewska z Nekli, wysyłali wtedy indywidualnie

paczki żywnościowe do uwięzionych, co wymagało jednak indywidualnej zgody posterunku policji niemieckiej.

Michał Krause nawiązał także łączność z wydawcami konspiracyjnych *gazetek* w Środzie i pojawiały się one na naszym terenie. Gazetka o nazwie „Dla Ciebie Polsko" była zapisana pismem maszynowym, odbijanym na powielaczu. Cieszyła się dużą popularnością.

W 1940 roku aresztowany został Edward Głębocki, ukrywający się w Nekli, a pracujący jako pomocnik murarski. Przed wojną był sekretarzem Wójtostwa najpierw w Nekli, a później w Bronisławiu. Po aresztowaniu więziono go w Jarocinie, a następnie skierowano do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, gdzie szczęśliwie przeżył i powrócił po wojnie do Nekli.

W 1940 roku Niemcy wydali zarządzenie, że każdy Polak zobowiązany jest zarejestrować się w biurze meldunkowym i zaopatrzyć w dowód tożsamości, tzw. Fingerabdruck. Dokument ten składał się z dwóch części, jedną posiadał Polak, a druga zostawała w biurze meldunkowym.

Podczas wypełniania tych druków byłem zatrudniony jako tłumacz. Przy tej okazji Niemcy chcieli wyłowić polską inteligencję, gdyż należało podać wykształcenie, zawód, stopień wojskowy itp. Przyjmując te zgłoszenia, w wielu wypadkach ostrzegałem składających w celu ukrycia pewnych informacji. Między innymi zwróciłem taki wniosek ppor. Józefowi Kwiatkowi przebywającemu u rodziców w Gierłatowie. Był nauczycielem i oficerem, co groziło prześladowaniem. Znalazł zatrudnienie jako robotnik w przedsiębiorstwie łączności w Poznaniu. Dzięki przepustce, którą mu wystawiłem, mógł przyjeżdżać pociągiem do Gierłatowa. Był on czynnym działaczem w ruchu oporu. Przywoził z Poznania konspiracyjne ulotki na nasz teren. Po wojnie Józef Kwiatek został rektorem Uniwersytetu Poznańskiego, prezesem Zarządu Głównego ZNP i posłem.

W ciągu 1940 i wiosną 1941 roku dokonywano dalszych wysiedleń bogatszych rolników, a na ich miejsce sprowadzano Niemców z Wołynia. Na kilkanaście godzin przed planowaną wywózką poznałem nazwiska osób zaplanowanych do wysiedlenia. Przekazałem tę wiadomość Michałowi Krausemu, a ten zdołał ostrzec niektórych z nich. Dzięki temu mogli ukryć cześć dobytku u rodziny lub sąsiadów, którym nie groziła wywózka, gdyż mieli tylko po 2-3 hektary. Krause ostrzegł np. Wojciecha Jóźwiaka z Kokoszek.

W czasie przesiedlania Polaków do Nekielki został przesiedlony Klemens Szczepański, kierownik szkoły w Gieczu i oficer wojska polskiego. Otrzymał pracę jako robotnik drogowy w obrębie drogomistrzówki Zasutowo. Drogomistrzem tam był volksdeutsch Reimer, który przed wojną był zawodowym podoficerem w pułku saperów w Poznaniu. Przyjmował do pracy Polaków ukrywających swój zawód, np. nauczycieli, jednego księdza z okolic Zaniemyśla. Do polskich pracowników odnosił się życzliwie. W miarę możliwości pomagał. W okresie późniejszym informował o stratach Niemców na froncie, a zaufanych dopuszczał do słuchania wiadomości radiowych.

W latach 1942-43 na terenie Nekli Niemcy zorganizowali obóz pracy przymusowej dla Żydów, którzy budowali drugi tor kolejowy na odcinku od Swarzędza do Strzałkowa. W Swarzędzu był drugi obóz. Żydzi pochodzili głównie z okolic Łodzi. Pracowali, bez względu na warunki pogodowe, codziennie przez 12 godzin. Wszystko wykonywali ręcznie, a wyżywienie dostawali bardzo skromne. Wielu z nich zmarło z wycieńczenia, a inni zostali zamordowani w trakcie pracy za jakiekolwiek uchybienia. W obozie było ich około trzystu i liczba

ta była stale uzupełniana. Zmarłych i zamordowanych więźniów chowano na ziemi kościelnej przy drodze w kierunku Czerniejewa. Po wojnie ciała ich ekshumowano i przewieziono prawdopodobnie na cmentarz w Poznaniu. W pobliżu miejsca pochówku mieszkaniec Nekli, Władysław Kopeć, posadził kilka brzóz, aby oznaczyć ich mogiłę. Miejscowa ludność z narażeniem życia pomagała Żydom, podkładając w miejscach ich przemarszu do pracy jedzenie w postaci gotowanych ziemniaków w mundurkach, chleba itp. Było to niebezpieczne dla obu stron, gdyż przyłapany Polak narażał się na aresztowanie, a więzień przy pierwszym przypadku posiadania żywności był bity, a gdy to się powtórzyło, karany był karcerem lub nawet wieszany za niesubordynację i przekroczenie regulaminu.

W 1942 roku założono w biurze meldunkowym osobną ewidencję zmarłych Żydów. Odnotowano w niej 166 nazwisk, lecz liczba zabitych była znacznie wyższa, gdyż po wojnie ekshumowano ponad 300 ciał, a i ta liczba jest niepełna, gdyż nie wszyscy byli wywiezieni na miejsce zbiorowego pochówku. Kilkakrotnie zdarzyły się wypadki próby ucieczki w czasie pracy. Organizowano wtedy pościg za zbiegiem, do którego np. w Gierłatowie włączyli się miejscowi Niemcy. Gdy zbiega dopadli, to z reguły były to ostatnie chwile jego życia.

W 1941 roku wrócił z niemieckiej niewoli chory Edward Frąckowiak, podoficer wojska polskiego. Pochodził z Gąsiorowa, lecz w międzyczasie jego rodzinę przesiedlono do Nekielki. W tym samym okresie jako robotnik rolny pracował, ukrywający się leśnik z Podstolic, Mieczysław Przychodniak. Zamieszkiwał w Brzeźnie u swego szwagra Bronisława Wiśniewskiego, rolnika przesiedlonego z Trzeka. Wiśniewski pracował jako robotnik leśny w Gułtowach. W lesie tym pracował także Alfred Furmański, pseudonim Hoffman, który był oficerem zawodowym. Zawiązał on grupę konspiracyjną wchodzącą w skład Armii Krajowej. Należeli do niej między innymi Wiśniewski i Przychodniak. Grupa ta wchodziła w skład kompanii kostrzyńskiej, podporządkowanej dowództwu w Środzie. Początkowym zadaniem grupy był werbunek nowych członków gotowych do walki z okupantem.

W maju 1941 roku spaliła się obora i stodoła w gospodarstwie Niemca sprowadzonego z Wołynia do Małej Górki. Było to gospodarstwo rodziny Majchrzaków. Niemcy uznali to zdarzenie za akt sabotażu i dokonali aresztowań kilkunastu mieszkańców. W areszcie znaleźli się: Kazimierz Szumigała, Jan Wachowiak, Marian Wysocki, Stanisław Twarożek z Nekli, Wincenty Domagała z Zasutowa, Antoni Kurpik z Gierłatowa, Antoni Urbaniak ze Stępocina, Andrzej Cierzniewski i Leon Hyży z Małej Górki, Tomasz Siwek oraz bracia Franciszek i Jan Majchrzakowie. Aresztowanych przewieziono na Gestapo do Poznania, a następnie do Fortu VII. Stamtąd grupę 30 więźniów przywieziono do Małej Górki i tutaj na miejscu pożaru rozstrzelano 25 osób. Z mieszkańców naszej gminy zastrzelono Cierzniewskiego, Domagałę, Hyżego, Siwka i braci Majchrzaków. Pozostali rozstrzelani byli prawdopodobnie pierwszy raz w Małej Górce. Aresztowanych z Nekli Wachowiaka, Urbaniaka i Wysockiego po egzekucji zwolniono do domu. Szumigałę, Twarożka i Kurpika zabrano ponownie do Fortu VII, lecz po kilku tygodniach ich także zwolniono.

Po kapitulacji Francji można było obserwować wielką radość wśród mieszkających w Nekli Niemców. Po pewnym czasie, w roku 1940 i na początku 1941, zaczęto obserwować ruch wojsk niemieckich na wschód. W tym czasie została na terenie Nekli zorganizowana komórka Armii Krajowej. Inspiratorem powstania plutonu był Bronisław Wiśniewski współpracujący z Klemensem Szczepańskim. Wiśniewski miał styczność z Alfredem Furmańskim, który występował tylko pod nazwiskiem Hoffman i pełnił funkcję dowódcy kompanii

średzko-kostrzyńskiej. Pod koniec 1941 roku został zorganizowany pluton AK w Nekli pod dowództwem ppor. Klemensa Szczepańskiego. Ja zostałem rzeczywistym członkiem AK w marcu 1942 roku, choć przedtem już z nimi współpracowałem, udzielając informacji o nazwach jednostek wojskowych niemieckich, które w drodze na wschód stacjonowały przez kilka dni w okolicy Nekli. Werbowanie odbywało się w ten sposób, że tworzono trójki - dla przykładu Franciszek Kordus został zwerbowany przez Klemensa Szczepańskiego i zaprzysiężony w jego obecności przez Bronisława Wiśniewskiego. Tylko ta trójka znała swoje powiązania z AK, pozostali nie byli wtajemniczeni. Każdy z danej trójki miał obowiązek zwerbować następnych dwóch członków. Zwerbowałem Wincentego Kaszyńskiego i Franciszka Koperskiego. O przynależności innych dowiedziałem się w trakcie śledztwa i później, gdy razem siedzieliśmy w obozie koncentracyjnym. Wiem, że rzeczywistymi członkami AK byli Czesław Stanisławski, robotnik leśny z Nekielki, Edward Frąckowiak, rolnik z Nekielki, Stefan Frąckowiak z Siedleczka, Kubiak, robotnik kolejowy z Brzeźna, Deryngowski, robotnik kolejowy z Brzeźna, Szczepan Majewski, ślusarz z Gułtów, Eligiusz Królak z Gułtów, Widelicki z Siedlca, Michał Krause z Gierłatowa, Wincenty Kaszyński i Franciszek Koperski z Nekli, Antoni Kurpik z Gierłatowa. Członkami, względnie sympatykami jak i współpracującymi z AK było o wiele więcej osób, jednak nie wszystkie nazwiska zostały ujawnione. Do współpracujących należeli: nauczycielka Seweryna Szczepańska, ksiądz Wacław Pszyniczyński, wówczas kleryk V roku seminarium, który pracował w biurze niemieckiego „Rolnika", Wojciech Jóźwiak i jego szwagier Pocentek, leśniczy pracujący jako robotnik. Znacznej pomocy udzielał leśnik Franciszek Poddany z leśniczówki Podstolice, gdzie ukrywano osoby przechodzące na wschód. Pomocy udzielał także piekarz Kazimierz Burzyński, a także inni, których nie znałem. Trzeba również dodać, że znajdowali się i zdrajcy współpracujący z okupantem. Jednym z nich był Michał X., który przybył do Nekli z Mosiny w 1939 roku. Miał wyrok skazujący za defraudację w tamtejszym nadleśnictwie. Donosił Komisarzowi i żandarmerii. Po wyzwoleniu uciekł do Szczecina, gdzie rzekomo zginął.

Zadaniem członków AK było obserwowanie niemieckich transportów wojskowych, ich uzbrojenia, a w miarę możliwości ich liczebności, wozów pancernych, obserwowanie ewentualnych katastrof lotniczych. Raporty takie składano dowódcy plutonu, którym w Nekli był Klemens Szczepański, a jego zastępcą Bronisław Wiśniewski. Po klęsce Niemców pod Stalingradem nastąpiło przygotowanie w organizacji do wysadzania mostów, względnie pociągów na linii kolejowej Poznań - Warszawa i Poznań - Gniezno, jak również przygotowywano się do akcji sabotażu, gdy będzie następował odwrót wojsk niemieckich.

W systemie działalności konspiracyjnej AK znajdowali się łącznicy, których zadaniem było dowożenie ulotek i meldunków do Kostrzyna, Środy, Wrześni lub Gniezna. Takim łącznikiem w placówce w Nekli był Czesław Stanisławski, robotnik leśny z Nekielki oraz Mieczysław Przychodniak, który dowoził mleko z Brzeźna do mleczami w Kostrzynie.

Każdy Polak w czasie okupacji chcąc się przemieszczać, musiał posiadać odpowiednią przepustkę /Passierschein/. Takie przepustki dostarczałem łącznikom, gdyż pracując w niemieckim urzędzie, miałem dostęp do druków i pieczątek, a czasem sam je oficjalnie wypisywałem na zlecenie nadzorującego mnie Niemca. Stanisławski w śledztwie nie zdradził, od kogo posiadał przepustki, a osadzony w obozie koncentracyjnym nie przetrwał podany torturom i zginął.

Podczas okupacji kościoły na terenie Nekli i okolicy były zamknięte, a księża osadzeni w obozach koncentracyjnych. Jedyny czynny kościół był w Czerniejewie. Można było do niego iść pieszo, posiadając odpowiednią przepustkę, której z reguły nie wydawano w tym celu. Wiele spraw religijnych na terenie Nekli załatwiał potajemnie ksiądz Pszyniczyński (np.chrzcił dzieci).

Aktywność nekielskiego plutonu AK koncentrowała się nie tylko na kolportażu ulotek, czy zbieraniu informacji o ruchach wojsk niemieckich. Starano się pomagać rodzinom, których żywiciele osadzeni byli w więzieniach i obozach. Udzielano pomocy także jeńcom, którym udało się zbiec z niemieckich obozów i którzy próbowali przedostać się na wschód. Rolnik, Edward Frąckowiak, członek naszej organizacji z Nekielki, był jednym z tych, którzy pomogli zbiegłym więźniom. Było to jesienią w roku 1943. Gdy orał ziemię pod lasem, wyszło do niego dwóch zabiedzonych mężczyzn nieznających języka polskiego i na migi prosili o jedzenie. Frąckowiak obiecał dostarczyć wieczorem jedzenie na umówione miejsce pod lasem, gdyż obawiał się niemieckiej prowokacji. Zdarzały się bowiem takie przypadki, że agenci niemieccy udawali zbiegów, a gdy Polak udzielił im pomocy, zgłaszali ten fakt żandarmerii. W tym przypadku byli to jednak autentyczni jeńcy radzieccy zbiegli z transportu. Frąckowiak przez dwa dni karmił ich, a następnie nakreślił im drogę dalszej ucieczki na wschód.

Dla przygotowania się do przyszłych akcji sabotażowych potrzebowaliśmy broni. Dlatego za pośrednictwem dowództwa AK w Poznaniu i dowództwa głównego na kraj mieliśmy otrzymać broń drogą zrzutu z samolotu alianckiego. W przyjęcie zrzutu pluton nekielski nie był zaangażowany. Zadanie to wykonywały średzka i kostrzyńska placówka AK. Termin zrzutu podano z Londynu w zakonspirowany sposób w audycji radiowej w języku polskim. Zdarzenie miało miejsce w nocy z 14 na 15 września 1943 r. na przygotowane wcześniej zrzutowisko położone pod lasem w Janowie. Zrzut został przyjęty i zamaskowany. Jednakże samolot dokonujący zrzutu trzykrotnie nadlatywał nad miejsce akcji. Zwróciło to uwagę okolicznych Niemców, którzy zaalarmowali policję. Na tej podstawie następnego dnia Niemcy rozpoczęli przeszukiwanie lasu. Jeden z poszukujących przypadkowo chwycił świeżo posadzony krzew, który maskował kryjówkę i sprawa się wydała. Dokładne przeszukiwanie terenu ujawniło dalsze miejsca ukrycia broni. Niemcy natychmiast aresztowali wszystkich robotników leśnych, a w tym Furmańskiego. Śledztwo trwało całą zimę 1943/44. Jeden z aresztowanych, Wincenty Chałupka, zdołał uciec z obozu w Żabikowie, ale otoczony w majątku Wysławice został zastrzelony przy próbie dalszej ucieczki. Kolejne aresztowania nastąpiły w kwietniu 1944 roku, kiedy to na naszym terenie został aresztowany Bronisław Wiśniewski. Druga fala aresztowań nastąpiła 3 maja 1944 roku. Z rejonu Nekli zabrano wówczas Klemensa Szczepańskiego, Czesława Stanisławskiego, Mieczysława Przychodniaka, Gajewskiego z Siedleczka, Stefana Frąckowiaka z Siedlca i mnie. Aresztowanych w Nekli zawieziono do Środy, gdzie już było około 15 osób aresztowanych w Środzie i okolicy. Późnym wieczorem około 30 osób przewieziono do Poznania do siedziby Gestapo w Domu Żołnierza. Tam, po sprawdzeniu personaliów, umieszczono nas w piwnicy i zaczęto maltretować, o ile ktoś nie zdołał szybko podporządkować się nadzorującym nas gestapowcom. W nocy przewieziono nas do obozu w Żabikowie. Z krzykami rozładowano z więźniarki, ustawiono w szeregu przed budynkiem tzw. łaźni. Po ostrzyżeniu włosów, kąpaniu wszystkich kolejno w tej samej wannie wypełnionej lizolem, a następnie zagoniono pod natrysk wody gorącej

i zimnej, bito pejczami i kopano tych, którzy spóźniali się z wyjściem z łaźni. Umieszczono nas w obozie dla więźniów politycznych i przydzielono do baraków w taki sposób, aby nie można było się kontaktować z tymi więźniami, którzy byli aresztowani wcześniej. Umieszczono nas w pomieszczeniu o powierzchni około 35 metrów kwadratowych, a przebywało w nim około 90 osób. Pomieszczenie było bez łóżek i ubikacji. Nie było też opieki medycznej. W dzień pracowaliśmy przy pleceniu sznurów lub pasów, a kto nie wyrobił normy, otrzymywał mniejszy przydział żywności. Jedzenie składało się rano z pajdy czarnego chleba i kawy zbożowej, na obiad zupy z brukwi lub suszonych buraków, a na kolację z kawy bez chleba. W tym samym baraku w dzień pracowano, a z nastaniem zmroku kładziono się spać w odzieży, którą nosiliśmy na sobie i w której byliśmy aresztowani. Szczęśliwi byli ci, którym z domu przysłano koc, bo mogli się na nim położyć, a w nocy nim przykryć. Jeśli ktoś musiał w nocy wychodzić za potrzebą fizjologiczną do wiadra, które stało przy drzwiach, to już na swoje miejsce nie mógł powrócić i musiał przy tych wiadrach przesiedzieć do rana. Rano pobudka była o godzinie 6–tej. Zaraz po niej pędzono nas do ubikacji, a stamtąd do umywalni. Kto się nie pospieszył i nie zdążył się umyć, był karany. Na ten cel wyznaczano nam 15 minut. Pomieszczenie było tak wąskie, że mieściło się w nim około 50 osób, a więźniów było w każdym baraku znacznie więcej.

Śledztwo naszej grupy trwało przez maj i czerwiec. Byłem przesłuchiwany w Domu Żołnierza w Poznaniu, dokąd dowożono nas więźniarką. Na pierwszym przesłuchaniu do niczego się nie przyznawałem, wiec sprowadzono mnie do piwnicy i tam pobito do utraty przytomności. Okaleczono mi głowę, miałem dwie rany. Blizny są widoczne do dzisiaj. Ponieważ po odzyskaniu przytomności w dalszym ciągu trwałem przy swoim, dano mi spokój i odwieziono do Żabikowa. Po tygodniu ponownie byłem przesłuchiwany w Poznaniu, a ponieważ dalej do niczego się nie przyznawałem, znów zostałem pobity i boksowany po żołądku do utraty przytomności. Po odzyskaniu przytomności wprowadzono do pomieszczenia kaźni jednego ze znanych mi współwięźniów i dokonano konfrontacji, pytając, czy go znam. Po moim potwierdzeniu, że jest mi znany, tenże zwrócił się do mnie, zachęcając, abym się przyznał do przynależności do AK. Po moim potwierdzeniu, że byłem członkiem organizacji, ale w niej nie działałem, co współwięzień potwierdził, nakazano mi podpisać protokół bez odczytania treści. Po tygodniu byłem jeszcze raz przesłuchiwany, żądano, abym podał szczegóły działalności w AK w terenie. Ponieważ nie przyznawałem się do żadnej działalności, zostałem ponownie obity i skopany w pokoju przesłuchującego, oświadczono mi, że jestem uznany za niebezpiecznego osobnika dla Rzeszy Niemieckiej i zostanę przez sąd ukarany za wrogą działalność. Sądu tego jednak nie doczekałem do końca wojny. Współwięzień, który mnie wydał, przyznał mi się w Żabikowie, że nie mogąc znieść katuszy, jakim był poddawany, ujawnił moją przynależność do AK.

W dniu 29 czerwca 1944 roku wraz z grupą więźniów, w tym z kolegami Szczepańskim i Przychodniakiem oraz innymi z powiatu średzkiego, Poznania i okolicy, zostaliśmy przewiezieni do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. W celu kwarantanny pozwolono nam zatrzymać koszule, w których chodziliśmy w dzień i w nocy na bloku nr 17. Warunki higieniczne nie były lepsze niż w Żabikowie, gdyż był to blok przewidziany tylko dla nowych więźniów na okres kwarantanny. Po 14 dniach i badaniu lekarskim przeznaczono nas do pracy w kamieniołomach w filii obozu Mauthausen. Miejscowość była odległa o około 400 km od obozu głównego i nazywała się Loibl-Pass. Pracowaliśmy w Alpach na wysokości

około 500-600 m nad poziomem morza, przebijając tunel od strony Austrii do Jugosławii. Miał on skrócić drogę, gdyż dotychczas pojazdy musiały pokonywać tu przełęcz o wysokości ponad 1000 m. Roboty trwały dzień i noc po 12 godzin i prowadzone były z dwóch stron, od Austrii i Jugosławii. Tunel ukończyliśmy w marcu 1945 roku. Przekazano nas wtedy do dyspozycji wojska, w celu kopania w górach rowów przeciwpancernych dla zahamowania wojsk radzieckich. Mogę stwierdzić, że warunki na robotach w górach, a także w Loibl-Pass, były znośniejsze niż w Żabikowie. Były też lepsze warunki higieniczne, każdy miał pryczę do spania, a w łaźni była ciepła woda. Można też było otrzymywać paczki żywnościowe z domu. W obozie była zorganizowana samoobrona, w której przewodzili więźniowie rosyjscy, francuscy i polscy. Prawdopodobnie gestapo uzyskało jakieś informacje o tym, gdyż w październiku 1944 roku wywieziono od nas wszystkich Rosjan do macierzystego obozu w Mauthausen, gdzie zostali zgładzeni.

W dniu 7 maja 1945 roku zostaliśmy wszyscy zgromadzeni na placu, gdzie oświadczono nam, że w południe wyruszamy pieszo do obozu głównego w Mauthausen. Jako wyżywienie przydzielono każdemu pół kilograma chleba i puszkę konserw. Każdy mógł zabrać koc. Zapowiedziano równocześnie, że każda próba ucieczki będzie ostrzelana bez ostrzeżenia. W obozie zostali tylko chorzy. Ich dalszy los jest mi nieznany. W dniu 8 maja, po przejściu około 25 km, nasz transport został zatrzymany i ostrzelany z góry przez partyzantów jugosłowiańskich. Po wycofaniu się strażników niemieckich zostaliśmy uwolnieni. Za strażnikami zorganizowano pościg i kilku z nich zostało zabitych. Po uwolnieniu powiedziano nam, że możemy wracać do domu, lecz nie radzono iści przez Austrię, gdyż w Wiedniu jeszcze trwają walki. Partyzanci proponowali przyłączenie się do nich w celu dalszej walki z Niemcami. Kilkudziesięciu Polaków i Czechów dołączyło do partyzantów. Pozostali następnego dnia, po nakarmieniu przez partyzantów, zostali skierowani na południe. Maszerowaliśmy grupami po kilkadziesiąt osób. Po przejściu kilkunastu kilometrów napotkaliśmy kolumnę czołgów amerykańskich. Zostaliśmy przez wojsko amerykańskie skierowani pociągami do Włoch, gdyż była z nami znaczna liczba więźniów narodowości francuskiej, czeskiej i jeszcze z innych krajów. We Włoszech wstąpiłem do armii polskiej generała Andersa. Stacjonowaliśmy w okolicach Rzymu. Wiosną 1946 roku zostaliśmy przerzuceni droga morską do Anglii. Do kraju (Gdyni) wróciłem statkiem w czerwcu 1946 roku.

Wiadomo mi, że w czerwcu 1944 roku Niemcy dokonali w Nekli dalszych aresztowań, a wśród uwięzionych byli leśnik Jan Lecher, Kubiak i Deryngowski z Brzeźna, Eligiusz Królak z Gułtów i inni. Po naszym aresztowaniu działalność konspiracyjna nie została zaprzestana. W dalszym ciągu organizowano pomoc dla rodzin uwięzionych, kolportowano wiadomości z frontów itp. Działalność taką prowadzili Seweryna Szczepańska, Edward Frąckowiak, leśniczy Franciszek Poddany w Podstolicach, dróżnicy Marcin Wojciechowski i Wincenty Kaszyński z Nekli. Nie wszystkim, którzy znaleźli się w obozach, udało się przeżyć.

W obozach koncentracyjnych zginęli mieszkańcy Nekli i okolic: Bronisław Wiśniewski i Jan Lecher w Żabikowie, Czesław Stanisławski w obozie Gross-Rosen, Piotr Stanisławski, ojciec Czesława, w Oświęcimiu, a także Stefan Frąckowiak, Kubiak i Deryngowski. W Żabikowie zamordowany został także dowódca naszej jednostki - Alfred Furmański „Hoffman". Według mojej wiedzy w okresie okupacji z rąk okupanta zginęło co najmniej 30 mieszkańców Nekli i najbliższej okolicy.

Cena życia, którą zapłacili, była ogromna, lecz nie była daremna, gdyż odzyskaliśmy wolność.

Września, w listopadzie 1979 roku.

/-/ Franciszek Kordus b. żołnierz Armii Krajowej,
więzień obozu Mauthasen Loibl-Pass

***Franciszek Kordus**, ur. 12.09.1905 w Borku, zm. 01.10.1982 we Wrześni. Od 1923 pracował w komisariacie obwodowym w Dominowie. W tym czasie odbył służbę wojskową w 17 PAL w Gnieźnie. Od 1928 był sekretarzem wójtostwa w Bronisławiu (dzisiaj gmina Krzykosy), a od 01.09.1931 w Nekli. Podczas okupacji zatrudniony w Urzędzie Gminy w Nekli na stanowisku rachmistrza i tłumacza. Od 1942 w Armii Krajowej. 3 maja 1944 aresztowany i osadzony w KL Żabikowo, skąd przeniesiony do KL Mautchausen. Pracował w komandzie Loibl-Pass przy budowie tunelu pod Alpami. Po wyzwoleniu przez partyzantów jugosłowiańskich przedostał się do Armii Polskiej we Włoszech. Do kraju powrócił w 1946 (przez Wielką Brytanię), kontynuując pracę na stanowisku sekretarza urzędu w Nekli do 18.05.1952. W latach 1953-71 był prezesem Zarządu GS „Samopomoc Chłopska" w Nekli. Od stycznia 1971 na emeryturze. W 1931 ożenił się z Felicją Lisiak z którą miał troje dzieci: Urszulę, Ryszarda i Jerzego. Po śmierci żony w 1945 i powrocie do kraju zawarł powtórny związek małżeński z Anną Linke, z domu Zefirian, z którą miał syna Mirosława.*

Dowód osobisty Franciszka Kordusa. 1930 r.

Felicja i Franciszek Kordusowie, 1938 r.

Franciszek Kordus w armii polskiej we Włoszech - pierwszy z lewej. Loreto, niedziela 23.09.1945 r.

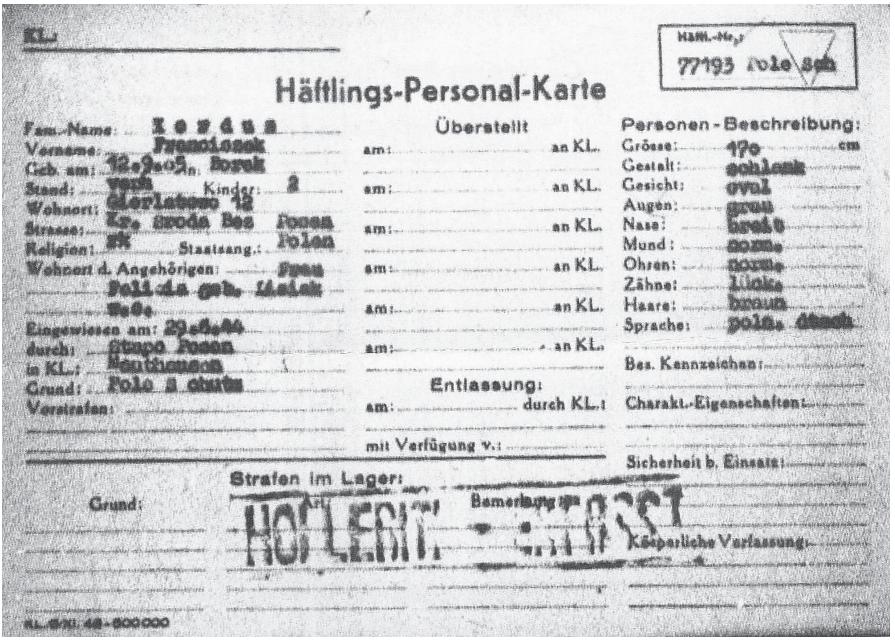

Häftlings-Personal-Karte

Häft.-No. 77193 Pole Sch

Fam.-Name: Kordus
Vorname: Franciszek
Geb. am: 12.2.05 in Borek
Stand: verh. Kinder: 2
Wohnort: Gierlatowo 12
Strasse: Kr. Środa Bez. Posen
Religion: rk Staatsang.: Polen
Wohnort d. Angehörigen: Frau Paulina geb. Maciak wie o.
Eingewiesen am: 29.6.44
durch: Gstapo Posen
in KL.: Mauthausen
Grund: Pole z stutu
Vorstrafen:

Überstellt
am: an KL.
am: an KL.
am: an KL.
am: an KL.
am: an KL.

Entlassung:
am: durch KL.:
mit Verfügung v.:

Personen-Beschreibung:
Grösse: 176 cm
Gestalt: schlank
Gesicht: oval
Augen: grau
Nase: breit
Mund: voll
Ohren: voll
Zähne: links
Haare: braun
Sprache: poln. deutsch
Bes. Kennzeichen:
Charakt.-Eigenschaften:
Sicherheit b. Einsatz:
Körperliche Verfassung:

Strafen im Lager:
Grund:
Bemerkung:

HÖFLICHST

KL.-Bl. 41-500000

Karta ewidencyjna Franciszka Kordusa z obozu koncentracyjbego w Mauthausen

Halina Grala

Sowiecka zbrodnia w Barczyźnie

15 stycznia 1945 r.

Halina Grala, autorka wspomnień. Orzechowo 1943 r.

Zbliża się front niemiecko-rosyjski. Niemcy cofają się. Jestem w Opatówku (Offenberg). Moi pracodawcy, Gertruda i Johann von Stachelberg właściciele majątku, w którym byłam zatrudniona podczas okupacji, najpierw jako Feldarbeiterin (robotnica rolna), następnie jako Gartenarbeiterin (pracownica ogrodowa), a na końcu jako Kindermädchen (niania, opiekunka dzieci) - szykują się do ucieczki. Panicznie boją się Rosjan. Pamiętam słowa dziedziczki wypowiedziane do mnie w ostatnim dniu: *Wy jeszcze nie wiecie, co znaczą Rosjanie, ale się przekonacie. Oni oprócz ludzi niszczą wszystko. Znęcali się nad nami i wypędzili nas z naszej posiadłości w Estonii. Strzeż się ich!* Z początku nie zdawałam sobie sprawy z tych słów. Dopiero później okazało się, że miała rację. Cała służba zatrudniona była przy pakowaniu żywności, odzieży i niezbędnych sprzętów na wozy i przyczepy, a było tego sporo. Nie zdołali jednak zabrać wszystkiego, reszta została na pastwę losu. Przy pożegnaniu, ze łzami w oczach, chciała mi darować swoją zastawę obiadową na 24 osoby, która była jej prezentem ślubnym. Nie zabrałam tego, rada, że niedługo będę w domu. Zabrałam tylko na pamiątkę zdjęcie dworku i trójki dzieci, którymi się opiekowałam: Hansa 12 lat, Kariny 8 lat i Piotra. Gdy gospodarze odjechali, jeden z woźniców zawiózł mnie gokartem do mojej siostry Felci w Barczyźnie, która tam mieszkała u gospodarza Barczaka. O powrocie do domu do Pięczkowa nie było mowy, gdyż wszystkie drogi były zapchane cofającym się wojskiem niemieckim i cywilnymi uciekinierami. Felcia i druga siostra Janka oraz dzieci bardzo ucieszyły się z mojego przyjazdu i z wielką nadzieją oczekiwaliśmy na koniec wojny i powrót z obozu Fenia. Po tygodniu wybrałyśmy się z Felcią do Nekli popatrzeć na uciekinierów. Przeważały kobiety. Byli to ci najbiedniejsi, którzy resztkami sił wlekli się na zachód. Konie wyczerpane długą wędrówką padały, a ludzie, zwłaszcza chorzy i starzy oraz dzieci, umierali po drodze. Był duży mróz -15 stopni i około pół metra śniegu. Gdy tak stałyśmy przy drodze, jedna Niemka ściągnęła z wozu dużą walizkę i otworzyła ją przed nami. Było w niej wiele pięknych rzeczy dziecięcych. Chciała je nam zostawić, mówiąc, że koń ledwo ciągnie i boi się, że padnie. Namawiałam Felcię, by zabrać te rzeczy, skoro prosi. Przydałyby się dla Jureczka, ale Felcia odmówiła. Powiedziała tej kobiecie jakoś ze smutkiem: *Nie wiadomo co z nami może się stać*. Były to słowa wypowiedziane w złą godzinę, bo w tydzień później już nie żyła. Na drugi dzień, 22 stycznia, Rosjanie wkroczyli

do Nekli. 20 stycznia uciekłyśmy z domu w pole. Front się zbliżał i Niemcy wysadzali składy amunicji zgromadzone w nekielskich lasach, a my mieszkaliśmy blisko lasu.

Przez cały następny tydzień pojedyncze grupy żołnierzy rosyjskich odłączały się od frontowej armii i buszowały po okolicy. Bałyśmy się ich. Toteż z ulgą powitałyśmy niespodziewanego gościa, Kostka Koszutskiego, który pod wieczór 24 stycznia do nas zawitał. Byłyśmy spokojniejsze, mając w domu mężczyznę. Był on na przymusowych robotach w obozie niemieckim pod Poznaniem. Rosjanie ostrzeliwali obóz, a Polacy ratowali się ucieczką. Kostek chciał się dostać do domu do Kępna, było to jednak niemożliwe, bo wszystkie szosy zajęte były przez wojska rosyjskie. Kostek przypomniał sobie, że w Nekli mieszkała Felcia. Mieszkańcy Nekli skierowali go do Barczyzny. W ten sposób znalazł się w naszym mieszkaniu, ku ogromnej radości kobiet i dzieci. Pamiętam, że wszedł tylko w ubraniu, bo uciekając, zostawił cały swój dobytek. Miał tylko kromkę chleba i kawałek kiełbasy. Pamiętam jak powiedział wtedy: *Co tam rzeczy, wszystko jest do nabycia, najważniejsze to zachować życie.* Tymczasem na szosie zmalał ruch. Wojsko frontowe minęło Neklę i zbliżało się do Poznania.

Postanowiliśmy więc w trójkę, tj. Janka, Kostek i ja wybrać się pieszo do Pięczkowa do rodziców. Chcąc jednak uczcić ten koniec wojny, robiliśmy w sobotę porządki. Kostek szorował podłogi, Janka i ja sprzątałyśmy kuchnię i sypialnię, Felcia upiekła pączki. Ulka i Rysio też pomagali. Zrobiłam im z papieru biało-czerwone chorągiewki, którymi wesoło wymachiwali. Wieczorem wszyscy myli się kolejno na niedzielną uroczystość.

Mój Boże! Nikt z nas nie przypuszczał, ani nie przeczuwał, jaka straszna tragedia wisi nad nami. Zrobiło się późno. Dzieci już spały. Ja myłam się ostatnia. Swoje rzeczy zostawiłam na krześle w kuchni naprzeciw okna. Wszyscy byliśmy już w łóżkach. Zbliżała się północ. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Usiadłyśmy na łóżkach, nadsłuchując. Pukanie stawało się coraz gwałtowniejsze. Może ktoś oczekuje pomocy? Zdecydowaliśmy się na zapalenie lamy. Nagle za drzwiami odezwał się głos: *Otwierać, bystro. Patrol wojskowy!* Nie było wyjścia. Drzwi otworzyła Felcia z Jurkiem na ręku, mówiąc, że jeśli mnie zobaczą z dzieckiem na ręku, to mi się nic nie stanie. Otworzyła. Do mieszkania wszedł młody żołnierz rosyjski z automatem w ręku. Ula i Rysio przebudzili się i zaczęli płakać. Uspokoił nas, mówiąc, że ma rozkaz patrolować domy pod lasem, sprawdzając czy nie ukrywają się niemieccy żołnierze. Otworzył szafę, przegarnął wiszącą tam odzież, otworzył także bieliźniarkę i przegarnął półki z bielizną. Zapytał czy nie przechowujemy Niemców i czy mamy broń. Zaprzeczyłyśmy, więc usiadł przy stole, zapytał o wino, potem o ojca dzieci. Kiedy dowiedział się, że jest w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, doszedł do Felci i powiedział, że ma się nie martwić, bo oni uwolnią wszystkich w obozach i mąż niedługo wróci. Zapytał też, czy sami mieszkamy w tym domu. Powiedziałyśmy mu, że po drugiej stronie domu mieszka gospodarz z rodziną, żona i sześcioro dzieci. Naładował automat i poprosił, by ktoś wskazał mu do nich drogę. Felcia, trzymając Jurka na ręku, zadrżała, a i nas przejął strach. Zauważył to i uspokoił nas, że nic nam się nie stanie, on jednak musi być ostrożny. Felcia wyszła z nim, wskazała furtkę na podwórze gospodarza i wróciła. Odetchnęliśmy z ulgą, ale o spaniu nie było mowy. Po chwili usłyszeliśmy pukanie do drzwi Barczaka. Cisza. Pukanie coraz głośniejsze. Nagle słyszymy głos Barczaka: *Kto tam?* Patrolujący żołnierz odpowiedział: *Patrol rosyjski. Otworzyć!* Na te słowa pijany Barczak ucztujący cały wieczór w sąsiedztwie z dwoma rosyjskimi żołnierzami, którzy buszowali po okolicy, począł obrzucać patrolującego żołnierza wyzwiskami, krzycząc na cały glos, że go nie wpuści. Żołnierz pchnął

drzwi wejściowe i wtedy posypała się cała seria pocisków z automatu. Usłyszałyśmy krzyki i szamotaninę obydwóch, jakieś bieganie i cisza. Byliśmy pewni, że żołnierz pobił gospodarza albo go zastrzelił. Drżałyśmy ze strachu. Kostek radził, aby się ubierać, bo coś niedobrego się stało. Wystraszone dzieci zaczęły płakać. Zapaliłyśmy lampę, wszyscy zaczęli się ubierać. Ponieważ miałam swoje rzeczy w kuchni, pobiegłam i nachyliłam się nad krzesłem. Wtedy ktoś strzelił zza okna do mnie. Usłyszałam jakiś szum przy uchu i upadłam na podłogę. Podniosłam się jednak szybko, wzięłam suknię, pończochy i bambosze i uciekłam do pokoju. Założyłam to, co zdążyłam zabrać. Zgasiliśmy lampę, nadsłuchując. Po chwili zza okna rozległy się krzyki: *Otwierać! Bystro!* Nie było rady. Nie mając nic na sumieniu, postanowiłyśmy otworzyć, im prędzej tym lepiej. I znowu Felcia z Jurkiem w poduszce na ręku otworzyła drzwi. Wtargnęło dwóch pijanych żołnierzy z automatami. Janka ze strachu zaczęła uciekać na podwórze, ale jeden z nich to zauważył i strzelił do niej. Zranił ją w rękę, podbiegł do niej i przyprowadził do mieszkania, usadził w pokoju i kazał się nie ruszać. Krew ze zranionej ręki kapała na podłogę. Patrzyła przerażonymi oczami i płakała. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Nagle jeden z nich odsunął stół kuchenny, którym zastawione były drzwi do mieszkania Barczaka, kopnął butem w te drzwi, które się otwarły i ukazał się nam straszny widok. Na podłodze pod drzwiami leżał ten patrolujący żołnierz z twarzą zbroczoną krwią. To Barczak tak go urządził i zawlókł nieprzytomnego pod drzwi do naszej kuchni, a on z żoną i dziećmi schowali się gdzieś w podwórzu. Żołnierze, którzy do nas wtargnęli, zaczęli krzyczeć: *Wy Giermańcy!* Ula i Rysio przynieśli biało czerwone chorągiewki, które im zrobiłam i z płaczem wołali: *My Polacy!,* ale oni nie reagowali na krzyk i płacz dzieci. Spojrzeli nagle na Kostka i jeden z nich wymierzył z automatu w pierś, raniąc go śmiertelnie. Kostek runął na ziemię, a ja zawołałam do niego: *Kostek podać ci wody?* Oni doskoczyli do mnie z krzykiem: *Jeno się waż!* Kostek tylko wyszeptał: *O Jezu!* i skonał… Wszyscy płakaliśmy i tłumaczyliśmy, że jesteśmy niewinni, że ów żołnierz wyszedł od nas zdrowy, z uśmiechem. Nic to nie pomogło. Przenieśli rannego do pokoju, usadzili na krześle przy kaflowym piecu. Wtedy zaczęli się znęcać nad Felcią, która trzymała Jurka w poduszce na ręku, krzycząc: *Ty Giermanko!* Bili ją po twarzy, kopali, popychali. Ona biedna osłaniała Jurka, krew jej z twarzy spływała na poduszkę dziecka. Ja błagałam ich, by posłuchali, a wszystko im wytłumaczę. Nie reagowali, tacy byli rozwścieczeni. Nagle jeden z nich krzyknął: *Pokaż dokumenty!* Wtedy ja wyciągnęłam nasze Ausweisy i inne dokumenty. Felcia w tym czasie weszła z Jurkiem do pokoju i z dzieckiem na ręku wyskoczyła przez otwarte okno na zewnątrz, a Ulka za nią. Ja to widziałam i pomyślałam, chociaż one się uratują z tego piekła. Niestety. Uciekły w złym kierunku. Rysio też w pewnym momencie zniknął, a oni teraz wrzeszcząc i niszcząc nasze dokumenty, krzyknęli do mnie, że za tego żołnierza ja i Janka zostaniemy zastrzelone. Wtedy zbliżyłam się do rannego, prosząc go, by potwierdził, że to nie z naszej winy. On jednak był nieprzytomny, ruszał tylko głową, nic nie mówiąc. Wtedy jeden z bandytów dopadł do mnie i krzyczał, abym obmyła skrwawioną twarz rannego. Po wieczornym myciu w wiadrze nie było wody, jedynie w garnku na piecu zostało jeszcze trochę letniej. Oni w tym czasie siedząc przy stole, ładowali automaty, by się z nami rozprawić. Płacząc, żegnałam się z życiem. Patrzyłam na Jankę i obie szlochałyśmy. Moje myśli biegły do domu, do Mamy, Taty i Jasi. Tak mi ciężko było umierać, gdy po tylu latach wracała wytęskniona i oczekiwana wolność. To był jednak moment. Poszłam po tę wodę w garnku. A gdy z nią wracałam, jeden Rosjanin uderzył mnie w twarz. Upadłam, a woda z garnka wylała się. Podniosłam się, bo bandyta darł

się, by szybko przynieść wody z podwórza. Wybiegłam. Na progu jakiś wewnętrzny głos szepnął jedno słowo: Uciekaj! Posłuchałam. Wybiegłam w pole, rzuciłam garnek w śnieg i ile sił pędziłam naprzód, nie wiedząc dokąd, bo nie znałam okolicy. Miałam na sobie tylko cienką sukienkę, pończochy i bambosze, które już po kilku metrach zgubiłam w śniegu. Mróz był silny - 15 stopni. Ja jednak nie czułam zimna. Biegłam naprzód, nie oglądając się za siebie. W pewnym momencie usłyszałam dwie serie z automatów. To oni z pewnością czekając na mnie, wyszli przed dom i strzelali do mnie. Pędziłam naprzód ile sił, a głos wewnętrzny ciągle wołał: *Uciekaj! uciekaj!* W pewnym momencie ujrzałam przed sobą jakiś niski, mały domek. Ucieszyłam się bardzo, bo mocno już zmarznięta chciałam się tam schronić. Pukałam do małych okienek, ale nikt mi nie otworzył. Biegłam więc dalej. Nagle zamajaczył przede mną wysoki las. Była głęboka, ciemna i mroźna noc. Około pierwszej godziny. Ogarnął mnie strach, ale pragnienie życia było silniejsze. Pchało mnie naprzód. Biegłam więc tym lasem i co chwila upadałam, potykając się o wystające korzenie. Znowu usłyszałam z daleka strzały z automatów. Pomyślałam o Jance. Miałam nadzieję, że jednak może ją oszczędzili, oprzytomnieli i zostawili przy życiu. A ja biegłam i biegłam. Znalazłam się na jakiejś krętej ścieżce leśnej i tą ścieżką dalej uciekałam. W końcu las się przerzedził i wyszłam na drogę, a w dali ujrzałam domy. Przystanęłam, odpoczywając chwilę, zorientowałam się, że to Nekla od strony Czerniejewa. Poznałam piekarnię Burzyńskich. Najpierw ucieszyłam się, ale po chwili przeraziłam, bo przede mną na słabo oświetlonej ulicy ujrzałam mnóstwo żołnierzy sowieckich uzbrojonych w automaty. Cofnęłam się szybko i przekradając się od strony ogrodów, pukałam do kilku domów. Ludzie bali się otworzyć. W końcu w piątym domu usłyszałam jakiś ruch. Wkrótce otworzył drzwi młody mężczyzna. Na mój widok cofnął się. Ja zaczęłam płakać. Nie mogłam wydobyć słowa. Trzęsłam się z zimna i strachu. Mówił potem, że się przeraził, bo wyglądałam okropnie. Z potarganymi włosami i zakrwawioną twarzą. Sądził, że to jakaś dziewczyna uciekła z zakładu dla obłąkanych. Pozwolił jednak mi wejść. Jego żona wstała z łóżka i kazała mi wejść pod pierzynę. Przyniosła gorącą herbatę i kiedy się trochę rozgrzałam, opowiedziałam im z płaczem, skąd przyszłam i co się tam wydarzyło, prosząc o pomoc. Mężczyzna po krótkim namyśle postanowił zwrócić się do wojska. Wyszedł i długo nie wracał. W końcu kiedy już zaczęło świtać, przyszedł z grupą mężczyzn - Polaków z automatami. Mówił, że komendant sowiecki wysłuchał go, kazał przyprowadzić kilku (nie pamiętam ilu, ale sporo) mężczyzn, dał im automaty i kazał rozprawić się z bandytami. Jego żona dała mi swój płaszcz, szal i jakieś półbuty i tak brnęłam z nimi przez zaśnieżone pola do Barczyzny. Była już może 8:00 rano, kiedy dotarliśmy na miejsce. Przed domem stała grupa ludzi, a wśród nich Barczak z rodziną i Rysio, który zobaczywszy mnie, przybiegł szybko z płaczem, wołając: *Ciocia, ty żyjesz ! a ja myślałem, że ciebie zastrzelili jak ciocię Jankę!* Zapytałam go o mamę i Ulę i gdzie on był przez noc. Powiedział, że gdy mama z Ulą wyskoczyły przez okno, schował się pod łóżkiem w sypialni. Słyszał jak z kredensu zabierali słoje z zaprawami i żywność, która tam była, usmażone przez Felcię pączki, a przecier z pomidorów rzucali z butelkami na podłogę i rozbijali butami. Kiedy zobaczyłam Barczaka, powiedziałam z płaczem: *To z pana winy to wszystko!* On tłumaczył się, że musiał się bronić. Odpowiedziałam: *Pan z rodziną się uratował, a nas niewinnych zostawił na pastwę bandytów!*

Weszłam z Rysiem, który mocno trzymał mnie za rękę i z grupą mężczyzn do mieszkania Felci. Przedstawił nam się straszny widok. Na podłodze leżał Kostek, przy leżance

w pozycji siedzącej martwa Janka z otwartą skrwawioną buzią, porozbijane butelki i słoje, podeptane dokumenty, różne drobiazgi wyrzucone z szafy z bielizną i odzieżą. Na drzwiach, meblach i podłodze były ślady krwi, naboje z automatów znajdowały się na podłodze, a nawet w kieszeni wiszącego na drzwiach fartucha.

Wyszliśmy z domu. Ja z nadzieją, że Felcia z dziećmi ocalała. Myślałam, że schroniła się u sąsiadów albo u kuzynki Marysi Wichrowej, która z rodziną mieszkała blisko szosy. Grupa nekielskich mężczyzn skierowała się do gospodarstwa sąsiadów (nie pamiętam nazwiska). Chciałam iść z nimi, ale nie pozwolili. Kazali mi iść do Marysi. Wiedzieli już, co się stało. Kiedy z Rysiem zbliżyliśmy się dróżką do Wichrów, wyszła z domu Marysia, a z nią Ulka z płaczem: *Ciociu ty żyjesz?* Na moje pytanie „gdzie mama", odpowiedziała: *Mama zabita, a Jureczka z pomocą wujka Staszka włożyłam do torby mamy i przyniosłam do cioci Marysi*. Zostawiłam całą trójkę u kuzynki i pobiegłam do gospodarza, u którego schroniła się Felcia. Dowiedziałam się, że przybiegła do nich pokrwawiona z dziećmi, płacząc. Kazali jej położyć się do łóżka. Niestety, po kilku godzinach zjawili się bandyci. Przyprowadzili też pobitego przez Barczaka żołnierza, który odzyskał już przytomność. Poznali Felcię i krzyczeli na nią : *Ty Germanko, my tiebia ubijom!* Ranny żołnierz też poznał Felcię i bronił ją mówiąc: *Nie zabijajcie, ona choroszo Polka.* Nie posłuchali jednak. Zastrzelili, mierząc w skroń. Zanieśli do stodoły i tam ją zostawili, a gospodyni przykazali, by nie dawała nic dzieciom, bo to są *Giermany*.

Przytaczam słowa Marysi z listu, który otrzymałam 11 marca 1992 roku, a o który ją prosiłam. Chodziło mi o szczegóły. *„Pamiętam Felcię zdrową i żywą, bo ona dwa dni przed śmiercią jechała rowerem z Nekli i wstąpiła do mnie, a ja mając na kolanach moje dwie córki, bardzo płakałam, bo bałam się tych dzikich rusków. Felcia słysząc to, roześmiała się i powiedziała: Głupia, beczysz! A ja z radości skakać bym chciała, bo mój Feniu wkrótce wróci. A ona tak zginęła. Nie wiem, Halu, jakie były jej ostatnie chwile, bo Ulka do nas przyszła nieubrana i mówiła, że wszyscy zostali zabici przez rusków. Jurek był przy Felci i żyje, jest u sąsiadów, lecz ona była jak nieprzytomna. Ja ubrałam ją w jakieś moje ubrania i ze Staszkiem poszliśmy po Jureczka. Stach z Ulką przynieśli Jureczka, był cały we krwi Felci. Strasznie po tylu latach to wspominać. Wykąpałam go, ubrałam w ciuszki po moich dzieciach, nakarmiłam i po chwili ty, Halu, przyszłaś i zabrałaś ich do Nekli."*

Zostałam sama z trójką sierot wśród obcych ludzi. Zabrakło mi sił, a tu trzeba myśleć o pogrzebie biednych ofiar. Bałam się mieszkać z dziećmi u Barczaka. Przyszli mi na myśl mieszkający w Nekli państwo Kramerowie, z którymi przyjaźniła się Felcia i szwagier. Poprosiłam ich o jakiś kąt, by u nich na razie zamieszkać. Zgodzili się i odstąpili mi mały pokoik. Zabrałam więc trochę niezbędnych rzeczy dla dzieci i siebie, trochę żywności, której bandyci nie zdążyli ukraść ani zniszczyć. Felcię i szwagra znali wszyscy mieszkańcy Nekli, toteż chętnie mi pomagali. Jakiś stolarz zrobił trzy trumny z niepomalowanych surowych desek, inny użyczył konie i wóz i pojechaliśmy z trumnami do Barczyzny. Ciała zmrożone, były już sztywne. Nie dało się ich ubrać. Założyłam więc im czyste białe koszule nocne na wierzch, do rąk włożyłam święte obrazki i tak ich pochowałam. Kiedy ich żegnałam, myślałam, że serce mi pęknie z bólu, ale płakać nie mogłam. Trumny ze zwłokami zawiezione zostały do kostnicy w Nekli i tam stały do dnia pogrzebu. Mieszkanie Felci zamknęłam na klucz. Dzieci były bardzo przestraszone tym, co się stało. Ciągle płakały. Jureczek czekał na pokarm mamy i nie chciał pić mleka z butelki. Ciężko mi było. Jureczek też płakał i nie chciał spać.

Na domiar złego okazało się, że za ścianą kwaterują ruscy telegrafiści ze swym kapitanem. Drżałam ze strachu, ale starałam się nie okazywać tego Ulce i Rysiowi. W końcu ten kapitan słysząc płacz Jureczka, zainteresował się i przyszedł do mego pokoju. Zapytał, co my za jedni. Pani Kramerowa nie kazała mi mówić prawdy, więc na jego pytanie odpowiedziałam, że to moje dzieci. Nie uwierzył, mówiąc, że ten malutki to może być mój, ale te starsze na pewno nie, „bo jesteś za młoda". Odważyłam się więc powiedzieć prawdę. Trzymając na ręce płaczącego Jureczka, sama powiedziałam mu, że ich żołnierze zamordowali moje dwie siostry, z których jedna była matką całej tej trójki. Wtedy on wziął z mojej ręki Jureczka w poduszce, przytulił go i rozpłakał się jak dziecko. Powiedział, że w Rosji zostawił młodą żonę z maleństwem i nie wie, czy wróci i czy ich zastanie przy życiu. Odtąd codziennie przychodził do nas po służbie, brał Jureczka, śpiewał mu i mówił „nasi zabili ci mamę". Swoim telegrafistom przykazał, by przynosili nam chleb, cukier i mleko, a także często ciepłą zupę, którą na zmianę gotowali.

Zbliżał się dzień pogrzebu. Myślałam, że sama będę chowała moje biedne siostry i Kostka, że w domu nic nie wiedzą, co się stało. Przykro i ciężko mi było.

Zjawiła się jednak siostra Jasia z kuzynem Januszem Pruczkowskim. Nasze powitanie było bardzo smutne. Bardzo zdziwiona krzyknęła z płaczem: *Hala, ty żyjesz! Mówili nam ludzie, że ciebie też zabili ruski.* Mówiła, że w domu rodzice najbardziej bali się o mnie, myśląc, że Niemcy zabrali mnie ze sobą do Niemiec. O Felcię, Jankę i dzieci byli spokojni, bo Mama mówiła, że mieszkając daleko od szosy, są bezpieczne i nic im się nie stanie. Tymczasem stało się odwrotnie. Mama potem, gdy już byliśmy razem w domu, mówiła: *Widocznie taka była wola Boża.*

Janka została w Nekli z nami, a Janusz, po krótkim odpoczynku wracał do Pięczkowa, by zanieść rodzicom tę smutną wiadomość, aby Tata zdążył przyjechać na pogrzeb. Na drogach było już spokojniej. Tata wybrał się rowerem. Był już za Wrześnią, kiedy zaczepił go jakiś żołnierz rosyjski, idący przy szosie. Chciał Tacie odebrać rower. Tata prosił go, by nie zabierał roweru, bo jedzie na pogrzeb córek i pieszo nie zdąży. Prośby nic nie pomagały, szarpali się. Tata ustąpił, bo żołnierz zagroził mu pistoletem. W końcu pieszo, bardzo zmęczony, prawie w ostatniej chwili dotarł do Nekli bez roweru.

Pogrzeb odbył się 1 lutego w dniu imienin ojca Janki i Felci - Ignacego. Za trumną szłam ja, trzymając za ręce Ulkę i Rysia, a za nami szedł Tata z Jasią i ogromny tłum ludzi. Szwagier był znany i szanowany w Nekli. Pracował w Wójtostwie jako sekretarz od 1931 roku. Pomagał ludziom przed wojną i w czasie okupacji. Na cmentarz szliśmy lewą stroną szosy, tuż przy rowie, bo pozostałą częścią maszerowała kolumna rosyjskiego wojska.

Tam, na nekielskim cmentarzu, zakończyła się ostatnia droga niewinnych ofiar, a my z wielkim żalem i smutkiem żegnaliśmy na zawsze drogie nam osoby: Jankę, Felcię i Kostka.

Pięczkowo, w październiku 1996 roku

PS.
Główni bohaterowie wspomnień w styczniu 1945 roku:
Janina Lisiak - 38 lat
Felicja Kordus - 35 lat
Konstanty Koszutski - 18 lat

Halina Sikorska-Grala - 21 lat Urszula Kordus - 12 lat
Ryszard Kordus - 7 lat

Jerzy Kordus - 4,5 miesiąca

***Halina Grala, z domu Sikorska**, ur. 01.12.1923 w Pięczkowie, zm. 1.08.2014 w Braniewie. Przed wybuchem wojny ukończyła 2 klasy gimnazjum w Jarocinie. Skierowana przez okupanta do pracy przymusowej w majątku w Opatówku. Po wojnie pracowała jako nauczycielka w Pięczkowie, a później jako księgowa w Orzechowskich Zakładach Sklejek. Na początku lat pięćdziesiątych wyszła za mąż. Miała dwoje dzieci: Krystynę i Waldemara.*

NN, Felicja Kordus, Janina Lisiak, Franciszek Kordus. 1938 r.

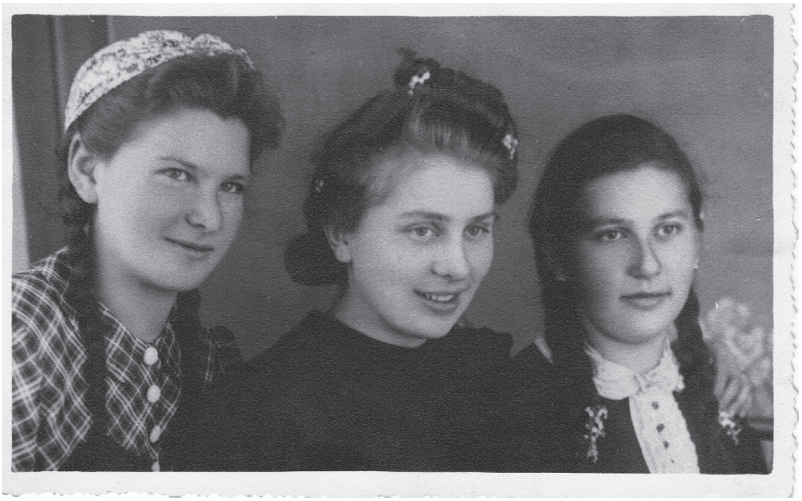

Z prawej Halina z Sikorskich Grala, autorka wspomnień z koleżankami. Orzechowo 1943 r. Photo Atelier V Waligóra, Nussdorf, Kr. Wreschen

Dom, w którym dwa pomieszczenia od strony południowo wschodniej zajmowała Felicja Kordus z dziećmi

Studnia, z której miała przynieść wodę autorka wspomnień...

Ryszard Kordus: *Jestem tutaj po raz pierwszy od 1945 roku.* Barczyzna, 26 czerwca 2015 r.

Za tymi drzwiami żołnierze znaleźli pobitego kolegę

Halina Grala, autorka wspomnień.
Pięczkowo, 12.09.2006 r.

Refleksje

Wojna to jedno z największych nieszczęść, jakie mogą spotkać człowieka: to utrata życia, zagłada dorobku całych pokoleń, cofnięcie w rozwoju państw, przede wszystkim zaś wielka, nieusuwalna trauma będąca udziałem uczestników owych wydarzeń – podkreślająca bezsens zjawiska wojny. Ziemie polskie aż nadto boleśnie odczuwały realia wojennych czasów, także na obszarze ziem jesienią 1939 roku włączonych do Rzeszy. Planowa zagłada elit przywódczych, eksterminacja, wysiedlenia, praca przymusowa, degradacja ekonomiczna i intelektualna, pozostawiły trwały ślad w ludzkiej pamięci i świadomości. Ówczesną rzeczywistość najboleśniej odczuły jednak dzieci, patrzące na wojnę i okupację z punktu widzenia istot, które nikomu niczego nie zawiniły, a musiały być uczestnikami i świadkami zjawisk i rzeczy strasznych. W swych wspomnieniach są szczere i wstrząsające. Ale taka była wojna naprawdę. One też najczęściej po latach w tej książce opisują swoje przeżycia.

Wspomnienia wojenne mieszkańców Nekli i okolic to cenny i wszechstronny obraz losów Polaków z Warthelandu, często uwzględniający opis wyzwolenia, które nie zawsze okazywało się końcem traumatycznych doświadczeń. Był czas, gdy nie wolno było o tym mówić, ani pisać, podobnie jak o deportacjach na wschód, daleko za wschodnią granicę. Jednak na tle dramatu owych lat 1939-1945 było też codzienne życie. Zmartwienia i troski, ale i chwile dające wytchnienie. Wola przetrwania - i Pamięć. Tę książkę powinien przeczytać każdy, komu nieobojętne są losy Polaków z Kraju Warty w okresie okupacji hitlerowskiej. Czytelnik otrzyma obraz tragiczny, ale pełny i wszechstronny. Lektura to wstrząsająca, lecz obowiązkowa.

dr Marek Rezler, historyk, biograf, publicysta

Minęło 70 lat od czasu, kiedy na naszych terenach skończyła się wojna. Pozostało już niewiele osób, które ją pamiętają. Które pamiętają okropności, jakie ze sobą niesie zawierucha wojenna, a okropności drugiej wojny światowej były szczególnie wielkie.

Dlatego dobrze się stało, iż ukazały się wspomnienia z tego okresu. Wspomnienia pokazujące czym jest wojna dla ludności cywilnej i jakie niesie ze sobą krzywdy i upodlenie. Jakie niskie instynkty wyzwala w ludziach i do jakich niecnych zachowań prowadzi.

Wspomnienia te ukazują, jakie ciężkie życie mieli w czasach okupacji nasi bliscy i przodkowie. Jak byli traktowani przez „rasę panów" i przez „wyzwolicieli" rosyjskich. Jak ich zachowania są w gruncie rzeczy podobne do siebie. Jedni na co dzień poniżają i upadlają, a drudzy biorą wszystko, bez wyjątku, bo uważają, że im, jako zwycięzcom, to się należy.

Warto więc przeczytać wspomnienia Polaków z tego okresu. Niech będą one upamiętnieniem wszystkich, którzy żyli w tamtym, szczególnie trudnym, okresie. A jednocześnie niech stanowią przestrogę dla przyszłych pokoleń. Przestrogę, że wojna to najgorsze, co może spotkać naród.

Wojciech Jędraszewski, Wielkopolskie Towarzystwo Genealogiczne „Gniazdo"

Wykaz źródeł pochodzenia fotografii i dokumentów

Opublikowane w książce zdjęcia pochodzą ze zbiorów: Mirosława Bielewicza, Czesława Chęcińskiego, Mieczysława Chęcińskiego, Izabeli Dudek, Wincentego Dudka, Marka Gizelskiego, Haliny Grali, Marii Jankowiak, Genowefy Knasiak, Grzegorza Knasiaka, Ryszarda Kordusa, Bronisławy Kwiatkowskiej, Kazimierza Łopatki, Klemensa Matuszewskiego, Martina Middlebrooka, Marii Mazur, Karola Niedzieli, Romana Nowaczyka, Waleriana Nowaczyka, Bogumiły Nowakowskiej, Waldemara Odrobnego, Krystyny Osypiuk, Michała Pawełczyka, Aliny Plucińskiej-Janiak, Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Zofii Spławskiej, Wandy Sobczyńskiej, Czesława Szalatego, Wiktora Szalatego, Marii Szalaty, Anny Szymańskiej.

Podziękowania

Do powstania tej książki przyczyniło się wiele osób, którym z całego serca dziękuję

Jerzy Osypiuk

Paweł Anders, Karol Balicki, Grażyna Bartosik, Weronika Bartosik, Anna Brodecka, Czesław Chęciński, Mieczysław Chęciński, Krzysztof Chojnacki, Wincenty Dudek, Andrzej Dymel, Elżbieta Galwas, Joanna Gizelska, Marek Gizelski, Ewa Graczyk, Lucyna Idasiak, Radosław Jagieła, Krystyna Jagodzińska, Andrzej Jakubowski, Wojciech Jędraszewski, Artur Kaczmarski, Genowefa Knasiak, Grzegorz Knasiak, Ryszard Kordus, Anna Kurpik, Kazimierz Łopatka, Jacek Malarski, Adam Matuszewski, Lucjan Matuszewski, Ryszard Matuszewski, Sławomir Matuszewski, Weronika Matysiak, Hanna Migdalska, Karol Niedziela, Roman Nowaczyk, Violetta Nowak, Waldemar Odrobny, Krystyna Osypiuk, Bartłomiej Pałasz, Jacek Papla, Alina Plucińska – Janiak, Jacek Pluciński, Przemysław Pluciński, Witold Przewoźny, Marek Rezler, Zofia Spławska, Paulina Stanisławska, Maciej Stawowy, Czesław Szalaty, Maria Szalaty, Wiktor Szalaty, Dawid Tomiak, Daria Wojtaszak.

Projekt wydawniczy został zrealizowany ze środków budżetowych Gminy Nekla i Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego „Gniazdo", przy wydatnym wsparciu finansowym Darczyńców:

„Alligator Polska" Sp. z o.o., Nekla
„Allianz" Biuro Ubezpieczeń – Łukasz Osypiuk, Nekla
Wanda i Janusz Balcerzakowie, Nekla
Bank Spółdzielczy w Kostrzynie,
Elżbieta i Ryszard Barczykowie, Nekielka
Magdalena i Mirosław Bielewiczowie, Józefowo k/Mogilna
Elżbieta i Zbigniew Bielewiczowie, Warszawa
Urszula i Wincenty Dudkowie, Bydgoszcz
Anna i Przemysław Frąszczakowie, Nekla
KARLIK ELEKTROTECHNIK Sp. z o.o., Nekla
Bogdan Kemnitz, Kleszczewo
Anna i Grzegorz Knasiakowie, Bydgoszcz
KOS - Elektro System Sp. z o.o., Września
Ryszard Kosmowski, Magdalenka
Maria i Czesław Kozielscy, Targowa Górka
Elżbieta i Waldemar Kruszonowie, Malmö, Szwecja
Iwona i Ryszard Kubiakowie, Nekla
Eugenia i Tadeusz Kwiatkowscy, Nekielka
Krystyna i Jan Lewandowiczowie, Nekielka
„Materiały Budowlane" Grzegorz Kulma, Nekla
Klemens Matuszewski, Detroit, USA
Ryszard Matuszewski, Sierosław
Krystyna Osypiuk, Nekla
Elżbieta i Ryszard Paluczkowie, Gruszczyn
PEMA Sp. z o.o. Johannes Peelen, Stępocin
Halina i Marek Powałowie, Osielsko
Helena i Wojciech Siudowie, Nekielka
Zofia Spławska z rodziną, Nekla
Wiktor Szalaty, Starczanowo
Marian Wojtkowiak, Gdynia
Maria i Zdzisław Zacharenkowie, Barcin
Związek Kombatantów RP Osób Represjonowanych i ich Rodzin, Kalisz

Wszystkim składam serdeczne podziękowania.

Jerzy Osypiuk